



Katarzyna Grabowska

# MAGIA

UKRYTA W KAMIENIU



VIDEOGRAF

Katarzyna Grabowska

**MAGIA**  
**UKRYTA W KAMIENIU**

VIDEOGRAF

*Moim kochanym Rodzicom*  
*oraz córkom, Basi i Karolinie*

## I. ZMIANA PLANÓW

Zawsze lubiłam wszystko przemyśleć. Zanim coś zrobiłam, najpierw układałam plan: co, jak, kiedy. Przygotowywałam się systematycznie, wierząc, że tylko w pełni dopracowany harmonogram gwarantuje, iż to, co zamierzam, dojdzie do skutku bez zbędnych niespodzianek.

Ze zdziwieniem, a nawet lekkim niesmakiem, patrzyłam na koleżanki, które nie prowadziły terminarza zajęć albo – o zgrozo – bez wcześniejszych przygotowań wybierały się na wakacje *last minute*. Dla mnie to było nie do pomyślenia. Przecież wszystko w życiu ma swój czas i musi zgrać się z innymi elementami. Bez dobrej organizacji można pograć się w niezłym bałaganie, a stąd już tylko krok do totalnego chaosu.

Tegoroczny wakacyjny wyjazd planowałam długo i wiele sobie po nim obiecywałam – w końcu to miał być mój pierwszy zupełnie samodzielny wypad. W dodatku jak najbardziej zasłużony. Przez ostatni rok ciężko pracowałam, aby zdać maturę, a wynik, jaki na niej otrzymałam, świadczył, iż naprawdę porządnie się przygotowałam. Upragniony indeks Uniwersytetu Medycznego w Łodzi na Wydziale Lekarskim był ukoronowaniem moich starań.

Wraz z dwiema najlepszymi koleżankami z liceum wybrałyśmy kierunek podróży, przewertowałyśmy setki stron internetowych, aby znaleźć odpowiedni hotel i zamówiłyśmy bilety lotnicze. Ustaliłyśmy wszystko i dopiąwszy przygotowania na ostatni guzik, niecierpliwie odliczałyśmy dni do wyjazdu.

W wyobraźni już widziałam siebie leżącą na gorącym piasku, pod palmami, gdy nagle wiadomość o chorobie babci Tosi sprawiła, że moja tak dokładnie zaplanowana letnia eskapada musiała zostać zmodyfikowana. Właściwie „modyfikacja” to niewłaściwe słowo. Bardziej pasuje tu zwrot, którego do tej pory starałam się nie dostrzegać, a już, broń Boże, używać.

„Zmiana planów”. Brrr, cóż za okropne sformułowanie! Niestety, jak najbardziej odpowiednie w tej sytuacji. Ja, mistrzyni planowania i prawdziwa pasjonatka wszelkich terminarzy, zostałam zmuszona do zrezygnowania z misternie obmyślanej wyprawy na wybrzeże Costa Brava. Oczywiście nie ustąpiłam tak łatwo. O nie! Walczyłam jak lwica, jak gepard, jak pantera... Nie miałam jednak wyjścia.

Babcia Tosia – mama mojej mamy. Szczuplutka siwowłosa staruszka o pomarszczonej skórze i niebieskich oczach, która po śmierci dziadka nie zdecydowała się na przeprowadzkę do miasta i została całkiem sama na gospodarstwie. Mama przy każdej okazji namawiała ją, aby sprzedała dom i ten niewielki kawałek ziemi, który jej jeszcze został, i wprowadziła się do naszego całkiem obszernego mieszkania na jednym z łódzkich osiedli. Tłumaczyła, że razem byłoby nam lepiej, że dzięki temu nie byłaby taka samotna, że odległość, jaka nas teraz dzieli, jest zbyt duża, abyśmy się często odwiedzały.

Ja to rozumiałam i w pełni popierałam ten pomysł, tym bardziej że od rozwodu mama rzuciła się w wir pracy, chcąc zapewnić nam życie na jak najwyższym poziomie, dumnie odrzucając finansową pomoc mojego ojca, który w chwili, gdy związał

się z inną, młodszą kobietą, praktycznie przestał dla niej istnieć. Gdyby babcia zamieszkała z nami, mnie także byłoby różniej, kiedy mama wyjeżdża na kolejne konferencje, targi czy prowadzi negocjacje handlowe, gdzieś na drugiej półkuli.

Niestety, babcia nie zgodziła się na przeprowadzkę, co doprowadziło do sytuacji, w której to ja zostałam postawiona pod ścianą. Mama, jak zwykle zajęta bardzo ważnymi sprawami związanymi z firmą, nie mogła rzucić wszystkiego na wiadomość o nagłej chorobie babci. A ja... No cóż, ja mogłam. Musiałam zrezygnować z planowanego od miesięcy wyjazdu.

Nie byłam szczęśliwa, gdy wsiadałam do pociągu, który zamiast zawieźć mnie na lotnisko w Warszawie, podążył do Poznania, skąd rozklekotanym autobusem udałam się w dalszą podróż, wprost na zapadłą wieś obdarzoną niezwykle wymowną nazwą Kamienisko. Czułam się tak, jakby przygniotły mnie tony kamieni i uciskały z każdej strony. Żegnaj, Hiszpanio, żegnaj, gorący piasek i orzeźwiająca morska toni. Witaj, leśny dukcie, chmaro komarów, kleszczy i innych insektów.

Dom babci odnalazłam z trudem, i to dzięki pomocy napotkanych po drodze ludzi. Głupio się przyznać, ale moje ostatnie wspomnienia związane z tym miejscem sięgają czasów, gdy byłam kilkuletnim dzieckiem. Mama nie lubiła wsi i unikała powrotów w rodzinne strony, woląc wakacje i inne nieliczne wolne dni spędzać w bardziej urokliwych, egzotycznych miejscach. To babcia czasami przyjeżdżała do nas, przywoząc ze sobą koszyk wypełniony przetworami domowej roboty. Uwielbiałam zwłaszcza dżem wiśniowy, którego smak nieodłącznie kojarzył się mi z jej krótkimi wizytami. Dopóki żył dziadek Heniek, wizyty te były częstsze, jednak po jego śmierci ich częstotliwość wyraźnie zmalała, aż w końcu, musiałam to teraz przyznać, nie widziałam babci od dobrego roku.

Stałam przed furtką niepozornie wyglądającego gospodarstwa. Według numeru umieszczonego na parkanie to musiał być właściwy adres. Ze zdziwieniem patrzyłam na zszarzałe ze starości bielone ściany piętrowego budynku. Moją uwagę przykuł zapuszczony ogródek pod oknami, zarosły wybujałymi chwastami. Niepewnie pchnęłam furtkę i weszłam na podwórko. Natychmiast rzucił się do mnie pies – mieszaniec owczarka z czymś bliżej nieokreślonym – i zaczął donośnie szczekać. Cofnęłam się o krok, bojąc się ataku rozwścieczonej bestii. Ujadanie włochatego potwora wywabiło z domu właścicielkę posesji. Szczupła, wątła staruszka zatrzymała się na stopniach werandy.

– Burkas! Ty urwisie jeden! A będziesz ty cicho! Cicho! Burkas do nogi! – zawołała, a pies natychmiast stracił zainteresowanie moją osobą i niczym grzeczny domowy pupilek podbiegł do swojej pani, machając przy tym radośnie ogonem.

Kobieta czule pogłaskała przyjaciela po łbie, po czym wolnym krokiem, tak jakby chodzenie sprawiało jej trudność, zeszła na dół. Teraz mogłam się jej lepiej przyjrzeć. Poczulałam dziwny żal i smutek, widząc, jak się zmieniała. Jej pomarszczona skóra miała niezdrowy szarawy odcień. Kości policzkowe bardzo się uwidoczniły, nadając twarzy wyraz pewnej srogości, zaś cienie pod oczami kontrastowały z niezwykle bladą cerą.

– Babciu... – wyszeptałam, rzucając torbę podróżną w piach.

Padłyśmy sobie w objęcia i przez chwilę się tuliłyśmy, ciesząc się ze spotkania. Jakże żałowałam, że zdecydowałam się na odwiedzin dopiero na wieść o chorobie...

– Julia... – Jej wychudzoną twarz rozjaśnił nikły uśmiech. – Aleś ty wypiękniała. Ho, ho, ale panna z ciebie. Ino patrzeć, jak jaki kawaler zastuka z prośbą o twoją rękę.

– Jak się czujesz? – zapytałam, nie zwracając uwagi na jej przepowiednie.

– Dobrze, moje dziecko. – Poprowadziła mnie na werandę i usiadła na drewnianej ławie, wskazując mi miejsce obok siebie. – Tylko to serce nie chce mnie już słuchać. Bije jak mu się podoba. Raz szaleje, a raz zwalnia...

– Ale bierzesz lekarstwa, tak jak kazał doktor?

– A co mi tam doktory pomogą? – Machnęła ręką, tak jakby oganiała się od wyjątkowo złośliwej muchy. – Swoje lata już na karku mam, wkrótce będzie czas się zbierać. Tylko kłopot przez starą babkę macie.

– Babciu! – zaprotestowałam, ale wiedziałam, że się nie myliła. Traktowałam ją jak kłopot i dopiero teraz zrozumiałam swój błąd. Było mi głupio, strasznie głupio! – Nie mów tak. Przecież my cię bardzo kochamy.

– Oj, dziecko, dziecko... Kochacie... Wy, młodzi, macie swoje życie, wielki świat. Gdzie mnie z tym konkurować. Tylko zawadzam...

– Przecież mama mówiła, żebyś przeniosła się do nas i z nami zamieszkała. A poza tym w mieście jest lepsza opieka medyczna – dodałam, jakby to był najważniejszy argument.

– Mnie tam już tylko piasek pomoże. On wszystko z człowieka wyciągnie. W nim wszyscy równi. A do miasta nie pójdę. Starych drzew się nie przesadza. Tu ziemia moja, tu moi przodkowie spoczywają. Jakbym mogła to zostawić? Jakbym mogła stąd odejść? Jak odejdę, to tylko tam. – Kościstym palcem wskazała niebo.

Zrobiło się mi smutno. Jak można aż tak przywiązać się do jednego miejsca? Zrozumiałam jednak, że chwilowo nic nie zdziałam. Postanowiłam powoli, drobnymi kroczkami, przekonywać babcię do zmiany zdania. Na razie umilkłam, dając tym samym znak, że nie kwestionuję jej argumentów.

Posiedziałyśmy jeszcze chwilę na werandzie, patrząc na szumiące za płotem brzozy i na Burkasa ganiającego po obejściu. Pies, widząc, że nie mam żadnych złych zamiarów wobec jego pani, zaakceptował moją obecność i nawet łaskawie pozwolił pogłaskać się po łbie.

– Tylko Burkas mi został. On jeden... – Mówiła dziwnie cicho, jej głos wypełniał smutek. – Prawda to, że ino pies jest prawdziwym przyjacielem, co go ni starość, ni bieda nie zraża.

Babcia we wszystkim miała rację, a mnie było coraz bardziej głupio. Solennie obiecałam sobie w duchu, że zaopiekuję się nią najlepiej, jak będę potrafiła. Czasu nie cofnę, nie wymarzę minionych lat, ale przecież jeszcze mogę naprawić wszystko, co lekkomyślnie zaniedbałam.

\*\*\*

Szybko rozeznałam się w rozkładzie dnia babci i lekarstwach, jakie musiała zażywać o określonej porze. Sporządziłam grafik (ach, te przyzwyczajenia) i po kolacji przedstawiłam jej plan naszych najbliższych dni. Na siebie wzięłam wszystkie prace, babci zostawiając obowiązkowy odpoczynek.

– Tak po próznicy mam siedzieć? – zdziwiła się, gdy odczytałam przygotowaną listę.

– O zdrowie masz dbać – wyjaśniłam pospiesznie.

– Ale żeby spać po obiedzie? Co to ja, osesek jestem? Ino brakuje, żebyś mi mleka nagotowała.

– A nagotuję. – Uśmiechnęłam się. – Musisz dużo odpoczywać, a ja dzięki temu nauczę się, jak dom prowadzić.

– No tak, tak – przyznała. – Ja niewiele młodsza od ciebie byłam, gdy za mąż wyszłam i na ojcowiznie ześmy się pobudowali z Heńkiem. Oj, o moim Heniu to wszyscy gadali, że złoty człowiek. Taki robotny, a kulturalny przy tym. Nie jak inne chłopcy, co ino wódkę piją. On dużo czytał, gazetę prenumerował, do gminy jeździł, bo tam klub był. Sam książki mi podsuwał, abym też świat poznała. Często rozprawał o różnych mądrych rzeczach i pytał, co ja o tym myślę. Traktował mnie jak równą sobie i tak mnie tym zapałem do nauki natchnął, że zapragnęłam zapisać się na kurs dokształcający dla dorosłych, który w gminie organizowali. Jednak los chciał inaczej... W ciążę zaszłam i musiałam z planów zrezygnować. Za dużo na głowie bym miała. Dom, gospodarstwo, dziecko. Ale przecież i bez papierka można żyć. Książek tyle dookoła. Wystarczy mądrość z nich wyczytać. Henio wiedział, co warte uwagi, i zawsze mi wskazał. Wspierał mnie i starał się, abym uwierzyła we własne możliwości. Dobry był. Bardzo dobry. I o wszystkim myślał. Jak Martusia się urodziła, to ino spojrzął i powiada: „Tosiuniu, mówię ci, z niej wielcy ludzie będą. Do szkół ją pošlemy, niech ma lepszą przyszłość niż na roli”.

Z zainteresowaniem wysłuchałam opowieści o dziadku Heniu i z radością zauważyłam, że te wspominki wpłynęły na babcię bardzo pozytywnie. Pod wpływem emocji na jej twarzy pojawił się lekki rumieniec, nadając cerze zdrowszy wygląd. Nawet sine worki pod oczami wydawały się mniej widoczne.

Od tego dnia faktycznie przejęłam na siebie wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem domu. Babcia, posłuszna zaleceniom lekarskim, moim namowom i chyba po części także bardziej osłabiona chorobą, niż się chciała do tego przyznać, wyjątkowo łatwo dała się przekonać, że sama doskonale sobie ze wszystkim poradzę. Grzecznie usunęła się z kuchni, dając mi całkowitą swobodę działania. Wreszcie mogłam pokazać, na co mnie stać. Zamiast leżeć na plaży Costa Brava, stałam przy piecu, gotowałam zupę na obiad, obierałam ziemniaki, tłukłam mięso na kotlety. Po prostu cud.

## II. OPOWIEŚĆ BABCI TOSI

Kilka dni u babci Tosi minęło szybko. Mówiąc szczerze, nawet nie zorientowałam się kiedy. Jadąc tam, bałam się nudy, tymczasem okazało się, że na brak zajęć nie mogę narzekać. Liczne obowiązki domowe pochłaniały mnie prawie całkowicie, sprawiając, że ledwo znajdowałam trochę czasu dla siebie. Nie miałam jednak powodów do narzekań. Babcia okazała się niezwykle miłą towarzyszką. Chociaż sama nie mogła brać udziału w pracach domowych, lubiła przesiadywać ze mną w kuchni i snuć historie ze swojego życia. Wspaniale opisywała przeszłość, a przy tym знаła tyle różnych przyspiewek ludowych i legend, że wprost zatracalam się w jej opowieściach. W wyobraźni przenosiłam się do tych odległych czasów i opisywanych przez nią miejsc.

Hiszpania straciła na swej atrakcyjności, a ja żałowałam, że tak późno doceniłam to, co miałam przecież na wyciągnięcie ręki. Te wszystkie wakacje spędzone gdzieś w luksusowych hotelach wydawały się teraz czymś mało ważnym, wręcz zupełnie niepotrzebnym. Gdy ja podróżowałam po świecie, babcia była tu cały czas. Samotna, opuszczona przez najbliższych... Jak mogłam być tak głupia? Jak mogłam nie dostrzec tego, co najistotniejsze?

Szczególnie polubiłam wieczory, gdy po pracowitym dniu mogłam wreszcie odpocząć. Wychodziłyśmy wtedy razem na werandę, gdzie czekała na nas drewniana ławeczka, wiklinowy fotel i niewielki koślawy stoliczek. Babcia siadała w fotelu, ja otulałam ją kocem, aby nie zmarzła, a pod plecy podkładałam jej ulubioną poduszkę. Przynosiłam z kuchni dzbanek z herbatą, dwa porcelanowe kubeczki i talerzyk z kruchymi ciasteczkami. Zajmowałam miejsce na ławeczce i popijając słodką herbatę, wsłuchiwałam się w babcine opowieści. Siedziałyśmy zwykle do późna, aż zaczynało się robić chłodniej. To był nasz czas, którego nie oddałabym za żadne skarby świata.

Tego środowego wieczoru było tak samo. Nasz rytuał został rozpoczęty. Burkas jak zwykle podbiegł do nas i położył swój wielki łeb na kolanach babci, dając tym samym znak, że czeka na należną mu porcję pieśczoć. Stara dłoń gładziła ciemny pysk psa, wolno przesuwając się po długich kudłach. Podwinęłam nogi pod siebie i czekałam na moment, kiedy babcia zacznie snuć kolejną opowieść.

– Ta ziemia jest piękna. – Wpatrywała się przed siebie, hen na widoczny w oddali las.

Wprawdzie zbliżała się dziewiętnasta, ale latem o tej porze jest przecież jeszcze zupełnie widno.

– Ziemia jak ziemia – odezwałam się niepewnie, wykorzystując chwilę ciszy. – Chyba każdy uważa, że miejsce, w którym się urodził, jest piękne.

– Ale to miejsce jest wyjątkowe. – W jej głosie usłyszałam wyrzut. – To nie jest zwykła ziemia... – Umilkła ponownie.

– Dlaczego wyjątkowe? – Jej upór mnie zaintrygował. – Mama też tu się urodziła, a jednak wyjechała do Łodzi. A teraz podróżuje po całym świecie i...

– Martusia zawsze o tym marzyła. Ona tu nie pasowała. Była taka jak ojciec. Kamienisko nigdy nie stanowiło dla niej centrum wszechświata.



– Bo tu praktycznie nie ma nic ciekawego. – Musiałam to powiedzieć. – Żadnych zabytków, żadnych miejsc rozrywki. Do miasta daleko...

– Właśnie! A przecież czasem to, co istotne, nie musi być widoczne. Jeśli patrzy się duszą, to się widzi. Wy, młodzi, tylko do miasta byście uciekali, ojcowiznę zostawiali... Gdzie tradycja, przywiązanie do ziemi, obowiązek?

– Ależ babciu... – próbowałam zaprotestować, wyjaśnić, ale mnie nie słuchała.

Nadal wpatrywała się w majaczącą w oddali ścianę drzew, tak jakby dostrzegła tam coś niezwykłego. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem. Zachodzące promienie słońca otuliły czerwoną poświatą wierzchołki sosen. Miałam wrażenie, że las płonie, a języki ognia sięgają do samego nieba. To była wyjątkowa chwila.

– Czy nie nazwiesz tego magią? – Babcia wyczuła mój zachwyt. – Czy widziałas gdzieś równie cudowny zachód słońca?

– Faktycznie jest piękny – przyznałam.

– To las Stróża – wyjaśniła. – Nad jego lasem zawsze są takie piękne zachody.

– Stróża?

– Strózwowie to najstarsza rodzina w naszej wsi. Od niepamiętnych czasów las należał właśnie do nich. Dobrze byli ludziska, spokojne, życzliwe, jeno zawsze trochę na uboczu się trzymali. Jak pójdziesz na spacer tą drogą, to przed samym lasem, na zupełnym pustkowiu, stoi ich zagroda. Teraz to już właściwie dom Mateusza, bo tylko on jeden się ostał. We wojnę prawie całą rodzinę Niemce rozstrzelali. Niby za to, że pomagali partyzantom. Ale czy to wina Stróżów, że Niemce do lasu łazili, chociaż im ludziska mówili, coby nie leżli? Mogli słuchać. Ale oni takie już niedowiarki. Weszli i nie wyszli. No to uznano, że to robota partyzantów. A później winnych szukali, by ich przykładnie ukarać i na Stróżów padło. Wyciągnęli ich z domu, zawlekli pod las... Nawet małych dzieciątek nie oszczędzili. – Wzdrygnęła się, tak jakby była naczynym świadkiem tamtych okropieństw. – Jeno Mateusz ostał. Moja mama opowiadała, że szczęście miał w nieszczęściu, bo tego dnia akurat w domu go nie było. Gdzie łaził, lichy go tam wie. W każdym razie, gdy wrócił, to już sierotą był. Ludziska chcieli go przygarnąć, bo lat miał wtedy niewiele, chyba z jedenaście, ale się nie dał. Sam w domu pod lasem zamieszkał. Tu wszyscy życzliwi i pomocni, więc mu jedzenie zanosili, wspierać chcieli, ale on ich pomoc odrzucał. Stronił od innych. Pewnie ciągle miał wyrzuty sumienia, że jako jedyny ocalał, że tamtego dnia go tu nie było. Zresztą ludzie, jak to ludzie, widząc jego opór przed jakąkolwiek pomocą, gadać zaczęli, jakoby to on rodzinę Niemcom wydał, że niby tyle złości w nim siedziało. niesprawiedliwe to było, ale na ludzkie gadanie nic się nie poradzi. W końcu Mateusz stał się najbardziej zniechęconą osobą w okolicy, wszyscy omijali go z daleka.

Babcia umilkła i sięgnęła po kubeczek z herbatą. Upiła łyk, po czym, zanim odstawiła naczynko, przez dłuższą chwilę obracała je w dłoniach. Zrozumiałam, że zbiera myśli, aby opowiedzieć mi ciąg dalszy historii Mateusza.

– Kiedy ja go poznałam, to on już dorosłym mężczyzną był. Przystojny jak mało kto, tylko z taką zawziętością w oczach... Ale co mu się dziwić, jak go ludzie obgadywali, a dzieciaki i kamieniem potrafiły rzucić, kiedy szedł przez wieś. Nie reagował nigdy. Usta tylko zaciskał i kroku nie zwalniał. Tak jakby to nie do niego było. Żył cicho i spokojnie. Nie wadził nikomu, zawsze usuwał się w bok, gdy ludzi przypadkowo na drodze spotykał. Całe dnie w lesie spędzał, rodzinie w miejscu kaźni

kapliczkę własnoręcznie postawił. Ja dzieckiem wtedy byłam, a dzieciaki – wiadomo – jak co zakazane, to je do tego bardziej ciągnie. Matula mówiła, cobym omijała Mateusza z daleka, ale gdzieżbym tam jej słuchała. Wymykałam się z domu i biegłam na przełaj przez pola, pod las. Skradałam się w krzakach i podglądałam, jak Mateusz buduje kapliczkę. Jak krzyż stawia. Patrzyłam na niego i widziałam innego człowieka. Już nie był taki zawzięty, obcy. Uśmiechał się podczas tej pracy, przemasował do kamienia, do drzew. Lubiłam tam chodzić i obserwować. Myślałam, że Mateusz mnie nie widzi, ale on chyba od samego początku był świadomy, że ma towarzystwo, chociaż się z tym nie zdradzał. Kiedyś jednak, gdy dzień był wyjątkowo gorący, a ja siedziałam w tych krzakach dobre dwie godziny bez picia, wstał i wzięwszy do ręki dzban, podszedł w pobliże kępy, za którą się ukrywałam. „Zimna woda” – powiedział, stawiając naczynie na ziemi i wracając na swoje miejsce. Nie chciałam się ujawniać, ale pragnienie było tak silne... Wygramoliłam się z krzaków i wzięłam dzban. Nie patrzył w moją stronę. „Dziękuję” – powiedziałam, gdy wreszcie ugasiłam pragnienie. Niepewnie, krok za krokiem, podeszłam do niego bliżej. „Gdzie postawić dzbanek?”. „Gdziekolwiek – odpowiedział, wreszcie odwracając się w moim kierunku. – Byle nie na słońcu, bo się za szybko nagrzej. No, chyba że wypijaś wszystko”. „Nie” – zaprzeczyłam, stawiając dzbanek pod drzewem. „Ty jesteś córką Rocha? – zapytał, a gdy przytaknęłam, ciągnął dalej: – Od dawna tu przychodzisz, widziałem cię. Nie masz innych, ciekawszych zajęć?”. W milczeniu pokręciłam głową. „Cicha z ciebie dziewczynka, nie znałem żadnej takiej. Zazwyczaj dziewczyny są głośne. – Roześmiał się. – To jak masz na imię, milcząca panienko? Bo mnie zwą Mateusz”. „Tosia” – wydukałam z trudem. „Tosia, czyli Antonina. Ładnie. A ile masz lat? Ja mam dziewiętnaście”. Stał na wprost mnie, taki wysoki, przystojny. Jego czarne włosy miękko opadały na ramiona, lekko skręcając się na końcach. „Dziwięć”. Przykucnął przy mnie i teraz nasze oczy znalazły się na tej samej wysokości. Miał bardzo ładne brązowe tęczęwki. „Miło cię poznać, Tosiu”. Podał mi rękę, a ja z ociąganiem ją uścisnęłam. Jego dłoń była duża, silna i naznaczona ciężką pracą. Od tego dnia nawiązała się między nami szczególna przyjaźń. Już nie musiałam się ukrywać. Moi rodzice nie wiedzieli, gdzie spędzam całe dni, a ja stałam się jedyną towarzyszką Mateusza.

– Nie bałaś się, babciu? – Ta opowieść zaintrygowała mnie na dobre. Nigdy nie słyszałam o tym etapie jej życia. – On był od ciebie starszy i w ogóle...

– A czego miałam się bać? Mateusz okazał się bardzo miłym człowiekiem. Pokazał mi najlepsze polanki, gdzie rosły maliny, wskazał sekretne miejsca pełne grzybów. A ja w zamian uczyłam go pisać i czytać, bo nigdy nie skończył żadnej szkoły. To, co ludzie gadali, nie było prawdą. Lata mijały, a my nadal się przyjaźniliśmy. To była szczególna więź. Myślę nawet, że to mogło być coś więcej...

– Zakochałaś się w nim? – Aż mi dech zaparło z wrażenia. Ale gdzie w tym wszystkim miejsce dla dziadka Henia?

– Pewnie się zakochałam. – Babcia przymknęła oczy. – A może kochałam go przez cały czas. Dziś już trudno mi to sobie przypomnieć.

– To dlaczego nie wyszłaś za niego, tylko za dziadka Henia?

– Dobre pytanie. – Zadumała się na moment i wreszcie oderwała wzrok od lasu, za którym słońce zdążyło się już skryć.

Ponownie przytknęła kubek do warg. Piła małymi łykami, rozkoszując się aro-

matem i smakiem napoju.

– Bo ja kochałam go tak bardziej duszą – mówiła, nadal wolno obracając naczynie w pomarszczonych dłoniach. – Ale on pewnie myślał inaczej... Miałam wtedy siedemnaście lat i od roku spotykałam się z Heńkiem, przy aprobacie rodziców. Mateusz wiedział o tym i coraz rzadziej się uśmiechał. W jego oczach widoczny był smutek, ale ja, głupia, zupełnie tego nie rozumiałam. Teraz, na starość, wszystko widzę wyraźniej. Tamtego dnia czekał na mnie, gdy wracałam od koleżanki. Zapytał, czy może mnie odprowadzić kawałek. Zgodziłam się, więc szliśmy obok siebie w milczeniu. I wtedy przystanął. „Tosiu, nie jesteś już tą małą dziewczynką, która zakradała się pod las, aby popatrzeć, jak buduję kapliczkę”. „Każdy dorasta...” – jakaż ja byłam wtedy niefrasobliwa! „Jesteś śliczną dziewczyną. – Ujął moją dłoń, a ja poczułam, że serce zaczyna mi szybciej bić. – Czy myślałaś kiedyś, że mógłbym stać się dla ciebie kimś więcej niż tylko przyjacielem?”. „Ja...” – pragnęłam zapaść się pod ziemię. Patrzył mi prosto w oczy, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć. „Co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę? Nie jestem bogaty, ale mam las. Potrafię pracować i nigdy nie bałam się roboty. Wiem, że ludziska we wsi różnie o mnie gadają, ale przecież ty znasz prawdę, wiesz jaki jestem. Nie wierzysz w te kłamstwa. Jesteś jedyną osobą, która mnie rozumie i...”. „Spotykam się z Heńkiem”. Opuściłam głowę, nie miałam siły znieść jego spojrzenia. „Czy to znaczy, że...”. „Ja naprawdę cię lubię. Ja...”. „Tak, wiem, Tosiu. – Puścił moją dłoń. – Życzę ci dużo szczęścia. Henio to dobry człowiek, wykształcony. W mieście do szkoły chodzi. Nie to co ja”. „Mateuszu, to nie tak...”. „Bądź szczęśliwa” – powtórzył, odwracając się do mnie plecami i odchodząc piaszczystą drogą w stronę lasu. „Mateuszu!” – zawołałam, ale nie zareagował. Chciałam pobiec za nim, jednak nie uczyniłam tego. „Dlaczego?”, zapytasz. Sama nie wiem. Może się bałam. Tak, bałam się. Kim mogłam być przy nim? Antoniną Stróż, żyjącą na uboczu, z dala od wsi? Żoną osoby, która według ludzi doprowadziła do śmierci swojej rodziny? Znałam prawdę, ale cóż z tego? Nie potrafiłam zaryzykować. Nie miałam w sobie tyle odwagi. Nie chciałam takiego życia! Bałam się bycia inną.

Umilkła. Widziałam, jak nerwowo obraca kubek w dłoniach, skupiając na tej czynności całą swoją uwagę. Tak jakby to małe naczynko było w stanie zmienić przeszłość. Nigdy nie widziałam babci takiej zadumanej. Wspomnienie pierwszej miłości nadal musiało sprawiać jej ból. Czy żałowała, że dokonała właśnie takiego wyboru?

– Od tej pory Mateusz mnie unikał, a i ja nie narzucałam się mu ze swoim towarzystwem. Heniek skończył naukę w technikum i wrócił na wieś. Dostał pracę w gminie i odkupił kawał ziemi. To była dobra partia. Gdy poprosił o moją rękę, nie mogłam odmówić. Zresztą kochałam go. Może nie tak jak Mateusza, ale i tak była to miłość silna i prawdziwa, która przetrwała do końca jego życia.

– A co z Mateuszem? – Czułam, że policzki płoną mi z podniecenia. – Co się z nim stało?

– A co się miało stać? Żyje, tak jak żył. Samotny, milczący, z dala od ludzi. Od tamtego dnia nigdy już z nim nie rozmawiałam. Właściwie nawet nie widywałam go. Kilka razy wybrałam się w stronę lasu Stróża, ale nie napotkałam go na drodze. Podejrzywałam, że mnie unikał. No i ja też w końcu dałam sobie z tym spokój. Miałam Heńka, a później na świat przyszła Martusia.

– Naprawdę nigdy więcej go nie widziałaś? Przecież musiał chodzić do wsi po zakupy. – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Nigdy – powtórzyła z mocą. – On zawsze stronił od ludzi, a wtedy odciął się całkowicie. Nawet ludziska gadały, co wyniósł się stąd, ale ktoś widział go gdzieś tam przy robocie, co znaczyło, że nadal tu mieszka.

– Musiał cię bardzo kochać – szepnęłam.

– Kto go tam wie, co on musiał. – Potarła dłonią czoło, jakby starała się przypomnieć sobie coś ważnego. – Kto go tam wie.

– A gdy dziadek umarł, nie myślałaś, aby spróbować jeszcze raz? Mogłaś iść do niego, wszystko mu wytłumaczyć. Od wojny minęło tyle lat... Nawet jeśli krążyły plotki, to przecież pewnie przycichły. Jeśli także go kochałaś...

– Juleczko, skarbie... O czym ty mówisz? – Odstawiła kubek na stolik. – Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Zraniłam go, a ta rana nigdy się nie zagoi. Ale popatrz no, moja droga, któż to do nas idzie?

Furtka ogrodzenia otworzyła się i na podwórko weszła korpulentna starsza kobieta w pasiastej kolorowej chuście zarzuconej na ramiona.

– Witajcie! – zawołała przybyła, głaszcząc jednocześnie Burkasa, który momentalnie przypadł do niej, wesoło merdając długim ogonem. Widać była tu częstym gościem, gdyż pies okazywał jej swoją sympatię.

Poszłam do kuchni po jeszcze jeden kubek dla naszego niespodziewanego gościa, który już się sadowił na ławeczce na wprost babci.

– Jaka z tej twojej wnuczki już duża panna. – Z werandy doszedł mnie głos kobiety. – I taka urodziwa. Wykapana Martusia.

### III. KAMIENÍ

Następnego dnia po obiedzie, gdy babcia poszła do swojego pokoju na wzmocniającą drzemkę, postanowiłam udać się na spacer do lasu Stróža i zobaczyć, chociażby z oddali, gospodarstwo pierwszej miłości mojej babci.

Droga była daleka – rodzina Stróžów faktycznie musiała bardzo stronić od ludzi. Chociaż od czasów wojny wieś znacznie się rozrosła, to jednak nadal ich obejście znajdowało się w zupełnym odosobnieniu. Wreszcie, gdy po półgodzinnym marszu doszłam do skraju lasu, zauważyłam stojący na uboczu, chylący się ku ziemi parterowy dom. Chociaż bardziej przypominał zwykłą chałupę, która nawet za czasów swojej świetności nie miała prawa pretendować do miana porządnej siedziby. Niewysoki drewniany płot otaczał chałupkę i dwie dzikie jabłunki.

Podchodząc bliżej, dostrzegłam postać w kapeluszu, opartą o płot i najwyraźniej patrzącą w moją stronę. Czyżby to był ten słynny Mateusz, który chowa się przed ludźmi? Ten, o którym krążą złe legendy? Ten, którego moja babcia tak bardzo zraniła? I co mam teraz zrobić? Udać, że go nie zauważyłam, i minąć jak gdyby nigdy nic? Przywitać się? Ale przecież go nie znam.

Na szczęście on sam przerwał moje rozterki. Wyprostował się i zdjął z głowy słomkowy kapelusz. Jego siwe włosy natychmiast rozwiał wiatr, przysłaniając na chwilę twarz, jednak mężczyzna szybko odgarnął niesforne kosmyki i uważnie na mnie popatrzył.

– Dzień dobry panience!

– Dzień dobry – odpowiedziałam grzecznie, zwalniając kroku i podchodząc do ogrodzenia, przy którym stał.

– Widziałem z daleka, jak idziesz i zastanawiałem się, czy zajdziesz tutaj. Ludzie zazwyczaj omijają to miejsce szerokim łukiem. Musisz być nietutejsza. Tak, nigdy cię tu nie widziałem. – Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Przyjechałam do babci – odpowiedziałam. – Babcia dużo opowiadała mi o tym lesie, więc chciałam się przejść i...

– A nie opowiadała ci o dziwaku mieszkającym pod lasem? – Wykrzywił się. – Tu ludziska różne głupoty lubią gadać.

– Moja babcia nie gada głupot – zapewniłam.

– Ciekawe, ciekawe... – zamruczał pod nosem. – To babcia musi być niezwykłą osobą.

– Jest niezwykła – przyznałam. – Może pan ją zna. Antonina Jabłonakowa.

Wydało mi się, że mężczyzna znieruchomiał. Uśmiech zamarł na jego ustach.

– Antonina, córka Rocha – wyszeptał.

– Tak, to ona – potwierdziłam.

– I co tam u Tosi słychać? Jak jej zdrowie? – Siwowłosy mężczyzna zmrużył oczy, patrząc na mnie z uwagą. Wydało mi się, że bacznie mnie obserwuje, jakby miał podjąć jakąś ważną decyzję.

– Już lepiej, dziękuję. – Czuałam się trochę nieswojo, pewnie dlatego, że wokół nie było żywej duszy oprócz mnie i Mateusza Stróža, o którym krążyły różne tajem-

nicze opowieści.

– Lepiej? Czyżby chorowała? – Nutka niepokoju zadrgała w jego głosie.

– Serce ma chore, nie może się przemęczać – wyjaśniłam, zastanawiając się, czy miałam prawo mu o tym mówić. – Dlatego przyjechałam i jej pomagam.

– Tosia serce ma chore... – powtórzył cicho. – Mała Tosia.

Taktownie milczałam, czekając, aż otrząśnie się ze wspomnień.

– To babcia o lesie ci historie opowiadała? – zapytał wreszcie, po długiej ciszy, która wydawała się prawie wiecznością.

– Tak.

– I co takiego mówiła?

– A takie tam... – zawstydziłam się. Głupio byłoby opowiadać Mateuszowi o tym, co usłyszałam. On jednak sam wybawił mnie z kłopotu.

– No to pewnie i o głazie ci mówiła.

– O głazie?

– Tym stojącym w lesie. – Wskazał ręką w stronę niedalekiej gęstwiny. – Tym, którego ludziska tak bardzo się boją. Którego przeklętym zwą.

– Boją się? – zainteresowałam się.

Dlaczego babcia pominęła w swoich opowieściach ten jakże intrygujący szczegół? Może po prostu nie doszła jeszcze do tej części opowieści. Cóż, w końcu mieszkam u niej dopiero od niedawna.

– Są na nim wyryte jakieś znaki. Niektórzy uważają, że to dzieło diabelskich rąk. Ci, którzy chcieli go zobaczyć, już ponoć nigdy nie wyszli z lasu. Ale nie wierz w to tak bezgranicznie – starał się mnie uspokoić, widocznie dostrzegając moje przeżalenie. – Ja tam często bywam i jak widzisz, mam się całkiem dobrze. Zresztą co tam ja. Twoja babcia w młodości także widziała ten obelisk.

Natychmiast pomyślałam, że to Mateusz musiał tam ją zabrać. Pewnie odsłonił przed nią wszystkie swoje tajemnice, była jedyną osobą, której ufał. A ona... Nawet zrobiło mi się za nią trochę wstyd, chociaż sama zastanawiałam się nad tym, jak ja bym zareagowała, gdybym znalazła się w podobnej sytuacji. Czy odważyłabym się na związek z mężczyzną, którego uważano za zdrajcę winnego śmierci całej swojej rodziny?

– Nie słyszałaś o tym kamieniu – stwierdził, trafnie rozumiejąc moje milczenie. – Tosia nic ci o nim nie mówiła. Jesteś zbyt zaskoczona i nie potrafisz tego ukryć.

– Ma pan rację.

– Może to i dobrze, że ci nie mówiła. – Podrapał się po głowie i z powrotem włożył na nią kapelusz. Szerokie rondo rzucało teraz cień, skutecznie zasłaniający jego oczy. Byłam jednak pewna, że nadal uważnie mi się przygląda.

– To może pan mi opowie? – Sama nie wiem, skąd miałam w sobie tyle śmiałości.

– Ja? A to niby z jakiej racji? – Coś nieprzyjemnego pojawiło się w jego głosie. – Co to ja dla panienki jaka rodzina? A może to panienka nie wie, z kim teraz rozmawia? Może i o Stróżu nic babcia panience nie wspomniała?

Czy mogłam go okłamać i zaprzeczyć? Nie, nie mogłam.

– Wiem, kim pan jest. Babcia mówiła, że był pan dla niej kimś bardzo ważnym.

– Ważnym? Chyba nie aż tak bardzo. – Odwrócił się do mnie plecami i ruszył wolno w stronę chałupy.

– To nie opowie mi pan o tym kamieniu? – zawołałam za nim.

– Zapytaj Antoninę. – Nawet się nie obejrzał. Po chwili wszedł do domu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Postałam jeszcze chwilę, gapiąc się za nim, ale wreszcie wybudziłam się z zamyślenia. Spojrzałam na ciemną linię drzew, które zdawały się mnie przyzywać. Tajemniczy głaz nęcił niczym zakazany owoc, który im bardziej niedostępny, tym większą budzi pokusę. Miałam ogromną ochotę zagłębić się w las i odszukać ów niezwykły kamień, o którym krążyły legendy. Jakie? Gdybym tylko miała czas, na pewno od razu zajęłabym się rozwiązywaniem tej tajemnicy.

Zerknęłam na zegarek. „No właśnie, czasu mi brak. Za dwadzieścia minut powinnam podać babci lekarstwo. To nic, wrócę do domu i podpytam ją o to, o czym opowiadał Mateusz, a do lasu wybiorę się jutro” – postanowiłam.

Do kolacji nawet nie wspomniałam o spotkaniu ze Stróżem. Zostawiłam tę wiadomość na później, gdy, jak każdego wieczoru, usiądziemy razem na werandzie, aby napić się herbaty.

Tym razem przysunęłam ławeczkę bliżej jej fotela. Spojrzałam tam, gdzie patrzyła staruszka. Las Stróża znowu spowity był czerwoną poświatą zachodzącego słońca.

– Babciu... – Wreszcie po dłuższej chwili milczenia i kontemplowania cudnego zjawiska, odważyłam się zabrać głos. – Mogłabyś mi opowiedzieć o kamieniu?

– O czym?

– O tym głazie, co znajduje się w lesie Stróża.

– A ty skąd o tym wiesz? – Do tej pory siedziała przygarbiona, ale teraz gwałtownie się wyprostowała i zwróciła w moją stronę. Na jej wychudzonej twarzy widoczne było napięcie. – Kto ci mówił o głazie? Ktoś ze wsi?

– Nie. Mateusz...

– Mateusz? – Głęboko zaczerpnęła powietrza. – Mateusz? Gdzie?

– Poszłam dziś w stronę lasu Stróża i spotkałam go przy obejściu.

– Nie schował się na twój widok? – Babcia złapała mnie za dłoń i mocno ścisnęła.

– Nie. Stał przy płocie i czekał, aż podejde. Przywitał się ze mną.

– Niebywałe. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Mateusz z tobą rozmawiał. Wiedział, kim jesteś?

– Powiedziałam mu.

– I co?

Przestraszyłam się, że zanadto się denerwuje, więc szybko i nieskładnie zaczęłam opowiadać o niezwykłym spotkaniu.

– O Boże, Boże. I jak zareagował?

– No zapytał o twoje zdrowie, a potem czy opowiadałaś mi coś o tym kamieniu.

– Tyle lat... Boże, tyle lat... Unikał mnie, chował się, gdy przechodziłam w pobliżu, a do ciebie wyszedł. Pytał o mnie... Jak on wygląda? – Może udawała, że nie usłyszała wzmianki o kamieniu, co jeszcze bardziej mnie zaintrygowało.

– Normalnie. Wysoki jest, szczupły. Ma siwe włosy... Ale o co mu chodziło,

jak mówił, abym zapytała ciebie o kamień?

– Kamień... – Puściła moją dłoń i wstała z fotela. – Wiesz co, Julciu, nie mam dziś ochoty siedzieć na werandzie. Chyba się wcześniej położę. Zmęczona jestem. Porozmawiamy jutro.

Zostałam sama. Zrozumiałam, że najwyraźniej bała się opowiedzieć mi historię głazu. Tylko dlaczego? Jaką tajemnicę skrywał? Co było w nim takiego niezwykłego? Kamień jak kamień. O co w tym wszystkim chodzi?

\*\*\*

Następnego dnia przy śniadaniu babcia była milcząca i jakby nieobecna duchem. Rozlała herbatę i upuściła łyżeczkę. Obserwowałam ją przez cały czas, ale nie odezwałam się ani słowem. Dopiero gdy wstała od stołu, zatrzymałam ją.

– To o co chodzi z tym kamieniem?

– A, to. – Machnęła ręką, jakbym zapytała o coś naprawdę mało istotnego. Wiedziałam jednak, że to tylko pozory, próba uśpienia mojej czujności.

– Opowiesz mi?

– Ale nie ma o czym. Od tego kamienia wzięła się nazwa naszej miejscowości. Kiedyś chyba był tu dla ludzi ważny, szanowali go. Może jakiemu dawnemu bogowi był poświęcony... Ja tam nie wiem i jak było, już nikt nie dowiedzie. To bardzo odległe dzieje. Tu w okolicy diabelskim go zwą, bo opowieści krążyły, że ci, co go widzieli, zniknęli.

– Ty, babciu, go widziałaś, prawda?

– Mateusz ci powiedział? Tak, widziałam. Zabrał mnie do niego i pokazał. I jak możesz sama stwierdzić, nie zniknęłam. To wszystko bajdurzenie tylko. Zwykły kamień, nie ma o czym mówić.

Te słowa jakoś mnie nie przekonały. Babcia za bardzo starała się wmówić mi, że kamień znajdujący się w lesie jest całkiem zwyczajny. Coś było z nim nie tak, a ja postanowiłam się tego dowiedzieć.

– Obiecuj mi, Julciu, że nie pójdziesz oglądać tego kamienia. Naprawdę nie ma na co patrzeć. To tylko zwykły kamień – powtórzyła z uporem, a ja nabrałam pewności, że wcale taki zwykły nie jest.

– Ale jeśli to tylko kamień, to przecież nic mi nie będzie, jak go zobaczę.

– Nie! – Uniosła głos, ale momentalnie uzmysłowiła sobie, że zachowuje się zbyt impulsywnie. – Ten las nie jest zbyt bezpieczny, dużo dzikiego zwierza tam chodzi. Dzikiego można spotkać, wilki. Lepiej nie chodź. Tyle jest innych miejsc, które możesz zobaczyć. A widziałaś już ruiny młyna wodnego? Mówię ci, piękne.

To była ewidentna próba zmiany tematu. Kamień nęcił coraz bardziej, a im dłużej babcia starała się przekonać mnie, że nie mam po co chodzić do lasu, nabierałam pewności, że właśnie to muszę zrobić.

Niestety, babcia, widocznie niezbyt mi ufając i obawiając się, że zmylę jej czujność, zaczęła wymyślać różne dodatkowe zajęcia, które dokładnie burzyły mój dotychczasowy, tak skrupulatnie ułożony harmonogram. Dodatkowo starała się nie spuszczać mnie z oka, towarzysząc mi przy wykonywaniu wszystkich prac domowych, i jedynymi momentami, kiedy zostawałam sama, były więc tylko noce oraz krótkie wyprawy po zakupy do wsi. Ale nawet wtedy czekała na mnie przy furtce, pilnując, abym przypadkiem nie skręciła na drogę wiodącą do lasu.



#### IV. LAS STRÓŻA

Minął kolejny tydzień. Siedem dni, podczas których ja kombinowałam, jak zmylić czujność babci, a ona starała się mnie pilnować. Ta nasza wspólna zabawa w kotka i myszkę była trochę męcząca i naprawdę miałam jej dość. Przecież to niemożliwe, aby powstrzymała mnie przed czymś tak błahym i mało znaczącym, jak zwykły spacer do lasu. Nie jestem już dzieckiem!

Szczęście uśmiechnęło się do mnie w kolejną środę. Rano, po śniadaniu, zabrałam się za sprzątanie sypialni, pełnej bibelotów. Oczywiście babcia przez cały ten czas wiernie mi towarzyszyła, opowiadając o czasach, gdy moja mama była mała i czym lubiła się bawić. Wystarczyło, że wzięłam do ręki kolejną porcelanową figurkę, aby ją odkurzyć, a ona już miała historię z tym związaną. Dzięki temu dowiedziałam się, że moja mama uwielbiała ustawiać figurki baletnic. Bawiła się nimi niczym lalkami, a ręcznie malowanemu fajansowemu kotkowi obtłukła kiedyś kawałek ogona.

Na szczęście po kilkugodzinnych opowieściach babcia poczuła się wyraźnie zmęczona i gdy zjadła obiad, postanowiła nieco się zdrzemnąć. Wzięłam książkę, zapewniając ją, że ja w tym czasie grzecznie sobie poczytam. Oczywiście wcale nie miałam takiego zamiaru.

Gdy po kilkunastu minutach oczekiwania usłyszałam wreszcie pochrapywanie, od razu poszłam na piętro, do swojego pokoju, po przygotowany wcześniej podręczny plecaczek, z którym nigdy się nie rozstawałam, i tak naszykowana, bez chwili zwłoki, ruszyłam w stronę lasu. Wiedziałam, że robię źle, ale byłam zdecydowana zobaczyć kamień, który tak usilnie próbowała ukryć przede mną babcia. Droga tym razem wcale mi się nie dłużyła i wkrótce doszłam do gospodarstwa Stróża.

Rozglądałam się dookoła, ale nigdzie nie widziałam Mateusza. Może siedział w domu albo udał się na wycieczkę po okolicy. Żałowałam, że go nie ma, ponieważ miałam jeszcze kilka pytań. Nie mogłam jednak dłużej na niego czekać, bo sen babci nie będzie przecież trwać w nieskończoność. Przypuszczałam, że obudzi się, zanim zdążę wrócić, jednak wołałam, aby nie musiała się denerwować moją zbyt długą nieobecnością. Jakoś wszystko jej wytłumaczę i na pewno mnie zrozumie. Przecież to tylko kamień...

Doszłam do lasu i zatrzymałam się przy pierwszej linii drzew. Chociaż dzień był ciepły, czułam chłód ciągnący z wnętrza boru.

– Ooo, a kogoż my tu mamy? – Usłyszałam za sobą znajomy głos.

Odwróciłam się wolno. Tuż za mną stał Mateusz Stróż, ubrany w szare spodnie z szelkami i białą, zapiętą pod samą szyję koszulę. Opierał się o sękaty kostur, który widocznie służył mu jako podpórka podczas wędrówek, a na głowie, tak jak poprzednio, miał słomkowy kapelusz.

– Dzień dobry – przywitałam się grzecznie.

– Już myślałam, że panienka nie przyjdzie więcej.

– A dlaczego miałabym nie przyjść?

– A bo ja to wiem? Może babcia coś panience powiedziała. – Położył nacisk na słowo „powiedziała”. – Może się panienka przestraszyła?

– Niby czego miałabym się przestraszyć? Lasu? Kamienia? Nie należę do osób

lękliwych.

– Cieszy mnie to bardzo. Czego więc dowiedziała się panienka o kamieniu?

– Że od niego wzięła się nazwa miejscowości.

– To faktycznie dużo! – Roześmiał się. – No ale to prawda, Kamienisko wzięło swoją nazwę od tego obelisku. Moi przodkowie ją nadali. My tu pierwsi byli. To nasza ziemia. Nasza... – powtórzył.

– Tak, wiem, las należy do pana...

– Ziemia, a na niej las i kamień – poprawił. – Stróże zawsze mieli pieczę nad kamieniem. To nasze zadanie z dziada pradziada. Nasz obowiązek. Ja ostatni zostałem.

– Dlaczego kamienia trzeba pilnować?

– Mówiłem, że to nie jest taki zwykły kamień. Mówiłem, a panienka nie słuchała. To miejsce szczególne, jedyne takie... Ono sprawia, że nic już nie jest takie, jak się nam wydaje.

– I pan w to wierzy?

Zaczęłam podejrzewać, że Mateusz znikował na stare lata. A może był szaleńcem od zawsze? To, co mówił, było dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Kamień to kamień. No, chyba że faktycznie było w nim coś niezwykłego. Właśnie dlatego musiałam go zobaczyć, aby osobiście się przekonać.

– A czemu mam nie wierzyć? – Teraz to on wyglądał na zaskoczonego moją ignorancją. – Sam widziałem, więc znam moc tego głazu. Tosia też... – To dlatego nic ci o nim powiedzieć nie chciała. Bała się, że i ty możesz to zobaczyć.

– Co? – Tętno mi przyspieszyło.

Babcia ewidentnie skrywała jakąś tajemnicę. Jej lęk przed moją ewentualną wyprawą do lasu Stróża w poszukiwaniu kamienia stawał się coraz bardziej zrozumiały. Nie chciała, abym poszła oglądać głaz, gdyż sama musiała coś zobaczyć. I to coś bardzo ją przestraszyło. Może tak bardzo, że właśnie przez to zerwała kontakty z Mateuszem. Może jej wcześniejsza opowieść wcale nie była do końca prawdziwa?

– Chcesz to zobaczyć? – zapytał. – Masz w sobie tyle odwagi?

– Nie wierzę, że ten głaz jest niezwykły – powiedziałam twardo, przecząc jednocześnie swoim własnym myślom. – Ale bardzo chętnie go zobaczę.

– Jak zobaczysz, to zrozumiesz.

Chyba się uśmiechnął, ale pewności nie miałam, bo rondo kapelusza przesłaniało mu twarz.

– To gdzie on jest? – Rozejrzałam się dookoła, szukając dróżki wiodącej w las. Uniósł kostur i wskazał nim pomiędzy drzewa.

– Tam jest wydeptany przeze mnie przesmyk, który wiedzie wprost na polankę. Ludzie po tym lesie nie chodzą, ale to i dobrze. Nikt spokoju kamienia nie zakłóca. Pokażę panience, gdzie ta dróżka. No, chyba że jednak panienka złąka się i zdanie zmieniła?

– A to niby czemu? Ja tak łatwo zdania nie zmieniam. Jak coś postanowię, to realizuję. Nadal mam ochotę, i to ogromną, aby ów tajemniczy kamień obejrzeć – zapewniłam z przekonaniem.

– I bardzo dobrze. – Znowu wsparł się na kosturze i pokuśtykał wzdłuż linii drzew. – Pójdzie panienka za mną. Tędy.

Szłam za nim, patrząc na jego plecy. Z tego, co mówiła babcia, wywnioskowa-

łam, że musi być od niej o dziesięć lat starszy. Jednak oprócz przygarbionej sylwetki i wyraźnej trudności przy poruszaniu się wyglądał nad wyraz dobrze jak na swój wiek. Już wcześniej zauważyłam, że jego skóra nie jest pomarszczona, a i oczy zachowały młodzieńczy blask.

– Jesteśmy na miejscu, dalej z tobą nie idę. – Mateusz zatrzymał się przy ledwie widocznym przesmyku między drzewami, obok niewysokiej kamiennej kapliczki.

Przypomniałam sobie słowa babci. Tu musiała odbyć się egzekucja Stróżów. Tu Mateusz zbudował kapliczkę ku czci ich pamięci.

– Dziękuję...

– Nie dziękuj – przerwał mi. – I uważaj na siebie. Cokolwiek się zdarzy... Ty jej wnuczką jesteś, więc...

Nie dowiedziałam się jednak, co znaczy to „więc”, bo Mateusz odwrócił się i odszedł szybko tam, skąd dopiero przyszedliśmy, pozostawiając mnie samą. Zdziwiłam się trochę, a jego ostatnie słowa obudziły we mnie lęk. Mam na siebie uważać? Cokolwiek się zdarzy? I co ma do tego fakt, że jestem wnuczką mojej babci?

Zanim zagłębiłam się w lesie, przyjrzałam się dokładniej kapliczce. Zbudowana z kamieni, tworzących sporych rozmiarów kopczyk z wgłębieniem przypominającym grotę i drewnianym krzyżem zatkniętym na szczycie. To jej budowę musiała podglądać zza krzaków babcia, gdy była dziewczynką. Rozejrzałam się dookoła, starając się umiejscowić ewentualną kryjówkę małej Tosi.

Podeszłam bliżej kapliczki. Mój wzrok spoczął na kamieniu złożonym wewnątrz groty. Duży głaz, porośnięty od dołu mchem z wyrzeźbionymi na wierzchu literami. Pismo było koślawe, niewyraźne, jakby wykonane niewprawioną w piśmie ręką. Teraz przypomniałam sobie, jak babcia mówiła, że Mateusz nie potrafił czytać ani pisać i że to ona uczyła go liter.

– Chociażbym przechodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną\* – odczytałam nieporadnie wykonany napis.

Poprawiłam na ramieniu plecaczek, z którym się nigdy nie rozstawałam, a który skrywał w swym wnętrzu same najpotrzebniejsze rzeczy: latarkę (to na wypadek ciemności), pomadkę, cienie do powiek, konturówkę, tusz do rzęs i lusterko (gdyby trzeba było odświeżyć makijaż), telefon komórkowy z aparatem fotograficznym (zawsze dobrze jest pozostawać w kontakcie i mieć możliwość uwiecznienia ważnych chwil), mp3 (muzyka jest dobra na wszystko, a szczególnie moja ulubiona, klasyczna), jo-jo (aby pobawić się, gdy potrzeba), zapalki (prawdziwy podróżnik zawsze ma je przy sobie). Spojrzałam na ręczny zegarek. Dochodziła godzina piętnasta. „Jak długo babcia może spać? Była bardzo zmęczona, ale jeśli obudzi się, zanim zdążę wrócić, będzie się denerwować. Lepiej jak się pospieszę” – stwierdziłam i bez dłuższego zastanawiania się weszłam w leśną gęstwinę.

Promienie słońca z trudem przeciskały się przez gęstą koronę drzew, zaczęłam więc odczuwać chłód. Moja krótka, powiewna sukienka, idealna na gorące popołudnie, raczej nie nadawała się na wycieczkę do lasu. Zaczęłam żałować, że nie założyłam dzinsów, tym bardziej że krzaki drapały mi nogi. Całe szczęście, że zamiast modnych japoniek na stopach miałam lniane balerinki.

Dróżka wiodła w głąb lasu. Ciszę przerywały trele ptaków. Jednak im dalej się posuwałam, tym bardziej mrok gęstniał, drzewa były coraz wyższe, niższe krzaki

rozkładały gałęzie, niemal zasłaniając dróżkę, a ptasie śpiewy cichły. Nagle szlak się skończył i wydostałam się na odsłoniętą polanę. Słoneczne światło oślepiło moje przywykłe już do ciemności oczy. Przymknęłam powieki. Chwilę trwało, zanim znowu mogłam normalnie patrzeć.

Dostrzegłam podłużny, wysmukły głaz, przywodzący na myśl obelisk z Place de la Concorde w Paryżu. Miał podobny kształt, tylko był dużo mniejszy. Mógł mieć około dwóch metrów wysokości, gdyż przewyższał mnie mniej więcej o głowę. Ku górze zwężał się, nabierając kształtu stożka. Jego wierzchołek zdawał się celować wprost w środek błękitnych przestworzy, widocznych nad polanką.

Stałam w pewnym oddaleniu od kamienia, gdyż dróżka kończyła się na linii drzew. Polankę porastały nad wyraz wybujałe paprocie. Widocznie od dawna nikt nie podchodził bezpośrednio do obelisku. Przez chwilę się wahałam, ale uznałam, że skoro zaszłam już tak daleko, to te kilka kroków więcej nie zrobi różnicy. Stąpając ostrożnie pomiędzy ogromnymi paprociami, przedarłam się w pobliże głazu. Teraz widziałam go lepiej. Tajemnicze napisy nie przypominały mi niczego, z czym do tej pory się spotkałam. Patrzyłam na rzędy starannie wyżłobionych znaków, zastanawiając się, co mogą oznaczać. Wśród płataniny przeróżnych symboli dopatrzyłam się czegoś, co wyglądało jak słońce.

Z trudem torując sobie drogę pomiędzy paprociami, okrążyłam obelisk. Cztery boki, na rogach lekko zaokrąglone, w całości pokryte tymi dziwnymi wyżłobionymi znakami. Oczywiście musiały je wykonać ludzkie ręce... Nie wierzyłam w to, że zrobił je diabeł! Wyjęłam z plecaczka aparat telefoniczny, aby uwiecznić te niezwykle hieroglify na zdjęciach. W tym momencie uzmysłowiłam sobie, że wokół panowała przytłaczająca cisza. Nie było już słycać świergotu ptaków, który towarzyszył mi przez całą drogę. Poczułam lęk.

Nagle ciszę przerwało chrapliwe krakanie kruka. Zabrzmiało jak alarm, echem roznoszący się po zamartym lesie. Aparat wypadł mi z rąk i zginął w paprociach. Schyliłam się pospiesznie, aby go podnieść. Z konarów drzew zerwały się, przestraszone krzykiem kruka, ukryte tam ptaki i wzbily się wysoko. Spotęgowany echem odgłos trzepotu ich skrzydeł brzmiał przeraźliwie, jakby zwiastował nadciągające nieszczęście.

Wymacałam dłonią aparat i podniósłszy go z ziemi, schowałam do plecaka, zamierzając jak najprędzej stąd odejść. To miejsce dziwnie na mnie działało. Miałam wrażenie, że jestem obserwowana, a ze wszystkich zaciemnionych miejsc wypełzają długie, ciemne języki dymu, wijąc się w moją stronę niczym stado węży. Niesamowita atmosfera, prawie jak z horroru, zaczęła udzielać mi się na dobre. Zrozumiałam, dlaczego babcia nie chciała, abym tu przychodziła. Jak mogłam być tak głupia i lekkomyślna? Poczułam, że zaczyna brakować mi tchu. Zachwiałam się i aby nie upaść, wyciągnęłam rękę, opierając ją o zimny głaz.

Nagle świat zawirował i zapadł się w czarną dziurę. Miałam wrażenie, że lecę gdzieś w dół, że jakiś nieznany wir wciąga mnie w głąb czegoś. Czego? Nie miałam pojęcia. Chyba straciłam przytomność.

\* Fragment Psalmu 23

## V. PRZEBUDZENIE

Gdy się ocknęłam, nadal leżałam przy dziwnym obelisku, ale zamiast słonecznego nieba miałam nad sobą ciężkie burzowe chmury. Zasłabłam? Czyżbym była nieprzytomna aż tak długo? „Muszę szybko wracać do domu, bo babcia na pewno już się niepokoi. Która właściwie jest godzina?” – pomyślałam i spojrzałam na zegarek. Dwie po trzeciej? Niemożliwe! Przyjrzałam się dokładniej wskazówkom. No tak! Stały nieruchomo w jednym miejscu, nie mając zamiaru nawet drgnąć. Potrząsnęłam kilka razy ręką, na której miałam założony zegarek, ale nawet to nie obudziło czasomierza.

Z trudem odnalazłam dróżkę, która wydała mi się jeszcze bardziej zarośnięta i niedostępna niż wcześniej. Przedzierając się przez chaszczę i złorzecząc ile wlezie na ostre kolce jeżyn, starałam się wytłumaczyć sobie racjonalnie to, co się stało, jednak jakoś nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Ufff... Wreszcie wydostałam się na drogę i... Kurczę, musiałam pójść w złą stronę! Gdzie kapliczka? Gdzie asfaltowa szosa? Przed sobą miałam piaszczysty, porwany bruzdami trakt. I co teraz? Zawracać i szukać właściwej ścieżki? Nie! Tylko nie to! Niebo było już zupełnie zasłane chmurami i dookoła panowały nieprzyjemne ciemności. Za nic w świecie nie wejść kolejny raz do tego lasu.

Babcia... No tak, muszę ją zawiadomić, aby się nie martwiła. Wygrzebałam z plecaka telefon komórkowy i z nadzieją spojrzałam na wyświetlacz. Masz ci los! No tak, tego można było się spodziewać. Zawsze w filmach tak się dzieje. Gdy bohaterka znajduje się na jakimś pustkowiu, to na bank telefon nie będzie miał zasięgu. Mój właśnie nie miał.

Spróbowałam odnaleźć takie położenie, gdzie ewentualnie antenka mogłaby wyłapać bodaj najsłabszy sygnał, ale na nic się to zdało. Zanim wrzuciłam aparat z powrotem do plecaka, sprawdziłam jeszcze godzinę na wyświetlaczu. Dwie po piętnastej. O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego wszystkie dostępne mi zegary zatrzymały się na tej godzinie?

Jak to dobrze, że wzięłam ze sobą latarkę! Z ulgą nacisnęłam przełącznik i oświetliłam ciemności snopem światła. Od razu poczułam się raźniej.

Chyba nigdy wcześniej tu nie byłam. Tak, na pewno nie szłam tędy. Piaszczysta droga wyglądała na bardzo zaniedbaną, a liczne koleiny świadczyły o tym, że nikt o nią nie dbał. Czarne balerinki szybko pokryły się kurzem, który dodatkowo osiadł i na moich odsłoniętych nogach. Pomyślałam, że babcia się załamie, kiedy zobaczy mnie w tym stanie. Podrapana, z krwawymi śladami na łydkach, zakurzona, z igliwem we włosach. Jeszcze pomyśli, że ktoś mnie napadł.

Zaczęłam obmyślać jakąś sensowną historyjkę, którą mogłabym ją uraczyć, i tak mnie to pochłonęło, że prawie przeoczyłam mijane gospodarstwo. Na swoje usprawiedliwienie mogę dodać tylko, iż było ciemno, a w żadnym oknie domu nie paliło się światło, więc trudno było go dojrzeć, tym bardziej że nie znajdował się bezpośrednio przy samej drodze, tylko bardziej na uboczu, tak jak chałupa Stróża. Jednak to nie był dom Mateusza.

Pobiegłam na przełaj przez pole, marząc, aby gospodarze byli w domu i wyrazili chęć podwiezienia mnie do babci. Jednak im bardziej zbliżałam się do zabudowań, tym moja radość słabła. To musiała być jakaś rudera, dawno opuszczona przez ludzi. Krzywy płot, drewniane ściany, dach kryty słomą... Zwolniłam kroku i podeszłam do furtki. Chałupa Stróża wydała mi się przy tym budynku prawdziwą willą.

– Na świętości Burii! – Usłyszałam piskliwy kobiecy głos, a gdy skierowałam w jego stronę światło latarki, wrzask wzmógł się i jakaś postać okutana w dziwne długie szaty wbiegła do chaty.

– Czy może mi pani wskazać drogę do...? – zaczęłam, ale w tym momencie na progu pojawił się wysoki, postawny mężczyzna, ubrany w sięgającą do kolan koszulę i śmieszne workowate spodnie.

Osobnik trzymał ogromne widły, które skierował prosto w moją stronę.

– Poszło stąd, nieczyste szczenię, co zło sprowadza na uczciwych ludzi! – fuknął na mnie groźnie. – Zgiń, przepadnij, siło nieczysta!

– Przepraszam pana. – Z wrażenia zaschło mi w gardle.

A jeśli to jakaś sekta? Może to przed nimi chciała mnie uchronić babcia?

– Niech święty wiatr odeśle cię tam, gdzie twoje miejsce albo niech moje widły przebiją twoje przezarte złem serce – zaintonował śpiewnie, wymachując groźnym narzędziem.

– Już idę, już idę! – Wolałam nie czekać, aż zbliży się do mnie, tylko ile sił w nogach pobiegłam z powrotem na piaszczysty trakt.

Nie oglądałam się za siebie, miałam jednak pewność, że dziwny facet mnie nie goni. Jakoś podświadomie wyczuwałam, że on także się bał. Ale czego? Wprawdzie nigdy nie uważałam się za piękność, ale z pewnością mój wygląd nie mógł nikogo przerazić. Jestem szczupłą szatynką średniego wzrostu, obdarzoną wyrazistymi zielonymi oczami. Mam regularne rysy twarzy i ładny podbródek. Jedyne, co naprawdę przysparza mi zmartwień, to niesforne włosy, które opadając miękkimi kaskadami na ramiona, żyją swoim własnym życiem. Żebym nie wiem jak się starała i tak nie potrafię ich ujarzmić. Puszą się niesamowicie, sprawiając, że zawsze wyglądam tak, jakbym się nie uczesała. Mimo licznych zabiegów i wymyślania przeróżnych mniej lub bardziej skomplikowanych fryzur one i tak jakimś dziwnym sposobem potrafią wyswobodzić się ze splotów i spinek, wybierając wolność i tworząc na mojej głowie artystyczny nieład. To właśnie przez nie otrzymałam w gimnazjum przezwisko „Piorunek”, które wiernie towarzyszyło mi przez trzy lata nauki w murach szacownej szkoły, a następnie powędrowało ze mną do liceum. Wątpiłam, abym mogła się go tak łatwo pozbyć.

Gdy byłam już w bezpiecznej odległości od niegościnnych zabudowań, zwolniłam kroku. Jak długo szłam? Nie wiem. Zmęczenie dawało mi się coraz bardziej we znaki i po kilkudziesięciu kolejnych próbach odszukania zasięgu i skontaktowania się z kimkolwiek (na wyświetlaczu cały czas widoczna była godzina piętnasta zero dwie, chociaż szłam już dobre kilkadziesiąt minut), zrozumiałam, że jak nic spędzę tę noc pod gołym niebem. Jedyne pocieszeniem był fakt, że ciemne burzowe chmury nie przyniosły jednak deszczu.

Najgorzej, że zawiodłam babcie. Miałam się nią opiekować, a tymczasem teraz przysparzałam samych kłopotów. Na pewno szalała z niepokoju, co też się ze mną dzieje. Może zawiadomi policję? Co za wstyd!

Przez cały czas wyrzucałam sobie w myślach moje nierozsądne zachowanie, ale poza ogromnym poczuciem winy nic więcej mi to nie dawało. W ciemnościach pobłądziłam w terenie i niestety, nie potrafiłam odnaleźć drogi powrotnej. Gdybym chociaż mogła zadzwonić po pomoc, ale gdzie tam! Telefon uparcie nie odnajdywał zasięgu, skazując mnie na nocleg pod gołym niebem. Perspektywa nie była zachęcająca, zważywszy, że nagle po letnim upale nie pozostało ani śladu, a chłód wieczoru coraz mocniej dawał się we znaki, ale nie miałam innego wyboru.

Zatrzymałam się pod niewielką jabłonką rosnącą przy drodze. Usiadłam w wysokiej, dawno niekoszonej trawie i oparłszy plecy o chropowaty pień drzewa, przyciągnęłam nogi do siebie, opierając brodę o kolana. Objęłam się ramionami, starając zachować chociaż resztki ciepła.

Sen długo nie nadchodził. Skulona w niewygodnej pozycji, walczyłam ze strachem, który mnie wprost paraliżował. Jeszcze nigdy nie spałam pod gołym niebem, w dodatku w tak niesprzyjających warunkach. Byłam zagubiona, osamotniona i pełna wyrzutów sumienia. To nie najlepsza mieszanka. Dodatkowo każdy szmer, który docierał do moich uszu, powodował przyspieszone bicie serca. Gdzieś w zakamarkach umysłu kołatała się nadzieja, że może jakiś zabłąkany samochód będzie przejeżdżał w pobliżu i uda mi się go zatrzymać. Niestety, czas mijał, a wybawienie się nie pojawiło. Pewnie po takich zaniedbanych bocznych drogach nikt nie podróżuje, zwłaszcza nocą.

\*\*\*

Obudziły mnie pierwsze krople deszczu. Nie wiem, kiedy zasnęłam, ale widać zmęczenie wzięło górę nad strachem. Uniosłam głowę, pragnąc rozeznaczyć się w sytuacji. Świtało, a nad polami unosiła się mgła. Było mi zimno, czułam głód i pragnienie, a na dodatek marzyłam o kąpieli. Z trudem rozprostowałam ścierpnięte ciało. Żeby tylko nie dostała zapalenia płuc...

Wyszłam na drogę i aż krzyknęłam. To, co zobaczyłam, przeszło moją najśmielsze wyobrażenia. A może ja nadal śniłam? Dla pewności uszczypnęłam się kilka razy w rękę. To nie sen. W oddali widziałam wyraźne zarysy warownej budowli, przypominającej zamek. Zamek tutaj?

I nagle naszła mnie dziwna, wręcz absurdalna myśl. Tak, wiem, to zakrawało na szaleństwo, ale jedyne wytłumaczenie – nieważne czy rozsądne czy głupie – jakie przyszło mi do głowy, to takie, że przeniosłam się w czasie.

Przeniosłam się w czasie! A to numer! Jak nic to średniowiecze. No i ten zamek. To by tłumaczyło, dlaczego wczoraj wieczorem gościu w długiej koszuli zamierzył się na mnie widłami, a kobieta uciekła na widok latarki. Wzięli mnie za wysłannika sił nieczystych, który pojawił się, aby zabrać ich dusze. Nieźle! Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach! To nie może być prawda! To nie może być prawda! A jeśli to dalsza część snu? Szczypałam się w ramię tak długo, aż w końcu całe się zaczerwieniło. Ból, który czułam, był prawdziwy, aż nadto prawdziwy.

Stałam oto na piaszczystej, pooranej bruzdami drodze, na wprost warownego zamczyska, daleko od własnego domu i czasów, jakie znałam. W tej chwili czułam się chyba najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi. Ba, we wszechświecie!

Jeśli w nocy się bałam, to teraz mój lęk urósł do rozmiarów monstualnych. Wręcz przytłaczał mnie, paraliżując zmysły. Co mam zrobić? Jak żyć? Gdzie szukać

ratunku? W ogóle, jakim cudem się tu znalazłam? Czyżby to ten kamień? Gdy go dotknęłam... Boże, Boże... To musiało być wtedy... Tylko gdzie, do cholery, jest ten głaz? Jakoś wątpiłam, że będę potrafiła odnaleźć powrotną drogę do niego.

Miałam ochotę się rozplakać, ale nie zdążyłam, bo zobaczyłam właśnie zbliżających się od strony zamku pięciu jeźdźców na koniach. Rozejrzałam się dookoła, szukając drogi ucieczki. Rzuciłam się biegiem w stronę najbliższych drzew, modląc się w duchu, abym nie została zauważona. Co mogłoby mi grozić, gdyby grupa średniowiecznych rycerzy napotkała mnie na środku traktu? Wyobrażnia podpowiadała mi niestworzone, mrozące krew w żyłach scenariusze.

Tętent końskich kopyt był coraz bliższy. Nie przestając biec, odwróciłam głowę i zobaczyłam, że jeźdźcy podążają wprost za mną. Zauważyli mnie i najpewniej mój widok ich zaintrygował – cóż, faktycznie wyglądałam bardzo egzotycznie w porównaniu z tym, do czego przywykli. Nie miałam żadnych szans na ucieczkę, tym bardziej że jeden z wojaków uniósł coś, co przypominało kuszę i wycelował prosto we mnie.

Zatrzymałam się i uniosłam do góry ręce w geście poddania. „Niech się dzieje wola nieba, nie mam siły biec dalej. Zresztą ze strzałą w plecach daleko nie ucieknę. Lepiej stawić czoło przeznaczeniu”.

Rycerze otoczyli mnie, uniemożliwiając jakąkolwiek ucieczkę. Dobrze wiedziałam, co czekało wszelkich odmieńców w tamtych czasach. A ja byłam inna. I to jeszcze jak inna!

– Wiedźma, jak nic! – zawołał jeden z nich, ten, który mierzył do mnie z kuszy.

Spojrzałam do góry na jego twarz obdarzoną bujnym rudym zarostem.

– Albo inne czarcie szczenię – dorzucił kolejny, którego nos przywodził mi na myśl boksera po stoczeniu najcięższej z walk.

– Coś ty za jedna? – Trzeci z mężczyzn zeskoczył z konia i podszedł do mnie.

Dostrzegłam, że ma bardzo ładne brązowe oczy i regularne, szlachetne rysy twarzy. Może to jakiś książę? Tak, wyglądał na kogoś ważniejszego od reszty, nawet jego szaty były bardziej wytworne. Przy pasie miał przytroczony połyskujący miecz.

– Jestem Julia. – Spróbowałam przywołać uśmiech na usta, co wcale nie było takie łatwe, zważywszy na nader niesprzyjające okoliczności.

Z trudem powstrzymałam się przed płaczem, ale mój głos i tak niepokojąco drżał. Powoli opuściłam ręce.

– Julia – powtórzył, odgarniając z czoła czarne włosy, które niesfornie wily się wzdłuż jego twarzy, opadając luźno na ramiona.

Musiałam przyznać, że robił piorunujące wrażenie. Nawet teraz, gdy mój los wydawał się bardzo niepewny, nie potrafiłam oprzeć się wrażeniu, że ten średniowieczny facet jest megaprzystojniakiem.

– Weylin, lepiej na nią uważaj! To wiedźma i zna pewnie mnóstwo magicznych sztuczek! – zawołał jeden z jego kompanów. – Oczadzi cię jeszcze albo inny urok rzuci i będziemy się musieli tłumaczyć przed Ekhardem.

– Wcale nie jestem wiedźmą – zaprotestowałam, czując, że wraca mi odwaga.

Nie pozwolę, aby ktoś bezpodstawnie oskarżał mnie o bycie czarownicą. Może i trafiłam do średniowiecza, ale to wcale nie znaczyło, że mam zakończyć życie, wiążąc się jak robak i błagając o litość. Trzeba walczyć o przetrwanie, dopóki jest choć



cień nadziei. Postanowiłam improwizować.

– Przybyłam z innego, dalekiego kraju... z... Nibylandii! – wykrzyknęłam, przypominając sobie historię o Piotrusiu Panie. – Jestem... jestem... – Kim, do licha, mogę być, aby nie narazić się średniowiecznym rycerzom? – Jestem dobrą czarodziejką, która podróżuje po świecie i pomaga ludziom.

Przez chwilę chciałam powiedzieć, iż jestem wróżką, tak jak pamiętny Dzwoneczek, jednak zawczasu ugryzłam się w język. Czy w średniowieczu znano wróżki? Może tak, ale pewnie zupełnie inne niż ta, za którą chciałam uchodzić. Bardziej właściwe wydało się mi porównanie do czarodziejki. W żadnym wypadku czarownicy! O nie! Czarodziejka, i to w dodatku koniecznie dobra!

– He, he... – Śmiech rycerzy podrażnił moje uszy.

Nie lubię, jak ktoś się ze mnie nabija, a już najbardziej takie niezbyt rozgarnięte osiłki.

– Pomagasz ludziom? – Weylin dał ręką znak rudowłosemu, aby opuścił kuszę, co niezbyt chętnie wykonał.

– Tak, tak – zapewniłam z największą gorliwością.

Nabrałam dziwnego przekonania, że mogłam liczyć na Weylina. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam, po prostu poczułam, że mnie nie skrzywdzi. Oczywiście mogłam się mylić, ale i tak nie pozostało mi nic innego jak zdać się na kobiecy instynkt. – Jestem jak amulet, który, gdzie się pojawi, tam szczęście przynosi.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? – Uważnie wpatrywał się prosto w moje oczy, a ja z każdą chwilą utwierdzałam się w przekonaniu, że kto jak kto, ale on mnie zrozumie i nie zawiedzie. – Tak rzec każdy może.

– Ale czy każdy może sprawić, że rozbłyśnie światło? – Pokazałam na swój plecak, a następnie wyjęłam z niego pudełko zapalek i zademonstrowałam, jak pod wpływem pocierania patyczkiem o bok pudełeczka jedna z nich zaczyna jasno płonąć.

– Na wszystkie świętości! Toż to przeklęty ogień Mateo! – zawył rozdzierająco jeden z rycerzy, ale nie zdążyłam zauważyć który.

– Nie ma co z nią gadać! To zło wcielone! – zawtórował posiadacz boksyerskiego nosa, sięgając po przytroczony do boku ogromny miecz.

– Dość! – Okrzyk Weylina powstrzymał go.

Brunet wytrącił mi z rąk pudełko. Wątył ogienek zgasł, zanim zapalka upadła na ziemię.

– Ja... – Nie wiedziałam, co powiedzieć, byłam zbyt przerażona.

– Jeśli życie ci miłe, nigdy więcej tego nie używaj – przestrzegł mnie, a w jego głosie słychać było groźną nutę.

Rozgniótł butem pudełko, wciskając je w rozmokłą ziemię.

Przytaknęłam skinieniem głowy. Zwykły ogień tak bardzo ich przeraził? Nawali go przeklętym ogniem Mateo? Cóż to za zacofany naród?

– Przepraszam – wyszeptałam niepewnie. – Nie chciałam nikogo przestraszyć. Jeśli boicie się ognia, mogę sprawić, że zapłonie, ale parzyć nie będzie.

– Jakże chcesz tego dokonać? Nie ma osoby, która by nad ogniem taką władzę miała.

– Poczekaj, panie, a zaraz ci pokażę.

Pospiesznie przerzucałam zawartość plecaka, aby wreszcie wydostać metalową

latarkę. Jeśli to mi nie pomoże, to już po mnie. Wstrzymując oddech, podsunęłam ją ciemnowłosemu mężczyźnie.

Wyciągnął dłoń i dotknął zimnej stali. W jego oczach pojawiło się prawdziwe zaniepokojenie. Zafascynowany, wpatrywał się w nieznaną sobie przedmiot.

– Zaprawdę niezwykle, ale światła żadnego tu nie widzę. Tym bardziej światła, które nie parzy i krzywdy nijakiej nie czyni nikomu. – Jego słowom zawtórował zgodny śmiech kompanii.

– Oto i ono. – Nacisnęłam włącznik i strumień światła padł na twarz Weylina.

W pierwszej chwili cofnął się, zaskoczony, gwałtownie mrużąc oczy, a jego kamraci znów zaczęli na mnie pomstować. Bokser schwycił za miecz, kierując we mnie jego ostrze, ale ponownie wystarczył jeden gest ręki Weylina, aby posłusznie opuścił broń.

– Zaprawdę niezwykle – powtórzył.

Bez pytania odebrał mi latarkę, po czym uważnie się jej przyjrzał, obracając ją w dłoniach na wszystkie strony. Pomyślałam, że musiał być bardzo odważny, skoro nie uląkł się piekielnego przedmiotu. Przecież, rozumując jego kategoriami, coś takiego jak latarka nie miało prawa istnieć.

– I ja też bym tak mógł? – zapytał.

– Nie każdy potrafi, ale ciebie mogę nauczyć – zapewniłam cicho i wskazałam mu przycisk na obudowie latarki. – Naciśnij go, panie.

Nie zawahał się ani sekundy. Przycisnął włącznik i ciągły snop światła zaczął pulsować.

– Jeszcze raz – zachęciłam go.

I znów zrobił to bez wahania. Światło zgasło.

– To musi być działanie sił nieczystych. Nie dajmy się zwieść jej niewieściej delikatności. Widzieliśmy, że miała ogień Mateo, wiemy, co to oznacza. Nikt inny nie mógłby być w posiadaniu takich rzeczy. Jeśli nie chcesz, Weylinie, abyśmy ją zabili, to zostawmy tę dziewczkę samopas. Zła na zamek nie lza nam zwozić – głos zabrał czwarty z jeźdźców, młody, czarnowłosy, atrakcyjny mężczyzna, którego twarz szpeciła podłużna blizna, znacząca lewy policzek.

Weylin jednak zdawał się nie słuchać słów innych, za co w głębi duszy byłam mu bardzo wdzięczna. Zdażyłam już się zorientować, że tylko on mógł mi zapewnić bezpieczeństwo. Reszta nie odważyłaby się kwestionować jego zdania, musiał mieć wśród nich prawdziwe poważanie.

Milcząc, schował latarkę za pas i chwyciwszy mnie w pól, posadził na swoim koniu, sam zgrabnie wskakując tuż za mną.

– Zabierasz ją? – zdziwił się posiadacz boksera. – Nie słuchasz głosu rozsądku Hermana? Licho ciągniesz z nami? Chcesz zagładę sprowadzić na dwór naszego dobrodzieja? Chcesz powtórzyć historię?

– Niech księżę Ekhard ją zobaczy. Na jego ziemi ją spotkaliśmy, jego więc jest.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – próbował oponować bokser, ale Weylin go nie słuchał.

Ściągnął wodze konia i nie oglądając się na swoich towarzyszy, ruszył w stronę zamku.

Niewielka mżawka, która obudziła mnie dziś rano, przeszła nagle w prawdzi-

wą ulewę. Rozpadało się na całego, włosy dokładnie obkleiły mi twarz i szyję, a sukienka nieprzyzwoicie przylgnęła do ciała. Przez cienki materiał czułam muskularne ciało Weylina i równomierne bicie jego serca. Zasluchałam się w te uderzenia, odnajdując w nich spokój.

## VI. NA DWORZE KSIĘCIA EKHARDA

Zamek zbliżał się do nas, a raczej to my zbliżaliśmy się do niego. Po drodze minęliśmy rzędy stłoczonych pod murami chat, a także rzesze obdartych wieśniaków, którzy kłaniali się z pokorą. Przez zwodzony most wjechaliśmy w bramę i znaleźliśmy się na kwadratowym dziedzińcu.

Weylin zeskoczył z konia i zсадził mnie bez słowa. Pewnie wyglądałam trochę niezdarnie, ale w końcu nigdy nie jeździłam konno. Przekazał wierzchowca stajennemu i popychając mnie delikatnie przed sobą, skierował się w stronę wejścia, pozostawiając swoich towarzyszy na dziedzińcu.

– Te, Weylin! – Zza pleców słyszałam śmiechy rycerzy. – Tylko nie daj się omotać czarownicy. One najlepiej wyglądają na stosie.

Strażnik pokłonił się Weylinowi i popatrzył na mnie z przerażeniem. Kolejny, który wziął mnie za wysłannika piekieł? No chyba muszę coś ze sobą zrobić. Może zmienić barwę włosów? Zawsze wiedziałam, że mężczyźni wolą blondynki, a jednak nadal pozostawałam przy swoim naturalnym, ciemnym kolorze.

Krętymi schodami udaliśmy się na górę i minawszy wąski korytarz, po którego obu stronach porozwieszane były barwne proporce, weszliśmy do przestronnej sali. Dostrzegłam grupkę ludzi, stłoczoną wkoło stołu, którego centralne miejsce zajmował postawny mężczyzna w średnim wieku, o jasnych, bujnych włosach, poprętykanych cieniutkimi pasemkami siwizny. Spośród zebranych wyróżniała go grawerowana złota przepaska na czole oraz kolor szat. Ciemnoczerwony płaszcz okalał jego ramiona i spływał w dół krzesła, rozpościerając się na podłodze. Twarz mężczyzny wydała mi się poważna, rysy regularne, ale jakby wyostrzone, nos prosty, proporcjonalny. Brązowe oczy patrzyły na mnie uważnie. Weylin poprowadził mnie prosto do niego, a gdy znaleźliśmy się w pobliżu, pchnął tak, że upadłam na kolana. Sam skłonił głowę przed władcą.

– Przyprowadziłem ci, panie, czarodziejkę, którą spotkaliśmy podczas naszej porannej wyprawy. Twierdzi, że pomaga ludziom.

– Czarodziejkę? – Mężczyzna popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a pozostali zaczęli szeptać między sobą. – Nie wygląda na taką.

– Utrzymuje, że nią jest. Na pewno nie pochodzi stąd i... – Umilkł na moment, jakby zastanawiając się, co powiedzieć władcy. – ...miała ogień Mateo – dokończył ciszej.

– Ogień Mateo? – Księżę gwałtownie wstał z krzesła, a reszta mężczyzn wydała z siebie dziwny dźwięk, jakby jęku. – I ty ją na zamek przyciągnęłaś? Czy zdajesz sobie sprawę, coś zrobił?

– Wybacz, panie, ale ona oprócz ognia Mateo miała przy sobie światło, które nie parzy i zmieniać się potrafi. Jestem pewien, że nie ma w niej zła, którego tak się lękamy.

– A ty skąd miałbyś to wiedzieć? Mój ojciec też dał się przed laty zwieść słowom tego przekłętego... Gdyby go wtedy nie przyjął pod swój dach... Gdyby nie ulitował się nad zagubionym dzieckiem. Powiadam ci, Weylinie, zło różne przybiera

postacie, a najgorsze zło zazwyczaj ma oblicze tak niewinne, jak ta dziewczka. – Wskazał na mnie z obrzydzeniem.

– Ręczę za nią, panie. Nie lza nam ferować wyroku, gdy nie mamy dowodów winy. A jeśli teraz otrzymaliśmy dar dobra, a zaślepieni nienawiścią, odrzucimy go? Daj jej, panie, szansę.

– A niby dlaczego miałbym to robić, Weylinie? Podaj mi chociaż jeden sensowny powód. Przekonaj mnie, że mogę zaufać tej dziewczce. Jaką mogę mieć pewność, że nie zwiodła cię jej uroda lub domieszka złej krwi twego ojca. – W tym momencie Ekhard umilkł, tak jakby sam przeraził się swoich słów.

W sali zapanowała nienaturalna cisza. Zebrani przy stole rycerze również przestali między sobą szeptać, tylko patrzyli na mnie z pełną pogardą. Weylin pobladł. Zauważyłam, jak mięsień na jego prawym policzku drgał. Podziwiałam, że potrafił zachować spokój, chociaż widać było, że wewnątrz wszystko aż się w nim burzyło. Słowa władcy musiały go bardzo dotknąć.

– Pokazała mi to. – Wyjął zza pasa latarkę i wręczył ją władcy.

Mężczyzna z pewnym wahaniem ujął w dłonie nieznany sobie przedmiot i długo oglądał ze wszystkich stron.

– Zaiste niezwykle dziwno, ale do czego to służy?

– Robi światło. To dobre światło, które krzywdy nijakiej nikomu nie czyni.

– W jaki sposób? To niemożliwe! Ogień zawsze parzy. Nie ma takiej mocy, która mogłaby okiełznać jego niszczycielską naturę. Zaprawdę to musiałoby być działanie czarów, magii dającej ochronę. Jeśli ta dziewczka potrafi coś takiego... Jeśli udowodni, to gotów jestem dać jej schronienie, ale to ty, Weylinie, przejmiesz za nią pełną odpowiedzialność.

Brunet skinął głową na znak zgody, po czym szturchnął mnie ramieniem, dając znać, abym wstała. Podniosłam się więc posłusznie z klęczek i nieśmiało zbliżyłam do władcy. Wyciągnęłam rękę, czekając, aż odda mi latarkę. Patrzył na mnie uważnie i wyczytałam z jego wzroku, że jest zgorzony moim widokiem, jednak po chwili wahania podał mi przedmiot. Nacisnęłam włącznik, demonstrując wszystkim zebranym snop światła.

– Na świętości Burii! – Władca okrążył mnie dookoła, uważnie obserwując.

Miałam wrażenie, jakbym była przedmiotem wystawionym na sprzedaż i wcale mi się to nie podobało. Nie mogłam jednak zaprotestować, gdyż właśnie ważyły się moje losy. Mężczyzna w pełnym skupieniu wpatrywał się w blask wydobywający się z latarki, który, aby zwiększyć efekt, przestawiłam na tryb pulsowania.

– Co jeszcze potrafisz?

Wyłączyłam latarkę i odstawiłam ją na stół, zauważając przy tym zatrwożone spojrzenia zebranych. No cóż, to, co dla mnie było czymś zwyczajnym, dla nich jawiło się jako magiczne i zapewne sprowadzone za pomocą sił nieczystych. Moje życie zależało teraz od decyzji władcy. Jeśli i on uzna, że jestem wysłannikiem sił zła, to już po mnie. Bez słowa wyjęłam jo-jo i wprawiłam je w ruch. Książę nie odrywał wzroku od wirującego krążka.

– Umyć, nakarmić i odziać! – zakomenderował, gdy zakończyłam kilkuminutowy pokaz. – Niech nie sieje zgorznienia swym nieprzystojnym strojem. Zaprawdę to czarodziejka z jakiegoś odległego kraju i nie ma w niej zła, które sprowadził ze sobą Mateo – wydał werdykt, który przyjął z prawdziwą ulgą. – Przeprowadź ją dziś,

Weylinie, na wieczorną ucztę, niech zabawi swoimi sztuczkami gości. Jesteś za nią odpowiedzialny – przypomniał.

Weylin mocno schwycił mnie za ramię i kłaniając się dwornie zgromadzonym, popychając mnie przed sobą, wyszedł z sali. Nie odzywał się ani słowem, prowadząc po kolejnych, krętych schodach gdzieś na górę. Tych schodów, korytarzy i krużgan-ków było tyle, że szybko straciłam rachubę i poczułam się, jakbym była w labiryncie. Na pewno sama nie zdołałabym się stąd uwolnić.

Weylin pchnął kolejne, ciężkie drzwi i weszliśmy do niewielkiej komnaty. Pod oknem, na rzeźbionym krzeselku siedziała młoda dziewczyna, ubrana w długą, ciężką, fioletową suknię, przewiazaną w pasie złotym sznureczkiem, i najspokojniej w świecie wyszywała białą serwetę. Na włosach miała coś na kształt siateczki, która dokładnie przykrywała jej prostą fryzurę.

– Witaj, Laveno. Przyprowadziłem ci moją podopieczną i chciałbym prosić, abyś się nią zajęła.

– Och, bracie! – Dziewczyna zerwała się z krzeselka i odłożyła robótkę na siedzenie. – Cóż to za bidulka?

– Umyj ją, odziej i nakarm. – Nie odpowiedział na jej pytanie. – Ekhard chce, aby była obecna na dzisiejszej uczcie.

– Tak, bracie. – Pokłoniła się przed nim i podeszła do mnie.

W jej oczach widziałam lęk, ale i ciekawość. Nie przywykła widać sprzeciwiać się bratu, bo mimo strachu, jaki w niej wzbudzałam, bez protestów zgodziła się zastosować do jego poleceń.

Weylin zostawił nas same, a Lavena sumiennie zabrała się do wypełniania za-leceń swego brata. Zawołała służące i gdy te napełniły wielką drewnianą balię wodą, poleciła mi rozebrać się i wejść do niej. Zrobiłam to z wielką przyjemnością.

Umyta i wypachniona, gdyż służki wtarły we mnie jakieś wonne olejki, bez słowa sprzeciwu założyłam jedną z sukien Laveny – granatowa, ze złotymi wykoń-czeniami, była nawet milutka w dotyku, chociaż wyglądała na ciężką i faktycznie taka była. Służące wyczesaly moje skołtunione włosy i ułożyły skromną fryzurkę, którą, tak jak Lavenie, ukryły pod cieniutką siateczką.

Patrzyłam w lustro i nie poznawałam samej siebie. Nawet dobrze się czułam jako „średniowieczna” dama. „A jeśli będę musiała tu zostać na zawsze? – przerazi-łam się tej myśli. – Niedorzeczność! Moje miejsce jest daleko stąd, w zupełnie innej rzeczywistości. Na pewno to, iż obecnie tutaj się znajduję, jest tylko stanem przej-ściowym. Czymś, co nie będzie zbyt długo trwało. Tak! Musi tak być! Nie ma innej możliwości!”.

Kiedy służąca przyniosła posiłek – składający się z kawałka świeżutkiego cia-sta, jakiegoś nieznanego mi owocu, który okazał się nad wyraz smaczny, oraz małej miseczki czegoś, co przypominało kaszę mannę przyrządzoną na słodko i posypaną owocowymi wiórkami – Lavena zaczęła mi tłumaczyć, jak się zachowywać w towa-rzystwie. Widać wywnioskowała, że jestem kimś nieokrzesanym, kto będzie popeł-niał same gafy.

– Kim jesteś? – Lavena była ciekawa informacji na mój temat i wykorzystała pierwszą sposobność, kiedy zostałyśmy same bez towarzystwa służby, aby zadać to pytanie.

Nie chciałam kłamać, ale przecież prawdy by nie zrozumiała. Musiałam szyb-

ko wymyślić jakąś wiarygodną historię.

– Na imię mam Julia i pochodzę z pewnego odległego księstwa, Nibylandii. – Postanowiłam podtrzymać wersję z rana, którą uraczyłam już napotkanych na trakcie rycerzy z Weylinem na czele. – Jestem czarodziejką.

– Czarodziejką? – W oczach Laveny pojawiło się zaniepokojenie. – I potrafisz wyczarować różne rzeczy?

– Ja... ja tak naprawdę dopiero się uczę być czarodziejką. Wiele już umiem, ale nie wszystko – zaznaczyłam ostrożnie.

– A życzenia potrafisz spełniać? – Rozejrzała się dookoła, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

– Życzenia spełnia Święty Mikołaj. – Roześmiałam się, ale Lavena nie zrozumiała mojego żartu. Spoważniałam więc i nachyliwszy się w stronę siostry Weylina, zapytałam szeptem: – A czego byś chciała?

Zaczerwieniła się jak pensjonarka.

– Chciałabym, aby Weylin był szczęśliwy, bo on... – wyszeptała, ale nie dokończyła, co miała na myśli, gdyż właśnie w tej chwili weszła jedna ze służek, informując, że Weylin czeka w sąsiedniej komnacie.

Razem z Laveną przeszłyśmy do drugiego pomieszczenia. Już od progu zauważyłam, że Weylin wygląda dużo lepiej niż rano. Eleganckie, zapewne bardzo kosztowne szaty, obszyte gronostajem, oraz gruby złoty łańcuch na szyi upodabniały go do aktora hollywoodzkiego, grającego rolę średniowiecznego władcy. Nawet się rozmarzyłam.

– Weź ze sobą swoje magiczne przybory – przypomniał mi, posłusznie więc wróciłam po plecak.

Gdy pojawiłam się ponownie, Weylin nadstawił mi ramię, a ja delikatnie ujęłam go pod rękę, tak jak uczyła mnie Lavena. Poczułam się przy tym jak prawdziwa dama. Szkoda tylko, że mój towarzysz nie obdarzył mnie żadnym komplementem. A byłam prawie pewna, że w tej nowej odsłonie wywrę na nim duże wrażenie. Cóż, pomyliłam się.

Zdziwiłam się, że Lavena nie będzie nam towarzyszyć, ale widocznie tutaj było to regułą, gdyż ani Weylin jej nie namawiał, ani ona nie wspomniała o chęci uczestnictwa w przyjęciu wydawanym przez Ekharda.

– Do zobaczenia później! – zawołałam, ochoczo podążając u boku Weylina w stronę wyjścia. – Opowiem ci, jak było na przyjęciu.

– Myślisz, że tu wrócisz? – zapytał szeptem.

Odgłos zamykanych drzwi zabrzmiał niczym łoskot zatraskiwanego wieka trumny. O matko! Co oni ze mną zrobią? Co to za uczta?

Weylina najwidoczniej usatysfakcjonowało przerażenie malujące się na mojej twarzy, bo więcej się już nie odezwał. Czułam się jak skazaniec, podążający na miejsce kaźni. Bezwolnie pozwoliłam się prowadzić labiryntem korytarzy, po setkach stromych stopni, prosto do sali jadalnej. Tuż przed wejściem do izby biesiadnej Weylin zatrzymał się jednak, tak jakby się wahał, po czym spojrzał na mnie. W jego wzroku dostrzegłam coś na kształt litości. Mimowolnie zadrżałam, a on to wyczuł.

– Nie bój się – powiedział, wolno wymawiając każde słowo. – Jeśli naprawdę złych zamiarów nie skrywasz w swym sercu, zawsze możesz liczyć na moje wsparcie. Dopóki jestem obok, nic ci nie grozi. Kimkolwiek jesteś.

– Obiecujesz? – chciałam się upewnić, chociaż nie miałam powodów, aby mu nie wierzyć.

– Obiecuje – powtórzył.

Dwaj strażnicy stojący przy drzwiach otworzyli je przed nami. Weylin mocniej uściskał moją rękę, po czym wprowadził mnie do środka. Po drugiej stronie drzwi stała kolejna dwójka wartowników. Widać księżę dbał o swoje bezpieczeństwo albo... albo przedsięwziął środki ostrożności, aby uniemożliwić mi ucieczkę.



## VII. UCZTA

Mimo przerażenia paraliżującego moje zmysły rozejrzałam się po pomieszczeniu. Pochodnie umieszczone w uchwytych na ścianach kopciły niemiłosiernie, zadymiając wnętrze. Płatanina różnorodnych zapachów i jeszcze ten gryzący dym od razu po wejściu przyprawiły mnie o ból głowy. Trzy podłużne, drewniane stoły, zestawione razem i tworzące prostokątną literę U, ugiwały się od półmisków pełnych jedzenia. Wśród potraw dopatrzyłam się dwóch upieczonych w całości prosiaków, które niczym trofea zajmowały środek stołu. Na dużych, okrągłych tacach pyszniły się dorodne sztuki pieczonego drobiu, a także grube plastry przeróżnych mięs. Pomiędzy nimi poustawiano pękate sosjerki, okrągłe, głębokie naczynia wypełnione czymś, co przypominało mi kaszę ze skwarkami, oraz patery, na których piętrzyły się wielgachne pajdy chleba.

Na centralnym miejscu przy stole siedział Ekhard, a widząc nas, dał znać, abyśmy podeszli. Weylin zajął miejsce tuż obok niego, a mnie kazał usiąść po swojej lewej stronie. Oczy wszystkich zdawały się skupione wyłącznie na mnie.

– Widzę, Weylinie, że dobrze wywiązałeś się ze swojego zadania. Rano przybłąda, wieczorem prawdziwa dama. Gdybym nie znał prawdy, nigdy nie przypuszczałbym, że ta dziewczka nie ze szlacheckiej krwi zrodzona.

Książę nawet nie starał się mówić cicho, tak jakby fakt, że to usłyszę, nie miał dla niego żadnego znaczenia. Cóż, byłam tylko przybłądą, przygarniętą dzięki litości władcy. Moje życie i osoba nic tu nie znaczyły. Kaprys pana decydował o moim istnieniu. Właściwie powinnam być wdzięczna, że od razu nie wyładowałam na stosie. Dla takich dziwadeł jak ja w tej rzeczywistości mógł być tylko jeden los.

– Dziękuję, panie, za twoje słowa, jednak te pochwały należą się w całości Lavenie, gdyż to ona zadbała o tę dziewczkę.

– Mniejsza z tym. – Książę wznosił do góry rękę ze srebrnym kielichem, wysadzonym dookoła dużymi, czerwonymi kamieniami. – Wypijmy za powodzenie łowów! – krzyknął gromko, a mężczyźni zgromadzeni w komnacie zgodnie mu zawtórowali.

Siedziałam na krześle, niezdolna do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Strach toczył walkę z ciekawością i ta ostatnia wygrywała. Moje zmysły rejestrowały obrazy, które wyglądały niczym przeniesione z planu filmu kostiumowego. Byłam oszołomiona gwarem i dymem, który szczelnie wypełniał pomieszczenie. Przede mną na stole pyszniły się wykwintne dania, podane na srebrnej zastawie.

Kobiet w towarzystwie nie dostrzegłam, oczywiście nie licząc mnie, ale najwidoczniej ja nie byłam tu liczona jako szlachetna dama. Robiłam za dziwadło i atrakcję wieczoru. Czulałam to bardzo wyraźnie, gdyż mimo niezwykle swobodnej atmosfery przy stole mężczyźni zerkali na mnie co trochę, obserwując, jak się zachowuję, co robię. Początkowo unikałam ich spojrzeń, ale w końcu zaczęłam bezczelnie się na nich gapić, co chyba również było dla nich szokiem. A co mi tam! Przesunęłam wzrokiem po twarzach zgromadzonych, bez trudu wyławiając wśród tej gromady znajome mi już, charakterystyczne oblicze boksera z krzywym nosem oraz posiada-

cza niezwykle bujnego rudego zarostu.

– Nie jesteś głodna? A może czarodziejki nic nie jedzą? – Weylin wskazał głową na stół. – Wszelakiego jadła tu dostatek. Pewnie nigdy takowego nie widziałaś.

– A żebyś wiedział, że widziałam. – Uśmiechnęłam się złośliwie. – I tak się składa, że czarodziejki z mojej krainy spożywają posiłki.

Aby to udowodnić, sięgnęłam w stronę leżącego na najbliższej tacy pieczonego kurczaka (albo innego przedstawiciela drobiowatych – trudno mi było to ocenić) i oderwałam jedną z nóżek, nie bacząc na tłuszcz, który pobrudził mi palce. Weylin z zaciekawieniem patrzył, jak wgryzam się w dobrze wypieczone mięsiwo. Ten smak mnie urzekł. Nigdy nie jadłam czegoś równie pysznego. Mięso było takie delikatne, dobrze doprawione, pachniało aromatem, który przywodził mi na myśl leśny biwak.

Uczta zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Nie wiem, jak długo biesiadowaliśmy, w każdym razie, gdy tylko jakieś potrawy znikwały ze stołu, natychmiast na ich miejsce przynoszone były nowe. Mężczyźni nie żalowali sobie wina i ich donośny śmiech rozbrzmiewał na okrągło. Jedno, co mi przeszkadzało, to brak sztuców. Wszyscy sięgali do półmisek rękami, bez względu na to, czy był to pieczony drób, czy jakieś inne mięso, ociekające tłuszczem lub sosem, resztki zaś rzucali za siebie. No cóż, musiałam robić tak jak i oni.

Wino lało się strumieniami, a z braku innych możliwości ja również musiałam korzystać z tego trunku. Nie byłam przyzwyczajona do picia alkoholu, więc po opróżnieniu dwóch pełnych kielichów, poczułam się senna. Moje powieki robiły się coraz cięższe i właśnie zastanawiałam się, czy ktoś zauważy, jeśli zamknę oczy i chwilę się zdrzemnę, gdy Weylin delikatnie poklepał mnie po dłoni.

– Teraz pora na ciebie.

Otrząsnęłam się z półsnu i zauważyłam, że śmiechy jakby umilkły, a wszyscy zgromadzeni zwrócili się w moją stronę. Ekhard spod lekko zmrużonych powiek patrzył na mnie, a gdy tylko spojrzałam na niego, klasnął i wskazał na podwyższenie, które właśnie ustawiono na środku pomiędzy stołami.

– Pokaż nam, co potrafisz, dziewczko! – zarządził.

Wyjęłam z plecaczka jo-jo i wstałam z krzesła. Zakręciło mi się w głowie i zachwiałam się lekko, ale Weylin błyskawicznie stanął obok mnie, podtrzymując ramieniem. Tylko jego interwencji zawdzięczałam, że nie upadłam.

– Dziękuję – wymamrotałam niewyraźnie, próbując ukryć zmieszanie. Pozwoliłam podprowadzić się do przygotowanej sceny, czyli dwóch zsuniętych razem drewnianych ławek.

– Niech Ekhard nie żałuje, że cię przygarnął – szepnął mi do ucha, chwytając mnie w pasie i stawiając na przygotowanym podwyższeniu.

Nie odszedł na wcześniej zajmowane miejsce, tylko stanął kawałek z boku i oparty o róg stołu uważnie mnie obserwował.

– Czarodziejka z odległej krainy pokaże nam dziś swoje sztuczki. Zaprawdę powiadam wam, panowie, to, co widziałem rano, z niczym nie może się równać. Światło zamknięte w srebrnej lasce. I to światło, które może pulsować lub świecić ciągłym, jasnym blaskiem. Jaśniejsze niż ogień świecy i nie kopci. Prawdziwy cud. – Światło latarki faktycznie musiało wyrzeć na Ekhardzie ogromne wrażenie, skoro tak o nim mówił.

– Takowy cud, jak przeklęty ogień Mateo? – padło pytanie z sali, ale nie wie-

działam, kto je zadał.

– Nie. Tamto światło świeciło tak długo, jak długo płonął patyczek. To świeci, a patyczek żaden nie płonie. I nie można się poparzyć. – Księżę skinął na jednego ze służących stojących za jego siedziskiem i natychmiast usłużny dworak podał mu moją latarkę, którą rano zostawiłam na stole w komnacie rycerskiej. – Oto i ono. – Ekhard podniósł do góry rękę, pokazując wszystkim przedmiot, o którym opowiadał.

Po sali przeszedł szmer.

– A gdzie to światło? – znowu ktoś zadał pytanie.

Księżę obracał latarkę w dłoniach, ale nie potrafił jej włączyć.

– A może trzeba siły nieczyste wezwać, aby światłem rozbłysły? – Salwa śmiechu przetoczyła się po pomieszczeniu.

Weylin odwrócił się do tyłu i sięgnawszy przez stół, odebrał od księcia latarkę. Nacisnął przycisk, który pokazywałam mu rano. Snop światła wystrzelił z latarki. Śmiech umilkł. Oczy wszystkich utkwione były w tym niezwykłym przedmiocie.

– Oto i światło. – Ekhard odchrząknął, chcąc ukryć zmieszanie, że sam nie potrafił tego zrobić. – Ale to nie wszystko.

Weylin nacisnął przełącznik i światło zaczęło pulsować. Z jakiegoś gardła wyrwał się okrzyk podziwu, a może strachu.

– Na świętości Burii! – zakrzyknął siwowłoso, ale z wyglądu wcale jeszcze nie taki stary mężczyzna, podnosząc się od stołu.

Miał długie, proste włosy, które luźno opadały na plecy i ramiona. Twarz o surowych rysach była nadal urodziwa i gładka. Stalowszare, pełne blasku oczy z wyraźną wrogością patrzyły na mnie.

– Piekielne sztuczki. Światło zamknięte w lasce. To bluźnierstwo! Bluźnierstwo! Zło na zamek zostało wpuszczone i zło to siedzi przy naszym stole. Ucztuje z nami! A ty, Ekhardzie, patrzysz na to i przyzwalasz? Po tym wszystkim, co się już stało?

– Panuj nad sobą, Dewinie – upomniał go księżę. – Nie mamy pewności, że ta dziewczka ze złymi zamiarami przybyła. To jeno białogłowa. Może i jest czarodziejką pragnącą dobra ludzi? Jej przedmioty krzywdy nie czynią. Ogień nie parzy.

Siwowłoso, nazwany Dewinem, wycelował we mnie szczupłą, bladą rękę, wysuwającą się z szerokiego rękawa ciemnozielonej szaty. Słowa księcia z całą pewnością go nie przekonały.

– Błagam cię, panie, racz mnie wysłuchać. Racja, że to jeno białogłowa, ale jaką pewność mamy, że zło tym razem pod postacią niewinnej dziewczki kolejny raz nie chce nawiedzić naszego zamku? Mało to nam problemów? Przychodzi nie wiadomo skąd, cuda i dziwy ze sobą przynosi. Omamić nas chce, uspić czujność. Tak samo było, gdy przed laty... Biedna siostra waszej księżęcej mości... Wtedy też wasza księżęca mość dał się zwieść, omamić. Nic dobrego z tego nie było i teraz też nie będzie. Wygnać trza albo lepiej zawczasu spalić...

– Zamilcz, Dewinie! – Księżę poczerwieniał na twarzy. – Nie wspominaj mojej siostry i nie podważaj mego autorytetu!

Spojrzałam na Weylina i zobaczyłam, jak zaciska nerwowo dłonie na rękojeści miecza. Zagryzł usta, a mięsień na jego policzku drgał szaleńczo.

– Wybacz, panie... – Dewin skłonił głowę. – ...ale nie zamierzam milczeć, gdy historia się powtarza. Wasza siostra za swą lekkomyślność okrutnych cierpień

zaznała, a ziemię nasze krwią spłynęły. Krwią niewinnych istot. Nie możemy pozwolić, aby ten czarci pomiot...

Weylin nie wytrzymał. Skoczył i stanąwszy przede mną, wyciągnął miecz, ustawiając się tak, jakby chciał mnie bronić.

– Nikt nie będzie obrażał imienia mojej matki! – krzyknął, a ja zrozumiałam, że to nie o mnie mu chodziło.

– Wystarczy, Weylinie.

Ekhard wstał z krzesła, a szmer głosów natychmiast umilkł. Oczy wszystkich zwróciły się na władcę.

– Nikt nie będzie obrażał honoru naszej rodziny. Dewin właśnie nas opuszcza.

– Księżę zwrócił się do wartowników stojących przy drzwiach, a oni bezzwłocznie podeszli do siwowłosego, stając po jego bokach. – Wyprowadźcie go – polecił.

– To, że mnie wyrzucisz, nie sprawi, że historia się nie powtórzy. Czy ty nie widzisz, Ekhardzie, że twoja rodzina znowu jest zagrożona? Stracisz wszystko, bo przyjmujesz pod swój dach czarcich wysłanników. Stracisz wszystko, Ekhardzie.

Zgromadzeni w milczeniu przyglądali się, jak wartownicy wyprowadzają szarpiącego się mężczyznę. Nawet gdy już zamknęły się za nimi drzwi, nadal jeszcze słychać było złowrogie pokrzykiwanie Dewina.

– No, panowie, wracajmy do pokazu. A ty, Weylinie, usiądź przy mnie.

Weylin niechętnie wrócił na wcześniej zajmowane miejsce. Powoli opuścił miecz, tak jakby obawiał się, że atak może się powtórzyć. Nic jednak złego się nie wydarzyło, a pozostali biesiadnicy nie okazywali najmniejszego zainteresowania ewentualną potyczką.

Zaprezentowałam zgromadzonym trzymane w dłoni jo-jo i po chwili wypuściłam je, czekając, aż sznureczek rozwinie się do końca. Gdy krążek wracał do góry, zwijając sznureczek, okrzyki zachwytu utwierdziły mnie w przekonaniu, że jestem mistrzem. Kilkuminutowy pokaz wszyscy oglądali z zapartym tchem.

Następnie wyjęłam z plecaczka telefon komórkowy i pstryknęłam kilka zdjęć biesiadnikom. Jakże się dziwili, gdy później pokazywałam ich utrwalone wizerunki. Dla Ekharda przygotowałam coś ekstra – nagrałam krótki film z jego udziałem.

Na koniec wzięłam mp3 i włączywszy swój ulubiony kawałek, założyłam słuchawki na uszy władcy. Na początku się wystraszył, a później zaczął wystukiwać rytm palcami na blacie stołu. Poprosił, abym nauczyła tej piosenki jego chór. Cóż, w końcu piękno przeboju *Time to say goodbye*, śpiewanego przez Andreę Bocellego i Sarę Brightman, jest ponadczasowe.

Incydent z Dewinem nie zmałował dobrej atmosfery, ale pozostawił ślad w mojej pamięci. Przed laty musiało się tu coś stać. Musiał przybyć ktoś, może z czasów mi współczesnych. Pewnie to on pokazał im zapałki. I przez niego księstwo nawiedziło jakieś nieszczęście. Tylko kto się do niego przyczynił i co wspólnego miała z tym matka Weylina?

Na razie musiałam poskromić swoją ciekawość i skoncentrować się na zabawianiu gości księcia. Chyba dobrze wywiązałam się z tego zadania, bo kiedy skończyłam występ, gromkie brawa nie były jedyną nagrodą, jaką za niego otrzymałam. Na zakończenie wieczoru Ekhard wręczył mi swój własny, zdjęty z palca, sygnet z ogromnym szmaragdowym kamieniem. Byłam zadowolona, ale wino cały czas szumiało mi w głowie, a senność dawała o sobie znać z coraz większą siłą. Ziewnęłam

kilkakrotnie, co nie uszło uwagi Ekharda.

– Nasza czarodziejka widać, że zmęczona. Niech wypocznie, aby kolejnego wieczoru mogła nam nowe cuda pokazać – zarządził, dając tym znak, że uczta dobiegła końca. – Odprowadź ją, Weylinie, coby nie pobłądziła po ciemnicy. Miej na nią baczenie, bo...

– Tak, panie.

Weylin schwycił mnie jedną ręką za łokieć, a w drugą wziął mój plecak, który zostawiłam na oparciu krzesła. Nawet nie zdążyłam się odezwać, gdy niemalże wywlekł mnie z komnaty. Przez chwilę starałam się dorównać mu kroku, ale szedł tak szybko, że było to niewykonalne. Potknęłam się o jeden ze stopni, a on momentalnie zwolnił i odwrócił się w moją stronę.

– Nie tak szybko – wydusiłam z siebie.

Nie odezwał się, ale teraz szedł już wolniej. Korytarze tonęły w mroku, który słabo rozpraszały pochodnie zatknięte w metalowe uchwyty na ścianach. Nawet nie starałam się zapamiętać drogi. W pewnym momencie poczułam jednak na twarzy podmuch wiatru i uzmysłowiłam sobie, że zapewne znaleźliśmy się na krużganku otaczającym wewnętrzny dziedziniec.

– Co za piękna noc – westchnęłam, zaciągając się świeżym powietrzem wolnym od dymu świec i pochodni, jakim przesiąknięta była sala biesiadna.

Wyswobodziłam rękę z uścisku Weylina i chwiejnym krokiem podeszłam do balustrady. Oparłam się o nią. Uniosłam głowę do góry, pragnąc wypatrzeć gwiazd. Niestety, niebo było czarne, nieprzeniknione. Bez gwiazd i księżyca.

– Jesteś inna niż znane mi kobiety.

Weylin stał z tyłu, najwyraźniej mnie obserwując.

– Bo jestem czarodziejką. – Roześmiałam się, a alkohol cudownie szumiał w mojej nieprzywykłej do picia głowie.

– Skąd naprawdę przybyłaś?

Wreszcie postąpił te dwa dzielące nas kroki i zrównał się ze mną. Znajdował się dokładnie tuż obok. Nasze ramiona prawie się stykały.

– A czy to ważne?

Ciekawe, jak by zareagował, gdybym powiedziała prawdę. Czy mógłby w nią uwierzyć? Pewnie czarodziejki, wróżki, wiedźmy i inne dziwne stwory były dla niego bardziej realne niż kobiety przenoszące się w czasie wprost z dwudziestego pierwszego wieku do... No właśnie, gdzie ja jestem? Warunki życia, zamek, rycerze, wieśniacy... wszystko wskazywało na to, że przeniosłam się w jakieś dawno minione wieki. Porozumiewaliśmy się bez trudu, chociaż używali oni czasem zabawnych zwrotów, więc zapewne byłam gdzieś na terenach polskich. Ale ta niby Polska była jakaś dziwna... nie tylko dlatego, że imiona brzmiały zupełnie obco, ani nie dlatego, że nie przypominałam sobie z lekcji historii żadnego księcia Ekharda... Cały czas miałam wrażenie, że tu wszystko jest jakieś inne i zupełnie nic z tego nie rozumiałam.

– Jak zwą twoje księstwo? – zapytałam, zwracając twarz w jego stronę.

– Buria – odpowiedział.

Nasze oczy spotkały się, a ja poczułam dziwne drżenie. Pewnie to wina alkoholu.

Chciałam zapytać, gdzie znajduje się Buria, bo jakoś z niczym mi się nie koja-

rzyła, ale bałam się, bo... on wtedy mógłby zapytać, gdzie znajduje się ta moja Nibylandia, jak się dostałam do Burii... I co wtedy miałabym powiedzieć? Zamiast tego zadałam najgłupsze pytanie, na jakie było mnie w tej chwili stać:

– O co chodziło Dewinowi, gdy mówił o twojej matce?

Weylin zeszytniał, a po chwili odwrócił się gwałtownie. Piękna chwila właśnie się skończyła.

– Chodź! – Jego głos zabrzmiał niebywale szorstko.

Mocno chwycił mnie za rękę, mimowolnie sprawiając mi ból. Nie miałam innego wyjścia, jak ruszyć za nim.

– Przepraszam, ja nie chciałam... – próbowałam załagodzić sytuację, ale udawałam, że mnie nie słyszy.

– Życzę ci dobrej nocy – odezwał się dopiero, gdy odprowadził mnie do komnat Laveny.

– Dziękuję – wydukałam, ale on mnie nie słuchał.

Zamaszystym krokiem podszedł do drzwi. Peleryna upięta na jego ramionach zafurkotała pod wpływem tego gwałtownego ruchu. Wyglądał tak, jakby się szykował do skoku w przepaść. Lavena, która czekała na mój powrót, była równie zaskoczona jego zachowaniem. Stała koło mnie w długiej, miękkiej, seledynowej sukni z narzuconym na wierzch także długim, aksamitnym, ciemnozielonym kaftanem, zapiętym na trzy fantazyjne zapinki na wysokości klatki piersiowej. Szerokie rękawy szaty zwieszały się luźno, niczym skrzydła ptaka, muskając końcówkami posadzkę.

– Czyżbyś uchybiła czymś Weylinowi lub Ekhardowi? – zapytała, gdy zostałyśmy same.

Z trudem walczyłam z coraz silniejszą sennością i szumem w głowie. Spróbowałam sformułować jakieś logiczne zdanie, ale z mojego gardła wydobył się tylko niewyraźny bełkot. Na szczęście Lavena dostrzegła mój stan i kładąc to na karb zmęczenia, nie nalegała na udzielenie odpowiedzi. Objęła mnie troskliwie w pasie i podtrzymując ze wszystkich sił, gdyż nogi właśnie w przedziwny sposób odmówiły mi posłuszeństwa, zaprowadziła do komnaty sypialnej.

## VIII. POCZĄTEK NOWEGO ŻYCIA

Błogi sen długo trzymał mnie w swych objęciach. Spałam, nie martwiąc się planem dnia, nie przejmując się czekającymi obowiązkami. Spałam, śniąc o przystojnym rycerzu, który na gniadym koniu uwoził mnie w dal. Daleko, daleko, kierując się w stronę tęczy. To były piękne marzenia, lecz, niestety, w pewnej chwili zakłócone narastającym powoli bólem głowy. Piękny książe zszedł z konia na ziemię i nie oglądając się za siebie, odjechał w dal. Krzyczałam za nim, ale nie reagował. Ból głowy stawał się coraz silniejszy. Zauważyłam, że zaczyna spowijać mnie nieprzyjemna, wilgotna, szara mgła. Krzyk uwiązł mi w gardle.

– Julio, Julio, obudź się. – Usłyszałam przytłumiony, dziwnie obcy głos, dobiegający właśnie z tej mgły.

Zebrałam w sobie wszystkie siły i otworzyłam ciężkie powieki.

– Już idę, babciu – wymamrotałam z trudem.

Miałam wrażenie, że moje usta wyschły na wiór, a głowa za chwilę eksploduje. Uniosłam rękę do czoła i poczułam na nim coś mokrego. Obrazy były jeszcze zbyt rozmazane, nie mogłam więc dobrze przyjrzeć się otoczeniu, miałam jednak pewność, że ktoś pochyla się nade mną.

Co się stało? Wczoraj w lesie, gdy upadłam, musiałam uderzyć się w głowę – stąd ten ból i zawroty. Pewnie Mateusz, zaniepokojony moją długą nieobecnością, wrócił na polankę i mnie tam odnalazł. Tak, na pewno. Narobiłam tylko zmartwień babci. A przecież to ja miałam się nią opiekować.

– Spokojnie, nie zdejmuj okładu.

Usłyszałam znowu ten głos, który jednak nie należał do babci. Był zbyt młodzińczy i taki dźwięczny.

Ktoś powstrzymał moją rękę od zdjęcia kompresu z czoła.

– Co się stało?

Wyteżyłam wzrok, próbując skupić go na stojącej w pobliżu postaci. Niestety, obraz wciąż się rozmazywał niczym na pędzącej karuzeli. Wirowało mi też w głowie.

– Uczta ci nie posłużyła. Wino za mocne było.

Uczta? Wino? Skoncentrowałam myśli, podejmując rozpaczliwą próbę usystematyzowania tego, co było snem, a co jawą. A może ja nadal śnię? Uszczypnęłam się w ramię i poczułam ból.

Las! Kamień! O matko! Teraz do mnie dotarło. Zamknęłam oczy, modląc się, aby to jednak był tylko sen. To sen, tylko sen. Przecież człowiek nie może przenieść się w czasie. Kompletna bzdura!

– Napij się tego.

Ktoś pomógł mi się unieść i przytknął mi do ust naczynie z jakąś chłodną, dziwnie pachnącą substancją. Skrzywiłam się na sam zapach. Chociaż moje wnętrzności aż się skręcały, błagając o odrobinę wody, postanowiłam, że żadna siła nie zmusi mnie do wypicia tego ohydztwa.

– Musisz się napić. To tylko napar z skrzeczokrzewu i krwawnika. Poczujesz się po nim o wiele lepiej.

Gorzej na pewno się już nie poczuję. Niechętnie uchyliłam spierzchnięte wargi. Napój był niesmaczny, ale cudownie gasił pragnienie. Przynosił ulgę wysuszonemu gardłu. Piłam, dopóki w pucharze nie pojawiło się dno, po czym ponownie położyłam się na poduszce. Po kilku minutach ból głowy jakby trochę zelżał. Zasnęłam.

Nie wiem, ile spałam, ale ten sen był dobroczynny, być może wywołany działaniem naparu, którym mnie napojono. Kiedy otworzyłam oczy, nie miałam już problemu z ostrością widzenia. Obraz był klarowny i mogłam rozróżnić wszystkie szczegóły otoczenia. Dostrzegłam kolumnienki wspierające baldachim zawieszony nad łóżkiem, ciemnozielone kotary upięte po bokach posłania i dziewczynę w fioletowej sukni, siedzącą na jego skraju.

– Lavena – wyszeptałam, a ona odwróciła się w moją stronę i uśmiechnęła.

– Wreszcie wracasz do żywych. Ale nam strachu napędziłaś. Myśleliśmy, że cię kto podtruł na uczie. Książę Ekhard był wielce zafrasowany. Na szczęście Dewin zna lekarstwa wszelakie i uwarzył ci ziół.

– Dewin?

Pamiętałam to imię. Poczulałam nieprzyjemny ucisk w brzuchu na myśl o siwo-włosym mężczyźnie, który tak nieprzychylnie odniósł się do mnie wczorajszego wieczoru. Jeśli ktoś na uczie miałby mnie otruć, to właśnie tylko on.

– To nasz nadworny medyk i mag wielce uczony – zapewniła, a ja odniosłam dziwne wrażenie, że nie mówi mi o wszystkim. Unikała mego wzroku, patrząc gdzieś w bok. – Jak nikt zna się na ziołach i mikstury skuteczne uwarzyć potrafi. On odgadł, że do wina nie przywykłaś.

– Bo u nas wina nie pije się beczkami.

Zdjęłam z głowy okład i oddałam go Lavenie. Byłam zła, że sprowadzili do mnie Dewina, nawet jeśli był jedynym lekarzem w okolicy. Sto razy bardziej wolałabym mieć ból głowy i kaca, niż być leczoną przez osobę, która niechybnie życzy mi śmierci.

– To co wy pijecie do posiłków? Przyniesz obiad dla naszego gościa – zwróciła się do służki, oddając jej niepotrzebny już kompres, a ta skłoniła się nisko i pośpiesznie opuściła komnatę.

– Wodę, herbatę, czasem kawę. Ja lubię też colę. – Wyliczyłam jednym tchem, myślami krążąc już wokół zamówionego posiłku. Właśnie poczułam, jak bardzo jestem głodna!

– Dziwna ta twoja kraina. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Mam nadzieję, że trochę mi o niej opowiesz. Oczywiście nie teraz, bo wiem, że musisz się posilić i przygotować przed wieczornym występem, ale przecież mamy mnóstwo czasu. Weylin mówił, że zostaniesz u nas na dłużej.

– Był tutaj? – zapytałam nieśmiało. Ostatnie, czego chciałam, to żeby zobaczył mnie nieprzytomną od nadmiaru alkoholu.

– Jeszcze nie, ale tylko patrzeć, jak się zjawi. Jego sługa już nas powiadomił, że Weylin wrócił z porannego objazdu.

– Z porannego objazdu? – zaciekałam się.

Przypuszczałam, że wczorajsze spotkanie z gromadą rycerzy pod przewodnictwem Weylina było wynikiem właśnie takiej eskapady. Zjawili się nagle i jak by nie patrzeć dzięki temu dzisiejszą noc spędziłam w wygodnym łóżku, a nie pod przydrożnym drzewem. Wolałam nawet nie myśleć, co by się stało, gdyby akurat tamtędy



nie przejeżdżali.

– Często wybiera się na takie wycieczki?

– To taka jego tradycja. Zawsze rano ze swoją drużyną jedzie na objazd okolicy. Właściwie stara się jak najwięcej czasu spędzać poza murami. Myślę, że w zamku mu ciasno. Dusi się tu. Ci wszyscy ludzie, którzy go otaczają... Gdyby nie Ekhard, pewnie by... – Umilkła, jakby spłoszona, że powiedziała o kilka słów za dużo.

Zauważyłam, jak nerwowo zaczęła skubać rąbek sukni. Złote hafty na rękawach mieniły się w blasku pochodni. Refleksy świetlne tworzyły na materiale przedziwną mozaikę światłocieni. Dziwiłam się, że pochodnie płoną nawet w dzień, ale faktycznie bez nich w komnacie byłoby ciemno.

Miałam ogromną ochotę wyciągnąć z Laveny więcej informacji o jej bracie. Gdy Dewin wspomniał o jego matce, bardzo go to rozzłościło. Nie wiem dlaczego, ale miałam dziwne przeczucie, że musiało to mieć związek z kimś, kto prawdopodobnie przybył z moich czasów. Przecież Dewin wyraźnie mówił, że nie ma pewności, iż zło, skryte obecnie w mojej postaci, ponownie nie nawiedziło zamku. Ponownie! Czyli to nie pierwszy raz!

Już miałam otworzyć usta, aby zadać nurtujące mnie pytanie, gdy drzwi komnaty się otworzyły, a służąca oznajmiła, że przybył Weylin. Lavena natychmiast wstała i wyszła razem ze służką, zostawiając mnie samą.

Z pewnym trudem podniosłam się z łóżka i otulona kocem podeszłam ostrożnie do niedomkniętych drzwi. Ponieważ szłam boso, nie było słycać moich kroków. Zatrzymałam się przy framudze i uważając, aby nie zostać odkrytą, zerknęłam do sąsiadującego pomieszczenia.

– Witaj, siostrze!

Weylin bynajmniej nie okazywał braterskiej wylewności. Stał sztywno wyprostowany na wprost Laveny, która pokłoniła się przed nim niczym przed jakimś wielkim panem.

– Jak nasza podopieczna?

– Szczęśliwie już wszystko z nią dobrze.

– Czyli da radę wieczorem uświetnić ucztę swym występem?

– Tylko miej baczenie, żeby wina nie piła.

Lavena podeszła do brata. Położyła mu dłoń na ramieniu, strząsając z niego jakiś niewidoczny paproch. W tym geście dostrzegłam wiele czułości. Co to za straszne czasy, gdzie mężczyźni nie wolno okazywać uczuć nawet wobec swych bliskich? A może to tylko Weylin jest takim gburem? Jakoś trudno było mi w to uwierzyć.

– Skąd miałem wiedzieć, że ona nienawykła do naszych zwyczajów?

Rozmawiali ze sobą, nie mając pojęcia, że obserwuję ich przez szparę w uchylonych drzwiach. O to mi zresztą chodziło, bo mogłam spokojnie przyjrzeć się memu wybawcy. Dziś Weylin ubrany był w brązową, długą do kolan tunikę, zapinaną z przodu na liczne złote guziki. Pod szyją widać było stójkę od białej koszuli. Brązowe, wąskie spodnie, wpuszczone w wysokie skórzane buty, sięgające powyżej kostek, dopełniały obrazu.

– Ekhard byłby niepokieszony, gdyby nie mogła wystąpić. Bardzo zależy mi na tym, aby ona... aby ta...

– Julia – odpowiedziała Lavena.

– Aby Julia zjawiła się dzisiaj – dokończył.

– Zjawi się. Dewin obiecał.

– To dobrze. Nie mam do niego zaufania, ale tylko on jeden był w stanie tak szybko jej pomóc, a poza tym chyba nie zrobiłby niczego, co mogłoby cię zasmucić.

– Co się stało wczoraj na uczcie? – Udała, że nie usłyszała ostatniej części zdania, tak jakby najwyraźniej czegoś się wstydziła. – Za co Ekhard kazał wyrzucić Dewina?

– Wspomniał naszą matkę – uciał krótko. – Przyjdę później po... po Julię. – Odwrócił się i równym krokiem podszedł do drzwi. W progu zatrzymał się jeszcze na moment. – Balduria rodzić zaczęła i ponoć kiepsko z nią jest. Herman mówił, że ciebie wzywa.

– Och, biedaczka! Zaraz do niej pobiegnę. Dziękuję, bracie, żeś mi o tym powiedział.

Drzwi wyjściowe trzasnęły, a ja pospiesznie wróciłam do łóżka, nie chcąc, aby ktokolwiek odkrył, iż podsłuchiwałam.

– Wybacz, ale nie będę mogła towarzystwa ci dotrzymać. Dwórki się tobą zajmą. – Lavena zajrzała tylko do sypialni. – Balduria mnie wzywa, a że ona dla mnie prawie jak siostra, nie mogę jej w potrzebie zostawić.

– Oczywiście, nie ma sprawy. – Uśmiechnęłam się do niej. – Mną się nie przejmuj. To całkiem zrozumiałe, że chcesz być przy... – Zająknęłam się, gdyż o mały włos nie zdradziłam tego, iż podsłuchiwałam rozmowę Laveny z Weylinem. Nie miałam przecież prawa wiedzieć, że Balduria rodzi i pojawiły się komplikacje. – Przy swojej przyjaciółce, gdy ta cię potrzebuje – dokończyłam.

– A ty potrzebujesz czegoś jeszcze ode mnie? – spytała nerwowo, pragnąc pewnie jak najszybciej podążyć do komnat Baldurii.

– Nie, nic, tylko... – Zawahałam się, zastanawiając, czy jeszcze zawracać jej głowę, czy przełożyć tę rozmowę na później, jednak moja głupia ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. – Księżę często urządza ucztę?

To niby proste pytanie chyba ją zaskoczyło, bo otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Wczoraj ucztą, dziś ucztą... pewnie jutro także. Mocną głowę muszą mieć wasi rycerze. Ja po jednej ledwo żyję.

– Dzisiejsza ucztą jest ostatnią – powiedziała dobitnie, akcentując słowo „ostatnią”. – Akurat teraz jest czas łowów.

– Łowów?

– Raz na trzy lata organizowane są łowy. Najznamienitsi rycerze biorą w nich udział. Z całego księstwa się zjeżdżają. To ważny moment. Przed łowami wszyscy panowie przez sześć wieczorów uczują, a siódmego dnia rano jadą na polowanie. Dziś właśnie pora na tę ostatnią, szóstą biesiadę.

– Każda okazja jest dobra do świętowania. Tydzień balangi, a później dzikie łowy niewinnych zwierząt. To się nazywa rzeź! – wykrzyknęłam oburzona.

W głowie nie mieściło mi się coś równie okropnego. W tej epoce, w której się znalazłam i którą uważałam za średniowiecze, niezłe życie mieli rycerze. Albo ucztowali, albo polowali. No pewnie były jeszcze jakieś wojny czy coś takiego, ale na razie jeszcze nikt nic o nich nie wspominał, wnioskowałam więc, że trafiłam na okres pokoju.

– Nie mów tak! – Szybko pokonała dzielącą nas odległość. Najwyraźniej moje wystąpienie wyprowadziło ją z równowagi, gdyż dłonie jej drżały, a w oczach pojawiły się łzy. – Nie każdy z nich wróci do domu... Niektórzy uczują ostatni raz w życiu.

– Co? – Z wrażenia mnie zatkało. – Dlaczego?

– Przecież to łowy. – Dla niej było to zupełnie oczywiste, dla mnie stanowiło niezrozumiałą, całkiem abstrakcyjną sytuację.

– Nie rozumiem... Faceci piją, bawią się w najlepsze, a później, aby podbudować swoje męskie ego, jadą na polowanie, zabijając przy tym niewinne stworzenia. Dla mnie to obrzydliwość. I dlaczego mówisz, że część tych dzielnych wojaków nie wraca już do domów? Czyżby po takiej imprezie nie potrafili utrzymać się w siodle i spadając, skręcali sobie karki? – Roześmiałam się, ubawiona własnym dowcipem, jednak Lavena nie wyglądała na rozweseloną.

– Jak możesz tak mówić? – Dumnie uniosła głowę, zadzierając odrobinę brodę.

Miała ładny profil z regularnymi rysami. Jej jasne włosy, teraz nieskrępowane siateczką, luźno opadały na plecy, układając się w lekko skręcone loki.

– No a po co są takie polowania? Aby faceci mogli zaspokoić swoją żądzę mordy! Wcześniej uczują, piją i napychają sobie brzuchy, a później...

Na wspomnienie jedzenia mój żołądek mocno skręcił się z głodu, domagając się strawy. Jedynym pocieszeniem było to, iż Lavena poleciła przynieść obiad, było więc pewne, że jej życzenie wkrótce zostanie spełnione. Ból głowy minął całkowicie i obecnie nie miałam już żadnych objawów przedawkowania alkoholu. Zioła Dewina czyniły cuda, nawet jeśli ich twórca sam był mało przyjemnym typkiem.

– Obrażasz tych dzielnych rycerzy, w tym i mojego brata. Łowy to poważna sprawa. Oni ryzykują dla nas swoim życiem, a ty takie rzeczy wygadujesz. Wybaczam ci tylko dlatego, że z daleka pochodzisz.

– Przepraszam, Laveno!

Wyraz jej oczu mnie przestraszył. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowałam, to utrata przychylności siostry Weylina. Byłam tu zaledwie dobę, a już zdążyłam dorobić się całej armii wrogów. Jak tak dalej pójdzie, moje życie w tej dziwnej krainie stanie pod znakiem zapytania.

Gwałtownie uklęknęłam w pościeli i złożyłam dłonie jak do modlitwy.

– Wybacz mi moją ignorancję. Masz rację, nie wiem nic o waszym życiu, więc niepotrzebnie się wypowiadam. To wszystko wina tego, że kraj, z którego pochodzę, jest zupełnie inny niż wasz. Jeśli opowiesz mi, wyjaśnisz, to ja wszystko zrozumieję. O co chodzi z tym polowaniem?

Byłam pewna, że wreszcie otrzymam odpowiedź na nurtujące mnie pytanie, jednak zanim Lavena zdążyła cokolwiek powiedzieć, powróciła służąca, niosąc dużą tacę, zastawioną srebrnymi naczyniami. Zapach potraw mile polechtał mój nos.

– Nie mnie z tobą o tym rozmawiać, zresztą nie mam czasu. Moja przyjaciółka mnie potrzebuje. – Lavena skorzystała z nadarzającej się okazji. Odwróciła wzrok, tak jakby nie miała ochoty zaszczyścić mnie więcej swoim spojrzeniem. – Nie znam cię, nie wiem, kim jesteś. Weylin kazał się tobą zająć, ale nie wiem, czy mogę zdradzić nasze sekrety. Jak będziesz szła z nim na ucztę, to go zapytaj. Jeśli zechce, to ci opowie, jeśli nie, to już nie moja sprawa. – Wyminąwszy dwórkę, wyszła z pomiesz-

czenia.

## IX. ROK SIÓDMYCH ŁOWÓW

Obiad był pyszny. Pieczony drób smakował wybornie, zaś placuszki nadziewane owocami wprost rozpływały się w ustach. Pokrzepiona tak obfitym posiłkiem, nabrałam sił i chęci do życia. Po kacu nie został nawet ślad. Ach, gdyby w naszych czasach lekarze znali tak rewelacyjne środki na problemy wynikłe z nadużycia alkoholu. Może dopytam o recepturę i gdy wrócę, opatentuję ten specyfik, zbijając na nim fortunę? Pomysł był świetny, tylko... Czy ja kiedykolwiek wrócę do domu? Czy zobaczę jeszcze babcię? Biedna, pewnie od zmysłów odchodzi, martwiąc się o mnie.

Naszły mnie okropne, wręcz monstrualne wyrzuty sumienia. Gdyby nie moja głupota i ciekawość, nadal spokojnie żyłabym w Kamienisku, zajmując się schorowaną staruszką. Jednak w przysłowiu „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła” jest wiele racji.

Wstałam z łóżka. Kamienna posadzka ziębiła bosc stopy. Chłód zdawał się wyzierać z każdego zakamarka pomieszczenia. Grube mury nie przepuszczały słonecznego ciepła, a zresztą wcale tego słońca nie widziałam. Pogoda cały czas była paskudna, wręcz jesienna. Wzdrygnęłam się, obejmując ramionami, aby chociaż trochę się rozgrzać. Długa lniana koszula nocna nie chroniła zbyt dobrze przed chłodem. Rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu czegoś do ubrania.

Pomieszczenie było obszerne, prawie puste, nie licząc ogromnego łoża z baldachimem, stojącego pod jedną z węższych ścian, dwóch zasłanych skórami kufków oraz drewnianej, solidnej ławy, ustawionej w pobliżu wygaszonego kominka. Na ścianie nad ławą wisiały trzy ręcznie tkane kilimy z motywem roślinnym, zaś nad kominkiem znajdowała się połyskująca tarcza z wygrawerowanym na niej dziwnym stworem – ni to ptakiem, ni to smokiem, stojącym na dwóch tylnych łapach z przednimi uniesionymi jakby do ciosu i z rozpostartymi skrzydłami.

Podeszłam do strzelistego, wąskiego okna na przeciwległej drzwiom ścianie i wyjrzałam na zewnątrz. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to zasłane chmurami, szare niebo. Widok na okolicę nie był raczej zbyt ciekawy. Szarobure połacie ziemi, porośnięte krzakami, i zwarta linia lasu na horyzoncie.

Skrzypnęły drzwi i do komnaty ktoś wszedł. Zaciekawiona, odwróciłam się. W progu stała młoda służąca, patrząca na mnie z niepokojem.

– Miałam to... panience... oddać... – wyszeptała, wyciągając przed siebie rękę. W trzymanym przez nią przedmiocie od razu rozpoznałam mój plecak.

– Och! – krzyknęłam radośnie.

Podbiegłam do dziewczyny i chwyciłam ten jakże cenny dla mnie skarb. Mój jedyny łącznik ze światem, z którego pochodziłam. Coś, co sprawiało, że wierzyłam, że miałam pewność, iż nie jestem wariatką. Miejsce, gdzie się teraz znajdowałam, nie było moim domem i nigdy nim być nie mogło. Urodziłam się w dwudziestym pierwszym wieku, w dobie wszechobecnej techniki. W świecie diametralnie różnym od buriańskiego. Tęskniłam za babcią, za mamą, nawet za Burkasem. Oddałabym wszystko, aby obudzić się z tego dziwnego snu. To jednak nie był sen. Dlaczego nie słuchałam słów babci? Dlaczego poszłam do tego przeklętego kamienia?

Dziewczyna pokłoniła się przede mną, po czym pospiesznie wycofała z komnaty, starannie zamykając za sobą drzwi. Odniosłam wrażenie, że wzbudzałam w niej prawdziwy lęk, jednak obecnie nie miałam ochoty głębiej się nad tym zastanawiać. Odzyskałam przecież pamiętki z przeszłości i teraz to zaprzętało wszystkie moje myśli.

Z czułością przycisnęłam dzinsowy plecak do piersi. Moje skarby, mój cały majątek... Skuliłam się na łóżku, tuląc do piersi spraną torbę. Przez kilka minut trwałam w bezruchu, jakby bojąc się, że ktoś zaraz wpadnie do komnaty i wydrze mi siłą mój jedyny dobytek. Wreszcie z namaszczeniem otworzyłam klapkę plecaczka i wyjąwszy z kieszonki telefon komórkowy, spojrzałam na czarny ekran. Ponieważ nie znano tu elektryczności, nie mogłam naładować komórki, aby więc zaoszczędzić baterię, po prostu wyłączałam aparat. Obracałam w dłoniach ten jakże niepozorny przedmiot. W dwudziestym pierwszym wieku miał go prawie każdy, nie wyłączając dzieci z pierwszej klasy szkoły podstawowej. Tu, gdzie się znalazłam, byłam jedynym posiadaczem komórki. Nawet zabawnie to brzmi – pierwszy telefon komórkowy pojawił się w średniowieczu (jakoś kurczowo trzymałam się myśli, że przeniosłam się w czasie). Może kiedyś, za kilkaset lat, archeolodzy odkopią jakiś grobowiec i znajdą w nim szczątki kobiety z telefonem w dłoni. To byłby numer! Już widzę te wszystkie nagłówki gazet. Pewnie sama bym była tym zaskoczona, tyle tylko, że nie będę, bo to moje kości odkopią.

Nacisnęłam przycisk ON. Na wyświetlaczu pojawił się widok wieży Eiffla. Przez chwilę aparat próbował zlokalizować sieć, po czym wyświetliła się informacja o braku zasięgu. Ikonka baterii była wypełniona w jednej czwartej, a zegar uparcie pokazywał godzinę piętnastą zero dwie. Otworzyłam folder ze zdjęciami i odszukałam ostatnie fotki. Babcia siedząca na werandzie, moja mama wpatrzona w ekran laptopa, koleżanki z liceum robiące głupie miny. Jakże mi teraz tego brakowało. Poczulałam łzę spływającą po policzku. Nie wytarłam jej, pozwoliłam, aby skapnęła na koszulę. Ponownie wyłączyłam telefon i schowałam do kieszonki plecaczka.

Chciałam wyć z rozpacz, chciałam rzucić się na kamienne ściany i walić głową w mur. Czułam ogromną, przytłaczającą bezsilność. Nigdy nie byłam w równie beznadziejnej sytuacji. Mój cały uporządkowany świat legł właśnie w gruzach. Gdzie plan dnia, gdzie ustalanie harmonogramu zajęć? Nie miałam nawet zegarka, aby sprawdzić, która dokładnie jest godzina. Czy już do końca życia miałam robić za kuglarzkę, uświetniającą swymi występami książęce uczyty? Od razu wyobraziłam sobie siebie za pięćdziesiąt lat, z pomarszczoną skórą, siwymi włosami, jak stojąc na podwyższeniu, pokazuję po raz stutysięczny sztuczki z jo-jo. Ktoś w ogóle będzie chciał jeszcze to oglądać? A co stanie się ze mną, gdy moje pokazy się znudzą? Bateria w telefonie i mp3 starczy może jeszcze na dwa dni. Co potem?

Bałam się. Naprawdę okropnie się bałam. Byłam wręcz sparaliżowana strachem. Wciągałam powietrze do płuc, ale każdy kolejny haust był dla mnie torturą. Ta niepewność... Ta tęsknota za najbliższymi...

Czy czuliście kiedyś pustkę? Wszeghogarniającą, bezdenną pustkę, która odbiera chęć do życia i sprawia, że świat traci swoje barwy? Ja właśnie tak się czułam i znikąd nie mogłam liczyć na ratunek. W tej krainie, gdzie przyszło mi teraz żyć, nie było ani jednej życzliwej mi duszy. Nawet Lavena przestała darzyć mnie sympatią. Niepotrzebnie wypowiadałam swoje opinie na temat polowań. Nie powinnam w ogó-

le zabierać głosu w sprawach dotyczących tego świata. Ja tu nie pasuję, to nie jest moje miejsce.

Ekhard na razie traktuje mnie jak zabawkę. Kuglarzę, błazna. Jeśli dzięki temu mam dach nad głową, jedzenie i jestem w miarę bezpieczna, to muszę starać się, aby tego nie utracić. Mogłam się już przekonać, że bez protektora, który stanąłby w mojej obronie, nie mam co liczyć na długie życie. Kompani Weylina byli chętni, aby wysłać mnie na stos, a Dewin z ochotą poparłby ich zamierzenia. Dodatkowo miałam prawie stuprocentową pewność, że nie byłiby w tym osamotnieni. Tylko Ekhard, Weylin i Lavena mogli stać się moją gwarancją nietykalności, a ja właśnie nieopatrznie uraziłam jedną z tych osób.

Moje żalosne rozmyślenia przerwało ponowne pojawienie się dwórki, która wróciła po naczynia z obiadu. Jej widok poprawił mi nastrój. Postanowiłam, że od tej chwili postaram się zjednać do siebie jak największą liczbę osób. Pokażę im, jaka jestem przyjazna, sympatyczna i w ogóle dobra. A zacznę od tej dziewczyny.

– Jak miło cię widzieć – zagadnęłam, uśmiechając się przy tym przymilnie.

Zatrzymała się niezdecydowana i popatrzyła na mnie z widocznym strachem.

– Jak masz na imię? Bo ja jestem Julia – ciągnęłam, niezrażona jej milczeniem.

– Marion – wydukała.

Była bardzo młoda, zapewne młodsza ode mnie. W skromnej, długiej do ziemi szarej sukni z białym fartuchem zawiązanym w pasie oraz w białym czepku, szczelnie osłaniającym włosy, wyglądała niczym mniszka.

– To tak jak dziewczyna Robin Hooda – zażartowałam.

– Panienska wybaczy, ale nie znam żadnego Hooda – odpowiedziała zmieszana.

– Jasne. Ja tylko tak... – Muszę się bardziej starać. – Ładny ten zamek. – Nie traciłam nadziei na nawiązanie rozmowy.

Marion zabrała tacę z łóżka i popatrzyła na mnie jak na szaleńca.

– Książę Ekhard dba o swoje włości.

– Tak, to widać – przyznałam skwapliwie. – Ziemia piękna, ludzie szczodrobliwi.

Chyba nie wiedziała, co mi odpowiedzieć, gdyż tylko stała i patrzyła na mnie.

– A możesz mi powiedzieć, jaką datę dziś mamy? – To doskonały pomysł! Wreszcie dowiem się dokładnie, do jakiej epoki trafiłam.

– Dziś dzień ostatniej uczyty.

– A dokładniej? Który rok? Miesiąc? – podpowiedziałam, pragnąc naprowadzić to widać niezbyt rozgarnięte dziewczę na właściwe tory.

Zadrzała, tak jakbym groziła jej czymś niewysłowienie strasznym. Mogłabym przysiąc, że pod nosem wymamrotała cicho jakąś modlitwę albo egzorcyzm.

– Który rok mamy? – powtórzyłam, nadal się przymilając.

– Rok siódmych łowów.

Mówiła tak cicho, że ledwie ją rozumiałam.

– Łowów?

Przypomniałam sobie, jak Lavena mówiła o tym, że polowanie odbywa się co trzy lata, co pomnożone przez siedem daje nam okres dwudziestojednoletni. Dziwna miara czasu, wcale jej nie znałam. Z nauki w szkole oraz różnych filmów i książek wiedziałam co nieco o średniowieczu, ale teraz okazywało się, że moja wiedza była zupełnie nieadekwatna do tego, co tu zastałam. Czyżbym aż tak się myliła? Nie, to

raczej niemożliwe!

– A pora roku jaka jest? Zauważyłam, że niebo chmurami zasnuwane. Czyżby była jesień?

Pojęcie pory roku musiało być dla niej równie abstrakcyjne, jak wszystko, co mówiłam. Patrzyła na mnie jak na szaleńca albo innego, równie groźnego dziwoląga.

– Czy już po zbiorach, czy jeszcze przed nimi? – zapytałam, pragnąc ułatwić jej odpowiedź, jednak i to nie pomogło.

Dziewczyzna najwyraźniej była wyjątkowo ograniczona umysłowo. Zaczęłam dziwić się, że Lavena wzięła sobie kogoś takiego na dwórkę.

– Ja... Czy ja mogę odejść? – Marion trzęsła się jak osika, a naczynia ustawione na trzymanej przez nią tacy pobrzękiwały, wydając metaliczny odgłos.

– Dziękuję, bardzo mi pomogłaś. – Nie przestawałam się uśmiechać. – Czy mogłabyś jeszcze tylko znaleźć mi coś do ubrania? Zimno tu strasznie.

Pokłoniła się przede mną, cały czas pobrzękując zastawą, po czym w nadzwyczaj szybkim tempie opuściła komnatę. Znowu zostałam sama, tym razem jednak nie na długo. Po chwili wróciła jakaś inna, starsza dwórka, trzymająca na ramieniu naręczce przeróżnych strojów.

– Niech panienka nie męczy Marion.

Ta kobieta była odważniejsza od swojej poprzedniczki, bo sama zaczęła rozmowę. Rozłożyła ubrania na łóżku i popatrzyła na mnie, podpierając się przy tym pod boki. Była niewysoka i korpulentna, odziana w taką samą szarą suknię jak Marion, ale zamiast białego fartucha miała na sobie coś na kształt czarnej, długiej do ziemi kamizelki bez rękawów, sznurowanej z przodu na wysokości klatki piersiowej i rozchylającej się od pasa w dół, ukazując materiał spodniej warstwy. Jej włosy, zamiast mnisiego czepka, zakrywał czarny toczeł, ozdobiony misternym haftem, upięty za pomocą kilku ozdobnych szpil.

– Ależ wcale nie miałam takiego zamiaru! Zapytałam jedynie o datę.

– Marion od pracy tu jest, nie żeby o jakichś datach rozprawiać. – Zielone oczy wpatrywały się we mnie z napięciem. – Skąd panienka przybyła?

– Z... Nibylandii – powtórzyłam przygotowaną wcześniej wersję.

– Czy to Mateo panienkę tu przysłał? – W jej głosie słychać było napięcie.

Mateo? Kim był ten mężczyzna, którego imię wszyscy wymawiali z takim strachem? Jeśli to on pokazał im zapalki, czy pochodził z moich czasów? A jeśli tak, to co takiego strasznego zrobił, że naraził się na gniew wszystkich?

– Nie znam nikogo o tym imieniu – zapewniłam gorliwie. – Trafiłam tu zupełnie przypadkowo. To stało się poniekąd wbrew mojej woli. Oddałabym wszystko, aby wrócić do domu.

– To czemu panienka nie wraca? – Nie wyglądała na przekonaną.

– Bo za cholere nie wiem jak!

Upsss... chyba nie powinnam bluźnić, na szczęście kobieta nie zrozumiała znaczenia tego słowa. I bardzo dobrze.

– I nie chce panienka skrzywdzić panienki Laveny ani panicza Weylina?

– Nie. Ani mi to w głowie.

– I naszej krainy też panienka nie chce na zatracenie skazać?

– Przysięgam, że nawet przez chwilę nie miałam takich zamiarów.

– Niech panienka pamięta, że ja patrzę i będę mieć baczenie na panienkę. Gdy-



by panienka coś złego uczynić chciała... Mniemam, że panienka fałszywych słów nie prawi, dlatego wierzyć panience będę.

– Dziękuję. – W pewien sposób poczułam ulgę. – Mnie także nie jest łatwo. Nie znam tu nikogo, sama jestem jak palec. Tęsknię za domem. Wasze życie i zwyczaje są mi całkiem obce.

– Niech panienka mnie się słucha, a wszystko dobrze będzie. Ja Lavenę wykarmiłam od dziecięcia, gdy ino na świecie się pojawiła. Jej biedna matula, a pani nasza... Niech panienka mnie się słucha – powtórzyła.

– Będę. Uroczyście obiecuję.

Żałowałam, że przerwała tak interesujący temat, dotyczący matki Weylina i jego siostry, ale nie chciałam pytaniami spłoszyć kobiety, która mogła pomóc rozwiązać kilka nurtujących mnie zagadek. Nie popełnię już takiego błędu jak przy Lavenie.

– Tu stroje panienka ma. – Wskazała na łóżko. – Wszystkie po Lavenie, ale całkiem dobre jeszcze. Kilka codziennych i jedna na dzisiejszą ucztę, szczególnie.

Ze stosu ubrań wybrała atlasową suknię w odcieniu écru z długimi, rozcinanymi, dwuwarstwowymi rękawami i stanikiem zdobionym drobniutkimi perełkami. Musiałam przyznać, że szata wyglądała olśniewająco. Oczami wyobraźni już się w niej widziałam, dumnie kroczącą u boku Weylina.

– Jest piękna – wyszeptalam, dotykając delikatnego, mieniącego się materiału. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Bo to materiał szlachetny i na zamówienie sprowadzany. Nasze tkaczki go nie utkały, choć wprawione są w swoim rzemiośle. W tej sukni będzie panienka wyglądać niczym księżniczka jaka. – Kobieta sama z podziwem przyglądała się kreacji. – Pamiętam, jak Lavena pierwszy raz ją założyła. To było wtedy, gdy poselstwo z Kantonii przybyło. Wszyscy byli urodą naszej panienki zachwyceni, bo to i po prawdzie drugiej równie urodziwej ze świecą trudno szukać.

– Lavena też będzie na dzisiejszej uczcie? – wtrąciłam niby niewinne pytanko.

– A gdzieżby tam! – zachnęła się służąca. – Toż to nie rycerz, tylko dama. Gdzie jej na takową ucztę iść!

– Nie rozumiem waszych zwyczajów. Cóż złego jest w uczcie? Wszyscy świętują i bawią się. Czemu kobiety nie mogą w nich brać udziału?

– W innych ucztach mogą, ale nie w tych przed łowami.

– Dlaczego?

Serce zaczęło mi szybciej bić. Ta kobieta była kopalnią wiedzy, a ja tej wiedzy bardzo teraz potrzebowałam. Znowu jednak się zagalopowałam.

– Co to za uczta, a przede wszystkim o co chodzi z tymi łowami? Czemu nimi czas mierzycie? Co było wcześniej? I dlaczego mnie ów zakaz nie dotyczy?

– Dość tego. Niech panienka o nic więcej nie pyta. I tak dużo powiedziałam. Są rzeczy, o których kobiety rozprawiać nie powinny! – krzyknęła, ucinając wszelkie dyskusje. – Niech się lepiej panienka ogarnie, bo to nie przystoi cały dzień w koszuli nie po komnacie biegać.

Czyli nie dowiedziałam się niczego nowego. Zbyt dużo tych wszystkich tajemnic. Rok siódmych łowów? Jeśli tylko mężczyźni mogą rozmawiać o takich rzeczach, to w takim razie muszę zapytać jednego z nich. Lavena proponowała, abym zapytała Weylina, wątpiałam jednak, by chciał udzielić mi odpowiedzi. Księżę Ekhard także

odpadał. Kompania Weylina? Do tej pory drżałam na wspomnienie wczorajszego porannego spotkania z nimi. Kto mi pozostał? Dewin? Osoba, która chciała się mnie pozbyć, ale jednocześnie pomogła mi, gdy byłam niedysponowana. Nie rwałam się do spotkania z nim, ale w tym momencie on jeden wydawał się odpowiednią osobą. Jako człowiek zaufany i uczony, z pewnością wiedział o wszystkim, co tak bardzo mnie interesowało. Tylko czy zechce się tym ze mną podzielić? A może zna sposób, abym mogła wrócić do siebie? Po wczorajszym wieczorze nie pałał do mnie zapewne nawet odrobiną sympatii, ale jeśli uda mi się go przekonać, że nie jestem złem wcielonym... Jeśli jakimś cudem uwierzy mi, że nie przysłały mnie tu siły nieczyste z misją zniszczenia Burii? Tak, być może to właśnie on jest moją jedyną nadzieją.

– Chyba znowu gorzej się czuję. – Specjalnie zniżyłam ton, udając nagłe załabnięcie. – Och, słabo mi. – Wdzięcznie opadłam na poduszki. – Potrzebuję medyka. Och, jaka ciemność... – Zamknęłam oczy, mając nadzieję, że nabiorę tę pocziwą kobiecinę.

Nie myliłam się. Najpierw kilkakrotnie uderzyła mnie lekko w policzek, próbując w ten sposób mnie ocucić, ale gdy to nie poskutkowało, pospiesznie opuściła komnatę. Miałam nadzieję, że udała się po Dewina. Oby! Przecież chyba nie na próżno dałam się spoliczkować.

## X. POMOCNIK MEDYKA

Leżałam bez ruchu, uważnie wsłuchując się w odgłosy dobiegające z korytarza. Na razie panowała cisza i jakoś nikt nie spieszył mi z pomocą. Oczekiwanie przedłużało się, a pozycja, w której upadłam, niby to zemdlona, do najwygodniejszych nie należała. Miałam ochotę rozprostować ścierpnięte członki, ale obawa przed nagłym powrotem służącej skutecznie mnie przed tym powstrzymywała. Nie chciałam, aby mój doskonały plan legł w gruzach.

Wreszcie po całej wieczności doczekałam się. Do moich uszu doleciał strzęp rozmowy prowadzonej za uchylonymi drzwiami komnaty.

– Tak nagle źle się poczuła, a przecież już wszystko z nią dobrze było. Obiad cały zjadła, a apetyt taki miała, że niejeden rycerz by rady nie dał. – Rozpoznałam głos korpulentnej dwórki. – Ubrania jej przyniosłam, chwilę porozmawialiśmy i nagle zbladło toto i krzyknęło, że ciemno jej przed oczami. Jeszcze tylko poprosić o medyka zdołała i świadomość straciła. Oj, da mi panienska Lavena. Że też to akurat teraz musiało się trafić. I jeszcze mistrz Dewin nieobecny...

Mistrz Dewin nieobecny? Ta wiadomość nie była tym, czego się spodziewałam. Jak to, nie prowadzą do mnie medyka?

– Żona Hermana rodzić zaczęła, o czym, Comto, wiecie, bo i panienska Lavena do komnat Hermanowych pobiegła – odpowiedział męski, miło brzmiący głos.

– Wiem, wiem, tylko dziwi mnie wielce, że do zwykłej rycerskiej żony samego mistrza trudzą. Kto to słyszał? Lavena lubiła tę Baldurię, to i rozumiem, że być przy niej chciała, ale żeby zaraz sam mistrz... Jakby nie można było powituchy wezwać.

– Oj, Comto, Comto, sama wiesz najlepiej, jaka z tej Baldurii chudzina. Toż to dziewczątka młodsze od panienki Laveny, to i nie dziwne, że maluchowi trudno na świat się wydostać. Panienska Lavena mistrza wezwać kazała, bo tylko on jeden jest władny życie i matce, i dziecku ocalić. A mistrz Dewin paniencie odmówić nie zdoła.

– Co prawda, to prawda. Dewin w panienkę Lavenę wpatrzon jak w obrazek. Nieba by jej przychylił. Aż mi serce krwawi, gdy pomnę, co ksiązę Ekhard na nim wymusił.

– To temat zakazany i lepiej o tym nie prawcie, Comto. Jak jest, tak jest. Mistrz przysięgi złożonej księciu łamać nie zamierza. Oddał to, co najcenniejsze, i choć cierpi, to jednak w milczeniu znosi swój los.

Zastanowiły mnie te słowa. Czyżby mistrz Dewin miłością zakazaną darzył Lavenę? Cóż za absurdalny pomysł! Przecież ten niesympatyczny gość nie wydawał się zdolny do miłości. Było w nim tyle złości, nienawiści... Ale może dla Laveny miał inne uczucia, bardziej serdeczne i gorące? Taki staruch? Ile on mógł mieć lat? Wyglądał co najmniej na sto! Lavena do niego nie pasowała i wątpiłam, aby odwzajemniała to chore uczucie.

– Nie ma drugiego nad mistrza Dewina, chociaż i ty, Ewenie, wiedzę masz przeogromną.

– Sam mistrz mym nauczycielem.

– Szczęście miałeś, nieboraku, gdy cię Dewin znalazł na trakcie. Jakaż to mat-

ka okrutna mogła tak niemowlę w rowie przydrożnym zostawić, na pastwę dzikich stworzeń? Toż to cud niemały, że mistrz akuratnie tamtędy podróżował i płacz twój usłyszał. Jakem cię pierwszy raz zobaczyła, to taki maluśki byłeś. Tylko ta buźka zapłakana z zawiniątka ci wystawała. Nikt nie dawał ci wiele życia, ale mistrz sobie tylko wiadomym sposobem sprawił, żeś umknął z rąk śmierci.

– I w każdej minucie mego życia wdzięczny mu jestem za to ogromnie.

– Kto by to pomyślał, że kiedyś z ciebie uczeń Dewina wyrośnie. Łobuziakiem byłeś, co się zowie. Chyba wszystkie dwórki na ciebie narzekały, a kucharka do dziś wspomina, jak jej kota do gulaszu wrzuciłeś.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– A i od ciebie, Comto, nieraz przez grzbiet szmatą dostałem.

– Ja niezasłużenie nigdy razów nie wymierzam.

– Dajmy już pokój temu. Tamte czasy już dawno za nami. Lepiej zajmijmy się waszym gościem, który zaniemógł. Czyli mówicie, że nagle zemdląca?

– Tak. Nawet ją cucić sama próbowałam, ale nic to nie dało. Oj, panienka Lavena i panicz Weylin nie będą zadowoleni... A i księżę Ekhard pewnikiem złość swoją okaże.

– Nie rozpaczaj, Comto, ino prowadź do chorej.

– A toż tu, za tymi drzwiami.

W tym momencie skrzypnęły szerzej otwierane podwoje. Po chwili czyjaś ciepła dłoń spoczęła na moim czole.

– Gorączki nie ma. Ciało dobrze ukrwione.

Męski głos brzmiał tuż obok. Jego posiadacz pochylał się nade mną, sprawdzając mój stan. Gdybym uchyliła powieki, mogłabym mu się przyjrzeć, jednak jeszcze nie chciałam się zdradzać. Tym bardziej że Comta znajdowała się w pobliżu.

Mężczyzna ujął mnie za przegub ręki i wymacał puls. Przez chwilę uważnie wsłuchiwał się w tętno.

– Droga Comto, czy możesz na chwilę zostawić mnie z chorą?

– Jakże to? Sam na sam? Toż to się nie godzi!

– Znasz mnie dobrze i wiesz, że waszej podopiecznej nic nie grozi z mojej strony. Jako medyk muszę terapię odpowiednią zastosować, a obiecałem Dewinowi, że arkanów sztuki medycznej nie zdradzę nikomu. Chcesz, bym słowo dane memu mistrzowi i opiekunowi złamał? Chcesz, bym na człowieka niegodnego wyszedł?

– Ale jak to będzie wyglądać?

Comta czuła się rozdarta między wymogami przyzwoitości a obowiązkiem ratowania mi zdrowia. Czy miała zostawić mnie samą z mężczyzną, czy też wbrew prawu uczestniczyć w terapii, która nie wiedzieć czemu tajemnicą była owiana i nikt postronny nie mógł jej zobaczyć? Właściwie powinnam się bać, bo brzmiało to groźnie. Comta też pewnie się bała.

– Comto, nikt się o tym nie dowie. Ty będziesz mieć czyste sumienie i ja także – przekonywał nieznajomy, którego bardzo byłam ciekawa.

Gdybym uniosła trochę powieki, mogłabym mu się przyjrzeć, jednak zdradziłabym wówczas, że udaję omdlenie. Musiałam grać swoją rolę bez niepotrzebnego ryzyka.

– Dajesz słowo, iż nic jej nie będzie i ocknie się rychło?

Comta doszła chyba do wniosku, że lepiej zostawić mnie samą z nieznajomym

i spodziewać się mego uzdrowienia, niż narazić się na gniew Ekharda.

– Bez wątpienia tak właśnie się stanie.

Oddalające się kroki służącej były jedynym odgłosem, który przez chwilę sły-  
szałam. Później trzasnęły zamykane drzwi.

– No, już możesz przestać udawać.

Mężczyzna puścił moją dłoń. Nie zareagowałam, niepewna, co powinnam zro-  
bić. Zbyt łatwo mnie zdemaskował.

– Wiem, że wcale nie zemdlałaś. Potrafię rozpoznać, gdy ktoś jeno udaje cho-  
robę. Twój puls jest prawidłowy, skóra ciepła. Nie mam pojęcia, czemu robisz to  
przedstawienie, ale mniemam, że miałaś ważny powód, aby wezwać medyka.

Musiałam mu przyznać rację, nie było sensu dalej udawać. Oszukanie Comty  
było rzeczą prostą, tu jednak miałam do czynienia z kimś obeznanym w chorobach.  
Chociaż nie z Dewinem. Niepewnie otworzyłam oczy i zamrugałam, zaskoczona  
tym, co widzę. Otóż przy moim łóżu stał wysoki, szczupły mężczyzna. Ciemne, krę-  
cone włosy, zgodnie z panującą tu modą, luźno opadały na jego ramiona. Ciemnozie-  
lona szata, chociaż skromna i pozbawiona jakichkolwiek ozdób, bardzo mu pasowała  
i podkreślała nienaganną sylwetkę. Krótka tunika kończyła się w połowie uda i prze-  
wiązana była lnianym sznurkiem z długimi, zwisającymi do ziemi troczkami, zakoń-  
czonymi chwościkami. Dopasowane, również ciemnozielone spodnie bardziej wyglą-  
dały na rajtuzy i właściwie w czasach mi współczesnych żaden szanujący się facet ni-  
gdy by ich nie założył, ale musiałam przyznać, że Ewen prezentował się w nich cał-  
kiem dobrze.

Jednak najbardziej niezwykła była twarz mężczyzny, obdarzona delikatnymi,  
niemalże kobiecymi rysami i naznaczona pewną szlachetnością. Tylko niewielki,  
ciemniejszy cień zarostu na policzkach i brodzie świadczył, że jednak nie jest kobie-  
tą. Był piękny, ale pięknem niezwykłym, wręcz ulotnym. Niczym anioł, który przez  
przypadek zabłądził na ziemię. Nigdy nie widziałam równie urodziwego mężczyzny  
i byłam pewna, że raczej już nie zobaczę.

Niebieskie niczym skrawek nieba oczy, przysłonięte gęstą firanką czarnych  
rzęs, patrzyły na mnie wyczekująco. Poprawiłam się więc na łóżku i podciągając pled  
pod szyję, usiadłam. Nie wiedziałam, czego mogę się spodziewać i zastanawiałam  
się, czy dobrze zrobiłam, posuwając się do takiego fortelu.

– Czemu zawdzięczam to przedstawienie? – zapytał spokojnym głosem.

Nie wyglądał na zagniewanego czy zirytowanego. Jego twarz nie wyrażała  
żadnych uczuć. Był poważny, skupiony, tak jakby intensywnie nad czymś się zasta-  
nawiał.

– Myślałam, że wezwą do mnie Dewina – wyznałam zgodnie z prawdą. Jakoś  
nie miałam ochoty go oszukiwać.

– Hmm, ciekawe, zaprawdę ciekawe. Czyżbyś to nie ty była wczoraj przy-  
czyną ujmy na honorze mego mistrza?

Miał bardzo przyjemny tembr głosu, o czym przekonałam się, podsłuchując  
jego rozmowę z Comtą. Nie wydawał się groźny, ale przecież pozory często mylą.  
Czego mogłam się po nim spodziewać? Nie miałam zielonego pojęcia.

– Oj, to nie tak! Ja nic złego nie zrobiłam – próbowałam się wytłumaczyć.

– Twoje pojawienie się samo w sobie dobre nie było. Nie możesz zaprzeczyć,  
że pochodzisz z krainy, do której żadna nie wie gdzie droga. Nie powinno cię tu być.

Mistrz Dewin losem księstwa zatroskan jest wielce. Tacy przybysze jak ty nic dobrego ze sobą nie przynoszą.

– Ja chętnie stąd odejdę. Nawet zaraz. Tylko muszę się dowiedzieć jak! – zapewniłam z całą mocą. – Miałam nadzieję, że mistrz Dewin będzie mógł mi w tym pomóc. On mnie tu nie chce i ja także nie marzę o tym, aby spędzić tu resztę życia. Mamy ten sam cel. Domyślam się, że kiedyś już ktoś taki jak ja zjawił się na waszym zamku i to dlatego mistrz mnie nienawidzi. Zapewniam jednak, że nie mam nic wspólnego z moim poprzednikiem, nawet nie wiem, kim on był. Jeśli możecie pomóc mi stąd odejść i wrócić tam, gdzie moje miejsce, obiecuję solennie natychmiast zastosować się do waszych poleceń.

– Chcesz wrócić?

Nie zaprzeczył, że mieli już do czynienia z kimś takim jak ja. Z całą pewnością nie byłam pierwszą osobą, która przeniosła się tu z innej epoki. Tajemniczy Mateo, o którym wspomniała Comta, musiał być moim poprzednikiem.

– Chcę!

– I myślisz, że mistrz Dewin będzie chciał ci pomóc?

– Dokładnie.

– Ja nie byłbym tego tak bardzo pewien. – Odwrócił głowę w stronę zamkniętych drzwi i przez chwilę patrzył na nie w milczeniu, a następnie usiadł na brzegu łóżka, blisko mnie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Bo mistrz Dewin urazę do ciebie żywi głęboką. To, co go wczoraj na uczcie spotkało, ujmą dla niego było okrutną. A wszystko to za twoją przyczyną... Dziś rano kolejna zniewaga go spotkała, gdyż sam Ekhard polecił mu miksturę dla ciebie przygotować i pod karą śmierci zobowiązał, że szkody ci żadnej swoim medykamentem nie wyrządzi. Jesteś ostatnią osobą, z którą mistrz Dewin chciałby rozmawiać. Właściwie miałaś szczęście niebywałe, że wezwany został do rodzącej. Gdyby nie to, na gniew jego jeszcze sroższy byś się naraziła. To niezbyt mądre było z twojej strony.

– I co teraz? – Kilkakrotnie pociągnęłam nosem, bo naprawdę zebrało mi się na płacz. Ostatkiem sił powstrzymywałam się przed szlochem. – Na zawsze mam tu być uwięziona?

– Czy źle ci tu bardzo? – Nie spuszczał ze mnie wzroku, a ja czułam się niezręcznie. – Wszak sam Ekhard nad tobą opiekę roztoczył, a jego opieka to najlepsze, co mogło cię spotkać.

– A ty, panie, nie mógłbyś mi pomóc? – zapytałam nagle. – Jeśli mistrz cię uczy, to pewnie znasz wiele...

– Nie potrafię odesłać cię do twojej krainy. Myślę, że nawet sam Dewin nie byłby w stanie tego uczynić.

– Ale był tu ktoś przede mną, prawda? Zjawił się ktoś taki jak ja?

– Był taki ktoś – przyznał. – Dawno temu. Mnie na świecie jeszcze nie było, ale do tej pory po zamku różne historie krążą. Dzieckiem się tu zjawił. Wychował się wraz z księciem Ekhardem i jego siostrą. Ponoć podbił serca wszystkich i zjednał sobie przyjaźń władcy. Druhem mu był najmilszym. Wszyscy go tu szanowali i podziwiali jego czyny, o niektórych bardowie pieśni nawet śpiewali.

– I co się z nim stało? Jak opuścił waszą krainę, bo przypuszczam, że tak się

właśnie stało? Nie ma go tu już, prawda?

– Prawda to. Już go tu nie ma. – Kiwnął potakująco głową.

– I jak to zrobił?

Adrenalina gwałtownie mi podskoczyła. Oto była moja szansa. Jeśli tajemniczy Mateo potrafił opuścić tę krainę, to i mnie mogło się udać. Musiałam się tylko dowiedzieć, jak tego dokonał.

– Umarł. Zginął w jednej z potyczek.

To zabrzmiało jak wyrok. Miałam wrażenie, że rozstąpiła się przede mną ziemia i ukazała ogromna piekielna otchłań.

– Umarł? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

Tylko nie to! Musi być jakiś sposób opuszczenia tej przeklętej krainy i powrotu do domu! Niemożliwe, abym miała tu spędzić resztę życia! Przecież to jakiś cholerny absurd! Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach, nie w codziennym życiu. Moje dotychczasowe życie było normalne, uporządkowane. Zaplanowane w najdrobniejszym szczególe. Lubiłam je. Owszem, czasem marzyłam o przygodach, bo kto o nich nie marzy, ale przecież nie o takich!

Chcę znowu usiąść z babcią na werandzie! Chcę patrzeć na zachód słońca nad lasem Stróża! Chcę nawet, aby przychodziły do nas w odwiedziny wszystkie kumoszki ze wsi. Pragnę tego z całego serca!

Splotłam dłonie, mocno zaciskając palce, tak że kłykcie aż pobieleły. Chciałam wyć, krzyczeć, szarpać włosy. Mnie nie powinno tu być! Powinnam teraz wygrzewać się na plaży Costa Brava, a nie siedzieć w zimnych murach średniowiecznego zamku. Błagam, niech ten sen już się skończy! Bo to musi być sen, koszmar jakiś... A może ja zachorowałam i to wszystko majaki w gorączce? To przecież nie może być prawda! Błagam, niech to nie będzie prawda!

– Umarł. Pochowano go i oplakano, lecz siły nieczyste mu sprzyjały. Kilka lat później wrócił – mówił spokojnie, wolno dobierając słowa, tak jakby chciał wzmocnić ich znaczenie.

– Co?

Jakoś to do mnie nie dotarło. O co mu chodzi? Ten człowiek, który zjawił się tu przede mną, umarł, a następnie po latach znowu powrócił? Zmartwychwstał? To już nie absurd! To jakieś koszmarnie science fiction! Albo faktycznie maligna.

– Pojawił się ponownie, a wraz z nim śmierć, ból i cierpienie – dokończył.

## XI. PRZYMIERZE

Po tych słowach zapadła kompletna cisza. Mężczyzna siedział koło mnie i patrzył na mnie z uwagą, a ja nie potrafiłam pozbierać myśli. To, czego się dowiedziałam, było niczym wyrok, bez możliwości apelacji. Czy naprawdę los chciał, abym resztę mego życia spędziła w świecie, którego nie znałam i który był tak odmienny od wszystkiego, do czego przywykłam?

Ewen wstał i wolnym krokiem podszedł do okna. Wyrżał na zewnątrz, tak jakby w ogóle nie obchodził go mój stan. Potrzebowałam wsparcia, pociechy, lecz nikąd nie mogłam jej oczekiwać.

– Czy to znaczy, że jedyną możliwością wydostania się stąd jest śmierć? – zapytałam.

Nie odwrócił się w moją stronę, jakby zafascynowany widokiem za oknem.

– Wydaje mi się, że tak – odpowiedział.

– Ale ja nie chcę umierać! – krzyknęłam, chyba nieco za głośno, bo doskoczył do mnie błyskawicznie i przyłożył mi palec do ust.

– Ciii... Jak Comta usłyszysz, że krzyczysz, to pomyśli, że ci jaką krzywdę robię i niechybnie zajrzy do komnaty. A tego byś pewnie nie chciała?

Miał całkowitą rację – nie chciałam na razie towarzystwa Comty. Chciałam maksymalnie wykorzystać obecność Ewena. Nie wiadomo przecież, kiedy ponownie będę mogła skorzystać z szansy dowiedzenia się czegoś o krainie, w której zapewne spędzę kolejnych kilkadziesiąt lat. Chociaż jeśli nadal miałam zakładać, iż znajduję się w średniowiecznych czasach, to szalało wtedy tyle chorób, że może się okazać, że tych lat będzie mniej. Chyba że się obudzę... Na razie jednak śniłam, a przynajmniej miałam taką nadzieję... skoro zaś tak, to muszę zrozumieć, jakimi prawami rządzi się to dziwne miejsce, w którym się znalazłam. Skinęłam głową na znak, że rozumiem i będę już zachowywać się cicho, odsunął się więc ode mnie, ale nadal stał blisko.

– Powiedziałaś, że tamten mężczyzna wrócił po śmierci. Jak mam to rozumieć? – zapytałam.

– Dokładnie tak, jak powiedziałem. – Wzruszył ramionami. – Umarł, został opłakany, a po kilku latach wrócił, tak jakby nic się nie stało.

– Może wcale nie umarł. – Uczepiłam się tej myśli. – Może po prostu wrócił do siebie, a po jakimś czasie zapragnął znowu was odwiedzić? – To wydawało mi się całkiem logiczne.

– On umarł. Jego ciało pochowano z wszelkimi honorami. Był martwy, a później pojawił się ponownie. Książę Ekhard nawet kazał grób rozkopać i trumnę wydobyć, aby sprawdzić. Wykopali, otworzyli. Trup był na swoim miejscu.

– A może to nie on, tylko ktoś podobny? Brat bliźniak? – przytoczyłam kolejny sensowny argument.

– To był Mateo. Ten sam Mateo, co w grobie złożon. Ten sam Mateo, którego zgniłe szczątki książę Ekhard jeszcze raz zobaczył.

– O, kurczę! – wyrwało się mi niechcący.

– Głodnaś?



– Nie, to tylko taki zwrot – wyjaśniłam pospiesznie.

– O, kurczę? – powtórzył ze zdziwieniem. – A co kurczak ma do grobu?

– Nie wiem, u nas się tak po prostu mówi.

– Ciekawe... – Potarł dłonią czoło. – Niezwykła to musi być kraina, gdzie o kurczakach przy śmierci się prawi.

– Więc mówisz, że ożył i wrócił do was? I co się stało?

– Łzy, śmierć, cierpienie – oto co się stało. To od tej pory niebo nad Burią chmurami zasnuwane.

– Te chmury nigdy nie znikają?

To wszystko coraz mniej mi się podobało. Wieczne chmury nad księstwem, ożywający martwi... Czyżbym znalazła się w jakimś tandetnym horrorze?

– Wasza kraina zwie się Burią, ale gdzie się znajduje? Daleko stąd do Rzymu?

– Dobrze pamiętałam powiedzenie, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, więc może znali je też tutaj?

– Pierwszy raz słyszę taką nazwę. Czy ten Rzym to jakieś księstwo?

Chyba się ze mnie nie nabijał, był całkiem poważny.

– A wiesz gdzie leży Paryż? – rzuciłam kolejne pytanie.

– Zaprawdę dziwne i nieznane mi nazwy wymieniasz.

– Dobra. To jakie miasta, państwa lub księstwa znasz? – Przez moment miałam ochotę dodać „na literkę s”, tak jak w grze, w którą lubiłam grać w dzieciństwie.

– Kantonię, Percewaldię, Grundię – zaczął wyliczać, a mnie z każdą kolejną nazwą coraz bardziej jeżył się włos na głowie, oczywiście o ile to tylko możliwe.

– Czy one są w Europie? – To była ostatnia deska ratunku. Być może moja znajomość średniowiecznych map pozostawiała wiele do życzenia, ale przecież chyba nawet w tak zamierzchłych czasach ludzie wiedzieli, na jakim kontynencie żyją?

– Również nie znam – odpowiedział tak spokojnie, że aż zwątpiłam.

To gdzie ja się, do licha, znalazłam?

– A jaki rok mamy? – Głos drżał mi lekko.

– Rok siódmych łowów. – To określenie słyszałam już wcześniej.

– A miesiąc, dzień? Powiesz mi coś więcej?

– Dzień ostatniej uczty przed łowami.

– Macie w ogóle jakąś rachubę czasu? Kalendarz?

– Łowy określają ramy czasowe.

– A co było przed nimi? Sam mówiłeś, że to rok siódmych łowów. Co było przed pierwszymi łowami?

– Szczęście – odpowiedział krótko. – Ale to minęło i książę zakazał używać kalendarzy. Nie ma czasu, nie ma nic. Jest tylko zemsta. Tak powiedział i tak jest.

– Powiesz mi, o co chodzi z tymi łowami?

– Nie teraz. – Spojrzał w stronę drzwi. – Za długo już siedzimy sami. Comta gotowa zaraz tu wejść. Nie powinienem z tobą rozmawiać. Nie powinienem zdradzać ci sekretów Burii.

– A jednak zrobiłeś to – zauważyłam. – Dlaczego?

– Bo ja też obcy tu jestem. Mistrz Dewin życie mi uratował i opieką otoczył, ale zawsze, na każdym kroku, dawał odczuć, że jestem dla niego jeno przybłądą. Pragnęłam trochę uczucia, jakim rodzice swe dzieci darzą, a dostawałam tylko miskę stawy i dach nad głową. I nikt mnie nigdy nie potraktował jak swego. Nawet teraz,

gdym już dorosły i praktykuję u mistrza. Jego wolą wzywać, na mnie z ukosa patrzeć. Tak jak i ty żyję tu, bo muszę, ale ty chociaż wiesz, gdzie twoje miejsce. Ja nie wiem o sobie nic.

Zrozumiałam, że dla Ewena byłam kimś bliskim, kimś, kto znalazł się w podobnym położeniu. Zaufał mi, gdyż sam potrzebował zaufania.

– Dziękuję. – Wyciągnęłam do niego prawą rękę. – Zapewniam cię, że zawsze możesz na mnie liczyć. Mam tyle pytań, ale z chęcią odpowiem także na wszystkie twoje zapytania. Zawrzyjmy pakt, umowę, dzięki której będziemy mieć pewność, że możemy na sobie polegać.

– Pakt? – Spojrzał na moją dłoń, ale nie wyciągnął swojej.

– Takie przymierze.

Czekałam, aż wykona jakiś ruch, ale on tylko patrzył na mnie w zamyśleniu, tak jakby zastanawiał się, czy zaproponowana umowa korzyści mu jakieś przyniesie. Wreszcie powoli podniósł rękę i nasze palce się spotkały. Jego uścisk był silny i zdecydowany.

– I jak nasze niebożątko? – Skrzypienie drzwi było sygnałem, że zaniepokojona zbyt długim pozostawieniem nas samych do komnaty odważyła się zajrzeć Comta. Na pewno od dłuższej chwili walczyła z ciekawością i w końcu nie wytrzymała.

– Już wszystko dobrze. Właśnie miałem wychodzić. – Ewen mrugnął do mnie i puścił moją dłoń. Nachylił się jeszcze nade mną, tak jakby wsłuchiwał się w bicie serca. – Uważaj na wino na uczcie – wyszeptał, tak że tylko ja mogłam go usłyszeć. – Ono nie jest zwyczajne. Ma wzmacniać odwagę rycerską. Pod żadnym pozorem nie pij z kielicha złotego, co krążyć będzie po izbie.

Wyprostował się, zanim zdążyłam coś odpowiedzieć i odwrócił się w stronę służącej.

– Wasz gość zdrów jak ryba. Nic jej nie będzie. Baczcie tylko, coby się nie przeziębila. Może warto w kominku większy ogień rozpalić, bo zimno tutaj okrutnie.

Wyminął Comtę i nawet się nie oglądając, wyszedł z komnaty.

– Ale mi panienska stracha napędziła! – zaczęła utyskiwać korpulentna dwórka, załamując przy tym teatralnym gestem ręce.

Widząc jednak, że nie mam ochoty rozmawiać, podeszła do kominka i wrzuciła do niego kilka szczap, schowanych do tej pory w stojącej w kącie drewnianej skrzyni, której wcześniej nie dostrzegłam. W kominku palił się maleńki ogień, który wcale nie dawał ciepła. Tlił się chyba tylko po to, by podtrzymać żar. Comta wzięła gruby drąg i poszturczała wrzucone szczapy, układając je w żarze. Drewno musiało być suche, bo płomyki niewidocznego niemal ognia zaczęły rosnąć i obejmować wrzucone drewno.

Patrzyłam w ogień, tak jakbym w nim mogła odnaleźć wyjaśnienie tego, gdzie się znajduję i jak się uratować. Już wiedziałam, że nie znalazłam się tak po prostu w średniowieczu. Tego miejsca nie było też na żadnej znanej mi mapie. Może rozum płatał mi figle, ale nabrałam pewności, że przekroczyłam granice światów i trafiłam do krainy, o której „u nas” nikt nie ma pojęcia.

Byłam bardzo, bardzo daleko od domu i najprawdopodobniej nie miałam szans na powrót. Moje położenie było opłakane, ale czy w związku z tym powinnam się poddać? Człowiek ma to do siebie, że nawet w najtragiczniejszej sytuacji szuka ratunku. Co było moją szansą? Musiałam zebrać wszystkie siły. Musiałam przestać się

nad sobą użalać. Przymierze, które zawarłam z Ewenem, stanowiło pewnego rodzaju deskę ratunkową. Już nie tonęłam w bezdennej rozpacz, teraz dryfowałam po wzburzonym oceanie. Czy dopłynę do brzegu?

## XII. RYZYKOWNY KROK

Comta zajęła się mną naprawdę bardzo sumiennie, tak jakby czuła się winna mojego wcześniejszego zaśląbnięcia. Wprawdzie zachowałam się wobec niej podle, udając nagłe omdlenie, ale dzięki temu wreszcie zdobyłam garść cennych informacji, a co więcej – sprzymierzeńca. Wprawdzie nie miałam pojęcia, w jaki sposób ponownie skontaktuję się z Ewenem, ale byłam pewna, że on sam o to zadba.

Rozpalony w kominku ogień wesoło buzował, sprawiając, że chłodne pomieszczenie powoli wypełniało się ciepłem. To było bardzo przyjemne uczucie. Nie jestem fanką zimy i każdy chłodniejszy dzień to dla mnie prawdziwa męczarnia, a pogoda w Buri i raczej nie rozpieszczała mieszkańców.

Dwie służące, których wcześniej nie widziałam, ubrane w proste, workowate wręcz szare suknie, przyniosły drewniany cebrzyk. Unosząca się z niego para świadczyła, że jest pełen gorącej wody. Dziewczyny przelały ją do srebrnej misy, ustawionej przez Comtę na ławie.

– Panienska raczy się szykować, bo czas uczy się zbliża – ponagliła mnie pulchna dwórka. – Nie godzi się, aby książe Ekhard czekał.

– Jasne.

Wstałam z łóżka i podeszłam do misy. Brakowało mi bieżącej wody, ale jak to się mówi „na bezrybiu i rak ryba”. Jeszcze gorzej znoślam brak toalety, za którą tutaj robił porcelanowy nocnik, ukryty pod łóżem. Gdy się z niego skorzystało, należało przywołać służkę, aby ta opróżniła naczynie. Muszę przyznać, że ta sytuacja była ogromnie krępująca. Również tutejszy papier toaletowy w niczym nie przypominał tego, do jakiego przywykłam. Skrawki pociętego papieru, zapisanego niezrozumiałymi dla mnie znakami, były twarde i nieprzyjemne w dotyku. Przed użyciem należało je pognieść w dłoniach, aby odrobinę zmiękczyć. Korzystając z tego „dobrodziejstwa”, gdyż – jak wyjaśniła Comta – nie każdego stać na takie luksusy, zastanawiałam się, jakim też pociętym dokumentem właśnie się podcieram.

Toaleta nie zajęła mi zbyt dużo czasu. Gdy już się obmyłam, a służące wyniosły cebrzyk i misę, Comta pomogła mi zdjąć koszulę nocną i nałożyć coś na kształt lnianej halki oraz grubych wełnianych rajstop. Pończochy były brzydkie, brązowe, dodatkowo dosyć drapiące skórę, ale pocieszałam się, że spod długiej sukni nie będzie ich widać. Na stopy Comta założyła mi skórzane cizemki, sięgające do kostki, z długimi, wywiniętymi ku górze noskami, zapinane na śmieszne supełki, które należało pozaplatać. Głównym elementem stroju była wizytowa, bardzo efektowna suknia Laveny, zdobiona drobnymi perełkami. Z prawdziwą przyjemnością założyłam ją na siebie i cierpliwie czekałam, aż dwórka zasznurowuje gorset i poprawi fałdy kreacji. Materiał był miły w dotyku, przyjemny i chociaż składał się z kilku warstw zwojów, wcale nie był ciężki.

Wreszcie Comta usadowiła mnie na kufrze i zajęła się rozczesywaniem moich splątanych włosów. Starła się być bardzo ostrożna i delikatna, jednak i tak kilka razy syknęłam z bólu, gdy pociągnęła za skołtunione loki.

– Proszę o wybaczenie, ale wczoraj z wieczora panienska od razu zasnęła i nie

dane mi było rozczesać i zapleść panienki włosów. Któż to widział, aby spać tak rozkodruchanym? – usprawiedliwiała się.

– Nic się nie przejmuj. W mojej krainie kobiety, aby być piękne, podają się gorszym torturom – pocieszyłam ją. – Gdybyś słyszała o depilacji... – Parsknęłam śmiechem na samą myśl o tym, jak Comta zareagowałaby na taki zabieg.

Układanie włosów zajęło Comcie najwięcej czasu. Troszkę się nudziłam i kilka razy musiałam ugryźć się w język, aby przypadkiem znowu nie wyskoczyć z jakimś głupim, niewygodnym pytaniem. Nie miałam zamiaru drażnić służby, która musiała zapewne mieć całkowity zakaz przekazywania mi jakichkolwiek wiadomości na temat tego miejsca i jego przeszłości. Ewen był moim informatorem i to powinno mi wystarczyć. Przynajmniej na razie.

– Gotowe.

Comta odstąpiła krok do tyłu, po czym obeszła mnie dookoła, bacznie lustrując mój wygląd.

Sama byłam ciekawa efektu, dlatego pospiesznie spojrzałam na otrzymane od Comty niewielkie lustro, osadzone w srebrnej ramie z długą, wygodną do trzymania rączką. Takiego widoku się nie spodziewałam. Najwyraźniej czasy średniowieczne mi służą. Stop! Jakie średniowieczne? Już przecież ustaliłam, że to nie średniowiecze ani tym bardziej znana mi Ziemia. Na razie nie miałam pojęcia, gdzie dokładnie trafiłam, ale gdziekolwiek by to było, teraz czułam się piękna i zupełnie niepodobna do samej siebie. Tak! Czułam się piękna! Chyba pierwszy raz w życiu. Nie żebym wcześniej uważała się za jakąś nieatrakcyjną, szarą myszkę. Skądże! Mam w końcu regularne rysy twarzy, ładne zielone oczy, miły uśmiech. Jednak dopiero teraz, w tej dziwnej krainie, poczułam się naprawdę kobieco i wyjątkowo. I nie potrzebowałam do tego żadnych seksownych strojów. Suknia Laveny, chociaż długa i szczelnie zasłaniająca ciało, miała w sobie coś magicznego, ulotnego. Sprawiała, że czułam się jak księżniczka. Do tego fryzura wykonana przez Comtę: gładko zaczesane włosy, ściągnięte na karku, zaplecione misternie w warkocz i upięte w węzeł, który dodatkowo otoczony został delikatną srebrzystą siateczką z nanizanymi na jej nitki małutkimi perełkami, takimi samymi, jakimi ozdobiony był stanik sukni.

– To jest piękne – wyszeptalam, nadal nie mogąc oderwać od siebie wzroku. – Nie wiem, jak tego dokonałaś, Comto, ale sprawiłaś cud.

Kilka razy obróciłam się w miejscu, podziwiając kolor i krój szaty, napawając się pięknem fryzury.

– Ino patrzeć, jak panicz Weylin się zjawi. Niech mu panienka wstydu jakiego nie przyniesie. W towarzystwie zacnych mężów lepiej nieproszonej głosu nie zabierać. Skromność przede wszystkim – pouczała mnie Comta, odbierając ode mnie lustro i chowając je do wnętrza kufra.

– Tak, tak, wiem. Lavena już mi to wczoraj mówiła. A właśnie, gdzie ona jest? Czyżby jeszcze nie wróciła od przyjaciółki?

– Ano nie... – Comta westchnęła tak rozdzierająco, że poczułam skurcz w sercu. – Biedactwo, taka to zżyta z Baldurią była. Toż razem się wychowały. Jej strata będzie dla Laveny prawdziwym ciosem.

– Jak to strata? – nie zrozumiałam. – Przecież ta Balduria tylko rodzi.

– Jeśli mistrza Dewina wezwano, nie jest to zwykły poród. Alem przestrzegала, że Balduria do rodzenia się nie nadaje. Chude to takie, wątłe. Niektórym kobietom

matkowanie niepisane.

– Oj, nie mów tak, Comto! Na pewno wszystko będzie dobrze. Ewen mówił, że mistrz Dewin nie ma sobie równych.

– Bo nie ma – przyznała. – Ale i on zmarłego do życia nie powróci ani tych, co śmierci sążeni, z jej szponów nie wyrwie.

– Panicz Weylin przyszedł.

Przez uchylone drzwi do komnaty lęklonie zajrzała Marion. Nadal się mnie bała i zerknęła na mnie jak na jakieś okropne monstrum. Nawet mój olśniewający strój i wspaniała fryzura nie wpłynęły na zmianę jej nastawienia.

– W sam czas. – Comta splótła ręce na obfitym biuście i jeszcze raz popatrzyła na mnie uważnie. – Jużemy gotowe.

Zanim opuściłyśmy komnatę, przypomniałam sobie o zabraniu plecaczka wraz z rekwizytami potrzebnymi do dzisiejszego pokazu. Jak to dobrze, że to ostatnia uczta przed łowami! Baterie w telefonie i mp3 były już prawie na wykończeniu, a przypuszczałam, że moja atrakcyjność po ich wyczerpaniu spadnie drastycznie. Bo niby co mogłam im wtedy pokazać? Może jakiś taniec? Może jakieś historie popowiaść? Streścić ulubione seriale?

Comta pierwsza wyszła z komnaty sypialnej do małego korytarzyka, łączącego to pomieszczenie z komnatą dzienną. Ja kroczyłam tuż za nią, zastanawiając się, jakie też wrażenie wywrze na Weylinie mój nowy image. Niestety, nie dane mi było się tego dowiedzieć. Weszłyśmy do izby, która swoim wystrojem przypominała poprzednią, tyle tylko, że zamiast obszernego łóżka znajdowała się tu szeroka ława z rzeźbionym oparciem. W komnacie zobaczyłam Weylina, odzianego w ciemnobordowe szaty, tulącego do siebie zapłakaną Lavenę. Nawet nie zwrócił na nas uwagi, całkowicie pochłonięty pocieszaniem siostry.

– Panienko! – Comta podbiegła do nich, niczym matka spiesząca na ratunek skrzywdzonemu dziecku.

Zdażyłam już zauważyć, że dwórka wszystkie swoje macierzyńskie uczucia przelała na siostrę Weylina i gotowa była jej nieba przychylić. Teraz cierpiała wraz z nią.

– Ach, Comto! – Lavena oderwała się od brata i padła w ramiona swojej piastunki, która od razu czule ją objęła. – Balduria umiera! Nie ma dla niej żadnego ratunku! Mistrz Dewin nie jest władny ocalić ani jej, ani dziecka.

– Och, moje biedactwo! – Comta nieporadnie gładziła dziewczynę po plecach, chcąc dodać jej otuchy. – Taki los pisany kobietom. Mężczyźni giną w walce, my – wydając na świat nowe życie.

– Ona umiera! – Lavena łkała, jakby nie słuchając słów opiekunki. – Umiera, a ja jej nie pomogę. Zawsze byliśmy razem. Zawsze... A teraz ona odejdzie... I tak bardzo cierpi!

– Dlaczego mistrz Dewin nie jest w stanie jej pomóc?

Oczywiście, nie udało mi się poskromić ciekawości i zadałam pytanie, które miało zaważyć na moim dalszym losie. Czasem człowiek robi coś, nie biorąc pod uwagę skutków, jakie może to wywołać, i tak właśnie stało się teraz. Lavena uniosła zapłakaną twarz i zwróciła ją w moją stronę.

– Dziecko jest źle ułożone. Mistrz próbował je obrócić, ale nie dał rady. Umrą oboje.

– A cesarskie cięcie?

Poród przecież jest czymś tak naturalnym, zwykłym, że nie mogłam pojąć, jak można nie pomóc cierpiącej. Dopiero po chwili do mnie dotarło – ten świat jednak różnił się od mojego, i to bardzo.

– Co to jest cesarskie cięcie? – Lavena wyswobodziła się z uścisku Comty i zbliżyła do mnie. Łzy na jej policzkach błyszczały w świetle pochodni.

– Nie znacie czegoś takiego? Przecież w ten sposób można pomóc matce i wydobyć dziecko bez szkody dla niego, jak i dla rodzącej. A czasem, gdy jest już za późno dla matki, można chociażby ocalić maleństwo. – Zainteresowania medyczne bardzo mi się teraz przydały, chociaż moja wiedza była czysto teoretyczna.

– I to, o czym mówisz, mogłoby ją ocalić? – Lavena przestała płakać.

– Nie słuchaj jej, panienko – próbowała interweniować Comta, ale Lavena uciszyła ją ruchem ręki. – Potrafiłabyś ją ocalić? – zapytała.

Spojrzałam na Weylina. Stał w pobliżu drzwi, milczący, zadumany. Jego spojrzenie zdawało się docierać w głąb mojej duszy. Zapragnęłam zaimponować mu, utwierdzić w przekonaniu, że nie jestem złem wcielonym. Mogę także sprawiać dobre rzeczy. Mogę ocalić Baldurię lub chociaż jej dziecko.

– Nie wiem, ale mogę spróbować – odpowiedziałam, nie spuszczając wzroku z Weylina.

I w tym momencie dotarło do mnie, co powiedziałam. Głupia! Głupia! Jak mogłam zgodzić się na coś takiego? Ja i poród cesarski? Lekarza chcę udawać? Za kogo ja się mam? Ale się wkopałam. Może za jakie trzy lata na studiach mogłabym spróbować, ale teraz? Przecież to szaleństwo!

– Chodź! – Lavena chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia.

– Panienko! – Comta nie zamierzała jednak nas puścić. – Panienska nie wie, co to za jedna? Skąd przybyła? Kim jest? A jeśli ona chce nas zniszczyć? Jeśli...

– Zamilcz – odezwał się teraz Weylin, który zdecydowanym gestem pchnął drzwi, otwierając je przed nami. – Nie zakładajmy, że każdy, kto nie pochodzi z Burii, musi mieć podłe zamiary. A jeśli ona przybyła tu po to, aby nam pomóc?

– A uczta? – Comta schwyciła się ostatniej deski ratunku. – Księżę Ekhard czeka! To najważniejsza uczta przed łowami! – podkreśliła.

Nikt jednak jej nie odpowiedział, bo opuściliśmy już komnatę. Lavena cały czas ścisnęła przegub mojej ręki i biegła wąskim korytarzem, prowadząc zapewne do izby Baldurii. Tuż za mną postępował Weylin, a krótki korowód zamykała Comta, która najwidoczniej postanowiła nie odstępować swojej pani. Nie odzywała się już jednak, co było mi nawet na rękę, bo miałam krótką chwilę na zastanowienie, co winnam zrobić, gdy już dotrzemy na miejsce.

Poród cesarski. Oglądałam go wiele razy w... serialu *Chirurdzy*. Uwielbiałam ten serial i to od niego wzięły się moje medyczne zainteresowania. Ale co innego oglądać, a co innego wykonać. Cesarskie cięcie to operacja i chociaż teoretycznie wiedziałam, co się podczas niej robi, to jednak potrzebny był wykwalifikowany personel. W życiu nie trzymałam w ręku skalpela! Czy będę potrafiła przeciąć brzuch i macicę, nie robiąc krzywdy rodzącej? Nie ma mowy, nie dam rady! A może wystarczy, jak poinstruję Dewina? O tak! Na pewno wystarczy! Odetchnęłam z ulgą, pokrzepiona tą myślą. Wyłumaczę mu, na czym polega cesarskie cięcie i tym sposobem przyczynię się do rozwoju medycyny w Burii i zasłużę na wieczną wdzięczność

Laveny oraz Weylina, a Dewin, jako medyk, na pewno da sobie radę z przeprowadzeniem operacji. Może dzięki temu zaskarbię sobie i jego wdzięczność?

Służąca, która otworzyła nam drzwi komnaty Baldurii, była tak samo zapłakana, jak Lavena. Czerwony nos, podpuchnięte oczy oraz ślady łez na policzkach wymownie świadczyły, że jest załamana stanem, w jakim znajduje się jej pani.

– Żyje? – Głos Laveny drżał, gdy zadawała to pytanie.

Służąca skinęła głową, po czym znów zaszlochała. Lavena odsunęła ją na bok i zaprowadziła nas do przyległej komnaty. Musiała być to sypialnia małżeńska, pełniąca obecnie rolę sali porodowej. Na wprost wejścia, na obszernym łożu, wśród zaplamionej krwią pościeli leżała drobna postać. Czarne włosy, splecione w długi warokocz, wiły się po poduszce i spływały w dół pościeli. Niewiarygodnie blada twarz dziewczyny mokra była od potu i ściągnięta w wyrazie ogromnego bólu. Wyglądała niczym zmarła, a efekt ten potęgowały zamknięte powieki. Przy wezgielciu klęczał ciemnowłosy mężczyzna i delikatnie gładził cierpiącą po głowie.

Rozglądając się po niewielkim pomieszczeniu, dostrzegłam Dewina stojącego przy oknie w pobliżu drewnianego, prostokątnego stołu.

– Dałem jej środek na uśmierzenie bólu. Tylko tyle mogłem zrobić. Nie będzie cierpiała. Uspiełem jej zmysły. Odejdzie cicho – odezwał się, zwracając się w stronę Laveny, a ja pierwszy raz zauważyłam, że jego spojrzenie jest pełne czułości. Czyżby jednak moje przypuszczenia okazały się słuszne? – To długo nie potrwa.

Wzrok mistrza przez chwilę spoczął na mnie, ale nie poświęcił mi zbyt wiele uwagi. Zapewne dzięki sukni i wytwornej fryzurze wcale mnie nie rozpoznał.

– Moja obecność jest tu już zbyt cicha. Mniemam, że książę Ekhard dowie się, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– Poczekaj! – zatrzymała go Lavena. – A jeśli jest sposób, aby ją ocalić?

– Nie ma takiego sposobu – zapewnił. Chyba poczuł się urażony tym, że ktoś kwestionuje jego zdolności i wiedzę. – Nawet magia jest bezsilna, gdy chodzi o śmierć. Musi się wasza wysokość pogodzić, że...

– Z niczym nie będę się godzić! – krzyknęła na tyle głośno, że nawet mężczyzna klęczący przy łożu podniósł głowę i spojrzał na nas.

Rozpoznałam w nim rycerza z blizną, tego samego, który był w drużynie Weylina.

– To beznadziejna sprawa. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie ma na tym świecie takowej siły, zdolnej ocalić życie twojej przyjaciółki.

– A jeśli jest? – Pchnęła mnie do przodu. – Jeśli ta siła przybyła z innej krainy i może nam pomóc?

Dewin zmrużył oczy, patrząc na mnie uważnie. Wreszcie mnie rozpoznał, gdyż przez jego twarz przemknął grymas wstrętu.

– Ta moc, której chcesz użyć, tylko zagładę może nam przynieść – wysyczał po chwili milczenia. – Nic dobrego nigdy stamtąd nie przyszło. Czyżbyś nie widziała, co mamy przez takiego, jak ona? Twoja matka cierpiała, wszyscyśmy cierpieli...

– Zamilcz! – Weylin postąpił krok do przodu. – Masz się miarkować, gdy wspominasz moich rodziców.

– Tak, panie. – Pokłonił się, ale jego zaciśnięte wargi świadczyły, że tylko udaje pokorę.

– Jeśli ona może ocalić Baldurii życie, to niech to zrobi! – zakomenderował



Weylin. – Wesprę ją w tym i wystąpię przeciwko każdemu, kto będzie chciał ją powstrzymać.

– Ma również i moje pozwolenie – potwierdziła Lavena, a jej głos brzmiał wyjątkowo stanowczo.

– Ja... – Zakręciło mi się w głowie. W niezłe bagno wdepnęłam. Niby jak mam tego dokonać? – Ja powiem wam, mistrzu, co trzeba zrobić, a wy... – zwróciłam się do Dewina, ciągle mając nadzieję, że to on zajmie się wszystkim.

– Nie będę ciebie słuchał! – Dewin obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem. – Ja jeden ślepy nie jestem i wiem, do czego zmierzasz. Chcesz zniszczyć ten świat, chcesz pogrążyć go w chaosie i rozpacz. Nigdy, przenigdy nie przyłożę do tego ręki! Jesteś przeklęta, tak samo, jak Mateo, którego złe lichy do nas przywiodło i który będąc martwym, powrócił, by przynieść nam zagładę.

– Wynoś się!

Weylin dopadł do Dewina i szarpnął z całej siły, kierując go w stronę drzwi. Furia wykrzywiła mu twarz. To nie mogło chodzić tylko o ocalenie Baldurii! Ta sprawa musiała mieć drugie dno. Wczoraj, w czasie uczy, także wystąpił przeciwko Dewinowi i byłam stuprocentowo pewna, że obaj panowie szczerze się nienawidzili.

– Wynoś się stąd, bo jeszcze chwila, a sam cię zabiję! I nie obchodzi mnie, kim jesteś!

– Weylinie! – słaby okrzyk Laveny sprawił, że na moment zawahał się i poluzował uchwyt. Odwrócił się w stronę siostry.

– Jesteście przekłęci! Wszyscy! – zawył Dewin. – Jeśli dacie się omotać tej czarownicy, już po was! Zginiecie, a ptaszyska rozdziobią wasze nędzne członki! Laveno, opamiętaj się! Nie pozwól zwieść się czarnej magii! Jesteś silniejsza niż oni. Możesz się uratować!

Weylin gwałtownie wypchnął mistrza z komnaty, a zatrzęsawszy za nim drzwi, oparł się o nie plecami. Dyszał ciężko, a włosy opadały mu na twarz, zasłaniając ją przed naszym wzrokiem. Spojrzałam na Lavenę i zobaczyłam w jej oczach przerażenie.

Bezwiednie wypuściłam z dłoni plecaczek, który z głuchym łoskotem upadł na kamienną posadzkę. Miałam wrażenie, jakbym zbliżała się do stromego urwiska, a wiatr popychał mnie prosto w otchłań. Co ja najlepszego zrobiłam? Cesarskiego cięcia mi się zachciało! Głupia, głupia, kretynka! Czy jest możliwość, aby jeszcze jakoś się z tego wyplątać? Raczej w to wątpiłam.

– Co się dzieje? – Mężczyzna klęczący przy łóżku podniósł się z kolan. – Czyżby była nadzieja na ratunek dla Baldurii?

Lavena podeszła do niego i położyła obie dłonie na jego ramionach. Ten gest wydał mi się wyjątkowo czuły i... chyba nie tylko współczujący.

– Hermanie, pamiętasz tę dziewczynę, którą znaleźliście wczoraj na trakcie? – Wskazała na mnie głową. – Ona ma moc. Jeśli się zgodzisz, spróbuje wyrwać twoją żonę i dziecko z ramion śmierci.

Spojrzał na mnie, a ja dostrzegłam niepewność i strach malujące się na jego obliczu. Mogłam tylko modlić się bezgłośnie o cud. O to, aby nie wyraził zgody, aby uchronił swoją żonę przede mną. Jednak byłam pewna, że jego miłość wygra ze strachem przed nieznaną czarodziejką.

– Jeśli potrafi uratować Baldurię... – Odsunął się od Laveny, podchodząc bli-

żej mnie. – Przysięgam, że do końca swych dni będę cię wspierał i nie pozwolę nikomu skrzywdzić. Nawet jeśli musiałbym za to zaprzedać swoją duszę. Wybacz mi moje wczorajsze słowa, jam człek prosty, nienawykły do takich dziwów. Wziąłem cię za wysłannika Mateo, nie bacząc, że nie każdy przybysz musi nieść ze sobą zło. Jeśli możesz jej pomóc... Winien jej jestem życie... Ta kobieta, ona... Ona musi żyć! Ratuj ją, jeśli potrafisz. Błagam, ratuj, a będziesz mieć we mnie swego niewolnika.

Z tyłu doleciało mnie zawrozczenie Comty, która użalała się nad strasznym losem swoich podopiecznych i przeklinała moje pojawienie się w Burii.

Wolno podeszłam do łóżka i popatrzyłam na dziewczynę. Co powinnam teraz zrobić? Gorączkowo przypominałam sobie wszystko, co wiedziałam na temat cesarki. Sytuację pogarszał fakt, że nie miałam żadnych narzędzi, niczego... Nagle mnie olśniło. Oglądałam kiedyś taki stary serial... *Doktor Quinn*. No jasne! Że też wcześniej na to nie wpadłam!

– Potrzebuję dużo gorącej wody! I ostry sztylet, wygotowany we wrzątku. I nici jedwabne wraz z igłą! Tylko też mają być wygotowane! To ważne! Słyszysz! – Odwróciłam się w stronę stojącej w kącie zapłakanej służącej Baldurii. – A ty, zamiast złorzeczyć, lepiej jej pomóż! – Ostatnie zdanie skierowałam do Comty.

Spojrzały niepewnie, ale kiedy Lavena skinęła stanowczo głową, wybiegły spełnić moje polecenia. Ja tymczasem podwinęłam kołdrę i spojrzałam na duży, przykryty koszulą brzuch rodzącej. Przy jej drobnej figurze wydawał się wręcz monstrualnych rozmiarów. Z ulgą zauważyłam niewielki ruch pod skórą – znak, że dziecko nadal żyło.

– Spróbuję ją uratować, ale to poważna i trudna operacja. Może się nie udać. Chcę, abyście to wiedzieli – mówiłam do wszystkich, ale patrzyłam na Lavenę. – Jest szansa, że jeśli nawet Balduria nie przeżyje, to dziecko urodzi się zdrowe.

– Zrób wszystko, co w twojej mocy. – Skinęła głową. – Wierzę, że nie znalazłaś się tu przypadkiem. Nie widzę w tobie zła, o którym inni tak prawią.

Byłam jej wdzięczna za te słowa, ale bałam się, że jeśli mi się nie uda, to moi obecni sprzymierzeńcy obrócą się przeciwko mnie. Teraz jednak już nie mogłam się wycofać.

Służące wróciły po kilku minutach, a na dźwięk otwieranych drzwi i kroków po kamiennej posadzce serce zaczęło mi bić szybciej.

– Jest wszystko.

Comta niechętnie rozłożyła na stole białą płachtę materiału, na której położyła sztylet oraz szare nici i kilka igieł różnych rozmiarów. Druga służąca wniosła dzban z wrzątkiem i miskę, do której przelała parującą wodę.

Staralam się iść bardzo wolno, ale i tak za szybko znalazłam się przy stole. Ujęłam w dłoń rękojeść sztyletu i zanurzyłam ostrze we wrzątku. Nie! Nie mogę tego zrobić! Nie mogę! Rozpaczliwie zaczerpnęłam powietrza. Ale jeśli tego nie zrobię, skażę tę kobietę i dziecko na śmierć! Jestem jedyną osobą, która wie, co powinno się uczynić, niestety, nie umiem tego wykonać.

I nagle spojrzałam na Weylina. Patrzył na mnie z napięciem i niemalże nabożną czcią. Zbliżyłam się do niego.

– Polowałeś wiele razy, prawda? – zagadnęłam nieśmiało, nadal modląc się o cud.

Skinął głową.

– I pewnie wyprawiałeś skóry, oddzielałeś mięso? – ciągnęłam ten krótki, ale jakże ważny wywiad. Być może najważniejszy w moim życiu. – Pomożesz mi? – Wyciągnęłam do niego dłoń ze sztyletem. To był gest rozpaczny. – Będę ci mówić, co robić.

Nie spodziewałam się, że się zgodzi. Zaryzykowałam, bo i tak nie miałam nic do stracenia. Przez chwilę w milczeniu przyglądał się trzymanemu przeze mnie sztyletowi. Cisza, jaka panowała w pomieszczeniu, zdawała się przytłaczać. Słyszałam bicie własnego serca i przyspieszony, chrapliwy oddech rodzącej. Czekałam na decyzję Weylina. Tylko on jeden mógł mi teraz pomóc. Czy będzie na tyle szalony?

Ze zdumieniem, ale i z ulgą zauważyłam, jak wyciąga rękę, jak dotyka moich zaciśniętych palców. Zastygliśmy na moment, po czym rozluźniłam uchwyt i przekazałam mu sztylet. Razem podeszliśmy do łóżka rodzącej.

Herman i Lavena stali w pobliżu, ale starali się nam nie przeszkadzać. Nie odzywali się ani słowem, akceptując wszystko, co postanowiłam. Comta ze służącą Baldurii schroniły się w rogu pomieszczenia, przerażone tym, co zamierzałam zrobić. Do moich uszu doleciał przytłumiony odgłos ich szeptów – byłam pewna, że odmawiają jakieś swoje modlitwy. Och, żeby te pacierze mogły pomóc! Pomyślałam o tym, jak dziwnie musimy wyglądać: ja, wystrojona w suknię Laveny, i Weylin ze sztyletem w dłoni nad łóżkiem rodzącej. Czując, że za chwilę wybuchnę histerycznym śmiechem, pochyliłam się nad nieprzytomną dziewczyną i odsłoniłam dół jej brzucha.

– Musisz naciąć tu. – Narysowałam palcem na skórze podłużny ślad. Miałam nadzieję, że się nie pomyliłam. Przypominałam sobie zajęcia z anatomii i obejrzałam przeze mnie programy popularnonaukowe, w których pokazywano przebieg cesarskiego cięcia. – Musisz to zrobić bardzo delikatnie. Najpierw rozetnij skórę. Musisz bardzo uważać, aby nie zranić dziecka. Potem powiem ci co dalej. Rozumiesz?

– Tak. – Głos Weylina był spokojny, a jego opanowanie udzieliło się także mnie. Potrzebowałam tego najbardziej na świecie.

Czubek ostrza dotknął skóry nieprzytomnej dziewczyny. Czekałam na pierwsze cięcie, ale Weylin odwrócił głowę w bok i spojrzeliśmy na siebie. Byliśmy tak blisko siebie i opanowało mnie niezwykle, magiczne wręcz uczucie, że łączy nas silna więź. Wszystko inne przestało się liczyć. Miałam wrażenie, że nasze serca biją jednym rytmem.

– Ufam ci – wyszeptał, po czym ponownie spojrzął na nieprzytomną Baldurię.

Lekko nacisnął sztylet i delikatnie zagłębił go w ciele dziewczyny. Spod ostrza wypłynęły krople krwi. Wstrzymałam oddech.

### XIII. DWA ŻYCIA

W pełnej skupienia ciszy panującej w komnacie skrzywienie drzwi zabrzmiało niczym wystrzał armatni. Jak na komendę wszyscy spojrzeliśmy w stronę spowitego półmrokiem wejścia.

– Mistrz Dewin strasznie na was cięty.

Bez trudu rozpoznałam ten głos i odetchnęłam z ulgą. To była osoba, której najbardziej teraz potrzebowałam, a której się tutaj nie spodziewałam. Od naszego porannego spotkania minęło zaledwie parę godzin i chociaż byłam pewna, że wkrótce ponownie się zobaczymy, nie przypuszczałam jednak, że stanie się to tak szybko.

– Dobrze, że jesteś!

Spojrzałam na Ewena przez ramię. Z ochotą rzuciłabym się mu w ramiona, szczęśliwa, że zjawił się właśnie teraz. Tylko on jeden w tym pokoju miał wiedzę medyczną.

– Jeszcze nikt nie cieszył się tak na mój widok. – Uśmiechnął się, chyba nieco ironicznie.

– A ty czego tu szukasz? – warknął Weylin. Patrzył na pomocnika Dewina z niechęcią i pogardą. – Na przeszpiegi przyszedłeś? Służysz za szpicla swojemu mistrzowi?

– Nie, panie – odparł spokojnie.

Ewen widać przywykł do takiego traktowania, bo słowa Weylina nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Zamknął drzwi i podszedłszy do łoża rodzącej, stanął przy Weylinie. Spojrzał na pierwszą krwawą linię znaczącą dół brzucha Baldurii.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał, ale pytania tego nie skierował bynajmniej do siostrzeńca księcia Ekharda.

– Mistrz Dewin uznał, że nic nie uratuje ani matki, ani dziecka. Ja jednak uważam inaczej. Chciałabym spróbować czegoś, co jest stosowane w... tam, skąd pochodzę – wyjaśniłam. – Możemy rozciąć brzuch rodzącej i wydobyć dziecko.

– Szaleństwo! – wykrzyknął, ale wyczułam, że jest zainteresowany. – Chcesz rozciąć jej brzuch? – upewnił się.

– Tak – potwierdziłam z całą stanowczością. – Weylin miał mi w tym pomóc.

– Weylin? – Zerknął na mojego towarzysza i coś na kształt ironicznego uśmiešku wykrzywiło mu usta. – Zaprawdę niezły pomocnik, wprawion wielce we władaniu mieczem, ale raczej nie w celach ratunkowych ino...

– Czy ktoś pytał cię o zdanie? – przerwał mu brat Laveny, a ja zrozumiałam, że jeszcze chwila i wybuchnie kłótnia.

– Panowie, nie czas na takie dziecinne zachowanie! – zainteresowałam. – Mistrz Dewin odmówił nam pomocy, a tylko Weylin potrafi posługiwać się wprawnie bronią białą – pospiesznie wyjaśniałam zaistniałą sytuację, chcąc ułagodzić Ewena. – Skoro jednak zjawiłeś się ty, będę ci bardzo wdzięczna, jeśli zechcesz nam pomóc. Jesteś przecież medykiem.

– Jeno uczniem – poprawił mnie, ale byłam pewna, że poczuł się mile połączony tym komplementem. – I mówisz, że gdyby rozciąć jej brzuch, to dziecko będzie

żyć?

– Może i ona przeżyje – dodałam nieśmiało, przytakując dodatkowo skinieniem głowy.

– Daj! – Ewen wyciągnął dłoń w stronę Weylina, czekając, aż ten wręczy mu sztylet.

Rycerz spojrział na wyciągniętą rękę niechętnym wzrokiem i ani myślał zastosować się do tego żądania.

– Daj mu – szepnęłam. – Proszę, pozwól mu pomóc.

Chyba uraziłam jego dumę, gdyż prychnął gniewnie i wzruszywszy ramionami, podał sztylet Ewenowi. Sam odsunął się na bok. Więż, która dopiero co nas łączyła, właśnie została zerwana. Nie miałam jednak czasu zastanawiać się nad tym dłużej, gdyż musiałam poinstruować Ewena, co należy zrobić.

– Powinieneś przeciąć skórę i mięśnie pod spodem, ale bardzo delikatnie. O tu, w tym miejscu. – Wskazałam palcem na ślad po cięciu Weylina. – Naprawdę delikatnie – powtórzyłam z naciskiem. – Tak, aby nie zrobić krzywdy dziecku. Ono będzie w takim pęcherzu... Takim worku z płynem... Gdy będziesz je widział, to wtedy ostrożnie wyjmiesz na zewnątrz i...

– Rozumiem. Nie musisz się martwić. Będę bardzo ostrożny.

Zacisnął wargi i w pełnym skupieniu pochylił się nad rodzącą. Przez chwilę wpatrywał się w jej obnażony brzuch, jakby oceniając miejsce wskazane przeze mnie do cięcia. Wolną dłonią, tą, w której nie trzymał noża, wprawnie obmacał ciało, próbując przeanalizować ułożenie dziecka. Jeszcze na moment obrócił się w moją stronę i, tak jak poprzednio Weylin, spojrział mi prosto w oczy.

– Jesteś pewna, że to jedyne wyjście? – zapytał.

– Tak.

– Niech więc się stanie.

Odetchnął głęboko i dotknął czubkiem noża do napiętej skóry. Ponownie dostrzegłam krople krwi, które pojawiły się pod jego naciskiem. Za chwilę te krople przemieniły się w strużkę, która powiększała się z każdym momentem. Powiększała i powiększała. Było jej tak dużo...

Prawie od zawsze, jak sięgam pamięcią, chciałam być lekarzem. Często wyobrażałam sobie siebie ratującą życie innym ludziom. Chciałam być bohaterką, osobą, która potrafi pokonać śmierć. W tym momencie jednak zrozumiałam, że moje marzenia i ambicje tak naprawdę nie są istotne. Widok krwi uzmysłowił mi, że igrzm z życiem prawdziwego człowieka. Oto biorę udział w operacji prowadzonej przez niedoświadczonego pomocnika medyka, instruowanego przez tegoroczną maturzystkę. Czyste szaleństwo! Czy to ma szansę powodzenia? Ogarnęło mnie przerażenie. Co ja tu robię? Boże, co ja tu robię! Jestem taka głupia!

Splotłam dłonie, zaciskając je tak mocno, że aż paznokcie wbijały się mi w skórę. Boże, co ja robiłam?! Z napięciem obserwowałam nóż zagłębiający się w ciele Baldurii i w tę krew, której było tak dużo.

– Czy kto mi pomoże i przygotuje coś, aby oporządzić dzieciaka? – Głos Ewena przerwał panującą ciszę, a brzmiał tak stanowczo, że stojąca do tej pory w rogu komnaty Comta bez słowa sprzeciwu natychmiast podeszła bliżej łóżka, przynosząc zwoje białego płótna.

Znowu zapanowała cisza. Nikt nie śmiał się odezwać, gdy Ewen rozciął brzuch

wystarczająco, aby po odciągnięciu płatów skóry wydobyć z wnętrza dziecko. Oblepione śluzem, nieruchome i takie niepodobne do maleństw, które często widziałam w reklamach telewizyjnych. Przez głowę przeleciała mi straszna myśl: „Może dziecko jest martwe. Może umarło w brzuchu matki? Może to wszystko jest niepotrzebne?”.

Napięcie sięgnęło zenitu. Obserwowałam każdy ruch Ewena, gdy odcinał pępowinę łączącą noworodka z Baldurią i po podwiązaniu jej wymierzał dziecku dwa klapsy w pupę. Te kilka sekund ciągnęło się w nieskończoność, jednak po chwili maleństwo poruszyło się i z jego gardła wydobył się skrzekliwy pisk. Żył! Boże, co za szczęście! Dziecko żyło!

Ewen odetchnął z ulgą. Wyprostował się, trzymając na rękach małe, zakrwawione ciało, i zwrócił w stronę Comty.

– To chłopiec – oznajmił, przekazując jej dziecko.

– Jaki śliczny chłopczyzna. Oj, wyrosnie z niego zuch na schwał – zawyrokowała Comta, z czułością przyglądając się pomarszczonemu noworodkowi.

Pełen radości głos dwórki nie wskazywał na to, że jeszcze kilka minut temu była skłonna spalić mnie na stosie za to, że podsunęłam szatański pomysł o cesarskim cięciu. Cała jej złość minęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Miałam szczęście. Co jednak by się stało, gdyby dziecko naprawdę urodziło się martwe?

Herman podszedł do mnie i padłszy na kolana, chwycił za skraj mojej sukni. Z nabożną czcią ucałował rąbek materiału.

– Winien ci jestem dozgonną wdzięczność. – W jego głosie nie było słychać jednak radości, a kiedy zobaczyłam jego wzrok, przekonałam się, że przepełniał go smutek. Może przy całym szczęściu z narodzin dziecka przeżywał jednak nieuchronną śmierć swojej żony?

– Jeszcze nie dziękuj.

Wiedziałam, że los Baldurii nadal jest niepewny. Taki zabieg bez odpowiednich narzędzi, sterylnych warunków i wykwalifikowanego zespołu lekarskiego pociągał za sobą ogromne ryzyko dla matki, z czego doskonale zdawałam sobie sprawę.

Pochyliłam się nad klęczącym Hermanem i pociągnęłam go za ramię, zmuszając do wstania. Nie przywykłam, aby mężczyźni padali przede mną na kolana.

– Nie dziękuj – powtórzyłam. – Zajmij się dzieckiem, ono jest teraz najważniejsze.

Posłuchał mnie z wyraźnym ociąganiem, tak jakby wcale niespieszno mu było powitać nowo narodzone dzieciątko. Co więcej, wcale nie odebrał od Comty owiniętego już w płótno maleństwa, tylko towarzysząc dwórcie, odszedł wraz z nią w kąt komnaty, gdzie czekali Lavena z Weylinem i przejęta sytuacją, niezdolna do pomocy służka Baldurii.

– Co teraz? – Ewen wytarł zakrwawione dłonie w jedną z położonych na posłaniu płacht białego materiału.

– Trzeba ją zaszyć. – Podeszłam do stołu i wzięłam z niego nici i igłę. Podałam je Ewenowi. – Musimy powstrzymać krwawienie. Zszywałeś zapewne rany?

– Nie takowe, ale był przy tym jak mistrz Dewin grot wyjmował z brzucha.

Odsunęłam się w bok, pozwalając mu skupić się na pracy. Moja rola ograniczyła się na szczęście tylko do poinstruowania. Z prawdziwą ulgą popatrzyłam do tyłu, na jakże uroczą scenkę: Comta tuląca w ramionach małe zawiniątko, Herman

milczący i oszołomiony, jak mi się zdawało, szczęściem, Lavena z ciekawością wpatrująca się w malutką twarzyczkę noworodka. Nawet towarzysząca im dwórka Baldurii wyglądała na niezwykle szczęśliwą i wzruszoną. Jedyne Weylin... Tylko on jeden nie okazywał radości z cudu narodzin i stał z grymasem złości wykrzywiającym jego przystojną twarz. Postanowiłam z nim porozmawiać i trochę udobruchać, ale ledwie zbliżyłam się do niego, on odsunął się, tak jakby moje towarzystwo było mu niemiłe.

– Skąd znasz tego? – Ruchem głowy wskazał na Ewena. – Odkąd to tak przyjaźnisz się ze znajdą? A może wyście z jednej krainy?

– O co ci chodzi?

Zachowanie Weylina trochę mnie irytowało. Był wściekły, ale o co? Przecież nie mógł być zazdrosny! Nie o mnie w każdym razie. Ledwie się tu wszyscy poznaliśmy, a mnie nie w głowie były jakieś uczuciowe perturbacje. Chciałam wrócić do swojego świata. A może Weylin był zły, że Ewanowi przypadła tak naprawdę zasługa uratowania dziecka Baldurii? No dokładnie... tak właśnie mogło być.

– Jestem ostrożny. Twoje pojawienie się tutaj dużo zmieniło.

– Sam mnie tu sprowadziłeś – przypomniałam. – Trzeba było mnie zostawić na trakcie.

– Może i trzeba było...

Dalszą rozmowę przerwał huk gwałtowne otwieranych drzwi i do komnaty weszli dwaj książęcy strażnicy, za którymi postępował sam Ekhard w towarzystwie... a jakże... Dewina!

– Widzisz, panie, to jest to, o czym ci mówiłem! – Mistrz od razu podszedł do łóżka i ze wstrętem popatrzył na przesiąkniętą krwią pościel oraz mężczyznę zszywającego rozcięty brzuch kobiety. W tym momencie rozpoznał swego wychowanka. – Ewen? Na świętości Burii, co ty tu robisz? Dałeś się zwieść słowom tej piekielnicy? Swoją duszę na zatracenie prowadzisz? Kalasz mój honor?

– Pohamuj, mistrzu – odparł Ewen spokojnie. – Racz wysłuchać...

– Weylinie? – Książę odszukał wzrokiem siostrzeńca, chwilowo nie przejmując się sprzeczką pomiędzy Dewinem a jego wychowankiem. – Czemu nie ma cię na uczie?

– To ona! – Dewin nie zamierzał jednak pozostać na marginesie ani dopuścić Weylina do głosu. Poczzerwieniał na twarzy, zapewne z oburzenia, że Ewen wystąpił przeciwko niemu i krzyżąc ile sił w piersi, wycelował we mnie wskazujący palec. – To ta czarownica! Krwi spragniona była! Omamiła wszystkich i...

Płacz dziecka, dobiegający zza naszych pleców, przerwał jego wystąpienie.

– Pozwól, panie, że tobie pierwszemu przekażę dobrą nowinę. – Herman wystąpił do przodu, wskazując na nadal trzymanego przez Comtę noworodka. – To mój pierworodny, dziedzic rodu. Niebiosa, za przyczyną tej tu obecnej niewiasty, mi go podarowały. Gdyby nie ta czarodziejka z odległego kraju, nie mógłbym go utulić w swoich ramionach. Nie miałbym krwi z mojej krwi. Zamiast cieszyć się, płakałbym teraz. Mistrz Dewin uznał, że Balduria i dziecko szans żadnych nie mają. Na śmierć ich skazał. Lecz przyszła ona i... dała nadzieję. Wbrew słowom mistrza, lecz ku chwale mego rodu. Dla rycerza syn to skarb największy. I oto mam ten skarb teraz...

To dziwne, ale chociaż Herman wystąpił z tak długą przemową, w której podkreślał swą dumę i szczęście z narodzin dziecka, ja jakoś nie słyszałam w jego głosie

radości. Co więcej, miałam wrażenie, że mówi to wszystko lekko ironicznym tonem, tak jakby drwił z tego, co się stało. Ale to przecież niemożliwe! Może po prostu był oszołomiony albo też ja źle to wszystko interpretowałam.

Spojrzałam uważniej na Hermana. Jego twarz była poważna, bez cienia najmniejszego chociażby uśmiechu, a zaciśnięte mocno wargi świadczyły o ogromnym napięciu i złości, jakie musiały towarzyszyć rycerzowi. Nie, tak nie powinien wyglądać szczęśliwy ojciec.

– To siły nieczyste! – zawył Dewin ze zdwojoną siłą. – To nie dar niebios, jeno przekleństwo. Dziecko śmierci wydarte, a to, co śmierci jest, nie może być jej odebrane. To pogrzebek! Nie powinien na świat przychodzić! Nieszczęście sprowadzi na nasz zamek i całe państwo!

Ekhard milczał. Przenosił wzrok z Hermana na noworodka, później na Weylina i na mnie. Marszczył przy tym czoło, tak jakby nad czymś intensywnie myślał.

– Co z matką? – zapytał w końcu, a pytanie to skierował bezpośrednio do mnie, chociaż to Ewen się nią zajmował. – Żyła, gdy dziecko na świat przyjmowaliście?

– Tak, panie. Żyła i nadal żyje...

– A wydobrzej?

– Nie wiem, panie – odpowiedziałam cicho. – Straciła dużo krwi.

– Czy wiedziałaś, że jej nie uratujesz, gdy tu przyszłaś?

– Brałam to pod uwagę. To bardzo ryzykowny zabieg, ale wiedząc, że dzięki niemu mogę ocalić dziecko, postanowiłam spróbować. Na jednej szali miałam życie dziecka, na drugiej śmierć obojga. A co ty, panie, byś wybrał?

– Przez jej usta zło przemawia. Zwodzi nas, mami. Nie miała prawa o życiu i śmierci decydować.

– Ty też nie miałeś! – Ekhard uniósł dłoń, nakazując mistrzowi, aby umilkł. – Jeśli ocaliła jedno życie, gdy oba na śmierć były wydane, to rachunek jest prosty. Ty nie chciałeś ratować żadnego!

– Chciałem, panie, ale takowej mocy nie miałem! Nie mnie igrać z prawami natury! Komu śmierć sądzona, umrzeć musi! To dziecko to pogrzebek! – powtórzył dramatycznym tonem.

– Nie pogrzebek – zawyrokował władca. – Jego matka żyła, gdy je na świat przyjmowali.

Comta odetchnęła głośno z ulgą, a ja zrozumiałam, że werdykt władcy był bardzo korzystny dla nowo narodzonego dziecka. Jeśli Ekhard uznałby je za urodzone po śmierci matki, niechybnie czekałby je jakiś straszny los, może i gorszy od śmierci. Cóż za okrutny, barbarzyński kraj i obyczaje.

– Panie, nie daj się zwieść! – zawył Dewin. – Zło w czystej postaci powróciło i nowe nieszczęścia na nas sprowadzi. W siłę rośnie, niesnaski wśród nas sieje. Panie, ratuj swój lud! Pomnij na to, co stało się przed laty!

Jednak Ekhard już go nie słuchał. Odwrócił się i podszedł do otwartych drzwi. W progu zatrzymał się na moment i przez ramię spojrzał na nas.

– Uczta trwa i nikt nie jest z niej zwolniony. To obowiązek każdego rycerza. Mniemam, że wkrótce was na niej obaczę, bo świętej tradycji pokalać nie wolno. A ty, Dewinie, powstrzymaj swój język, wszak milczenie czasem uznawane jest za złoto. Nikt twoich umiejętności nie pomniejsza, a ty sam się wstydem nie okrywaj,



niegodnych słów używając. Chodź lepiej za mną i nie przeszkadzaj swemu wychowankowi. Może i sam mistrz czasem powinien uczyć się od swego ucznia.

Dewin umilkł i zagryzł wargi. Jego bladą twarz wykrzywiła wściekłość. Omiótł wzrokiem całe pomieszczenie, powoli przenosząc spojrzenie na każdego z nas, najdłużej patrząc na Ewena. Nie powiedział jednak nic więcej, tylko posłusznie podążył za władcą. Kolejna zniewaga, jakiej doznał przeze mnie, sprawiła, że stał się moim śmiertelnym wrogiem. Dobrze zdawałam sobie z tego sprawę.

– Nie ocalisz Baldurii? – Herman patrzył na mnie uważnie. – Naprawdę nie możesz tego zrobić?

– Chciałabym bardzo, ale nie mogę ci obiecać, że będzie żyła.

– Nie miej wyrzutów sumienia. Zrobiłaś więcej, niż mógłbym oczekiwać. – Podszedł do łoża żony i przyklęknąwszy przy nim, czule odgarnął kosmyk włosów z jej czoła.

– Nie trać wiary. Dziś stał się cud. Jeśli dziecko żyje, to może łaskawy los sprawi, że i matka ozdowieje. Będę nad nią czuwał – zapewnił Ewen. – Zioła mistrza dają jej ukojenie, nie jest świadoma, co się dzieje, bólu nie czuje. Ja uwarzę jej napar na wzmocnienie i okłady przyrządzę, które ogień z jej ciała wypędzą. Młoda jest, więc jak bogowie dadzą, to wyjdzie z tego, a jak nie, to dziecko ci zostanie i osłodzi kolejne lata.

– Znowu dopiekłaś mistrzowi. – Nie zauważyłam, kiedy Weylin stanął za mną i ująwszy mnie pod ramię, ścisnął mocno. – Dwa dni tu jesteś, a już stałaś się przyczyną tylu niesnasek. Skąd znasz Ewena? – ponowił zadane wcześniej pytanie, które najwyraźniej bardzo go nurtowało.

– Poznaliśmy się rano. Zasłałam, a Comta wezwała Ewena, bo Dewin był tu, u Baldurii.

Nie miałam zamiaru wtajemniczać go w szczegóły porannego spotkania i mojego drobnego oszustwa. Byłam pewna, że Weylin nie byłby zachwycony, gdyby usłyszał o pakcie zawartym z wychowankiem Dewina. Niektóre sprawy lepiej utrzymać w sekrecie i to nie tylko w tym dziwnym, przypominającym średniowiecze świecie. Dodałam więc tylko:

– Wiesz, to wino było jednak dla mnie zbyt mocne.

– Lepiej przyszykujcie się do uczty, bo księżę nie bez przyczyny was wzywa. Dziś ostatnia uczta siódmych łowów. Księżę Ekhard mówił, że was na niej zabraknąć nie może – odezwał się Ewen, przypominając słowa władcy. – Każdy szanujący się rycerz powinien na niej się stawić i za zaszczyt uczestnictwo sobie poczytywać. Tylko tchórze szukają wymówki.

– Albo nieudacznicy, których nikt na ucztę nie prosi – odciął się ostro Weylin.

Obaj panowie wyraźnie nie darzyli się sympatią. We wzroku mojego wybawcy czaiła się nieufność, a nawet wrogość. Obiecałam sobie w duchu, że przy najbliższej okazji wypytam Ewena o powód owego nastawienia. Jakoś wątpiłam, aby to Weylin chętnie udzielił mi odpowiedzi.

– Zamiast swary urządzać, idźcie się lepiej ogarnąć i do uczty przyszykować. – Pomiędzy nami stanęła Comta, nadal tuląca w ramionach noworodka. – Balduria w dobrych rękach zostaje, a wy nic więcej już tu nie poradzicie. Że też akurat w taki czas to wszystko się złożyło. W taki czas... – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Co z tego wszystkiego będzie? A ty, Iguno, ganiaj no pędem do wsi, mamkę do

dziecka sprowadź. Ino migiem, bo trza je będzie nakarmić.

#### XIV. SKRZYDLAKI

Posłuszna poleceniu Comty, aby odświeżyć się przed ucztą, obmyłam się pośpiesznie w lodowatej wodzie, zaczerpniętej przez Weylina ze studni na zamkowym dziedzińcu. Chłód wieczoru dawał się we znaki, a przeraźliwie zimna woda potęgowała to uczucie, jednak dzielnie stawiałam czoło wyzwaniu. Weylin przez cały czas patrzył na mnie z uwagą, tak jakby czekał, że zacznę się skarżyć. Ale niedoczekanie jego! Udowodnię mu, że nie boję się żadnych, nawet tak spartańskich warunków.

Twarz szczypała niemiłosiernie, a dłonie ścierpły od zimnej wody i prawie nie miałam w nich czucia. Byłam ciekawa, jak wyglądam, ale nie należałam na to, aby przejrzeć się w lustrze. Spróbowałam wygładzić fałdy sukni, ciesząc się, że nie ubrudziłam jej krwią. Kosmyki włosów wymasknęły się spod siateczki, ale na to nie mogłam już nic poradzić. Trudno, nie byłam wielką damą, więc nie musiałam się przejmować.

Po tej wątpliwie przyjemnej toalecie ruszyłam wraz z moim opiekunem na owianą tajemnicą ucztę. Przez całą drogę nie odzywaliśmy się do siebie ani słowem, tak jakbyśmy byli zupełnie obcymi sobie osobami. I faktycznie tak było. Zaledwie dwa dni temu nie miałam nawet pojęcia o istnieniu Weylina i jego dziwnego świata. Moim jedynym zmartwieniem było wtedy znalezienie sposobu na wyrwanie się spod bacznej obserwacji babci, aby udać się na podziwianie piekielnego kamienia. Że też byłam taka głupia! Babcia musiała dobrze wiedzieć, co może się stać i dlatego pilnowała, abym nie poszła do lasu. Czy to znaczyło jednak, że sama kiedyś tu trafiła?

Właśnie zaczęłam się nad tym zastanawiać, gdy skręciliśmy w kolejny korytarz i znaleźliśmy się przed znanymi mi już drzwiami, wiodącymi do sali biesiadnej. Tu oprócz dwóch wartowników czekał na nas Herman.

– Dobrze, że jesteście. – Uśmiechnął się. – Uznałem, że powinniśmy się trzymać razem. Nie wiadomo, co...

Nie dokończył zdania, a ja wolałam nawet nie myśleć, co chciał powiedzieć. Przypuszczałam, że ma to związek z moim spięciem z Dewinem.

– Dzięki, bracie. – Weylin uściśnął dłoń przyjaciela, po czym położył prawicę na rękojęści przytroczonego do pasa miecza.

Tak samo zachował się Herman. Stanęli przy mnie z obu stron, niczym przyboczna gwardia. Mój strach wzrósł jeszcze bardziej. Wartownicy otworzyli przed nami ciężkie drzwi, które zgrzytnęły nieprzyjemnie. Z komnaty buchnęły na nas kłęby gryzącego dymu i doleciał zapach wielu różnych potraw. Weszliśmy do środka, skupiając na sobie spojrzenia wszystkich zebranych przy stołach mężczyzn. Pośpiesznie zerknęłam na miejsce, które uprzednio zajmował Dewin. Przypuszczałam, że mimo wczorajszego incydentu nie mogło go jednak zabraknąć na dzisiejszej, tak ważnej uczcie, i nie pomyliłam się. Mój wzrok napotkał wrogie spojrzenie białowłosego mężczyzny.

– A oto i oni! – Książę Ekhard wstał z krzesła i wskazał na nas ręką. – Bohaterowie. Ich spóźnienie nie jest wynikiem kaprysu, lecz walki o życie niewinnych istot. Ta młoda dziewczeczka, którą żeśmy za kuglarzkę wzięli i do sztuczek najróżniejszych

zmuszali, udowodniła właśnie, że przybyła tu, aby nieść dobro i nadzieję. Być może zesłali ją bogowie, aby przerwała pasmo nieszczęść nawiedzających naszą ziemię. To, że pojawiła się w przededniu najważniejszej uczty, nie może być jeno przypadkiem. Dziś, gdy obaczył, jak z rąk śmierci wyrwała dzieciątko Hermana, pojąłem, żeśmy ją mylnie ocenili. A jej szacunek i wdzięczność się należy. Może za jej przyczyną zło wreszcie nas opuści. Może znowu szczęśliwe dni zawitają na dwór.

Prychnięcie dobiegające z miejsca zajmowanego przez Dewina nie zostało zlekceważone przez księcia.

– Czy chcesz nam, mistrzu, znowu swoje wymyślone obawy zaprezentować? – zapytał, patrząc na mojego najbardziej zagorzałego przeciwnika.

– Nie, panie! – Dewin nie spuszczał ze mnie wzroku. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, byłabym już martwa. – Chcę, abyś nie był ślepcem, abyś jasność umysłu odzyskał! Zło tylko przywdziało szaty niewinności, abyśmy nie odkryli jego prawdziwych zamiarów. To ino ułuda. Ta dziewczka szacunku niegodna. Czarnej magii użyła, aby śmierci stawić czoło. Dziecko, które jakoby ocaliła, pogrzebkiem jest ino!

– Miarkuj się ze słowami! – krzyknął książę. – Matka dziecka żyła, gdy na świat przyszło, i żyła, kiedyśmy do komnaty zawitali, więc mego autorytetu nadaremno nie podważaj! To, żeś mistrzem i osobą wielce szanowaną, jest ino przyczyną, że cię wśród nas dziś gościmy. Twoje ostatnie zachowanie niegodne bardzo zaszczytów, któremi cię obdarzył.

Dewin zacisnęła wargi, a jego pełne nienawiści spojrzenie ześlizgnęło się z mojej osoby, a zwróciło w stronę władcy. Mistrz pochylił głowę, niby w oznace szacunku, ale byłam pewna, że tylko udawał. Nie odzywając się więcej, sięgnął po kielich i wychylił trunek do dna.

– Siadajcie, moi mili!

Książę również stracił zainteresowanie Dewinem, a skoncentrował je na nas. Prawą ręką wskazał na wolne miejsca koło siebie, które zajmowaliśmy poprzedniego dnia. Wiedziałam, że są tylko dwa krzesła, więc to zaproszenie nie jest skierowane do Hermana, zresztą on sam też to zrozumiał. Uśmiechnął się do mnie, mrugnął porozumiewawczo do Weylina i odszedł w stronę drugiego końca zastawionego stołu. Jego ranga najwyraźniej nie była zbyt wysoka, ale tego zdążyłam się już dowiedzieć, podsłuchując rozmowę Comty z Ewenem.

Podeszliśmy do wskazanych miejsc, jednak zanim zdążyliśmy usiąść, książę powstrzymał nas.

– Wybacz, Weylinie... – zwrócił się do mego towarzysza. – Chciałbym, aby dziś nasz miły gość zasiadł koło mnie. Nie chowaj urazy, ale winni jej jesteśmy szacunek za to, czego dokonała.

Weylin skinął głową na znak zrozumienia i bez słowa sprzeciwu przesunął się w bok, abym mogła zająć miejsce przy władcy, sam zasiadając na krześle uprzednio przeznaczonym dla mnie. Nie spodziewałam się takiego zaszczytu i nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale na szczęście nie musiałam. Książę, ujawszy moją dłoń w swoją lewą rękę, wznosił ją do góry, w prawej zaś dzierżył kielich wypełniony złotym trunkiem.

– Wszem wobec niech wiadome będzie, że ta dziewczeczka od dnia dzisiejszego pod moją szczególną opiekę trafiła. Ma wszelkie prawa należne wysoko urodzonym i do niewieściego grona może zostać przyjęta. Zadbam o jej przyszłość i dopilnuję,

aby krzywda nijaka się jej nie stała. Pókim żyw, obrońcą jej będę i nikomu nie pozwalam uważać jej za wysłannika sił zła. Jeśli przybyła tu z innej krainy, to ino po to, aby naprawić, co Mateo zniszczył. Szacunek jej się należy i wsparcie. Bogowie dali nam szansę i tylko głupcy zaślepieni nienawiścią tego nie dostrzegają. Od dnia dzisiejszego nie będzie już ta dziewczeczka bawić nas swemi sztuczkami, gdyż jej magia ku wyższym celom jest stworzona. Jutrzejšie łowy dadzą nam zwycięstwo, czuję to! To zapowiedź szczęścia, którego wkrótce zaznamy. I może znowu nad naszymi głowami słońce zaświeci. I może znowu płony ludzic zbiorą. Za łowy, panowie! Za czarodziejkę, która przyniosła nam nadzieję!

– Za łowy! – Wszyscy rycerze powstali z miejsc, wznosząc do góry puchary.

Jedynie Dewin, chociaż się podniósł, nie wykazał nawet minimum entuzjazmu. Kielich w jego ręce nie wznosił się do góry. Z ust mistrza nie wydobył się również okrzyk, który gromko przetoczył się po sali, odbijając echem od kamiennych ścian.

– Za łowy! Za czarodziejkę!

Przepelniała mnie duma, chociaż, prawdę mówiąc, nie zasłużyłam na takie zaszczyty. W końcu tylko podpowiedziałam, co powinno się zrobić, a całością zajął się Ewen. Gdyby nie on, raczej nie byłoby czego świętować. Jakaż ja głupia musiałam być, porywając się na coś, o czym nie miałam zielonego pojęcia! Chirurgiem zachciało się mi być, chociaż nigdy nie trzymałam skalpela w rękach, a medycynę na razie poznawałam jedynie z książek, filmów i z własnych, dość nikłych, doświadczeń w roli pacjenta.

Służba krzątała się przy stole, przynosząc coraz to nowe potrawy i wynosząc opróżnione półmiski. Panowie rycerze nie żalowali sobie jadła, wprawiając mnie tym w prawdziwe osłupienie. Wino lało się strumieniami, jednak Weylin pilnował, aby nikt nie napełnił mojego kielicha. Z braku innych trunków jadłam na sucho, a ponieważ potrawy były bardzo tłuste, wkrótce poczułam się pełna i spragniona popitki. Z coraz większym żalem patrzyłam na wznoszone przez gości puchary. Złocisty kolor wina nęcił mnie, wręcz przyzywał. Zaczęłam kombinować, jak zmylić czujność mego opiekuna. Zaraz! Stop! Ostatnie próby zmylenia czujności babci jakoś nie wyszły mi na zdrowie i powinny być dla mnie nauką na przyszłość. Och, dlaczego ja nie potrafię zachowywać się rozsądnie, tylko zawsze muszę pakować się w kłopoty?

Na szczęście, a może na nieszczęście, w tym momencie książę Ekhard wstał z krzesła i głośno zaklaskał. Natychmiast w sali zapanowała cisza. Było to o tyle dziwne, że stało się to jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jeszcze chwilę wcześniej zewsząd dochodziły rozochoczone winem głosy rycerzy, słychać było siorbanie i mlaskanie, bo nikt tu nie przestrzegał reguł dobrego zachowania przy stole, chociaż towarzystwo musiało zaliczać się do tak zwanej elity, i nagle dwa kłaśniecia władcy sprawiły, że wszyscy ucichli.

– O co chodzi? – zwróciłam się do Weylina, jednak nie odpowiedział, tylko przyłożył palec do ust, w geście nakazującym bezwzględne milczenie.

Powinnam już przywyknąć, że tutejsi ludzie nie są skłonni do odpowiadania na pytania, ale cóż, pewnie za moment sama się dowiem, o co chodzi. Wzruszyłam więc ramionami, pokazując Weylinowi, że jego tajemnice nie robią już na mnie wrażenia i z uwagą popatrzyłam na władcę.

– Panowie rycerze! Dziś nadszedł kres naszych uczt. Biesiadowaliśmy zgodnie w tym gronie, radując się i okazując sobie szacunek. Z różnych rodzin pochodzimy,

aleśmy szlachetnie urodzeni i naszym obowiązkiem jest dbałość o lud Burii. Winniśmy jemu wszelaką pomoc, którą nawet własnym życiem opłacić należy. Jutro rano zbierzemy się na dziedzińcu i wyruszymy wypełnić nasze przeznaczenie. Oby bogowie dozwolili, byśmy powrócili w komplecie, lecz gdy los na to nie pozwoli, pamięć o tych, którzy polegą, pielęgnować będziemy wśród żyjących i wszelaką pomocą obdarzymy ich rodziny. Rok siódmych łowów nam nastał! Czas ucztowania dobiegł końca. Mniemam, panowie, żeście w swych sercach pełni odwagi. My walczyliśmy za tych, którzy sami sił do obrony nie mają. Bogowie dali nam tę ziemię i przykazali dbać o nią i jej chronić. Robiliśmy tak i wszelki dostatek był naszym udziałem. Jednak nadeszły złe lata. Stało się zło. Ogromne zło. Słońce, przerażone tym, co ujrzalo, zakryło swą twarz, spuszczając na nasz kraj wieczny mrok. Ci, którzy nas wspierali, którzy jawili się nam jako przyjaciele, stali się najzjadlejszymi wrogami. Stanęli po stronie tego, który przyszedł niszczyć. Zdradzili nas i przyczynili się do pasma nieszczęść. Nasz przeciwnik jest silny, zdawałoby się niezwyciężony, ale my mamy przewagę! Pomnijcie, panowie, że zeszłe łowy przyniosły nam sukces wielki, chociaż okupiony krwią i życiem naszych braci.

Książę umilkł i popatrzył na wartowników stojących przy drzwiach. Skinął głową, a oni natychmiast otworzyli drewniane podwoje. W sali panowała niczym niezmacona cisza, gdy do środka wchodziło sześciu wysokich nadwornych strażników, trzymających coś przypominającego ogromne nosze, nakryte purpurową płachtą. Mężczyźni szli wolno, krokiem pełnym dostojeństwa, zaś wszyscy rycerze zgromadzeni w komnacie z uwagą obserwowali każdy ich ruch. Ja także zainteresowałam się przybyłymi, tym bardziej gdy dostrzegłam, że zamiast mieczy mają przytroczone do pasa nienaturalnie duże młotki. Tak, to na pewno były młotki. Z niczym więcej nie kojarzyły mi się te bardzo charakterystyczne przedmioty, składające się z grubego drewnianego trzonka i nabitego na jego czubek kamiennego prostopadłościanu.

Nie zdążyłam się zastanowić, do czego te niby-młotki mogą służyć strażnikom, gdyż mężczyźni podeszli do miejsca znajdującego się pośrodku wolnej przestrzeni, pomiędzy ustawionymi w podkowę stołami, i złożyli swój bagaż na ziemi. Ustawili się po bokach noszy, zamierając w bezruchu, niczym posągi. Przez salę przeszedł szmer głosów. Nie były to już jednak pełne radości tony, tylko ponury pomruk.

Książę okrążył biesiadujących i podszedł do wniesionego pakunku. Zatrzymał się przy nim.

– To owoc naszych poprzednich łowów. To dowód na to, że potrafimy zło zwyciężać. Kiedyś nadejdzie dzień, gdy wyplenimy te gadziny i przywrócimy słońce naszym ludziom. Gdy ostatni skrzydlak padnie, nasza kraina będzie wolna!

Pochylił się i szarpnął za jeden róg szkarłatnej płachty. Materiał zafurkotał w powietrzu, na moment przesłaniając mi widok. Gdy opadł, zobaczyłam coś potwornego.

– Skrzydlaki – wyszeptał Weylin wprost do mego ucha. – Oto widzisz coś, co nie było dane oglądać żadnej niewieście.

Jeśli to miał być zaszczyt, to wątpliwy. Z przerażeniem patrzyłam na trzy ogromne, białe czaszki nieznanymi mi zwierząt. Spłaszczone u góry, z wyraźnie wysuniętą, długą częścią szczękową i pustymi oczodołami. Co ciekawe, nad oczodołami i pod nimi znajdowały się charakterystyczne doły skroniowe, które, pamiętałam to z lekcji biologii, u gadów pełniły rolę odciążenia czaszki, przez co ułatwiały jej ru-

chliwość i wzmacniały siłę rażenia. Trójkątne, ostro zakończone szczęki, przywodzące na myśl dzioby, ukazywały dwa rzędy dużych, płaskich zębów, osadzonych w rynience zębowej. Sądząc po ich rozmiarach, mogły stanowić okrutną broń – człowiek w starciu z nimi pewnie nie miał praktycznie żadnych szans. Z łatwością zmiażdżyłyby go na pył. Jednak kształt zębów nie dawał mi spokoju, gdyż moja nauczycielka biologii, pani Kłabuszek, zawsze podkreślała, iż analizując czaszkę dinozaura, bez problemu można odgadnąć, do której grupy smakoszy należał. Mięsożerne charakteryzowały się ostrymi zębami, w przeciwieństwie do tych, które posilały się liśćmi i korą drzewną. Te, które miałam przed sobą, były płaskie.

Przypatrując się bielejącym kościom, zastanawiałam się, jak musiały wyglądać stworzenia, które napawały Buriańczyków taką nienawiścią. Niewątpliwie były ogromne, gdyż same ich czaszki musiały liczyć ponad metr długości. Cieszyłam się, że nie było mi dane poznać owych istot, gdy żyły. Teraz, nawet martwe, budziły we mnie lęk.

– Jutro wyruszamy na łowy! – obwieścił władca gromkim głosem. – Jutro stawimy znowu czoło skrzydlakom! Wytropimy je i dopadniemy w ich gniazdach! Nie pozwolimy, aby bezkarnie chodziły po świecie!

– Na łowy! – Wszyscy rycerze podnieśli się z krzesel.

Łączyła ich wspólna idea, co było bardzo dobrze widoczne. Nawet Dewin stracił zainteresowanie moją osobą, koncentrując swoją nienawiść na szczątkach martwych stworzeń.

– Wnieść kielich! – Głos Ekharda górował nad pozostałymi. – Niech wypełni się nasze przeznaczenie!

## XV. KIELICH PRZEZNACZENIA

Po raz kolejny drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł rosły sługa, trzymający w obu dłoniach nienaturalnej wielkości złoty kielich. Nóżka kielicha otulona była białym materiałem, tak aby ręce niosącego nie mogły bezpośrednio dotknąć naczynia. Mężczyzna zbliżył się do władcy, przyklęknął na jedno kolano i, pochylając głowę, podał mu kielich. Ekhard odebrał od sługi naczynie, również uważając, aby przypadkiem nie dotknąć odkrytej powierzchni. Wzniósł go do góry.

– Kielich Przeznaczenia jest wśród nas!

Sługa wycofał się za drzwi, które natychmiast zostały zamknięte. Mężczyźni, którzy wnieśli nosze ze skrzydlakami, pozostali na swoich miejscach. Miałam wrażenie, że nawet nie mrugają powiekami. Ekhard za to, ciągle trzymając kielich nad głową, wrócił do swojego krzesła. Tu dopiero ustawił naczynie na stole, tuż przed sobą.

Zauważyłam, że kielich był pusty. Jego prostota zaskakiwała. Nie miał żadnych ozdób, ornamentów ani drogocennych kamieni dookoła. Wydawał się wykonany z jednego kawałka – nie widać na nim było żadnych łączeń czy rys. Był idealnie gładki.

– Za chwilę rozpoczniemy rytuał. Przypominam, że nasze życie nie jest jeno naszą własnością. Jesteśmy zaledwie sługami tej ziemi. Nie lza nam swego życia nad dobro ojczyzny przedkładać. Jednak jeśli ktoś z was czuje lęk w sercu, niech kielicha swemi ustami nie kala. Łowy to nasz święty obowiązek, to nasze dziedzictwo, które musimy wypełnić. Dewinie! Czyń swoją powinność!

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak zwrot kierowany do kata i takie odniosłam wrażenie. Ciekawiło mnie niesłychanie, co takiego zrobi teraz Dewin.

– Panie, może Julia powinna nas opuścić?

Propozycja Weylina nie wprawiła mnie w dobry nastrój. Moja ciekawość mogła zaraz zostać zaspokojona, a ten wyskakuje z takim pomysłem! Obdarzyłam go pełnym urażonej dumy spojrzeniem.

– Prawda to! – przyznał Ekhard, a ja poczułam się jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę. – I tak widziała dosyć! Musisz nas pożegnać, moja droga, jednak spraw, aby nasze jutrzejsze łowy obfitowały jeno w same zwycięstwa.

Zacisnęłam zęby, żeby tylko się nie rozpląkać. O nie! Nie pokażę im moich łez! Jeden z wartowników podszedł, aby wyprowadzić mnie z sali, tak jak wczoraj Dewina. I tu stało się coś, czego się nie spodziewałam. Mistrz, który właśnie od drugiej strony stołu podszedł do kielicha, powstrzymał mnie przed opuszczeniem pomieszczenia.

– Panie, znasz moje zdanie na temat tej dziewczki – przemówił – ale racz zauważyć, że nasze prawo nakazuje, aby każdy, kto choć w jednej uczcie brał udział i wspólnie z nami biesiadował, mógł uczestniczyć w obrzędzie Kielicha Przeznaczenia. Nie wolno nam praw raz ustalonych zmieniać! Nie wolno nam chaosu wprowadzać, gdyż to mogłoby łowy zakłócić! Jeśli ta dziewczka jest czarodziejką, tak jak uważasz, jaśnie panie, to jej obecność nijakiej szkody nam nie wyrządzi, a wręcz przeciwnie – pomoc może wielce. Niech jej wolno będzie zostać.



– Mądrze prawisz, mistrzu! – Książę powstrzymał wartownika. – Zaprawdę nasze prawo nie zezwala nam jej stąd wyprosić, gdyż z nami razem ucztowała.

– Ale to niewiasta! – Teraz to Weylin był moim głównym przeciwnikiem.

– A czy kobiety są gorsze? – Nie wytrzymałam i musiałam się odezwać.

– Odwagę ma wielką w swym sercu i okazała już dziś, że moc posiada, która nawet ze śmiercią wygrać potrafi. Niech zostanie! – zdecydował władca.

Coś mi tu nie pasowało, ale nie zamierzałam się tym przejmować, chociaż oczywiście powinnam. Jeśli Dewin chciał, żebym została, to musiał mieć w tym jakiś cel. Podstęp? Moja ciekawość jednak kolejny raz wzięła górę nad rozumem.

– Panie, ale... – Weylin szarpnął mnie za rękę. – ...ona nie może zostać!

– To już postanowione. Była z nami na wczorajszej uczcie, ma prawo zostać – potwierdził władca.

Weylin nie wyglądał na szczęśliwego, ale nie zwracałam na to uwagi. Byłam taka podekscytowana! Taka głupia!

Dewin ze stojącego na stole dzbana, z tego samego, z którego wszyscy pili, nalał do kielicha wina. To troszkę mnie zaskoczyło, bo spodziewałam się czegoś bardziej niezwykłego, jednak moje rozczarowanie ustąpiło szybko zaskoczeniu. Dewin położył na stole białe, niewielkie zawiniątko, które wyjął z połów swojej obszernej szaty. Rozwinął materiał i moim oczom ukazał się niewielki srebrny sztylet.

– Niech bogowie połączą nas ze sobą, dodając męstwa i zwielokrotniając naszą siłę. Razem jesteśmy jednością i tworzymy rodzinę. Moja krew, twoja krew, nasza krew. Razem przeciwko złu, razem wobec żywych i przed obliczem śmierci. – Mistrz wymówił tę formułkę, jednocześnie nacinając wewnątrz swojej lewej dłoni.

Już zaczynałam się domyślać, co się zaraz stanie, i nie pomyliłam się. Dewin uniósł zaciśniętą pięść nad napełnionym kielichem i kilka kropel jego krwi skapnęło do naczynia. Na złotym napitku utworzyły się czerwone kręgi.

Książę Ekhard wyciągnął swoją lewą rękę, a mistrz i we wnętrzu jego lewej dłoni dokonał cięcia. Czy oni słyszeli tu o czymś takim jak środki higieny? Gdzie zapobieganie roznoszeniu się chorób? Jednym sztyletem będą ciąć wszystkich, nawet go nie dezynfekując?

Krew Ekharda spłynęła do kielicha. Dewin przesunął naczynie w bok, ku kolejnemu rycerzowi.

– Co oni robią? – Musiałam zapytać Weylina, gdyż nie miałam innej możliwości. – Po co to wszystko?

– Słyszałaś – burknął mało uprzejmie. – To ma nas połączyć i zwielokrotnić naszą odwagę i siłę. Chciałaś zostać, no to masz.

Obserwowałam, jak kielich krąży po stole, a Dewin każdemu z biesiadników nacina skórę, aby spuścić kilka kropel krwi do naczynia. W mojej głowie pojawiła się głupia myśl, że później będą to pić. A co z AIDS i innymi ciężkimi chorobami? Boże, co za barbarzyńskie zwyczaje! Ja chcę do domu! Do babci! Dwudziesty pierwszy wiek jest cudowny! Jakże ja za nim tęskniłam.

Doszedłszy do końca jednego z ramion stołu, Dewin ujął kielich w dłonie i trzymając go przez białą szmatkę, przeniósł na początek drugiego ramienia. Kolejną ofiarą obrządku był Herman, który bez protestu pozwolił naciąć swoją dłoń i oddał kilka kropel krwi. Kielich powędrował dalej, zmierzając w naszą stronę.

W końcu nadeszła pora Weylina. Miałam wrażenie, że Dewin specjalnie moc-

niej docisnął sztylet, głębiej zatapiając go w skórze mego opiekuna. Krew trysnęła obficie niż pozostałym mężczyznom, ale Weylin nawet nie drgnął. Z kamiennym wyrazem twarzy zacisnął dłoń i strużka czerwonej cieczy spłynęła do kielicha.

Dewin popatrzył na mnie, a ja zobaczyłam w jego wzroku mściwą satysfakcję.

– Ona nie! – zaproponował Weylin, za co byłam mu wdzięczna.

– Została z nami, ucztowała, ma prawo! – Dewin nie zamierzał odpuścić.

Patrzyłam na zakrwawiony sztylet i robiło mi się niedobrze. Tyle zarazków, chorób wszelakich... Tylko nie to!

– To niewiasta! – Weylin uczeplił się ostatniej deski ratunku. – Jej krew chcesz nam dać?

– Nie niewiasta, tylko czarodziejka! – Twarz Dewina wręcz promieniowała od jawnego triumfu. – Ma moc! Nie słyszałeś? Sam władca przyznał, że jej moc śmierć potrafi pokonać! Taka moc przydać się nam może, i to bardzo.

– Zwyczaje nasze i prawo zakazują kobietom udziału w ucztach łowów i do tej pory nic takiego nie miało miejsca. Jednak Dewin ma rację, że ta niewiasta nie jest taka jak inne. Jeśli została do tej chwili, to jest związana z nami już na dobre. Jej krew dopełni całości w Kielichu Przeznaczenia – wydał swój werdykt Ekhard.

– Daj rękę, pani – wysyczał Dewin.

– Ja... Nie... – Rozpaczliwie szukałam wsparcia u Weylina i siedzącego w oddali Hermana. – Ja chyba nie...

– Daj mu swoją dłoń! – polecił władca, a ja wiedziałam, że nie mam innego wyjścia.

Wyciągnęłam przed siebie drżącą lewą rękę. Poczułam mocny uścisk zimnych palców Dewina. Miałam wrażenie, jakby to niewidzialna obręcz zacisnęła się na moim przegubie. Zakrwawione ostrze sztyletu błysnęło przed moimi oczyma. Zamknęłam powieki i zacisnęłam usta.

– Ja to zrobię. – Otworzyłam oczy, słysząc głos Weylina. – Prawo nie mówi, kto ma dokonywać rytuału, a Dewin czyni to jedynie za naszą umową. Niemniej jak pamiętam z dawnych opowieści, to każdy rycerz sam mógł naciąć swoją dłoń.

– Ale zwyczaj przyjęty przez wszystkich staje się prawem! – zawyrokował Dewin, który najwyraźniej nie zamierzał rezygnować ze sprawienia mi bólu.

– Będę nalegał! Nie chcę ci uchybić w niczym, mistrzu, ale znana mi jest twa niechęć względem Julii. – Weylin patrzył Dewinowi prosto w oczy. – Nie twierdę, że specjalnie krzywdę jakowąś byś jej wyrządził i nawet takowej myśli nie mam, zważywszy, że wszystko przed obliczem naszego pana się dzieje, ale chciałbym obaw Julii zaoszczędzić.

– Rację ma, Dewinie – przyznał Ekhard. – Twojej roli nikt umniejszać nie będzie, ale niech przy Julii Weylin dopełni obrządku.

Dewin ze złością puścił moją dłoń i przekazał sztylet Weylinowi. Oburącz chwycił kielich, podsuwając w moją stronę. Złota barwa wina zabarwiła się już całkowicie na czerwono.

Podaliśmy rękę Weylinowi. Jego dotyk był dużo przyjemniejszy. Nie ścisnął mojego przegubu ze wszystkich sił, tylko trzymał go w delikatnym uścisku. Samym koniuszkiem sztyletu dotknął wnętrza dłoni. Zabolało. Piekielnie zabolało, chociaż wiedziałam, że zrobił to najdelikatniej, jak potrafił, zaledwie drasnął moją skórę. Kilka niewielkich kropli pojawiło się w miejscu skaleczenia. Odłożył sztylet i nacisnął

skórę, aby napłynęło więcej krwi, po czym odwrócił moją dłoń, sprawiając, że czerwone krople skapnęły do kielicha. Zacisnęłam pięść i opuściłam rękę wzdłuż ciała. Byłam wdzięczna Weylinowi za to, co zrobił. Niby odpychał mnie swoim zachowaniem, szorstkością, jednak dbał o mnie i najwyraźniej mój los nie był mu obojętny.

– Dziękuję – szepnęłam, ale on nie zwrócił uwagi na te słowa.

Dewin uniósł kielich do góry i zakołysał nim, tak aby zawartość dobrze się wymieszała.

– Nasza krew tworzy jedność. Nasze moce łączą się ze sobą, tworząc potęgę, która oprze się złu. Jesteśmy powiązani w kręgu braterstwa. Kto poległ w walce, tego rodzina znajdzie wsparcie i opiekę u pozostałych przy życiu. Woda, ogień, powietrze, ziemia – żywioły, które decydują o naszym życiu! Niech napełnią nas swoją łaską i błogosławieństwem. Siódme ływy! Siódme ływy! – Mówiąc te słowa, przytknęłam kielich do warg i napiłam się.

Następnie przekazałam naczynie w ręce księcia, który powtórzył:

– Siódme ływy! – I także się napiłam.

Po kolei każdy z rycerzy wypowiadał te słowa, kosztując tego niezwykłego napitku. Przypomniałam sobie, co mówił rano Ewen. Miałam nie pić ze złotego kielicha!

– Boję się – musiałam to powiedzieć. – Boję się, Weylinie.

– Rychło w czas strach cię obleciał.

Nie był zadowolony, że zostałam na uczcie i biorę udział w obrzędzie, ale nic już na to nie mógł poradzić. Moja ciekawość kolejny raz okazała się zgubna w skutkach.

– Gdybyś mnie słuchała, gdybym mówił, byś komnatę opuściła... Teraz możesz jeno, albo dopełnić obrządek do końca, albo jako człek bez honoru okryć się hańbą. Rycerzowi takowego postępkowi nikt by nie wybaczył i na wieki splamiłby swoje imię, ale tyś kobieta... – Oj, to nie zabrzmiało zbyt pochlebnie. – ...tobie insze rzeczy przystoją. Twoja natura słaba. Za okazanie tchórzostwa nikt cię karał nie będzie. Nie tykaj kielicha. Choć ten raz mnie posłuchaj. Jużes daleko zabrnęła. Już wystarczy. Nawet jeśli posiadasz niezwykłą moc, nadal jesteś tylko niewiastą... Możesz okryć się hańbą, ale będziesz żyć. Wierzaj mi, to lepsze niż to, co czeka cię podczas łowów.

Serce waliło mi jak opętane. Kielich krążył po sali, zbliżając się do nas. Żaden z rycerzy nie uchylił się od wypicia. Każdy udawał swoje męstwo. Ale ja nie byłam rycerzem! Nie miałam w sobie aż takiej odwagi! Polowanie na te bestie, których białe czaszki leżały pośrodku pomieszczenia, nie było tym, czego pragnęłam najbardziej. I po co mi to wszystko było? Mogłam wylegiwać się na plaży Costa Brava, bawić w wodnym miasteczku lub zwiedzać Barcelonę. To nauczka dla mnie na przyszłość, że nie wolno zmieniać raz ustalonego harmonogramu!

Czy powinnam okryć się hańbą? Czy to było jedyne wyjście z sytuacji? Boże, jaką podjąć decyzję?

Weylin przejął kielich od swojego sąsiada i upił łyk. Z wahaniem przekazał naczynie w moje ręce. Popatrzył na mnie znacząco, licząc, że postąpię wedle jego rady. Zawahałam się. Kielich był ciężki i musiałam go trzymać oburącz. Zabarwione krwią wino mieniło się w świetle pochodni. Rozejrzałam się dookoła. Wszyscy w napięciu oczekiwali, jaką podejmę decyzję. Herman pokręcił przecząco głową, dając mi znak, abym nie piła. Może to faktycznie jedyne wyjście? Spojrzałam na Dewina. Jego pe-

łen pogardy wzrok mówił sam za siebie – od początku chodziło mu o to, aby mnie skompromitować, aby doprowadzić do tego, że wobec wszystkich okryję się hańbą.

– Tyś niewiasta... – wyszeptał Weylin, chcąc rozwiązać moje obawy, jednak jego słowa osiągnęły wręcz odwrotny skutek.

Jestem kobietą! Nie jestem kimś gorszym! Mimo obrzydzenia, jakie czułam, widząc zabarwione krwią wino, uniosłam kielich i przytknęłam do warg.

## XVI. WYZNANIE

Było mi niedobrze. Czulałam mdłości, które z każdą chwilą przybierały na sile. Czy to działanie wina wymieszanego z krwią? Upiłam ledwie łyżeczkę, ale ten obrzydliwy smak miał mi już pewnie towarzyszyć do końca życia. Końca życia? Może to głupio zabrzmiało, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa kres mego żywota mógł nastąpić już następnego dnia.

Resztę niewypitego wina Dewin rozlał na nagie czaszki skrzydlaków i wtedy dowiedziałam się, do czego służą młotki przytroczone do pasów strażników. Mężczyźni wreszcie przestali udawać kamienne posągi. Sięgnęli po swój dziwny oręż i unieśli go wysoko nad głowami, prezentując zgromadzonemu, a następnie odwrócili się przodem do noszy. Dewin odsunął się do tyłu i wznosił obie dłonie do góry.

– Nasza krew połączona w jedno oblała te bielejące kości. Nasza moc jest niezmierzona!

Kamiennie młoty z głuchym łoskotem opadły na szczątki skrzydlaków. Patrzyłam, jak czaszki tych stworzeń pękają, jak rozsypują się, a odłamki zaścielają purpurowy materiał, na którym były złożone. Taki był koniec istot, na które nazajutrz przyjdzie nam polować. O matko! Ja przecież nawet w siodle nie potrafię się utrzymać, więc jak mam jechać na to całe polowanie? I jak mam walczyć? Miecz mi dażą? Łuk? I tak nie miało to znaczenia, bo oba te rodzaje broni były mi równie obce.

Gdy wszystkie kości zostały rozbite na niewielkie drobinki, strażnicy opuścili młotki, kamiennymi obuchami dotykając posadzki. Dewin podszedł do tego, co zostało z potężnych czaszek, i pochylił się nad pobojuwiskiem. Ze strzępów podartego purpurowego materiału i drewnianych drzazg noszy wygarnął białe odłamki.

– Oto, co zostaje z naszych wrogów! – Wyprostował się, otworzył dłoń i wysypał jej zawartość. – Niech odwaga was nie opuszcza. Jutro w waszych sercach płonąć będzie ogień! Łowy to czas zemsty! To czas zwycięstwa! I nieważne, ile ofiar przyjdzie nam złożyć! Koniec uctowania! Nastal nam czas zapłaty!

Na te słowa rycerze zgromadzeni przy stołach wstali ze swych miejsc i ruszyli w stronę wyjścia. Dookoła panowała cisza i bardzo podniosły, uroczysty nastrój. Weylin złapał mnie za ramię i pociągnął w przeciwnym kierunku niż tłum wychodzących mężczyzn, tam, gdzie były drzwi przeznaczone dla sług. Herman dogonił nas, zanim przekroczyliśmy próg.

– Nie powinnaś pić tego wina – zauważył ze smutkiem w głosie. – Mniemam, żeś nieświadoma, coś uczyniła?

– Dzięki waszej wszechobecnej życzliwości i chęci udzielania wyczerpujących wyjaśnień faktycznie nie byłam świadoma. – Staralam się, aby ironia tych słów była doskonale słyszalna. – Trzeba było mi wcześniej powiedzieć, o co chodzi!

– I co teraz zrobimy? – Herman zadał pytanie Weylinowi, lekceważąc moje nader odważne wystąpienie. – Te łowy dla niej to jawny wyrok śmierci.

– Będziemy się starać, aby tak się nie stało. – Z głosu Weylina emanował chłód. – Lann i Dunham nas wesprą. We czwórkę roztoczemy nad nią opiekę.

Pochlebiali mi to, że czterech rycerzy będzie moją strażą, jednak miałam

dziwne przecucie, że to i tak za mało w starciu ze skrzydlakami. Widok zębów tych stworów nadal mnie prześladował.

– Będziem jej bronić, póki sił w piersi starczy – zapewnił z zapalem Herman.

Wąskimi korytarzami posuwaliśmy się do przodu w bliżej nieznanym mi kierunku. Na pewno nigdy wcześniej tędy nie szłam. Zawsze prowadzono mnie szerokimi korytarzami, na ścianach których gęsto porozwieszane były pochodnie. Tu światła było zdecydowanie mniej i nawet zaczęłam się dziwić, jak w takiej ciemności służba nie błądzi. Korytarz miał sporo odnóg, do tego dochodziły wąskie, kręte kamienne schody. W niektórych miejscach było tak ciasno, że dwie osoby idące obok siebie ocierały się ramionami o ściany.

W końcu Weylin pchnął jakieś drzwi i wydostaliśmy się na zamkowy dziedzińiec, w pobliżu studni, gdzie przed ucztą myłam twarz i ręce. Kolejne drzwi, szeroki korytarz, kilka schodków i oto rozpoznałam, że wracamy do komnat przynależnych Hermanowi.

Grobowe miny moich towarzyszy rzucały się w oczy, bowiem zaledwie weszliśmy do sypialni Baldurii, wystarczyło jedno spojrzenie Ewena, który nadal nie odstępował łóżka chorej, aby odgadł, że stało się coś bardzo niedobrego.

– Wy chyba nie pozwoliliście jej... – Umilkł, sam nie wiedząc, jak sformułować to nieszczęsne pytanie. Wodził wzrokiem od Weylina do Hermana, w końcu zatrzymując spojrzenie i na mnie. – Nie piłaś wina, jakem ci mówił?

Wzruszyłam ramionami.

– Jak Balduria? – zapytałam, chcąc zmienić temat rozmowy.

– Miałaś być jej opiekunem, nie oprawcą! – Tego chyba nikt się nie spodziewał. Ewen niczym żbik rzucił się na Weylina i pchnąwszy go, przycisnął do ściany. – Miałaś jej strzec!

– A ty kim jesteś, znajdo, że pretensje śmiesz do mnie mieć? – Weylin odepchnął przeciwnika. – Rękę na mnie podnosisz? Czyżbyś nie wiedział, jaka kara za to grozi takim jak ty?

– Spokojnie! – Lavena wybiegła z sąsiedniej komnaty. – Dzieciątko ledwie posnęło, a wy harmider takowy robicie. Zważcie na stan, w jakim Balduria się znajduje.

Herman podszedł do łóża żony i pochylił się nad nią. Delikatnie dotknął jej policzka.

– Rozpalona jest bardzo – zauważył.

– Gorączka ją trawi. – Ewen otrzepał szaty i zbliżył się do niego. – Robię, co w mej mocy, ale nadzieja na ocalenie jej życia maleje. Nie dotrwa do rana...

– Nie ocalisz jej? – Herman spojrzał w moją stronę.

– Chciałabym z całego serca sprawić ten cud, ale to zadanie, które przerasta moje możliwości. Gdyby znalazła się w moim świecie... Tam są antybiotyki, kroplówki, aparatura podtrzymująca funkcje życiowe... Tu nic więcej nie potrafię zrobić – zapewniłam, czując, jak pod powiekami zbierają się mi łzy.

Ta bezsilność była okropna! Wiedziałam, że w moich czasach Balduria urodziłaby swoje dziecko bez żadnych komplikacji, zadbałby o nią wykwalifikowany personel, a nie zwykły pomocnik medyka, otrzymałaby skuteczne lekarstwa, zamiast ziołowych naparów. Miałaby szansę! Mogłaby żyć! Rozwój medycyny pozwolił ocalić tyle ludzkich istnień! Jednak w tym momencie przypomniałam sobie, że przecież i dwudziesty pierwszy wiek ma swoje enklawy nędzy, gdzie nadal jedyną poradę

zdrowotną można otrzymać od zachora, a ludzie umierają z niedożywienia, braku lekarstw i prawdziwej opieki lekarskiej. Jakże współcześni mi ludzie, żyjący w uprzywilejowanych pod względem ekonomicznym krajach, traktują lekceważąco wszystko to, co dla innych jest cudem i łaską niebios. Jedno lekarstwo, jedna dawka szczepionki mogą dla innych być szansą na życie. Teraz to zrozumiałam, teraz, gdy sama poczułam tę wszechogarniającą bezsilność.

– Nie winię cię za to, bo wiem, że i tak nadto zrobiłaś. Jużem mówił, że wdzięczność masz moją dozgonną i pierwej zginę, niż tobie jakąś krzywdę uczynić pozwolę. Jutro będę u twego boku.

– Ja także – zapewnił Weylin.

– Czy ona...? – Lavena przyłożyła dłoń do serca. – Czy ona piła z Kielicha Przeznaczenia?

Milczenie było aż nadto wymowne.

– Jak mogliście? Och, bracie... – Z wyrzutem popatrzyła na Weylina. – Toż ona wyrok śmierci na się podpisała.

– Dewin pułapkę zastawił, a myśmy dali się mu podejść.

– Może z nim porozmawiam? – zaproponowała nieśmiało, ale Weylin momentalnie jej przerwał.

– Nie trza, siostrzo, abyś z nim w dysputy się wdawała. Nie ugniemy się przed nim ani ty nie będziesz karku nadstawiać. Julia musi ponieść konsekwencje tego, na co się porwała.

– Na śmierć ją posyłasz! – Ewen z trudem powstrzymywał się przed kolejnym wybuchem gniewu. – Będziesz patrzył, jak ginie?

– Jeśli będzie jej śmierć zagrażać, to pierwej sam polegnę, nim jej zginąć pozwolę. A ty lepiej nie zaprzataj sobie głowy sprawami, które cię przerastają. Racz pamiętać, żeś jeno nędzną znajdą, która ni swego rodu, ni miejsca nie zna.

– Chodźmy już! – Lavena ujęła brata pod ramię, a drugą dłonią chwyciła moją rękę. – Pozwólmy, aby Herman mógł się godnie ze swą małżonką pożegnać.

Wyciągnęła nas z komnaty, zapobiegając tym samym awanturze, która wisiała w powietrzu. O dziwo, Weylin nie oponował. Posłusznie pozwolił, aby siostra poprowadziła go korytarzami.

Wyszliśmy na krużganek, gdzie owionął nas powiew zimnego wiatru. Przejmujący chłód przeniknął ciało, przyprowadzając mnie o dreszcze.

– Rześkie dziś powietrze, zapowiada deszczowy dzień. – Lavena uniosła głowę, patrząc na ciemne, zasnuwane chmurami niebo. – Modlić się będę, coby siódme łowy nie pozbawiły mnie tych, na których najbardziej mi zależy. Dziś tracę Baldurię i kolejnej straty bym nie zniosła. Bacz na siebie, bracie, i nie szarżuj, gdy nie trzeba. Jesteś mi najbliższą osobą na świecie. Pamiętaj o tym. Gdyby coś ci się stało, zostałabym całkiem sama...

– Moje życie, siostrzo, niewiele jest warte, zresztą już przed laty powinno zostać przerwane. Może to przeznaczenie, że musiałem żyć, aby w opiekę wziąć Julię, która niechybnie przybyła tu w jakimś celu. Może to ona jest naszą nadzieją?

Chciałam zaprzeczyć, ale wolałam nie przerywać tej pięknej sceny pożegnania. Stałam z boku i przysłuchiwałam się słowom, które przepelnione były prawdziwym uczuciem. Pierwszy raz zobaczyłam inne oblicze Weylina. Szorstki, oschły facet zniknął gdzieś daleko, a teraz miałam przed sobą pełnego ciepła mężczyznę, który

był skłonny poświęcić swe życie dla wyższych celów.

– Och, jak mogłaś skosztować wina? – Lavena zwróciła się z wyrzutem do mnie. – Jak mogłaś?

– Wybacz, ale żadne z was nie ostrzegło mnie, co może mi grozić. Właściwie sami wepchnęliście mnie w to bagno. Gdybym wiedziała wcześniej... ale nie, wy musieliście robić ze wszystkiego wielkie halo. Tajemnica, tajemnica i jeszcze raz tajemnica. No to macie teraz te swoje tajemnice.

Zapanowało milczenie. Byłam pewna, że w głębi duszy zgadzali się z moimi słowami, tylko nie chcą tego po sobie okazać. A niech mają teraz wyrzuty sumienia! Nie będzie mi ich wcale żal! To wszystko ich wina!

– Wczesnie rano wstać musimy. – Weylin pierwszy przerwał niewygodną ciszę. – Przypilnuj, Laveno, aby Julia przed brzaskiem gotowa była. Podeślę swego sługę, co by jej odzienie jakowe przyniósł, przecie w niewieściach szatkach po lasach, wśród gromady mężczyzn, nie będzie się uganiać.

– Tak, bracie, dopilnuję wszystkiego. Rankiem, zanim pierwszy brzask nastanie, gotowa już będzie.

– Do jutra. – Weylin skłonił się przede mną. – I mam nadzieję, że to nie będzie ostatnia noc twego żywota.

Oj, te słowa nie były potrzebne, bo na nowo wzbudziły we mnie lęk. Udałam się razem z Laveną do jej komnat, lecz moje myśli pochłaniał bez reszty problem jutrzejszego polowania. Ile godzin życia jeszcze mi zostało? Dlaczego w tej krainie nie mają zegarów? Przecież skazaniec powinien wiedzieć, ile ma czasu, zanim kat przerwie wątlą nić wiążącą go ze światem żywych.

Lavena wyglądała na przejętą i zasmuconą, ale nie podejrzewałam, że to z mojego powodu. Rozumiałam, że była zrozpaczona stanem Baldurii, a dodatkowo martwiła się o brata. Nie przypuszczałam, aby zaprzętała sobie głowę moją skromną osobą. A jednak okazało się, że błędnie rozumowałam.

– To moja wina... – Lavena odezwała się dopiero, gdy położyłyśmy się razem do wielkiego łoża, które, jak się okazało, dzieliłyśmy i poprzedniej nocy. – Gdyś pytała, nie powinnam cię zbywać i odpowiedzi unikać. Tyś dzieciątko Baldurii ocaliła, a jam cię na śmierć wydała. Jak mam w zwierciadło patrzeć na siebie? Jak mam przez resztę życia piętno mordercy nosić?

To już była przesada i patos, którego nigdy nie lubiłam. Przez moment poczułam się jak widz oglądający brazylijską telenowelę. Mimowolnie roześmiałam się.

– Wybacz, Laveno! – Pospiesznie chciałam zatrzeć głupie wrażenie, jakie musiał wywołać mój chichot. – To nerwy. Boję się jutrzejszego dnia, ale bynajmniej nie powinnaś aż tak brać tego do siebie. Sądzę, że twój brat i jego kompani zapewnią mi bezpieczeństwo. Właściwie te łowy to bardziej wycieczka będzie niż prawdziwa przygoda. Jestem pewna, że jutro wieczorem śmiać się z tego będziemy razem, a ja opowiem ci wszystko, czego będę świadkiem.

Chciałam w to wierzyć. Naprawdę starałam się przekonać samą siebie, że mam rację. Jednak okłamanie Laveny było łatwiejsze – ona nad wyraz szybko zaakceptowała taką możliwość.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. Mój strach wynika jedynie z ciekawości. To taki dreszczyk emocji. Sądzę, że wiesz, o czym mówię, bo chyba każdy go zna. Nie czułaś nigdy



obawy, a jednocześnie nie wyczekiwałaś z utęsknieniem, aby coś się stało?

– Było tak – wyszeptała.

– No właśnie. Więc sama rozumiesz...

– To było wtedy, gdym z Hermanem potajemnie się spotykała... Balduria naszą ochroną była, aby wujek się nie zwiedził, zawsze na straży stała. A gdy ktoś księciu doniósł o naszych schadzках, to ona na się winę wzięła, ratując mnie przed gniewem Ekharda.

To wyznanie wyrzuciła z siebie jednym tchem, tak jakby chciała pozbyć się z barków nieznośnego ciężaru, a bała się, że nie starczy jej odwagi, aby to uczynić.

– Co takiego? – Już wcześniej nabrałam podejrzeń, że Lavena coś czuła do Hermana: ten gest, to spojrzenie, którym go obdarzała... – Nie mogłaś być z nim, więc przyjaciółka zajęła twoje miejsce?

– Tak było. I widzisz, do czego to doprowadziło? Przeze mnie Balduria umiera, a jutro przez moją głupotę i twój los jest niepewny. Przeklęta jestem, nie powinnam się narodzić! Gdyby nie Weylin...

Jednak nie dowiedziałam się, co takiego zrobił Weylin, bo Lavena westchnęła przeciągle i odwróciła się na bok. Nie chciałam męczyć jej pytaniami, w dodatku sama musiałam wiele przemyśleć przed jutrzejszymi łowami. Byłam pewna, że tej nocy nie zmrużę oka.

## XVII. BEZSENNA NOC

Leżałam w zupełnej ciemności i mimo usilnych starań, łącznie z liczeniem wyimaginowanych baranów, nie mogłam zasnąć. Natłok myśli w głowie skutecznie mi to uniemożliwiał. Jak mogą wyglądać łowy, w których przyjdzie mi jutro (a może to już dzisiaj, przecież nie mam zegarka i nie wiem, która jest godzina) wziąć udział? Jeśli wsadzą mnie na konia, a tak zapewne się stanie, to przecież jak nic spadnę i złamię sobie kark. Weylin i Herman obiecali, że będą mnie ochraniać, ale jakoś wątpiłam, aby któryś z nich dosiadł wraz ze mną rumaka – na polowaniu to chyba raczej niemożliwe.

Obróciłam się na bok, próbując w ten sposób znaleźć wygodniejszą pozycję, która mogłaby ułatwić mi zaśnięcie. Kolejne stado baranów przegalopowało przez moje myśli, nie zagrzewając tam jednak zbyt długo miejsca. Może to moja ostatnia noc? Ale w takim razie, jeśli prawdą jest to, co mówił Ewen, śmierć w tej krainie mogłaby sprawić, że wrócę do siebie. Czy jednak na pewno? Jakoś nie miałam ochoty sprawdzać tego empirycznie.

Leżąca obok Lavena westchnęła przeciągle i także zmieniła pozycję. Kolejne westchnięcie przekonało mnie, że moja towarzyszka również nie spała. Nie zareagowałam jednak, aby jej nie przeszkadzać. Te żalosne dźwięki, wydobywające się z jej piersi, były oznaką, że Lavena myślała o czymś intensywnie, a myśli te nie były zbyt przyjemne.

Wreszcie ona sama przerwała ciszę:

– Śpisz, Julio? – zapytała szeptem, tak jakby bała się, że zbyt głośnym tonem głosu mogłaby mnie zbudzić.

– Nie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ja też nie... – Kolejne rozdzierające westchnięcie. – O czym myślisz?

– O tym, co będzie rano.

Jakoś w ciemności nocy łatwiej jest się zwierzać i być szczerym. Może to ten mrok, otaczający nas ze wszystkich stron, dodał mi odwagi.

– A ja myślę o Baldurii. – Gwałtownie usiadła na łóżku. – Gdyby nie ja, mogłaby żyć jeszcze długo. Przeze mnie umiera... To tak, jakbym ja sama ją zabiła.

– Wiesz, nie powinnaś w ten sposób do tego podchodzić – odparłam. – Być może taki los był jej sądzony. To, że się obwiniasz, nic nie da, tylko przysporzy ci cierpień.

– Ale gdyby nie zachciało się mi potajemnie spotykać z Hermanem... Gdybym nie była taka głupia! Wujek dobrze prawił, że kobiety nie mają rozumu po to, by myśleć, ino aby słuchać mężczyzn.

– Oj, teraz to ja muszę zaprotestować!

Również usiadłam. Mężczyźni w tej dziwnej krainie byli nad wyraz egoistyczni i zapatrzeni w siebie. Ich stosunek do kobiet powodował we mnie bunt!

– Kobiety nie są gorsze! Może faceci mają się za Bóg wie kogo, ale to nie znaczy, że mają rację. W moim świecie wiele kobiet zajmuje bardzo odpowiedzialne stanowiska i kieruje mężczyznami.

– Zaprawdę niebywałe rzeczy opowiadasz. Czasem nie pojmuję zupełnie twoich słów. Kraina, z której pochodzisz, musi być niezwykła. Kto to słyszał, aby kobieta rządziła mężczyzną?

– Uwierz mi, że to całkiem normalne, a nawet czasem wskazane. Kobiety są dużo bardziej odpowiedzialne i mają lepszy zmysł organizacyjny. Są dokładniejsze, skrupulatne, rzetelne... – zaczęłam wymieniać. – Twój wujek nie ma prawa ci niczego zakazywać ani narzucać swej woli. Jeśli chciałaś spotykać się z Hermanem, to miałaś do tego prawo.

– Alem ja zaślubiona Bretonowi! – krzyknęła.

– Co? – Zatkąło mnie z wrażenia. – Jesteś mężatką? To gdzie twój małżonek?

– Jeszcześmy ślubu przed władcą i kapłanem nie przyjęli, ale wiążą nas zaślubiny woli.

– A co to takiego? Cóż to za dziwny wynalazek?

Zwyczaj panujące w Burii były dla mnie zupełnie niezrozumiałe.

– Kiedy w rodzinie urodzi się dziecko, a ta rodzina jest zamieniona i cieszy się wszem i wobec poważaniem, to rodzice lub opiekunowie mogą zaaranżować jego przyszły związek. To taka umowa dwóch rodzin, przypieczętowana przez głowy rodu. Gdym przyszła na świat, wujek zawarł takową umowę z władcą sąsiedniej Kantonii. Związek pomiędzy mną a Bretonem ma zagwarantować sojusz i połączyć nasze krainy. Teraz, gdy na Burii ciąży zły czar, Kantonია jest naszą jedyną ostoją. Naszego zboża nie wystarcza do wyżywienia ludu, nasze zwierzęta bez słońca marnieją. Kantonია nas wspiera, choć postronni sąsiedzi prawią, że przez te zaślubiny mimowolnie i na się klątwę jakową ściągnąć może. Jednakże pakt zawarty pomiędzy naszymi rodzinami jest trwały i nijaka przeszkoda nie może go unieważnić. Dlatego ja sprzeciwiać się nie powinnam. Nie powinnam za plecami wujka na schadzki tajemne z Hermanem się wyprawiać.

– I co takiego z Hermanem robiłaś? Całowaliście się?

Zainteresował mnie ten temat i już oczami wyobraźni widziałam Lavenę w czułych objęciach młodzieńca z blizną. Troszkę kolidowało to z prawdziwym wizerunkiem siostry Weylina, ale przecież chyba w każdej epoce ludzie dawali się ponieść porywom serca. Nawet takie dobrze ułożone panienki.

– Jakoż to? Czym ja dziewczka niegodna jaka, aby takie bezceństwa wyprawiać? – Po tonie głosu Laveny wywnioskowałam, że poczuła się bardzo urażona. – Za kogoż to mnie uważasz? Myśmy tylko spacerowali razem, rozmawiali... Herman to bardzo uczuciowy mężczyzna i serce ma złote. Poznałam go, gdym w ogrodzie znalazła rannego ptaszka.

Najwidoczniej, aby przekonać mnie, że jej intencje były czyste niczym kryształ, zaczęła opowiadać o chwili, gdy poznała Hermana.

– Biedactwo skrzydełko miało złamane i nie mogło się w niebo wzbić. Wzięłam tę skrzywdzoną istotkę i za radą koniuszego udałam się wraz z Baldurią do Hermana, który ponoć rękę miał dobrą do zwierząt i sam hodował kilka sokołów. Gdym go tylko zobaczyła, gdym spojrzała w jego czarne oczy, poczułam takie dziwne, przyjemne ciepło w okolicach serca. A gdy się odezwał... Jego głos był taki melodyjny... Mogłam go słuchać i słuchać bez końca. Troskliwie zajął się skowronkiem, a ja odwiedzałam często jego komnatę pod pretekstem obserwowania postępów w leczeniu. Gdy nadszedł czas, aby wypuścić zdrowego już ptaszka, razem poszliśmy na

mury zamkowe. Długo staliśmy obok siebie, patrząc w dal, tam, gdzie zniknął nasz podopieczny. Nie miałam już powodów, aby odwiedzać Hermana, a jednak nie zaprzestałam swoich wizyt. Rozmawialiśmy o przyrodzie, o naturze, która jest naszą matką. On tak ciekawie opowiadał... Balduria chodziła ze mną, ale nigdy nie brała udziału w dyskusji. Zawsze trzymała się z tyłu, pełniąc rolę milczącej przyzwoitki. Ale ktoś doniósł wujkowi o tych tajemnych schadzkach, a wujek rozgniewał się wielce. Nie chciał słuchać moich wyjaśnień, ino od razu chciał wydać Hermana w ręce kata. Nawet Weylin nie był w stanie go udobruchać. I wtedy odezwała się Balduria. Ze łzami w oczach przyszła przed oblicze księcia Ekharda i padając przed nim na kolana, oświadczyła, że to ona darzy Hermana okrutnie mocnym uczuciem i że potajemnie na schadzki z nim chodziła, a ja im tylko za towarzyszkę służyłam. Ekhard uwierzył w te zapewnienia, bo niezwykle szczerze były złożone i łzami rzewnymi okraszone. Kazał wstrzymać egzekucję i zwrócił wolność Hermanowi. Aby jednak ostatecznie uciąć wszelkie podejrzenia, ślub zlecił przygotować i sam go im udzielił. A ja stałam w oddali i patrzyłam, gdy łączył ich na wieki...

– Jaka to piękna historia! – Lavena opowiadała tak obrazowo, że wszystko, co mówiła, widziałam niczym kadry z filmu kostiumowego.

– Piękna? Raczej smutna. Gdyby Balduria nie stanęła wtedy w naszej obronie, teraz by żyła.

– Ale może Herman byłby martwy – przypominałam.

Przez dłuższą chwilę milczała, zbierając myśli.

– Sama nie wiem, z czym byłoby mi trudniej żyć – przyznała w końcu. – Jak by nie patrzeć, to ja byłam przyczyną zła. Nieszczęście sprowadziłam na drogich mi ludzi. Honor rodziny na poniewierkę wystawiłam.

– Za bardzo emocjonalnie do tego podchodzisz. Zapewniam cię, że ja nie znajduję w tobie winy. Zakochałaś się w Hermanie. Miałaś do tego prawo, bo jesteś młodą dziewczyną, która ma serce wrażliwe i uczucia spragnione. To nie grzech. Nic złego nie zrobiłaś.

– Chciałabym w to wierzyć, bardzo bym chciała. Nawet nie wiesz jak...

– To uwierz, kochana. Jedyńm winnym jest twój wujek, który do zaślubin z jakimś nieznanym gościem cię zmusza. To durny zwyczaj i w moim kraju wręcz zakazany. Jak można dziecko zaślubić? Mnie to podpada pod paragraf.

Lavena z uwagą wsłuchiwała się w moje słowa. Byłam dla niej kimś niezwykle dziwnym, kimś, kto negował prawa ustanowione w Burii. Obiecałam sobie, że nie będę ingerować w życie mieszkańców tej krainy i spróbuję się dostosować, jednak moje na wskroś współczesne przekonania ostro kontrastowały z tym, co tu zastałam. Nasze światy różniły się diametralnie, a ja z każdą chwilą bardziej tęskniłam za moim poprzednim życiem. Ileż bym dała, aby tam wrócić, aby nie przeżywać tych wszystkich przygód. Paradoksalne jest to, że ludzie zazwyczaj marzą o niezwykłych doznaniach, o podróżach w czasie, poznawaniu tajemniczych, magicznych krain. Gonią za czymś nierealnym, co, niestety, przez czysty przypadek stało się moim udziałem. Ja, patrząc z własnej perspektywy, mogę powiedzieć tym wszystkim poszukiwaczom przygód, że realne życie to coś najpiękniejszego. Dreszczyk emocji jest może bardzo podniecający, ale uwierzcie mi, nie rekompensuje tego, co można stracić. Kochałam swoje uporządkowane życie, bezpieczny świat, który znałam. W jednej chwili straciłam to wszystko. Znalazłam się wśród obcych ludzi, myślących inaczej niż ja

i hołdujących innym wartościom. Nie miałam nikogo, kto by mnie zrozumiał i z kim mogłabym naprawdę szczerze porozmawiać. Dla mieszkańców Burii byłam takim samym dziwadłem, jak oni dla mnie.

– Książę Ekhard tylko o moje dobro się troszczy i zła nijakiego mi nie wyrządzi – zapewniła. – To mój opiekun i winnam mu posłuszeństwo. Nie mnie o swoim losie decydować.

– Ciekawe, jak Weylin by zareagował, gdyby i jemu kochany wujaszek chciał życie układać? – zadrwiłam, chcąc uzmysłwić Lavenie, że kobieta to nie ktoś gorszy.

– A przecie i układa.

Tego się nie spodziewałam. Normalnie zatkało mnie z wrażenia. Czyżby książę Ekhard robił za swatkę?

– Nie powiesz mi chyba, że i Weylinowi wybrał przyszłą żonę? – zapytałam drżącym głosem. Nie wiem dlaczego, ale myśl o ewentualnym małżeństwie mojego wybawcy wydała mi się czymś strasznym.

– Weylin zaślubion Moreenie. Po łowach odbędzie się huczne weselisko.

– Po tych łowach? – Serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

– Właśnie po tych – zapewniła. – Książę umyślił, coby podwójne weselisko wyprawić. Weylin poślubi Moreenę, a ja Bredona i sojusz z Kantonią zostanie przypięczętowan po wieczny czas.

– A jaka jest ta Moreena? – Ze wszystkich sił starałam się, aby nie zdradzić zdenerwowania. Po prostu dziękowałam Bogu, że jest noc i nie widać, jak bardzo mnie to dotknęło.

– Jest córką władcy Kantonii.

– Ale jak wygląda...

– Nie wiem. – To była rozbijająca odpowiedź. – Jeszczem jej nie widziała.

– Nie bywała tu?

– Jak to? Miała tu bywać? A czemu? Córka księcia nie podróżuje po próznicy po świecie.

– Po jakiej próznicy? Przecież ma zostać żoną Weylina. To chyba zrozumiałe, że powinni się najpierw poznać.

– Twoje zwyczaje dziwne są wielce. Przecie poznają się na ślubie. Ja też Bredona nie widziałam.

– Chcesz mi powiedzieć, że poślubicie osoby, których wcale nie znacie?

Z trudem panowałam nad emocjami. Jakież to szczęście, że przyszło mi żyć w innych, bardziej cywilizowanych czasach. Nie wyobrażałam sobie, żeby moja mama albo ojciec zechcieli wybierać dla mnie życiowego partnera, nie pytając mnie o zdanie. Niedoczekanie!

– A co by zmieniło, gdybyśmy ich wcześniej widzieli? Książę Ekhard niczego złego dla nas nie szykuje. To mariaż mający pomóc Burii. Ponieważ nasz wujek potomstwa nie ma, to Weylin po nim tron odziedziczy i wraz z księżniczką Moreeną władzę nad naszą ziemią obejmie. Ja zaś u boku Bredona na czele Kantonii stanę i krainy nasze połączone zostaną więzami krwi.

– To niech ten cały Ekhard sam sobie związki krwi robi i księżniczki jakiejś poślubia, a nie wam życie układa.

– Nie musisz być zła, przecie ciebie to nie dotyczy. My się na taki los godzi-

my, bo to nasza powinność.

– Tak, wiem, dla Burii – prychnęłam.

– Ojczyzna to najcenniejszy skarb każdego człowieka. Osoby ojczyzny pozbawione są niepełne i nikt szacunkiem ich nie obdarza.

Przypomniałam sobie Ewena. Teraz rozumiałam, czemu Weylin traktował go tak pogardliwie, a ludzie nie chcieli korzystać z jego usług. Dla mieszkańców Burii, mimo że wychowany przez Dewina, nadal był tylko znajdą o nieznanym pochodzeniu. Czy i mnie był sądzony los takiego outsidera? Ekhard przyjął mnie pod swoją opiekę, jednak nie wywodziłam się stąd i byłam rażąco inna niż Buriańczycy. Moja przyszłość nadal nie wyglądała zbyt różowo, tym bardziej teraz, gdy dowiedziałam się, że Weylin wkrótce poślubi inną kobietę.

– A czemu książę Ekhard jest samotny? Wybacz, ale nie rozumiem, dlaczego sam władca nie szukał dla siebie żony, jeśli tak bardzo przejmuje się losem państwa.

– Ekhard był żonaty – odpowiedziała krótko, nie wdając się w szczegóły.

– Był?

– Był.

Najwidoczniej nie chciała rozmawiać na ten temat. Korciło mnie, aby wycisnąć z Laveny więcej informacji, jednak zdawałam sobie sprawę, że to by ją zdenerwowało. Powiedziała i tak dużo, nie powinnam wymagać od niej więcej.

– Wiesz, Laveno, mam problem... – Postanowiłam zmienić temat, po części dlatego, żeby zapomnieć o ślubie Weylina, a po części dlatego, że faktycznie martwiła mnie jedna sprawa. – Boję się, że na łowach okryję się wstydem, bo nie potrafię jeździć konno. Ba, ja nigdy wcześniej nawet nie próbowałam takiej jazdy, a konie widziałam tylko z daleka. Moja pierwsza przejażdżka miała miejsce, gdy trafiłam do Burii i Weylin przywiózł mnie na zamek.

– Nie jeździłaś nigdy konno? Z jak niskiego stanu pochodzisz, że koni nie posiadasz? Tylko biedacy pieszo chodzą. – W głosie Laveny zabrzmiała nuta wyższości.

– U nas ludzie nie korzystają z koni, gdy chcą gdzieś jechać. Mamy pojazdy, które same nas wożą. – Nie wiedziałam, jak opisać jej działanie samochodu. – Takie magiczne są. Wsiada się do nich, drzwi zamyka...

– To wy koni w ogóle nie macie?

– Mamy, ale tylko niektórzy z nich korzystają, i to bardziej rekreacyjnie... to znaczy dla przyjemności. Jak ktoś nie chce, to nie musi. U nas konie nie są siłą pociągową.

– Dziwy przeogromne opowiadasz, które nie mieszczą mi się w głowie. Konie nie do jazdy służą? Nic z tego nie pojmuję. Przecież tak nie może być!

– Może. Uwierz mi – zapewniłam.

– Jak by nie było, to problem mamy wielki, bo u nas każdy szlachetnie urodzony na co dzień wierzchowca dosiada, a na łowy to już musowo. Źle to bardzo, żeś w tej dziedzinie nieszkolona.

– Nie można czegoś poradzić? – zasugerowałam cichutko.

Lavena zastanawiała się przez dłuższą chwilę, ale widać znalazła jakieś rozwiązanie, bo niezwłocznie przystąpiła do działania. Może i kobiety w tej krainie praw żadnych nie miały, ale na pewno nie brakowało im rozumu i pomysłowości.

– Czasu mało, ale do rana jeszcze daleko.

Wstała z postania i pospiesznie wyszła do sąsiedniej komnaty. Po chwili wróciła, trzymając w dłoni lichtarz ze świecą. Postawiła go na ławie i założyła na siebie długą narzutkę z szerokimi rękawami.

– Zbieraj się – zakomenderowała.

– Gdzie? – Posłusznie się podniosłam.

– Weylina budzić nie będziemy, bo mógłby się zezłościć. Jest jednak ktoś, kto tej nocy oka nie zmruży, a kto ci winien wdzięczność dozogoną.

– O czym ty mówisz? – Zaniepokoiłam się.

– Wdziewaj to. – Lavena ponownie wybiegła z komnaty, za moment wracając z naręczem ubrań. – Jeno szybko.

– Co chcesz zrobić? Do kogo pójść?

Wzięłam do ręki lnianą męską koszulę. Domyślałam się, że to obiecane przez Weylina męskie stroje. Jego sługa musiał je przynieść, gdy my byliśmy już w komnacie sypialnej.

– Jakże to, nie wiesz? Do Hermana.

– Żartujesz? – Zastygłam w bezruchu. – Teraz? Przecież wiesz, że on ciężkie chwile przeżywa. Jego żona umiera... Nie możemy zakłócać spokoju...

– Tylko on jeden jest władny ci pomóc, a ponieważ wdzięczny ci jest za to, czegoś dokonała, żadnych oporów mieć nie będzie. Jeśli nie on, to już nikt inny nam nie pomoże.

– Ja... – Niepewnie obracałam w dłoniach koszulę. – Jakoś tak głupio mi...

– Dziwna jesteś bardzo, ale dużo dobrego robisz. Ocaliłaś dzieciątko Baldurii, masz światło, które nie parzy, wizerunek ludzi potrafisz zamknąć w pudełku... Jeśli przeznaczenie cię tu zesłało, to widać miało ku temu powody. Jam tylko zwykła kobieta, ale myślę, że los Burii w twoich rękach spoczywa. W łowach jako pierwsza niewiasta udział bierzesz. To znak. Musisz umieć konia dosiadać. Ręczę, że Herman cię tego nauczy. Tak musi być. No, odziewaj się szybciej, bo do rana tak będziesz stać i nic nam z tego nie przyjdzie – ponagliła mnie.

Sytuacja była niezręczna, ale nie mogłam dłużej dyskutować z Laveną. Być może miała rację, że tylko Herman może mi teraz pomóc. Wprawdzie przeżywał osobistą tragedię, ale dla dobra Burii na pewno byłby gotów zostawić wszystko, nawet umierającą żonę. Czy miałam prawo wymagać od niego aż takiego poświęcenia? Ale z drugiej strony, jaki miałam wybór? Włożyłam przyniesione rzeczy i posłusznie ruszyłam za Laveną.

Korytarze pogrążone były w mroku. Większość pochodni została wygaszona i tylko nieliczne płonące główne w niewielkim stopniu rozpraszały panujące ciemności. Zamek wydawał się pogrążony we śnie. Miałam wrażenie, że wszyscy ludzie wymarli i tylko ja wraz z moją przewodniczką jesteśmy żyjącymi osobami. Bez przeszkód, nie napotykając nikogo po drodze, dotarliśmy do komnat Hermana. Zanim Lavena zastukała w drzwi, powstrzymałam ją.

– Ciągle nie wiem, czy to dobry pomysł – szepnęłam.

– To jedyne wyjście – zapewniła, uderzając w metalowe okucie.

Po dłuższej chwili, która wydawała się całą wiecznością, drzwi otworzyły się i na progu ukazała się znana mi już twarz Comty.

– Panienska tutaj? Tak po ciemnicy? – Służka wyglądała na zdumioną naszym widokiem. – Toż to nie wypada.

– To nagła sprawa, droga Comto. Gdzie Herman?

Lavena nawykła do rozkazywania, gdyż zdecydowanym ruchem odsunęła pokojówkę i weszła do komnaty. Chcąc nie chcąc, podążyłam za nią. Przechodząc obok Comty, dostrzegłam jej pełne wyrzutu spojrzenie. No tak, winiła mnie za to niestosowne najście.

Herman, tak jak myślałam, siedział przy łożu żony. Z drugiej strony pościania czuwał Ewen. Słyszając nasze kroki, obaj mężczyźni spojrzeli w stronę wejścia.

– Co z Baldurią? – Lavena podeszła do Hermana.

– Bez zmian. Ale... czemu zawdzięczam wasze odwiedziny?

– Potrzebujemy twojej pomocy, Hermanie. To znaczy Julia jej potrzebuje.

– Jestem do twojej dyspozycji. – Herman wstał i ukłonił się w moją stronę.

– Julia nie potrafi konno jeździć.

– Prawdą to? – Ewen pokręcił z niedowierzaniem głową. – To czemuś się za złoty kielich łąpała? Przeciem mówił, abys z niego pod żadnym pozorem nie piła.

– Czasu mało. – Herman zerknął w okno. – Do rana niewiele zostało, ale zrobię co w mojej mocy, aby pomóc.

– Ja z Baldurią zostanę – obiecała Lavena.

– Wiem. – Uśmiechnął się do niej. – W dobrych rękach ją pozostawiam. Chodź, Julio – zwrócił się do mnie. – Nauczę cię w siodle się trzymać.

Droga do stajni nie zajęła nam dużo czasu. Koniuszy spał w najlepsze, zwinięty na sianie pod ścianą pustego boksu, i żal mi było, że musimy go obudzić. Herman jednak nie miał takich obiekcji. Pochylił się nad śpiącym i złapawszy go za ramię, kilka razy szarpnął. Chłopak przez chwilę nie wiedział, co się dzieje, patrzył na nas nieprzytomnym wzrokiem. Herman w kilku słowach wyłuszczył mu powód naszych odwiedzin, więc nieborak z trudem wygramolił się z siana i trąc zaspane oczy, poszedł przyszykować konia. Czekaliśmy na jego powrót przy wejściu. Z głębi stajni dolatywało do nas ciche rżenie. Czułam zapach siana i nawozu, znany mi z pobytu na wsi. Wydawało mi się, że znowu jestem w swoich czasach, że wybieram się na potajemną, romantyczną schadzki. Gdyby to była prawda! Pragnęłam tego z całego serca i cieszyłam się, że chociaż przez ten ułamek sekundy miałam wrażenie, że znowu jestem u siebie.

Koniuszy wrócił, prowadząc za uzdę siwego konia.

– To Luna – wyjaśnił Herman, czule głaszcząc zwierzę po grzywie. – Jest bardzo łagodna i nijakiej krzywdy ci nie robi. Nie bój się jej. Zaufaj. Zdać się po prostu na nią.

Niepewnie podeszłam do zwierzęcia.

– Wyciągnij rękę – polecił, uśmiechając się przy tym. Uniosłam prawą dłoń. Herman ujął ją i delikatnie przyłożył do szyi konia. – Czujesz? – zapytał.

Prowadząc moją dłoń, gładził szyję i bok zwierzęcia. Ten dotyk sprawiał mi przyjemność. Rozluźniłam się, a strach gdzieś zniknął.

– Luna wyczuwa wszystkie twoje emocje. Widzisz, jak też się uspokaja? Zrozumiała, że już się jej nie boisz – wyjaśnił.

Głos Hermana faktycznie brzmiał niezwykle dźwięcznie i mile dla ucha. Nie dziwiłam się już Lavenie, że uległa jego magii.

– Jestem Julia – wyszeptalam do klaczy.

Może dla postronnego obserwatora wydałoby się to głupie, ale po prostu po-



czułam związek z tym zwierzęciem, tak jakby mnie rozumiało. Wydało mi się, że powiedzenie jej, jak mam na imię, jest czymś naturalnym. Klacz zarżała.

– Miło jej, że mogła cię poznać.

Herman puścił moją dłoń i stanął z tyłu. Krzyknęłam, gdy niespodziewanie podniósł mnie do góry i posadził na grzbiecie Luny, która nerwowo zastrzygła uszami.

– Ciii... Zaufaj Lunie – uspokoił mnie, a następnie pogładził klacz po grzbiecie, dając jej znać, że wszystko jest w porządku. Podał mi wodze. – Trzymaj – polecił, a ja posłusznie się do tego zastosowałam. – Nie spinaj się tak mocno.

Ujął konia za uzdę i wyprowadził na dziedziniec. Stukot kopyt był jedynym dźwiękiem, jaki rozbrzmiewał teraz w ciszy nocy. Znowu ogarnęło mnie to surrealistyczne wrażenie, że zostaliśmy jedynymi osobami na całym świecie.

Kilka okrążeń po podwórku nie było wcale takie straszne, jak się spodziewałam. Luna szła prosto, równo, a dodatkowo tuż obok znajdował się mój nauczyciel.

– A teraz spróbujesz sama. – Herman puścił uzdę. – Nie bój się, Julio. Luna jest nad wyraz łagodna i mądra. Przemawiaj do niej, a zobaczysz, jaki kontakt nawiążecie.

– Nie puszczaj mnie samej – poprosiłam płaczliwym tonem.

– Będzie dobrze – zapewnił i odsunął się w bok.

Stałyśmy w miejscu, a ja nie wiedziałam, co zrobić. Najchętniej zeskoczyłabym z końskiego grzbietu, ale bałam się. Luna kilka razy parsknęła, po czym zwróciła łeb w moją stronę.

– Jedź, kochana, jedź – wyszeptałam.

Faktycznie Luna zachowała się tak, jakby zrozumiała moje polecenie. Wolnym, prawie dostojnym krokiem ruszyła przed siebie.

– Widzisz, to nic trudnego. – Doleciał mnie z tyłu głos Hermana. Zrozumiałam, że szedł tuż za mną, aby móc w razie potrzeby zareagować.

Kolejne okrążenie zrobiłam całkowicie samodzielnie. Luna była nad wyraz łagodnym i rozumnym stworzeniem. Instynktownie wyczuwała moje obawy i chciała mnie uspokoić. Powoli nawiązywała się między nami nić porozumienia.

Nie wiem, ile czasu zajęła nam nauka jazdy konnej, w każdym razie niebo zaczęło się rozjaśniać, gdy Herman uznał, że już dość. Zatrzymał Lunę i pomógł mi zejść z grzbietu konia. Z ulgą stanęłam na ziemi. Teraz dopiero przekonałam się, jak bardzo trzęsły mi się nogi. Z trudem mogłam na nich ustać.

– Jak na pierwszy raz poszło ci znakomicie – zapewnił Herman, prowadząc Lunę do stajni, gdzie przejął ją od niego koniuszy.

– Chyba na łowach nie będziemy jechać tak wolno – zauważyłam.

– Masz rację, ale najistotniejsze było to, abyś nawiązała kontakt z Luną, a poszło ci to znakomicie. Polubiłyście się. Luna będzie się tobą opiekować.

– Mówisz tak, jakby Luna była człowiekiem.

– A czy bycie człowiekiem to coś szczególnego? – zdziwił się. – Nie rozumiem, jak można uważać, że zwierzęta są od nas gorsze. One też mają rozum, serce... Jeśli traktujemy je tak, jak należy, jeśli okazujemy im szacunek i uczucie, one obdarowują nas tym samym.

– Naprawdę tak uważasz?

– Nie mógłbym uważać inaczej. Wszyscy jesteśmy dziećmi natury i łączy nas

magiczna więź. Szkoda, że większość ludzi o tym zapomniała, utwierdzając się w przekonaniu o własnej nieomyślności i doskonałości. To my powinniśmy uczyć się od zwierząt, bo one pozostały nieskażone.

Rozumiałam zauroczenie Laveny Hermanem, co więcej sama zaczynałam znajdować się pod jego urokiem. Ten mężczyzna był inny niż wszyscy znani mi do tej pory. Podziwiałam go, że mimo bólu, jaki przeżywał, potrafił odsunąć wszystko na bok, aby mi pomóc. Jak bardzo musiał cenić honor, żeby przedłożyć obowiązek nad własne cierpienie. Byłam pewna, że nikt z moich znajomych nie byłby zdolny do takiego poświęcenia. Herman był wyjątkowy – musiałam to w duchu przyznać. Jego podejście do zwierząt, jego oddanie i wierność oraz miłość, jaką okazywał Baldurii, wprost mnie zachwyciły. Po cichu marzyłam właśnie o takim rycerzu, który i mnie mógłby obdarzyć uczuciem. Czy to w ogóle możliwe? Współcześni mi mężczyźni nie mieli w sobie tego czaru, który tak zniewala kobiety. Owszem, niektórzy byli przystojni, wysportowani, elegancy, potrafili brylować w towarzystwie, zawrócić w głowie, doprowadzić do szaleństwa, ale jednak brakowało im tego czegoś. Czego? Sama nie wiedziałam, jak to nazwać. Po prostu czułam, że Herman to posiadał.

Niebo nad naszymi głowami całkowicie zmieniło barwę z czarnej na szarą. Mrok ustępował światłu. Wprawdzie słońca nie było widać i zgodnie z tym, co słyszałam o Burii, wiedziałam, że nie będzie mi dane go zobaczyć, to jednak wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że noc dobiega końca. Pianie koguta, dobiegające z oddali, było niczym dźwięk porannego budzika.

– Świt już nastaje. Czas szykować się na łowy. – Herman zadarł głowę do góry, wpatrując się w zasnuły ciężkimi chmurami nieboskłon. – Musimy wziąć ze sobą peleryny, bo niechybnie deszcz nas dzisiaj dopadnie.

Ponownie poczułam ucisk w żołądku. Łowy... Bałam się. Cholernie się bałam.

## XVIII. ŚWIT PRZED ŁOWAMI

Wracając do komnat zajmowanych przez rodzinę Hermana, zastanawiałam się, co też tam zastaniemy. Według słów Ewena Balduria była bliska śmierci, martwiłam się więc, czy jeszcze żyje. Podziwiałam opanowanie Hermana, który ani jednym gestem nie zdradzał swojego niepokoju. Na szczęście, okazało się, że osłabiony organizm Baldurii ciągle walczył z infekcją. Gorączka nie ustępowała mimo naparów przyrządzanych przez Ewena, którymi bezustannie pojono nieprzytomną. Również zimne okłady kładzione na jej ciało nie przyniosły rezultatów.

Lavena i Ewen nie odstępowali na krok od łoża Baldurii, robiąc wszystko, co w ich mocy, aby pomóc cierpiącej, jednak ich wysiłki na razie pozostawały bezowocne. Błada twarz tej nieprzytomnej młodej kobiety wydawała się już teraz naznaczona piętnem śmierci. Sine obwódki pod zamkniętymi powiekami tylko wzmagaly to wrażenie. O tym, że żyła, świadczyły jedynie kropelki potu pokrywające odsłoniętą skórę szyi, policzków i rąk oraz unoszenie się z każdym jej oddechem klatki piersiowej.

Herman bez słowa podszedł do żony i kolejny raz, znanym mi już gestem, pogładził ją po splątanych czarnych włosach. Nadal nie widać było po nim żadnych uczuć, ale byłam pewna, że to tylko maska, na pewno wewnątrz wszystko w nim łkało. Prawdziwy mężczyzna nie okazuje tego, co czuje. Nawet tak idealny, zdawałoby się nierealny, jak Herman.

– Ciągle tli się w niej życie. – Ewen położył na czole Baldurii nowy zimny okład. – Myślałem, że nie dotrwa do rana. Walczy, a to najważniejsze.

Gdybym miała do dyspozycji jakiś antybiotyk, szanse przetrwania Baldurii znacznie by wzrosły. Niestety w tym świecie nie mogłam nawet marzyć o zwykłej kroplówce, która mogłaby nawodnić i wzmocnić chorą. Jedyne, co nam pozostało, to modlitwa i stosowanie archaicznych metod znanych w tych czasach.

– Dziękuję ci. – Herman skłonił głowę przed medykiem. – Wiem, że robisz, co możesz i wdzięczny ci za to jestem. Miej ją w swej pieczy.

– Możesz mi zaufać, panie. – Również i Ewen pochylił głowę.

– A ty, Laveno, miej baczenie na dziecko. Gdybym nie wrócił, a Balduria by pomarła...

– Nie musisz nic mówić, Hermanie – przerwała mu. – Wrócisz, jestem tego pewna. Ale gdyby coś się stało, możesz być pewny, że otoczę opieką twe dziecko.

– Posiłek gotowy – zaanonsowała Comta, która najwyraźniej przejęła na ten czas obowiązki zarządzającej w komnatach Hermana. – Przed łowami trza siły wzmocnić.

Herman przepuścił mnie przodem, gdy wchodziliśmy do pokoju jadalnego, po czym zamknął dokładnie drzwi oddzielające nas od umierającej. Podeszliśmy do stołu, na którym Comta właśnie ustawiła tacę z przygotowanymi potrawami. Po pysznościach i bogactwie, jakie dane mi było poznać podczas uczt, teraz zobaczyłam wręcz ascetyczny posiłek, składający się z dwóch grubych kromek czarnego chleba, dwóch płatów chudego mięsa i dwóch jabłek. Dodatkowo na tacy znajdowały się dwa srebrne puchary, z których dolatywał intensywny zapach ziół.

– Taka noc, taka noc... – Comta kręciła głową, patrząc, jak siadamy przy stole.  
– Wszystko naraz. Taka noc.

Gardło miałam ściśnięte ze strachu i byłam pewna, że nie przełknę ani kęsa, ale Comta nie zamierzała opuścić komnaty, zanim nie zjem wszystkiego, co dla mnie przygotowała. Suchy chleb był niesmaczny i z trudem go przeżuwałam. Zauważyłam, że Herman swoją kromkę macza w pucharze z ziołami, więc zrobiłam tak samo. Rozmiękły chleb nie smakował wcale lepiej, ale przynajmniej łatwiej go było przełknąć. Zioła w ogóle były okropne w smaku, ale ponieważ dokuczało mi pragnienie, postanowiłam nie wybrzydzać. Popiłam chleb i mięso przygotowanym przez Comtę napitkiem, po czym sięgnęłam po jabłko.

– To na później – powstrzymał mnie Herman. – Jabłko bierzemy ze sobą na łowy. Zjemy je, gdy będziemy wracać. W ten sposób zaklinamy los, że żywi z Lasu Potępionych wyjdziemy.

Po zakończonym posiłku Herman udał się do swojej komnaty, mnie zostawiając na chwilę samą. Siedziałam przy pustym stole i wpatrywałam się w okno. Wiedziałam, że od wyruszenia na łowy dzielą nas już tylko minuty. Nie myliłam się. Herman wkrótce wrócił i przyniósł mi długą, podbitą futrem pelerynę z kapturem. Sam miał już podobną na sobie.

– Mówiłem, że deszcz nas zdyba – przypomniał – a ty, Julio, nie masz okrycia. Przyjmij więc ten skromny dar. To moja peleryna wyjściowa, używana wprawdzie, ale całkiem dobra i ciepła.

– Och, dziękuję. – Przyjęłam od niego podarek. – Jestem ci bardzo wdzięczna za troskę.

– Zaszczyt to dla mnie wielki, że mogę ci służyć.

Z wprawą pomógł mi założyć okrycie na ramiona. Kiedy zawiązywał mi troczki pod szyją, spojrzałam mu prosto w oczy i nasze spojrzenia się spotkały. To wystarczyło, abym poczuła, jak serce zaczyna mi szybciej bić. Oj, niedobrze, Julio! Niedobrze! Coś ostatnio jesteś zanadto podatna na męski urok. Ale żeby Herman? Przecież to on podczas naszego pierwszego spotkania radził Weylinowi, aby zostawił mnie na pastwę losu.

– Nie pożegnasz się z dzieckiem? – zasugerowałam, chcąc pozbyć się tego dziwnego uczucia, które mną owładnęło. Umknęłam wzrokiem w bok, wstydząc się swoich myśli.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiedział, zdecydowanie za szybko. – Opiekę ma zapewnioną.

– Ale to ty jesteś jego ojcem.

Z niedowierzaniem popatrzyłam na niego, a wtedy zauważyłam, że drgnął mu policzek, a przez twarz przemknął ledwie dostrzegalny grymas bólu.

– I dla jego dobra idę na łowy – uciał krótko, kierując się do drzwi.

Ponownie weszliśmy do komnaty Baldurii. Ewen na nasz widok podszedł do mnie.

– Żywię nadzieję, że wkrótce znowu los dozwoli się nam spotkać.

– Ja też – nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Uważaj na siebie. Mniemam, że Weylin słowa dotrzyma i roztoczy nad tobą opiekę.

– Mojej ochrony pewien być możesz – zapewnił Herman. – A Weylin jest człe-

kiem honoru i słowa raz danego nie złamie. Pierwej my zginiemy, niż jakąś krzywdę damy wyrządzić Julii.

– Wróćcie wszyscy! – Lavena podeszła do Hermana i niby przypadkiem dotknęła jego ręki, on jednak pospiesznie cofnął swoją dłoń i odsunął się nieznacznie.

– Zrobimy, co w naszej mocy.

Nie oglądałam się za siebie, gdy wychodziliśmy z komnat Hermana. Znanym mi już korytarzem udaliśmy się na dziedziniec. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłam, że większość rycerzy w pełnej gotowości czekała już na wymarsz. Mój wzrok bez trudu odszukał w tej gromadzie dwóch kompanów Weylina: rudowłosego i właściciela bokserkiego nosa.

– Cóżecie tak zamarudzili? – Rudowłosy powitał nas pierwszy. Z wysokości grzbietu konia zdawał się nad nami górować. – Jużemy myśleli, że was strach obleciał. To niepodobne do ciebie, Hermanie.

– Ważne sprawy nas zatrzymały, ale, jak widzę, w sam czas przyszliśmy.

Herman nie zamierzał wdawać się w szczegóły, za co byłam mu wdzięczna. Nie chciałam, aby wszyscy wiedzieli o moim braku obycia z końmi.

– A gdzie twój wierzchowiec, Hermanie? Czyżbyś na piechotę chciał skrzydłaki ganiać? – Zarechotał nieprzyjemnie „bokserki nos”, a rudzielec wiernie mu zawtórował.

Z całej kompanii Weylina tylko ci dwaj do tej pory nie zyskali mojej sympatii.

– Nie musisz się o mnie martwić, Dunhamie. Właśnie możesz obaczyć, jak koniuszy prowadzi mojego Thzeusa.

Kamraci Weylina jak na komendę odwrócili się w stronę stajni, skąd nadchodził znany mi już chłopak, prowadzący dwa wierzchowce: siwą Lunę i czarnego ogiera. Koniuszy płochliwie zerknął na mnie, po czym pospiesznie odwrócił wzrok – niechybnie czując lęk. Ciekawe, jakie też historie ludzie o mnie opowiadali?

– A po kie licho bierzesz ze sobą Lunę?

„Bokser”, nazwany Dunhamem, rozdziawił usta ze zdziwienia. Korciło mnie, aby mu powiedzieć, że bardzo głupio wygląda, ale w porę ugryzłam się w język. W tej samej chwili podjechał do nas Weylin, siedzący również na czarnym wierzchowcu i prowadzący za uzdę zgrabnego kasztanka.

– Co wyście tyle tych koni pobrali? – Rudowłosy podrapał się po okazałej brodzie. – Po jednym wam mało?

Weylin spojrział na Lunę, a następnie przeniósł wzrok na Hermana.

– Nic nie mówiłeś, druhu, że chcesz dla Julii wziąć wierzchowca. Ja, jako jej opiekun, przyprowadziłem odpowiedniego konia.

– Wybacz, Weylinie, moją śmiałość. – Herman odważnie patrzył do góry, prosto w oczy Weylinowi. – Wdzięczny jestem Julii za pomoc, którą okazała Baldurii, i dlatego pozwoliłem sobie jako dowód mego oddania ofiarować jej konia.

– Co?

To pytanie padło równocześnie z trzech ust: moich, Dunhama i rudowłosego. Weylin milczał, badawczo patrząc to na Hermana, to na mnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że podarowałeś Julii swego najlepszego przyjaciela? Konia, któregoś wychował od źrebięcia? Konia, którego nikomu nie pozwoliłeś nigdy dosiadać?

Teraz to i ja otworzyłam szeroko usta. To, co działo się tuż obok mnie, prze-

kraczało moje wszelkie wyobrażenia. Taki dar nie był zwykłym darem. Herman подарował mi nie tylko konia, ale część siebie.

– Dokładnie tak, Weylinie – potwierdził ze spokojem. – Uznałem, że tylko w ten sposób mogę spłacić chociaż część swojego długu, jaki wobec niej zaciągnąłem. Zważ, że ona uratowała dwa życia...

– Zabierz go!

Weylin rzucił wodze przyprowadzonego przez siebie konia w ręce stajennego. Chłopak chwycił je w locie i ponownie obdarzywszy mnie lęklwym spojrzeniem, szybko odprowadził wierzchowca.

– A ty nie marnuj czasu, Hermanie. Czemuś jeszcze nie w siodle?

– Już! – Herman trzymał wodze dwóch koni, ale bez większego problemu podniósł mnie do góry i pomógł usiąść na grzbiecie Luny. – Pamiętaj, ufaj jej, a wszystko będzie dobrze – szepnął do mnie tak cicho, że nikt postronny nie mógł tego usłyszeć.

– Dziękuję.

Uśmiechnęłam się do niego, wdzięczna za tyle okazanej pomocy, jednak wystarczyło, że spojrzałam na Weylina i cała radość ulotniła się w jednej chwili. We wzroku mężczyzny ujrzałam złość, irytację i coś, co przywodziło mi na myśl zazdrość. Zazdrość? O co? Bo chyba nie o moje porozumienie z Hermanem?

Weylin, widząc, że na niego patrzę, odwrócił głowę w drugą stronę. W przelocie dostrzegłam jeszcze drgający mięsień na jego policzku. Tymczasem nieświadomy niczego Herman wskoczył na swojego wierzchowca i zrównał się z nami. Luna zwróciła łeb w kierunku swego dotychczasowego właściciela. Zastrzygła uszami.

– Pogłaskaj ją, tak jak cię uczyłem – polecił Herman, przyłożyłam więc dłoń do szyi klaczy i czule ją pogładziłam.

– Dobry konik. Dobry konik... – wyszeptałam.

Nagle wśród rycerzy podniósł się gwar, po czym bezładna grupa zaczęła formować się w dwa szpalery, pomiędzy którymi powstawała wolna przestrzeń.

– Równaj!

Weylin zagonił mego konia do szeregu, sam ustawiając się po prawej stronie. Z lewej strony wiernie towarzyszył mi Herman. Rudowłosa i bokser zajęli miejsca w drugim szpalerze. Dzielili nas teraz odległość około trzech metrów.

Rozległ się dźwięk trąb i pomiędzy równo rozstawionymi rzędami jeźdźców dostojnym krokiem przeszły dwa siwe konie. Na grzbiecie pierwszego z nich siedział książę Ekhard, ubrany w ciemnobrązową pelerynę, której poły zwieszały się luźno po bokach rumaka. Na głowie władcy pyszniła się złota opaska, będąca symbolem władzy. Tuż za księciem, na drugim wierzchowcu, jechał Dewin, którego czarna peleryna przywodziła na myśl skrzydła kruka.

Przejeżdżając obok, Dewin obrzucił mnie pełnym pogardy spojrzeniem. Poczulałam nieprzyjemny ucisk w żołądku. Gdyby nie obecność Weylina i jego przyjaciół, na pewno miałabym się czego obawiać. Jednak nawet teraz, zdając sobie sprawę, że mam na kim polegać, bałam się tego, co Dewin mógłby dla mnie przyszykować. Nad wyraz łatwo udało się mu wkręcić mnie w łowy. Zapewne nie zrobił tego ot tak sobie. Miałam dziwne przeczucie, że rozwścieczony medyk szykuje dla mnie coś specjalnego.

## XIX. POLOWANIE

Przez szeroką bramę wyjechaliśmy z zamku na piaszczysty trakt. Po drodze minęliśmy chaty skupione na podgrodziu, a następnie przejechaliśmy obok poletek porośniętych karłowatym zbożem. Brak słońca srogo dawał się we znaki mieszkańcom Buri. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale teraz mogłam dokładnie przyjrzeć się mijanej okolicy. Drzewa nie były soczyście zielone, ich liście miały barwę zieleni szarawej, przygaszonej i jakby pozbawionej życia. Żółta trawa ledwie wykiełkowała ponad ziemię, a jej smętne kępki wyglądały niczym bezładnie porozrzucane kłaczki waty. Nawet przydrożne jabłonie, jak ta, pod którą spędziłam swoją pierwszą noc w Buri, nie przypominały znanych mi drzewek. Niemiłosiernie poskręcane gałęzie wily się na podobieństwo węży, wspinając się w wędrowce ku tej odrobinie światła, jaka przedzierała się przez gęste chmury spowijające krainę. Mikroskopijnej wielkości niedojrzałe jabłka smętnie zwieszały się pomiędzy drobnymi liśćmi, a część z nich, ta, która opadła, zaścielała ziemię pod drzewkami.

Zastanowiło mnie, że podczas naszej wędrowki nie napotkaliśmy żadnego zwierzęcia, chociażby lichego zająca czy też przelatującego nad naszymi głowami ptaka. Dookoła panowała nienaturalna cisza – nigdzie nie było słycać odgłosów charakterystycznych dla przyrody.

Pola się skończyły i teraz po lewej stronie mieliśmy niewielkie wzgórza porośnięte zszarzałą trawą, zaś po prawej stronie zwartą ścianę lasu, która na podobieństwo muru obronnego strzegła wejścia w głąb. Drzewa rosły tak blisko siebie, że wydawało mi się niepodobieństwem, aby człowiek na koniu przecisnął się między nimi. Wiedziałałam, że gdzieś w gęstwinie musi znajdować się obelisk, za przyczyną którego znalazłam się w tej krainie, nie miałam jednak możliwości, aby go odszukać. Ba, nawet nie pamiętałam drogi, jaką wówczas przebyłam.

Na popas zatrzymaliśmy się na łące. Atmosfera była już zupełnie inna niż wczoraj. Posiłek spożywaliśmy w milczeniu, pospiesznie, unikając ze sobą kontaktu wzrokowego. Weylin i jego drużyna nie odstępowali mnie na krok, ale nie zabawiali rozmową. Czulałam się dziwnie w towarzystwie posepnych mężczyzn, którzy odziani w zwykłe szaty, bez żadnej dodatkowej ochrony, wydawali się zupełnie nieprzygotowani do polowania na potworne skrzydlaki. Mieli wprawdzie miecze, kusze, ale... czy to wystarczy? Przecież to polowanie będzie bardzo niebezpieczne, nic dziwnego, że wielu może zginąć.

Po obiedzie wyruszyliśmy dalej. Nużyła mnie już ta monotonia i brak odpowiedniego towarzystwa. Zaczęłam rozglądać się niespokojnie, szukając kogoś, z kim mogłabym porozmawiać. Przez chwilę patrzyłam na plecy jadącego przede mną Weylina, jednak nie zdecydowałam się na rozmowę. Owszem, bardzo mi pomógł; dzięki niemu trafiłam na dwór Ekharda, ale mimo wszystko nie byłam go do końca pewna. No i oczywiście pamiętałam o słowach Laveny, że Weylin wkrótce bierze ślub. Ta myśl była jak natrętna mucha, wracała co chwilę, powodując zamęt w mojej głowie. Niby co mnie mógł obchodzić jego ślub? Właściwie nic, ale jakoś było mi przykro.

Obejrzałam się za siebie i napotkałam spojrzenie Hermana. Momentalnie podjęłam decyzję. Dałam mu znak, aby się ze mną zrównał, a gdy podjechał bliżej, wskazałam głową na ciągłą linię drzew po prawej stronie.

– Znasz ten las? – spytałam.

– Jak mam nie znać? Każdy go zna, choć mało kto ma na tyle odwagi, by wejść między drzewa.

– A to czemu? – Poprawiłam się w siodle. – Dlaczego ludzie boją się chodzić do tego lasu?

– Bo to Las Potępionych – wyjaśnił tak spokojnie, jakby to było coś najzwyczajniejszego w świecie. – Książę Ekhard nawet dekret wydał, że pod karą śmierci nie wolno do lasu łązić. Tylko podczas łowów ten zakaz rycerzy nie obowiązuje.

– Nie rozumiem... – Mój niepokój rósł z każdą chwilą.

– W tym lesie mieszkają dziwne istoty. Niektóre z nich wychodzą z niego czasem i sieją spustoszenie. Mają ogniste miecze, które huk wydają okropny i mnóstwo ludzi zabić potrafią, nawet ich nie dotykając.

Opowieść Hermana brzmiała przerażająco, jednak rozumiałam jej prawdziwe znaczenie. Babcia Tosia opowiadała o Niemcach, którzy podczas wojny weszli do lasu i już z niego nie wyszli. Jakoś nabrałam pewności, że i owszem wyszli, tyle że w krainie, w której i mnie przyszło się znaleźć. Czyli nie tylko ja i Mateo przybyliśmy z tak daleka. Być może nadal byli tu również inni ludzie, niekoniecznie Niemcy. Postanowiłam się tego dowiedzieć.

– Często te istoty widujecie?

– A gdzieżby tam! Na szczęście spokój od nich mamy, gdyż ich miecze okazały się znowu nie takie silne, jak wszyscy myśleli. Gdy ognia zabrakło, całkiem bezbronni się okazali i dali się pojmać rycerzom.

– Co z nimi zrobiliście?

– Ja nic, bo mnie wtedy na świecie nie było, ale ludzie gadali, że na stos ich powiedziano. Dewin orzekł, że tylko tak zło wyplenić się da. Jednak nim zginęli w płomieniach, przeklęli naszą krainę, grożąc, że inni tu przybędą i będą jeszcze silniejsi, a ich miecze jeszcze straszniejsze, że kamień na kamieniu z domostw naszych nie ostanie, a rzeki spłyną krwią mieszkańców Burii. Od tej pory nikt przy zdrowych zmysłach w knieje się nie zapuszcza, aby tych istot nie sprowokować i kolejnego nieszczęścia na nasz kraj nie ściągnąć.

– I nikt więcej nie wyszedł z lasu? Żadne inne istoty? Może bez tych śmiertelnych mieczy? Może tylko w strojach odmiennych od waszych?

– Tyś pierwsza od lat. Dlatego byłem pewien, że zło ze sobą przynosisz. Żeś taka, jak ci, o których ludzie prawili, i przybyłaś tu, aby dokończyć dzieło zniszczenia zapoczątkowane przed laty. A jeszcze gdym ogień Mateo ujrzał u ciebie... za wysłannika zła cię wziąłem. Z lasu nigdy nic dobrego nie wyszło...

– A jednak widzisz, że pozory mogą mylić. Zapewniam, że nie mam nic wspólnego z osobami, które chciały zniszczyć Burię, ani nie znam żadnego Mateo.

– Teraz to wiem. Swoją dobroć jużś nam pokazała. Dlatego i książę Ekhard opieką cię objął. To zaszczyt niemały i nie każdemu dany. Ludzie respekt przed tobą czują, bo potęga twoja przeogromna, ty ze śmiercią nawet wygrać potrafisz.

– Oj tam... To tylko medycyna. Za kilkaset lat i u was to będzie normą – bagatelizowałam pochwały.



– Nikt tak długiego życia nie ma...

– A co za pogawędki sobie tu urządza? – Nawet nie zauważyłam, kiedy Weylin zrównał się z nami. – O czym dysputy prowadzicie?

– A co ty z FBI czy CIA? – zażartowałam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie będzie wiedział, o czym mówię. – Średniowieczny James Bond we własnej osobie.

– Twa mowa nad wyraz dziwaczna – zauważył chłodnym tonem. – Zważ, że to nie przejażdżka dla przyjemności, ino łowy, które być może przyjdzie opłacić nam życiem niewinnych. Nie czas na pogaduszki. A ty, Hermanie, pomnij na swoją żonę, która teraz bój toczy zajadły ze śmiercią.

Ostatnie zdanie było niepotrzebne. Wezbrała we mnie złość na Weylina i jego brak taktu. Co z tego, że jest następcą Ekharda? Mam to gdzieś! Nikt nie ma prawa ranić uczuć innych, a byłam pewna, że wzmianka o Baldurii rozjątrzyła ranę w sercu Hermana.

– Jeśli przy temacie żon jesteśmy... – Przywołałam na usta najśłodszy niewinny uśmieszek, na jaki było mnie stać. – ...to powinszować chciałam, Weylinie. Lavena wspomniała mi o twoich planach matrymonialnych. Rozumiem, że po łowach czas wesela nam nastanie, a ty swoją piękną... – Specjalnie zaakcentowałam ostatnie słowo. – ...oblubienicę przed oblicze władcy poprowadzisz, aby zawrzeć święty związek małżeński.

Umilkł. Miałam wrażenie, że go po prostu zamurowało. Patrzył na mnie jak cieleń na malowane wrota, a ja triumfowałam. Wreszcie udało mi się utrzyć nos zarozumiałemu Weylinowi. Owszem, niekiedy zachowywał się jak na prawdziwego rycerza, wybawcę niewiast przystało, ale najczęściej był niemożliwy do wytrzymania. Teraz zobaczył na własnej skórze, co znaczy dogryzać innym.

– O, to już po tych łowach? – Herman wpaść mi w słowo. – Może czas radosny nastanie dla Burii. Księżniczka kantońska ponoć zagwarantuje nam sojusz wieczysty. Wszystko zmierza ku lepszemu.

– Panie, panie! – Z przodu orszaku nadjechał jakiś rycerz w szarej pelerynie. – Książę Ekhard cię prosi do siebie. Za chwilę linię boru przekroczymy.

Weylin zagryzł wargi. Byłam pewna, że niewiele brakowało, aby eksplodował z wściekłości.

– Pilnuj jej – warknął w końcu do Hermana i skinął ręką na jadących w pobliżu swoich kompanów. – Wy też miejcie na nią oko. Niech włos jej z głowy nie spadnie. Ja zaraz wrócę, gdy tylko książę mnie z obowiązków zwolni. Mniemam, że beze mnie przez ten krótki czas sobie poradzicie.

Oddalił się zaraz za posłańcem, a ja zostałam w towarzystwie Hermana oraz dwóch osiłków, którzy chyba nieszczególnie byli zadowoleni z opiekowania się tak kłopotliwym balastem, za jaki mieli moją skromną osobę.

Dojechaliśmy do rozwidlenia dróg. Szerszy, piaszczysty szlak wiódł dalej wzdłuż linii lasu, węższy skręcał w głąb kniei. Nietrudno zgadnąć, że naszym celem był właśnie ten ostatni. Książę Ekhard, jadący na czele orszaku, dał ręką znak i na chwilę wszyscy przystanęliśmy.

– Oto i droga, która wiedzie w czeluście piekielne. Ino podczas łowów wolno nam na nią wkroczyć. – Dewin zrównał się z władcą i wskazał dłonią za widoczny za jego plecami przesmyk w zwartej masie drzew. – Gotowicie na śmierć? – zwrócił

się do stojących przed nim rycerzy.

– Gotowiśmy! – zakrzyknęli zgodnym chórem.

– Błagam cię, Lesie Potępionych... – Dewin spojrział w stronę lasu i wyciągnął ku niemu obie ręce. – ...miej na względzie misję, jaką przychodzi nam wypełnić. Uszanuj zwyczaj zapoczątkowany przed laty. Okaż swoje miłosierdzie i dozwól nam bezpiecznie opuścić twoje ostępy. Idziem w imię prawdy!

– Niech dobrzy bogowie mają nas w swej pieczy! – rozległ się głos władcy.

– Za Burię! – odpowiedział mu pełen zapału okrzyk rycerzy.

Książę ruszył jako pierwszy, a za nim pozostali. Dewin na krok nie odstępował władcy, podążając ramię w ramię z Ekhardem. Odniosłam nawet wrażenie, że to on bardziej przewodzi wyprawie niż miłościwie panujący wujek Weylina.

Skręciliśmy prosto w ostępy Lasu Potępionych. Niemalże natychmiast po opuszczeniu traktu otulił nas półmrok i chłód. Z obu stron otaczały nas ściany wielowiekowych drzew, te na pewno pamiętały czasy, gdy nad Burią świeciło słońce. Ich wysokie pnie pięły się do góry niczym strzeliste wieże. Wkrótce widoczny za naszymi plecami przesmyk zamknął się niczym brama odgradzająca nas od świata żywych.

Szyk marszruty uległ zmianie. Droga zwężała się na tyle, że musieliśmy teraz poruszać się gęsiego. Dunham oraz jego towarzysz jechali przede mną, zaś Herman nadal obstawiał tyły. Byliśmy ostatnimi jeźdźcami zamykającymi pochód.

Im dalej zagłębialiśmy się w las, tym silniejsze miałam wrażenie, że mrok gęstnieje. Ostępy między drzewami zwiększyły się wprawdzie – wyglądało to tak, jakby wewnątrz lasu nie obowiązywała już ścisła dyscyplina – ale było ich tyle, że przy zachmurzonym niebie światła pod nimi było coraz mniej. Zrozumiałam, że drzewa stojące na straży tworzyły zwarty mur, te poza linią graniczną miały więcej swobody. Czy las może myśleć? W tym momencie byłam przekonana, że tak. Ten las zdawał się myśleć, czuć i zagrażać nam.

Nie wiem, jak długo jechaliśmy, ale czas dłużył mi się niemiłosiernie. Wydawało mi się, że minęły już całe wieki, odkąd zapuściliśmy się w dzikie ostępy. Za każdym drzewem wypatrywałam skrzydlaka, gotowego nas zaatakować. Każdy większy cień powodował, że moje serce zaczynało szybciej bić. Atmosfera niebezpieczeństwa i wisząca nad nami groźba nagłej, a jakże okrutnej śmierci w szponach przebrzydłego stwora, którego czaszkę widziałam podczas uczyty, udzieliła się chyba również i pozostałym rycerzom, gdyż wszyscy zachowywali się nad wyraz spokojnie, uważając na każdy swój ruch i zachowując nienaturalne milczenie.

Ciszę panującą dookoła mącił tylko lekki stukot kopyt na ubitej, piaszczystej drodze, końskie poparskiwanie i szcęk oręża. Dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że mnie nie obdarowano żadnym mieczem ani kuszą. Byłam zupełnie bezbronna i zdana na łaskę innych. Czy to mądre, zważywszy, że zdążaliśmy na spotkanie ze skrzydlakami? Ale właściwie po co mi miecz lub kusza, skoro i tak nie umiałam się nimi posługiwać?

Mój niepokój wzmógł się. Nogi zaczęły mi drżeć, więc mocniej przycisnęłam je do boków konia. Luna wyczuła strach, jaki mnie ogarnął. Niespokojnie zastrzygła uszami, zarżała, po czym nagle stanęła na tylnych nogach, przednie unosząc do góry. Całe szczęście, że trzymałam mocno wodze, bo pewnie spadłabym na ziemię.

– Luna! – krzyknął Herman, najwidoczniej sam zaskoczony zachowaniem klaczy.

Koń opuścił przednie nogi, ale niestety wcale nie miał zamiaru się uspokoić. Wręcz przeciwnie – prawie oszalał. Kręcił łbem, parskał, rżał. Wreszcie zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Gwałtownie rzucił się w pobliskie zarośla i taranując je, nie zważając na moje krzyki, pogalopował w las. Jedyne, co mogłam zrobić, to trzymać kurczowo wodze. Przyłgnęłam całą sobą do szyi konia, modląc się o cud. Boże, niech ktoś mnie uratuje! Gdzie ci rycerze? W końcu mieli się mną opiekować!

Gałęzie drzew szarpały za poły peleryny i smagały mnie po twarzy i rękach. Ból, jaki powodowały, był jednak niczym w porównaniu z paniką, w jaką wpadłam. Dookoła były tylko drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa. A każde z nich zdawało się śmiać z mojego nieszczęścia. Koń pędził na złamanie karku, a ja zamknęłam oczy, bojąc się, że jeszcze chwila i skończę roztrzaskana na jakimś pniu.

Pomyślałam o mamie, o babci. Jeśli zginę, to czy wrócę do swoich czasów? Gdybym miała taką pewność, byłoby mi łatwiej, chociaż nawet możliwość powrotu do swojego ciała w dwudziestym pierwszym wieku była niczym wobec groźby śmierci. Po prostu nie chciałam umierać. Nie chciałam czuć tego, co czują umierające osoby. Bałam się, najzwyczajniej w świecie się bałam.

A głupi koń pędził i pędził, unosząc mnie coraz dalej od traktu, którym podążali rycerze. Ten szaleńczy pęd trwał nieskończenie długo. W piersi zabrakło mi tchu, a ręce, kurczowo zaciśnięte na wodzach, zaczynały omdlewać. Nie miałam już dłuższej siły. Jeśli to ma być koniec...

– Luna, proszę – wyszeptałam, mając nadzieję, że klacz mnie zrozumie. – Proszę! Luna! – krzyknęłam głośniej.

– Julia!

Za plecami usłyszałam znajomy głos. Ktoś pędził mi na ratunek. Może nie wszystko stracone?

– Pomocy! – zawylałam rozpaczliwie. Chciałam przeżyć i to było dla mnie najważniejsze.

W tym momencie jakaś szczególnie nisko rosnąca gałąź, zahaczyła o moją pelerynę. Poczulałam szarpnięcie, omdlałe palce wypuściły wodze i stoczyłam się z grzbietu konia. Uderzenie o ziemię było tak silne, że krzyknęłam z bólu. Na szczęście upadłam na kępę mchów, unikając w ten sposób poważniejszych obrażeń. Wolałam nie myśleć, co by było, gdyby w tym miejscu leżały kamienie lub gdybym uderzyła głową w pień któregoś z drzew.

Tuż obok zatrzymał się czarny rumak i na ziemię zeskoczył Herman. Momentalnie przypadł do mnie i uniósł mi do góry głowę, układając ją na swoich kolanach.

– Julia... – powtarzał przejęty. – Julia, czyś cała?

– Wszystko mnie boli – stęknęłam, próbując się poruszyć. – Luna oszalała.

– Widziałem to – przyznał. – To do niej niepodobne. Nie wiem, co się stało. Zawsze była łagodna jak baranek. Nie wiem, dlaczego poniosła cię w las.

– Gdzie reszta?

Usiadłam z trudem, podpierając się rękoma.

– Spokojnie, zaraz nas znajdą – zapewnił.

Sięgnął pod pelerynę i wyjął coś przypominającego chustę. Delikatnie przetarł moje policzki i czoło. Gdy spojrzałam, dostrzegłam na materiale krwawe smugi – gałęzie musiały poharatać mi twarz. Oj, dobrze, że się nie widziałam, widok pewnie nie był zbyt zachęcający. Najważniejsze jednak, że żyję!

– Poczekaj chwilę.

Herman pomógł mi przesunąć się pod drzewo i oprzeć plecami o omszały pień.

– Idziesz gdzieś? – zaniepokoiłam się.

– Tylko na moment – powiedział uspokajająco. – Po prostu zostań tutaj, a ja zaraz wracam. Możesz mi zaufać.

Oj tak, chciałam mu ufać, ale za bardzo się bałam. Przed chwilą o mało nie straciłam życia. Zadrżałam na myśl, że mogłabym zostać tu całkiem sama.

– Nie zostawiaj mnie – szepnęłam, a dwie wielkie łzy stoczyły się po moich poranionych policzkach.

– Dobrze. – Zawrócił i pochylił się nade mną. – Nie zostawię. – Nie zdążyłam zareagować, kiedy wziął mnie na ręce. – Złap mnie za szyję – polecił.

Objęłam go i wtuliłam twarz w poły jego peleryny. Przez szorstki materiał czułam bicie jego serca.

Herman wyminął stojącego w pobliżu Thzeusa i pieszo, trzymając mnie w ramionach, ruszył przed siebie.

– Gdzie idziemy? – zapytałam.

– Po Lunę – wyjaśnił. – Nie mogła odbiec daleko. Pewnie jest przerażona nie mniej niż ty.

– A co z Thzeusem?

– Pójdzie za nami.

Faktycznie koń Hermana, niczym tresowany pies, ruszył wolno za swoim panem.

Przedzieranie się przez chaszczę nie jest czynnością prostą, tym bardziej gdy ręce są zajęte trzymanym ciężarem. Herman z trudem podążał po śladach Luny, zmierzając w głąb lasu. Nie wydawało mi się to szczególnie mądre, ale nie miałam nic do powiedzenia. Zapewne on wiedział lepiej, co należy robić w takich wypadkach. Jak dla mnie były to pierwsze łowy w życiu i miałam nadzieję, że nie będę musiała nigdy więcej brać w nich udziału.

– Jest tam. – Szept Hermana wyrwał mnie z rozmyślań. Spojrzałam przed siebie i zobaczyłam Lunę z wodzami zaplątanymi o gałęzie rozrośniętego krzaka. – Ciii...

Herman posadził mnie na ziemi i sam ruszył w stronę konia, wyciągając przed siebie prawą rękę.

– Dobra Luna. Dobra Luna – powtarzał. – Jestem tu, aby ci pomóc. Boisz się, prawda? Coś cię wystraszyło? Ja wiem, że ty nie jesteś taka narowista. Dobra Luna. Dobra... Patrz, co mam dla ciebie?

Drugą ręką wyjął z wewnętrznej kieszeni peleryny jabłko, to samo, które dostaliśmy na śniadanie, i podsunął je zwierzęciu. Luna parsknęła i niespokojnie przebiegała nogami w miejscu, jednak widząc Hermana, uspokoiła się. Schyliła łeb, niuchając w jego stronę. Herman podszedł jeszcze bliżej, podsuwając jabłko pod pysk konia. Prawą ręką delikatnie dotknął grzywy. Luna chwyciła owoc w zęby.

– Dobra Luna.

Teraz Herman gładził skórę zwierzęcia obiema dłońmi. Przytulił policzek do jego szyi.

– Już dobrze, już dobrze – przemawiał jak do małego, nieporadnego dziecka.

To była magia. Czysta magia. Oto widziałam, jak rozszalały wierzchowiec

przemienia się w potulnego konika. Herman czarował go swoimi słowami, tonem głosu, gestem. Był magiem, zaklinaczem, a dla mnie w tej chwili najwspanialszym bohaterem.

Wyswobodził Lunę z pułapki, po czym ostrożnie podprowadził ją do drzewa, przy którym czekał Thzeus. Wprawnie odpiął siodło, a wtedy coś zauważył. Z uwagą wpatrywał się w bok konia, dotknął go palcami i popatrzył na opuszki. Pochylił się, szukając czegoś na ziemi. Po chwili wrócił do mnie i przykucnął obok.

– Miałem rację. Luna bez powodu tak by się nie zachowała.

– Co się stało?

Na jego dłoni spoczywał niewielki owoc przypominający kasztana w łupinie. Ostre, liczne kolce mieniły się na czerwono i jakoś instynktownie wiedziałam, że to nie ich naturalny kolor, tylko krew Luny.

– Ktoś włożył pod siodło ostrożyczkę – wyjaśnił. – To było celowe działanie. Ktoś chciał, aby spotkała cię krzywda. Pytanie tylko, kto to mógł być? Przecie nikt nie wiedział, że dam ci Lunę.

Wpatrywałam się w ten dziwny owoc, nazwany ostrożyczką, i zastanawiałam się, kto mógł życzyć mi śmierci. Jediną osobą zdolną do takiej podłości wydawał się Dewin, on jednak nie mógł wiedzieć, że dosiędę akurat tego konia.

– I co teraz?

– Na szczęście nic się nie stało. Luna zareagowała nerwowo, ale gdybyś dosiadła innego wierzchowca, pewnie nie uszłabyś z tego z życiem.

– A gdzie reszta rycerzy? Szukają nas?

Rozejrzałam się niespokojnie dookoła, jednak znikąd nie widziałam nadciągającej odsieczy, chociaż według moich obliczeń powinni nas już dawno znaleźć. W końcu Weylin nakazał swoim kamratom mieć na mnie oko. Gdzie więc są te osiłki?

– Łowy to nie czas na poszukiwanie zagubionych maruderów. – Herman wyprostował się. – Sami musimy odnaleźć drogę powrotną.

– Sami? – wyjąkałam. – Ale przecież mówiłeś, że idą nam na ratunek.

– Chciałem cię pocieszyć – wyjaśnił. – W każdym razie chwilowo jesteśmy bezpieczni, gdyż osoba, która krzywdę ci chciała wyrządzić, pojęcia nie ma, żeś ty cała.

– Ale mi pocieszenie – stęknęłam i także podniosłam się na nogi.

– Wierzaj mi, że to szczęście dla nas. Pójdziemy przez las i dotrzemy na miejsce, zanim nasi odnajdą gniazda skrzydlaków. Może nawet uda się nam kilka tych niewinnych istot ocalić.

– Chcesz ocalić skrzydlaki?!

Aż tchu mi zabrakło z wrażenia. Oto miałam przed sobą dywersanta, który wybiera się na łowy z rycerzami po to, aby ratować przed nimi stwory, na które ci dzielni wojownicy idą polować. Nagle nabrałam podejrzeń, że to sam Herman ostrożyczkę podłożył pod moje siodło, aby używszy tego nad wyraz przebiegłego fortelu, zapewnić sobie alibi na czas ratowania skrzydlaków. A to bestia przebiegła!

Nieznacznie odsunęłam się od mego towarzysza, obawiając się, co jeszcze może wykombinować. A jeśli nakarmi mną te krwiożercze istoty? Niby uratowałam życie jego dziecka, ale co, jeśli on wcale go nie chciał? Może nawet z tą całą Baldurią mu się nie układało? Moja wyobraźnia podsuwała mi coraz bardziej nieprawdopo-

dobne scenariusze wydarzeń.

– Przyznaj się, że to wszystko dużo wcześniej sam zaplanowałeś!

– Cóżem miał sobie zaplanować?

Wyglądał na zaskoczonego moim oskarżeniem.

– To ty podłożyłeś ostrożyczkę pod siodło, bo chciałeś, abym...

– Nigdy, powtarzam, przenigdy nijakiej krzywdy nie wyrządziłbym istocie, która mi zawierzyła. Czy ty myślisz, że celowo bym Lunę poranił? Że ciebie na niebezpieczeństwo jakoweś wystawił?

– No, tego... Przyszło mi to do głowy.

– Nie znasz mnie i mylnie oceniasz.

Czyżbym usłyszała w jego głosie smutek?

– No, ale chcesz ratować skrzydlaki – przypomniałam.

– Bo to mój święty obowiązek.

– Ale przecież...

– Nie wszystko jest takie, jakie się innym wydaje.

Chwycił za uzdę Thzeusa oraz Lunę.

– Chodź, Julio, nie marnujmy czasu po próżnicy.

## XX. PRZEPAŚĆ

Szłam tuż za Hermanem. Posuwaliśmy się dość wolno, gdyż ruchy ograniczały nam rozrośnięte nad wyraz krzaki. Widać było, że ludzka stopa dawno tych ostępów nie tknęła. Thzeus i Luna wiernie postępowały za nami, pilnując się niczym tresowane psiaki, Herman nie musiał ich już nawet prowadzić. Na lewym boku Luny zobaczyłam krwawe otarcia – ślady po ostrożyczce. Nie dziwiłam się, że biedne zwierzę poniosło. Widocznie wtedy, gdy mocniej zacisnęłam nogi, bezwiednie wbiłam jej kolce w ciało. Musiało strasznie boleć. Właściwie powinnam się cieszyć, że ta cała przygoda zakończyła się tylko w taki sposób. Osoba, która przygotowała zasadzkę (jakoś cały czas obstawiałam, że to Dewin), liczyła zapewne, że wyprawa będzie miała dla mnie tragiczne skutki.

Tylko co z tym Hermanem? Czyżby to był jakiś psychol, działający potajemnie na szkodę swego kraju? Zdecydowanie nie wyglądał mi na taką osobę, ale przecież pierwsze wrażenie może mylić. Niektórzy posiadacze twarzy anioła okazywali się prawdziwymi potworami. Jeśli i Herman zaliczał się do tej grupy?

Zerkałam na długi miecz Hermana, przytroczony do jego pasa. Zdecydowanie czułabym się bardziej komfortowo, gdybym to ja miała go w ręku. Wprawdzie nie potrafiłam posługiwać się bronią, ale sama świadomość, że miałabym taką do dyspozycji, wpłynęłaby na mój komfort psychiczny.

– Czy ten miecz jest ciężki? – zapytałam w końcu.

– Miecz? – Obejrzał się na mnie. – A, tak... – rozumiał, o co mi chodzi. – Niestety, miecz jest bardzo ciężki i raczej nie dla kobiety.

– Ja nie jestem zwykłą kobietą – przypomniałam. – Może dałbyś mi go na chwilę?

– To zbyt ciężkie.

– A jeśli będę nalegać? – upierałam się.

– Lubisz postawić na swoim. – Zaśmiał się i zwalniając na chwilę kroku, jednym ruchem odpiął miecz od pasa. – Proszę, poczuj się jak prawdziwy rycerz.

Ochoczo wzięłam do ręki oręż, ale momentalnie upuściłam go na ziemię. Nie spodziewałam się aż takiego ciężaru.

– Cholera – zakląłam, podnosząc oburącz miecz. Musiał ważyć z kilkanaście kilogramów.

– Lekki jak piórko, prawda? – Herman zdecydowanie zbyt bezczelnie się uśmiechał. – Dasz radę?

– Dam – mruknęłam.

Z trudem trzymałam miecz w dłoniach, próbując nie dać po sobie poznać, ile wysiłku mnie to kosztuje.

– Nie wygląda na to.

Puścił mimo uszu moje słowa i odebrał oręż. Z łatwością na powrót przypiął go do pasa. Wydawało się, że w jego rękach miecz zupełnie nic nie waży.

– A jak mnie kto zaatakuje?

– Nie martw się, ja cię uratuję.

Czy to zapewnienie miało mi dodać otuchy? W każdym razie nie spełniło swego zadania. Aby nie myśleć o ewentualnie grożącym mi niebezpieczeństwie, postanowiłam zapytać Hermana o łowy. Do tej pory dowiedziałam się tylko tego, że odbywają się co trzy lata i poluje się na skrzydlaki – wyjątkowo paskudne stworzenia, które jakimś dziwnym trafem mój towarzysz darzył niezrozumiałą sympatią.

– Powiesz mi, o co w ogóle chodzi z tymi łowami?

Dzielnie przedzierałam się przez kolejne chaszcze.

– O wielką, monstualną pomyłkę. – Nawet nie zwolnił kroku.

– Nie rozumiem...

– Nie musisz, nie stąd pochodzisz – skwitował krótko. Najwyraźniej nie miał zamiaru zdradzać mi tajemnic Burii.

– No tak, ale dlaczego wszyscy polują na skrzydlaki, a ty jeden chcesz je chronić?

– Bo one nie są zdolne do tego, o co je posądzają.

– Do czego? – nie ustępowałam. – Chciałabym wreszcie poznać prawdę.

– Po prostu idź za mną, a sama zobaczysz.

Cóż miałam zrobić? Mogłam tylko zastosować się do jego polecenia. Przez dłuższy czas (och, ten brak zegarka) posuwaliśmy się w milczeniu. Moja wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach, a wszelkie możliwe wersje przyszłych wydarzeń prześladowały mnie na każdym kroku. Herman raz jawił mi się jako psychopata, podkładający ostrożyczki pod siodło Luny, raz jako szaleniec, tylko czekający, aby móc zrobić użytek ze swego miecza. W jeszcze innej wersji prowadził mnie prosto w paszcze skrzydlaków i z radością przyglądał się, jak te paskudne stwory rozszarpują moje ciało.

– Chyba poszliśmy nie w tę stronę. – Herman pokonał kolejne krzaki i nagle się zatrzymał.

Również przedarłam się przez chaszcze, czując na swoich plecach oddech Luny.

– Uważaj! – Herman złapał mnie za ramię, powstrzymując przed kolejnym krokiem.

Staliśmy na skraju stromego urwiska, którego szerokość musiała mieć kilkanaście metrów. Gdy spojrzałam w dół, serce mi zamarło. Miałam wrażenie, że ziemia rozstała się, ukazując wejście do piekielnej krainy. Dna nie było widać. Kilka kamyków osunęło się spod stóp Hermana i wpadło w przepaść.

– Będziemy musieli nadrobić drogi – oświadczył.

– Ale co to jest? Jakiś kanion?

Przyszedł mi na myśl Wielki Kanion w Kolorado, chociaż ten amerykański z pewnością był węższy od tego, który obecnie znajdował się u moich stóp.

– Przepaść. – Wzruszył ramionami. – Tędy nie przejdziemy. Musimy przeprawić się na drugą stronę, więc pójdziemy wzdłuż osuwiska, aż znajdziemy miejsce, w którym będziemy mogli zrobić to bezpiecznie. Idź ostrożnie – przestrzegł mnie, po czym zwrócił się do stojących z tyłu koni, wprawiając mnie w całkowite osłupienie. – Zostańcie tu. A jeśli nie wrócimy, odszukaj drogę do domu, Thzeusie, i zabierz ze sobą Lunę.

To zabrzmiało dość głupio. Nie sądziłam, aby zwierzęta go zrozumiały i posłuchały, jednak kiedy rozpoczęliśmy dalszą wędrówkę wzdłuż niebezpiecznej skarpy,



zobaczyłam, że konie pozostały tam, gdzie im kazał. W Hermanie było coś niezwykłego – musiałam to szczerze przyznać. Jeszcze nigdy nie widziałam, aby ktoś potrafił nawiązać taki kontakt ze zwierzętami. Nie dziwiłam się, że Lavena uległa jego urokowi. Sama, gdybym nie była tak przerażona, pewnie inaczej patrzyłabym na swego towarzysza.

Ostrożnie stawiałam stopy, uważając, aby przypadkiem nie poślizgnąć się na jakimś odłamku. Wierzchołki nagich drzew porastających zbocza wyglądały jak narzędzie tortur, czekające tylko na swoją ofiarę. Z trudem posuwaliśmy się do przodu, czasem przytrzymując się gałęzi i grubych korzeni, wystających z ziemi. Przeprowa była nad wyraz skomplikowana. Po plecach spływały mi strużki potu. Lniana koszula przylgnęła do spoconego ciała, dodatkowo peleryna, którą miałam na sobie, zahaczała o gałęzie krzewów. Całe szczęście, że na łowy dostałam strój męski. Oj, gdybym tak musiała przedzierać się przez te ostępy w długiej, ciężkiej sukni, nie uszłabym daleko.

– Czy możemy zwolnić? – zawołałam do idącego przodem Hermana, jednak nawet się na mnie nie obejrzał. – Hej! Czy możemy zwolnić? – powtórzyłam. – Jestem bardzo zmęczona.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. To na pewno już niedaleko – rzucił przez ramię.

Ładna mi pociecha. Och Julio, Julio, czemu ty zawsze pchasz się w takie kłopoty? A mogło być tak przyjemnie. Costa Brava, słońce, plaża, przystojni Hiszpanie... Moi znajomi dobrze się bawią, a ja walczę o przetrwanie gdzieś w przypominającej średniowiecze krainie.

Wezbrała we mnie złość i bunt. To takie niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! Zatrzymałam się gwałtownie i z całej siły tupnęłam nogą. I to była najgłupsza rzecz, jaką do tej pory zrobiłam. Nawet głupsza od próby zaszpanowania znajomością chirurgii. W momencie, gdy moja stopa uderzyła o ziemię, odłamki skalne zachręściły nieprzyjemnie, po czym, o zgrozo, osunęły się wraz z częścią podłoża. Zachwiałam się, tracąc grunt pod nogami. Już po chwili staczałam się w dół osuwiska, pomiędzy uschniętymi kikutami drzew. A ponieważ spadałam z dość dużą szybkością, istniało prawdopodobieństwo, że w każdej chwili mogę roztrzaskać się o jakąś skałę lub nabić na jeden ze sterczących pniaków.

– Julio! – Przez własny krzyk z trudem usłyszałam wołanie Hermana.

Peleryna okręciła się wkoło mnie niczym rolada. Nie mogłam wykonać żadnego ruchu, który mógłby uratować mi życie. Nie miałam najmniejszych szans na przetrwanie – wreszcie to do mnie dotarło, jednak, o dziwo, nie wywołało nowej fali strachu. Wręcz przeciwnie, uspokoiłam się i jakby pogodziłam z tym, co nieuniknione. Niemalże wyczekiwałam momentu, kiedy wreszcie to wszystko się skończy. Nie będzie już Burii, jej tajemnic, podejrzanych osób, wrednego Dewina. Nie będzie polowania na skrzydlaki ani tych wszystkich obaw, które ciągle mi tu towarzyszyły. Wreszcie wolność! Wreszcie wrócę do siebie, do dwudziestego pierwszego wieku! Tylko zasnę i obudzę się w swoim normalnym życiu. Nadzieja to było wszystko, co mi teraz pozostało i trzymałam się jej kurczowo. To był mój jedyny pomost łączący mnie z normalnością. Nie chciałam oszaleć w ostatnich chwilach życia.

Minęłam w pędzie kolejne drzewo i nagle... znalazłam się w powietrzu. Urwisko skończyło się gwałtownie, a ja leciałam w dół bezdennej przepaści.

„Babciu, wracam” – pomyślałam, próbując przypomnieć sobie jakąś modlitwę,

jednak w mojej głowie panowała całkowita pustka. Więc tak wygląda śmierć?

## XXI. OKO W OKO Z POTWOREM

Było mi niewygodnie, a dodatkowo czułam ból, który promieniował z każdej części ciała. Z trudem otworzyłam oczy, starając się uzmysłwić sobie, gdzie jestem. Ostatnio zdecydowanie za często miałam z tym kłopot. Uniosłam głowę i rozejrzałam się dookoła. Leżałam na porośniętej mchem sporej półce skalnej. Co więcej, obok mnie leżał ktoś, kogo znałam. Przynajmniej wydawało mi się, że go znam, chociaż chwilowo nie mogłam sobie przypomnieć jego imienia. Jednak ta twarz z naznaczonym blizną policzkiem z kimś mi się kojarzyła.

Spróbowałam usiąść, co było o tyle trudne, że dość szczelnie spowijała mnie peleryna, ciasno owinięta wkoło mego ciała. Mimo bólu powyginałam się trochę w różne strony tak, abym mogła się wyswobodzić. Wreszcie po kilkunastu próbach i wydawanych przy nich jękach udało mi się pozbyć tych materiałowych oków.

Zainteresowało mnie, dlaczego mężczyzna leżący nieopodal nie zareagował na moje dość głośne przecież okrzyki bólu. Przez chwilę nawet obawiałam się, że jest martwy, ale gdy podczołgałam się do niego, z ulgą sprawdziłam, że oddycha. Był nieprzytomny.

Zaraz, zaraz... Gdzie ja jestem? Kim ja jestem? I z kim ja jestem? Musiałam najpierw uporządkować myśli. Dość szybko doszłam do wniosku, że jestem kobietą, a chwilę dłużej trwało, zanim przypominałam sobie swoje imię. Julia... Brzmi znajomo. Ale co ja tutaj robię?

Głowa bolała mnie niemiłosiernie, a gdy dotknęłam dłonią czoła, przekonałam się, że z rozcięcia na skroni sączyła się krew. Uderzyłam się. Musiałam spaść z wysokości. Zadarłam głowę i popatrzyłam do góry. Nad sobą miałam ściany osuwiska porośnięte nagimi drzewami. Jeśli spadłam z tak wysoka, to jakim cudem nadal żyłam? To zakrawało na cud, i to dużego kalibru.

Polowanie... Skrzydlaki... Buria... Strzępy wspomnień zaczęły wdzierać się do mojej bolącej głowy. Powoli zaczynałam wszystko ze sobą składać. Jestem Julia, przeniosłam się z dwudziestego pierwszego wieku do tej dziwnej krainy. Dziś wybrałam się na łowy i przez przypadek znalazłam się tutaj. Nie, to nie był przypadek, ktoś celowo chciał się mnie pozbyć i włożył pod siodło Luny ostrożyczkę. Herman...

Pochyliłam się nad nieprzytomnym mężczyzną i szarpnęłam go za ramię.

– Obudź się! W tej chwili się obudź! – krzyknęłam rozpaczliwie.

Jednak choć chwilowa amnezja była zbawienna, bo przez moment nie musiałam się bać, teraz wszelkie lęki wróciły ze zdwojoną siłą. Tylko Herman mógł mi pomóc. Bez niego nigdy się stąd nie wydostanę. Tak, tak, tylko on jeden będzie wiedział, co zrobić. Niestety, Herman nie chciał otworzyć oczu. Leżał niczym martwy, przyprawiając mnie o palpitację serca. Jęknęłam i osunęłam się na ziemię. Może zasnę, a gdy się obudzę, to wszystko okaże się snem? Gdybym tylko mogła zasnąć...

Mój wzrok spoczął na ścianie znajdującej się przede mną. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłam? Podniosłam się i z trudem podeszłam do częściowo zasłoniętego gładzi wejścia do jaskini. Wewnątrz panowała ciemność, a ja nie miałam latarki. Jaka szkoda, że nie wzięłam jej ze sobą. Albo chociaż zapalek. Przypominałam sobie,

jak Weylin podczas naszego pierwszego spotkania na trakcie rozdeptał pełne pudełeczko. Och, gdybym tylko je teraz miała.

Wróciłam do Hermana i ponownie próbowałam go ocucić, jednak nadal nadermnie. Jedyne, co mogłam zrobić, to unieść jego głowę i oprzeć na swoich kolanach. Przy okazji okryłam go jeszcze moją postrzępioną peleryną, zauważając, że sam musiał się wcześniej pozbyć swojej. Nie znalazłam również u jego boku miecza. Po chwili zastanowienia doszłam do wniosku, że widocznie rzucił mi się na ratunek i aby nie spowalniać ruchów, pozbył się niepotrzebnego balastu. Ciągle jednak nie mogłam zrozumieć, co spowodowało, że po upadku z tak dużej wysokości nie odnieśliśmy żadnych poważniejszych obrażeń. Czyżby działały tu jakieś czary?

Siedziałam tak na tej półce skalnej, a czas dłużył mi się w nieskończoność. Czułam się zupełnie bezradna i pozostawiona na pastwę losu. Wpatrując się w zbocza osuwiska, zastanawiałam się, w jaki sposób będziemy mogli się stąd wydostać, jednak wyobraźnia mnie zawodziła. Nie widziałam dla nas żadnej możliwości ratunku. Umrzemy tu z głodu w straszliwych męczarniach lub, aby skrócić cierpienie, rzucimy się w przepaść pod skalną półką.

Jak na złość, zgodnie z wcześniejszymi przeczuciami Hermana, z zasnutego ciężkimi chmurami nieba zaczęły padać pierwsze krople deszczu. A już po chwili na nasze poobijane ciała lunęły prawdziwe potoki wody.

– Herman! – Ponownie szarpnęłam nieprzytomnego mężczyznę. – Błagam cię, ocknij się wreszcie. Herman!

Desperacja dodała mi sił. Jakimś cudem dźwignęłam mego towarzysza i trzymając pod ramiona, zaczęłam ciągnąć w stronę jaskini.

– Co się dzieje?

W pierwszej chwili, słysząc ten głos, byłam pewna, że to tylko złudzenie, jednak zobaczyłam, że Herman mruga, próbując pozbyć się resztek otępienia.

– Co się dzieje? – powtórzył.

– No, nareszcie!

Poczułam nieopisaną ulgę. Najbardziej bałam się tego, że Herman mógłby nigdy się nie obudzić. Co wtedy stałoby się ze mną? Puściłam go, a on z łoskotem płaśnął na ziemię.

– Przepraszam! – Rzuciłam się, aby mu ponownie pomóc. – Byłeś nieprzytomny.

– Już dobrze.

Powstrzymał mnie i z niemałym wysiłkiem wstał. Zachwiał się, ale odepchnął moją dłoń, gdy chciałam go podtrzymać. Wyprostował się i rozejrzał dookoła.

– Tu jest jaskinia. – Wskazałam na ciemniejący otwór. – Możemy się schronić.

Skinął głową na znak zgody i kulejąc, wszedł do środka. Ja również pośpiesznie ukryłam się przed deszczem.

– Jak się czujesz? – zapytał, gdy usiedliśmy pod jedną z omszałych, zimnych ścian.

– Jak poobijany baleron.

– Co?

– A nic takiego. Po prostu jestem trochę poobijana. A ty?

– Tak samo. Dlaczego nie zachowałaś ostrożności? Mogłaś zginąć.

– Ty też. Nie trzeba było się za mną rzucać.

– Nie mogłem zostać na górze, gdy ty spadałaś. Ślubowałem, że jeśli twojemu życiu będzie zagrażać śmierć, ja zginę wpierwej.

– Nie sądziłam, że podchodzisz do tego tak poważnie.

Oj, ci buriańscy rycerze. Z jednej strony, byłam mu ogromnie wdzięczna, że nie zwracając uwagi na konsekwencje, pragnął wypełnić swoje przyrzeczenie, z drugiej jednak, zastanawiałam się, czy faktycznie dla tutejszych ludzi własne życie było mniej istotne niż złożone ślubowanie.

– Przecież prawie w ogóle mnie nie znasz... Ryzykowałeś dla kogoś, kto nawet nie pochodzi z tych stron.

– Obietnica rzecz święta.

– Wiesz, jeszcze nikt nigdy nie zrobił dla mnie czegoś takiego... – Rozmarzyłam się.

Bycie damą ratowaną przez dzielnego rycerza jest jedną z najromantyczniejszych scen, zwłaszcza gdy ogląda się ją na kinowym ekranie. Ja jednak miałam możliwość wziąć w niej bezpośredni udział i muszę przyznać, że po tak bohaterским zachowaniu akcje Hermana zwyżkowały.

– Każdy by tak uczynił – uciął temat.

– A wytłumaczysz mi, jakim cudem przeżyliśmy upadek? – Nasze niezwykle wręcz ocalenie nie dawało mi spokoju. Jakim sposobem nie odnieśliśmy żadnych poważnych obrażeń, ba, żyliśmy nadal, choć spadliśmy z tak ogromnej wysokości?

– Niezbadane są wyroki bogów – odpowiedział enigmatycznie. – Jeśli żyjemy, to wdzięczni być bogom powinniśmy, a nie o tym deliberować. Tak widać musiało być.

Zatrzęsłam się z zimna, a Herman, widząc to, natychmiast przysunął się bliżej i objął mnie ramieniem. Wtuliłam się w niego, chociaż akurat nie było to chyba zbyt rozsądne z mojej strony. Pewnie żadna szanująca się Burianka nie zachowałaby się podobnie. Ale przecież ja nie byłam mieszkanką Burii, a w dodatku jako pierwsza kobieta w historii tej krainy wzięłam udział w słynnych łowach. Nie musiałam ściśle przestrzegać wszystkich norm. I byłam u boku dzielnego rycerza, który dla mnie narażał swoje życie.

– Ale jak...

– Naprawdę, Julio, to nie jest teraz nasze największe zmartwienie. – Przerwał mi, tak jakby nie miał ochoty rozmawiać o cudownym ocaleniu.

Chociaż ta sprawa nie dawała mi spokoju, zrozumiałam, że od Hermana nie uzyskam żadnych wyjaśnień z nią związanych. Przyjęłam więc, że Buria, będąc magiczną krainą, rządzi się innymi prawami niż znany mi świat. Widocznie tu magia działała na każdym kroku i tylko jej zawdzięczaliśmy nasze ocalenie.

– Gdzie twoja peleryna i miecz? – zmieniłam temat.

– Zostały na górze. Nie mogłem z nimi w przepaść się rzucić – potwierdził moje wcześniejsze przypuszczenia.

– Może ktoś je znajdzie i trafi na nasz ślad? – zasugerowałam.

Nadzieja to wspaniała rzecz.

– Raczej w te strony nikt się nie zapyści.

I masz ci los, właśnie została brutalnie pogrzebana.

– I co z nami będzie?

Jeszcze mocniej wtuliłam się w ramiona Hermana. Potrzebowałam teraz takiej

bliskości.

– Będzie, co ma być. Nasze losy już dawno temu zostały zapisane w gwiazdach.

– Przecież w Burii nie widać gwiazd. Wiesz w ogóle, jak wyglądają?

– To, że czegoś nie widać, nie znaczy, że tego nie ma.

– Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– W lesie. Gdzieś w przepaści... Nie wiem, Julio. – Pogładził mnie po głowie.

– A rycerze na pewno tu nie trafią?

– Widzisz, Julio, Las Potępionych sam wodzi wędrowców po swych ścieżkach.

To on ich prowadzi. Nas zawiódł tutaj. Nie wiem czemu, ale tak się stało. Rycerze trzymają się ustalonego traktu, nie zbaczają z niego, więc na pewno nie zajdą w tę stronę. A nawet gdyby chcieli nas szukać... nie wiadomo, gdzie las by ich zaprowadził.

Deszcz padał i padał. Ściana wody zasnuwała wejście do jaskini. Robiło się coraz ciemniej, aż w końcu nadciągnęła noc. Po tyłu przeżyciach początkowo nie odczuwałam głodu, ale teraz odezwał się ze zdwojoną siłą. Niestety, nie wzięliśmy ze sobą żadnego prowiantu, nie licząc dwóch jabłek, z których jedno Herman podarował Lunie.

Sięgnęłam po zniszczoną pelerynę i z wewnętrznej kieszeni wydobyłam ostatnie, niewielkie jabłuszko. Trzymałam je w dłoni i chociaż go nie widziałam w ciemności, napawałam się jego kształtem. Miałam wrażenie, że czuję charakterystyczny, słodki zapach. Miało zostać na powrót, ale czy obecnie warto czekać? Być może nigdy nie uda się nam stąd wyswobodzić.

– Myślisz, że możemy zjeść ostatnie jabłko? – zapytałam. – Czy też raczej zostawić je na... na powrót?

– Zjedzmy teraz. – To jedno zdanie, wypowiedziane przez Hermana, potwierdziło moje najgorsze przypuszczenia. On także nie wierzył w możliwość ratunku.

– Nie masz żadnego nożyka, sztyletu czy czegoś w tym rodzaju?

Po chwili poczułam, jak podaje mi chłodny metalowy przedmiot. Trudno kroić owoc w ciemności, ale poszło mi to dość sprawnie. Może dzięki temu, że sztylet Hermana był bardzo ostry? Jedną połówkę jabłka podałam memu towarzyszowi, a drugą sama z lubością skosztowałam. Owoc nie był najsmaczniejszy – kwaśny, cierpki – ale przynajmniej dostarczyłam żołądkowi odrobiny pokarmu.

Jednostajny szum deszczu ukołysał mnie do snu. Przytulona do piersi Hermana, zapomniałam o całym świecie i wszystkich problemach. Ranek, niestety, przyniósł kolejne, bolesne przebudzenie.

\*\*\*

Kiedy otworzyłam oczy, nadal byłam wtulona w Hermana, obejmując go za szyję. Natychmiast się od niego odsunęłam.

– Jak się spało? – Uśmiechnął się do mnie, widocznie już od dłuższego czasu nie spał.

– No cóż, nie jest to Hilton – westchnęłam, próbując ukryć zmieszanie. – O widzę, że deszcz przestał padać. – Spojrzałam w stronę wejścia do jaskini. – Jakieś pomysły na wydostanie się stąd?

– Chwilowo nie – zaprzeczył. – Głodna?

- Jak wilk – przyznałam.
- Smacznego. – Podsunął mi pod nos połówkę jabłka.
- Co to? – Moje zaskoczenie było aż nadto widoczne.
- Jabłko – wyjaśnił. – Nie pamiętasz? Dałaś mi wczoraj.
- Dałam, żebyś zjadł, a nie przechowywał dla mnie do rana. Nie jesteś lodówką.

ką.

– Podoba mi się w tobie to, że mówisz takie dziwne rzeczy. – Roześmiał się. – Większości z nich nie rozumiem, ale miło się ich słucha.

– Dlaczego nie zjadłeś?

– Może nie byłem głodny. – Wzruszył ramionami. – Jedz, Julio. Musisz mieć siły, abyśmy mogli się stąd wydostać.

– A ty?

Nie wiedziałam, jak się zachować. Herman postępował tak szlachetnie, bohatersko. Wezbrało we mnie wzruszenie połączone z wdzięcznością. Dla osoby takiej jak on można zupełnie stracić głowę. Nie dziwne, że Lavena oddała mu swoje serce.

– Nie do takich sytuacji przywykłem. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić. Wierzaj mi, że niejedną raz bez posiłku już się obywałem.

Byłam głodna, więc nie dałam się dłużej przekonywać. Z prawdziwą przyjemnością zjadłam cierpki owoc.

Herman rozejrzał się po jaskini. Niewielka ilość światła wpadająca przez wejście oświetlała zaledwie skrawek pomieszczenia, ale to Hermanowi wystarczyło. Przez chwilę uważnie przyglądał się ziemi pod ścianami, po czym pochylił się i podniósł jakiś przedmiot.

– Może szczęście nam dopisze i znajdziemy ognisty kamień.

– Ognisty kamień? – zainteresowałam się.

– To kawałek skały, który gdy potrzeć to i ogień tryska.

Coś mi to przypominało. Kamień, pocieranie, ogień...

– Już wiem! – krzyknęłam. – Krzemień!

Herman obejrzał znalezione odłamki, po czym odrzucił je daleko i kontynuował swoje poszukiwania. Nie znałam się na kamieniach, nie mogłam więc mu pomóc. Obserwowałam tylko, jak cierpliwie schyla się i z namysłem przygląda kolejnym miejscom. Jednocześnie zbierał suche gałęzie, najpewniej przez wiatr zepchnięte do jaskini. Wreszcie poszukiwania zakończyły się pełnym sukcesem. Wśród sterty skalnych okruchów Herman znalazł te, o które mu chodziło. Ułożywszy gałązki w stożek, przykucnął przy nich, a teraz uderzał jednym kamieniem o drugi, krzesząc iskry. Trochę to trwało, ale wreszcie jeden z patyczków zatlił się niewielkim płomyczkiem. Po chwili ogień wesoło buzował. Od razu poczułam się lepiej.

– Może zwiedzimy dalszą część naszego schronienia? – zaproponował Herman, urywając kawał materiału od swojej koszuli i owijając go wokół jednej z grubszych, odłożonych na bok gałęzi.

Domyśliłam się, że tworzył w ten sposób pochodnię. Jak się okazało, miałam rację. Herman przytknął prowizoryczną pochodnię do ognia, a następnie uniósł ją do góry. Posuwając się wzdłuż ściany, ruszył w głąb jaskini. Podążyłam za nim.

Nasze schronienie było większe, niż początkowo myśleliśmy i znacząco się rozszerzało. Po kilku minutach ostrożnego posuwania się po śliskich kamieniach, leżących na dnie jaskini, dotarliśmy do miejsca, gdzie ściany rozchodziły się na boki,

tworząc jakby ogromną komnatę. Na jej środku leżał dziwny, jajowaty, czerwonozłoty, promieniujący światłem ogromny kamień. Gdy stanęłam przy nim, okazało się, że jest większy ode mnie.

– Niesamowite! – Herman przykucnął i dokładnie badał znalezisko. Ostrożnie zapukał w twardą nawierzchnię.

– Co to za kamień? Może rubin? Ma taką piękną barwę.

– To nie kamień. – Pokręcił przecząco głową. – Nie spodziewałem się czegoś takiego. Toż to cud prawdziwy, chociaż... – Wyprostował się gwałtownie i rozejrzał dookoła. – Jeśli to tutaj jest, to i...

Nie zabrzmiało to zbyt dobrze. Czyżby ów tajemniczy kamień niekamień zwiastował kolejne kłopoty? No tak, tam, gdzie ja, tam i wszelkie perturbacje. A do kamieni miałam wyjątkowe szczęście.

– Co to jest? – powtórzyłam, dotykając gładkiej powłoki. Była miła w dotyku i ciepła. Ciepła?

– Jajo. – Herman schwycił mnie za ramię. – Jajo skrzydlaka. A jeśli znaleźliśmy je tutaj, to znaczy, że i matka jest w pobliżu, one nigdy nie opuszczają swoich gniazd.

Jakby na potwierdzenie jego słów z pograżonego w mroku kąta groty rozległo się przeraźliwe skrzeczenie. Dźwięk ten był tak okropny, że aż ścierpła mi skóra. W uszach poczułam ból.

Herman skierował w tamtą stronę światło pochodni i postąpił do przodu, zasłaniając mnie swym własnym ciałem. Zza jego ramienia dostrzegłam ogromną głowę z niezwykle ostro zakończonym dziobem oraz parę zielonych oczu. Ten upiorny łeb przybliżył się do nas, a za nim z mroku wyłoniła się cała, potężna sylwetka, okryta czerwonozłotymi piórami. Zauważyłam, że stwór był na swój sposób piękny i gdyby nie sytuacja, w której się znaleźliśmy, mogłabym nawet czuć wobec niego podziw.

Był tak duży, że nawet w wysokiej jaskini musiał się pochylać – kilkakrotnie przerastał nas wzrostem. Jego ciało było smukłe i gibkie. Długa, giętka szyja, pokryta krótkimi piórami, zapewniała głowie stworu zwrotność i na pewno ułatwiała znajdowanie pożywienia. Zrozumiałam, że doły skroniowe, które dostrzegłam na czaszkach martwych skrzydlaków, idealnie spełniały swoje zadanie. Przy tak wąskiej, długiej szyi czaszka stworu byłaby nieproporcjonalna i po prostu za ciężka. Dzięki dołom skroniowym znacznie traciła na wadze i doskonale współgrała z resztą ciała.

Skrzydłak z wyglądu przypominał ptaka, ale dysponował czterema, wyposażonymi w szpony łapami, pokrytymi czymś, co przypominało łuski. Tak, to musiały być łuski. Patrząc na nie uważniej, dostrzegłam, że są grube, równo przylegają do siebie i mienią się lekko złotoczerwoną barwą.

Stwór stał na dwóch tylnych łapach – masywnych, stanowiących stabilną podporę. Czteropalczaste szpony ułatwiały zachowanie równowagi, rozkładając właściwie ciężar całego ciała. Dwie przednie łapy, osadzone wyżej, zgięte w stawach łokciowych, trzymał przyciśnięte do siebie, przywodząc mi na myśl kangura. Od łokci wyrastały złożone w tej chwili skrzydła, które końcówkami piór dotykały ziemi, ładnie układając się po bokach. Mój podziw, ale i przerażenie budziła trójkątna, długa szczeka, przypominająca dziób i wyposażona w dwa rzędy płaskich, dużych zębów. Pamiętałam tę szczekę, gdyż dane mi było ją podziwiać na zamku księcia Ekharda. Nawet wtedy, chociaż należała do martwego stworu, napawała mnie lękiem.



– Skrzydlak? – zapytałam drżącym głosem.

Śmierć ostatnio bardzo mnie sobie upodobała i nie odstępowała ani na chwilę. Stwór przysunął łeb bliżej, teraz dzieliły go od nas zaledwie centymetry. Miałam wrażenie, że czuję jego gorący oddech. Zielone ślepia zdawały się patrzeć na mnie z napięciem, wyczekując odpowiedniej chwili do ataku. Byłam pewna, że atak ten nastąpi niebawem.

Stwór ponownie zaskrzeczał, ale już w innej tonacji, po czym rozpostarł skrzydła, zajmując nimi większość pomieszczenia. Uniósł jedną z przednich łap, kierując ją w naszą stronę. Krzyknęłam, podejrzewając, co teraz będzie. Jednak cios nie nastąpił. Za to skrzydlak bardzo ostrożnie, wręcz w sposób nieprawdopodobny dla tak wielkiego, zdawałoby się, niezgrabnego stworzenia, jednym ze szponów swojej łapy dotknął blizny na twarzy Hermana. Mój towarzysz nawet nie drgnął, zachowując całkowity spokój. Skrzydlak przechylił łeb, tak jakby chciał lepiej przyjrzeć się Hermanowi. Znowu zaskrzeczał, a skrzek ten przeszedł w cichy, spokojny gwizd.

I nagle stało się coś przedziwnego i tak niesamowitego, że miałam wrażenie, że śnię. Skrzydlak jeszcze bardziej przechylił potężną głowę, dotykając końcem dzioba podłóża, sprawiając wrażenie, że się nam kłania, a Herman uniósł wolną prawą dłoń i położył ją na szyi stwora. Wyglądało to tak, jakby głaskał tę krwiożerczą bestię.

– Poznała mnie! – Odwrócił się w moją stronę, a wyraz radości na jego twarzy ograniczył wprost z ekscytacją. – Ona mnie poznała. To Gudrun, Julio. To Gudrun!

## XXII. GUDRUN

Gudrun. To imię nic mi nie mówiło, ale najwyraźniej Herman znał stwora bardzo dobrze. Świadczyła o tym jego radość. Z wyraźną czułością gładził skrzydlaka po piórach na szyi, a ten ogromny zwierz z ufnością pozwalał na pieszczoty.

Stałam nadal z tyłu, bojąc się podejść bliżej. Jakoś bezpieczniej się czułam, pozostając za plecami Hermana. Obserwowałam tę niezwykłą scenę, zastanawiając się, w jaki sposób tych dwoje mogło się wcześniej spotkać. Może podczas poprzednich łowów? Najwyraźniej skrzydlak rozpoznał Hermana po bliźnie na policzku – czy to miało z tym coś wspólnego? Chociaż głowę rozsadzała mi setka pytań, dobrze jednak wiedziałam, że na odpowiedzi będę musiała spokojnie poczekać, a być może nawet nigdy ich nie uzyskam. Cóż, do tego mogłam już przywyknąć przez te kilka dni pobytu w Buri.

Wreszcie Herman skończył czułe powitanie z Gudrun i przypomniał sobie o mnie.

– Julio, chciałbym ci przedstawić moją starą przyjaciółkę.

Uśmiechnął się i wskazał na skrzydlaka, który, patrząc na mnie, zatrzepotał skrzydłami. Wywołało to efekt niemal wichury.

– Nie bój się, Gudrun – Herman ponownie zwrócił się do stwora. – Nie masz powodów do obaw. Julia przybyła tu ze mną i daję ci moje słowo, że z jej strony nic ci nie grozi. Ona jest dobra.

O dziwo, niezwykły ptak uspokoił się i złożył skrzydła. Przekrzywiając łeb, patrzył na mnie swymi zielonymi, ogromnymi oczyma.

– Podejdz, Julio. – Herman wyciągnął do mnie rękę. Z pewnym wahaniem podałam mu swoją dłoń. – Tylko bez gwałtownych ruchów – przestrzegł mnie.

Podeszłam bliżej, zrównując się z moim towarzyszem. Gudrun przybliżyła łeb do mnie. Jej ostry dziób dotknął mojego policzka.

– Spokojnie. – Szept Hermana działał kojąco. – Ona tylko cię zapamiętuje. Skrzydlaki mają bardzo dobrą pamięć. A teraz pogłaszcz ją po szyi – polecił, gdy dziób ptaka odsunął się ode mnie. – Pokaż jej, że nie masz złych zamiarów.

Z pewnym wahaniem dotknęłam dłonią błyszczących piór. W dotyku były miękkie i miłe jak aksamit. Zaskoczyło mnie to.

– One naprawdę nie są straszne. To bardzo pocziwe stworzenia, które żywią się głównie zieleniną i rybami. Widziałaś na uczcie ich zęby? Tylko roślinożercy mają takowe.

– Dlaczego więc na nie polujecie?

Coraz śmielej gładziłam pióra skrzydlaka, a zwierz wyglądał na zadowolonego, nawet przymknął powieki.

– Ludzie nie są nieomylnymi istotami. Ktoś kiedyś wmówił komuś, że skrzydlaki są współodpowiedzialne za zło, jakie spotkało Burię. Złość i pragnienie zemsty to źli doradcy, przez to wiele tych pocziwych stworzeń straciło życie.

– Może powinieneś wytłumaczyć Ekhardowi, jak mają się sprawy?

– Myślisz, że by mnie posłuchał? A kim ja jestem? Jeno zwykłym rycerzem,

który nawet nie stoi zbyt wysoko w dworskiej hierarchii. Moje słowo przeciwko słowu znamienitych osobistości nic nie znaczy. Łowy to dla Buriańczyków świętość, której się nie wyrzekną, chociaż okrucieństwem jest dopadać skrzydlaki, kiedy te są całkiem bezbronne, gdyż pilnują swoich jaj. Można je wtedy wyrznąć w pień, zabijając zarówno matki, które z rozpaczą patrzą na rozbijane jaja, jak i młode, które nawet nie zdążyły się wykluć. Na szczęście skrzydlaki mają rozum i wiedzą, do czego ludzie są zdolni. Przez te wszystkie lata łowów poznały nasze zwyczaje i szukają dla siebie coraz to nowych, coraz trudniej dostępnych kryjówek w Lesie Potępionych. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że mogą schronić się tutaj.

– A kiedy wykluje się jajo?

– Sądząc po ciepłocie, lada dzień.

Gudrun, zdając się rozumieć sens naszej rozmowy, poczłapała do jaja i rozłożywszy skrzydła, objęła je nimi.

– Widzisz, ile ma w sobie uczucia? – Herman wznosił pochodnię wyżej. – To prawdziwa matka.

– Skąd ją znasz?

– Poprzednie łowy były moimi pierwszymi. Wtedy ją poznał.

To raczej nic mi nie wyjaśniało, ale właśnie takiej odpowiedzi mogłam się spodziewać. Mieszkańcy Burii bardzo niechętnie mówili o swojej przeszłości, tak jakby wszystko było ściśle tajne.

– Fajnie – mruknęłam sama do siebie. – Ale to chyba w niczym nie zmienia naszego położenia, prawda?

– Wręcz przeciwnie. – Herman był zdecydowanie zbyt radosny i pewny siebie. O, gdyby ten jego nastrój mógł udzielić się i mnie. – Gudrun nam pomoże.

– Ciekawe jak? Pożre nas?

– Masz bardzo specyficzne poczucie humoru. Zaraz zobaczysz.

Mój towarzysz podał mi pochodnię, po czym ponownie podszedł do skrzydlaka i pogłaskał go po skrzydle.

– Gudrun, potrzebujemy twojej pomocy. Jesteśmy tu uwięzieni.

Ptaka zaskrzeczał, tak jakby potwierdzał, że zrozumiał.

– Potrzebujemy gałęzi na opał i czegoś do jedzenia. Nie przetrwamy, jeśli ty nam nie pomożesz.

– Myślisz, że cię posłucha?

Naprawdę chciałam w to wierzyć. Zdałam sobie sprawę, że ten olbrzymi stwór stał się naszą jedyną szansą ratunku.

– Możesz być pewna, Gudrun, że gdy ty udasz się po zapasy dla nas, my troskliwie zajmiemy się twoim jajem i je ochronimy przed wszystkimi niebezpieczeństwami.

Nie odpowiedział na moje pytanie, zajęty przemawianiem do skrzydlaka, który zaskrzeczał ponownie i ściślej otulił jajo skrzydłami.

– Gudrun, nie skrzywdziłbym twojego dziecka. Przecież pamiętasz nasze poprzednie spotkanie. To ty naznaczyłaś moją twarz. Wiesz, kim jestem i masz pewność, że możesz mi ufać.

To było zaskakujące, ale stwór z pewnym wahaniem rozsunał skrzydła i złożył je po bokach. Przekrzywiwał łeb w prawo i lewo, aby lepiej przypatrzeć się Hermanowi. W końcu pochylił głowę i, o dziwo, ruszył w stronę wyjścia. Pospiesznie usunę-

łam się w bok, aby mnie nie staranował. Pod jego krokami drżała ziemia – musiał być potwornie ciężki. Po chwili zobaczyłam, że skrzydlak opuszcza grotę.

– Ona cię... posłuchała. – Ciągle nie mogłam w to uwierzyć. – Tak jakby rozumiała, co mówisz.

– Bo rozumiała. Skrzydlaki są bardzo pojętne i rozumieją ludzką mowę. Przez wiele stuleci żyły w zgodzie z ludźmi.

– Co więc się stało, że uległo to zmianie?

– Już ci mówiłem. To złość, gniew i żądza zemsty... W moim sercu żyje jednak nadzieja, że kiedyś się to zmieni. Skrzydlaki nie skrzywdziłyby nikogo... Są tak łagodne i wierne. Gudrun... Widzisz, Julio, samice skrzydlaków, gdy składają jaja, są całkiem bezbronne. Przez cały czas, dopóki młode się nie wyklują, nie opuszczają gniazda, chyba że na chwilę, w poszukiwaniu pokarmu. W przypadku niebezpieczeństwa nie stają do walki, ale na siebie ściągają cały atak, tak aby przede wszystkim osłonić jajo. Troszczą się o swoje potomstwo lepiej niż ludzie. To, że Gudrun teraz wyszła, świadczy o tym, jak bardzo nam ufa. Nam – ludziom, którzy bezlitośnie zabijają jej współtowarzyszy. Ludziom, którzy bez mrugnięcia powieką rozbijają niewyklute jaja. Rozumiesz, Julio? Ona obdarzyła nas prawdziwym zaufaniem. Poszła po to, aby nas ratować. Zawierzyła nam. Bezgranicznie i do końca. Zostawiła z nami swój największy skarb.

– To tylko jajo...

Pochodnia przygasła i znowu spowiła nas ciemność, jedynie od jaja emanowała delikatna złota poświata.

– To nie tylko jajo. To cała jej przyszłość. Skrzydlaki tylko raz w życiu składają jajo. Jedno jedyne jajo. Jeśli ludzie je zniszczą, nie będą mieć więcej. Rozumiesz?

– No przecież nie rozbijemy tego jaja. Nie rozumiem, o co to całe halo.

– Julio, ona zostawiła nam to, co najcenniejsze, a nie musiała. Mogła pozwolić, abyśmy umarli z głodu i chłodu. Mogła po prostu nas zlekceważyć. Mogła przedłożyć życie swego potomstwa nad nasze. Nie zrobiła tego jednak. Czy nadal nie pojmujesz potęgi jej poświęcenia?

– Rozumiem. I myślisz, że ona wróci z jedzeniem?

– Myślę, że nie da nam zginąć.

– Powiedziałeś, że to ona cię naznaczyła. Co miałeś na myśli? – Nie mogłam powstrzymać ciekawości.

– To nie jest historia, z której byłbym dumny. Naprawdę chcesz jej wysłuchać?

Staliśmy w ciemności przy lekko jarzącym się jaju i nie widzieliśmy dobrze swoich twarzy. To chyba pomogło Hermanowi podjąć decyzję, dotyczącą zdradzenia mi tajemnicy ze swojej przeszłości.

– Tak, bardzo chciałabym ją poznać – przyznałam.

Cofnęłam się po omacku pod ścianę i usiadłam na ziemi, opierając plecy o zimną skałę. Herman nie ruszył się z miejsca i czule gładził skorupę jaja.

– To zdarzyło się podczas ubiegłych łowów, które były dla mnie pierwszymi. Jako dziecko nasłuchiwałem się wielu opowieści o skrzydlakach i ich paskudnym charakterze, nic więc dziwnego, że marzyłem o tym, aby dopaść te niewdzięczne, zdradliwe stwory i rozplatać ich serca, tym bardziej że mój ojciec stracił życie podczas jednego z polowań. Ogarnięty żądzą zemsty, wręcz nie mogłem doczekać się chwili, gdy i mnie będzie dozwolone wziąć udział w łowach. I wreszcie nastał ten dzień...

Gdyśmy wyruszyli, byłem bardzo uradowany i z napięciem wypatrywałem śladów skrzydlaków. Nigdy wcześniej nie widział żadnego na żywo, jedynie ich nagie czaszki, które pokazywano na uczcie. Nasza gromada, pod przywództwem księcia Ekharda, zagłębiła się w las. Szukaliśmy gniazd, ale nie było to wcale takie łatwe. Na terenach, gdzie zwykle występują, nie zdybaliśmy żadnego skrzydlaka. Rozdzieliliśmy się na mniejsze grupki, aby zwiększyć obszar poszukiwań. Zostałem przydzielony do doświadczonego rycerza, Mortena, i we dwóch wyruszyliśmy. To ja pierwszy spostrzegłem jajo ukryte wśród drzew. W pierwszej chwili myślałem, że to głaz jaki przecudnej urody i chciałem do niego podjechać, ale Morten mnie powstrzymał. Wyjaśnił, że to jajo skrzydlaka i że matka jest tuż obok, bo one gniazd, dopóki młode się nie wyklują, nie opuszczają. Morten dobył miecza, a ja poszedłem w jego ślady. Siedzieliśmy na koniach, schowani za kępą drzew, wypatrując ukrytego dorosłego osobnika. Nie musielim długo czekać. Zza pobliskich skał wysunęła się matka, widocznie zaniepokojona naszym zapachem. Wyczuła niebezpieczeństwo i podszedłszy do jaja, otuliła je skrzydłami. Wtedy Morten dał znak, abyśmy natarli. Rzuciliśmy się na skrzydlaka, wydając dzikie okrzyki i celując mieczami prosto w jego szyję. Jakbyś nie wiedziała, to szyja jest ich najsłabszym punktem. Stwór mógł się bronić, ale nade wszystko przedkładał ochronę jaja. Nie chciał go odsłonić, ciągle otulając skrzydłami. Celował w nas tylko dziobem, ale miał ograniczone pole manewru, a my dzięki długim ćwiczeniom, jakie przechodzą wszyscy rycerze, zgrabnie unikaliśmy razów. Dość szybko zadaliśmy mu kilka ciosów. Krew spływała po jego piórach, a przeraźliwy skowyt wydobywał się z gardła. To było tak żałosne zawrodożenie, że ogarnęła mnie litość i cała moja chęć wzięcia odwetu za śmierć ojca gdzieś minęła. Przecie ten stwór nie był niczemu winien. Zamiast groźnego potwora, o którym tyle się nasłuchałem, zobaczyłem przed sobą matkę broniącą potomstwa. Opuściłem miecz. Nie mogłem dłużej atakować, nie chciałem być zabójcą bez serca. To nie było polowanie, to był mord. Zobaczyłem, jak Morten ponownie unosi miecz i zanurza go w ciele stworza. Jak szyja skrzydlaka gnie się we wszystkie strony, jak on, ona właściwie, omdlewa od upływu krwi, jak opuszcza dziób, nie mając już sił zadawać kolejnych ciosów. I wtedy spojrzała na mnie tymi swoimi zielonymi ślepiami. Coś we mnie pękło. Poczulem cały ból tego stworzenia. Krzyknąłem i zajeżdżając Mortenowi drogę, spróbowałem go powstrzymać. Zacząłem go błagać o zaprzestanie ataku, tłumacząc, aby przejrzał na oczy, aby zobaczył, że ten stwór to tylko matka chroniąca swoje młode. Ale on nie zważał na moje prośby. Wyminął mnie i z jeszcze większym zapalem atakował cierpiące stworzenie, wykrzykując do mnie przy tym, że jestem najgorszym tchórzem, niegodnym stawać w szeregu rycerskim i że dobrze się stało, że mój ojciec nie doczekał tej chwili i nie musi oglądać, jakiemu nieudacznikowi dał życie. Przeklinał mnie przy każdym kolejnym ciosie, a ja nie wiedziałem, co robić, ale zdawałem sobie sprawę, że muszę powstrzymać go przed dokonaniem mordu. Bo to był mord, mord na bezbronnym stworzeniu, które starało się za wszelką cenę osłonić to, co mu było najdroższe – swoje dziecię. Uniosłem miecz... To, co uczyniłem, było rzeczą straszną, okropną, której żałuję i będę żałował do końca moich dni.

Wstrzymałam oddech, przerażona historią opowiadaną przez Hermana. Jakoś nie mogłam wyobrazić go sobie jako bezlitosnego zabójcę.

– Morten nie spodziewał się ataku z mojej strony. Pochłonięty zadawaniem ran skrzydlakowi, przestał zwracać na mnie jakąkolwiek uwagę. Gdy skrzyżowałam swój

miecz z jego, powstrzymując przed zadaniem kolejnego ciosu, rzucił się na mnie z wściekłością. Walczyliśmy zaciekle, zdając sobie sprawę, że to pojedynek na śmierć i życie, i że tylko jeden z nas może wyjść z tej potyczki żywy. Morten, jako bardziej doświadczony, miał nade mną przewagę, lecz jego pycha i pewność zwycięstwa przywiodły go do zguby. Natarł na mnie, ale ja się uchyliłem i śmiertelny, jak mniemał Morten, cios chybił. Gdy nasze konie się mijały, ciałem z całej siły.

Z napięcia przygryzłam wargi. Niemalże widziałam całą opisywaną przez Hermana scenę.

– Poczulem, jak ostrze zagłębia się w ciało mego druha. Jego pełen bólu krzyk wystraszył ptaki ukryte w konarach drzew – niczym czarna chmura wzbity się do góry. Spojrzałem na ostrze miecza. Krew spływała po nim wprost na rękojeść i moją dłoń. Zawróciłem konia. Zobaczyłem Mortena osuwającego się na ziemię. Już nie krzyczał, nie jęczał... Zabiłem go... Zabiłem, choć wspólnie ucztowaliśmy, choć razem piliśmy z Kielicha Przeznaczenia. Zachowałem się jak zdrajca... Rycerze nie okazują swych uczuć, ale w tamtej chwili łzy płynęły mi ciurkiem po policzkach. Zeskoczyłem z konia i odrzuciwszy zakrwawiony miecz daleko od siebie, upadłem na kolana, obok ciała Mortena. W owej chwili byłem małym, bezbronnym robakiem, którego skrzydlak mógłby rozdeptać jedną łapą, wręcz modliłem się o taki los. Zasłużyłem na śmierć i byłem ją gotów przyjąć ze spokojem. On jednak tego nie uczynił. Rozsunął skrzydła, ukazując mi swój największy skarb i zaskrzeczawszy rozpaczliwie, ruchem wielkiego łba wskazał na jajo, dając znak, abym się zbliżył.

Na moment przerwał opowieść i czule pogładził jarzące się jajo. Zapatrzył się w nie, zapewne w myślach wracając do wydarzeń sprzed lat.

– Podniosłem się z klęczek i bacznie obserwowany przez słabnącego stwora, podszedłem na chwiejnych nogach. Ostrożnie dotknąłem ręką cieplej skorupy jaja. Pod palcami poczułem delikatne pulsowanie, a po chwili na powierzchni pojawiły się drobne rysy. Ranny skrzydlak czule przyłożył łeb do jaja, ocierając się o nie. Miałem wrażenie, że w jego oczach dostrzegłem łzy. Ten stwór naprawdę płakał, a krwawe krople skapywały na jajo, którego z takim oddaniem bronił.

Herman odwrócił się w moją stronę, a chociaż w panującym półmroku nie mógł widzieć mojej twarzy, miałam wrażenie, że patrzy mi prosto w oczy.

– Nagle skorupa pękła i z wnętrza wysunęła się główka pokryta czerwonozłotym meszkiem. Usłyszałem ciche świergotanie, które brzmiało niczym żalosna, pełna tkliwości pieśń. Duży skrzydlak dotknął czubkiem dzioba główki małego, a uczynił to niezwykle delikatnie, jakby je musnął. To był prawdziwie matczyzny dotyk, przepiękny czułością. Stałem jak zamurowany, niezdolny do wykonania najmniejszego ruchu. Krew spływająca z szyi skrzydlaka, połączona z krwawymi łzami stwora, utworzyła kałużę wokół jaja. Maluch wydostał się ze skorupy i nieporadnie rozpostarł skrzydła. Matka jeszcze raz zagruchała czule, po czym miękkim ruchem osunęła się na ziemię. Jej wielki łeb, opadając na piaszczyste podłoże, wzniesił tumany pyłu. Przez chwilę nic nie widziałem, ale gdy drobinki piasku opadły, moim oczom ukazał się chwytający za serce widok. Oto pisklak wtulał się w martwe ciało matki, uderzeniami dzioba próbując ją zmusić, aby wstała. Jego żalosne piski przejmowały mnie do szpiku kości. Wreszcie skrzydlak przestał kwilić i spojrzał na mnie. Wyrzuty sumienia dręczyły mnie niczym najsrozsze tortury. Najchętniej sam zakończyłbym swoje nędzne życie. Na tej polanie zrozumiałem, jaką okrutną krzywdę wyrządzamy

istotom, które czują i rozumieją tak jak my. Spuściłem głowę, wstydząc się patrzeć na to stworzenie, które, chociaż przewyższało mnie wzrostem, przecież było maleńką, bezbronną sierotą. Skrzydlak uniósł jedną z przednich łap i pazurem dotknął mego policzka. Przejechał po nim od góry do dołu. Poczulem ból, ale zdawałem sobie sprawę, że nie uczynił tego po to, aby mnie zranić. Ludzkie ciało jest po prostu dla nich za delikatne. Dotknął mnie, gdyż chciał poznać, a mimowolnie wyrządził krzywdę. Ja wyrządziłem mu krzywdę specjalnie. I kto z nas zasługiwał na miano bardziej okrutnego? Nie wiedziałem, co zrobić, ale na szczęście małe skrzydlaki łatwo potrafią przystosować się do panujących warunków. Zostałem z nim przez kilka dni, pokazując, jak zdobywać pokarm. Skrzydlaki pożywiają się głównie roślinami i rybami, a las to dla nich prawdziwy stół biesiadny, nie miałem więc zbyt dużego problemu z zademonstrowaniem, jak wygrzebywać korzonki czy zrywać liście z konarów drzew. Zanim odszedłem, nadałem pisklakowi imię Gudrun. Wiedziałem, że jeśli jeszcze kiedykolwiek go spotkam, to rozpoznam bez trudu – skrzydlaki różnią się między sobą kolorami upierzenia i tylko osobniki z tej samej linii mają identyczne ubarwienie. Ponieważ matka Gudrun nie żyła, czerwonozłotą barwę miał tylko ten maluch, którego wyklucia byłem świadkiem. Od tej pory poniekąd czulem się odpowiedzialny za tę istotę, przysięgłem sobie, że zrobię wszystko, aby powstrzymać niepotrzebną rzeź. Gdy wróciłem na zamek, powitano mnie jak ducha, gdyż zdążono już opłakać i mnie, i Mortena. Nie mogłem powiedzieć im prawdy, ale i tak wszyscy uznali, że Morten zginął zabity przez skrzydlaka. Za bohatera mnie uznano, co to sam jeden przeżył w Lesie Potępionych. Kilka razy próbowałem przemówić do księcia, ale nie chciał słuchać moich próśb, coby zaniechać polowań. Jego serce jest zatwardziałe w bólu i nie zazna ukojenia, dopóki całkowicie nie wypłeni skrzydlaków z powierzchni ziemi.

– Dlaczego nie opowiedziałeś mi tego wcześniej? – Podniosłam się z miejsca i podeszłam do Hermana. Miałam ochotę go przytulić, ale powstrzymałam się przed tym.

Herman był najprawdziwszym bohaterem, kimś, kto zasługiwał na powszechny szacunek i uznanie. Zazdrościłam Baldurii takiego męża, jednocześnie marząc, aby i mnie trafił się ktoś podobny. Przez chwilę wyobraziłam sobie Weylina, ale szybko odegnałam tę myśl. Również Ewen nie zagrzał zbyt długo miejsca w mojej głowie. Żaden ze znanych mi Buriańczyków nie umywał się do Hermana.

– A czym miałem się chwalić? Że zabiłem druha?

No tak... uratował skrzydlaka, ale zabił Mortena. Straszna cena za życie tego stworzenia. To nie jest czyn, o którym chce się opowiadać.

– Nie miałeś innego wyjścia i uważam, że postąpiłeś słusznie. – Postanowiłam pokazać mu, że popieram to, co zrobił, ale żeby więcej o tym nie mówić, zapytałam: – Wiesz, jedno nie daje mi spokoju... Opowiedziałeś mi o Gudrun i jej matce, a co z ojcem? Gdzie samce skrzydlaków? Dlaczego nie bronią swoich samic i potomstwa?

– Skrzydlaki żyją w wysokich górach, w miejscach niedostępnych dla człowieka. Dlatego tak trudno je wytropić i zabić. Tylko na okres lęgu samice zlatują na niziny i jaja tu składają. Wtedy są łatwym celem dla łowców. Gdy młode się wyklują, samice uczą je zdobywać pożywienie, a potem razem wracają w góry, do swoich siedzib, w których czekają na nich samce.

– Czemu schodzą na niziny składać jaja, jeśli w górach są bezpieczne? Nic

z tego nie rozumiem.

– W górach pożywienie trudniej zdobywać. To tereny dzikie, surowe. Tu drzew pod dostatkiem, korzonków wszelakich, jagód i owoców. Młode muszą dobrze się odżywiać, aby sił nabrać i zmęźnieć – wyjaśnił.

Chciałam jeszcze o coś zapytać, ale usłyszałam znajome skrzeczenie, a po chwili zatrzęsa się ziemia. Gudrun wróciła.



## XXIII. CHWILA PRAWDY

Musiałam przyznać Hermanowi rację – skrzydlaki to niezwykle rozumne i uczynne stworzenia. Mogłam się o tym przekonać w ciągu najbliższych kilku dni. Na prośbę Hermana Gudrun przyniosła nam wyrwane wraz z korzeniami uschnięte drzewo, które wykorzystaliśmy na opał, oraz mnóstwo przeróżnych jadalnych bulw, korzonków i owoców. Nie znałam tych roślin, ale zaufałam mojemu towarzyszeni, który zapewnił mnie, że wszystkie są jadalne i bardzo pożywne. Niestety, nie wszystkie były smaczne, ale starałam się na to nie zwracać uwagi.

Jajo nadal nie pękło, chociaż według słów Hermana mogło to nastąpić dosłownie w każdej chwili, gdyż okres wylęgu jest bardzo krótki – od zniesienia jaja do pojawienia się pisklaka mija zaledwie kilka dni. Ponoć samica nosi jajo w sobie przez długi czas i składa je dopiero tuż przed wykluciem malucha. Porównując to z moją wiedzą dotyczącą wylęgu ptaków na Ziemi, doszłam do wniosku, że skrzydlaki różnią się w kwestii rozrodu od znanych mi gatunków pierzastych. Cóż, Buria to nie Ziemia i wszystko tu jest inaczej. No, prawie wszystko, bo jednak niektóre rzeczy są niezmiennie, jak na przykład miłość macierzyńska. Gudrun była tego najlepszym przykładem, troskliwie opiekując się jajem i opuszczając je jedynie wtedy, gdy udawała się po jedzenie.

Dzięki temu, że w Burii często leją deszcze, mieliśmy dostęp do wody, która zbierała się w skalnych zagłębieniach w pobliżu jaskini. Było jej tyle, że mogliśmy się napić i zadbać o toaletę. Z prawdziwą ulgą umyłam twarz i ręce, zmywając z siebie zaschniętą ziemię pomieszaną z krwią. Zadrapania na mojej twarzy lekko szczypały, miałam jednak nadzieję, że nie pozostaną po nich blizny. Według słów Hermana, który uważnie je obejrzał, były zaledwie powierzchowne.

Próbowałam również doprowadzić do ładu niemiłosiernie poplątane włosy. Z powodu braku grzebienia szło mi to dość opornie. Powyciągałam z nich mnóstwo patyków, igliwia i wytrzepałam sporo ziemi. Mokrymi palcami rozczesałam włosy, próbując nadać im jakąś normalną formę. Bez lustra nie mogłam zobaczyć efektów mojej pracy, ale może to i lepiej. Ponoć czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

W sumie nie było nam w tej jaskini źle, jedyny problem stanowił brak odzieży na zmianę, gdyż ta, którą mieliśmy na sobie, pobrudziła się i porozrywała, gdy spadaliśmy w przepaść. Ja byłam jeszcze w o tyle dobrej sytuacji, że spadając, mimowolnie zamotałam się w pelerynę. Ta obecnie wyglądała fatalnie, jednak dzięki temu moje odzienie ocalało. Za to spodnie i koszula Hermana, który bez wierzchniego okrycia rzucił się w przepaść, nosiły liczne, widoczne ślady spotkania z ostrymi kamieniami i gałęziami. Patrząc na stan naszej odzieży, jeszcze bardziej upewniałam się w przekonaniu, że to wręcz niemożliwe, abyśmy nie odnieśliśmy żadnych większych obrażeń, oprócz kilku zadrapań i siniaków. Nie mogłam tego zrozumieć, gdyż wedle wszelkich praw fizyki po upadku z tak dużej wysokości nie mieliśmy szans na przeżycie. A jednak żyliśmy! Co takiego się stało? Co sprawiło, że stał się cud? Wiedziałam, że Herman nie udzieli mi odpowiedzi na te pytania. Zauważyłam, że ilekroć próbowałam w rozmowie poruszyć temat naszego ocalenia, natychmiast ucinał go, tak

jakby samo wspomnienie o tym było czymś niewłaściwym. W ogóle dostrzegłam pewną zmianę w zachowaniu Hermana. Nigdy nie należał do ludzi szczególnie wylewnych, o czym mogłam się przekonać przez kilka dni mojego pobytu w Burii, jednak teraz stał się wręcz milczkiem. Najlepiej spędzałby czas albo przy jaju Gudrun, albo siedząc przy wejściu do jaskini i zamyślonym wzrokiem wpatrując się w przeciwległe zbocze urwiska. Zgadywałam, że tęsknił za dzieckiem i wspominał żonę, która do tej pory musiała pożegnać się już z życiem, ale oczywiście sam nigdy mi o tym nie powiedział, nie zdradzając się z uczuciami. Cierpiał w samotności, chociaż pewnie podzielenie się z kimś swoim ciężarem przyniosłoby mu ulgę.

Niekiedy Gudrun podchodziła do niego i zatrzymywała się tuż przy nim. To był zabawny widok – mały, kruchy człowiek i ogromna, budząca przerażenie bestia obok siebie. W takich momentach nie chciałam im przeszkadzać, wołałam trzymać się z daleka. Zresztą Gudrun, chociaż mnie tolerowała, nie żywiła do mnie jakichś szczególnie gorących uczuć. Miałam wrażenie, że traktuje mnie trochę jak intruza, który zakłóca jej uporządkowane życie, w którym nie było miejsca dla nikogo oprócz jaja i Hermana.

Ciągle nie wiedziałam, dlaczego Burianie polują na skrzydlaki. Co takiego stało się przed laty, że ksiązę Ekhard postanowił wypłenić ten gatunek z powierzchni ziemi? Herman musiał znać odpowiedź na to pytanie, ale nie kwapił się, aby mi powiedzieć. Kilkakrotnie zagadywałam go na ten temat, ale zawsze zbywał mnie półsłówkami. Nie rozumiałam tego, bo uważałam, że jeśli opowiedział mi historię swego spotkania z Gudrun, to powinien powiedzieć mi już wszystko. Nic jednak nie mogłam poradzić na jego milczenie. Musiałam cierpliwie czekać.

– Chyba nie spędzimy tu reszty naszego życia? – zapytałam, gdy kolejnego dnia naszego pobytu w jaskini Gudrun ponownie udała się po zaopatrzenie, a my pilnowaliśmy jaja.

– Na pewno nie. Gdy młode się wykluje, Gudrun wkrótce zabierze je w góry. Bez jej pomocy raczej tu nie przetrwamy.

– Właśnie, wróci w góry... A dlaczego tylko samice przylatują składać jaja na niziny? Dlaczego nie towarzyszą im samce?

– Wszak to samice opiekują się dziećmi. To one znoszą jajo. Na nizinach samce im nie są do niczego potrzebne.

– Jak to? – zdziwiłam się. – A do obrony? Jeśli ludzie polują na skrzydlaki, a skrzydlaki są inteligentnymi stworzeniami, to czemu nie myślą o swoim bezpieczeństwie? Gdyby zostały w górach, nie narażałyby się na niebezpieczeństwo. Albo gdyby przylatywali parami. Wtedy matka mogłaby wysiadywać jajo, a ojciec...

– Już ci mówiłem, Julio, że przylatują składać jaja na niziny, dlatego, że tu jest więcej pożywienia potrzebnego do wykarmienia młodych. Dorosłe skrzydlaki mogą przez dłuższy czas obejść się bez pokarmu, młode, niestety, nie. W górach, gdzie one żyją, o pożywienie naprawdę trudno. Poza tym zimno tam bardzo. Młode mogłyby się nie wylęgnąć.

– A nie mogą lecieć gdzie indziej? Gdzieś, gdzie nie będą tak prześladowane? – drażyłam temat, korzystając z okazji.

– Tu jest ich dom. Zawsze tu były. Dlaczego miałyby lecieć gdzieś indziej?

– Dobrze, dobrze, ale dlaczego w takim razie samce nie towarzyszą samicom?

– Słyszałem, że samce są rzadkością. Może to sprawia, że samice nie chcą na-

razać partnerów na niebezpieczeństwo? Nie wiem i wątpię, aby ktoś znał prawdę. Zawsze tak było, że tylko samice na niziny zlatywały.

– Przydałoby się, abyśmy i my potrafili latać – zażartowałam. – Nie widzę innej szansy na wydostanie się stąd.

– Będzie dobrze. – Bardziej obchodziło go jajo niż wytłumaczenie mi, jak też zamierza opuścić naszą półkę skalną. Czule gładził skorupę, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z wnętrza.

– Ale jak...

– Słyszysz? – przerwał mi i odsunął się od jaja. Ja jednak niczego nie słyszałam, mimo że uważnie nadstawiałam uszu. – To maluch – wyjaśnił, chociaż jajo było większe od nas, co zapowiadało, że i ossek siedzący wewnątrz będzie słusznego wzrostu.

– Co z nim? – zainteresowałam się, podchodząc bliżej.

– Wychodzi.

Na jaśniejącej niezwykle blaskiem skorupie dostrzegłam siateczkę drobnych pęknięć, które powiększały się z każdą chwilą. Wkrótce usłyszałam też stłumiony skrzek. Jeszcze moment i kawałek skorupy odpadł, z łoskotem padając na ziemię u moich stóp. Instynktownie cofnęłam się o krok.

– Spokojnie. – Herman dał mi znak ręką. – Zaraz go zobaczysz.

Wstrzymałam oddech. Kolejny kawałek skorupy osunął się na ziemię, a za chwilę w otworze ukazała się głowa pisklaka, ozdobiona ostrym dziobem.

– Jaki śliczny! – Głos Hermana przesiąknięty był uczuciem. – Taki podobny do mamy. Malutki! – Dziwnie to brzmiało, zważywszy, że pisklak przewyższał nas wzrostem.

Mały kiwał się we wszystkie strony, próbując rozpostrzeć skrzydła. Od razu gdy wygramolił się ze skorupy, chybotliwym krokiem podszedł do mnie. Byłam przerażona. Skrzeczał i skrzeczał, nieporadnie rozkładając skrzydła. Jedna z jego przednich łap powędrowała w moim kierunku. A jeśli naznaczy mnie tak jak Gudrun Hermana? Cofnęłam się kolejny krok. Na szczęście właśnie powróciła Gudrun, a widząc swe dziecko, ruszyła szybko w jego kierunku. Czerwonozłote pióra śmignęły mi przed oczami i zobaczyłam, jak wielki potwór obejmuje skrzydłami malucha. Teraz dokładnie rozumiałam, co czuł Herman, gdy po raz pierwszy miał do czynienia ze skrzydlakami.

– Widzisz, to jest prawdziwe uczucie rodzicielskie. – Nawet nie zauważyłam, kiedy Herman stanął tuż za mną. – Najprawdziwsza miłość i troska, do której tylko ludzie rezerwują sobie prawo. Czy możesz zaprzeczyć, że te stworzenia czują? Nie tylko nam, ludziom, bogowie dali serca, abyśmy z nich korzystali.

– Nie neguję tego – potwierdziłam. – Uczucia rodzicielskie są mi póki co obce, nie mam przecież swoich dzieci, ale ty na pewno dobrze to rozumiesz. W końcu dopiero co zostałeś szczęśliwym tatusiem, prawda? – Niepotrzebnie mu to przypomniałam, gdyż radość słyszalna w jego głosie momentalnie zniknęła.

– Zostałem – przyznał, ale bez entuzjazmu.

– Jakoś jednak nie widzę, abys cieszył się z tego tak jak Gudrun.

– Każdy inaczej okazuje swoje uczucia.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia z jaskini. Pobiełam za nim.

– Co z tobą jest nie tak, Hermanie? Udajesz kogoś innego, niż naprawdę jesteś,

a przecież nie powinieneś tego ukrywać. Naprawdę jesteś wspaniałym mężczyzną. Twoje podejście do skrzydlaków po prostu mnie wzruszyło. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego boisz się okazywania uczuć, chociaż tak bardzo cieszysz się, gdy inni, nawet zwierzęta, nie kryją się ze swoimi. To, że tęsknisz za bliskimi, nie jest czymś złym. Ja to rozumiem. Znalazłam się w tej krainie przez przypadek, zostawiając wszystkich, których kochałam, daleko stąd. Być może nigdy więcej ich już nie zobaczę. Nie wiem... Nie wstydzę się jednak przyznać do tego, że tęsknię za nimi, i żałuję, iż czasem nie zachowywałam się tak, jak powinnam. Gdybym mogła cofnąć czas, byłabym zupełnie inną Julią, spędzającą z babcią więcej wolnego czasu. Tęsknię za mamą, za tatą, za moimi koleżankami z liceum. Tęsknię za domem, za starym fotelem, w którym lubiłam siadać. Brakuje mi ulubionych książek i widoku za oknem mojego pokoju. Naprawdę jest mi ciężko... To nic złego przyznać się do smutku, tęsknoty. Wiem, jestem kobietą i mogę się rozczulać nad sobą, a takiemu prawdziwemu twardzielowi jak ty to nie przystoi. Ale uwierz mi, nie można ciągle skrywać uczuć. Nie można negocjować tego, co oczywiste. Ja wszystko rozumiem. Naprawdę rozumiem. Twoja żona była umierająca, gdy wyruszyliśmy na łowy. Musiałeś mieć bardzo dużo siły, aby zostawić ją i iść wypełnić swój obowiązek względem ojczyzny. Ja wiem, że musiało ci być ciężko... Bardzo ciężko... Zdawałeś sobie sprawę, że widzisz ją ostatni raz, że gdy wrócisz, ona... To przecież straszne, potworne. Płacz, Hermanie, wyrzuć to z siebie. Uwierz mi, że wtedy ci ulży. Nie musisz przede mną udawać. Ja byłabym z rozpacz, gdyby to spotkało kogoś z moich bliskich, a ty zachowujesz się tak, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło. Jakby Balduria nigdy nie istniała. Jakby nie istniało twoje dziecko.

– A jeśli oni nie istnieją?

To mnie zaskoczyło, wręcz zszokowało. Herman odwrócił się w moją stronę i nasze spojrzenia się spotkały. Jego oczy pałały dziwnym blaskiem.

– A jeśli właśnie teraz nie udaję, jeśli wreszcie jestem sobą i nie muszę przywdziewać maski?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Wpatrywałam się w niego z napięciem.

– Ponoć tak dobrze wszystko rozumiesz. – Uśmiechnął się, ale nie była to oznaka radości. Odniosłam wrażenie, że przepełnia go smutek. – Nic nie rozumiesz, Julio! Nie znasz praw rządzących Burią. To, co ci ukazaliśmy, jest ino odrobiną prawdy. Odrobiną. Cała reszta to jedno wielkie kłamstwo!

Wybiegł z jaskini, zostawiając mnie zupełnie samą. Stałam na progu. Wiedziałam, jak zatrzymuje się na skraju urwiska i niczym kamień zastyga w bezruchu. Wiatr targał mu włosy, rozwiewając we wszystkie strony. Zdawało mi się, że gwałtowniejszy podmuch zrzuci go w przepaść. Chciałam podbiec do niego i przytulić w geście współczucia. Chciałam dodać mu odwagi i zapewnić, że wspieram go myślami. Że nie jest sam. Nie zrobiłam tego jednak. Dlaczego? Sama nie wiem. Może po prostu bałam się, że mnie odtrąci.

Zrobiło się chłodno, usiadłam więc bliżej rozpalonego ogniska i sięgnęłam po jeden z korzonków. Gryzłam ten wątpliwej jakości posiłek, wsłuchując się w odgłosy dobiegające z głębi pomieszczenia. Świergotliwe zawodzenie Gudrun górowało nad cieńszym, bardzo piskliwym głosikiem malucha.

Ściemniło się, a Herman nie wracał. Korciło mnie, aby wyjść i go zawołać, ale się powstrzymałam. Postanowiłam, że nie będę ingerować w jego życie. Niech robi,

co chce i zachowuje się, jak chce. Może w ten sposób jest mu łatwiej? Każdy ma własny patent na radzenie sobie ze smutkiem, żalobą. Jedni płaczą całymi dniami i zamykają się w domach, topiąc smutki w alkoholu lub podjadając słodczyce, inni rzucają się w wir życia towarzyskiego, a jeszcze inni próbują udawać, że nic się nie stało. Herman musiał należeć do tej ostatniej grupy.

Gdy zasypiałam, skulona przy ognisku, nadal go nie było, jednak kiedy obudziłam się rankiem, Herman leżał tuż obok, lewą ręką obejmując mnie w pół. Ostrożnie obróciłam się na plecy i spojrzałam na mojego towarzysza. Przy okazji odkryłam, że Herman otulił mnie peleryną, abym nie zmarzła. Rozbroiła mnie jego troska i puściłam w niepamięć wczorajszą drobną sprzeczkę.

Herman otworzył oczy i popatrzył na mnie z uwagą. Wiele bym dała, aby dowiedzieć się, o czym w tej chwili myślał.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się.

– Witaj.

Pospiesznie zabrał rękę z mojego ramienia, tak jakby się zawstydził. Przeciągnęłam się, rozprostowując ściernięte kości. Spanie na twardej skale nie należy do zbyt przyjemnych. Postanowiłam udawać, że nasza wczorajsza rozmowa nie miała miejsca, ale to Herman zaczął pierwszy.

– Wybacz, że nie odpowiadam na wszelkie twoje pytania i unikam niektórych tematów. Jam nie nawykł, aby o niektórych sprawach rozmawiać. Jesteś tak inna od wszystkich znanych mi kobiet... Przyznaję, że w pierw wzięłam cię za wiedźmę jako wąż, ale gdy zobaczyłem, jak dobro niesiesz, jak życie Baldurii i dziecku ratujesz, zrozumiałem, iż nie przybyłaś tu, aby doprowadzić Burię do zagłady.

– Oj dobrze, dobrze. – Machnęłam lekceważąco ręką. – Już to przerabialiśmy. Może po prostu nie wracajmy do tego. Przecież wiem, że gdy się pierwszy raz spotkaliśmy, na pewno wydawałam się wam nad wyraz dziwna. Miałam na sobie sukienkę, której długość musiała was szokować, a poza tym posiadałam przedmioty, które budziły w was lęk. Przyznam się, że sama byłam nieźle przerażona, gdy zobaczyłam taką zgraję obcych mężczyzn. Naprawdę się bałam. Mój świat jest zupełnie inny od waszego.

– Teraz to wiem i naukę z tego wyciągnąłem. Tak jak ze skrzydlakami... One zmieniły moje życie i ty też... Zawdzięczam ci tyle...

– Ja naprawdę nic nie zrobiłam. To Ewen przeprowadził operację, ja mu tylko powiedziałam, co trzeba zrobić.

– Nie o to mi chodzi, Julio... – Zawahał się na moment. – Wczoraj mówiłaś, co udaję kogoś, kim nie jestem, że boję się ukazać swoje prawdziwe uczucia. Moje życie było pozbawione uczuć. Od małego wiedziałem, że tak jak mój ojciec i dziad rycerzem będę, że nie zważając na nic, dla dobra Burii wszystko poświęcić będę musiał. Nie liczyłem ani na miłość, ani na szczęście. Tylko obowiązek i honor miały znaczenie. Alem na łowach odkrył, że obowiązek czasem stoi w sprzeczności z sumieniem. Nie mogłem zabić skrzydlaków, bo te stworzenia nic złego mi nie zrobiły. Pokazały mi, że potrafią kochać, i sam zapragnąłem miłości. Zwróciłem się ku przyrodzie, wśród zwierząt odnajdując przyjaciół. I wtedy spotkałem Lavenę. Znałem ją od dawna, ale nigdy się do siebie nie zbliżyliśmy. Ona wielka pani, a ja skromny rycerz, niegodzien byłem pierwszy do niej przemówić. Przyszła do mnie z ptaszkiem znalezionym w ogrodzie. Zająłem się nim i wykurowałem. Lavena często do mych

komnat zaglądała, aby sprawdzić, co się dzieje z jej podopiecznym. Gdy wypuściliśmy zdrowego już ptaka na wolność, mniemałem, że Lavena przestanie zaglądać do mnie, ale się mylił. Przychodziła nadal i nieraz długo rozmawialiśmy. Nie robiliśmy niczego zdrożnego i w niczym jej honorowi nie uchybiłem. Gdzieżbym zresztą mógł! To siostra mego druha i pani wielka, która księżną Kantonii zostanie. Ale ktoś księciu doniósł o naszych potajemnych schadzkach, a Ekhard, przekonany, że zbałamucić jego siostrzenicę chciałem, na ścięcie mnie skazał. Jużem myślał, że świat ten przyjdzie mi opuścić i głowę pod topór złożyć, gdy dwórka Laveny winę na się wzięła i przed Ekhardem wyznała, że to z nią się spotykałem, a Lavena tylko przyzwoitką była. Ja swój honor mam i dziewczęcia na sromotę narażać nie chciałem. Nie zaprzeczyłem jej słowom. Ekhard wyrok uchylił i ślub nam zgotował, aby kres położyć wszelkim gadaniom. Tak mężem Baldurii zostałem.

– Wiem o tym – przyznałam. – Lavena już mi tę historię opowiedziała.

– Jeśli wiesz, to czemuś pytała, dlaczego swych uczuć nie okazuję? Jak mam je okazywać? Jam miłości do Baldurii nigdy nie czuła, ino wdzięczność za uratowanie życia. Pomogła mi, sama na wstyd się narażając, więc i mnie przystało to samo dla niej uczynić. Ślubowałem jej i ślubów tych dotrzymałem. Ale serce nie słucha rozumu. Do miłości nikogo nie można zmusić, ale i bez miłości nie można żyć, nie można się jej całkowicie wyrzec.

– Ja naprawdę cię rozumiem. Kochasz nadal Lavenę, a ona innemu sądzona. To musi być straszne...

Och, jakże żałowałam w tej chwili, że to nie we mnie Herman się zakochał. To było głupie, bo przecież znalazłam się w tej krainie dopiero kilka dni temu, a poza tym... Opanuj się, Julio! Długo tu miejsca nie zagrzejesz! Musisz wracać do siebie!

– Nie powinienem tego mówić. – Podniósł się pospiesznie z ziemi i nie patrząc na mnie, udał się w głąb jaskini.

Zostałam sama, ale było mi to nawet na rękę. Czy ja zawsze muszę pakować się w kłopoty? No nie! Znałam Hermana od kilku dni, los sprawił, że od czterech byłam skazana tylko na jego towarzystwo, i co? I już zaczynałam się w nim zakochiwać. To nedorzecznosc! Ja, dziewczyna z dwudziestego pierwszego wieku, zaczynałam marzyć potajemnie o średniowiecznym rycerzu, wdowcu z malutkim dzieckiem, bez pamięci zakochanym w dziewczynie, która mi pomagała od chwili, gdy się tu zjawiłam. No po prostu pięknie! Już Ewen byłby lepszym kandydatem do zakochania. No i Weylin.

No tak... Weylin był moim wybawcą w srebrnej zbroi, który znalazł mnie na piaszczystym trakcie i zabrał do zamku swego wujka. Dzięki niemu miałam szansę przetrwać w Burii. Jednak tak się złożyło, że to nie on uczył mnie jazdy konnej, nie on ocalił skrzydlaka, nie on rzucił mi się na ratunek. To Herman był teraz ze mną i to na samą myśl o nim zaczynały mi dziwnie mięknąć kolana.

Wstałam i ruszyłam za nim. Znalazłam go razem z Gudrun i maluchem, który pod okiem matki dzielnie ćwiczył uderzenia dziobem w skałę. Na mój widok Gudrun zaskrzeczała, a pisklak radośnie zamachał skrzydłami. Przynajmniej on się cieszył, gdy mnie zobaczył.

– Hermanie... – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Dajmy temu pokój – zaproponował. – Tak będzie lepiej dla wszystkich.

– Chciałabym ci pomóc. – Oj, jak trudno było mi powiedzieć coś takiego,

zwłaszcza że zamiast Laveny to siebie widziałam u jego boku. – Musi być jakiś sposób, abys był ze swoją ukochaną... Miłość to wspaniała rzecz i nic nie może stanąć jej na drodze. O miłość trzeba walczyć. Nawet gdy sytuacja wydaje się zupełnie beznadziejna. Jak mógłbyś później żyć, wiedząc, że nie spróbowałeś? Że może zmarnowałeś jedyną okazję na szczęście?

Każde słowo kosztowało mnie sporo wysiłku, ale winna byłam Hermanowi i Lavenie pomoc. Moje odczucia nie miały tu nic do gadania. Pojawiłam się, mam nadzieję, że wkrótce odejdę, a oni mogą sobie być szczęśliwi, otoczeni gromadką dzieci i... Tylko czemu to było takie trudne?

– Tak? – To wystąpienie chyba go zaskoczyło.

– Tak – potwierdziłam z przekonaniem.

Nawet się nie zorientowałam, kiedy znalazł się przy mnie i przyciągnąwszy do siebie ramieniem, mocno przytulił. Był teraz tak blisko, zbyt blisko... Mimowolnie zadrżałam. Jego usta zbliżyły się do moich warg, dzieliły je dosłownie milimetry. Czekałam na pocałunek... Niestety, nie nastąpił. Herman trzymał mnie w objęciach, a jego przyspieszony oddech świadczył o tym, jak bardzo jest zdenerwowany. Chciałam zawołać: „No, zrób to wreszcie! Pocałuj mnie!” – ale nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Na co ja liczyłam?

– To ani czas, ani miejsce na to. – Puścił mnie gwałtownie i się odsunął. – Jak los dozwoli, może kiedyś...

– Ty cholerny głupcze!

Teraz to ja uciekłam z jaskini. Po prostu nie mogłam tam zostać. Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza, z dala od Hermana. Dobiegłam do skraju urwiska i zatrzymałam się nad nim.

Wreszcie nabrałam całkowitej pewności, że Herman nie był mi obojętny. Kiedy myślałam, że mnie pocałuje, czekałam na to całą sobą. Jak spragniony wędrowiec wyglądający wody na pustyni. Wbrew rozumowi, wbrew logice, zakochałam się w mężczyźnie, który nie był wolny. Co za bezsensowna złośliwość! Że też właśnie on! I co z tego, że mnie przytulił, że najwyraźniej przez chwilę chciał pocałować? To tylko dlatego, że byliśmy tu uwięzieni, a on tęsknił, cierpiał... Opamiętał się, bo to nie o mnie marzył. Ten cholerny honorowy rycerzyk pomagał mi, narażał się i ryzykował własne życie nie dlatego, że czuł coś do mnie, ale dlatego, że takie złożył śluby. Chciałam krzyczeć, wyc, dopaść do niego i uderzyć. Chciałam, aby poczuł ból, jaki ja czułam w tej chwili. Nie zrobiłam tego jednak, tylko najzwyczajniej w świecie rozplakałam się z bezsilności.

## XXIV. TAJEMNICE BURII

„Jestem głupia. Tak, tak, zupełna ze mnie idiotka” – te dwa zdania powtarzałam sobie ostatnio bardzo często. Musiałam je powtarzać, aby nie zwariować. Zakochałam się w mężczyźnie z innej epoki, ba, z innego świata, w dodatku w mężczyźnie, który dopiero co został wdowcem i sam będzie musiał sprawować opiekę nad malutkim dzieckiem. Jak by tego było mało, mężczyzna ten był rycerzem, który oddał swe serce innej kobiecie.

A dopiero co miałam wrażenie, że zakochiwałam się w Weylinie. Jakież to teraz wydawało się mi odległe... Weylin był moim wybawcą, ale nie czułam do niego tego, co do Hermana. To dopiero był paradoks! Wtedy, gdy po raz pierwszy spotkałam Weylina i jego kompanię, nawet przez myśl mi nie przeszło, że ten gburowaty mężczyzna z blizną na policzku, który radził, aby zostawić mnie samopas na trakcie, wzbudzi we mnie tak mocne uczucia. To Weylin początkowo jawił mi się jako prawdziwy książe z bajki. Wyczuwałam między nami pewną więź. Właściwie nadal ją czułam, ale to, co czułam do Hermana, było sto razy silniejsze.

A Ewen? Nie wiem dlaczego, ale wspomniałam również pomocnika medyka. W nim mogłabym się zakochać. O tak. Był miły, uroczy, wykształcony (oczywiście odpowiednio do czasów, w jakich żył), jako pierwszy zechciał zdradzić mi niektóre sekrety Burii. Czułam, że mogę na nim polegać, że nigdy mnie nie zawiedzie. To był dobry materiał na ewentualnego ukochanego. Oczywiście jednak ja, jak zwykle, musiałam wszystko skomplikować. Ta nocna nauka jazdy konnej z Hermanem, ta wspólna wyprawa na łowy... No i skrzydlaki. Jakże mogłam nie ulec jego urokowi?

Zakochałam się. Naprawdę się zakochałam. O matko, i na co mi to wszystko? Przecież nie mogłam spędzić reszty życia w Burii, usychając z żalu i tęsknoty. To nie było miejsce dla mnie! Gdzieś daleko, bardzo daleko stąd, czekała na mnie babcia, mama... Moje zwykłe, uporządkowane życie, zegary, terminarze... Ale czy naprawdę chciałam tam wracać?

Musiałam zadać sobie to pytanie. Tak, chciałam, ale jednocześnie... nie chciałam. Tam się urodziłam i przeżyłam ponad dziewiętnaście lat, jednak tu... tu był Herman. Miałabym go tak zostawić? Zrezygnować dla ponumerowanych kartek w kalendarzu? Co mi dawała rachuba czasu? Czy licząc dni, byłam szczęśliwsza? Noc to noc, dzień to dzień. Po co mam wiedzieć, który to dzień i ile przeżyłam już lat? Ponoć szczęśliwi czasu nie liczą, a ja zaczynałam sobie wyobrażać szczęście z Hermanem. Gdyby tylko on poczuł do mnie to samo, co ja do niego...

Jednak od naszej ostatniej rozmowy Herman, zażenowany swoim wyznaniem, najzwyczajniej w świecie mnie unikał. Było to o tyle trudne, że dzieliliśmy razem niewielką przestrzeń życiową na półce skalnej i w jaskini, nie mieliśmy więc szans, aby się od siebie odseparować. Herman jednak robił wszystko, aby jak najrzadziej przebywać w moim towarzystwie. Większość czasu spędzał z Gudrun i jej maluchem, dopingując go do dalszej nauki. Młody skrzydlak szybko przyswoił sobie podstawowe umiejętności – potrafił już zadawać kontrolowane ciosy dziobem i rozłupywać większe okruchy skalne na pół, wykopać korzonki, które Gudrun i Herman ukry-



wali pod kamieniami leżącymi na dnie jaskini. Teraz Gudrun przygotowywała go do ostatniej, najważniejszej lekcji – lekcji latania. Na razie ćwiczyli prostowanie i składanie skrzydeł, ale obserwując ich z mojego ulubionego miejsca, czyli wzniesienia skalnego powyżej niecki, w której zbierała się woda deszczowa, widziałam, że czas ostatecznej próby nadejdzie wkrótce. I rzeczywiście nadszedł.

Tego dnia, gdy jak zwykle po skromnym śniadaniu, składającym się z kilku bulw nieznanej mi rośliny, udałam się do mojej samotni, zauważyłam, że Gudrun i jej dziecko stają na krawędzi przepaści. Dorosły skrzydlak rozłożył skrzydła, prezentując je w pełnej okazałości. Czerwonozłote pióra mieniły się precudnie, niczym diamenty. Gudrun zaskrzeczała i podciągając pod siebie tylne łapy, na których stała, rzucała się całym swym ciężarem do przodu, wprost w bezdenną czeluść. Krzyknęłam z wrażenia, a już za moment zobaczyłam, jak skrzydlak wznosi się do góry, majestatycznie trzepocząc skrzydłami. Zawisł tak kilka metrów nad swoim potomkiem i głośnym skrzeczeniem zachęcał małego do skoku. Młody najwyraźniej bał się uczynić ten ostatni krok. Również rozpostarł skrzydła i zatrzepotał nimi, ale nie podciągnął pod siebie łap. Stał niewzruszenie na skraju urwiska, nawołując smętnie swoją matkę.

Herman podszedł do niego. Jakżeby mógł nie podejść? Przywykłam już, że zawsze zjawia się tam, gdzie ktoś potrzebuje pomocy, i to nieważne, czy będzie to człowiek czy zwierz, czy nawet tak monstrualna istota jak skrzydlak.

Uniosłam się trochę do góry, by lepiej widzieć. Herman głąskał stwora po szyi i coś mu mówił, jednak z tej odległości nie słyszałam słów. W każdym razie musiały być bardzo przekonujące, bo maluch (dwa razy wyższy od Hermana) wreszcie zdecydował się podjąć ten ryzykowny krok. Pisał rozpaczliwie, jak małe dziecko, którym przecież mimo wszystko był, po czym podkulił pod siebie tylne łapy. Gibnął się do przodu, prosto w przepaść. Runął w dół z szeroko rozpostartymi skrzydłami.

Wstrzymałam oddech. Raz, dwa, trzy... pięć... osiem... Ciągle nie widziałam, aby mały skrzydlak wzbil się w przestworza. Matka obniżyła lot, także najwyraźniej zaniepokojona... Ufff! Czerwonozłote skrzydła zatrzepotały i zobaczyłam, jak mały skrzydlak podlatuje do matki. Herman nie ukrywał swojej radości. Jeszcze nigdy nie widziałam go tak szczęśliwym. Klaskał w dłonie i krzyczał na całe gardło:

– Tak! Tak! Tak!

Stwory zakołowały nad naszymi głowami, po czym odleciały. Ich potężne sylwetki robiły się coraz mniejsze i mniejsze. Znowu poczułam lęk. A jeśli nie wrócą? Co wtedy stanie się z nami?

Ostrożnie stawiając stopy i przytrzymując się skał, zeszałam na dół, opuszczając moją samotnię. Herman nawet nie zauważył, kiedy podeszałam do niego, gdyż nadal wypatrywał niewidocznych już skrzydlaków.

– A jeśli odleciały na dobre? – zapytałam, a on drgnął na dźwięk mojego głosu.

– Wrócą – odpowiedział, nawet się nie oglądając.

– Powiesz mi wreszcie, dlaczego polujecie na te stworzenia? Byliśmy tu z nimi przez kilka dni i wiem, że na pewno skrzydlaki nikomu nie zrobiłyby krzywdy. Może są trochę nieufne, ale to zrozumiałe, zważywszy, że wszyscy chcą je zabić.

– O tym nikt nie rozmawia. – Wreszcie przestał obserwować niebo i spojrzał na mnie. Ten błysk w jego oku... Znowu poczułam, jak kolana robią mi się miękkie niczym z gumy.

– Dlaczego? Czy to ma związek z Mateo? O co w tym wszystkim chodzi? Już

wiem, że Mateo pojawił się tu po swojej śmierci i ponoć przyniósł ze sobą wiele złego. Co takiego zrobiły skrzydlaki? Były na jego usługach?

– Chodź. – Wyciągnął do mnie rękę. – Może i lepiej będzie, jeśli ci wszystko opowiem.

No nareszcie! Z trudem powstrzymałam uśmiech radości, podając mu dłoń. Gdy mnie dotknął, poczułam zawrót głowy. Oj, niedobrze ze mną, źle bardzo. To wspólne odosobnienie wcale mi się nie przysłuży. Czemu Herman był taki dobry, taki inny niż wszyscy znani mi mężczyźni? Czemu odkryłam w nim coś, co mnie tak do niego ciągnęło?

A Herman, nie zdając sobie nawet sprawy, jak bardzo na mnie działał, poprowadził mnie do tłącego się w jaskini ogniska. Sięgnął po kilka gałązek i dorzucił je do ognia. Snop iskier wzbił się do góry. Usiedliśmy koło siebie, tak blisko, że stykaliśmy się ramionami. Herman nadal trzymał mnie za rękę, ale nie patrzył w moją stronę. Wzrok utkwiał w płomieniach.

– To dawne dzieje, jeszcze zanim ja na świecie się pojawiłem. Kiedyś Buria była ponoć pełną szczęścia krainą. – Umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, co powiedzieć, jakich słów użyć.

– I wtedy przybył Mateo, tak? – zapytałam. Wiem, nie powinnam go ponaglać, ale już nie mogłam się doczekać dalszego ciągu tej historii.

– Mateo pojawił się wcześniej. Wtedy jeszcze nic nie zapowiadało nieszczęść. Buria rozkwitała pod panowaniem mądrego i szlachetnego władcy, jakim był ojciec księcia Ekharda. To on podczas jednej z wypraw znalazł na trakcie zapłakane dziecko i, tknięty litością, zabrał ze sobą na zamek, umyśliwszy, że uczyni ze znajdy towarzysza zabaw dla swego syna. Od tej pory chłopcy dorastali razem. Zaprzyjaźnili się, mimo różnic, jakie ich dzieliły – wszak jeden był potomkiem książęcej rodziny, drugi zaś nie wiedzieć skąd pochodził. Stary książę zmarł, gdy Ekhard miał osiemnaście lat, a wraz z jego śmiercią rządy przeszły w ręce młodzika. Ludzie się radowali, bo i Ekhard okazał się władcą bardzo ludzkim i wrażliwym na krzywdę innych, dla którego najważniejsze było dobro Burii.

– A Mateo?

– Mateo został pasowany na rycerza i majątek otrzymał znaczny. Wkrótce również odbyły się jego zrzekowiny z bliźniaczą siostrą księcia Ekharda – księżniczką Saraid. Sam Ekhard także niebawem wstąpił w związek małżeński, a żona jego była nad wyraz piękną kobietą. O jej urodzie krążyły wręcz legendy. Nic nie zapowiadało tragedii.

– Skrzydlaki wtedy nie były tępione?

– Wtenczas skrzydlaki za niebiańskie stworzenia uznawane były i ludzie je szacunkiem darzyli. Możeś nie widziała, ale nawet herb książęcego rodu przedstawia owe niezwykłe istoty.

Pamiętałam dobrze herb wiszący w komnacie Laveny, ale przyznam, że nie przyglądałam się mu dokładnie i wydawało mi się, że jest na nim coś w rodzaju smoka. Ciekawiło mnie, co też takiego straszego się stało, że szacunek i podziw dla skrzydlaków zamienił się w nienawiść.

– Mateo miał dar niezwykły, który go w oczach ludzi wywyższał, otóż umiał nad wyraz dobrze nawiązać kontakt ze skrzydlakami. Tak jakby potrafił z nimi gadać. To bardzo rozumne stworzenia, a on okazywał im wiele uczucia, więc nietrudno

zrozumieć, że odwzajemniały mu się tem samym. Jednak dla ludzi, którzy czuli przed nimi respekt, ta przyjaźń, zaufanie jawiły się jako coś magicznego, nadprzyrodzonego. Prawdziwy podziw budziło w nich to, że Mateo potrafił tak obłaskawić te dumne stworzenia, iż pozwalały mu siadać na swoje grzbiety i wzbijały się z nim w przestworza. Na to nikt inny nawet by się nie odważył, jeno on jeden.

– I kiedy się to zmieniło?

– Nie poganiaj, Julio. – Delikatnie gładził moją dłoń, sprawiając mi tą pieśczętą prawdziwą przyjemność. Och, mogłabym go słuchać w nieskończoność. – Wszystko ma swój czas. Chciałaś wysłuchać historii, to ci ją opowiadam. Nie da rady przyspieszyć biegu wydarzeń.

– Jasne – mruknęłam, przymykając oczy. Miałam ochotę przytulić się do Hermana. To była cudowna chwila.

– Księżniczka Saraid powiła dziecię, a cały naród radował się z tego wielce. Chłopcu nadano imię Weylin.

Weylin. Czyli dobrze myślałam – jego ojcem był Mateo. Teraz zrozumiałam, dlaczego tak gwałtownie reagował na wspomnienie o swojej złej krwi i matce. Był synem człowieka, który sprowadził na Burię pasmo nieszczęść. Czy jego nienawiść do Ewena miała związek z tym, że pomocnik medyka, tak samo jak jego ojciec, został znaleziony i nikt nie wiedział, skąd pochodzi? Czy w ten sposób mógł odreagowywać na Bogu ducha winnym człowieku swoje frustracje? To się układało w logiczną całość. Nienawidził Ewena, tak jak nienawidził swojego ojca. Coraz bardziej byłam ciekawa, co takiego uczynił Mateo, że wyrzekł się go nawet własny syn.

– Szczęście przerwał turniej rycerski, na którym w szranki stanął Mateo przeciwko Ulrichowi, potężnemu rycerzowi z Cedowii. – Na chwilę umilkł i miałam wrażenie, że zastanawiał się, jakich słów użyć, aby opowiedzieć mi dalszą część historii. – Walka była piękna i wyrównana, bo przeciwnicy jednako dobrze wyszkoleni, ale Mateo tego dnia szczęścia nie miał. Jego koń się potknął, a Mateo, łapiąc równowagę, odruchowo odsunął tarczę i dzida Ulricha miast w nią trafiła go prosto w serce. Nikt nie mógł mu już pomóc. Księżniczka Saraid rozpaczła ogromnie, z łez, które wylała, rzeka mogłaby popłynąć. Książę Ekhard z wszelkimi honorami kazał pogrzebać Mateo i sam niejedną łzę uronił. Gdy pogrzeb trwał, nad zamkiem krążyło kilka skrzydlaków, skrzecząc upiornym głosem.

– Jak w filmie... – Bezwiednie oparłam głowę o ramię Hermana, a on nie protestował.

– Dwa lata później, gdy rany po tym nieszczęściu już się zagoiły, gdy życie wracało do normy, a naród radował się na podwójne narodziny na książęcym dworze, stało się coś, co zmieniło bieg historii. Tamtej nocy, gdy księżyc był w pełni, do bram zamku zapukał ktoś, kogo wszyscy już dawno opłakali. Mateo, żywy, jakby nigdy rany żadnej nie odniósł. Jakiż to był szok! Sam Ekhard, aby naocznie się przekonać, że faktycznie przed laty to jego druha pogrzebali, kazał grób odkopać i sprawdzić, czy są w nim kości. Strapiony był okrutnie, bo przyjaciela uczuciem szczerym darzył, ale nie miał pojęcia, jak sprawę rozwiązać. Mateo był wszak martwy, jego kości biegały w rozkopanym grobie, a jednocześnie on sam, jako okaz zdrowia, stał przed obliczem władcy i dopraszał się swoich praw. Żywy powrócił z zaświatów, śmierć przezwyciężył, musiał więc dysponować magią silniejszą nad wyobrażenie. Na dodatek wobec bogów i praw stanowionych nadal pozostawał mężem księżniczki Saraid, któ-

ra jednak powtórnie już za mąż poszła i właśnie oczekiwała narodzin drugiego dziecka. Nikt nie wiedział, jak jej tę straszną wiadomość o powrocie zmarłego męża przekazać, lecz wieść lotem błyskawicy obiegła cały zamek i do księżniczki trafiła. Saraïd przybiegła do komnat swego brata, aby na własne oczy zobaczyć to, o czym wszyscy prawili. Ledwie spojrzała na Mateo, zmysły straciła i bez czucia osunęła się na posadzkę. Nie pomogły żadne zioła ni wysiłki medyków. Ten wstrząs był dla niej zbyt silny. Przedwcześnie powiła dziecko, sama, niestety, porodu nie przeżywszy. Ekhard wpadł w szal, bo siostrę szczerze miłował, i Mateo winą obarczył. W jednej chwili uczucie do druha przemieniło się w nienawiść. Zamknąć go w lochu kazał, o suchym chlebie i wodzie. To jednak nie rozwiązało wszystkich problemów – wszak to za sprawą Ekharda Saraïd nieświadomie grzech wielki popełniła, honor rodu skalała i cień rzuciła na całą linię dynastyczną. Powiedzione jest bowiem, że tylko raz ślubować można i nawet śmierć ze ślubów nie zwalnia. Ekhard jednak, mając na względzie własne korzyści, zaaranżował powtórne małżeństwo siostry, występując tym samym przeciwko ustalonemu boskiemu prawu. Ludzie żal do niego o to mieli i szeptali, że bogowie karę na Burię ześlą. Jak się okazało, rację mieli. Księżę, który wymusił na Saraïd powtórne małżeństwo, teraz musiał udźwignąć całe brzemie swego postępków. Na początek unieważnił drugi ślub swojej siostry, uznając go za niebyły, a na jej małżonku wymógł przysięgę, że nigdy, przenigdy żadnych praw uzurpować sobie nie będzie do córki swojej zrodzonej z tego związku. Co więcej, wszem wobec ogłosił, że maleństwo, które właśnie na świecie się pojawiło, jest Mateowym potomkiem. W ten sposób starał się honor rodu obronić i swoją winę zmazać. Po wszystkim Ekhard oboje osieroconych dzieci Saraïd przysposobił jako własne.

– Czyli Lavena nie jest córką Mateo? Czyją córką jest w takim razie?

– Mateo nie jest jej ojcem, lecz prawa nie mam, aby zdradzić ci, kto jest tym, który dał jej życie.

– A co się stało z Mateo?

– Do tego zmierzam. Teraz poznasz prawdę o przyczynach polowania na skrzydlaki... Ekhard, za radą Dewina, na śmierć przez spalenie skazał Mateo, aby ostatecznie zniszczyć zło, które ze sobą przyniósł, bo wiedzieć musisz, że tylko ogień jest władny unicestwić to, co z czeluści piekielnych wyszło. Egzekucja miała się odbyć nazajutrz po pogrzebie Saraïd. Jednak w noc poprzedzającą stracenie Mateo znowu pojawiło się kilka skrzydlaków i krążąc nad zamkiem, zawodziło przy tym okrutnie, niczym zwiastuny nieszczęścia. Rano, gdy strażę zeszyły do lochów po skazańca, zastały tylko pustą celę i ani śladu Mateo. Przepadł jakby za dotknięciem czarodziej-skiej różdżki, a wraz z nim zniknęła ciężarna małżonka Ekharda. Księżę, oszalały z rozpacz i furii, zarządził poszukiwania, niestety, niewiele one dały. Po zaginionych nie było ani śladu. Tak jakby pod ziemię się zapadli. Mało tego, nad naszą ziemię nadciągnęły chmury gęste i ciemne, które szczelnie zasłoniły słońce, gwiazdy i księżyc. Ludzie szeptali, że to boska kara za to, co Ekhard zrobił, a szepty te przybierały na sile, zmieniając się w coraz głośniejszy pomruk niezadowolenia. Jeszcze trochę i bunt jaki by się uszykował, tym bardziej że i kilku możnych panów po stronie ludu się opowiedziało, Ekharda obwiniając za nieszczęścia, jakie nawiedziły Burię. I właśnie wtedy, gdy losy władcy wisiały na włosku, znaleziono w gnieździe skrzydlaka zakrwawione strzępy szaty księżnej. W świat poszła wieść, że Mateo wraz ze swymi niecnymi pomocnikami skrzydlakami umyślił zniszczyć Burię i podstęp

okrutny uszykował, który miał księcia Ekharda pozbawić władzy i doprowadzić do upadku naszego kraju. Czując się wzgardzonym i zdradzonym przez wszystkich, chciał, abyśmy i my cierpieli, tak jak i on cierpiał. Za sprawą czarów niebo chmurami przesłonił, aby spuścić na nas wieczny mrok. Jeśli śmierci uszedł z rąk, to i coś takiego nie stanowiło dla niego problemu. Ludzie ciemni nie wgłębiali się w prawdę, wystarczyło im, że mają kogo obwiniąć, łatwo uwierzyli w te słowa. Przestali o winie Ekharda gadać, a skupili się na Mateo. Teraz to on stał się złem w czystej postaci. Opowieści o jego wielkiej mocy i niegodnych czynach, których jakoby się dopuścił, umiejętnie podsycane przez wysłanników księcia, przyczyniły się do tego, iż lud zwrócił się do Ekharda z prośbą o ochronę przed wysłannikiem ciemności. Księżę tylko na to czekał. Z ochotą wypowiedział wojnę skrzydlakom i obiecał, że nie spocznie, dopóki nie pomści śmierci swojej siostry, żony i dziecka oraz cierpienia poddanych. Co trzy lata, gdy skrzydlaki wracają, aby złożyć jaja, wyrusza na łowy, niszcząc to, co i jemu zostało odebrane. To jego zemsta.

– A Mateo jeszcze kiedyś się pojawił? Naprawdę to skrzydlaki pomogły mu uciec?

– Tego to ja już nie wiem. Różnie ludziska gadają. Ponoć wtedy, gdy po raz drugi pojawił się w Buri, towarzyszyła mu jakaś dziwna niewiasta, która twarz kapturem zasłaniała. Ponoć, gdy Mateo do lochów wtrącono, miano i tę niewiastę pojąć i przed oblicze księcia przyprowadzić, aby poznał, kto zaczął. Jednak ledwie stanęła przed Ekhardem, a ten odsłonić lico jej kazał, jasność się zrobiła okrutna, a kobieta zniknęła, tak jakby ją ten blask pochłonął. Może to ta niewiasta za sprawą magii uciec Mateo pomogła? Nie wiem, jak było naprawdę. Faktem jest jednak, że właśnie wtedy niebo zasnuło się chmurami i od tamtej pory nie widać nad Burią słońca ani księżycy.

– Kobieta?

To dało mi do myślenia. Jeśli Mateo to Mateusz, jak przypuszczałam, to może ową kobietą była moja babcia? Przybyła tu razem z nim i dlatego wiedziała, co może mnie spotkać, jeśli dotknę kamienia. Zdawała sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa. Dlaczego jednak mi o tym nie powiedziała? Może bała się, że uznam ją za szaloną, gdyby opowiedziała mi tę historię? Tak, gdybym sama tego nie doświadczyła, sądziłabym, że babcia jest niespełna rozumu. Musiałam przekonać się naocznie, aby uwierzyć. Tylko skąd moja babcia mogłaby dysponować tak ogromną magią, aby zniknąć na zawołanie? Coś mi tu nie pasowało.

– Dziękuję, że mi to opowiedziałeś. Wielkie nieszczęście na twój kraj spadło. Nie mieści mi się jednak w głowie, że skrzydlaki mogłyby mieć z tym coś wspólnego. One nie są zdolne do takiego okrucieństwa. Zdziobały ciężarną żonę Ekharda? Nonsens!

– Też tak myślę, jednak dowodów żadnych nie mam. Wszystko przeciwko skrzydlakom świadczy, więc Ekhard zapiekł się w nienawiści. Dopóki prawda nie wyjdzie na jaw, nic się nie zmieni. Tylko Mateo jeden wie, jak to było. Jednak jeśli winien jest, nic nam to nie daje. A jeśli winy w nim nie ma i tak nie wiemy, gdzie się ukrył ani jak go odnaleźć.

– Odnaleźć?

Zastanowiłam się. No tak, że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy? Jeśli Mateo nadal żyje, to istnieje nadzieja, że można go odnaleźć. Tylko gdzie?

– Jeśli skrzydlaki mu pomagają, to może udał się w góry? – zapytałam podniecona.

– Daremny twój entuzjazm. W góry nikt się nie wyprawi, bo to droga bez powrotu. Śniegi tam wieczne leżą, przepaście bezdenne co krok i wiatry porywiste drogę uniemożliwiają. Nikt o zdrowych zmysłach nigdy by tam nie wyruszył.

– Czy nie wydaje ci się, że to w takim razie świetna kryjówka dla zbiega? A jeśli skrzydlaki mu pomagały i na grzbietach swych przeniosły, to nie musiał tej drogi piechotą przebywać.

– Dobrze prawisz, ale to niczego nie zmienia.

– Jak to nie?! – Wstałam gwałtownie, wyrywając dłoń z jego uścisku. – Przecież masz Gudrun! Gdybyś spróbował...

– Julio... – Również się podniósł. – Chętnie bym się tam wyprawił, aby ocalić skrzydlaki, jednak to niewykonalne. Nigdy na Gudrun nie latałem... Nawet nie wiem, czy dozwoliliby mi na to. Jeden Mateo dostąpił tego zaszczytu.

– A jeśli by się zgodziła? Jeśli wzięłaby cię na swój grzbiet?

– Wtedy bym to zrobił – zapewnił. – Moje życie nic niewarte, lecz jeśli mógłbym pomóc Buri i księciu...

Jego życie nie było nic warte? Teraz dotarło do mnie znaczenie tego, co wcześniej powiedział. Wedle buriańskiego zwyczaju małżeństwo zawierało się tylko raz w życiu. Jedynie zgoda władcy mogła to zmienić, lecz po tym, co spotkało Saraid, wątpiłam, aby Ekhard jeszcze kiedykolwiek udzielił takiej dyspensy. Biedny Herman! Szczęście najwyraźniej nie było mu sądzone. Pozbawiony miłości, nadziei... Samotny... Ale może gdyby dokonał rzeczy niemożliwej, gdyby odnalazł Mateo, Ekhard spojrzalby na niego łaskawszym okiem? Może zmieniłby swoje zdanie, robiąc dla niego wyjątek?

– Gdybyś tego dokonał – zaczęłam – to jestem pewna, że Ekhard szczerze nagrodziłby twoje poświęcenie i bohaterstwo. Może spełniłoby się twoje marzenie?

– Moje marzenie... – powtórzył, a ja poczułam ból w sercu. Czemu to ja nie jestem tym, czego on pragnie?

– To wielka szansa, uwierz mi.

– Wierzę – zapewnił. – Los nie bez przyczyny postawił cię na mojej drodze.

Skrzeczenie dobiegające z zewnątrz przerwało naszą rozmowę, dając nam znać, że skrzydlaki wróciły ze swojego pierwszego wspólnego lotu. Herman od razu do nich pospieszył, a ja zostałam przy ognisku. Uniosłam do góry rękę i uważnie patrzyłam na dłoń, którą jeszcze kilka chwil temu trzymał w swoim uścisku. Starłam się odszukać odcisk jego palców, wyczuć ciepło, które po sobie pozostawiły. Miłość to strasznie głupia rzecz.

## XXV. WODOSPAD

Czy można kochać kogoś tak mocno, aby poświęcić dla niego wszystko, nawet własne uczucie? Do tej pory myślałam, że tak zdarza się tylko w filmach i książkach, jednak teraz przyszło mi zweryfikować swoje poglądy. Zakochałam się w Hermanie... nagle, niespodziewanie, jak szalona, a jednak, lub może właśnie dlatego, byłam gotowa zrobić dla niego wszystko. Nawet pomóc mu zyskać przychyłność księcia. Nawet połączyć go z Laveną.

Następnych kilka dni minęło mi na obmyślaniu sposobów na skłonienie Ekharda, aby złamał obietnicę wiążącą Lavenę z księciem kantońskim i zezwolił na powtórny ślub Hermana. Skrzydlaki codziennie trenowały loty, które stawały się coraz dłuższe. Z niepokojem wyczekiwałam ich powrotów, oddychając z ulgą, gdy wreszcie lądowały na naszej półce skalnej. Co jednak się stanie, gdy nadejdzie moment rozstania? Jak pomogą nam wydostać się z tej przepaści? Przeniosą nas w dziobach? To wszystko spędzało mi sen z powiek.

Herman także wyglądał na przygnębionego i zadumanego. Być może rozmyślał o wyprawie w góry. Przyznaję, to był dość szalony pomysł, ale tylko on dawał nadzieję na szczęśliwe rozwiązanie tej sprawy. Jeśli nikt nie uda się w tę niebezpieczną podróż, skrzydlaki nadal będą mordowane, a Herman nigdy nie zrealizuje swoich marzeń. Musiałam mu pomóc. Za wszelką cenę.

Znałam już większość tajemnic Burii, ale pojawiły się kolejne niewiadome. Przede wszystkim moja babcia. Czy to ona była tu z Mateo? Czy razem z nim udała się w góry? Czy to ona go uwolniła? Jakoś nie wyobrażałam sobie, że ten Mateusz, którego poznałam w swoim świecie, dysponował taką mocą.

Pisklę – hm... sama nie wiedziałam, czy skrzydlaki należą do ptaków, czy może jest to jakiś zupełnie odrębny gatunek – Gudrun rosło jak na drożdżach, w krótkim czasie potrajając swoją początkową wielkość. Było już niewiele mniejsze od matki i z każdym dniem nabierało większej siły. Czasem, gdy lądowali razem na półce, bałam się, że ziemia pod nimi się zarwie i wszyscy spadniemy.

Co ciekawe, mały skrzydlak szczególnie upodobał sobie mnie. Lubił pieszczoty Hermana, ale wystarczyło, żebym pojawiła się w zasięgu jego wzroku, a natychmiast rozpościerał skrzydła i skrzeczał radośnie. Kołyszącym się krokiem podchodził do mnie i delikatnie, bardzo ostrożnie dotykał dziobem mojego ramienia. Wiedziałam, że to jego sposób okazywania uczuć. Tu uczciwie muszę się przyznać, że i ja przywiązałam się do tego potwora. Gudrun nadal się obawiałam, ale jego lubiłam.

– Zbliża się czas powrotu.

Na te słowa czekałam, ale gdy wreszcie Herman je wypowiedział, poczułam ogromny żal. Chociaż życie w jaskini nie było usłane różami, chociaż coraz częściej marzyłam o tym, aby założyć całe i czyste ubranie, to jednak tu byliśmy razem i nikt nie mógł nas rozdzielić. Gdy wrócimy... Bałam się tego.

– Tak?

Starłam się opanować emocje. Jak gdyby nigdy nic przekładałam przygotowane na opał gałązki, zgromadzone w pobliżu ogniska, nie zdając sobie sprawy, że

robię to zupełnie niepotrzebnie. Po prostu musiałam czymś zająć uwagę i ręce.

– Wreszcie będziesz szczęśliwa.

Gdyby on wiedział... Lepiej, że nie miał o niczym pojęcia. To i tak nie miało by sensu. Byłam dla niego jedynie dziewczyną, nad którą przyrzekł sprawować opiekę. Nikim więcej. Tak! Musiałam to sobie częściej powtarzać, aby nie zwariować do reszty!

– Kiedy? – Nie patrzyłam na niego.

– Jutro. – To zabrzmiało jak wyrok. – Gudrun nauczyła już małego wszystkiego, co potrzeba. Nie mają powodu, aby tkwić zbyt długo w miejscu, które może się okazać dla nich niebezpieczne. Myślę, że na odchodne powinnaś wymyśleć imię dla malucha. On chyba bardzo cię polubił.

Gdybyś to ty tak mnie polubił... Gdybyś poczuł do mnie coś więcej...

– Czyli to samiec? – upewniłam się.

– Tego nie wiem. To okaże się za trzy lata. Jeśli wróci składać jajo, będzie to znaczyło, że jest samicą. Jeśli nie wróci...

– To będzie samcem – dokończyłam. Odłożyłam ostatnią suchą gałązkę i otrzepałam dłonie. – Może jednak to ty go nazwiesz? Ja nie mam żadnego pomysłu.

– Imię to ważna rzecz. Powinna je nadać szczególnie osoba. Widzę, że to ty jesteś kimś szczególnym dla naszego malucha.

– OK. – Wzruszyłam ramionami. Intensywnie myślałam nad ewentualnym imieniem. Co by było odpowiednie? I nagle wpadło mi coś do głowy. – Sawa! – krzyknęłam radośnie, przypominając sobie legendę o Warsie i Sawie – założycielach Warszawy.

– Ładne imię – przyznał. – Mówiłem, że dasz radę. Chodź, powiemy mu, jak się będzie od tej chwili nazywał.

Ruszyliśmy w głąb jaskini, gdzie mały skrzydlak drzemał wtulony w pióra matki. Słyszając nasze kroki, unieśli długie szyje. Mały zaskrzeczał radośnie. Podeszliśmy blisko. Herman z uczuciem pogładził skrzydło Gudrun, a mnie dał znak, abym zajęła się pisklakiem. Niepewnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego piór.

– Jesteś pięknym... ptakiem. Pięknym. I na pewno wyrośniesz na tak wspaniałego skrzydlaka, jak twoja mama. Chciałabym, abyś mnie pamiętał. Wybrałam ci imię... Kiedyś, dawno, dawno temu, w kraju, z którego pochodzę, żyła kobieta o takim imieniu, a legendy o niej opowiadają do dziś, była wyjątkowa... – Mówiłam chotycznie. – Chciałabym, abyś nazywał się Sawa, ale jeśli to imię ci nie pasuje... Wiesz, ja to zrozumieć...

Maluch ponownie zaskrzeczał, po czym podrzucił głowę i ostrożnie oparł czubek dzioba na moim ramieniu. Poczułam, jak delikatnie ociera się o mój policzek.

– Podoba mu się! – Herman roześmiał się. – Jeszcze nigdy nie byłem świadkiem tak uroczej sceny. Pięknie, Julio! Pięknie!

Szturchnęłam go łokciem, na co Gudrun złowrogo łypnęła na mnie zielonymi oczyma. Herman to dostrzegł i natychmiast pojednawczo poklepał ją po szyi.

– Wszystko dobrze, Gudrun. Julia to moja przyjaciółka. Już wiesz, że można jej zaufać. Ona jest dla mnie kimś ważnym.

Kimś ważnym? Znowu to drżenie w sercu. Och, gdyby to była prawda.

Tego wieczoru, po posiłku, zobaczyłam, jak Herman wprawnymi ruchami sztyletu, korzystając jedynie z wody, pozbywa się zarostu, który podczas naszego po-



bytu w jaskini bujnie pokrył jego policzki i brodę. Zrozumiałam, że to przygotowania do powrotu. Później, zasypiając, otulona peleryną, wsłuchiwałam się w równy oddech leżącego obok mężczyzny. To ostatnia noc. Ostatnie wspólne chwile. Jeśli prawdą jest, że jutro wracamy...

\*\*\*

Ranek powitał nas rześystym deszczem. Poczułam ulgę, licząc na to, że chwila rozstania zostanie przełożona, jednak ulewa nie mogła powstrzymać skrzydlaków przed odlotem. Nie zwracały na nią uwagi. Skrzeczały radośnie, nawzajem skubiąc sobie pióra. Szelest ich rozkładanych skrzydeł co rusz wypełniał wnętrze jaskini.

– Jak one pomogą nam wydostać się z tej dziury? – zapytałam Hermana przy śniadaniu. – W ogóle wiedzą, że mają to zrobić?

– Nie zostawią nas tu. Ręczę, że zdają sobie sprawę, iż bez ich pomocy zginemy marnie.

Gryzłam korzonki, ciągle wyobrażając sobie scenę, w której dwa ogromne skrzydlaki chwytają nas dziobami za ubranie i wznoszą się do góry. Nie wiem czemu, ale w tej mojej wizji zawsze rozbijałam się o jakąś skałę. Brrr... lepiej o tym nie myśleć.

Gudrun dała znak, że czas na odlot. Jako pierwsza przemaszerowała przez jaskinię w stronę wyjścia. Sawa dzielnie podążał za nią, jak zwykle kiwając się na wszystkie strony. Herman pospiesznie podniósł się od ogniska.

– Już czas.

Nabrał w dłonie trochę ziemi i okruszków skalnych i rzucił na płomień, przysgaszając je. Gdy ogień gasł, moje serce zamierało ze strachu.

Skrzydłaki były już na zewnątrz. Stały w strugach deszczu, rozpościerając szeroko skrzydła. Gudrun obejrzała się na nas i zagulgotała po swoim. Herman podszedł do niej. Ja nadal stałam w wejściu do groty, chroniąc się przed lejącymi się z nieba potokami wody. Zobaczyłam, jak Herman zbliża się do Gudrun, jak ta pochyliła w jego stronę długą szyję. Aaa! Moje wyobrażenia okazały się prawdziwe. Stwór schwycił Hermana dziobem za materiał koszuli na plecach i trzymając w ten sposób, podniósł do góry. Krzyknęłam, chociaż nie chciałam. Gudrun łypnęła na mnie groźnie, a Sawa zakołysał się, tak jak to miał w zwyczaju. Z przerażeniem patrzyłam, jak skrzydlak przenosi Hermana wzdłuż swojego ciała i ostrożnie sadza na grzbiecie. Na grzbiecie! O matko kochana!

Patrząc na mnie, Gudrun ponownie zaskrzeczała. Wiedziałam, że ponagla mnie, abym wreszcie podeszła. Ostatni raz odwróciłam się i spojrzałam na pogrążone w mroku wnętrze jaskini. Ogień już przygasł całkowicie, czułam dziwną pustkę. To miejsce było dla nas domem przez szereg dni. Jak długo? Nie miałam pojęcia, ale w tej chwili czas nie stanowił dla mnie problemu. Czyżbym nauczyła się go ignorować?

Kolejne skrzeczenie Gudrun sprawiło, że wreszcie ruszyłam w jej stronę. Deszcz lał i przemokłam momentalnie. Podeszłam do skrzydlaków. Sawa pochylił głowę i złapał w dziób okrywającą mnie pelerynę. Straciłam grunt pod nogami. W żołądku pojawiło się uczucie, jakie towarzyszyło mi zawsze, gdy winda ruszała do góry. Na szczęście moja podróż na grzbiet skrzydlaka trwała dosłownie chwilę. Gdy posadził mnie wśród mokrych piór, poczułam się w miarę bezpieczna. W miarę. Tyl-

ko jak ja się tutaj utrzymam? Z rozpaczą spojrzałam na Hermana, siedzącego na Gudrun.

– Jak mam się trzymać?! – krzyknęłam, mając nadzieję, że mój głos przebije się przez ogłuszające skrzeczenie pary skrzydlaków.

– Za pióra! – odkrzyknął Herman, łapiąc się za pióra wielkości porządnego wiosła.

Natychmiast poszłam w jego ślady.

Gudrun pierwsza wykonała popisowy skok w przepaść, wzbijając się po chwili w powietrze. Na ten widok strach powrócił ze zdwojoną siłą, ale zanim całkowicie wpadłam w panikę, Sawa, podążając za matką, doczłapał na skraj przepaści i bez chwili namysłu zrobił to samo, co ona. Mój krzyk wirował wśród kropel deszczu, odbijając się od skalnych ścian. Zamknęłam oczy, przygotowana na najgorsze. Pęd powietrza zatamował mi oddech. Wtuliłam się w pióra skrzydlaka, zdając całkowicie na niego. Było mi już wszystko jedno.

Gdy otworzyłam powieki, zobaczyłam, że lecimy ponad wierzchołkami drzew. Przepaść, w której się wcześniej znajdowaliśmy, została gdzieś bardzo daleko w dole. Odwróciłam się, szukając Hermana. Dostrzegłam Gudrun lecącą ponad nami.

To była wolność. Niczym nieskrępowana, wszechobecna wolność. Nigdy wcześniej nie doznałam czegoś takiego. Leciłam na wielkim ptaku, mając u swych stóp cały świat. W tym momencie nie liczyły się dla mnie żadne ograniczenia, żadne nakazy, zakazy. Po obłądnym strachu przyszło poczucie szczęścia. Podniebna podróż skończyła się zdecydowanie za szybko. Ledwie zdążyłam poczuć magię tej chwili, gdy Sawa obniżył lot, po czym wylądował na polanie przy wodospadzie. Tuż za nim na ziemi osiadła Gudrun. Herman, nie czekając, aż skrzydlak pomoże mu zejść z grzbietu, sprytnie zsunął się w dół, zjeżdżając po jej boku, tak jakby szusował na saneczkach. Zgrabnie zeskoczył na rozmiękłe podłoże. Ja jednak nie byłam na tyle odważna. Poczekalam, aż Sawa odwróci głowę i złapie mnie zgrabnie dziobem za pelerinę. Po chwili wylądowałam bezpiecznie obok mojego towarzysza.

– Dziękujemy wam. – Ton głosu Hermana był nad wyraz uroczysty. – Jesteśmy wam winni życie. Uratowaliście nas.

Gudrun pochyliła łeb i jej oczy znalazły się na wysokości twarzy Hermana.

– Mnie też będzie ciebie brakować – zapewnił, czule głaszcząc jej dziób. – Nigdy o tobie nie zapomnę, a jeśli los da, może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Skrzek Gudrun zabrzmiał niczym zapewnienie o wierności. Aż mi się łza w oku zakręciła.

Sawa trącił mnie dziobem, dając znać, żebym przestała interesować się jego matką, a skoncentrowała na nim. Spojrzałam na pisklaka, którego wyklucia byłam świadkiem. Gdybym go nie znała, nie uwierzyłabym, że zaledwie kilkanaście dni temu przyszedł na świat. Wzrostem prawie dorównywał swej matce, a i podczas lotu w niczym jej nie ustępował.

– Żegnaj, Sawo. – Również pogłaskałam go po dziobie. – Jesteś największym i najmiłszym zwierzątkiem, jakim kiedykolwiek się opiekowałam. Na pewno wyrośniesz na świetnego skrzydlaka. I proszę, nie pozwól się nikomu zabić.

Gudrun pożegnała się już z Hermanem i skrzecząc przeraźliwie, rzuciła się w dół wodospadu, po chwili wzbijając się w powietrze. Sawa stał niezdecydowany – patrzył to na matkę, to na mnie. Nie chciał się rozstawać ani z nią, ani ze mną. Żało-

sne zawodzenie było tego najlepszym potwierdzeniem.

– No, leć, mały, leć. – Herman wykonał zachęcający ruch ręką, wskazując na krążącą nad nami Gudrun. – Matka na ciebie czeka.

To jednak nie przekonało Sawy. Nadal nie potrafił podjąć decyzji.

– Leć, kochany – przemówiłam do niego tak czule, że aż sama się zdziwiłam. Dwie wielkie łzy stoczyły się po moich policzkach, mieszając się z kroplami deszczu.

– Tu nie będziesz bezpieczny. Obiecuję, że wkrótce cię odwiedzę.

Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam, mówiąc szczerze, palnęłam to bez zastanowienia, ale moje zapewnienie poskutkowało. Sawa chybotliwym krokiem podszedł do krawędzi wodospadu i oglądając się na mnie jeszcze raz, skoczył w dół. Niebawem dwa wielkie skrzydlaki zatoczyły koło nad naszymi głowami, po czym skierowały się na północ.

– Dlaczego to powiedziałaś? – Herman patrzył na mnie badawczo.

– Dlaczego co powiedziałam? – Rękawem mokrej koszuli otarłam łzy, pomieszane z kroplami deszczu. Deszcz ustawał, teraz siąpił już tylko drobny kapuśniczek. – Pożegnałam się.

– Nie. Ty złożyłaś przyrzeczenie, że odwiedzisz Sawę, a przyrzeczenie rzecz święta.

Jego intensywne spojrzenie zdawało się wwiercać aż do wnętrza mego umysłu. Nie wytrzymałam, odwróciłam twarz.

– Ja tak tylko... To nie była przysięga – wymamrotałam.

– Mylisz się. To była najprawdziwsza, wiążąca obietnica i Sawa tak to odebrał.

Dopiero teraz to do mnie dotarło. Ale się wpackowałam. Który to już raz? Zdecydowanie byłam nieodpowiedzialna i bezmyślna.

– Ja po prostu chciałam mu ułatwić odejście. Widziałeś przecież, że było mu bardzo trudno – próbowałam się wytłumaczyć, ale moje dobre chęci przyniosły wręcz odwrotny skutek.

– Wszystkim pomagasz w ten sposób, że ich okłamujesz?

To mi się nie spodobało, zabrzmiało jak oskarżenie.

– Kiedy okłamałam ciebie? – Z trudem pohamowałam wybuch złości, chociaż wcale nie było to takie proste.

– Nie twierdzę, że tak było, ale... kto wie? – Najwyraźniej chciał mnie zdenerwować. – Powinnaś bardziej ważyć na to, co mówisz. Łatwo złożyć zobowiązanie, którego potem nie da rady wypełnić.

– Jeśli obiecałam, że go odwiedzę, to zrobię to! – krzyknęłam. – Nieważne jak, ale zrobię! Jeszcze mnie wcale nie znasz! Nie wiesz, jaka naprawdę jestem! Nawet nie spróbowałeś się tego dowiedzieć. Byłeś ze mną przez tyle dni sam na sam i co możesz o mnie powiedzieć oprócz tego, że składam obietnice bez pokrycia? Co możesz o mnie powiedzieć?!

Z całej siły uderzyłam go w ramię, a potem w klatkę piersiową. Jak on śmiał tak do mnie mówić? Jak on śmiał stawiać mi zarzuty, kiedy sam nie był w porządku? Jego życie to jedno wielkie kłamstwo! Kto przed wszystkimi udawał cudownego męża Baldurii? Kto krył się z miłością żywioną do Laveny? I to ja kłamałam? To ja byłam tą złą? Spędziliśmy razem tyle czasu, a on nie spostrzegł nawet, ile dla mnie znaczy. Owszem, ukrywałam przed nim swoje uczucia, ale powinien przecież coś zauważyć. Nie byłam dla niego kobietą? Ciągle marzył tylko o Lavenie? Och, jakże

w tej chwili nienawidziłam go za to wszystko!

Eksplodowałam. Uczucia nagromadziły się w takiej ilości, że osiągnęły punkt krytyczny i musiały znaleźć ujście. Waliłam na oślep, chcąc zagłuszyć ból serca. Aż dziw, że Herman nie zareagował, nie powstrzymywał mnie i nie uspokajał. Trwał niewzruszenie, tak jakby bawiła go cała sytuacja.

Wreszcie zrozumiałam bezsensowność mego zachowania. Bezsilnie opuściłam ręce i odsunęłam się od Hermana. Miałam wszystkiego dość. Krew pulsowała mi w skroniach, przyprawiając o ból głowy, serce pracowało niebezpiecznie szybko. Świat wirował przed oczami, rozmazując się w tym szaleńczym pędzie. Ruszyłam przed siebie, nie patrząc, gdzie idę.

– Uważaj! – usłyszałam krzyk Hermana. – Julio, skarpa!

Spojrzałam pod nogi. Stałam zaledwie kilkanaście centymetrów od przepaści, a w dole kotłowały się spienione, niemalże czarne wody wodospadu, przywodząc na myśl piekielne odmęty. Gdybym zrobiła jeszcze dwa kroki... Brrr, wołałam o tym nie myśleć. Powinnam bardziej uważać i nie ulegać tak łatwo emocjom.

Odwróciłam się, ale zanim zdążyłam zrobić krok, usłyszałam dziwny chrobot... i runęłam w dół razem z całym płatem ziemi, który, rozmiękczony ulewnymi deszczami, teraz oderwał się od skarpy. No nie! Znowu?! Krzyknęłam przerażona i już lodowata, wzburzona kipiela wodna zamknęła się nade mną. Leciałam w strugach wody i po kilku sekundach wpadłam wraz z nią do znajdującego się na dole wielkiego zbiornika. Rozpaczliwie machałam rękoma i nogami, próbując wydostać się na powierzchnię, ale byłam tak oszołomiona upadkiem, że nie dawałam rady. Wreszcie jakimś cudem udało mi się wynurzyć głowę nad powierzchnię. Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza, lecz nim zdążyłam ponownie zamknąć usta, odmęty znów mnie pochłonęły. Zakrzusilałam się i nowa porcja wody dostała się do moich płuc.

Więc tak wyglądała śmierć. Nie miałam już siły dłużej walczyć. Opadałam prawie bezwolnie, przyglądając się wirującemu wokół mnie milionom pęcherzyków powietrza. Pozbawione tlenu płuca zdawały się rozsadać klatkę piersiową, w głowie czułam głucho dudnienie serca. To już chyba ostatnie uderzenia... Przestałam odczuwać chłód lodowatej wody. W pewien sposób zrobiło mi się nawet przyjemnie. Wypuściłam przez usta ostatni, niewielki pęcherzyk powietrza, patrząc na niego ze zdziwieniem. Ta delikatna bańka stała się symbolem życia, z którym właśnie się rozstałam... uniosła się do góry, ja zaś zmierzałam tam, gdzie czekał na mnie wieczny mrok.

I wtedy coś złapało mnie wpół i z ogromną siłą uniosło do góry, ciągnąc wprost ku światłu. Może to Bóg? Czemu jednak zamiast szczęścia czułam potworny ból, który rozbijał moje ciało na atomy?

Zobaczyłam babcię. Była zasmucona i bardzo poważna. Stała nad moim łóżkiem i patrzyła na mnie uważnie. Chciałam coś do niej powiedzieć, odezwać się, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Babcia pochyliła się nade mną i z całej siły uderzyła mnie w pierś. Dlaczego? Nie mogłam jednak krzyknąć, zaprotestować, bo w ustach miałam pełno wody. Babcia uderzyła mnie ponownie, mocno, tak mocno, że pociemniało mi w oczach. Wyciągnęłam przed siebie ręce, chcąc ją odepchnąć.

– Julio!

Ten krzyk dotarł do mnie jakby zza grubej kotary. Głos wydał mi się znajomy, ale nie potrafiłam uzmysłwić sobie, do kogo należy, wiedziałam tylko, że na pewno

nie do babci.

Kolejne uderzenie. Zakaszlałam, wypluwając resztkę wody. Wreszcie nic nie zalewało mi gardła.

– Julio!

Obraz babci rozplynął się we mgle. Mrugałam, próbując przywyknąć do nowego otoczenia. Ktoś pochylał się nade mną. Po chwili mój mózg, otrzymawszy odpowiednią dawkę tlenu, zaczął lepiej pracować. Z niemałym trudem, ale rozpoznałam pochylającego się nade mną Hermana.

– Babcia... – szepnęłam niepewnie, nadal próbując połączyć ze sobą jawę i sen.

Herman z wyraźną ulgą odgarnął mi z twarzy mokre włosy. Pomógł mi usiąść, wspierając ramieniem. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam, że znajdowaliśmy się na brzegu ogromnego rozlewiska rzeki, rozpościerającego się u podnóża wodospadu. Czyli jednak nie umarłam. Herman kolejny raz uratował mi życie. Chciałam mu podziękować, ale oddychanie sprawiało mi jeszcze sporo kłopotu, a gardło bolało. Nie mogłam wykrztusić ani słowa. Dyszałam więc tylko ciężko, napawając się każdym kolejnym haustem powietrza. Jakie to piękne uczucie – ja żyję. Oddycham. Czuję... Właśnie... Przypomniałam sobie powód, dla którego znalazłam się nad skrajem przepaści.

– Ty nic o mnie nie wiesz – wykrztusiłam oskarżycielsko zamiast podziękować za ocalenie.

– Wiem, że lubisz skakać w przepaść – zażartował, próbując chyba rozładować napiętą atmosferę.

– Ty nic o mnie nie wiesz – powtórzyłam, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– Nic o tobie nie wiem? – Gwałtownie chwycił mnie za ramiona i obrócił w swoją stronę. Krople wody spływały mu z włosów i twarzy. – Nic nie wiem? Tak myślisz? Wiem, że masz piękne zielone oczy, które błyszczą, gdy się uśmiechasz. Kiedy się złościś marszczysz nos, a najpiękniej wyglądasz, kiedy jesteś zamyślona. Wiem, że nie lubisz korzonków i krzywisz się, gdy jesz kwaśne jabłka. Masz dobre serce i starasz się pomagać innym, nawet wtedy, gdy sporo ryzykujesz.

Zaskoczył mnie zupełnie. Kiedy zdążył to wszystko zauważyć? Podczas pobytu w jaskini w ogóle się mną nie interesował, całą uwagę koncentrując na skrzydłach. Byłam pewna, że nie jestem dla niego nikim ważnym.

– Dlaczego mi to mówisz? Dlaczego teraz?

– Bo mogłaś umrzeć! Bo mogłem cię stracić! – krzyknął, a w jego krzyku było tyle rozpaczy, że aż zadrżało mi serce.

Chwila! Czy on powiedział, że mógł mnie stracić? Czy chodziło mu o to, że nie wypełniłby swego obowiązku strzeżenia mnie, czy też o coś zupełnie innego?

Zanim zdążyłam porządnie się nad tym zastanowić, przyciągnął mnie do siebie i zamknął w mocnym uścisku. Uniosłam twarz, wpatrując się w Hermana badawczo, nie dowierzając w to, co się działo. Może to tylko dalsza część moich przedśmiertnych majaków? A może to już niebo? Może ja umarłam?

– Julio... – wyszeptał, zaglądając mi w oczy. – Och, Julio... Jesteś tak inna niż wszystkie znane mi buriańskie niewiasty. Jesteś wyjątkowa, po prostu jedyna. I żałować tylko mogę, że spotkał cię dopiero teraz. Gdyby los dozwolił nam wcześniej

się poznać... Wiem, że nie wolno mi cię miłować, ale moje serce nie słucha rozumu. Nie wolno nam być razem. Nie powinienem nawet marzyć o tym, abyś odwzajemniła to, co czuję.

To było najpiękniejsze wyznanie miłości, jakie kiedykolwiek słyszałam. Nie mogłam zmarnować takiej okazji, nie mogłam pozwolić mu na kolejną ucieczkę, zwłaszcza teraz, gdy wreszcie odkrył swoje uczucia. Sama zdziwiłam się, że jestem aż tak odważna, ale w końcu jako dziewczyna z dwudziestego pierwszego wieku nie musiałam obawiać się przejęcia inicjatywy. Mężczyźni w Burii byli nieśmiali, a przy tym spętani mnóstwem bezsensownych, ograniczających praw, których naruszenia zabraniał im honor.

Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, przywarłam wargami do ust Hermana. Było mi już wszystko jedno. Wiedziałam, że muszę zaryzykować. Całowałam go jak szalona, zupełnie zatracając się w uczuciu. Oprócz niego nie liczył się nikt i nic. Po chwili uzmysłowiłam sobie, że on także odpowiada pocałunkami. Na początku jakby wstydliwie, niepewnie, ale już za moment z całą żarliwością.

Och, jaka byłam szczęśliwa, co za cudowne uczucie! Dla takiej chwili warto było nawet otrzeć się o śmierć! Wreszcie, po raz pierwszy od czasu, gdy przybyłam do Burii, byłam wdzięczna losowi za to, co się stało. Może musiałam przebyć niewyobrażalne odległości w czasie i przestrzeni, aby trafić nad ten wodospad, aby odnaleźć swoje przeznaczenie.

Ulewa znowu przybrała na sile. Strugi deszczu nie mogły jednak ugasić ognia, który w nas płonął. Nie zwracaliśmy uwagi na nic – całowaliśmy się łapczywie, zachłannie, tak jakbyśmy się bali, że za chwilę świat się skończy. W tamtym momencie liczyła się tylko nasza miłość. Bo wreszcie miałam pewność, że Herman kochał mnie tak samo mocno, jak ja jego.

## XXVI. POWRÓT

Leżałam wtulona w ramiona Hermana, wsłuchując się w jego spokojny oddech. Wczorajszy dzień obfitował w niezwykłości. Wydostaliśmy się z przepaści, odbyliśmy lot na skrzydlakach, posprzecaliśmy się, o mało nie straciliśmy życia w lodowatej kipieli, a później... Na samo wspomnienie tego, co było później, mimowolnie się uśmiechnęłam. Nadal nie mogłam w to uwierzyć.

Westchnęłam, ostrożnie obracając się na bok, tak aby zwrócić się twarzą w stronę Hermana. Wyciągnęłam rękę i delikatnie dotknęłam jego na nowo pokrytego zarostem policzka. Musiałam przyznać, że nieogolony wyglądał nad wyraz pociągająco. Przejechałam palcem po podłużnej bliźnie. Pod wpływem mojego dotyku Herman otworzył oczy. Czarne tęczówki wpatrywały się we mnie z niezwykłą intensywnością. Nie uśmiechał się, wyglądał wręcz na zasmuconego.

– Co się stało? – zaniepokoiłam się. Usiadłam, dotykając głową gałęzi tworzących dach prowizorycznego szałas, który zrobiliśmy nocą.

– Przez chwilę myślałem, że to wszystko było snem...

– Żałujesz, że nim nie jest? – zapytałam chłodnym tonem, bojąc się jednocześnie odpowiedzi. – Wolałbyś tu być z Laveną?

– Boję się, że to ty będziesz żałować. – Przyciągnął mnie do siebie, a ja się poddałam i wtuliłam w jego ramiona. – Nigdy nie mówiłem, że kocham Lavenę, to tyś to sobie wymyśliła. Ja tylko pomagałem jej w opiece nad ptaszkiem, które znalazła. Jeno tyle. Na swój honor się zaklinam, że tak właśnie było. Lavena to przyjaciółka, nic więcej, a że jej się coś w głowie uwidziało... Tegom ja nie winien. Jedyną kobietą, która ma dla mnie znaczenie, jesteś ty, ale cóż ja ci mogę dać? Nie mam nic i jestem nikim. Nawet za żonę pojąć mi cię nie wolno. Wiążą mnie śluby, których i śmierć nie może rozerwać. Przeklęty jestem na wieki. Gdzie mnie miłości od kogoś wymagać? Powinienem mieć więcej rozumu i powstrzymać się, zanim będzie za późno. Nie uczyniłem tego, wyznałem ci, co skrywa moja dusza. Tylko twój honor zszargałem i na cierpienie naraziłem. Wierzaj mi, że niespecjalnie tom uczynił, ino serce wzięło władzę nad rozumem.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz wygadywać takich bzdur, to rzucę się w przepaść – zagroziłam. – Za nasze uczucia nikt nas nie może winić. Tak chciał los... Jesteśmy razem i wspólnie stawimy czoło przeciwnościom. Oczywiście, jeśli naprawdę mnie... kochasz. – Ostatnie słowo wymówiłam z trudem.

– Tylko ciebie jedną – zapewnił żarliwie. – Ale moja miłość nic dobrego ci nie da. Książę Ekhard nigdy dyspensy nie udzieli, nie po tym, co stało się z jego siostrą.

– Pójdziemy do niego, porozmawiamy. Jak trzeba będzie, na kolana padniemy, błagając o litość. On wie, że jestem czarodziejką, że mam moc. Może ulęknie się, że w przypadku odmowy wykorzystam ją przeciwko niemu?

– Twoja kraina insza od mojej. Inne w niej prawa rządzą. Tu nic nie jest tak proste, jak myślisz.

– Jesteśmy razem, a to jest najważniejsze. – Nie chciałam słuchać tych słów. Zdawałam sobie sprawę, że Herman miał rację, jednak ze wszystkich sił starałam się

odsunąć od siebie złe myśli. – Wierzę, że nam się uda. Nie po to przebyłam taką wielką odległość w czasie i przestrzeni. Jeśli przeznaczenie nas połączyło, jeśli zesłało nam miłość, to musi być w tym jakiś głębszy cel. Tak musiało się stać.

W tej chwili naprawdę chciałam w to wierzyć. Nie miałam ochoty zakłócać swojej bezgranicznej radości. Już widziałam się jako oblubienicę w długiej sukni i welonie, prowadzoną przed ołtarz, gdzie czeka na mnie Herman. Księżę Ekhard z uśmiechem na twarzy udzielałby nam ślubu.

– Moja Julia... – Wreszcie się uśmiechnął. Chyba w jakiś sposób rozwiałam jego obawy albo po prostu udawał, aby nie narażać mnie na kolejne zmartwienia. – Wierny ci będę zawsze, do końca moich dni. Żadna kobieta nigdy nie przesłoni mi twego obrazu. Nawet jeśli los nas rozdzieli.

To zabrzmiało jak zła wróżba. Staralam się ją zbagatelizować. Roześmiałam się i aby powstrzymać dalsze, niepotrzebne słowa, pocałowałam go prosto w usta. Wolno przesunęłam wargami po policzku, wzdłuż blizny.

– A ty jesteś mój, Herman – wyszeptałam wprost do jego ucha, delikatnie przy tym je przygryzając. – Mój rycerz.

Z prawdziwym żalem przerwaliśmy nasze czułości. Chociaż chętnie spędziłabym całą wieczność w ramionach Hermana, wiedziałam, że istnieją inne, bardziej przyziemne, a jednak niezwykle ważne sprawy, jak na przykład jedzenie. Wyczołgaliśmy się spod sterty gałęzi, które szumnie nazywaliśmy szałasem. Teraz dopiero mogłam się lepiej przyjrzeć tej budowli, którą wznosiliśmy wczoraj wieczorem podczas nawałnicy. Bezładny stos kilku warstw gałęzi nie przypominał żadnego porządnego schronienia, ale swoje funkcje spełnił – osłonił nas przed deszczem. Skryci pod nim, mogliśmy zapomnieć o całym świecie, wtulając się w swoje ramiona i wsłuchując w bicie serc.

Rozmokła ziemia przemieniła się w bagnisko; nasze stopy zapadały się po kostki w grząskim gruncie. Nie mogliśmy nawet wysuszyć ubrań, a właściwie łachmanów, bo to, co na sobie mieliśmy, w niczym nie przypominało dawnych szat. Na szczęście Hermanowi udało się wyszukać krzak jagód. Owoce były małe, zielonkawe, ale całkiem słodkie. Karmiliśmy się nimi wzajemnie, zaśmiewając się przy tym i co chwila całując.

– Jakie plany na teraz? – Gdy skończyliśmy ten niezbyt obfity, ale jakże romantyczny posiłek, zadałam najważniejsze i nieuniknione pytanie.

– Musimy wrócić.

Znowu ten smutek w jego oczach. Oddałabym wszystko, abyśmy mogli zostać tutaj na zawsze. Jadłabym ze smakiem wszystkie korzonki, bulwy i inne okropieństwa, a nawet mieszkałabym w tym nieforemnym szałasie do końca moich dni.

Herman przytulił mnie, gładził dłońmi moje plecy, wargami muskał włosy. Przymknęłam oczy.

– Kocham cię, Julio. – Głos Hermana był poważny, jakby składał przysięgę, a jednocześnie czuły. – Ciebie jedną na całym świecie.

To było wszystko, czego potrzebowałam. Zdałam się zupełnie na Hermana. Przepelniało mnie szczęście, którego nic nie mogło zakłócić. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Wkrótce opuściliśmy polanę przy wodospadzie. Ruszyliśmy wzdłuż rzeki – Herman twierdził, że płynie ona w stronę zamku Ekharda. Nie wiem, skąd to wie-



dział, ale ufałam mu. Wędrówka w deszczu nie należała do najprzyjemniejszych, tym bardziej gdy z każdym krokiem oddalaliśmy się od miejsca, w którym spełniły się marzenia, a przybliżaliśmy do... No właśnie... Do czego? Co nas czekało?

Stopy to grzęzły w rozmięklej ziemi, to ślizgały się na niej niemiłosiernie. Przytrzymywaliśmy się nawzajem, dodatkowo podpierając sękatymi kijami, które przygotował Herman. Mokre ubrania utrudniały ruchy, no i było w nich zimno. Mimo to szliśmy nieprzerwanie do wieczora, nie odzywając się do siebie prawie wcale. Deszcz przestał padać równo z zapadnięciem mroku. Herman wyszukał odpowiednie miejsce na niewielkim wzniesieniu, osłonięte od wiatru kępą krzaków. Pomogłam mu w budowie szałasu i muszę przyznać, że ten wyszedł nam o wiele lepiej niż poprzedni. Wtulona w ramiona Hermana, zasypiałam zmęczona, ale szczęśliwa, żałując jedynie, że będąc w jaskini, nie okazywaliśmy sobie tyle czułości.

\*\*\*

Nasza wędrówka trwała kilka dni – nie wiem dokładnie ile, bo straciłam rachubę czasu. Miałam wrażenie, że błądzimy, tak jakby las specjalnie plątał nam ścieżki. Chociaż trzymaliśmy się brzegu rzeki, to mogłabym przysiąc, że kręcimy się w kółko – kilka razy minęliśmy podobnie wyglądające miejsca. Zaczynałam już wątpić, że kiedykolwiek opuścimy te ostępy. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy kolejnego dnia naszego wyczerpującego przedzierania się przez wysokie chaszczce, wydostaliśmy się wreszcie na otwartą przestrzeń. Zobaczyłam piaszczysty trakt i drewniany most przerzucony przez spienioną wodę. Stałam na skraju lasu i spojrzałam przed siebie. Widok pól raczej nie wywołał u mnie oczekiwanej radości. Może to głupio zabrzmieć, ale pomyślałam, że dotarliśmy do cywilizacji. Cywilizacja! W Burii! Śmiechu warte.

– Już całkiem niedaleko. – Herman podszedł do mnie i obiema dłońmi oparł się o sękaty kij. – Tam, za tymi wzgórzami, jest Ekhardowy zamek.

Westchnęłam i usiadłam na ziemi. Z trudem ściągnęłam z nóg podarte buty i położyłam je obok siebie.

– Może odpoczniemy? – zaproponowałam, pragnąc opóźnić chwilę powrotu.

Jakby na złość w tym momencie zza zakrętu piaszczystej drogi, przy której się znajdowaliśmy, wytoczył się wóz drabiniasty zaprzężony w... krowę! Przy nim zaś szedł wieśniak w słomkowym kapeluszu na głowie, nucący jakąś smętną melodię i zagryzający w zębach źdźbło trawy. Mężczyzna, widząc nas, zatrzymał się gwałtownie. Krowa, szarpnięta za uprząż, stanęła również.

– Witajcie, dobry człowieku. – Herman wyprostował się i podszedł do wieśniaka. – Mniemam, że ze zbiorami do zamku zmierzasz?

– Siano ino wiozę, wielmożny panie. Dla koni.

Człeczyna zdjął pospiesznie kapelusz z głowy i przycisnął go do piersi, wypływając przy tym źdźbło z ust. Na jego twarzy malował się strach – cóż, w końcu zastał nas na skraju Lasu Potępionych. Może wziął nas za istoty, o których krążyły opowieści?

Chyba tak było, bo wieśniak okazywał Hermanowi niezwykle szacunek, chociaż obecnie po moim towarzyszu nie było widać szlacheckiego pochodzenia. Zarosnięty, potargany, z blizną na policzku, prędzej mógł uchodzić za jakiegoś oprycha niż szanowanego rycerza. Nawet nasze brudne ubrania wyglądały gorzej niż to, w co

ubrany był ten prosty Buriańczyk.

– Siano, powiadasz? – Herman zerknął na tył wozu. – Niewiele go, jak widzę.

– Cóż zrobić, wielmożny panie. Tyle daję, ilem uzbierał. Nieurodzaj wielki i deszcze ciągle... Wszystko zniszczone... Cóż robić, panie...

– Podwózka na zamek nam potrzebna. Weźmiesz nas na wóz, miejsce masz...

– Ano mam, panie.

Wieśniak nerwowo przestąpił z nogi na nogę, po czym brudną, bosą prawą stopą, podrapał się w lewą łydkę. Najwyraźniej nie wiedział, co ma zrobić i czy kara go jaka nie spotka za to, że takie indywidua na zamek przywozi. Jednocześnie wołał nie odmawiać, lękając się naszego gniewu. Uważnie przyglądał się Hermanowi, jakby szukając u niego ognistego miecza.

– Nie mnie, ja siły mam, ino mego towarzysza. – Herman wskazał na mnie głową. – Młode to chłopię i słabe. Daleką drogę przebyliśmy i strudzeni jesteśmy wielce. Może i po naszym odziewku nie miarkujesz, z kim masz do czynienia, ale ręczę, że nagroda cię sowita nie minie, gdy nas teraz w potrzebie poratujesz. Książę Ekhard cię obdaruje, gdyż wiedzieć musisz, żeśmy z jego świty. W łowach braliśmy udział i zagubiliśmy się w lesie.

– Aaach... panie! – Wieśniak na wzmiankę o polowaniu uniżenie schylił głowę. – Podwiozę, wielmożny panie. Podwiozę.

Zastanawiałam się, dlaczego Herman nie powiedział mu całej prawdy. Może po prostu wieśniak nie uwierzyłby w nasz udział w łowach, gdyby dowiedział się, że jestem kobietą? A może w tym kraju kobieta i mężczyzna nie powinni samotnie podróżować?

– Wsiadaj! – Herman zachęcił mnie ruchem ręki.

Włożyłam z powrotem rozwalające się buty i zasłaniając twarz włosami, podszłam do mężczyzn. Herman pomógł mi usiąść na wąskim, drabiniastym wozie, na którego dnie leżało zaledwie kilka wątłych, zawilgoconych snopków siana.

To był specyficzny środek transportu, tym bardziej że ciągniony przez krowę. Cóż znaczą uroki Costa Brava w porównaniu z takimi atrakcjami? Złapałam się oburącz za deski wozu po jego bokach, próbując znaleźć dla siebie w miarę wygodną pozycję. Nie było to jednak łatwe zadanie. Dodatkowo, gdy ruszył z miejsca, liczne wyboje i bruzdy szczególnie dotkliwie dały mi się we znaki, gdyż siedziałam na gołych deskach. Już wolałabym iść pieszo. Zagryzałam wargi, aby nie wydawać okrzyków, gdy koła wozu trafiały na kolejną nierówność.

Herman szedł tuż przy mnie, trzymając rękę na mojej dłoni, zaciśniętej kurczowo na drewnianej belce. Odniosłam wrażenie, że cały czas mnie pilnował, jakby się bał, że spadnę z wozu lub w jakiś przedziwny sposób zniknę. Wieśniak, prowadząc krowę, od czasu do czasu zerkał na nas. Pewnie przemyślał, jaką też nagrodę otrzyma od władcy, gdy przywiezie na zamek dwójkę takich obdartusów.

Droga upłynęła nam w prawie zupełnej ciszy, przerywanej od czasu do czasu nawoływaniem wieśniaka, który w ten sposób poganiał zbyt ociężałą, przystającą na popas krowę. Wreszcie, po minięciu wzgórz, oczom naszym ukazały się posępne mury Ekhardowego zamku. Spowite ciemnymi, deszczowymi chmurami, wyglądały nad wyraz odpychająco, wręcz strasznie.

Koła wozu toczyły się po nierównościach traktu. Minęliśmy chaty skupione na podgrodziu. Szarzy, smutni wieśniacy, pochłonięci swoją pracą, nie zwracali na nas

żadnej uwagi. Byliśmy tylko kolejnymi nędzaczami, jakich pełno dookoła. Gromadki brudnych, półnagich dzieciaków chlapały się w przydrożnych błotnistych kałużach, wzbijając do góry zmieszane z ziemią fontanny wody. One jako jedyne zainteresowały się podróżnikami. Gdy przejeżdżaliśmy obok nich, ustawiały się w szeregu i łakomym wzrokiem patrzyły, czy nie skapnie im jakiś smakołyk. Widząc jednak wieśniaka i dwójkę obdartusów, zrezygnowane wracały do przerwanej zabawy.

Pomyślałam o dzieciach w dwudziestym pierwszym wieku. O tych maluchach, które stają przed kolorową wystawą sklepu z zabawkami i głośnym krzykiem, tupaniem czy innym fortelem wymuszają na swoich opiekunach kupno nowego gadżetu. Pomyślałam o półkach sklepowych zastawionych masą przecudnych artykułów wyprodukowanych z myślą o najmłodszych. Dzieci w Burii nie znały tego wszystkiego. Nasunęło mi się pewne porównanie, które miało dość tragiczne brzmienie. Te buriańskie maluchy przypominały mi bezdomne pieski, wesoło machające ogonem do osób odwiedzających schronisko. Kundelki, żebrzące o uczucie. W tym momencie pomyślałam też o dziecku Hermana. Jeśli chciałam związać się z jego ojcem, musiałam zastąpić mu matkę... Czy będę potrafiła sprostać temu zadaniu?

Przejechaliśmy przez otwartą bramę i znaleźliśmy się na zamkowym dziedzińcu. Strażnicy stojący przy wjeździe nie zareagowali na nasz widok. Tkwili nieruchomo niczym posągi, prezentując przed sobą groźnie wyglądające halabardy. Koła zafurkotały na kamienistym bruku. Minęliśmy studnię, przy której cztery kobiety napełniały właśnie wiadra wodą. One również nie zaszczyciły nas spojrzeniem. Czułam się jak... niewidzialna.

Wieśniak poprowadził wóz prosto do znanych mi już wrót stajni i zatrzymał krowę tuż przy wejściu. Herman wyciągnął do mnie dłoń, pomagając wygramolić się z wozu. Niezgrabnie zeskoczyłam na bruk, zachwiałam się przy tym i byłabym upadła, gdyby nie ramię mego towarzysza. Jego uścisk dodał mi odwagi. Uśmiechnęłam się do niego. Nieważne są wszystkie prawa Burii, nikt nas nie rozdzieli. Książę Ekhard musi zrozumieć, że jesteśmy sobie pisani.

– Dziękuję – szepnęłam, a Herman odsunął się, aby podejść do wieśniaka.

– Nie odchodź stąd, zaraz wrócim i sownie cię nagrodzimy.

Przez otwarte wrota stajni wyszło na dziedziniec dwóch chłopców stajennych. Wśród nich rozpoznałam tego, który był świadkiem mojej nocnej nauki jazdy. W pierwszej chwili, tak jak jego towarzysz, nie zwrócił na nas uwagi, zajęty rozmową z wieśniakiem, który zdjawszy kapelusz z głowy, nieporadnie tłumaczył się z tak lichej dostawy, jednak kiedy usłyszał głos Hermana, cofnął się o krok. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a może nawet przerażenie. Przeniósł wzrok na mnie i wydał z siebie zduszony okrzyk.

– Dopilnuj, aby temu człekowi, który nam pomógł, niczego nie brakowało. Daj mu jeść i pić. – Herman popatrzył na niego. – Panicz Weylin na zamku?

Zapytany tylko przecząco pokręcił głową.

– A książę Ekhard?

Skinięcie głową oznaczało potwierdzenie.

– Moje konie wróciły?

Ponowne nieme potwierdzenie.

Herman chyba się zniecierpliwiał, bo odwrócił się do chłopaka plecami i ruszył w stronę bocznych drzwi, które, jak wiedziałam, wiodły na zamkowe krużganki. Po-

dążyłam za nim, czując na sobie natarczywe spojrzenie stajennego.

– A ty gdzie, łachmyto jeden?

Nieprzyjemny, gburowaty głos zatrzymał nas w miejscu, zanim przekroczyliśmy próg. Jednocześnie odwróciliśmy się w stronę, skąd dobiegał. Od razu wydał mi się dziwnie znajomy... faktycznie, w pobliżu, oparty niedbale o mur, stał potężny właściciel boksterskiego nosa.

– Dunhamie, jakże rad jestem cię widzieć w zdrowiu! – Herman rozłożył ramiona i rzucił się ku swemu przyjacielowi z drużyny, który jednak w zarośniętym łachmaniarzu nie rozpoznał serdecznego druha.

– Hola! – zawołał, dobywając miecza. – Pohamuj swoje zapędy. Nie wiem, ktoś zacz.

– To ja! Herman! Nie poznajesz blizny na mej twarzy? – Herman zatrzymał się i opuścił ręce. – A to Julia. – Tu wskazał na mnie ruchem głowy.

– Na świętości Buri! – Dunham zmarszczył oczy, bacznie się nam przyglądając. – To szczerą prawdą! Jakoście to żywi? Wszak konie samopas wróciły... Wszyscy myśleli, że już po was. – Schował oręż i wyciągnawszy ręce, chwycił Hermana w ramiona. Miałam wrażenie, że za chwilę zgniecie go swymi potężnymi łapami. – Ty żyw! A to cud prawdziwy!

O mnie jakoś nie wspomniał, tak jakby moje ocalenie w ogóle go nie obchodziło.

– Gdzie Weylin? – Herman wyswobodził się wreszcie z tego niedźwiedziego uścisku.

– Od waszego zaginięcia całe dni samopas okolicę na koniu przemierza. On jeden w waszą śmierć nie uwierzył i ciągle was wypatrywał. Żadnych słów nie słuchał, ino ciągle w stronę lasu podążał.

– A księżę Ekhard?

– Ranion na polowaniu.

– Co się stało? – Herman wyraźnie się zaniepokoił.

– Koń go poniósł.

– Koń? – Herman spojrzał na mnie. Czy jemu także dziwne wydało się to, że koń Ekharda, tak samo, jak mój, nagle oszalał? Jak to się stało?

– Mistrz Dewin zaświadczył, że konia zmija spłoszyła. Nikt zmij nie widział, ale słowo mistrza wielkie znaczenie ma.

– Mistrza, powiadasz... A sam władca, co mówił?

– Niewiele. Sam nic nie pamiętał. Przy upadku w głowę się uderzył i czasu musiało minąć trochę, zanim świadomość odzyskał. Niestety, już nigdy konia nie dosiadzie, gdyż nogi całkiem bezwładne ma.

– Wielkie nieba! To mi smutne nowiny prawisz. Czyli łowy sam smutek przyniosły i łzy?

– Po wypadku księcia łowy poprowadził Weylin, ale wszystkich zapał opuścił i w grobowej atmosferze tropiliśmy skrzydlaki. Mimo to dwa potwory przy jajach udało się nam zdybać i unieszkodliwić, już nigdy nikomu nie zagrozą. Wróciłam na zamek, wyczekując dobrych wieści na wasz temat, ale miast tego ino konie wasze same pod bramę podeszły. Wtedy zrozumielim, że nijakiego ratunku dla was nie ma. Tylko Weylin nadziei nie stracił i wbrew rozumowi w pojedynkę na poszukiwania się wyprawiał. Za każdym razem jednak z niczym wracał. Tak jakbyście pod ziemię się

zapadli... Las Potępionych was pochłonał. Myślelim, że na zawsze. Jakiście się uchowali?

– Później ci wszystko opowiem.

– Racja to. Wpierw do księcia idźcie co prędzej. Na pewno rad będzie, gdy was zobaczy. Bolał bardzo, że Julia, która dobroć do Burii przywiodła, tak nieszczęśliwie zaginęła. Chodźcie, byle bystro. Taka niespodzianka!

Dunham ruszył przodem, a ja z Hermanem tuż za nim. Mój ukochany wziął mnie za rękę. Och, o ile różniej było mi iść u jego boku, gdy nasze palce splotły się ze sobą.

Dziwnie było po takim długim czasie ponownie przemierzać te ciemne korytaryze. Moja pamięć odnajdywała znajome miejsca, jednak nie czułam z tego powodu radości. Oddałabym wszystko, aby powrócić do naszej samotni w jaskini. Może przeczuwałam to, co miało za chwilę nastąpić...

Nigdy nie byłam w prywatnych komnatach księcia Ekharda, ale domyśliłam się, że tam właśnie Dunham nas prowadzi. Przed solidnymi drewnianymi drzwiami, ozdobionymi metalowymi okuciami, stali dwaj wartownicy w ciemnobrązowych szatach, z dłońmi zaciśniętymi na trzymany przed sobą nagich mieczach, których końcówki opierały się o kamienną posadzkę.

– Powiadomcie pana, że powrócił Herman i... – Tu zawahał się na moment. – ...i ta niewiasta, która sztuczki magiczne zna.

Nazwał mnie niewiastą. To lepsze niż na przykład wiedźmą.

Jeden z wartowników zmienił pozycję i przytroczywszy miecz do boku, wykonał przepisowy obrót w miejscu. Otworzył drzwi i wszedł do komnaty. Spojrzałam na Hermana, który uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, mocniej ściskając moją dłoń.

– Jesteśmy razem i to jest najważniejsze. Będzie, co los da, ale zawalczymy o naszą miłość – wyszeptał, więc Dunham nie mógł go usłyszeć.

Skinęłam głową i chciałam mu odpowiedzieć, gdy ponownie drzwi się otworzyły, a wartownik donośnym głosem zakrzyknął:

– Książę Ekhard czeka!

Weszliśmy w trójkę: Dunham, Herman i ja. W pogrążonej w półmroku komnacie dostrzegłam ogromne łoże z baldachimem oraz postać stojącą u wezglowia. Gdy podeszliśmy bliżej, w tym stojącym mężczyźnie rozpoznałam Dewina. A już prawie o nim zapomniałam.

Medyk zmierzył nas nieprzyjemnym spojrzeniem i szczególnie długo wpatrywał się w nasze splecione dłonie.

– Kolejny powrót z zaświatów? – zadrwił. – I to jaki!

– Hermanie, to ty? – Zza kotar baldachimu doleciał ściszony, niewyraźny głos, który w żaden sposób nie przypominał mi głosu Ekharda.

Dewin z troską pochylił się nad chorym, skrytym wśród pościeli.

– Odsuń kotary, Dewinie. Niech ucieszę nimi oczy. Wszak jużemy ich opłakali.

Mistrz niechętnie wykonał polecenie władcy, upinając grube zwoje materiału do balustrady przy wezglowiu łoża. Teraz dopiero zobaczyłam wychudzoną, niezwykle bladą twarz Ekharda. Aż mnie ścisnęło w sercu. Zaledwie kilkanaście dni temu widziałam go zdrowego, energicznego i pełnego wigoru, dziś miałam przed sobą

schorowaną, słabą istotę, która zdawała się resztkami sił kurczowo trzymać życia.

– Herman... – wyszeptał władca. – I czarodziejka... Jednak żywi jesteście! A mnie w chorobie widzicie. Jam już was pochował i myślał, co wkrótce w zaświatach się spotkamy. – Mówienie musiało mu sprawiać trudność, bo na czole pojawiły się kropelki potu, które władca otarł chudą dłonią. – Cóż się z wami działo, jakeście się uratowali? Tyle dni was nie było...

– Koń Julię poniósł, a jam na ratunek jej ruszył. W ostatniej chwili ją dopadłem... Ledwie zdołał przeskoczyć z grzbietu mego wierzchowca na Lunę i pochwycić Julię w pasie... Nijak nie było sposobu, by Lunę okiełznać... Musielim w biegu zeskakiwać, by uchronić się przed niechybną śmiercią. Upadlim na twardą ziemię. Jam starał się Julię ochronić i cały impet uderzenia wziął na siebie, przez co przytomność straciłem. Gdym się ocknął, Julia, która mniejsze obrażenia odniosła, powiedziała mi, że konie uciekły, gdym leżał bez rozumu. Mój miecz przy siodle ostał... Byliśmy sami, gdzieś w lesie, nie znając drogi powrotu. Wiesz, panie, jak Las Potępionych zwodzi wędrowców, którzy pobłądzą w jego ostępy. My też błądziliśmy, szukając dla się ratunku. Jedliśmy korzonki i dzikie owoce, a pragnienie gasiliśmy wodą deszczową. Nadzieję już prawie straciliśmy, że kiedyś uda się nam opuścić te knieje. Jednak las swą łaskawość nam okazał i pozwolił natrafić na rzekę. Idąc jej brzegiem, podążając za nurtem, wyszliśmy na trakt. Sam nie wiem, ile dni przyszło nam w lesie spędzić. Cud to prawdziwy i bogów zasługa, że dane nam jest widzieć cię, panie, ponownie i pośród ludzi przebywać. Zasługa też niemała wieśniaka, którego na trakcie napotkaliśmy, a który w swej wielkoduszności zgodził się podwieźć nas do zamku. – Herman opowiedział naszą historię, daleko odbiegając od prawdy, ale przecież inaczej nie mógł postąpić. – Jeśli zgodziłbyś się, panie, tego człeka nagrodzić... Biedaczyna przywiózł siano dla koni, ale sam ledwie przedzie. Gdybyś zechciał mu, panie, worek mąki podarować i antałek miodu... Przy stajni czeka.

– Mąkę i miód otrzyma – zapewnił władca. – Kto poratuje mego rycerza w potrzebie, mej wdzięczności może być pewien. Zaraz Dewin zleci, co by mu z zamkowego spichlerza nagrodę wydać. A więc powiadacie, że koń Julię poniósł? Mój też oszalał. Może to ta sama żmija na drodze nam stanęła? Może to Mateo za pomocą czarów ją sprowadził?

– Lasy pełne wszelkiej gadziny – potwierdził Herman.

Zdziwiłam się, że tak pokierował historią, iż nie było sensu wspominać o ostrożyczce znalezionej pod moim siodłem. Ciekawiło mnie jednak, czy i pod siodłem Ekharda można by znaleźć ów ciernisty owoc. A jeśli tak, to kto dybał na nasze życie? Dewin?

Mistrz nie spuszczał wzroku z mojej dłoni, splecionej z dłonią Hermana. Zmrużone oczy i zmarszczone czoło świadczyły, że zastanawiał się nad czymś intensywnie, a znając go, domyślałam się, że coś knuł. Prawdziwą satysfakcją sprawiało mu gnębienie ludzi, których nienawidził.

– Panie, twój rycerz i... czarodziejka wrócili – odezwał się przesłodzonym tonem, który nie pasował do wyrazu jego twarzy. – Cieszyć się nam zatem trzeba, a nie wszystko rozpamiętywać. Tym bardziej że to niejedyna dobra rzecz, jaka nasz dwór w chwili smutku spotkała. Myślę, panie, że to ty powinienes ogłosić Hermanowi tę jakże radosną nowinę.

– Masz rację, Dewinie. Masz rację – potwierdził książę. – W chwilach smutku

są i dobre momenty. Wróciliście żywi, co cudem nazwać można, a inszy cud zdarzył się tu także, niejako za przyczyną samej Julii.

Zaniepokoiłam się. O co mogło chodzić? Dewin miałby radować się z czegoś, co stało się za moją przyczyną?

– Hermanie, tyś urodzon pod gwiazdą szczęśliwą. Śmierć twą rodzinę omija z daleka. Twa żona Balduria, choć bliska była pomarcia i szans jej żadnych nikt nie dawał, wydobrzała i...

Uścisk dłoni Hermana zelżał. Poczułam, jak nasze palce się rozplatają... Spojrzałam na niego i dostrzegłam ściągniętą cierpieniem twarz.

– Balduria... żyje? – wyjąkał.

– Żyje, żyje i żyć będzie! – Radość bijąca ze słów Dewina była aż nadto przesadzona. Najwyraźniej wyczuł, że mnie i Hermana coś łączy i teraz cieszył się, że sprawi nam ból. – Czyż to nie wspaniała wiadomość? Masz żonę i dziecko, którzy na cię czekają. Szczęśliwy musisz być bardzo i pewnikiem już się doczekać nie możesz, aby do nich biec i się przywitać. Aby swą niewiastę wziąć w ramiona. Los i bogowie są dla was łaskawi.

Utraciłam Hermana! Czułam to aż nazbyt dobrze. Honor nigdy nie pozwolił mi na złamanie ślubów, jakie złożył Baldurii. Jeśli ona żyła, nic nie było w stanie sprawić, abyśmy mogli być razem. Z trudem powstrzymywałam łzy.

– Idź, idź, Hermanie. Przywitaj się, ukochaj swoich bliskich. – Ekhard uniósł rękę i wskazał na drzwi, dając tym znać Hermanowi, że może odejść.

– Dziękuję, panie. – Głos mego towarzysza pozbawiony był barwy.

Nie patrzył na mnie. Spuścił głowę i wolnym krokiem, niczym skazaniec, ruszył do wyjścia.

– A ty... – Ekhard przemówił do mnie – pewnikiem chcesz także odświeżyć się i szaty niewieście przywdziać. Dunham do komnat Laveny cię odprowadzi.

– Panie! – Dewin pochylił się nad schorowanym księciem. – Zważ, że ona sama z Hermanem przez długi czas była. Co ludzie będą gadać! To przecie nie przystoi, aby niewiasta bez ślubu sam na sam z mężczyzną przebywała.

– Herman to człek z honorem...

– Nie przeczę, panie, że honorowy z niego mężczyzna, ale jednak mężczyzna. Tym bardziej sprawa się komplikuje, że Herman żonę ma...

– Prawda to. – Ekhard wyraźnie się zasmucił. – I co my na to poradzimy?

– A gdyby tak... – Tu Dewin jeszcze niżej przychylił się ku władcy, szepcząc mu coś na ucho.

Chociaż wytężyłam słuch, nie usłyszałam, o co chodziło i jakież to kolejny plan uknuł zniechęcony mistrz.

– Dobrze prawisz! – Ekhard zaklaskał w dłonie. – Dunhamie prowadź Julię do Laveny, niech się nią zaopiekuje, tak jak wcześniej – polecił właścicielowi bokserskiego nosa.

– Chodźmy! – Dunham otworzył drzwi.

Miałam tyle pytań! Przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, co takiego wymyślił Dewin. Bałam się, że to może mi się nie spodobać. Nie mogłam jednak zasypać księcia gradem pytań, widziałam, że jest w naprawdę złej formie. Posłusznie podążyłam w stronę wyjścia. W progu zatrzymałam się na moment i odwróciłam. Mój wzrok napotkał spojrzenie Dewina. Ironiczny uśmiezek wykrzywił przystojną

twarz mistrza. Już wiedziałam, że szykują się kolejne kłopoty. No cóż, w końcu wróciliśmy na zamek.



## XXVII. CHWILE ZWĄTPIENIA

Mój świat się skończył. Kroczyłam u boku Dunhama, żałując, że przeżyłam, że zostałam ocalona, że wróciłam na zamek. A najbardziej żałowałam tego, że żona Hermana uniknęła śmierci.

Wiem, byłam potworem! Jak mogłam komukolwiek tak źle życzyć? Powinnam się cieszyć, że dzięki mojej interwencji zarówno matka, jak i dziecko mieli się dobrze. W pewien sposób rzeczywiście napawało mnie to radością i dumą, jednak radość z ocalenia ich życia psuła świadomość, iż moje plany związane z Hermanem leżały właśnie w gruzach. Mimo iż bardzo chciałam wrócić do swojego świata, to jednak, odkąd pokochałam Hermana, te pragnienia odsunęły się na plan dalszy. Nie znaczy to jednak, że z nich zrezygnowałam i definitywnie postanowiłam tu zostać. O nie! Po prostu na razie skoncentrowałam się wyłącznie na tym, aby być z Hermanem. To stało się siłą napędową moich działań. Powrót do mojego świata był dla mnie nadal bardzo ważny i gdzieś w głębi umysłu cały czas zastanawiałam się, jak pogodzić go z miłością do Hermana. Czy mogłabym go zabrać ze sobą? Jak poradziłby sobie w tak odmiernej rzeczywistości? Czy to w ogóle wykonalne? A jeśli jednak miałabym tu zostać na zawsze... Jeśli właśnie tak miałoby się stać, to miałam nadzieję, że uda się nam uprosić księcia Ekharda, aby udzielił nam dyspensy na ślub i wspólnie wychowamy dziecko mego ukochanego. Te marzenia wydawały mi się bardzo realne i naprawdę byłam pewna, że nic nie stanie na drodze do ich realizacji. Nie przewidziałam, że Balduria mimo braku odpowiednich warunków higienicznych przy operacji, antybiotyków i wykwalifikowanego personelu medycznego jakimś cudem przetrwa. Mówiąc szczerze, nawet przez chwilę nie sądziłam, że mój pomysł z cesarskim cięciem zakończy się pełnym sukcesem.

Pogrążona w tych smutnych rozważaniach, nawet nie zauważyłam, jak dotarliśmy do części zamku, zajmowanej przez Lavenę. Z zamyślenia wyrwało mnie dopiero energiczne stukanie do drzwi – to Dunham swoją potężną dłońią załomotał w deski, które, choć solidne, pod tym naporem wyraźnie zadrżały.

– A kogo tam licho niesie? – Zza zamkniętych drzwi usłyszałam kobiece utyskiwanie i już po chwili zobaczyłam rumianą twarz piastunki. – A po jakiego czorta walisz tak w te drzwi! – Comta podparła się pod boki i srogim wzrokiem zmierzyła Dunhama. – Nachodzić ci się zachciało uczciwe niewiasty? Oj, dowie się o tym panicz Weylin, dowie.

– Gdzież tam, Comto, jam żadnych złych zamiarów nie miał, ino księżę Ekhard kazał mi przyprowadzić tę nieszczęśnicę. – Tu odsunął się trochę na bok, ukazując rozsierdzonej dwórcie moją pożałowania godną osobę.

Zaskoczona kobieta przyglądała mi się uważnie.

– To ja, Julia – wyszeptałam, wiedząc dobrze, że nie przypominam siebie samej.

– Na świętości Burii! – Comta teatralnym gestem załamała ręce. – Na świętości Burii – powtórzyła. – Co za cuda! Żywa! Panienko Laveno! – Odwróciła się do wnętrza. – Panienko Laveno, prędko. A to niespodzianka! A tobie za fatygę dziękuje-

my... – Ponownie spojrzęła na Dunhama. – ...lecz zbędnym nam teraz.

Rosły rycerz, niczym małe dziecko, niepewnie zaszurał nogami, po czym posłusznie się oddalił. Comta zaś rozpostarła ramiona i zanim zdążyłam się zorientować, zamknęła mnie w serdecznym uścisku.

– Toć myśmy myśleli, że zginęliście. Tyleśmy łez wylali. Panienska Lavena oczęta sobie prawie wypłakała. Oj, niebożatko ty moje, cóżes ty przejść musiała.

– Czemu mnie, Comto, wołaliście? – Do drzwi podeszła Lavena i zatrzymała się w progu, patrząc na przedziwną scenę: oto potężna dwórka tuliła do siebie jakiegoś obdartusa, zanosząc się przy tym urywanym szlochem. – Co się dzieje?

– Panienko! – Comta wreszcie wypuściła mnie ze swych ramion, a uczyniła to tak gwałtownie, że aż zatoczyłam się na ścianę. – To panienska nie poznaje, kto wrócił? Przecie to Julia!

Nie spodziewałam się wybuchu takiego entuzjazmu na mój widok. Jeszcze nie tak dawno zarówno Comta, jak i inne dwórki unikały mnie, patrząc niczym na szatański pomiot, a tu nagle taka zmiana frontu. Czyżby dlatego, że uratowałam życie Baldurii i jej dziecka?

– Julia! – Lavena podbiegła do mnie i teraz znalazłam się w ramionach siostry Weylina. – Ty żyjesz! O bogowie, ty żyjesz! A Herman też żyw? Proszę, powiedz, czy on też żyw...

– Żyw – przyznałam, czując jednocześnie monstrualne wyrzuty sumienia.

Gdyby Lavena wiedziała, co zaszło między mną a Hermanem... Nikt nigdy nie może się o tym dowiedzieć. Nie teraz, gdy Balduria ozdrowiała.

– Co za szczęście! To cud prawdziwy! Och, Comto, zwołaj służki, niech Julii kąpiel uszykują! Biedactwo, przejść wiele musiała. Najlepsze stroje przynieście i ja dła przygotujcie. Świętować będziemy. A to się Weylin ucieszy!

Wreszcie Lavena jakby trochę ochłonęła. Wypuściła mnie z objęć, ale jakby się bała, że znów gdzieś zaginę, poprowadziła do komnaty, trzymając za rękę. Comta wytarła nos w wielką białą chustkę i pobiegła spełnić jej polecenia.

Po jakimś czasie, wreszcie wykąpana, natarta olejkami, uczesana, ubrana w najlepsze stroje Laveny i syta po wyśmienitym posiłku, mogłam spokojnie zastanowić się nad swoim przyszłym losem. Lavena dała mi chwilę wytchnienia, nie pytywała i nie nalegała, abym natychmiast wszystko jej opowiedziała, chociaż miałam pewność, że zżerała ją ciekawość. Zamiast tego zabrała mnie na krótki spacer do zamkowego ogrodu, czyli prostokątnego dziedzińca na tyłach budowli, otoczonego z trzech stron ścianami zamczyska, a z czwartej strony wysokim kamiennym murem obrośniętym bluszczem.

Prawdę mówiąc, miejsce to nieszczególnie przypominało ogród. Liczne rabaty porośnięte były karłowatymi krzakami, drzewa, tak jak i te, które widziałam na zewnątrz, miały poskręcane gałęzie i wyglądały jakby cierpiały. Nic nie kwitło, w ogóle nie było żadnych kwiatów. Nawet stojąca pośrodku fontanna w kształcie łabędzia wypływającego wodę przez otwarty dziób nie poprawiała przygnębiającego wrażenia.

Lavena poprowadziła mnie w kąt tego osobliwego ogrodu, gdzie nieopodal zarosniętego zielskiem muru stała kamienna altanka, opleciona łądogami jakiejś nieznaney mi rośliny. Obok altany ustawiono drewnianą ławę z oparciem, na której usiadłyśmy.

W ogrodzie panował spokój i cisza. Żadne dźwięki z zewnątrz nie docierały. Nawet wiatr zdawał się omijać to miejsce. Zapragnęłam, aby Herman był tu ze mną, aby siedział tuż obok, aby obejmował mnie ramieniem. Zagryzłam wargi, myśląc, że w tej chwili pewnie tuli do siebie żonę, że wspólnie radują się z dziecka. Chyba nieświadomie z mej piersi wyrwało się westchnienie, gdyż Lavena, zajęta haftowaniem białej serwety, z zaciekawieniem uniosła na mnie wzrok.

– Nic mi nie jest – uspokoiłam ją prędko. – To tylko westchnienie ulgi, że wreszcie jestem w domu.

W domu? Zaskoczyły mnie własne słowa. Jak mogłam tak powiedzieć o tej krainie, o tym zamku? To nie był mój dom i nigdy nie będzie, nawet jeśli przyjdzie mi tu żyć przez długie lata. Mój dom pozostał w Polsce, w dwudziestym pierwszym wieku – gdzieś bardzo, bardzo daleko stąd, w zupełnie innym wymiarze.

– Na pewno wiele przeszłaś. – Lavena nie wytrzymała. Zapewne cały czas się głowiła, jak zacząć rozmowę i wykorzystała pierwszą nadarzącą się okazję.

– Zagubienie się w środku nieprzebitego lasu nie należy do przyjemności – odpowiedziałam dyplomatycznie.

– Na szczęście Herman był z tobą. Tyle czasu spędziłaś z nim sam na sam...

– Uratował mi życie, opiekował się mną. – Staralam się, aby mój głos brzmiał w miarę normalnie.

– Być przez niego uratowaną! – Lavena wpięła igłę w materiał i odłożyła robótkę na kolana. – Ach, to musiało być cudowne. On jest taki opiekuńczy, taki dzielny...

– To prawdziwy rycerz, myślę jednak, że każdy na jego miejscu zachowałby się podobnie. Akurat tak się złożyło, że to on jechał za mną i był świadkiem, jak koń mnie poniósł. Ruszył za mną w pogoń, a potem... – I opowiedziałam wszystko tak, jak przedstawił Herman Ekhardowi.

– Weylin szalał z niepokoju. Wyrzucał sobie, że nie miał na ciebie należytego baczenia. Żebyś widziała, jaki był wściekły. Nie chciał nikogo słuchać, tylko się uparł, że was odnajdzie. Nawet gdy wasze konie same wróciły i wszyscy uznali, że już po was. Tylko Weylin nie tracił nadziei. Samopas na poszukiwania zaczął się wyprawiać, choć to wielce ryzykowne.

– Cały Weylin – zbagatelizowałam sprawę, chociaż moje serce zaczęło bić niebezpiecznie szybko. Weylin przejął się moim zniknięciem? Szukał mnie? Martwił się o mnie? Nie chciałam przyznać się przed samą sobą, ale ta wiadomość na swój sposób sprawiła mi radość. – A powiesz mi, jak to było, że Balduria wyzdrowiała? Gdy wyjeżdżaliśmy, nikt szans jej żadnych nie dawał.

Po prostu musiałam się tego dowiedzieć. Ta myśl ciągle mnie dręczyła. Gdy wyruszyliśmy na łowy, byłam pewna, że dni Baldurii są policzone. Bez fachowej pomocy medycznej, antybiotyków, aparatury jej los wydawał się z góry przesądzony. Jakim cudem tak nagle ozdrowiała?

– Prawda to. Nikt jej szans nijakich nie dawał. Razem z Ewenem i Comtą przy niej trwaliśmy, pojąc ziołami i okłady robiąc. Drugiego dnia po waszym odjeździe gorączka zaczęła spadać, a Balduria oczy otworzyła. Najsampierw Hermana przyzywać zaczęła, aleśmy jej wytłumaczyli, co czas łowów nastał. Biedulka chyba jeszcze do końca rozumu nie odzyskała, bo tylko płakała, a gdyśmy jej dzieciątko przynieśli, oczy dłońmi zasłoniła, z krzykiem zabrać je kazała i nie pokazywać więcej.

– To się nazywa depresja poporodowa. – Znowu zabłysnęłam swoją wiedzą. W tej krainie byłam chyba istnym geniuszem i chodzącą encyklopedią. – Kobiety tak czasem mają. Potrzebują wtedy dużo wsparcia ze strony bliskich i...

Wsparcia? Jej wsparciem teraz będzie Herman, a ja zostałam zupełnie sama. Sama po tym wszystkim... Jak będę mogła dalej żyć, wiedząc, że oni są razem?

– Zabraliśmy więc dzieciątko i piastunce powierzyliśmy, aby bidulka mogła dojść w spokoju do siebie. I wtedy wieści przyszły, żeście w lesie zaginęli. Długośmy nic jej o tem nie mówili, ale gdy nadzieja przepadła, trzeba było ją na ten cios straszliwy przygotować. O, żebyś wtedy jej twarz widziała. Nie płakała, tylko temi swemi oczami patrzyła na nas, a ból z nich taki okrutny wyzierał... A potem powiedziała, że sama chce zostać, cobyśmy wyszli z jej komnaty. Gdy drzwi się za nami zamknęły, doleciał nas wrzask straszliwy, nieludzki prawie. Wróciliśmy natychmiast, a ona, na łóżku leżąc, drapała się po twarzy, po rękach, aż krwawe ślady zostawiła. Ledwośmy ją uspokoiли.

Biedna Balduria musiała prawdziwym uczuciem darzyć Hermana. Na pewno bezinteresownie, z własnej woli, nie poświęciłaby dla niego swego honoru, wyznając przed Ekhardem, że to ona chodziła na potajemne schadzki. Już zdążyłam się zorientować, że w Burii honor to rzecz najświętsza i najgorsze, co może się stać, to go splamić.

– Domyślam się, co czuła. Sama ledwie żywa, a tu taka wiadomość.

– Oj, źle z nią było, myślelim, że rozum do cna straciła. Mówić przestała i tylko leżała w łóżu i na okno patrzyła, a wzrok jej był taki pusty... Chciałam ją pocieszyć, przychodziłam do niej, siadałam obok. Czasem w takim milczeniu i dzień cały przesiedziałyśmy. Comta najlepsze przysmaki jej szykowała, ale nijakiej pochwały się nie doczekała. Balduria posłusznie zjadała to, co jej dawaliśmy, pozwalala się myć, czesać, przebierać, karmić, ale nigdy nie wyrzekła słowa, jakby się zacięła w sobie. Jakby żyła, a nie żyła. Miejmy nadzieję, że teraz, gdy Herman wrócił, znowu będzie tą samą Baldurią co zawsze.

Dalszą rozmowę przerwał nam odgłos czyichś szybkich kroków, a gdy zaciekawione spojrzaliśmy w stronę, skąd dochodził, ujrzałyśmy Weylina, biegnącego przez zwirowane ogrodowe alejki, pomiędzy karłowatymi drzewami. Ostatni raz widziałam go na polowaniu, ale miałam wrażenie, jakby to było wczoraj. Nawet strój miał podobny do tamtego. Moje serce znowu niebezpiecznie zadrżało, wprawiając mnie tym w niekłamane osłupienie. Czy można coś czuć do dwóch facetów jednocześnie? Do tej pory wydawało mi się, że nie, teraz nabrałam wątpliwości.

– Na świętości Burii! Własnym oczom nie wierzę! Ledwie bramę przekroczył, gdym tę wiadomość radosną otrzymał. Wszyscy na zamku już o tym prawią! Tyleście dni w Lesie Potępionych przetrwali! – Dobiegł do mnie, jakby z zamiarem uściskania, ale pohamował się i jedynie dotknął obiema dłońmi moich ramion, zaciśkając na nich palce. – Żyjecie! Pewien tego byłem, lecz nikt mi nie wierzył! Żyjecie oboje.

– Żyjemy – przyznałam, wstając z ławy. – Ciebie również miło widzieć. Przykro mi tylko, że twój wujek chory...

Opuścił ręce, zwieszając je wzdłuż ciała. Patrzył na mnie tak, jakby widział po raz pierwszy w życiu. Jakby chciał nauczyć się mojej twarzy na pamięć.

– Na łowach wszystko zdarzyć się może – odpowiedział. – Każdy z nas świa-

domość takową ma. Jedyna pociecha, że nikt życia nie postradał, a wcześniej i tak bywało. Opowiadaj, jakieście sobie w lesie radzili. Tyle dni... To cud prawdziwy. Mam nadzieję, że Herman należytą opieką cię otoczył?

– Jak widzisz, cała jestem i zdrowa. Herman doskonale wywiązał się ze swego zadania.

Oj, i to jeszcze jak się wywiązał. Ciekawe, jak by Weylin zareagował, gdybym mu opowiedziała o wszystkim, co zdarzyło się nad wodospadem? Byłby zazdrosny? Jakoś w głębi duszy chciałam, aby był.

– Raduje mnie to niezmiernie. Już teraz do komnat Hermana bym pobieżyła, aby i jego należycie przywitać, ale rozumiem, że on czasu potrzebuje. Dobry los wszystko mu wynagrodził i sprawił, że Balduria ozdrowiała. Twoja zasługa w tym też nie miała. Na zamku wszyscy gadają, że moc twoja przeogromna, a teraz, gdyś sama śmierci uciekła, jeszcze większym poważaniem będziesz otoczona. Nikt sam tyle czasu w Lesie Potępionych nie przetrwał. Nawet Herman, któremu przy poprzednich łowach przyszło już samotną wyprawę przez las odbyć.

– Nie byłam sama. – To zabrzmiało bardzo skromnie.

– Stamtąd i rycerze wprawieni w bojach nie wracają. Zaprawdę trzeba magię mieć po swojej stronie, aby wszelakich niebezpieczeństw uniknąć i złu się nie dać.

– Po prostu miałam szczęście.

– Daj jej, bracie, spokój.

Lavena odłożyła na bok swoją robótkę i również wstała z ławy. Do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się naszej rozmowie, teraz jednak postanowiła wreszcie zabrać głos. Musiało to być dość niezwykle zachowanie z jej strony, gdyż Weylin spojrzał na siostrę jak na przybysza z odległej galaktyki.

– Nie widzisz, że biedactwo ciągle jeszcze jest wystraszona? Chcesz rozdrapywać niezagojone rany? Ten pobyt w lesie to nie był dla niej odpoczynek, tylko walka o przetrwanie. Mogła przecie nie wrócić. Sam wiesz, co tam czyha...

Gdyby oni znali prawdę... Jak zareagowaliby na wieść o Sawie, który wyklął się z pulsującego światłem jaja, o locie na skrzydłakach? A pobyt nad wodospadem? Nie znali prawdy i lepiej, żeby jej nigdy nie poznali.

– Rację masz, siostrze – przyznał tymczasem Weylin, po czym pokłonił się przede mną. – Wybacz moją obcesowość i natręctwo. Wierzaj, że przykrości nie chciałem ci wyrządzić. Po prostu moja radość z waszego powrotu była tak ogromna, że przesłoniła rozsądek. Na przyszłość umiar zachowam, na co masz moje uroczyste słowo.

– Nie wątpię, drogi Weylinie. – Z trudem hamowałam śmiech, widząc wyraz jego twarzy. W tej chwili wyglądał jak skarcony dzieciak, któremu zakazano najlepszej zabawy. – Ja urazy nie chowam. W końcu każdy z nas jest ciekawy, to całkiem naturalne uczucie.

– Pójdę już. – Skłonił się ponownie. – Jeszcze raz o wybaczenie proszę.

– On tak zawsze? – zapytałam Lavenę, gdy tylko Weylin odszedł na tyle daleko, że nie mógł nas już słyszeć.

– Dobry z niego człowiek. – Patrzyła w ślad za bratem. – Tylko szczęścia mu brakuje.

– Jemu? Przecież jest siostrzeńcem księcia Ekharda i po nim obejmie władzę. – Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. – Kto jak kto, ale on nie powinien mieć powodów

do narzekania.

– Mało znasz nasze zwyczaje – westchnęła ze smutkiem. – Jużem ci mówiła kiedyś, że nasze życie zostało umyślane zawczasu. Nie mamy prawa o nim decydować. Weylinowi niespieszno do ślubu, a tu oblubienica już w drodze, lada dzień można się jej na zamku spodziewać... Myśleliśmy, że choroba Ekharda odsunie w czasie nasze zaślubiny, ale ksiązę nalega, aby stało się to tak, jak wcześniej ustalili. Ino patrzeć, jak orszaki ślubne przybędą.

– O mamusiu! – Złapałam Lavenę za ręce i mocno ścisnęłam. – Nie możesz się na to zgodzić. Jeśli nie kochasz swego przyszłego męża... Kurczę, nie możesz być przecież przez resztę życia nieszczęśliwa! I Weylin tak samo! Musicie się sprzeciwić! Musicie walczyć o swoje! Czekaj! Ja porozmawiam o tym z księciem Ekhardem! – krzyknęłam nagle. – Ja mu wszystko wytłumaczę. Przecież on nie jest głupi i rozumie. Te stare przeżytki trzeba zmienić. Trzeba wpuścić trochę świeżości na zamek! Co to znaczy, żeby małżonków wybierać? A to prawo, mówiące o wieczystych ślubach, których nawet śmierć nie rozwiązuje? Przecież to skandal! To, to... to ograniczenie wolności osobistej!

– Tak było i tak być musi – odparła z przekonaniem. – Nie nam decydować o tem, co dobre, a co złe. Bogowie nasi reguły ustanowili i te reguły przez wieki nikomu nic złego nie zrobiły. Kiedy jednak próbowano wprowadzić zmiany...

Umilkła, ale ja wiedziałam, o czym myśli. Ksiązę Ekhard zezwolił na powtórny ślub swojej siostry, a jej zmarły pierwszy mąż powrócił nagle z zaświatów, cały i zdrowy, powodując przy tym lawinę tragicznych wypadków. To faktycznie mogło zniechęcić do wszelkich zmian. Ja jednak nie byłabym sobą, gdybym nie spróbowała interweniować. Burii należała się głębsza, całościowa reforma, a ja miałam motywację, aby chociaż o niej wspomnieć.

– Droga Laveno, nie mówię, że wasze prawa są złe, ale trochę już nieaktualne. Świat idzie do przodu. W mojej krainie ślub można brać wiele razy i to nawet wtedy, gdy wcześniejszy małżonek żyje. Wystarczy wziąć rozwód.

– Jakże to? Przecie to grzech okrutny! – wykrzyknęła, zasłaniając usta dłonią.

– To prawda. Moja mama rozwiodła się z tatą, a tata ponownie się ożenił i ma nową rodzinę.

– Niepodobna!

– Szczerą prawdę ci mówię. Co więcej, nawet żona następcy tronu – księżniczka Diana – rozwiodła się ze swoim mężem i znalazła nowego adoratora. Ale ona akurat szczęścia nie miała, bo zginęła w wypadku wraz ze swym ukochanym. Za to jej były mąż ożenił się powtórnie z kobietą, którą kochał od dawna, i są szczęśliwym małżeństwem.

– Okropność. – Wzdrygnęła się. – Jakże tak można? I wszyscy na to pozwalają? Takiego władcę szacunkiem darzą?

– Tak – potwierdziłam, nie wnikając zbyt w szczegóły. – I każdy sam wybiera sobie małżonka.

Znowu trochę skłamałam, bo przecież w różnych kulturach różnie to wygląda, ale ja jestem Polką i mogę opowiadać tylko o tym, co jest właściwe dla mojego kraju. W każdym razie tak sobie tłumaczyłam moje małe oszustwo.

– Dziwny to kraj i cudaczne zwyczaje. Straszny chaos musi u was panować, jak nikt tego nie reguluje i w ryzach nie trzyma. Żeby nawet władca takowy przykład

dawał. Toż to się w głowie nie mieści!

Zrozumiałam, że przede mną trudniejsze zadanie, niż się początkowo spodziewałam. To zaskakujące, ale chociaż Lavena kochała Hermana, poddawała się jednak woli wuja, dlatego że tak stanowiły prawa. Co za nonsens! Totalne szaleństwo! Własne uczucia się nie liczyły, tylko to, co przed wiekami ustaliły jakieś stare grzyby, powołujące się na boskie wskazania! Oj tak, w tym momencie byłam już naprawdę zła. Jeśli miałam żyć w tym kraju, choćby tylko chwilowo, to musiałam zrobić wszystko, aby stał się bardziej przyjazny dla ludzi.

– Porozmawiam z księciem – zapewniłam. – Przecież chyba tego nikt mi nie zabroni. Chociaż... A może u was nawet propozycje wszelakich zmian są zakazane i od razu grozi za nie ścięcie lub inna wyszukana kara?

– Nikt nigdy żadnych propozycji nie składał, bo i potrzeby nie było. Tu wszyscy ludzie zgodni i prawa przestrzegający.

– Dobrze, Laveno. – Postanowiłam ją uspokoić, gdyż najwyraźniej moje słowa nie przypadły jej zbyt do gustu. – Powiedz jednak, tak szczerze, czy nie wolałabyś sama męża sobie wybrać, którego naprawdę byś kochała i z którym chciałabyś być?

– To, co bym chciała, znaczenia nie ma żadnego!

Masz ci los! I rozmawiaj tu z taką! Jakby grochem o ścianę. Ja jej jedno, ona mi drugie. Zero współpracy.

– A ja myślę, że ma. – Wreszcie sięgnęłam po broń ostateczną. – Mówiłaś mi o tym, co czujesz do Hermana.

To nie było zbyt miłe z mej strony, gdyż świadomie przykrość jej sprawiałam, wspominając o Hermanie. Tym bardziej byłam podła, że sama dopuściłam się okropnej zdrady, której Lavena nigdy by mi nie wybaczyła. Wstyd! Poczulałam się jak perfidna, dwulicowa żmija. Ale co było robić? Nadal musiałam grać swoją niezbyt przyjemną rolę.

– Gdyby nie to wasze przestarzałe prawo, to ty mogłabyś być teraz jego żoną, a nie Balduria! Twoja przyjaciółka nie musiałaby na siebie winy brać i kłamać przed władcą. Taka honorowa jesteś, a na taki postępek się zgodziłaś?

Mówiąc to, czułam się bardzo niekomfortowo, a właściwie miałam okropne wyrzuty sumienia, jednak zdawałam sobie sprawę, że tylko tak mogę poruszyć Lavenę. I jak się okazało, trafiłam w czuły punkt. Dziewczyna przygarbiła się niczym pod wpływem ogromnego ciężaru, który właśnie spoczął na jej ramionach. Odwróciła się ode mnie i pochyliwszy się, uniosła robótkę z drewnianej ławy. Ostrożnie złożyła ją i schowała do wiklinowego koszyka, z którym przyszła.

– Chciałabym być z nim – przyznała wreszcie. – Tobie jednej to powiedziałam, a ty wykorzystujesz to przeciwko mnie?

– Nie, kochana. Ja tylko chcę ci pomóc.

– W jaki sposób? Przecie to niewykonalne. Nie teraz, gdy ma żonę i dziecko. Straciłam go bezpowrotnie.

Ja też. Nawet bardziej niż ty, bo ty wzdychałaś tylko potajemnie i wsłuchiwałaś się w jego głos, gdy opowiadał ci o zwierzętach, ja zaś znam siłę jego uścisku, smak jego pocałunków i... O Boże, nawet nie chciałam o tym myśleć, bo od razu miałam ochotę płakać. Przez głupie prawo Burii straciłam największą miłość mego życia!

– Czyli chociaż nie chcesz, poślubisz tego kantońskiego księcia? A Weylin

pojmie za żonę jakąś obcą kobietę?

– Tak będzie – potwierdziła, a ja nabrałam przekonania, że zrobię wszystko, aby tak się nie stało.



## XXVIII. W KRĘGU PODEJRZEŃ

Do wieczora miałam możliwość przekonać się o swojej oszałamiającej popularności. Gdy wracałam z Laveną z ogrodu, spotkałyśmy mnóstwo osób, które jakoby przypadkowo znalazły się na naszej drodze. Wszyscy zerkali na mnie z ogromnym zainteresowaniem, ciekawi, jak wygląda osoba, która przybyła z innego świata, uratowała życie Baldurii i jej dziecku oraz – co niesłychane – przeżyła w Lesie Potępionych kilkanaście dni, po czym wróciła stamtąd cała i zdrowa. To był wyczyn wręcz godny odnotowania w księdze rekordów i pewnie tak by się stało, gdyby prowadzili tu takowy rejestr.

Udając, że nie dostrzegamy tłumu gapiów, wróciłyśmy do komnaty, a ja z ulgą położyłam się na miękkim łożu. Cóż to była za odmiana po spaniu na ziemi. Niestety, i tu spokój nie był mi dany. Otóż ciekawscy przypuścili szturm na apartamenty Laveny. Marion i Comta nie nadały otwierać drzwi. Okazało się, że właśnie wszystkie damy potrzebują natychmiastowej pomocy od siostry Weylina: porad dotyczących a to haftu, a to uprawy ziół, a to gry na harfie. W końcu Comta nie wytrzymała i powstrzymała natrętów. Stała w otwartych drzwiach i, zasłaniając swoją ogromną posturą wejście i zaplatając ręce na piersiach, obwieściła tubalnym głosem:

– Na dziś dosyć tych odwiedzin. Troszkę ogłady by się przydało i rozumu. Wszak strudzonym podróżnym należy się zasłużony odpoczynek. Dobre wychowanie nakazuje uszanować ich spokój. Idźcie do swoich komnat i głowy nam nie zawracajcie.

Musiałam przyznać, że Comta, kiedy chce, potrafi być naprawdę bardzo groźna, chociaż pocziwa z niej kobieta o gołębiu sercu. Dzięki niej odwiedziny się skończyły, a ja wreszcie mogłam odpocząć. Potrzebowałam tego jak niczego innego na świecie. Nawet nie wiedząc kiedy, nie przebierając się, zapadłam w sen i spałam tak aż do rana.

\*\*\*

O dziwo, Comta nie pomstowała, że pogniotłam suknię. Pomogła mi zdjąć pomięte ubranie, przygotowała kolejną kąpiel (och, kocham ją za to), a następnie przyniosła czystą zmianę garderoby. Leżąc w drewnianej bali, wypełnionej gorącą wodą, którą cztery służki przytaczały w dużych wiadrach, zaczęłam analizować, co mogę zrobić, aby uczynić życie w Burii lepszym. Na pewno trzeba zlikwidować lub chociaż zmodyfikować przestarzałe prawa. Tak, to na pierwszym miejscu. Ale jak tego dokonać? Czy Ekhard będzie chciał mnie wysłuchać? Muszę spróbować, tylko jak?

– Wybacz, Julio, że ci przeszkadzam. – Do komnaty zajrzała Lavena. – Mam coś twojego i myślę, że chciałabyś to odzyskać. – Podeszła do ławy i położyła na niej mój plecak.

– Ojejku, martwiłam się, że zginął. Nawet nie wiesz, jak wielką niespodziankę mi teraz sprawiłaś.

W moich oczach zakręciły się łzy. Jeszcze nic mnie tak nie wzruszyło. Stary plecak z poplamionego materiału, z poprzecieranymi sznurówkami po bokach.

– Opiekowałam się nim przez cały czas, gdy cię nie było. Tak jak Weylin wierzyłam, że kiedyś wrócisz. – Uśmiechnęła się delikatnie, po czym opuściła komnatę.

Wstałam z wody i sięgnąwszy po leżący w pobliżu duży kawałek materiału, pełniący rolę ręcznika, okręciłam się nim dookoła, powyżej piersi. Boso, ociekająca wodą, znacząc podłogę mokrymi stopami, podeszłam do ławy. Ręka mi drżała, gdy dotykałam plecaczka. Ostrożnie, niemalże z nabożną czcią otworzyłam zamek.

Telefon nie chciał się już włączyć. W czarnym ekranie widziałam jedynie odbicie swojej twarzy. Mp3 milczało jak zaklęte, już podczas uczty, prezentując gościom muzykę z mego świata, prawie całkowicie wyczerpałam baterie i tylko latarka zaświeciła słabym światłem. Ostatni promyk wiążący mnie z moim dawnym domem. Gdy on zgaśnie, będę tu zupełnie sama.

– O masz ci los! Jak można tak nabałaganić? I jeszcze panienka choróbska jakiego się nabawi. Kto to widział, aby prawie goła po komnacie biegać?

Oglądając swoje skarby, nie zauważyłam, kiedy wróciła Comta, która na mój widok, tak jak to miała w zwyczaju, teatralnie załamała ręce. Schowałam nieużyteczne już rzeczy na powrót do plecaka i spojrzałam na kałużę, jaka utworzyła się u moich stóp. Kolejne krople wody właśnie skapywały z mojego ciała.

– Przepraszam. – Poczulałam się niezręcznie. Faktycznie nabałaganiłam. Mokre ślady bosych stóp ciągnęły się od balii aż do ławy, przy której stałam.

– Niech panienka nie marudzi, tylko się wyciera! – Comta szybkim krokiem podeszła do mnie i bezceremonialnie zdarła ręcznik, którym byłam okręcona. Energeticznymi ruchami zaczęła mnie wycierać.

– Auć! – krzyknęłam, bo daleko było jej do delikatności. – Sama też potrafię!

– Toż widzę właśnie.

Spojrzała wymownie na zachlapaną podłogę, nie przerywając wycierania. Gdy wreszcie uznała, że jestem sucha, odrzuciła ręcznik, sięgnęła po lnianą halkę, leżącą na łożu, i pomogła mi ją założyć. Kolejne dwa elementy garderoby, czyli haftowany gorset z usztywnianym przodem oraz obszerna spódnica uszyta z trzech warstw materiału, znalazły się na mnie równie szybko. Comta nie żałowała siły, ściągając troczki gorsetu, tak aby jak najbardziej spłaszczyć biust. Zabrakło mi tchu.

– Udusisz mnie – syknęłam.

– Jakoś żadna panna nie wyzionęła ducha, kiedym ją odziewała – odpowiedziała spokojnie.

Złotobrazowy kolor sukni ładnie mienił się w świetle padającym od pochodni. Może ta kreacja nie była tak elegancka, jak ta, którą miałam na sobie podczas ostatniej uczty, ale czułam się w niej równie dobrze. Zresztą zaczęłam dostrzegać, że stroje w Burii są wyjątkowo wygodne i ładne. Czułam się w nich jak prawdziwa królowna. No tak, zapomniałabym o najważniejszym... To może głupio zabrzmieć, ale Burińczycy nie znali czegoś takiego jak majtki. Niestety... Zamiast nich kobiety nosiły wełniane pończochy (przynajmniej coś, co je przypominało), na które zakładało się lniane, obszerne spodnie, których nogawki sięgały tuż przed kolana i zakończone były falbaną z koronki. Dodatkowo w pasie owych dziwnych pantalonów wciągnięty był sznureczek, za pomocą którego regulowało się ich obwód. Po założeniu na nogach powstawały dwa napuszone balony, co wyglądało doprawdy komicznie, ale na szczęście skrywało się pod kilkoma warstwami spódnicy. Strój dopełniały aksamitne, niezwykle cienkie pantofelki, które bardziej przypominały skarpety niż znane mi

w XXI wieku obuwie.

– No i teraz panienka wygląda jak człowiek! – Comta z podziwem popatrzyła na efekt swojej pracy. – Od razu lepiej i wśród ludzi można się pokazać.

Kobieta opuściła komnatę, gderając pod nosem na temat bałaganu, a za chwilę zjawily się dwie młode służki, które szybko zabrały się za sprzątanie. Zerkały na mnie ukradkiem, a w ich spojrzeniu oprócz podziwu widziałam także strach. Nie zamierzałam ich stresować, a ponieważ Comta nie wracała, Lavena też jakimś dziwnym trafem gdzieś zniknęła, postanowiłam sama wyprawić się na jej poszukiwanie.

Przeszłam do sąsiedniej komnaty, ale nikogo tam nie zastałam. Również kolejna była zupełnie pusta. Wreszcie wyszłam na korytarz. W którą stronę iść? Rozejrzałam się dookoła. A co mi tam! Skręciłam w lewo. Po czterech schodach weszłam na górę, a następnie mijając po drodze kilka nieznanym mi osób, dostałam się na krużganek otaczający zamkowy dziedziniec. Wychyliłam się przez poręcz balustrady i spojrzałam w dół. Praczki przy studni zajęte były płukaniem ubrań, jakiś rycerz wyjeżdżał właśnie konno... O! A co to? Mój wzrok dostrzegł znajomą postać. Dewin zmierzał przez środek dziedzińca prosto w stronę otwartych wrót stajni, przy których stał znany mi już koniuszy. Chłopak na widok mistrza zgarbił się i skulił, tak jakby ramionami chciał osłonić przed przybyszem. Dewin podszedł do biedaka i z całej siły pchnął go na znajdujące się koło wrót stajni niewielkie drewniane drzwi. Chłopak z dużą siłą uderzył plecami o deski – nawet ja usłyszałam ten łomot. Odniosłam wrażenie, że Dewin musiał być bardzo rozgniewany na nieszczęśnika, który najwidoczniej czymś mu zawinił. Może konia źle osiodłał? Konia? I nagle mnie olśniło! A jeśli to Dewin kazał stajennemu podłożyć ostrożyczkę pod moje siodło? A jeśli to samo zrobił z siodłem księcia Ekharda? Zapraǳnęłam znaleźć się w pobliżu, aby usłyszeć, o czym rozmawiają. Och, gdybym tak mogła stać się niewidzialna. Muszę się do nich zbliżyć. Tylko jak?

Pobiegłam korytarzem, roztrącając ludzi po drodze. To chyba nie było w zbyt dobrym guście, ale chwilowo miałam to gdzieś. Myślałam tylko o tym, by zejść na dół, podejść jak najbliżej do Dewina i usłyszeć, o czym mówił.

Te korytarze to istny labirynt! W prawo, w lewo... Ile jeszcze? Ponownie przechyliłam się przez balustradę, próbując zlokalizować, gdzie jestem. Kurczę! Znalazłam się po drugiej stronie dziedzińca, dokładnie nad stajnią. Na dół! Muszę zejść na dół!

Wreszcie zrobiłam to, co powinnam zrobić już dawno temu; zatrzymałam jednego z dworzan i zapytałam o drogę.

– Jak zejść na dół? – To raczej nie zabrzmiało tak, jak planowałam, gdyż podenerwowana sytuacją prawie krzyczałam. – Jak dostać się na dziedziniec?

– Temi schodami. – Przerażony dworzanin, który chyba nigdy nie został zaczepiony w sposób tak obcesowy, w dodatku przez kobietę, drżącą ręką wskazał drewniane drzwi, niewyróżniające się niczym od pozostałych.

Pięknie! Mogłam sobie szukać schodów do grobowej deski, skoro je ukryli. Szarpnęłam za uchwyt i otworzyłam drewniane drzwi. Zobaczyłam ciemne, kamienne schody. Zbiegłam na dół, nawet nie zastanawiając się, iż pośpiech nie jest wskazany, kiedy ma się na nogach atłasowe, cienkie pantofle, a stopnie są nad wyraz śliskie. Jakimś cudem jednak udało mi się bezpiecznie dotrzeć na dół i stanąć przed kolejnymi drzwiami, które według moich obliczeń, musiały prowadzić na dziedziniec.

– Głupiec! Głupiec! Głupiec! Jesteś głupcem! Taka okazja! Jak można było ją zmarnować?! – Rozpoznałam głos Dewina.

– Panie, to nie moja wina. Prawdę rzekłem, zem uczynił wszystko, coś kazał. Wybacz, o szlachetny! Nigdy bym cię nie oszukał! Gdzieżbym śmiał? Zawdzięczam ci, panie, tak wiele... – To musiał być chłopak stajenny, a po tonie jego głosu wnioskowałam, że płacze.

– Zamilcz, robaku jeden! Jeszcze mi tego trzeba, aby kto usłyszał!

– Milczeć będę, panie – zapewnił chłopak. – Jak grób. Po wieczność.

– Zejdź mi z oczu, niech cię dłużej nie widzę!

– Tak, panie. Tak, mój panie.

Po drugiej stronie drzwi zaszurały czyjeś kroki, a ja cofnęłam się odruchowo, pospiesznie chowając się w kącie sieni. Zaskrzypiały zawiasy i do pomieszczenia wszedł Dewin. Jego długa, czarna peleryna ciągnęła się za nim niczym cień.

Wcisnęłam się w kąt głębiej, wstrzymując oddech. To były najgorsze sekundy mojego życia. No, może jedne z najgorszych. W myślach modliłam się, żeby Dewin nie usłyszał głośnego bicia mego serca, które tak się rozszalało, że miałam wrażenie, iż zamiast niego w piersi bije mi dzwon. Na szczęście snop światła, który wpadł przez uchylone drzwi, nie oświetlił mojej kryjówki, a Dewin był tak rozwścieczony, że nie zwracał na nic uwagi, więc i odgłos mojego rozszalałego serca pozostał dla niego niezauważalny. Mistrz minął mnie i wszedł na schody.

Czekałam dłuższą chwilę, aż echo jego kroków przebrzmiało w oddali. Czego byłam świadkiem? O czym mistrz rozmawiał ze stajennym? Czy to mogło dotyczyć wypadków, jakie wydarzyły się na polowaniu? Miałam dziwne przeczucie, że tak. Jednak na samym przeczuciu nie mogłam budować oskarżenia. Potrzebowałam dowodów, to mocnych dowodów.

W kryjówce wytrzymałam jeszcze kilka minut (ach, ten brak zegarka) i wreszcie odważyłam się ją opuścić. Ostrożnie otworzyłam drzwi, wychodząc na dziedzińiec. Praczki nadal prały, nie zwracając uwagi na to, co działo się dookoła. Wrota do stajni były uchylone, a ze środka dochodziło rzenie koni. Niewiele myśląc, wsunęłam się do środka. W półmroku dopiero po chwili dostrzegłam stajennego, nalewającego wodę do poidła.

– Chyba nie przeszkadzam? – spytałam spokojnie, ale mój głos przyprawił nieszczęśnika prawie o zawał.

Gwałtownie wypuścił z rąk wiadro, które z łoskotem upadło na ziemię, a woda rozlała się na klepisko pokryte słomą.

– Na świętości Buri! – Chłopak cofnął się, jakby zobaczył jakiegoś okropnego potwora. Wyraźnie się trząsł.

Niezrażona takim przyjęciem, ruszyłam do przodu, zbliżając się do stajennego, który przy każdym moim kroku robił krok do tyłu. Wreszcie natknął się plecami na filar podtrzymujący sklepienie i zamarł z przerażenia. Nawet poczułam pewną satysfakcję. A dobrze mu tak! Jeśli niecznie spiskował z Dewinem, to powinien teraz się bać!

– Przyszłam zobaczyć Lunę. – Uśmiechnęłam się do niego perfidnie, udając, że nie widzę, jak bardzo jest wystraszony. – Możesz mnie do niej zaprowadzić?

Kiwnął głową, zapewne nie potrafiąc wydusić z siebie słowa, i uniósłszy rękę, wskazał na jeden z boksów.

– Dużo masz pracy? I sam tak wszystko robisz? Gdzie twoi towarzysze? Bo z tego, co mi wiadomo, oprócz ciebie jest jeszcze kilku stajennych.

Jednak nie zamierzałam tak szybko odpuścić. Stałam na wprost i z niekłamaną radością patrzyłam na jego drżący podbródek. Chłopak nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Rozczochrane jasne włosy, w których utkwiły źdźbła słomy, pewnie nigdy w życiu nie widziały szczotki. Lniana koszula, upstrzona całym mnóstwem łat, mogła poszczycić się długą historią, a poprzecierane, zbyt obszerne spodnie, zapewne odziedziczone po starszym członku rodziny, opadały do samej ziemi, wywinięte na końcach i odsłaniające brudne, bose stopy.

– Konie poilem – wydukał z trudem, jękając się. – Sam jestem ino, bo dziś roboty mało. Pozostali insze obowiązki wypełniają przy swoich panach, a ja na wszystko oko mam.

– Lubisz konie, prawda?

Wreszcie go wyminęłam i podeszłam do boksu, w którym znajdowała się Luna. Na mój widok klacz radośnie zarżała i przysunęła się bliżej. Już po chwili wyciągnęła łeb, tak abym mogła ją pogłaskać, co oczywiście ochoczo uczyniłam. Poczciwy koń, pamiętał mnie. To było bardzo rozczulające.

– Kto by koni nie lubił?

Zerknęłam do tyłu, patrząc, jak chłopak podnosi upuszczone wiadro i rusza w róg stajni do beczki, w której zapewne trzymał zapas wody.

– One lepsze niżli ludzie.

– Herman mówił to samo. – Serce ścisnęło mi się na samo wspomnienie mego ukochanego. Jeden dzień bez niego wydawał się wiecznością.

– Pan Herman to dobry człowiek. – Napelnił wiadro i wrócił z nim do koryta. Po chwili strumień wody wypełnił drewnianą nieckę.

– Tu wszyscy ludzie życzliwi – ciągnęłam, jakby nigdy nic. – Każdy pomoc mi okazuje i opieką otacza. Dzięki Hermanowi udało mi się przetrwać w Lesie Potępionych, gdy koń mnie poniósł. Nie uważasz, że miałam z tym dużo szczęścia? A wiesz, co się potem okazało? – Czule gładziłam grzywę Luny. – Herman pod moim siodłem ostrożyczkę znalazł. Ciekawe, prawda?

Nie odpowiedział, tylko zawrócił, kolejny raz napelnić wiadro.

– Niezwykły owoc z tej ostrożyczki. Kulisty i zakończony ostrymi kolcami. Biedna Luna musiała niezwykle cierpieć, gdy te szpileczki wbijały się jej w bok. To takie nieludzkie... Kto mógł narazić biedne, ufne zwierzę na takie cierpienie?

– Ja nic nie wiem. Panienska powinna już stąd pójść. To nie wypada, aby panienska sama po stajniach chodziła. – Oj biedaczek zebrał się wreszcie na odwagę. – Niech panienska już idzie, ja bardzo proszę.

– Jasne, już idę.

Jeszcze raz pogłaskałam Lunę, po czym ruszyłam w stronę wyjścia. Jednak mijając chłopaka, zatrzymałam się.

– A myślisz, że koń księcia naprawdę zmii się uląkł? Może to jakaś epidemia ostrożyczek zaatakowała rycerzy? Kto nasze konie siodłał?

– A tuś się schowała!

Wrota stajni otworzyły się na oścież. W jasnym snopie światła, padającym przez otwarte drzwi, dostrzegłam jedynie zarys sylwetki, ale po głosie poznałam przybysza od razu.

– Comta włosy sobie z głowy rwie. Pół zamku już przeszukała, a tyś się tu schowała! Nie ma co, ładne towarzystwo sobie upatrzyłaś.

Nie byłam zadowolona z nagłego pojawienia się Weylina, tym bardziej teraz, gdy byłam tak blisko, by wydusić z chłopaka stajennego prawdę.

– Przyszłam zobaczyć Lunę – odpowiedziałam, nie chcąc wtajemniczać Weylina w sprawę, o której nie miał pojęcia. – Czy to zabronione?

– Zaprawdę niezwykła z ciebie niewiasta. – Odsunął się na bok, pozwalając mi wyjść ze stajni.

– Wkrótce tu wrócę – zapewniłam, odwracając się w stronę stojącego nieopodal stajennego.

Wprawdzie obdartus miał spuszczoną głowę i zdawał się nie zwracać na nic uwagi, całkowicie pochłonięty kontemplowaniem swoich brudnych stóp, ale pod wpływem moich słów wyraźnie zadrżał. Poczułam satysfakcję. Ciekawe, czy powie wszystko mistrzowi? Jakoś nabrałam pewności, że to Dewin jest głównym motorem napędowym tej intrygi. Zastanawiało mnie tylko, dlaczego chciał się pozbyć Ekharda. Co innego mnie. To nawet rozumiałam – w końcu byłam przybłądą, osobą spoza czasu i przestrzeni, która na dodatek miała czelność ośmieszyć jego umiejętności medyczne. Ale Ekhard?

Weylin zamknął wrota stajni i popatrzył na mnie z uwagą.

– Zaprawdę niezwykła z ciebie niewiasta – powtórzył z uporem.

– Czy powinnam się cieszyć, że uważasz mnie za tak wyjątkową, czy raczej smucić, że jestem dla ciebie dziwadłem? Zapewne daleko mi do Moreeny.

Sama nie wiem, dlaczego wspomniałam przyszłą oblubienicę Weylina, w końcu nie powinna mnie ona w ogóle obchodzić. Być może po prostu w złości gadałam, co mi ślina na język przyniosła. Albo... O nie! Nie mogłam przecież być zazdrosna! Nie o Weylina!

Jego twarz poczerwieniała ze złości. Zacisnął pięści, tak jakby chciał mi przyłożyć, jednak jakimś cudem zdołał się opanować. Wzruszył tylko ramionami i obróciwszy się do mnie tyłem, ruszył na ukos przez dziedziniec. Miałam ochotę zlekceważyć go i samej poszukać drogi powrotnej, ale wiedziałam, że to będzie dość trudne, zważywszy na cały labirynt korytarzy. Chcąc nie chcąc, ruszyłam za Weylinem, przytrzymując ostrożnie dół sukienki, aby nie pobrudziła się w licznych kałużach i nieczystościach, jakimi upstrzony był dziedziniec. Atłasowe pantofelki miałam już całkowicie przemoczone i lepiące się od brudu, dodatkowo przez ich cienki materiał wyraźnie czułam każdą nierówność podłoża, a ostre kamienie boleśnie raniły mi stopy. Z ulgą powitałam gładką posadzkę korytarza, gdy wreszcie weszliśmy do zamku.

– Dokąd idziesz? – zapytałam, zrównując się z Weylinem. – Czemu jesteś taki nerwowy? Wspomniałam jedynie o twojej przyszłej żonie.

Nie odpowiedział, tylko obrzucił mnie nieprzyjemnym spojrzeniem. Właściwie nawet przestraszyłam się jego wzroku. Rozejrzałam się dookoła, próbując odszukać jakieś inne osoby, które mogłyby poprawić moje poczucie bezpieczeństwa. To dziwne, ale w tej chwili bałam się Weylina. Niestety, korytarz, w którym się znajdowaliśmy, był wąski i słabiej oświetlony, dlatego domyśliłam się, że jest przeznaczony dla służby. Co gorsza, akurat nikt, oczywiście oprócz nas, nim nie szedł.

– Prowadzisz mnie do komnat Laveny? – spróbowałam zgadywać, aby pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. – Kazali ci mnie odnaleźć i przyprowadzić?

– Dlaczego myślisz, że wszystko kręci się wkoło ciebie? – Wreszcie przystanął i zwrócił się w moją stronę. W jego ciemnych oczach odbijały się płomienie pochodni, nadając upiornego wyglądu. – Może zrozum wreszcie, że nie jesteś najważniejsza. Postawiłaś na głowie cały zamek, wymykając się potajemnie z komnaty tylko po to, aby udać się do stajni. Ja tego nie pojmuję. Nikt o zdrowych zmysłach tego nie pojmie. Czego naprawdę chcesz i po co tu przybyłaś? Kim jesteś? Azali dobro przynosisz czy raczej łyż? Jak na razie więcej z tobą kłopotów niż pożytku.

– Ja... ja... ja nie wiedziałam, że muszę się tłumaczyć, gdy gdzieś wychodzę. Chciałam tylko Lunę zobaczyć. Nie miałam na myśli nic złego...

Wystąpienie Weylina sprawiło, że poczułam się jak balon, z którego uchodzi powietrze. Nie mogłam mu zdradzić prawdy, bo musiałabym opowiedzieć o ostrożycze i podsłuchanej rozmowie Dewina. Bez dowodów nie miałam prawa obarczać nikogo winą, a tym bardziej osoby tak potężnej i cieszącej się szacunkiem jak mistrz.

– Tyś zawsze niewinna. – Chyba go nie udobruchałam. – Ślubowałam opieką cię otoczyć i słowa dotrzymam, ale nie utrudniaj mi tego. Nie znikaj tak nagle! Przecież dopiero co się odnalazłaś! – Nagle chwycił mnie mocno za ramiona i potrząsnął energicznie. Jego twarz niebezpiecznie zbliżyła się do mojej. – Nie znikaj więcej! – powtórzył z mocą, a później...

O raju! To nie mogło być prawdą! A jednak! Pocałował mnie! Byłam tak oszłomiona, że chwilę zajęło mi zrozumienie tego, co się stało i wyswobodzenie się z jego uścisku. Uderzyłam go z całej siły w klatkę piersiową, odpychając od siebie.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – wrzasnęłam, ale nie dlatego, że byłam przerażona czy zniesmaczona jego zachowaniem. Po prostu uzmysłowiłam sobie, że ten pocałunek sprawił mi przyjemność.

Jestem okropna! Zakochałam się w Hermanie, spędziliśmy razem cudowne chwile, a tu nagle odkryłam, że pocałunek Weylina nie był dla mnie niemiły.

– Wybacz.

On sam wyglądał na skołowanego. Być może działał pod wpływem impulsu, dając się ponieść porywowi serca. Gdy jednak dotarło do niego, co się stało, pojął, że niechcący odsłonił się ze swymi uczuciami, a to nie była dla niego zbyt komfortowa sytuacja, tym bardziej że przyrzeczona oblubienica znajdowała się w drodze na zamek.

– To nie powinno się zdarzyć. Uchybiłem ci bardzo. Wybacz, bo ja sam nie potrafię sobie tego wybaczyć.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie można przecież kochać dwóch mężczyzn naraz! Nie można dla obu stracić głowy jednocześnie! A co gorsza, obaj byli poza moim zasięgiem. Chyba jestem przeklęta na wieki!

– Odprowadzisz mnie do Laveny? – zapytałam w końcu, pragnąc jak najprędzej uwolnić się od towarzystwa Weylina. – Proszę, odprowadź mnie do niej.

Opuściłam głowę, aby na niego nie patrzeć. Po prostu nie zniosłabym jego widoku. Usta paliły mnie od pocałunku, którego smak czułam przez cały czas.

– Odprowadzę – zgodził się. – Jeno przywitam się z Hermanem. Właśnie szedłem do niego, gdy natknąłem się na służącą, która, tak jak inne, szukała cię po całym zamku. Jużemy blisko jego komnat. Chcesz mi towarzyszyć czy wolisz jednak, abym najpierw cię odprowadził do Laveny?

O Boże! Z Hermanem! Teraz! Czy życie musi być takie skomplikowane?

A może to tylko ja sobie je tak komplikowałam? Chyba byłam prawdziwą masochistką, bo oczywiście zgodziłam się iść razem z nim.

Bez przeszkód dotarliśmy do drzwi komnat zajmowanych przez Hermana, a milcząca służąca, kłaniając się nam w pół, zaprowadziła nas do znanej mi już sypialni Baldurii. Tym razem jednak wielkie łóżko było puste, za to przy wąskim, strzelistym oknie ustawiono duży fotel z wysokim oparciem. W pierwszej chwili nie dostrzegłam nawet drobnej postaci, szczelnie owiniętej grubym pledem, siedzącej na fotelu. Dopiero po chwili dojrzałam bladą twarzyczkę okoloną kaskadą czarnych włosów, splecionych w dwa grube warkocze. Blade, chude ręce, złożone na okrytych pledem kolanach, przywodziły bardziej na myśl dłonie dziecka niż dorosłej kobiety. Miała Comta rację, gdy mówiła, że żona Hermana to prawdziwe chucherko.

Balduria nie zwróciła na nas żadnej uwagi, chociaż służąca zaanonsowała nasze przybycie. Siedziała niczym lalka w fotelu i wpatrywała się w smętny krajobraz, widoczny za oknem. Jej twarz pozbawiona była jakichkolwiek uczuć, jakby wykuta w kamieniu, nienaturalnie blada i taka gładka... „Jak porcelana” – pomyślałam.

– Dobrze cię widzieć, Baldurio. – Weylin ukłonił się lekko przed siedzącą, chociaż ta nadal nas ignorowała. – Cieszy mnie, że znajduję cię w dobrym zdrowiu. Raduję się wraz z tobą z powrotu Hermana.

Cisza, żadnej odpowiedzi. Tak jakbyśmy byli duchami. Tępe spojrzenie dziewczyny nie odrywało się od okna.

– A gdzież to twój małżonek? – Weylin nie rezygnował z prób nawiązania rozmowy.

Znowu brak jakiegokolwiek reakcji. Lavena opowiadała o stanie, w jakim znajdowała się Balduria, ale dopiero teraz, widząc to na własne oczy, zrozumiałam, o czym mówiła.

– Druhu najmilszy!

W progu komnaty stanął Herman i rozłożywszy szeroko ramiona, rzucił się w stronę Weylina. Obaj mężczyźni zwarli się w przyjacielskim uścisku, który jednak trwał zaledwie chwilę. Burińczycy nie nawykli do okazywania sobie uczuć zbyt wylewnie.

– Wróciliście... – Weylin postąpił krok do tyłu i uważnie przyjrzał się przyjacielowi.

Ja także nie mogłam oderwać wzroku od Hermana. W niczym nie przypominał tej osoby, z którą byłam w Lesie Potępionych. Czarne włosy luźno opadały na ramiona, lekko zwijając się na końcach. Bez zarostu rysy jego twarzy były delikatniejsze, ale podłużna blizna, znacząca lewy policzek, stawiała się przez to wyraźniejsza. A oczy... Te piękne oczy, które jeszcze niedawno wpatrywały się we mnie z taką miłością, w tej chwili zasnute były mgłą smutku. Odziany w jasną, długą koszulę, kończącą się poniżej bioder, i brązowe, dopasowane spodnie, wpuszczone w krótkie, sięgające do kostek skórzane ciżemki, zapinane na dwie ozdobne metalowe klamry, nie wyglądał jak ten Herman, który leciał obok mnie na skrzydlaku. Był zbyt normalny, zbyt ułożony. Moje poczucie straty jeszcze się wzmoгло.

– Ano wróciliśmy. – Herman starał się na mnie nie patrzeć.

Unikał tego jak diabeł święconej wody. Poczułam w sercu ból. Dlaczego wróciliśmy? Dlaczego nie zostaliśmy w Lesie Potępionych? W tym lesie mogliśmy mieć swój własny świat...



Herman podszedł do fotela żony i położył dłoń na jej ramieniu. Nie zareagowała nawet na ten dotyk, za to mnie ogarnęła zazdrość.

– Baldurio, zobacz, kto nas odwiedził – przemówił, wymawiając każde słowo wolno i bardzo wyraźnie. – To sam siostrzeniec księcia Ekharda, mój szczerzy druh – Weylin. A wraz z nim przybyła osoba, której życie zawdzięczasz, która sprawiła, żeś jest nadal z nami.

Dziewczyna nieznacznie drgnęła, słysząc wzmiankę o mnie, ale nadal nie odewrwała wzroku od kontemplowanego widoku za oknem.

– Kontaktu nie ma z nią żadnego. – Herman pokręcił z rezygnacją głową. – Nawet jakem wrócił, nie zareagowała. Opowiadałem jej, co się ze mną działo, jak spędziliśmy tyle dni w lesie, jak się uratowaliśmy, ale zdawała się tego nie słyszeć.

Czy wszystko jej powiedział? Wszystko? Nawet to o wodospadzie? Jakoś w to wątpiałam.

– A co Ewen mówi? – zapytałam niepewnie, starając się, aby mój głos nie drżał.

Herman spojrzał na mnie, a ja poczułam, jak robi mi się gorąco. Och, przypadałabym do niego, wtuliła się w te silne ramiona... Spokojnie, Julio! Spokojnie! Opanuj się! Nikt nie może się niczego domyślić! Przynajmniej nie teraz!

– Ona nie wie? – zwrócił się do Weylina.

– O czym nie wiem?

To nie zabrzmiało dobrze. Czy coś się stało z Ewenem? Jak mogłam być tak egoistyczna i nie zainteresować się losem człowieka, z którym zawarłam porozumienie? Tyle mi pomógł, okazał tyle serca, a ja po powrocie ani razu o niego nie zapytałam.

– Gdzie jest Ewen?

– Chyba Lavena jej nie powiedziała. – Weylin również westchnął, co raczej nie było w jego zwyczaju, zwłaszcza w sprawach dotyczących Ewena.

– To może wy mi powiecie? – Ogarnęła mnie złość. – Kolejne tajemnice?

– Ewen naraził się mistrzowi za to, że cię posłuchał. Dewin po powrocie z łowów, gdy zobaczył, że Balduria wydobrzała, ale jakby rozum postradała, uznał, że to wina Ewena. Z chęcią obwinąłby ciebie za wszystko, ale ponieważ księżę w ochronę cię wziął, a poza tym zaginęłaś w lesie i wszyscy myśleli żeś martwa, nie mógł zszargać twego imienia. Mógł za to oskarżyć Ewena, że stosując nieumiejętnie mikstury, doprowadził Baldurię do takowego stanu. I tak też się stało...

– Co? – Nie potrafiłam sformułować bardziej logicznego pytania.

– Ewen osadzony w lochu – wyjaśnił Weylin.

– I ty nic z tym nie zrobiłaś? – Wycelowałam w niego oskarżycielsko wskazujący palec. – Pozwoliłaś na to? Nie mogłaś wujka przekonać, że Ewen w niczym nie zawinił? Pewnie cieszyłaś się, że taki los spotkał znajdę, której szczerze nie cierpiałeś!

– Uspokój się, Julio! – Herman szybko podszedł do mnie i ścisnął przegub mojej ręki, powodując, że ją opuściłam. – Nie przy Baldurii. – Wskazał głową na żonę, która nadal zdawała się nie dostrzegać naszego towarzystwa.

– Przepraszam... Ale co z Ewenem? Czemu nikt go nie bronił?

– Mylisz się bardzo. – Weylin zmarszczył brwi. – I Lavena, i ja stanęliśmy w obronie Ewena, ale księżę chory, a Dewin, jako jego prawa ręka, władzę sprawuje.

Naszych słów słuchać nie chciał. Satysfakcję mu sprawiło, że mógł ukarać Ewena, że mógł swoją wielkość pokazać.

– O Boże... – Łzy same napłynęły mi do oczu. – I wszystko przeze mnie.

Herman puścił moją dłoń. Zawahał się, tak jakby chciał mnie przytulić. Musiał cierpieć takie same męki jak ja, udając, że jesteśmy sobie zupełnie obojętni. Odwrócił się pospiesznie, aby nie widzieć mych łez.

– Sam sobie winien. – Weylin jednak czasem potrafił być gruboskórny. – Mógł się swego pana słuchać, a nie sławy mu się zachciało. Loch go rozumu nauczył.

Pohamowałam się tylko ze względu na Baldurię, ale obiecałam sobie w duchu, że przy najbliższej okazji odegram się na bracie Laveny. Herman chyba także zrozumiał moje odczucia, gdyż pospieszył zażegnać nieprzyjemną atmosferę.

– Słyszałem, że dwa skrzydlaki upolowaliście.

– Ino dwa – przyznał Weylin. – Jaj broniły do upadłego, naszych raniąc, ale krzywdy większej nie czyniąc. Zabiliśmy je i ucięte łby przywlekliśmy na zamek.

Gudrun i Sawa... Przed oczami stanęły mi stwory, które poznałam podczas pobytu w przepaści. Zabili takie same istoty. Istoty, które nie były wrogie, które miały w sobie tyle uczuć. Moja złość na Weylina osiągnęła niemalże apogeum. Podziwiałam Hermana, że tak cudownie potrafił udawać obojętność, chociaż sam od lat był zagorzałym obrońcą skrzydlaków. Mnie przychodziło to z prawdziwą trudnością.

– Chętnie zobaczyłbym łby tych potworów, tem bardziej że nie dane mi było żadnego samemu upolować.

Jaki on ma talent aktorski! W moim świecie może nawet zostałby znanym gwiazdorem filmowym. Z taką aparycją na pewno. A blizną nie ma się co przejmować – zaawansowana chirurgia plastyczna na pewno by sobie z tym poradziła. Chociaż żyjąc w moich czasach, pewnie nie nabawiłby się takiej szramy.

– Z radością ci je pokażę – zaproponował Weylin.

– Tylko Baldurii nie chcę samej zostawiać... – Herman ponownie stanął przy fotelu żony. – Odena dzieckiem zajęta, a Fina niezbyt rozgarnięta jest. Chyba żeby po Comtę posłać?

– A może Julia przez ten czas przypilnuje Baldurii? – zaproponował nagle Weylin. – Przecie jeno chwilę nas nie będzie. Ani się obejrzy, jak wrócimy.

– Zostaniesz? – Herman z wyczekiwaniem popatrzył na mnie, a ja wiedziałam, że nie potrafię mu odmówić.

– Jasne. Mam nawet wprawę w opiekowaniu się chorymi – zapewniłam.

– No to chodźmy. – Weylin otworzył drzwi. – Migiem się uwiniemy.

Mężczyźni wyszli, zostawiając mnie sam na sam z Baldurią, która zdawała się pogrążona w swoim własnym świecie. W pobliżu musiały znajdować się służki, o których wspomniał Herman, więc w razie jakichkolwiek problemów liczyłam, że mogłabym je wezwać. Jakich problemów? Nie sprecyzowałam tego, po prostu pocieszałam się samą świadomością, że ktoś jest blisko.

Przez chwilę stałam bez ruchu, patrząc na zamyśloną, nieobecną duchem Baldurię, po czym podeszłam do łóżka i usiadłam na jego brzegu. Rozłożyłam fałdy sukni i wygładzałam je dłońmi nie dlatego, że nie chciałam, aby się pogniotła, tylko dlatego, że nie miałam nic innego do roboty.

– Dlaczego nie pozwoliłaś mi odejść?

Usłyszałam nagle cichy, jakby dobiegający z bardzo daleka głos. Uniosłam

głowę i napotkałam spojrzenie Baldurii. Patrzyła mi prosto w oczy.

– Dlaczego kazałaś mi żyć?

– Ja... Ty... – Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Skazałaś mnie na życie – szepnęła ze smutkiem. – Unieszczęśliwiłaś i mnie, i jego, i to... – Zawahała się na moment. – ...i to stworzenie, które w sobie nosiłam.

Zdumiałam się, słysząc, że dziecko nazwała stworzeniem.

– Uratowałam was.

– Nie! Tyś wydała na nas wyrok! – Nieznacznie podniosła głos. – Mogłam znać spokoju, ale ty na to nie pozwoliłaś!

– Umierałaś i twoje dziecko też – zaprotestowałam. – Dlaczego miałam pozwolić wam umrzeć, jeśli istniała szansa na ratunek?

– Bo ten ratunek jest jeno męką.

Zacisnęła dłonie na pledzie. Kostki pobieły jej tak bardzo, że zdawały się przebijać przez skórę.

– Dlaczego udajesz, żeś rozum postradała? Przez ciebie Ewen został ukarany!

Oburzyło mnie jej zachowanie. Ewidentnie symulowała obłąd, przyczyniając się tym do oskarżenia i skazania niewinnego człowieka.

– Zasłużył na to, tak jak i ty! Mam nadzieję, że cierpieć będziecie całą wieczność, za to coście mi zrobili! – Nie poczuwała się do żadnej winy. Wręcz kipiała ze złości i nienawiści.

– Albo faktycznie jesteś szalona, albo niezwykle podła! – Miałam jej serdecznie dość. – Nie oczekiwałam od ciebie wdzięczności, ale nie spodziewałam się, że zachowasz się tak okrutnie!

– Nie waż się mnie oceniać! Ty nic nie wiesz! Nic nie wiesz! Tylem przeszła i wreszcie mogłam być wolna! Ten potwór, on... Mogłam się wyzwolić!

Potwór? O kim, do diabła, ona mówiła? Czy chodziło jej o Hermana? Czyżby jakąś krzywdę jej wyrządził? Wiedziałam, że jej nie kochał, ale jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, aby był skłonny do przemocy.

– O czym ty mówisz? Jaki potwór? – Podeszłam do niej bliżej i przykucnęłam przy fotelu. – O kim mówisz, Baldurio? Czy Herman jakąś krzywdę ci wyrządził?

Odruchowo dotknęłam jej zaciśniętych dłoni, a ona momentalnie schwyciła mnie za rękę. Szczupłe palce wpiły się w moją skórę.

– On jest potworem – wyszeptowała, a w jej dotąd pustym wzroku pojawiło się bezgraniczne cierpienie, połączone z przerażeniem. – Najgorszym z najgorszych. Przeklinam go, tak jak i ten czarci pomiot, któremu dał życie! Oby ogień wieczny ich pochłoniął!

Balduria mówiła o Hermanie i swoim dziecku. Jakąż tragedię musiała przeżyć, że taką nienawiścią pałała do najbliższych sobie osób? Sama kiedyś uratowała Hermana, dziś przeklinała go, złorzecząc i wyzywając od najgorszych.

– Co Herman ci zrobił? – Spróbowałam wyswobodzić ręce, ale Balduria, jak na osobę osłabioną i ledwie żywą, trzymała z ogromną siłą. – Powiedz mi wszystko, a zapewniam, że ci pomogę. – Musiałam poznać prawdę, jakakolwiek by była. – Co takiego uczynił ci Herman?

– On? – zawahała się, pewnie nadal lękając się ewentualnych konsekwencji swoich słów. – On... Ty nie możesz mu powiedzieć, że do ciebie się odezwała. Zaklinam cię na wszelkie świętości. Jeśli masz w sobie choć odrobinę uczucia... Gdyby

się dowiedział... Tak jest lepiej... Nikt się nie może dowiedzieć. Nikt – powtórzyła z mocą.

– Ale jak mam ci pomóc?

– Nikt mi pomóc nie jest władny. Jeno śmierć, a ty mnie z jej miłosiernych ramiów wyrwałaś... Niech los ci to wybaczy, bo ja nie potrafię. – Puściła moje ręce. Spojrzałam na ślady, jakie jej palce pozostawiły na skórze. – Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

– Nie powiem, ale nie rozumiem... – Potrząsnęłam bezradnie głową. Czy w Burii wszystko musi być okryte tajemnicą?

Odwróciła ode mnie twarz, ponownie zwracając ją w stronę okna. Znieruchomiała, tak jak poprzednio, zupełnie odcinając się od otoczenia. Zostałam sama ze wszystkimi wątpliwościami, które mną targały. Dopiero co nakryłam Dewina na rozmowie ze stajennym, nabierając przez to podejrzeń odnośnie do ostrożyczki znalezionej pod moim siodłem. Przez Weylina próba wyjaśnienia sprawy zakończyła się fiaskiem. Później ten incydent w korytarzu... Czyżby Weylin naprawdę darzył mnie uczuciem, czy tylko był to element jego dziwnej, niezrozumiałej dla mnie gry? Raz potrafił być uroczym, czułym mężczyzną, innym razem zachowywał się jak wielki panicz, któremu się wydaje, że u swych stóp ma cały świat. Potrafił być niemiły, pogardliwy, a nawet bezduszny. Właśnie tak, jak przy sprawie Ewena. No właśnie, Ewen... Przeze mnie siedział w lochu, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc. Byłam mu winna ratunek.

A teraz jeszcze Balduria... Dlaczego udawała szaloną? Czyżby aż tak bała się Hermana? Czy mężczyzna, który zdobył moje serce, byłby zdolny do jakiegoś okrucieństwa, podłości? A jeśli wszystko wcześniej sobie zaplanował? Jeśli grał przede mną rolę, której oczekiwałam? Jeśli to on podłożył ostrożyczkę pod moje siodło? W końcu Luna należała do niego i tylko on wiedział, że jej dosiędę.

Wszystko zaczynało nabierać nowego sensu, a Herman z bohatera bez skazy przemieniał się powoli w prawdziwego złoczyńcę. Czy mogło być tak, że moim największym wrogiem nie był ten, którego się obawiałam, ale ten, którego pokochałam i któremu zaufałam bez reszty?

## XXIX. ULTIMATUM

Z prawdziwą ulgą wróciłam do komnat Laveny, wprost pod baczne oko Comty. Zanim mogłam skryć się w sypialni, musiałam wysłuchać całej litanii wiernej służki na temat mego wielce nieodpowiedzialnego zachowania. Ze spuszczoną głową stałam przed Comtą, gdy ta prowadziła mi długie kazanie, ale moje myśli były zajęte zupełnie czymś innym. Za dużo niejasności ostatnio się pojawiło.

Co ciekawe, zawsze gdy wydawało mi się, że rozwikłałam jakąś zagadkę Burii, natychmiast na horyzoncie pojawiało się kilka nowych. Łowy i skrzydlaki wydawały się teraz niczym w porównaniu z tajemniczą osobą, która najwyraźniej dybała na moje życie. Czy to mógł być Herman? Z wiadomych przyczyn nie brałam go pod uwagę, koncentrując uwagę na Dewinie, teraz jednak musiałam zrewidować swoje poglądy. To nie Dewin podarował mi konia, to nie Dewin działał jako dywersant, pomagając skrycie skrzydlakom, to także nie Dewin budził prawdziwy postrach w Baldurii, powodując, że zaczęła udawać pozbawioną rozumu.

Ale czy Herman byłby do tego zdolny? Czy mógłby skrzywdzić kobietę, która poświęciła swój honor, by ratować jego życie? Czy mógłby oszukać mnie i udawać zakochanego? Jakoś to wszystko do siebie nie pasowało. Jednak moje zaufanie do Hermana znacznie zmalało.

Muszę przyznać, że z wielkim trudem przyszło mi dochowanie obietnicy złożonej Baldurii. Korciło mnie, aby wyznać Hermanowi, że jego żona symulowała obłąd, jednak się powstrzymałam. Dlaczego? Sama się nad tym zastanawiałam. Jeśli faktycznie Herman wyrządził Baldurii jakąś krzywdę, to nie miałam prawa narażać jej na kolejne niebezpieczeństwo. Być może, udając szaloną, w pewien sposób wyzwalala się spod jego kontroli. Obiecałam sobie w duchu, że postaram się rozwikłać tę zagadkę i poznam prawdę, jakakolwiek by ona była. Na razie jednak postanowiłam skupić się na bardziej nagłym problemie. Jediną osobą, której w pełni ufałam i która do tej pory mnie nie zawiodła, był Ewen. A on właśnie teraz najbardziej potrzebował mojej pomocy.

Gdy wreszcie Comta przestała gderać, grzecznie przed nią dygnęłam i zapewniłam najśłodszy głos, na jaki było mnie stać:

– Solennie obiecuję, że już nigdy więcej nie zrobię czegoś równie głupiego. Przyrzekam o wszystkim kochaną Comtę informować i nie oddalać się samotnie.

– No dobrze, dobrze. – Chyba ją udobruchałam. – Niech panienka pamięta, że kobiecie niektóre rzeczy nie przystoją. Trzeba dbać o dobre imię.

– Będę dbać, na pewno będę.

Sama sobie bym uwierzyła, gdybym nie znała swych myśli. Oj, nieładnie tak okłamywać pocziwą kobiecinę. Ale co miałam jej powiedzieć? Że właśnie planuję, jak uwolnić Ewena z lochów? To chyba nie przypadłoby jej do gustu.

– Lubisz pakować się w kłopoty. – W sypialni zastałam Lavenę siedzącą na małym zydelku i rozczesującą długie, jasne włosy. – Aleś nam strachu napędziła.

– Ja tylko chciałam was poszukać i przez przypadek trafiłam do stajni. A jak już tam byłam, to przecież nie mogłam nie przywitać się z Luną. – Ściągnęłam znisz-

czone atlasowe pantofelki i fantazyjne pantalony. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest odzież, w której do was przybyłam?

– Jakże to nie wiem? – zdziwiła się, że zadaje tak głupie pytania. – Cudaczne jakieś te szmatki, ale twoje, więc Comta o nie zadbała. Uprać je kazała i do kufra włożyła.

– Do tego? – Wskazałam na drewnianą skrzynię ozdobioną metalowymi okuciami.

– Tak.

Podeszłam natychmiast do skrzyni i z niemałym trudem uchyliwszy ciężkie wieko, zaczęłam przerzucać znajdujące się w niej rzeczy. Po chwili odnalazłam moją krótką letnią sukienczynę, która w porównaniu z szatami Laveny musiała wyglądać jak jakieś lachmany. Z okrzykiem triumfu wyciągnęłam coś, czego szukałam i pośpiesznie naciągnęłam na siebie. Niech żyją majtki – to najwspanialszy wynalazek ludzkości. Bez nich czułam się naga.

– Możesz mi, Laveno, powiedzieć, dlaczego nie wspomniałaś o Ewenie? – pytałam.

Siadłam na łóżku, zakładając na bose nogi skórzane cizemki, o wiele wytrzymałsze niż pantofelki, które uprzednio nosiłam. Atlasowe obuwie było obuwem domowym – nie nadawało się na spacer po zamkowym dziedzińcu ani dalsze wyprawy. Cieniutkie podeszwy nie chroniły przed ostrymi kamieniami, a szlachetny materiał łatwo się brudził, niszczył i przepuszczał wodę, o czym mogłam się osobiście przekonać. Co innego obuwie skórzane, wykonane solidnie i przystosowane do dalekich eskapad.

– Och, to takie straszne... – Dłoń Laveny, trzymająca szczotkę, znieruchomiała, zawieszona nad włosami. – Do lochu trafił tylko za to, że Balduriego chciał ocalić.

– Zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Chciałam, abyś pierwej odpoczęła po trudach. – Odłożyła szczotkę na ławę i podeszła do mnie. – Kto to widział, aby strudzonego wędrowca od razu uraczyć tak smutnymi wiadomościami.

Podejście Burińczyków do życia i te ich wszystkie zasady szczerze mnie mężczyły.

– Próbowalaś rozmawiać z Dewinem?

– Niejeden raz – zapewniła. – Ale on głuchy na moje prośby. Jakby się w swej złości zapiekł.

– Czy Ekhard o tym wie?

– Weylin mu mówił, gdy się za Ewenem wstawiał... Prosił Ekharda o łaskę dla niego, ale nic nie wskórał. Dewin tak sprawę przedstawił, że wuj nie mógł prawa łaski zastosować. On teraz pod dużym wpływem mistrza się znalazł. Mistrz życie mu ocalił i wdzięczność dla niego czuje.

Weylin wstawiał się za Ewenem? No, proszę, tego się nie spodziewałam. Zagadkowy mężczyzna z niego.

– Słuchaj! – Gwałtownie wstałam z łoża. – Nie możemy zostawić Ewena bez pomocy! Takie siedzenie w lochu nie jest niczym przyjemnym. Trafił tam przez nas, bo chciał pomóc w ratowaniu Baldurii.

– Ale co my możemy zrobić? Jużeśmy wszystkiego próbowali...

– Muszę porozmawiać z księciem Ekhardem. Najlepiej na osobności. Tak, ko-

niecznie... – Nerwowo zaczęłam spacerować po komnacie, obmyślając plan ratunkowy. – Dewin nie może być przy tym obecny.

– Ale on prawie komnaty księcia nie opuszcza...

– „Prawie” robi różnicę – rzuciłam sloganem, znanym z mojego świata. – Cały czas tam nie siedzi. Dziś widziałam, jak szedł przez dziedziniec. – Pomięłam informację o jego rozmowie ze stajennym. – Musimy tylko wywabić go z komnaty Ekharda i sprawić, żeby nie wrócił do niej za szybko.

– Jak tego dokonać? – zainteresowała się.

– To już będzie twoje zadanie. – Zatrzymałam się i popatrzyłam uważnie na Lavenę. – Dewin darzy cię pewną sympatią, której trudno nie zauważyć. Jestem pewna, że gdy go o jakąś przysługę poprosisz, pomoże ci bez wahania, a ja będę miała czas, aby wejść do komnaty Ekharda.

– Miałabym o coś prosić Dewina? Ale o co?

– Nie wiem. Wymyślimy coś... Zaraz! – wykrzyknęłam radośnie. – Gdybyś nagle gorzej się poczuła, na pewno wezwano by do ciebie Dewina, a gdybyś dodatkowo powiedziała, że tylko jemu ufasz... Tak, kochana, musisz udać chorobę!

– Kiedy nie potrafię! – To był okrzyk pełen rozpacz. – Jam nigdy czegoś takiego nie czyniła. To wręcz nie wypada. Kłamstwo nie jest dobrą rzeczą.

– Masz rację, ale to inny rodzaj kłamstwa – zaczęłam ją przekonywać. – To kłamstwo w dobrej wierze, takie, które szkody nikomu nie czyni, tylko pomóc może. Dzięki temu może uda się nam uwolnić Ewena.

– Ale ja nie potrafię! – Byłam pewna, że jeszcze chwila, a Lavena wybuchnie płaczem. Podeszłam do niej i objęłam ją ramieniem.

– Położysz się do łóżka i powiesz, że jest ci słabo... Albo wiesz co, lepiej nic nie mów. Po prostu połóż się i jęcz.

– Jęczeć? – Wprowadziłam ją tym w osłupienie.

– O tak. Oj, oj, oj, oj... – zademonstrowałam. – To proste. Będziesz leżeć i jęczeć, a ja zawołam Comtę i powiem jej, żeś nagle osłabła.

– Ona się na coś takiego nie nabierze.

– Nawet nie wiesz, jak się mylisz. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie fortelu, jakim oszukałam Comtę, w tym dniu, gdy poznałam Ewena. – Kładź się! – poleciłam.

– Teraz?

– Natychmiast! – Niemalże siłą wepchnęłam Lavenę do łóża i przykryłam pledem po samą szyję. – Jęcz! – poleciłam, po czym dobiegłam do drzwi, a uchyliwszy je, krzyknęłam: – Comto! Ach, Comto, coś się stało Lavenie! Biedactwo tak strasznie jęczy!

Dałam znak siostrze Weylina, aby zajęczała.

– Oj, oj, oj – pisnęła omdlewającym głosem. – Oj, oj, oj.

– Cóż tu się dzieje? – Comta niczym pocisk artyleryjski wpadła do komnaty i podbiegła do łóża. Z prawdziwą troską pochyliła się nad Laveną. – Panienko, co się stało? Przecie wszystko było dobrze!

– Siedziała i cesała włosy, gdy nagle zbladła i ledwie udało mi się ją do łóżka podprowadzić, bo z sił zupełnie opadła. – Obrazowo starałam się przedstawić sytuację. – Może to od nadmiaru wrażeń? Myślę, że dobrze by rady medyka zasięgnąć.

– Oj, oj, oj – zawtórowała mi Lavena, potakując przy tym głową nieco za ener-

gicznie jak na osobę półżywą.

Na szczęście Comta była zbyt zaaferowana, aby to dostrzec.

– Mistrz Dewin potrzebny! Trza po niego posłać.

– Oczywiście! Ja po niego pójde, tylko niech mi ktoś drogę pokaże – zaproponowałam szybko.

– Marion cię zaprowadzi. Dewin jest w komnatach księcia Ekharda. – Comta nie zwracała na mnie uwagi, pochłonięta troskliwym gładzeniem czoła Laveny.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Mój plan zaczynał działać. Przyznaję, był trochę chaotyczny i niedopracowany, ale zdecydowałam się iść na żywioł. Ewen nie powinien dłużej siedzieć w lochu.

Marion nie była zbyt zadowolona z mego towarzystwa, nadal czując przede mną lęk, ale posłusznie poprowadziła do Dewina. Co ciekawe, okazało się, że nie tylko mnie się lękała – nawet strażnicy stojący przed drzwiami komnat Ekharda przypawali ją o drzenie. Głos się jej łamał, a słowa brzmiały tak niewyraźnie, że wartownicy nie mogli zrozumieć, o co jej chodzi.

– Wracaj do panienki Laveny – postanowiłam jej pomóc. – Dziękuję za pokazanie drogi. Dam sobie teraz radę sama.

Nie musiałam powtarzać dwa razy, gdyż od razu umknęła, pewnie zadowolona, że wreszcie wyzwoliła się spod mego wpływu.

– Przychodzę do mistrza Dewina – oznajmiłam strażnikom. – Panienska Lavena nagle zasłabła i potrzebuje pomocy medyka.

Jeden z wartowników wszedł do komnaty, zatraskując drzwi tuż przed moim nosem. Spojrzałam na drugiego ze strażników i uśmiechnęłam się do niego niewinnie. Nie odwzajemnił uśmiechu. Chyba nie pójdzie mi tak łatwo, jak myślałam.

Po chwili drzwi ponownie się otworzyły i na progu ukazał się Dewin. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Co się stało? – Obdarzył mnie nieprzychylnym spojrzeniem.

– Lavena źle się poczuła. Zasłabła... Leży w łóżku i jęczy, jakby ją co bolało.

– Idziemy! – zakomenderował i ruszył przodem.

Pospieszyłam za nim, starając się dorównać mu kroku, ale gdy tylko za zakrętem zniknęliśmy strażnikom z oczu, natychmiast przystanąłam.

– Co marudzisz? – Obejrzał się na mnie. – Spieszyć się nam trzeba.

– Niech pan pójdzie pierwszy. Mnie noga boli. Potknęłam się, gdym tu biegła. Będę iść wolniej, ale proszę się mną nie przejmować. Zdrowie Laveny jest najważniejsze.

Mruknął coś niezrozumiale, po czym nie przejmując się mną więcej, podążył dalej korytarzem. Jeszcze przez chwilę udawałam, że idę za nim, ale gdy zniknął mi za kolejnym zakrętem, momentalnie zawróciłam do drzwi komnat Ekharda.

– Mistrz Dewin zapomniał swego przybownika z medykamentami – obwieściłam, stając przed wartownikami, zaskoczonymi moim powrotem. – A że spieszy do chorej Laveny, mnie przysłał, abym torbę wzięła.

Nie miałam czasu zastanawiać się nad tym, w czym średniowieczni lekarze nosili swoje przybory. Liczyłam na to, że strażnicy nie będą zbyt bystrzy i lekko przełkną mój bluff. Nie pomyliłam się, ale niestety jednego nie wzięłam pod uwagę.

– Gdzie ta torba? Zaraz ją przyniosę! – Jeden z roślących mężczyzn postąpił do przodu.



– Eee... – zająknęłam się, myśląc intensywnie, jak wybrnąć z kłopotu. Za wszelką cenę musiałam dostać się do komnaty Ekharda. – To osobista torba mistrza i nie każdy zwykły człowiek może ją nosić – dalej brnęłam w kłamstwo. – Ja mam ją odszukać i zanieść do mistrza. Oj, mistrz Dewin nie będzie zadowolony, gdy przez was się spóźnię albo, nie daj Bóg, nie dostarczę mu torby. A jeśli coś się stanie Lavenie? Nie chciałabym być wtedy na waszym miejscu.

Strażnicy popatrzyli na siebie nawzajem, najwyraźniej sami nie wiedząc, co robić. Dewin zabronił im wpuszczania kogokolwiek do komnat Ekharda, ale bali się, że jeśli faktycznie wysłał mnie po swoją torbę, narażą mu się, przeszkadzając mi w wypełnieniu polecenia.

– Niech wejdzie – zdecydował wreszcie jeden. – Jeśli mistrz Dewin kazał.

– Kazał, kazał – potwierdziłam skwapliwie.

Przesunęli się i otworzyli przede mną drzwi. Nie przestając się do nich uśmiechać, weszłam do środka. Przez niewielki przedsionek szybko dostałam się do sypialni władcy. Nie zastanawiałam się nawet nad tym, że to niestosowne zachowanie dla kobiety. Przede wszystkim myślałam o Ewenie.

Księżę Ekhard leżał na łożu, miał zamknięte oczy. Przez chwilę patrzyłam na niego ze współczuciem. Wychudzona twarz i kościste ręce dodawały mu lat.

– Panie... – wyszeptałam, ostrożnie dotykając dłoni księcia. – Obudź się, panie.

Gwałtownie zamrugał i otworzył oczy.

– Czarodziejka... – Błady uśmiech wykwitł na jego ustach. – Przyszłaś podarować mi życie czy zabrać do krainy zmarłych?

– Wybacz, panie, ale przywiodły mnie tu bardziej prozaiczne powody.

Musiałam szybko przedstawić sprawę, z jaką przybyłam. Strażnicy, zaniepokojeni moją zbyt długą obecnością w komnacie, w każdej chwili mogli do niej zajrzeć.

– W czym mogę ci pomóc? Jak widzisz, w obecnym stanie raczej niewiele mogę.

– To możesz, panie – zapewniłam gorąco. – Chodzi o Ewena...

– Aaa... – westchnął. – On słusznie został ukarany, gdyż wiedzę medyczną, poznaną od mistrza Dewina, nieumiejętnie użył, chociaż mistrz go uprzedzał, by za leczenie jeszcze się nie brał.

– Wybacz, panie, ale jesteś w błędzie – przerwałam mu grzecznie, ale stanowczo. – Ewen dysponuje ogromną wiedzą, która przewyższa o niebo wiedzę Dewina. To on przeprowadził cesarskie cięcie i dziecko Baldurii ocalił.

– Przecie to twoja zasługa.

– Ja mu tylko powiedziałam, co trzeba zrobić, ale on sam przeprowadził operację, a to bardzo poważna sprawa. Ręczę, że mistrz Dewin sam by tego nie potrafił. Oczywiście nie ujmuję wiedzy Dewinowi, ale to Ewen ma szansę stać się naprawdę wielkim medykiem.

– Piękne to wszystko, ale faktu nie zmienia, że Balduria zmysły postradła.

Najprościej byłoby wyznać Ekhardowi tajemnicę Baldurii, nie mogłam jednak tego uczynić. Obiecałam jej, że dochowam sekretu, a nie chciałam wyjść na osobę nielojalną. Czyżbym powoli przyswajała sobie zwyczaje Burii?

– Panie, Balduria już była po drugiej stronie, gdyśmy ją zawrócili. To, co tam zobaczyła, spowodowało, że zmysły straciła, ale jestem pewna, że z czasem je odzy-

ska. Zważ jednak, panie, że żyje, tak samo, jak jej dziecko, a Herman żadnych oskarżeń przeciwko Ewenowi nie kieruje. Uwolnij go, panie. Okaż swoje miłosierdzie. To jawna niesprawiedliwość, karać człowieka za uratowanie życia.

Książę milczał, zastanawiając się nad moimi słowami. Na jego czole pojawiła się pionowa zmarszczka, świadcząca o ogromnym skupieniu.

– Czy mnie też mogłabyś wyleczyć? – zapytał niespodziewanie. – Czy mogłabyś sprawić, żebym znowu mógł chodzić, abym wstał z łoża?

Z tego, co słyszałam, książę podczas upadku musiał uszkodzić sobie kręgosłup, dlatego był sparaliżowany od pasa w dół. Nawet w moich czasach wyleczenie takich obrażeń nie było możliwe.

– Niestety, panie, są choroby, na które lekarstwa nie znam – przyznałam ze smutkiem. – Mogę jednak sprawić, że nie będziesz musiał reszty życia spędzać w tym łóżku.

– Cóż za cud sprawisz? – zaciekawił się.

– To nie cud. Wystarczy, jeśli każesz jakiemu zręcznemu cieśli, aby ci uszykował wygodne krzesło, do którego przymocujemy dwa duże koła i dwa małe. Dzięki temu, siedząc w fotelu, będziesz mógł odpychać rękoma koła i poruszać się po zamku. Oczywiście tam, gdzie nie ma schodów – dodałam prędko.

– Niezwykłe.

– Ręczę, że się uda. To jak, panie, uwolnisz teraz Ewena?

– Uwolnię – potwierdził. – Zaraz strażnika wyślę, coby go z lochów sprowadził.

Mówiąc to, nieporadnie zaklaskał w dłonie, przywołując w ten sposób stojącego za drzwiami wartownika. W oczach wchodzącego mężczyzny pojawiło się zdumienie, gdy spostrzegł, że zamiast szukać torby Dewina rozmawiam z władcą.

– Udaj się natychmiast do lochów i każ uwolnić Ewena, podopiecznego mistrza. Jak to zrobisz, sprowadź go do mnie.

Patrzyłam za odchodzącym strażnikiem, ciesząc się, że ta część planu została zrealizowana. Korzystając ze sposobności, postanowiłam chociażby kilkoma słowami wspomnieć o konieczności wprowadzenia zmian w prawach Burii. Oczywiście, chciałam to zrobić w sposób bardzo delikatny.

– Panie, słyszałam, że Lavena i Weylin niebawem staną na ślubnym kobiercu.

– Ano wreszcie ten szczęśliwy czas nastanie. – Wyraźnie się rozpogodził. – To związki, które pomogą Burii.

– A gdzie w tym wszystkim miejsce na miłość? – To jednak nie było zbyt delikatne, ale wyrwało mi się samo.

– A czymże jest miłość? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Ona tylko nie-szczęście przynosi i ból. Życie bez miłości jest prostsze.

– To ty tak, panie, myślisz, ale uwierz mi, że się mylisz. Miłość nadaje sens naszemu życiu, sprawia, że każdy dzień jest darem od losu.

– Raczej przekleństwem – przerwał mi. Teraz już się nie uśmiechał, był bardzo poważny, wręcz rozgniewany. – Nie będziemy o tym rozprawiać.

– Ale, panie! Unieszczęśliwisz swoich bliskich! Nie możesz rządów sprawować nad duszami i uczuciami ludzi. Każdy ma prawo do podejmowania wyborów dotyczących własnego życia i miłości.

– A gdzie w tym wszystkim miejsce dla ojczyzny? – Zadał to samo pytanie co

ja, tylko zmienił przedmiot, którego dotyczyło. – Jeśli każdy patrzyłby tylko na swoje przyjemności, to Buria nierządem i bezprawiem by stała.

– Mylisz się, panie – spróbowałam zaoponować.

– To ty się mylisz. Nie pochodzisz stąd i twoje zwyczaje są różne od naszych, dlatego nie winię cię za to. Bogowie przed wiekami prawa ustanowili i naszym przodkom je dali, przykazując, aby ich przestrzegali. To świętość i tradycja. A kto świętości się sprzeciwi, ten na potępienie skazany...

Umilkł, a ja pomyślałam, że pewnie wspominał swoją siostrę, dla której zgodził się prawa nagiąć i do tej pory tego żałował.

– Czyli uważasz, panie, że własne szczęście należy poświęcić i cierpieć przez całe życie? Przecież to kara najgorsza, o jakiej można myśleć.

– Życie nie może być pasmem uciech... – To zabrzmiało wręcz filozoficznie. – ...a poświęcenie wpisane jest w nasze losy. Każdy z nas poświęca coś dla dobra innych.

Trudno było rozmawiać z Ekhardem, wydawał się nieprzejednany w kwestii zmiany praw i już zrozumiałam, że nic nie wskóram. Żal mi było Laveny i Weylina, ale nic nie mogłam poradzić.

Właściwie nie miałam tu już nic do roboty i równie dobrze mogłabym wrócić do komnat Laveny, gdyby nie to, że Ekhard kazał przyprowadzić Ewena do siebie. Postanowiłam więc poczekać. Wprawdzie dalsza rozmowa się nie kleiła, a władca ponownie przymknął powieki, ale nie miałam zamiaru stąd wyjść, dopóki na własne oczy nie przekonam się, że Ewen odzyskał wolność.

Podeszłam do okna i oparłam się o parapet, wyglądając na zamkowy ogród. Ekhard miał oko na Lavenę, nawet gdy skrywała się w swoim zaciszu. Z jego okien rozpościerał się doskonały widok na altankę, która przecież wydawała się dobrze ukryta w kącie ogrodu.

Drgnęłam, gdy usłyszałam szcęk otwieranych drzwi. Przez myśl przemknęło mi, że to może Dewin, ale kiedy się obejrzałam, zobaczyłam wartownika i jakąś drugą, zarośniętą, odzianą w łachmany postać.

– Panie, przyprowadziłem więźnia – obwieścił wartownik i popchnął obdartusa o krok do przodu.

Nieszczęśnik, widać bardzo osłabiony, zachwiał się i upadł na kolana. Dopiero teraz zrozumiałam, że mam oto przed sobą Ewena.

– Zostaw go! – krzyknęłam, dopadając do więźnia. – On jest już wolny! Nie słyszałeś? Książę kazał go uwolnić! Jest wolny! – powtórzyłam.

– Jest wolny – zawtórował mi Ekhard, który właśnie przebudził się z krótkiej drzemki.

Wartownik wyprostował się, stając w pozycji na baczność.

– Możesz odejść – zezwolił mu władca.

– Jak się czujesz?

Pełna współczucia objęłam Ewena, próbując go podnieść z klęczek. Moja dłoń spoczęła na jego plecach. Syknął z bólu, a ja spostrzegłam, że koszulę na plecach ma całą w zaschniętych, brunatnych smugach. O Boże! Czyżby go wychłostano? Takie okrucieństwo nie mieściło mi się w głowie.

Patrzyłam na brudną, cuchnącą postać, której twarz zasłaniały włosy opadające na oczy i niechlujny zarost, porastający zapadnięte policzki. Z trudem doszukiwałam

się tych delikatnych, niemalże kobiecych rysów twarzy, które tak mnie urzekły, gdy ujrzałam je pierwszy raz.

– Jesteś wolny. – Łzy zakręciły mi się w oczach, ale na szczęście zdołałam powstrzymać płacz. – Przepraszam, że tyle to trwało.

– Ta niewiasta wstawiła się za tobą – przemówił Ekhard. – Szczęście masz, młodzieńcze, niebywale.

Podpierając się rękoma, Ewen z trudem zdołał wreszcie wstać z klęczek. Chwiał się jednak niby osika, najwyraźniej osłabiony zbyt długim pobyt w lochach i chłostą.

– Dziękuję – odezwał się wreszcie, a jego głos był taki sam, jak pamiętałam, chociaż dużo cichszy.

– Co tu się dzieje? – Do komnaty wszedł szybkim krokiem Dewin i zmierzył nas srogim wzrokiem. – Spisek to jakiś? Fortelem wywabia się mnie od łoża księcia, aby jakoweś szachrajstwa tu skutecznić? Co ten łotr tu robi? – Wskazał ręką na Ewena. – On gnić powinien w lochu, gdzie jego miejsce, a ta czarownica wraz z nim wygody ciemnicy poznać powinna.

– Miarkuj się, drogi Dewinie, ze słowami. – Książę nieznacznie uniósł głowę z poduszki. – Ewen uwolniony dziś został. Taka była moja wola.

– Tak, panie. – Dewin zagryzł wargi. – Twoja wola.

– Nie miej do mnie żalu, Dewinie, żem to uczynił.

Co? On się tłumaczył temu podstępnemu szczurowi? Aż we mnie zawrzało z oburzenia. Tu przydałby się ktoś, kto zrobiłby porządek na zamku. Książę Ekhard za bardzo podatny był na wpływ Dewina i pozwalał sobą manipulować. Brakowało, aby mistrz owinął sobie władcę wokół palca i doprowadził do tego, że po jego śmierci obejmie tron zamiast Weylina.

– Skądże, panie. – Dewin podszedł do łoża księcia i udając troskę, przyłożył dłoń do jego czoła. – Widzę, żeś rozpalony, chyba już dość wrażeń na dziś. Odprawię tych intruzów, abyś mógł wypocząć. Napij się ziół, panie.

Sięgnął po stojący na pobliskim stoliczku dzban i nalawszy z niego naparu do srebrnego kubka, przytknął go do ust władcy, ostrożnie przy tym unosząc mu głowę, aby się nie zachłysnął.

– Tak, Dewinie, snu potrzebuję – przytaknął Ekhard, gdy pić przestał. Przy mistrzu zachowywał się niczym małe dziecko. Gdzie ten władca, którego pamiętałam? – Ale Ewen jest wolny i proszę, uszanuj to.

– Uszanuję – zapewnił, uśmiechając się przy tym chytrze. Popatrzył na nas, mrużąc oczy. – A gdyby, panie, zrobić to, o czym ostatnio ci mówiłem?

– O czym mówiłeś? – Głos księcia był coraz słabszy, widocznie władca walczył z ogarniającą go sennością. Byłam prawie pewna, że owe cudowne zioła miały właściwości usypiające.

– O Julii. Jej pobyt z Hermanem sam na sam przez tyle czasu źle jest widziany. To ujma dla każdej niewiasty. Wspomniałem ci, panie, że sposób jeden istnieje, który mógłby z niej ten dyshonor zdjąć.

– A tak, tak... – przytaknął władca mało przytomnie.

– Można by dwie pieczenie na jednym ogniu upiec. – Dewin zatarł dłonie, uradowany ze swego pomysłu. Chętnie zdarłabym mu ten uśmiech z twarzy, najlepiej pumeksem.

– Tak, tak...

– Jeśli Julii tak bardzo zależało, aby uwolnić Ewena, to znaczy, że żywi do niego jakieś uczucia. Ty, panie, swoje dobre serce okazałeś i uwolniłeś tego pasożyta, ja jednak nie mam zamiaru dłużej się nim zajmować, gdyż za moją gościnność i dobroć tylko złem się odplacił. Aby więc wszyscy byli szczęśliwi, to ja jestem skłonny oddać tej pannie Ewena za męża, a ona dzięki temu zmaże z siebie wszelkie podejrzenia, jakie powstały podczas jej pobytu sam na sam z Hermanem.

– Co? – Chyba się przesłyszałam. Czy ten szuja powiedział właśnie, że miałabym poślubić Ewena?

– Tak, tak... – Zdawało mi się, że Ekhard nie potrafił już sformułować żadnego innego słowa.

– Ależ to absurd! – wykrzyknęłam.

– Albo bierzesz Ewena za męża, albo wraca tam, skąd go właśnie wyciągnęłaś. – Dewin przestał się uśmiechać. – Masz wybór! Jego los leży w twoich rękach.

– Panie... – zwróciłam się do władcy, ale ten już spał. – Panie! Tak nie można!

– Wszystko można. – Dewin zbliżył się do nas i położył rękę na ramieniu milczącego Ewena, zmuszając go ponownie do ukłęknięcia. – Ja jestem panem jego życia. Ja go znalazłem i ja mogę z nim zrobić, co zechcę. Chcesz, by wrócił do lochu? – Puścił Ewena i zaklaskał, wzywając w ten sposób strażników. – Odprowadzić go do ciemnicy i trzydzieści razy wymierzyć. Albo nie, lepiej czterdzieści.

Wartownik nie okazał zdziwienia, że zmieniają dopiero co wydane przez księcia rozkazy, tylko podszedł do Ewena i dźwignął nieszczęśnika do góry.

– Zostaw go! – krzyknęłam, szarpiąc strażnika za rękę. – Książę Ekhard zwrócił mu wolność! Czyich rozkazów słuchasz?

Zdezorientowany mężczyzna popatrzył na mnie, a następnie przeniósł wzrok na Dewina. Zapewne nie wiedział, co zrobić.

– Zabierz go! – polecił mistrz.

– Nie!

– Jedno twoje słowo, a go uwolnię – przypomniał z satysfakcją. – I co zrobisz? Trudny wybór, prawda? Tym bardziej gdy zakazaną miłością darzy się zajętego mężczyznę.

– Zgoda! – Nie miałam siły do dalszej walki. Dewin wygrał.

– No i pięknie. – Uśmiech medyka zająłby pierwsze miejsce w kategorii najperfidniejszy uśmiech wszech czasów. – Będziemy mieli potrójny ślub.

### XXX. ZEMSTA DEWINA

Nie wiem, jak wróciłam do komnat Laveny. Nie wiem także, co na mój widok powiedziała Comta, chociaż raczej nie było to nic miłego, zważywszy, że ledwie zdołałam jej obiecać, iż nie zrobię nic głupiego i od razu wymyśliłam fortel z udawaną chorobą Laveny. Właściwie dopiero gdy znalazłam się w sypialni siostry Weylina, dotarło do mnie, co się tak naprawdę stało.

– Przepraszam cię. – Lavena, nieświadoma tego, co zaszło w komnacie Ekharda, wyglądała na skruszoną. – Ja naprawdę nie potrafię udawać i Dewin szybko pojął, że nic mi nie jest. Bardzo się rozgniewał. Żebyś słyszała, jak krzyczał! Mam nadzieję, że nic złego cię za to nie spotka.

– Chyba już nic gorszego nie może mnie spotkać. – Z rezygnacją usiadłam na łóżku, obok Laveny. – To naprawdę był głupi pomysł.

– Tylko Ewena szkoda. – Pociągnęła nosem. – Chyba nikt mu już nie pomoże.

– Wręcz przeciwnie, właśnie został uwolniony i jeśli się nie mylę, trafił pod opiekuńcze skrzydła druhów Weylina.

– Co takiego? I ty to mówisz tak spokojnie? – Zerwała się na równe nogi.

– A jak mam mówić? Niespokojnie? – spróbowałam zażartować, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

– Udało się nam? – Chwyciła mnie za rękę i zmusiła, abym wstała. Odańczyliśmy razem opętańczy taniec radości.

– Panienci, to nie przystoi!

Comta miała doskonałe wyczucie czasu. Siłą rozdzieliła nas, powstrzymując przed dalszymi wygibasami. W zaistniałej sytuacji byłam jej nawet za to wdzięczna.

– Och, Comto, Ewen uwolnion został! – oznajmiła radośnie Lavena. – Dzięki Julii, ale i ja pomogłam. Udało się nam. Udało!

– Do czegoż to doszło! – Comta z dezaprobatą pokręciła głową. – Wychowałam panienkę od maleńkiego, a wystarczyło kilka dni, aby się panienka znarowiła. – Tu z wyrzutem spojrzała na mnie.

Zastanawiałam się, jak Lavena i Comta zareagują, gdy dowiedzą się całej prawdy o uwolnieniu Ewena. Ja na pewno nie miałam ochoty im o tym mówić. Kolejnej porcji wyrzutów chyba bym nie zniosła. Potrzebowałam spokoju, aby móc sobie wszystko na chłodno przeanalizować.

Leżąc w łóżku, otulona ze wszystkich stron ciemnością, wsłuchując się w równy oddech śpiącej obok Laveny, poczułam strach. Wpakowałam się, nie ma co! Jeszcze tak niedawno szykowałam się do wyjazdu na Costa Brava, a tu zaraz wyjdę za mąż za jakiegoś średniowiecznego młodzieńca, którego życie spoczywało w moich rękach. To straszna odpowiedzialność. Wreszcie zrozumiałam Baldurię, która jak by nie patrzyć, kiedyś była w podobnej sytuacji. Tylko ona, w odróżnieniu ode mnie, kochała swojego przyszłego męża i jej poświęcenie przez to stawało się bez porównania mniejsze. Co ja czułam do Ewena? Jedynie wdzięczność za to, że jako pierwszy odsłonił przede mną rąbek tajemnic Burii, że pomógł, gdy potrzebowałam wsparcia. Lubiłam go – tego byłam pewna – ale nic poza tym. I z tym człowiekiem miałam spę-

dzieć resztę życia?

Smutne rozmyślania przerwał mi na szczęście sen. Na trochę oderwałam się od nękających mnie problemów. Ta chwila wytchnienia była mi bardzo potrzebna, ale niestety trwała zbyt krótko...

\*\*\*

Zostałam obudzona w sposób mało delikatny, wręcz bolesny. Z ociąganiem otworzyłam wciąż ciężkie od snu powieki.

– Cóżes ty uczyniła! – Nad sobą zobaczyłam czerwoną od wściekłości twarz Weylina. Uzmysłowiłam sobie, że to jego dłonie szarpały mnie za ramię.

– A czy to wypada, aby mężczyzna wchodził do komnaty śpiącej kobiety? – zapytałam, próbując pozbyć się resztek senności.

Potrząsnęłam kilkakrotnie głową i usiadłam. Spostrzegłam Lavenę stojącą przy kominku i wtuloną w ramiona rozgniewanej Comty. Zza pleców potężnej służki wzywała zaciekawiona Marion, która jednak wolała zachować odpowiedni dystans. Zrozumiałam, że poznali już prawdę.

– Cóżes ty znowu umyśliła? – Weylin wreszcie mnie puścił i sięgnawszy po leżący w nogach łóżka aksamitny kaftan pełniący rolę szlafroka, rzucił mi go, trafiając w twarz.

Nie miał prawa tak mnie traktować! Odrzuciłam kaftan i w samej koszuli nocnej, bosa, stanęłam na podłodze. Podparłam się pod boki.

– Co wam się teraz nie podoba? – Postanowiłam udawać, że nie mam pojęcia, o co im chodzi.

– Czy to prawda, żeś zaręczona z Ewenem? – Lavena obróciła się w moją stronę, ale Comta nie wypuściła jej z objęć, uniemożliwiając uczynienie chociażby jednego kroku.

– Prawda – przyznałam, bo nie było powodu, by kłamać. I tak wiedzieli o wszystkim. – Ale co wam do tego? Wy też jesteście zaręczeni i jakoś nikt nie robi z tego wielkiego halo.

– Ale ty za znajduję się wydajesz! – Weylin grzmiał jak srodze rozjuszony ojciec. – Czy pojęcie jakowe masz, co to takowego oznacza?

– Jak zwykle jesteś bardzo delikatny i kulturalny – zadrwiłam z niego. – Twoje uprzedzenia są po prostu śmieszne. Jakbyś raczył zauważyć, to i ja nie pochodzę z tego cudownego... – Tu specjalnie zaakcentowałam słowo „cudownego”. – ...państwa. Właściwie nic mnie od Ewena nie odróżnia. Jesteśmy sobie równi i możemy się pobrać, jeśli tylko mamy na to ochotę. A w przeciwieństwie do was, ja miałam wybór i mogłam odmówić zamążpójścia – obwieściłam z satysfakcją.

– Ty nic nie rozumiesz! – Lavena rozplakała się w głos, a Weylin teatralnym, pełnym dramaturgii gestem przyłożył dłoń do swego czoła. Nawet Comta z dezaprobatą pokręciła głową.

– Czego nie rozumiem? Tego, że dzięki mnie Ewen odzyskał wolność? Jak by nie patrzeć byłam mu to winna, gdyż przeze mnie trafił do lochów. Myślałam, że honor dla was jest najważniejszy...

– Ona naprawdę tego nie rozumie. – Weylin westchnął i wyciągnawszy obie ręce, złapał mnie za ramiona. Widziałam, że próbował się uspokoić, ale drgający mięsień na policzku zdradzał jego wzburzenie.

– Co złego widzicie w mojej decyzji? – Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Twoja decyzja jest bardzo szlachetna i godna pochwały. – Jakoś nie byłam pewna, czy mówił to szczerze. – Zachowałaś się jak na bohaterkę przystało. Nie wzięłaś tylko pod uwagę jednego, drobnego szczegółu...

Umilkł na moment, jakby dając mi czas na domysły. Jednak mimo wysiłków, jakie włożyłam w powtórne przeanalizowanie wczorajszych wydarzeń, nie wpadłam na to, o co mu chodziło.

– Jakiego szczegółu? – zapytałam z rezygnacją.

Wolałam już to mieć za sobą. Ciekawe, co zaraz mi powie? Jaki powód wymyśli? A jeśli chodziło mu o to, co stało się w korytarzu?

– Ewen jest najdą – powtórzył.

– Tak, wiem. I co z tego?

– Jest kimś stojącym niżej niż najzwyczajniejszy sługa. Nie ma nic. Żadnych praw. Mistrz Dewin zapewnił mu dach nad głową, dał strawę i wychowanie. To bardzo dużo. Jednak w momencie, gdy Ewen sprzeciwił się swemu opiekunowi, ponownie stał się niczym bezpański pies. Zamek nie jest jego domem i nie może też być już dłużej schronieniem. Musi odejść, bez dobytku. Rozumiesz?

Rozumiałam, przecież nie byłam upośledzona umysłowo. Nadal jednak nie wiedziałam, jak to się miało bezpośrednio do mnie. Książę Ekhard zapewnił przecież na ostatniej uczcie, że swą opieką mnie otoczy i wiano podaruje. Nawet jeśli Ewen wszystkiego został pozbawiony, to nadal ja dysponowałam pewnym... hmmm... majątkiem.

– Nie rozumiesz... – westchnął. – Ewen nie ma nic, a ty, chociaż szczególnymi względami się cieszysz na dworze, to jednak z chwilą zawarcia małżeństwa stracisz to, co było ci dane. Stracisz wszystko. Ekhard już nie będzie twoim opiekunem, gdyż opiekę nad żoną sprawuje mąż. Wiano, które ci obiecał, do kasy zamkowej trafi, gdyż wiążąc się z osobą spoza rycerskiego stanu, automatycznie zrzekasz się wszelkich przynależnych ci praw. Nawet na zamku pozostać nie będziesz mogła, gdyż Ewen musi opuścić jego mury, a ty, jako wierna żona, masz obowiązek podążyć za nim. A gdzie podążycie, jak ani grosza nie macie, ani miejsca, gdzieś moglibyście się udać?

Dewin był mistrzem perfidnych planów. Nikt nie mógł mu dorównać. To, co wymyślił, zasługiwało na specjalną nagrodę. Ile trzeba mieć w sobie złości i nienawiści, aby wpaść na taki pomysł?

Otworzyłam szeroko usta, nie potrafiąc wydobyć z siebie żadnego słowa. Buria to wyjątkowo niegościnna kraina. Przez ten krótki czas, jaki tu spędziłam, stałam się obiektem nieustannych ataków. A dlaczego? Tylko dlatego, że nie urodziłam się w Burii, że zrządzenie losu i magia wyrzuciły moje życie do góry nogami, przenosząc w jakiś niezrozumiały mi sposób w czasie i przestrzeni. Czymże sobie na to zasłużyłam? Ciekawością? Tym, że nie posłuchałam babci, tylko poszłam zobaczyć ten głupi głaz? Powiedzenie mówi, iż „ciekawość to pierwszy stopień do piekła”, ja mogłabym zaświadczyć, że nie pierwszy, ale ostatni.

– Będziesz musiała od nas odejść. – Lavena szlochała, a jej szloch docierał do mnie jak z bardzo, bardzo daleka.

Nie rozumiałam dlaczego płacze. Przecież to ja miałam zostać wyrzucona z zamku, na pastwę losu i wszelkich niebezpieczeństw, jakie czyhały za murami.



– Ty nie potrafisz przeżyć dnia bez przygód? – Uścisk dłoni Weylina zelżał. Jego ręce zsunęły się z mych ramion, odbywając krótką wędrówkę wzdłuż łokci do przegubów, na których ponownie się zacisnęły. – Dlaczego jesteś taka inna?

Dobre pytanie! Pewnie dlatego, że urodziłam się w zupełnie innym, równoległym świecie. Poza tym nawet ziemskie czasy średniowieczne były mi całkowicie obce i nigdy szczególnie się nimi nie interesowałam. Owszem, czasem obejrzałam jakiś film kostiumowy, gdzie olśniewające damy wzdychały do równie urodziwych i bardzo walecznych rycerzy, ale traktowałam to w sposób czysto rozrywkowy. Gdy jakiś bohater umierał na ekranie, a jego ukochana wylewała po nim morze łez, ja byłam w siódmym niebie. Uwielbiałam takie piękne, wzruszające sceny. Wręcz nie mogłam się ich doczekać. Teraz jednak, co za ironia losu, samej przyszło mi wziąć udział w czymś przypominającym średniowieczny melodramat i to w dodatku bardzo, ale to bardzo realny. Zbyt realny jak na mój gust.

Ale zaraz... Chwileczka! Dlaczego mam odejść z zamku? Dlaczego Ewen nie ma żadnych praw? Że też od razu o tym nie pomyślałam. A Mateo? Przecież on też był znajdują, a został mężem księżniczki i jakoś nikt nie robił mu z tego powodu żadnych problemów.

– Jednego nie rozumiem. – Wyswobodziłam swoje dłonie z uścisku Weylina i odeszłam na bezpieczną odległość; przy nim nie czułam się zbyt pewnie. – Jeśli prawdą jest to, co mówicie, to dlaczego Mateo mógł poślubić siostrę Ekharda i pozostali razem na zamku? Dlaczego wtedy nikt nie mówił nic o cudownych buriańskich prawach? Czyżbyście różnie traktowali te same przypadki?

Wiedziałam, że wspominając Mateo, zdenerwuję jeszcze bardziej Weylina, ale nie miałam wyjścia. Z uwagą obserwowałam, jak nagle poblądł, tak jakby zobaczył ducha.

– To dwie zupełnie różne sprawy – wydusił wreszcie z siebie. – Nie wolno ich porównywać.

– A to czemu? Twój ojciec ma jakieś szczególne względy?

W komnacie zapanowała cisza. Nawet Lavena przestała szlochać. Spojrzenia wszystkich skoncentrowały się na mnie. Poczulałam się jak najgorszy zbrodniarz.

– Mateo został przygarnięty przez księcia Alfora i otrzymał rycerskie wychowanie. Nabył prawa, których Ewen nie posiada. Księżę Alfor uznał Mateo za równego nam, tak jak i ciebie uznał Ekhard. Dewin, przyjmując pod swój dach Ewena, nie obdarzył go niczym. Owszem, dawał strawę, szaty, kąpiel do spania, pozwalał podpatrywać tajniki sztuki medycznej, ale nigdy nie uznał go za równego sobie. Ewen mieszkał na zamku tylko dlatego, że Dewin w swej dobroduszości mu na to pozwalał, jednak w momencie, gdy mistrz go odtrącił, Ewen nie może już dłużej tu przebywać. Jest nikiem, jeno przybłądą, dla którego brak tu miejsca.

Słowa wypowiedane przez Weylina pozbawione były jakichkolwiek uczuć. Mówił je suchym, wypranym z emocji tonem. Tak jakby opowiadał o czymś bardzo mało istotnym.

– Ja mam prawa – przypominałam. – Sam przyznałeś, że Ekhard uznał mnie za równą wam. Obiecał wiano i...

– Jużem ci mówił... – przerwał mi. – Twoje prawa tracą swe znaczenie, gdy poślubisz Ewena. Żona podlegała jest mężowi i tam jej miejsce, gdzie jej oblubieniec.

– Co za debilne prawa! – krzyknęłam, jednocześnie dla większego efektu tu-

piąc nogą. – I wy się macie za takich oświeconych i wspaniałych? Gówno prawda!

Comta zatrzęsała się, słysząc ten wulgaryzm, a Marion pisnęła przeraźliwie i uciekła z komnaty. Nawet Weylin wyglądał na wstrząśniętego.

– Jawisz mi się jako dama, ale językiem pospółstwa się posługujesz. – Odwrócił się do mnie plecami i podszedł do swojej siostry. – Chodź, Laveno, zostawmy Julię samą, niech ochłonie i zastanowi się nad swoim postępowaniem. Naszych słów nie słucha i wszystko sama wie najlepiej. Nie mogę jej zmusić, aby zachowywała się jak należy. To jej wybór, a my uszanować go musimy.

– Najprawdziwsza to prawda – potwierdziła Comta. – Chodźmy, panienko, i czas jej dajmy. Może ochłonie troszeczkę i uwidzi, gdzie błąd popełniła.

Cała trójka wyszła z komnaty, zostawiając mnie samą. Byłam na nich wściekła i rozżalona. Dałam się podejść Dewinowi, niczym małe dziecko. Mistrz był wyjątkowo inteligentnym i przebiegłym człowiekiem. Nie dziwiło mnie już, iż tak łatwo owinął sobie Ekharda wokół palca. Nabierałam coraz więcej pewności, że to on stał za zamachem na życie księcia. Być może chodziło mu o to, aby Ekhard stał się bezwonną marionetką w jego rękach. Na pewno! Prawdopodobnie ziola, którymi poił władcę, miały za zadanie uczynić go bardziej podatnym na manipulację. Tylko jak to udowodnić?

Zrozumiałam, że moją jedyną deską ratunku jest Ekhard. Gdybym uwolniła go spod wpływu Dewina, na pewno przejrzałby na oczy. Jednak zadanie wydawało się wręcz niewykonalne. Dewin dobrze strzegł księcia i wątpiłam, aby po ostatnim moim fortelu dał się ponownie nabrać na jakiś podstęp. Ekhard pozostawał na wyłącznej jego łasce, a mistrz mógł dowolnie sterować schorowanym, pozbawionym własnej woli władcą.

Wózek! Ta myśl olśniła mnie nagle. Przecież obiecałam księciu, że będzie mógł opuścić swą komnatę na krześle wyposażonym w koła. Tak! Wątpiłam, aby Dewin zgodził się na wykonanie takiego sprzętu, ale to akurat był najmniejszy problem. Zrobienie fotela mogłam zlecić sama, trudniejsze byłoby dostarczenie go do komnat władcy. Ale Ekhard tak bardzo się ucieszył, gdy powiedziałam mu, iż znowu mógłby poruszać się po zamku, że postanowiłam zaryzykować.

Pospiesznie ubrałam się w te same szaty, co wczoraj. Ze wstrętem odrzuciłam baloniaste pantalony, które bardziej przypominały mi dmuchane kapoki, jakie zakłada się podczas nauki pływania, niż odzienie. Na szczęście miałam swoją bieliznę, która wspaniale sprawdzała się pod grubymi, trochę drapiącymi rajstopami.

W misce stojącej na ławie przy łożu naszykowano wodę do porannej toalety, ochlapałam więc twarz, zmywając z niej resztki snu. Z powodu braku szczoteczki do zębów tylko wypłukałam usta i gotowa do wyjścia, podeszłam do drzwi.

– A panienka gdzie? – Ledwie je uchyliłam na progu napotkałam Comtę, która skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzyła na mnie groźnie. – W kolejne tarapaty chce się panienka wpakować?

– Wręcz przeciwnie, droga Comto, chciałabym się z nich wyplątać – zapewniłam, uśmiechając się przy tym przymilnie. Niestety moje starania poszły na marne.

– I ja miałabym w to uwierzyć? Za stara już na to jestem. Z wielu pieców chleb jadłam i potrafię przejrzeć takich psotników jak panienka.

– Kiedy naprawdę...

– Tak, tak...

– Chyba nie jestem więźniem! – Zdenerwowałam się. – Chcę wyjść z pokoju!  
– A jakże. Oczywiście, ale nie sama. – Comta triumfowała. – Panienki same po zamku się nie pałętają. Od tej pory będę dla panienki niczym cień.

Piękna perspektywa! Taki wielki cień!

– Jasne. Świetnie – mruknęłam pod nosem.

– Coś się panience nie podoba? – Groźnie zmarszczyła brwi.

– Wszystko się podoba – zapewniłam szybko. – Nawet cieszę się bardzo, bo przy Comcie na pewno będę się czuć bezpieczniej. No i nie pobłądzą...

– To gdzie panienka chce iść?

– Potrzebuję kogoś, kto meble robi. Fotele, krzesła – zaczęłam wyliczać. – I chciałabym odwiedzić Ewena. Czy to nie będzie w złym guście? – zapytałam pośpiesznie, aby znowu nie wypaść na jakąś kompletną ignorantkę w zakresie zasad dobrego wychowania.

– To akurat nie jest chyba żadnym przestępstwem. – Zastanawiała się tylko przez chwilę. – Możem pójść do Gila, on wielce uzdolnion i takie cudne rzeczy potrafi z drewna wyczarować. Jak panienka chce jaki mebel, to tylko on w mig to zrobi.

– No to chodźmy – zgodziłam się.

Comta odwróciła się i ruszyła pierwsza, a ja podążyłam dwa kroki za nią. Co chwila służka odwracała się do tyłu i sprawdzała, czy gdzieś nie czmychnęłam albo nie szykuję kolejnego szaleństwa.

Zamek był naprawdę dużą budowlą, o czym mogłam się już wcześniej przekonać. Wokół dziedzińca pięły się cztery wysokie mury z dwoma piętrami krużganków. Nad główną bramą pyszniła się wieża wartownicza, która górowała nad okolicą. Po-dejrzewałam, że widok z niej musi zapierać dech w piersiach. Brama zazwyczaj była zamknięta grubą stalową kratą, a dla pojedynczych jeźdźców za wjazd służyła niewielka furtka z boku wieży. Właśnie przez tę furtkę wyszliśmy wraz z Comtą przed zamek. Wartownik patrzył na nas groźnie, gdy go mijałyśmy, ale nie robił żadnych trudności w tym względzie.

– Dlaczego wychodzimy z zamku? – Zrównałam się z Comtą.

– Chciałaś zobaczyć się z Gilem – wyjaśniła. – Rzemieślnicy na zamku nie mieszkają.

Ostatnie zdanie wypowiedziała z taką pogardą, że aż poczułam pewien niesmak. Rzemieślnicy to przecież nie jest gorszy gatunek ludzi. Wręcz przeciwnie! Przecież te osoby nieraz mają ogromny talent i produkują rzeczy, bez których wysoko urodzeni nie potrafiliby żyć.

Omijając kałuże, patrząc uważnie pod nogi, lawirowaliśmy pomiędzy chylącymi się ku ziemi byle jakimi chatami. Grupki dzieciaków ciekawie zerkały na nas, wy-patrując zapewne smakołyków, jakie mogłyśmy ze sobą przynieść. Dla tych umorusanych maluchów byliśmy kimś nie z tego świata. Przybyliśmy przecież z zamku, z tego cudownego miejsca, które odgradzały od nich grube mury. Żyły w ich cieniu, tak blisko, a zarazem tak daleko.

– No i jesteśmy na miejscu. – Comta zatrzymała się przed niczym szczególnym niewyróżniającą się chatą, przed którą, na drewnianej ławie, siedziała kobieta w szarej, długiej do ziemi, workowatej szacie i zawzięcie ucierała coś w niewielkiej dzieży.

Głowa niewiasty okutana była brudnym, burym szalem, szczelnie zasłaniając

włosy. W pierwszej chwili nie zauważyłam w niej niczego szczególnego, ale wnet zrozumiałam, że ta kobieta była inna. Co takiego szczególnego w niej było? Ona była Murzynką! Do tej pory nie spotkałam w Burii nikogo o innym kolorze skóry, ale prawdę powiedziawszy, obracałam się w wąskim kręgu osób. Owszem, jadąc na łowy czy też wracając z nich, mijałam okolicznych mieszkańców, jednak widziałam ich tylko z daleka i raczej się nie przyglądałam.

– My do Gila. – Tymczasem Comta obwieściła Murzynie powód naszego przybycia.

Kobieta spojrzała na nas przelotnie. Białka jej oczu wyraźnie odznaczały się w czarnej twarzy. Wstała z ławy i weszła do środka chaty, nie racząc nas zaprosić. Za moment lichutkie drzwi ponownie się otworzyły i wyszedł do nas czarnoskóry młody mężczyzna, odziany jedynie w długie, luźne spodnie, związane w pasie grubym sznurem, którego końcówki zwieszały się prawie do kolan. Dół nogawek również był przewiązany kawałkami sznurka, tworząc ze spodni coś na kształt pumpów.

– A co tam na zamku potrzebują? – Mężczyzna pokłonił się przed nami.

Zauważyłam, że Comta skrzywiła się, widząc, że jest bez koszuli, ale jawnie nie okazała swego niezadowolenia. Najwyraźniej ów Gil, mimo iż niskiego stanu, cieszył się jednak pewnego rodzaju szacunkiem.

– Ta panna ma pewne zlecenie. – Comta wskazała na mnie.

Mężczyzna, nie podnosząc głowy, którą cały czas miał przed nami skłonioną, zerknął ciekawie w moją stronę.

– Chciałabym zamówić fotel. Taki wygodny, z wysokim oparciem i podpórkami pod ręce.

– Tak, pani.

– Ale to nie wszystko – zastrzegłam. – Chciałabym, aby ten fotel miał koła.

– Koła? – Comta i Gil jednocześnie zadali pytanie. Oboje wyglądali na zaskoczonych moimi wymaganiami.

– Jakże to koła? – Czarnoskóry mężczyzna lekko się wyprostował. – To niepodobna, aby fotel miał koła.

– Bo to ma być specjalny fotel. O taki...

Rozejrzałam się dookoła, po czym podeszłam do stosu gałęzi, ułożonego pod ścianą chaty. Wybrałam jedną i jej końcem narysowałam na ziemi, o co mi mniej więcej chodziło. Wprawdzie nie mam talentu malarskiego, ale myślę, że nawet całkiem sprawnie przedstawiłam mój zamysł.

– Ciekawe... – Gil podrapał się po krótkich, kędzierzawych włosach. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Te dwa koła... – Wskazałam patykiem na rysunek. – ...muszą być większe. Osoba siedząca na fotelu musi bez problemu obracać ich obręcz rękoma. A te dwa mniejsze kółka mają zapewnić stabilność siedziska, aby się nie przewracało.

– Ciekawe – powtórzył, nie przestając się drapać.

– Będzie pan potrafił go zrobić? – zapytałam.

Murzyn wyprostował się jeszcze bardziej, teraz stał już prawie pionowo. Na jego twarzy pojawiło się nieklamane zdziwienie.

– To nie pan, to Gil – upomniała mnie Comta. – Słowo pan przynależy tylko szlachetnie urodzonym.

Puściłam mimo uszu jej słowa.

– Będzie pan potrafił zrobić taki fotel? – ponowiłam pytanie, udając, że nie słyszę gniewnego pochrząkiwania służki.

– Będę – zapewnił, przykładając prawą rękę do serca. – Dla panienki zrobię go tak, jak najlepiej umiem. Będzie wyjątkowy.

– Dziękuję.

Dygnęłam przed nim, doprowadzając tym Comtę do furii. Schwyciła mnie zdecydowanie za przegub ręki i pociągnęła do tyłu.

– Jak zrobicie, to przywieźcie na zamek – rzuciła sucho, odwracając się przez ramię na Gila.

Pokłonił się unizenie, a ja dostrzegłam, że uśmiechnął się nieznacznie. Odważymniałam uśmiech.

Wracałyśmy na zamek w grobowych nastrojach. Swoim zachowaniem ponownie zdenerwowałam Comtę, ale czy to moja wina, że Buriańczycy są tacy sztywni i obwarowani bezsensownymi prawami? Jak można wywyższać jednych ludzi, innych uznając za niewartych szacunku? Wydawało mi się to zupełnie bezsensowne, ale gwoli sprawiedliwości musiałam przyznać, że i w moim świecie takie sytuacje miały miejsce. Może nie w Polsce, gdzie żyłam, ale czytając gazety czy też oglądając telewizję, mogłam przekonać się, że nie wszystkie państwa były demokratyczne i przyjazne dla swoich obywateli. Jeśli mam być zupełnie szczerą, to i w historii mojego kraju można było znaleźć przykłady na to, iż nie zawsze było tak różowo. Nawet nie trzeba cofać się aż do czasów średniowiecznych, wystarczy chociażby zaznajomić się z historią dziewiętnastowiecznej Polski.

– I znowu panienka wstyd mi przyniosła. – Comta nie byłaby sobą, gdyby potrafiła długo milczeć. – Kto to widział, aby zwykłego chłopca panem tytułować?

– Na pewno było mu przyjemniej...

– Przyjemniej! – Parsknęła krótkim, nerwowym śmiechem. – Też mi powód! Przyjemniej! To człek do pracy stworzon, gdzie mu tam przyjemności w głowie.

– A ja myślę, że niczym nie różni się od nas.

Comta przystanęła, a zrobiła to tak gwałtownie, że jej obszerna, fioletowa sukienka aż zafurkotała.

– To bluźnierstwo! Niech panienka nigdy tak nie mówi. Co za bzdury też paniencie chodzą po głowie! To niby panienka Lavena jest taka sama jak Gil? I księżę Ekhard także?

– Dokładnie. Wszyscy oni mają po dwie ręce i nogi, po jednym sercu. Każde z nich musi jeść, pić, oddychać...

– Ale on stworzon jest do pracy, a panienka Lavena i księżę Ekhard nie.

– Myślę, Comto, że się mylisz. Ba, ja jestem tego pewna. Gdyby Lavena urodziła się w rodzinie Gila, może nie nosiłaby tych wszystkich pięknych strojów, ale nadal byłaby sobą.

– Nie chcę tego słuchać i niech panienka przy nikim takich bzdur nie prawi, bo to wstyd i ujma wielka.

Już nic się nie odezwałam, bo mogłam wysuwać swoje argumenty, a Comta wysuwałaby swoje i w ten sposób zachowywałybyśmy się jak przysłowiowy dziad gadający do obrazu, z tym że nie wiem, czy wolałabym być dziadem, czy też obrazem.

Znowu wyminęłyśmy gburowatego wartownika, który odprowadzał nas wzro-

kiem, dopóki nie przeszliśmy przez furtkę. Dziedziniec był pusty, wrota od stajni zamknięte na głucho, nawet przy studni nie było widać dziś praczek, jedynie przy drzwiach wiodących do części zamku zajmowanej przez Ekharda stali dwaj strażnicy, prezentując przed sobą błyszczące halabardy. Byłam pewna, że raczej nie pozwoliliby nam przekroczyć progu.

Jeszcze nigdy nie byłam w skrzydle zamku zamieszkiwanym przez Weylina, Comta jednak dobrze znała tutejsze korytarze, widocznie często towarzysząc swojej pani w odwiedzinach u brata. Jednak nie do Weylina dziś szliśmy. Celem naszej wędrówki był Ewen, który chwilowo pomieszkiwał u kompanów siostrzeńca księcia. Zaciekało mnie, że ściany korytarza, którym szliśmy, poobwieszane były różnorakimi proporcami, dzięki czemu wyglądały o wiele lepiej niż te w naszej części zamku. Również miecze, topory, sztylety i tym podobny oręż zdobiły mury, podkreślając wyraźnie, iż znalazłyśmy się na rycerskim terytorium.

– Co to za proporce? – Zbyt intrygowały mnie kolorowe sztandary, żebym nie zadała pytania.

– To symbole zwycięstwa – odpowiedziała takim tonem, jakby dziwiła się mojej totalnej ignorancji. – Każdy z nich zdobyty przez naszych rycerzy, czy to w pojedynku podczas turnieju, czy też w otwartej walce. To duma wielu pokoleń, które były tu przed nami.

Zaczęłam uważniej przyglądać się mijanym proporcom. Niektóre były postrzępione, inne upstrzone rdzawymi plamami. Te niby zwykłe kawałki materiału stanowiły kawałek historii, nieraz były świadkami bardzo dramatycznych wydarzeń. Może o jeden z tych proporców walczył Mateo? Ale on wtedy zginął, czyli przegrał. Jego proporzec musiał zdobić korytarz rycerski w innym zamku.

Comta gwałtownie zatrzymała się przed drzwiami, a ja zaabsorbowana rozmyślaniami, nie zauważyłam tego i z impetem wpadłam na jej plecy.

– Przepraszam – wysepleniałam, trzymając się za bolący nos.

Kolejny raz pokręciła głową na znak, że nie ma już do mnie siły i że żadne jej starania nie przynoszą rezultatu. Musiałam się wydawać beznadziejnym przypadkiem braku ogłady.

Comta zastukała z całych sił w okucie i niemalże natychmiast drzwi otworzyły się na oścież.

– A wchodźcie, wchodźcie. – Rudzielec zamaszystym gestem ręki zaprosił nas do środka. – Odwiedziny niewiast w naszych skromnych progach to dla nas prawdziwy zaszczyt.

– Dałbyś spokój z temi żartami. – Comta najwyraźniej nie miała dziś dobrego humoru. – Dobrze wiesz, że nie was odwiedzamy. Gdzie on? – Rozejrzała się po izbie.

Ja także popatrzyłam po pomieszczeniu, które było wprawdzie dość obszerne, ale prawie całkowicie puste. Jedynie na wprost wejścia, pomiędzy dwoma strzelistymi oknami, powieszony był herb, identyczny z tym w komnacie Laveny, a przy drzwiach wiodących zapewne do drugiego pokoju stała długa, solidna ława, obok której znajdował się stojak z wetkniętymi weń kilkoma mieczami.

– Aaa... O tego mikrusa wam chodzi. – Udał zaskoczenie, po czym roześmiał się. – A juści jest u nas. Jest. Gdzieżby miał iść? Jak o brata dbamy o niego, a i Weylin często zagląda. Tylko nie wiem, jak z wami... – Zasepił się na moment. – Bo wi-

dzicie, Comto, on w naszej sypialni złożon, a czy wam, niewiastom, wypada tam wchodzić?

– Bzdury gadacie, Lann. – Pogroziła mu palcem. – Prowadź nas, byle bystro.

– Ano to tutaj. – Wskazał na drzwiczki, które już wcześniej zauważyłam. – Tylko biedak w strasznym stanie... Ten, kto razy mu wymierzał, siły nie szczędził. Jeszcze dzień, dwa w lochu, a żywy by z tego nie wyszedł. Szczęście miał niebywałe.

Otworzył przed nami drzwi wiodące do komnaty sypialnej i przepuścił przodem. Wewnątrz panował półmrok. Okna zasłonięte były grubymi czerwonymi kotarami, których końce kładły się na kamiennej posadzce. Umieszczona przy wejściu pochodnia kopciła niemilosiernie, a dym miał ujście jedynie przez mały otwór pod sufitem. Półmrok panujący w pomieszczeniu uniemożliwiał mi przyjrzenie się otoczeniu. Zauważyłam jedynie dwa wąskie łóżka, stojące pod jedną ze ścian, a przy jednym z nich barczystą postać.

– Spójrz, Dunhamie, kto nas odwiedził. – Lann obwieścił nasze przybycie. – Chociaż źłem się wyraził... Nie nas, jeno tego biedaczynę.

Postać stojąca przy łóżku odwróciła się w naszą stronę i podeszła bliżej. Właściciel bokserskiego nosa wyszczerzył w uśmiechu krzywe zęby.

– Dbamy o niego lepiej niż rodzona matula.

Obaj roześmiali się na ten żart. To było wstrętne z ich strony, wzięwszy pod uwagę fakt, że Ewen był sierotą. Comta też wyglądała na oburzoną ich zachowaniem.

– Tacy szanowani rycerze, a zachowują się jak dzieciaki do psot skore. Oj, panicz Weylin nie będzie zadowolony. Nie będzie... – zagroziła, a ja z satysfakcją odnotowałam fakt, że obaj mężczyźni momentalnie przestali rechotać.

– Przecie my tylko tak, aby... – zaczął niepewnie Lann. Nagle stracił cały swój rezon. Najwyraźniej obawa przed gniewem Weylina skutecznie go utemperowała.

– Dość gadek po próżnicy – przerwała Comta, podchodząc do łóżka i pochylając się nad osobą w nim leżącą. – Na świętości Buri! – wykrzyknęła. – Toż to jaki oprawca być musiał. Książę Ekhard niechybnie powinien z tem zrobić porządek.

Natychmiast również zbliżyłam się do łóżka. Dostrzegłam Ewena, leżącego na brzuchu, z głową obróconą na bok. Widać kompani Weylina dobrze się nim zajęli, gdyż nie miał już zarostu, a jego włosy były umyte i uczesane. Od pasa w dół przykrywało go białe prześcieradło. Przez dłuższą chwilę zastanawiałam się, co założyli Ewenowi na plecy, gdyż wzór był tak skomplikowany, że przywodził na myśl jakieś bohomyzy szalonego artysty, i dopiero po dłuższym namyśle uzmysłowiłam sobie, że to nie odzienie.

Wydałam z siebie stłumiony jęk i przyłożyłam dłoń do ust. Zebrało mi się na wymioty. To było po prostu straszne. Comta spojrzała na mnie i przygarnęła ramieniem do siebie.

– Niewprawionaś w takich widokach.

Miała rację. Nie byłam przygotowana na coś takiego. Plecy Ewena były jedną wielką raną, ponaznaczaną głębokimi, szarpanymi nacięciami. Płaty skóry rozchyłały się, ukazując gołe mięso. Pozasychane strupy niczym czarne krosty rozsiane były bez ładu i składu, a wszystko to posmarowano dodatkowo grubą warstwą jakiegoś mazi-dła.

– Musielim mu zdjąć koszulinę, w której go przyprowadzono – wyjaśnił Dunham. – Materiał wrósł w rany i trza go było zrywać, aby je oczyścić. Nacierpiał się

biedaczek, ale serce ma rycerskie, bo mimo bólu ani razu krzyku nie wydał. Dalim mu zioła i tera nieprzytomny.

– Medyk go widział? – zapytałam.

– A gdzieżby tam! Jenó zielarz przyszedł i maści przygotował. Mistrz Dewin dla znajdy trudził się nie będzie.

No tak! Przecież to przez Dewina Ewen znalazł się w tym stanie. Jakim trzeba być potworem, aby osobę, którą od dziecięcia się wychowywało, skazać na takie cierpienia? Jeśli jednak dla Ewena nie miał litości, to do jakich okrucieństw mógłby się posunąć w stosunku do mnie?

Wyswobodziłam się z uścisku Comty i przykucnęłam przy łóżku Ewena. Delikatnie odgarnęłam kosmyk włosów z jego policzka. Wiedziałam, że nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, ale chciałam mu dać znak, że byłam tuż obok, że może na mnie polegać. Przecież to wszystko moja wina! Ja do tego doprowadziłam! Gdybym się tu nie zjawiała... Gdybym słuchała babci... Oj tak, dlaczego jej nie słuchałam? Dlaczego musiałam być tak uparta i głupia?

– Jestem tu – wyszeptalam, pochylając głowę nad uchem Ewena, tak aby nikt inny nie mógł tego usłyszeć. – Obiecuję, że już nikt nigdy cię nie skrzywdzi.



## XXXI. DZIEŃ TARGU

Kolejne cztery dni były do siebie podobne. Zachowywałam się zgodnie z oczekiwaniami Comty, nie przysparzając nikomu żadnych kłopotów. Stan Ewena stopniowo poprawiał się, ale odkąd odzyskał przytomność, nie odwiedziłam go ani razu. Nie dlatego, że nie miałam ochoty, ale dlatego, że Ewen zabronił jakichkolwiek wizyt. Chcąc nie chcąc, musiałam uszanować jego wolę, chociaż akurat dla mnie to była czysta głupota. Dodatkowo nastroju nie poprawiało mi moje ogromne, wręcz monstrualne poczucie winy. Gdyby chociaż Ewen zechciał ze mną porozmawiać, gdybym mogła usłyszeć z jego ust słowa pociechy. Potrzebowałam go, i to bardzo.

Właściwie zostałam pozostawiona sama sobie, nie licząc czujnej Comty, która starała się nie spuszczać mnie z oczu, tak jakby była pewna, że tylko ciągła kontrola gwarantuje moje w miarę odpowiednie zachowanie. Weylin udawał, że mnie nie zna, najpewniej oburzony podjętą przeze mnie decyzją poślubienia Ewena. Jak zwykle zachowywał się irracjonalnie, bo co mógł mieć do moich małżeńskich planów? Ja jakoś nie suszyłam mu głowy za Moreenę, której przybycia wszyscy wyglądali. To, że mnie pocałował w korytarzu, nie dawało mu żadnych podstaw, aby rościł sobie do mnie jakieś prawa. Nawet Lavena nie nadawała się teraz na dobrą towarzyszkę. Ciągłe milcząca, zasmucona, jakby przestraszona, unikała rozmów, chroniąc się najczęściej w ogrodowej altanie, gdzie czuła się w miarę bezpieczna. Rozumiałam jej postępowanie i bólem napawał mnie widok Laveny nasłuchującej stukotu końskich kopyt na zamkowym dziedzińcu. Każdy jeździec przekraczający bramę przyprawiał ją prawie o zawał, wydając się zwiastunem nadciągającego orszaku z Kantonii. Żał mi jej było bardzo, ale nie mogłam nijak pomóc. Bo niby co miałabym zrobić? Tylko księżę Ekhard mógłby zmienić prawa, ale obecnie znajdował się pod wpływem Dewina i wszelkie próby rozmów z nim byłyby daremne.

Pozostawała jeszcze sprawa Hermana. Od chwili, gdy usłyszałam z ust Baldurii pamiętne wyznanie, nie potrafiłam przestać o tym myśleć. Moja miłość nie osłabła, ale pojawił się na niej cień, który sprawiał, że zaczęłam się go bać. Tak jak wcześniej marzyłam o każdej chwili, gdy będzie mi dane zobaczyć go chociażby z daleka, tak teraz zaczęłam się obawiać ewentualnego spotkania. Jak zareaguję, gdy natknę się na niego podczas spaceru korytarzem? Czy będę potrafiła udawać, że o niczym nie mam pojęcia?

Dziwiło mnie, że Herman, który zapewne słyszał o moich planach małżeńskich, wszak plotki na ten temat lotem błyskawicy obiegły cały zamek, jednak nie próbował dowiedzieć się bezpośrednio u mnie, dlaczego podjęłam taką decyzję. To było dla mnie zupełnie niezrozumiałe, chociaż jeśli wziąć pod uwagę słowa powiedziane przez Baldurię – miało sens. Czyli jednak Herman nie był takim rycerzem bez skazy, jak mi się pierwotnie wydawało. Czyli to, co wyniknęło między nami, było tylko częścią gry. Nabrałam pewności, że ostrożyczka pod siodłem Luny to sprawa Hermana.

Może i byłam w tych moich domysłach niesprawiedliwa, ale wszystko świadczyło przeciwko mojemu ukochanemu. Słowa Baldurii wryły się w moją pamięć ni-

czym w granit. Herman był potworem, który unieszczęśliwił swoją żonę, doprowadzając do tego, że aby uwolnić się spod jego władzy, symulowała szaleństwo. Dodatkowo ten bezduszny potwór zawrócił mi w głowie i... Chwila! Tylko po co miałyby zawracać mi w głowie? Po co miałyby podkładać ostrożyczkę, aby następnie ratować w potrzebie? Po co rzucił się za mną w przepaść? I po co wyciągnął mnie z kipieli?

Nic do siebie nie pasowało. Miałam wrażenie, że staram się złożyć razem dwie różne paczki puzzli. Tajemnica goniła tajemnicę, a ja powoli traciłam w tym wszystkim rozeznanie. Dodatkowo nadmiar wrażeń dał o sobie znać w postaci przemęczenia. Rano zawsze wstawałam z niezwykłą trudnością, za to wieczorem jako pierwsza kładłam się spać. Zdarzało mi się też przysnąć w ciągu dnia, co do tej pory nie było w moim zwyczaju. Nikogo jednak nie dziwiło moje osłabienie, więc ja także nie przywiązywałam do niego wagi. Tyle się działo w ciągu ostatnich dni, że to całkiem zrozumiałe, iż mój organizm zwariował. Potrzebowałam wypoczynku, bez stresów, ciągłego wypatrywania zagrożeń. Spokoju, w którym nie musiałabym się martwić o przeszłość.

Cztery dni minęły i nastął piąty. Wyjątkowy. Tego dnia na zamku odbywał się wielki targ. Z podzamcza i okolicznych wsi przybywali rzemieślnicy z wytworzonymi przez siebie towarami, rolnicy pragnący sprzedać swoje marne zbiory, wędrowni kupcy ciągnący na wielkich wozach całe kramy, pełne przeróżnych mniej i bardziej potrzebnych rzeczy.

Według słów Comty targi odbywały się raz na trzydzieści dni i były wielkim świętem dla wszystkich. Na ten czas otwierano główną bramę, zazwyczaj zasuniętą ciężką, grubą kratą. Na dziedzińcu rozstawiano stragany, które szybko zapełniały się mnóstwem towarów, i chociaż Buria nie mogła poszczycić się wielkimi płonami, to jednak w tym dniu stoły uginały się pod ciężarem pieczywa, mięsiwa i niezbyt dorodnych owoców. Antałki z miodem i świeżo warzonym piwem dumnie pyszniły się pomiędzy kramami, a kolorowe tkaniny i świecidełka radowały oczy klientów.

Jako że dzień ten uważano za świąteczny, wszyscy na zamku przykładali dużą wagę do odpowiedniego stroju. Comta nie zapomniała zadbać, abym i ja prezentowała się dziś wyjątkowo dobrze. Wprawdzie Lavena zleciła uszyć dla mnie kilka sukien, ale ponieważ nie były jeszcze gotowe, postanowiono, że otrzymam kolejną kreację po siostrze Weylina. Wybór padł na śliczną, aksamitną, ciemnozieloną suknię, ozdobioną drobnym, złotym haftem. Założyłam ją z prawdziwą przyjemnością, gdyż materiał był nad wyraz miły w dotyku, a w dodatku suknia ślicznie się układała. Troszkę pomarudziłam przy wdziewaniu baloniastych pantalonów, ale widząc groźną minę Comty, uznałam, że znajduję się na straconej pozycji i muszę się podporządkować. Trudno, jakoś to wytrzymam.

– Myślę, że do sukni pasowałby pierścień, który dostałaś od księcia Ekharda – zauważyła Lavena, która do tej pory w milczeniu wyglądała przez okno na dziedzińiec.

– Masz rację – przyznałam, szybko udając się do sypialni, gdzie na ławie leżał mój wysłużony, stary plecaczek. Tam w jednej z kieszonek schowałam podarunek od Ekharda.

Pierścień był duży, ciężki i bardzo niewygodny. Duży kamień oprawiony w grubą złotą ramkę sięgał daleko poza zgięcie palca. Patrząc na świetlne refleksy odbijające się w szmaragdzie, zaczęłam się zastanawiać, ile też warte było to чудо.

Zapewne bardzo dużo. Może będzie go można sprzedać i w ten sposób zdobęde pieniądze na nowy dom. Mój i Ewena.

Jejku, jak to dziwnie brzmi. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że wyjdę za mąż bez miłości. Że zrobię to tylko po to, aby uratować komuś życie. Dopiero niedawno dziwiłam się Lavenie, iż godziła się poślubić nieznanego sobie mężczyznę, gdyż tak zdecydował jej wujek, a sama wpakowałam się w gorsze bagno. Lavena przynajmniej zostanie księżniczką, będzie powszechnie szanowana, otoczona opieką i dostatkiem. Ja za to poślubię znajdę, dla którego nie ma miejsca w zamku. Niemalże jak wygnać będziemy musieli udać się na poniewierkę po świecie.

Ciągle patrząc na pierścień, wróciłam do komnaty i grzecznie podeszłam do krzesła, przed którym stała Comta. Uśmiechnęłam się do służki, chociaż bardzo nie lubiłam, gdy ktoś czesał mi włosy. Te wszystkie ceregiele z fryzurami były ponad moje siły. Jakbym nie mogła uczesać się sama!

Comta uniosła szczotkę i z namaszczeniem zaczęła rozczesywać. Systematycznie, równymi ruchami, od góry do dołu. Ile tak można? Już dawno sama bym to zrobiła. Ale na Comtę nie było rady.

Warkocz po lewej stronie mojej głowy został misternie zapleciony i wierna służka zabrała się za drugą stronę. Jednak ledwie wzięła do ręki pasmo włosów, gdy do komnaty zajrzała Marion.

– Ja... ja... – zająknęła się, patrząc na mnie wystraszonym wzrokiem. Nie wiem dlaczego, ale ciągle czuła przede mną irracjonalny lęk, chociaż nie dawałam jej ku temu żadnych powodów.

– Cóż to się stało? – Szczotka zawisała nad pasmem włosów trzymanym przez Comtę.

– Bo przybył ktoś do panienki... Julii – z trudem wymówiła moje imię.

– Kto? – zaciekawiałam się. Raczej nie spodziewałam się żadnych odwiedzin.

– Taki czarny mężczyzna, co...

– Gdzie on jest? – Zerwałam się z krzesła.

Poczułam ból szarpniętych włosów, ale chwilowo nie miałam czasu się tym przejmować. Jedynym czarnym mężczyzną, który mógłby mnie odwiedzić, był Gil. A jeśli to faktycznie on, to znaczy, że fotel jest gotowy.

– Kazałam mu czekać na dziedzińcu. – Marion dygotała ze strachu, niepewnie patrząc to na mnie, to na stojącą z tyłu Comtę.

Na dziedzińcu? Ładna gościnność, nie ma co! Człowiek przychodzi do mnie, a oni każą mu wyjść na zewnątrz. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, chociaż pewnie i tak by ich nie było, szybko wyminęłam przerażoną pokojówkę i wybiegłam na korytarz.

– A panienka gdzie? – Doleciał do mnie głos Comty. – Przecież jeszcze nie skończyła czesać.

Mówiąc szczerze, nic mnie to nie interesowało. Może nie miałam perfekcyjnej fryzury, ale na pewno byłam bardziej gościnna niż ci średniowieczni Buriańczycy, którzy uważali się za takich cudownych i wszystkowiedzących. Labiryntem korytarzy, pokonując liczne schody i mijając przy okazji zaskoczonych moim widokiem mieszkańców zamku, bezbłędnie trafiłam do wyjścia.

Comta miała rację. Stałam jak wryta, onieśmielona i zaskoczona gwarem i mnogością barw, jakie teraz panowały na dziedzińcu. Zazwyczaj pusta, szara prze-

strzeń tętniła życiem. Poczułam się jak na wiejskim odpuszcie, na który kiedyś, gdy byłam dzieckiem, zabrała mnie babcia. Do pełni szczęścia brakowało teraz tylko waty cukrowej i wiatraczków furkoczących na wietrze.

Gil stał nieopodal drzwi, przez które wyszłam. Ubrany w szarą, luźną koszulę sięgającą kolan i również szare, obszerne spodnie, górował nad pozostałymi wzrostem. Przeniosłam wzrok w bok i... O matko! To było to! Z wrażenia odebrało mi mowę i zdolność poruszania się

– Toż i zrobiłem, tak jak panienka kazała. – Gil uśmiechnął się do mnie i lekko popchnął do przodu fotel. Drewniane koła płynnie obracały się po nierównej nawierzchni dziedzińca.

– Jest piękny. – Wreszcie udało mi się sformułować proste zdanie.

Podeszłam do fotela i dotknęłam dłonią ładnie wyprofilowanego oparcia. Zauważyłam, że zarówno ono, jak i podłokietniki zostały obciągnięte skórą, aby siedzisko było wygodniejsze.

– A cóże to? – Zzajana Comta również pojawiła się na dole. W prawej ręce ścisnęła szczotkę do włosów, celując nią niczym bagnetem prosto w wykonany przez Gila fotel. Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Widział kto takie dziwy?

– Tym fotelem można jeździć. – Usiadłam na siedzeniu i dłońmi popchnęłam koła.

Zdziwiłam się, że mechanizm działa tak lekko. Fotel drgnął i pojechał. Co ciekawe był dobrze wyważony, tak iż nie chybotął się na żadną stronę. Zaskoczyło mnie to bardzo, gdyż Gil nigdy wcześniej nie przygotowywał czegoś podobnego, a zrobił go, patrząc jedynie na mój niezgrabny rysunek na ziemi. Musiałam przyznać, że był prawdziwym geniuszem. Aż żal, że musiał żyć w takich skromnych, uwłaczających godności warunkach.

– A co to panienka nóg nie ma, żeby takie dziwa sobie sprawiać? – Comta nadal nie była przekonana i z obawą patrzyła na zrobione przez Gila чудо.

– To nie dla mnie – wyjaśniłam, podnosząc się z fotela i próbując udawać, że nie widzę ciekawskich spojrzeń. – To dla księcia Ekharda, aby mógł komnatę opuścić i znowu po zamku się przemieszczać.

– Ach! – Comta wydała z siebie dźwięk przypominający wypuszczenie powietrza z piłki.

Odwróciła pospiesznie głowę w bok, ale i tak zauważyłam łzy w jej oczach. Czyżbym ją wzruszyła? Pewnie nie spodziewała się, że stać mnie na taki gest.

– Dziękuję! – Uśmiechnęłam się do Gila. – Jest genialny. Taki, o jakim mówiłam. Ma pan prawdziwy talent.

Czarnoskóry mężczyzna lekko się speszył. Niepewnie miętosił w rękach róg lnianej, zapewne odświętnej koszuli.

– Panienka nader łaskawa...

– Prawdę mówię. Pan jest artystą.

Nawet Comta nie zareagowała na to moje tytułowanie Gila. Chyba uznała, że za coś takiego i on zasługuje na szacunek. Spojrzałam na swoją lewą dłoń, na której pysznił się ogromny pierścień otrzymany od księcia Ekharda podczas uczyty. Nie lubiłam tego sygnetu, bo miał zbyt duży kamień i przez to stawał się nieporęczny w noszeniu: zahaczał odzież i po prostu przeszkadzał. Nie namyślając się dłużej, ściągnęłam klejnot i szybkim ruchem włożyłam go w dłoń Gila.

– Przyjmij, panie, ten skromny dar, który nawet w jednej setnej części nie umywa się do tego, coś zrobił.

– Panienko, to za dużo! – Mężczyzna otworzył dłoń, patrząc z zaskoczeniem na otrzymany podarek. – Gdzieże mi przyjąć coś takiego?

– To moja zapłata – uparłam się. – Chcę, abyś go wziął. Fotel, który zbudowałeś, jest wyjątkowy i zasługuje na szczególne uznanie. Gdybym miała dwa takie pierścienie, dałabym ci oba. Mam jednak tylko jeden, więc proszę grzecznie, abyś raczył go przyjąć.

– Dziękuję, panienko. – Pokłonił się tak nisko, że głową prawie dosięgał ziemi.

– No, idźcie już, Gilu, idźcie. – Comta uznała, że dość już tych podziękowań. – Jeśli będziem jeszcze czego potrzebować, niechybnie damy ci znać. – Wolną ręką, w której nie trzymała szczotki, chwyciła mnie pod ramię. – Panienko, toć dla gapiów tera za pożywkę robim.

Faktycznie, zgromadzeni na dziedzińcu ludzie z wyraźnym zainteresowaniem zerkali w naszą stronę, dodatkowo szepcząc coś między sobą. Uniosłam rękę do włosów i kilkanaście szybkimi ruchami rozplotłam warkocz. Kilka kolejnych ruchów i fryzura nabrała bardziej normalnego kształtu. Uśmiechnęłam się do najbliższej mnie stojącej grupki osób.

– Chodźmy, chodźmy. – Comta nerwowo rozglądała się dookoła. – Toż to nie wypada widowisko z siebie robić.

Uznałam, że ma rację, i posłusznie popchnęłam przed siebie fotel. Odwróciłam się jeszcze na chwilę, aby pożegnać Gila, jednak czarnoskóry mężczyzna już odszedł. Szukając go wzrokiem w tłumie, nagle dostrzegłam w oddali Hermana. Moje serce zabiło szybciej. Tyle dni go nie widziałam. Z jednej strony bałam się, ale z drugiej wszystko we mnie zdawało się ciągnąć do niego.

– Comto kochana! – Spojrzałam na służkę. – Proszę, jeśli już tu jesteśmy, to może zobaczymy nowe wstążki dla Laveny? Mówiłaś ostatnio, że przydałyby się jej niebieskie do tej sukni, co ją na powitanie Kantończyków przyszykowałaś.

– Też prawda – przyznała Comta, patrząc z powątpiewaniem na trzymaną w dłoni szczotkę. – Ale pierwej wrócim do komnaty. Trza porządek z włosami panienki zrobić.

– Eee tam, włosy. Wstążki kupimy szybciotko i wrócimy do komnat z podarkiem dla Laveny. Ona ostatnio taka zasmucona chodzi... Może ją prezent ucieszy – kusiłam.

– A fotel? – Nie wyglądała na przekonaną.

– Zrobimy tak... – Wyjęłam jej szczotkę z ręki i położyłam na siedzeniu fotela. – Ja, ponieważ nie wyglądam zbyt wyjściowo, poczekam na Comtę przy wejściu, pilnując grzecznie fotela, a Comta przez ten czas raz dwa uwinie się z kupnem wstążek, a może jeszcze i czegoś.

– Panienska aby jakiego psikusa nie szykuje? – Nadal była pełna wątpliwości. – Ja panienkę zostawię samą, a panienska jakiego wstydu narobi.

– Słowo daję, że nie ruszę się stąd. Zresztą fotela muszę pilnować. – Staralam się być jak najbardziej przekonująca. – No, prędzej, Comto, zgódź się!

– Jeśli panienska słowo daję...

– Daję, daję. O fotel się będę troszczyć, żadnego wstydu Comcie nie przyniosę. – Dla podkreślenia rangi mych słów uniosłam do góry lewą rękę, chociaż akurat ten

gest chyba nie był tu znany.

– Oj, żebym tylko nie żałowała. – Podprowadziła mnie do wejścia i jeszcze przez chwilę stała, patrząc na mnie z powątpiewaniem.

– Dałam słowo – przypomniałam. – Niech Comta czasu nie marnuje i biegnie poszukać tych wstążek. Im prędzej Comta pójdzie, tym szybciej wróci.

Odeszła, ale kilkakrotnie obejrzała się do tyłu, aby sprawdzić, czy faktycznie stoję przy wejściu, pilnując fotela. Pomachałam do niej, co ją trochę speszyło i zrezygnowała z dalszego sprawdzania mojego położenia. I o to mi chodziło.

Ledwie Comta zniknęła mi z oczu, natychmiast zaczęłam przechodzącą obok kobietę, która, sądząc po stroju, należała do mieszkańców zamku.

– Dobra niewiasto... – zagadnęłam do niej zwrotem znanym z filmów. – Czy zechciałabyś łaskawie przypilnować chwilę tego oto fotela, który dla księcia Ekharda został przygotowany?

Kobieta na dźwięk imienia władcy od razu przystanęła i ciekawie popatrzyła na dzieło rąk Gila.

– A cóże to jest? – zapytała. – Jak fotel wygląda, ale koła jakieś ma...

– To specjalny fotel dla księcia. Bardzo ważny i cenny – dodałam. – Księżę Ekhard będzie wdzięczny za okazaną pomoc.

– Przypilnuję – zgodziła się.

– Dzięki stokrotne. Ja za moment wracam. Dosłownie za chwilę.

Biegiem rzuciłam się w kierunku, w którym wcześniej podążał Herman. Nie zważałam na ludzi, potrącając ich mało uprzejmie. Gdzież on poszedł? Rozglądałam się dookoła, ale nigdzie nie mogłam go dostrzec. A może tylko mi się wydawało, że to on? Czyżbym miała omamy wzrokowe? No, pięknie, rozum płatał mi figla. Jeszcze chwila i wszędzie będę widzieć Hermana.

Nagle poczułam, że ktoś położył mi dłoń na ramieniu. Byłam prawie pewna, że to mój ukochany. Odwróciłam się, lecz uśmiech zamarł na mych ustach. Tuż za mną stała przygarbiona postać, spowita w długą do ziemi pelerynę z kapturem głęboko nasuniętym na czoło. Gdy na nią spojrzałam, postać jednym ruchem kościstej, nienaturalnie białej ręki zsunęła kaptur do tyłu, ukazując mi pomarszczoną niczym pergamin twarz, którą szpecił jeszcze dodatkowo sękaty nos, ozdobiony na końcu okazałych rozmiarów kurzajką. Siwe włosy kobiety, sięgające do połowy pleców, splecione były niemiłosiernie, tworząc jeden wielki kołtun. Czarna, długa szata szczelnie otulała całą postać, a jedynymi odkrytymi elementami ciała kobiety była głowa oraz spoczywająca na moim ramieniu dłoń o powykręcanych palcach, zakończonych nienaturalnie długimi, pogrubiałymi paznokciami, które przywodziły na myśl szpony drapieżnego ptaka. Najbardziej niezwykle w tej osobie były jednak oczy: jasne jak stal, prawie białe, pozbawione brwi i rzęs.

Z obrzydzeniem otrząsnęłam się, pragnąc wyswobodzić się spod dotyku kobiety, jednak starucha trzymała mnie mocno.

– Przepraszam. – Szarpnęłam się. – Pani mnie chyba z kimś pomyliła.

– Ja nigdy się nie mylę – odpowiedziała, a jej głos był szeleszczący, nieprzyjemny dla ucha. – Jesteś przybyłą.

Wiedziała, kim jestem. Może ktoś z dworzan jej o mnie powiedział i wskazał? Tak, to wydawało się prawdopodobne.

– I co z tego? – Bardzo chciałam się pozbyć jej dłoni ze swego ramienia. Ko-

ściste palce wpijały się w moją skórę i miałam wrażenie, że promieniuje od nich przenikliwe zimno.

– Jesteś przybyłą – powtórzyła z mocą, zdając się patrzeć cały czas prosto w moje oczy. Ogarnęło mnie dziwne, irracjonalne uczucie. – Przepowiednia nie kłamała. Wiele zależy od ciebie. Tylko ty możesz ocalić tych ludzi. – Drugą ręką zataczyła półokrąg, wskazując na obecne na dziedzińcu tłumy. O dziwo, uzmysłowiłam sobie, że te osoby są nieruchome, jakby ktoś włączył stop-klatkę na wyświetlanym filmie. Niektórzy stali w bardzo nienaturalnych pozycjach, z jedną nogą uniesioną do góry i zgiętą w kolanie, inni z kolei mieli otwarte usta, tak jakby chcieli coś powiedzieć.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– Ludzkie losy zapisane zostały przed wiekami. Każdy z nas ma swoją ścieżkę, którą musi przejść. Czasem jednak zdarza się, że ścieżki te poplączą się. To błąd, coś, co nie powinno mieć miejsca. Ład świata zostaje wtedy zachwiany i wszystkim grozi zagłada. To stało się i tutaj. Na Burię spadły nieszczęścia. Złe wiatry rozniosły je dalej i wkrótce cały świat ogarnie zamęt. Nieszczęście jest blisko. Zbliża się... Czujesz ten chłód? To powiew śmierci, która nadciąga. Pochłonie wszystkich, wszystkich bez wyjątku. Przez jeden błąd... Ale bogowie dali nam szansę. Trafiałś tu, pokonując czas i przestrzeń. Dzieliła cię od nas wielka odległość, nie do przebycia dla zwykłego śmiertelnika. Ale ty nie jesteś zwykła. Musisz naprawić to, co uległo zniszczeniu, czego sama byłaś sprawcą. Wiele zależy od ciebie. Nie pomyl się znowu... Twoje wybory są dla nas wyrokiem. Życie albo śmierć.

– O czym pani mówi?

Nic z tego nie rozumiałam. Starucha bredziła, jakby opita się winem. Czego niby miałam być sprawcą? Przecież ja nic nie zrobiłam! Nie było mnie tu, gdy Buria stała się areną nieszczęść.

– Kto czas przemierza, nie wie, dokąd zmierza. I w każdej życia chwili po tyśiąckroć się myli. Bo w każdym sekrecie zaklęte są tajemnice przeklęte. A bogowie patrzą z góry poprzez gęste chmury. Co jest, co będzie, co było, oby się znów nie zdarzyło – zanuciła fałszywie, śmiejąc się przy tym i ukazując pomiędzy pomarszczonymi, bladymi wargami połamane, zepsute zęby. – Przed tobą długa droga. – Przystała się śmiać i spoważniała. Przybliżyła twarz do mojej twarzy, tak że poczułam nieprzyjemny odór jej oddechu. – Udasz się w podróż. Bardzo daleką. Ci, na których ci zależy, pójdą z tobą. Ta droga wiele zmieni. Musisz uważać, bardzo uważać. Dokończ to, co niedokończone, napraw to, co zniszczył los. Ulecz to, co chore, wybierz to, co trzeba wybrać, wróć tam, gdzie twoje miejsce.

W tym momencie puściła moje ramię, a świat dookoła ożył. Ludzie znowu zaczęli się ruszać, do mych uszu docierał gwar prowadzonych przez nich rozmów. Starucha odwróciła się z zamiarem odejścia, ale zatrzymałam ją. Szybko podbiegłam i zastąpiłam jej drogę.

– O czym pani mówiła? Co to wszystko miało znaczyć? O co chodzi z tymi bogami? I tą piosenką?

Starucha milczała, patrząc na mnie z powagą. Jej tęczówki wydały mi się jeszcze bledsze niż na początku, teraz miałam wrażenie, że zlewają się w jedno z białkami.

– Jednak panienska słowa nie dotrzymała. – Jak spod ziemi wyrosła przy mnie

Comta. – Azali nie obiecywała panienka, że przy wejściu pozostanie i poczeka? – W tym momencie spojrzała na kobietę, z którą przed chwilą rozmawiałam. – A co ja tu widzę? Na świętości Buri! Toż to wieszczba! Ludzie, wieszczba wśród nas! – Gwałtownie zamachała obiema rękoma, odganiając staruszkę. – Straże! Wieszczba na zamek się dostała!

Nagle zrobiło się straszne zamieszanie. Gwar rozmów przerodził się w krzyki, a zgromadzeni na dziedzińcu zaczęli w popłochu odsuwać się od nas. Dookoła miejsca, w którym stałyśmy, utworzyła się pusta przestrzeń. Starucha cofnęła się krok do tyłu i naciągnęła kaptur na głowę. Wysyczała coś, czego nie potrafiłam zrozumieć.

– Uciekaj, panienko, była prędko! – Comta zasłoniła mnie swoim ciałem. – Wieszczby niczego dobrego ze sobą nie przynoszą! Jakie przekleństwo rzuci albo co innego!

Zauważyłam nadbiegających strażników, trzymających w dłoniach proste miecze. Starucha na ich widok rozłożyła szeroko ręce. Poły jej szaty zdawały się przypominać skrzydła upiornego ptaszyska.

– Zło ten zamek w posiadanie wzięło. Zło się rozprzestrzenia. Przeklęci, którzy mu służą! – zakrzyknęła donośnym, niemalże męskim głosem.

Zakręciła się w miejscu i... O matko! Zniknęła! Po prostu rozplynęła się w szarym dymie, który dostojnie wzbił się ku zasnutemu chmurami niebu. Strażnicy zatrzymali się, zdezorientowani zaistniałą sytuacją. Rozglądali się bezradnie dookoła, nie wiedząc, czego właśnie byli świadkami.

– Do komnat! – Comta zacisnęła usta i chwyciła mnie mocno za rękę.

Nie śmiałam się jej sprzeciwić. Pozwoliłam, aby poprowadziła mnie w stronę wejścia. Ludzie odsuwali się od nas, gdy ich mijałyśmy, a jeden starszy mężczyzna splunął z obrzydzeniem, kiedy przechodziłam obok.

– I cóże to panienka narobiła? – Comta puściła mnie dopiero przy drzwiach, przy których, o dziwo, stało dwóch strażników.

Obejrzałam się za siebie i zauważyłam, że na dziedzińcu zaroilo się od rycerzy księcia Ekharda. Dostrzegłam Weylina, Lanna i Dunhama. Był także Herman, który jednak nie patrzył w moją stronę.

– I na co to panience było?

– Ja nic takiego...

Weylin zostawił kompanów i podszedł do nas.

– Wieszczba bez przyczyny na zamek się nie dostała. Ludzie mówią, żeś z nią dysputy jakowe prowadziła – zwrócił się do mnie, a ton jego głosu był nad wyraz poważny. – Co od ciebie chciała?

– Nie mam pojęcia. Coś o jakichś bogach bredziła – wyjąkałam, zaskoczona całą tą sytuacją, przytomnie jednak pomijając fragment o roli, jaką mi przypisywała. – Ja nie wiedziałam, co to za osoba. Pierwszy raz na oczy ją widziałam. Sama mnie zatrzymała. Nie miałam pojęcia kto to – powtórzyłam.

– Gdzie wieszczba się pojawia, tam nieszczęście zwiastuje. – Comta nerwowo obracała w palcach końcówkę ozdobnego sznureczka, którym obszyte były rękawy jej sukni. – Tyla lat żadna tu nie zaglądała i tera...

– Kim, do cholery, jest ta wieszczba? – przerwałam jej, bowiem pragnęłam uzyskać odpowiedź na to podstawowe pytanie.

– Wieszczba to człek, który posiadał magię i stał się jej częścią. Może przenosić



się z miejsca na miejsce, żadnych podróży nie czyniąc. Nie musi jeść, nie musi pić. Widzi to, co niedostępne innym ludziom. Zna przeszłość i przyszłość. Potrafi choroby sprowadzać na ludzi, jak i je odpędzać. Gdzie się pojawia, tam zwiastuje, że coś się wydarzy. Nigdy nie jest to coś dobrego. – Weylin przypiął do pasa miecz, który dotychczas trzymał w dłoni. – Ludziska na targ przyszli, lecz trzeba nam wszystkich obcych z zamku wyprosić. Dziś sprawunków nie będzie.

– Ale chyba nie myślicie, że ja mam coś wspólnego z tą wieszczką – zaniepokoiłam się. – Ona mnie sama w tłumie wypatrzyła. Przecież ja nie miałam pojęcia...

– Comto, zabierz Julię na górę. – Weylin spojrzął na fotel, ignorując moje pytanie. – A to co za dziwo?

– Panienska Julia zleciła Gilowi, aby wykonał siedzisko dla księcia Ekharda. Ponoć dzięki niemu po zamku znów będzie mógł się poruszać.

– Zaiste niezwykle. Lann! Dunham! – zakrzyknął na swych towarzyszy. – Pójdźcie no tutaj i pomóżcie zanieść fotel do mych komnat.

– Do twoich komnat? – To totalnie mnie zaskoczyło. – Przecież to prezent dla księcia.

– Wybacz, Julio, ale po dzisiejszych wydarzeniach, gdyś się z wieszczką ugadywała, pewności nijakiej nie mam, że ten fotel to nie pułapka jakowa, mająca przyczynić się do pozbycia się władcy. – Nie patrzył na mnie, gdy to mówił.

– Tak myślisz? – Wezbrała we mnie złość.

– Tak myślę – przyznał. – No, Comto, na co czekacie? Zaprowadźcie panienskę na górę – ponowił polecenie.

– Bardzo się cieszę, że już wkrótce wychodzę za mąż – wypaliłam z wściekłością. – Przynajmniej opuszczę ten dziwny zamek, gdzie każdy każdego ma za wroga. A najbardziej się cieszę, że wreszcie nie będę musiała oglądać twojej napuszonej twarzy. Jeśli ten kraj ma mieć w przyszłości takiego władcę jak ty, to wydaje mi się, że gorszego przekleństwa wieszczka już by nie mogła rzucić.

Pełnym dostojeństwa ruchem odwróciłam się do niego tyłem i pierwsza, przed Comtą, weszłam do sieni.

## XXXII. WIESZCZBA

Nie miałam pojęcia, kim jest wieszczba. Sądząc po reakcji strażników i gawie-  
dzi zgromadzonej na dziedzińcu, musiała to być wyjątkowo groźna istota. Słowa  
Weylina nic mi nie objaśniły, a wręcz przeciwnie – wprowadziły jeszcze więcej za-  
mętu. Dodatkowo cały czas analizowałam to, co powiedziała starucha. Nie byłam  
zwyczajna? Miałam naprawić to, co sama zniszczyłam przed wiekami? Totalne bzdury!  
Jak moje przyszłe wybory mogą zdecydować o losach mieszkańców Burii? O co  
w tym wszystkim chodziło?

Comta najwyraźniej obraziła się na mnie za to, że nie dotrzymałam słowa,  
i mimo iż próbowałam ją przeprosić, pozostała głucha na moje wyjaśnienia. Owszem,  
nadal wiernie wypełniała wszystkie obowiązki przynależne służce, ale nie mogłam li-  
czyć na jakąkolwiek rozmowę z nią. Dodatkowo, jak by tego było mało, zamknęła  
mnie w komnacie sypialnej, uniemożliwiając kontakt z kimkolwiek innym. Nawet  
Lavena nie mogła się ze mną zobaczyć. Poczulałam się jak więzień. Przecież nie zrobi-  
łam nic złego! To ta obrzydliwa starucha zaczepiła mnie na dziedzińcu. Ja chciałam  
tylko... Ech, szkoda słów. I tak nie mogłam liczyć na zrozumienie.

Do wieczora siedziałam w zamknięciu, nudząc się jak mops i rozmyślając nad  
słowami wieszczby. W porze kolacji szczęk klucza w zamku dał mi znać, że nadciąga  
Comta. Miałam rację. Milcząca służka weszła do komnaty, trzymając w dłoniach  
srebrną tacę. Dostojnym krokiem, z głową wysoko uniesioną, omijając mnie wzro-  
kiem, podeszła do ławy i postawiła na niej wieczerzę.

– Długo macie zamiar mnie tak więzić? – Nie wytrzymałam. Przecież chyba  
przysługiwały mi jakieś prawa? Jak można pozbawić człowieka wolności, nie mó-  
wiąc mu za co?

Nie raczyła odpowiedzieć na moje pytanie, tak jakby wcale go nie usłyszała.  
Odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. Zerwałam się z łóżka, na którym sie-  
działam, i błyskawicznie zastąpiłam jej drogę, tarasując ciałem drzwi.

– Halo! Ja tu jestem! Słyszysz mnie, Comto? Jestem tutaj! Twoje naburmusze-  
nie jest może i zabawne, ale nie na długą metę. Przestań w tej chwili mnie ignorować!

Wreszcie łaskawie spojrzała na mnie, ale w jej wzroku dostrzegłam prawdziwą  
pogardę.

– Zawiodłam się na panience. Oj, zawiodłam. I to nie tylko ja. Przychodzi pa-  
nienka nie wiadomo skąd, biedniutka taka, w sukieneczynie lichutkiej niczym łachma-  
niara jaka. Dobry książę się nad panienką ulitował, pod opiekę swojej siostrzenicy  
oddał, a panienska tak mu się odwdzięcza? Za gościnę? Za serce? Za zaufanie, jakim  
panienkę obdarzył, choć starszyzna mu prawiała, coby panienski pod swój dach nie  
przyjmował?

– Kurczę! Ja to rozumiem i wdzięczna mu jestem bardzo. W niczym nie chcia-  
łam go urazić. Wręcz przeciwnie. To z myślą o księciu zleciłam wykonanie fotela.  
Chciałam, aby poczuł się jak kiedyś. Aby znowu mógł po zamku się poruszać. Aby  
nie musiał ciągle leżeć w swej komnacie. Comto, przecież ja nic nie zrobiłam! –

krzyknęłam z rozpaczą. – Moim jedynym przewinieniem jest to, że słowa nie dotrzy-  
małam i zamiast czekać na ciebie przy wejściu, tak jak przyrzekłam, na chwilę ode-  
szłam od fotela, bo wydawało mi się, że zobaczyłam... – Nie mogłam kłamać, jak już  
miałam się bronić, to musiałam to zrobić tak, jak należy. – ...Hermana. Chciałam go  
o zdrowie Baldurii zapytać. Tylko tyle. Ale gdy weszłam w tłum, Herman zniknął mi  
z oczu, a wtedy zaczęła mnie ta stara baba. Pierwszy raz ją zobaczyłam, nawet nie  
miałam pojęcia kto to... Ot jakaś starucha ze szpetną twarzą. Skąd miałam wiedzieć,  
że to ktoś groźny, kogo wszyscy tak bardzo się lękają, prawie na równi ze skrzydla-  
kami?

– I panienska chce mi wmówić, że wieszczka na zamek weszła tak sobie? I niby  
przypadkiem panienskę zaczęła? A czemu właśnie panienskę, jeśli tam tyle ludzi  
było?

– Nie wiem! Nie mam zielonego pojęcia!

– A ja wiem i wszyscy inni też wiedzą! – oznajmiła grobowym głosem. –  
Bo wieszczka chciała akuratnie z panienką pogadać. Sprawę jakowąś miała. Myśla-  
ła, że w tłumie lepiej się ukryje, że naszą czujność zmyli. Ale my się podejść nie  
damy! Po oczach wieszczbę poznać, tych stalowych ślepiów żaden żyw człek nie ma.  
Zdradziła się, kaptur z głowy zdejmując. Magię panienska na zamek przywlekała,  
a magia ta zła, jeno cierpienie przynosząca.

– Mylisz się, Comto...

– Może ja i prosty człek jestem, ale swoje wiem. Wieszczka z ludźmi prawymi  
nie gada, żadnej sprawy do nich nie ma. Nie mnie wyroki wydawać, to już ksiązę  
Ekhard co do panienski decyzję podejmie. Za tyle serca tak mu się okrutnie odwdzię-  
czyć...

– Kiedy ja nic... Ja bym nigdy...

Przeraziły mnie słowa Comty. Byłam więźniem. Może nie osadzonym w ciem-  
nym, wilgotnym lochu, ale jednak odebrano mi wolność, a ksiązę Ekhard miał podjąć  
decyzję, co ze mną dalej zrobić. Oj, nie brzmiało to dobrze.

Odsunęłam się od drzwi, dając przejść Comcie, i wróciłam na łóżko. Nie mia-  
łam ochoty na jedzenie. Gdybym teraz coś skosztowała, niechybnie wszystko bym  
zwróciła. Skuliłam się na posłaniu, zwijając w pozycji embrionalnej, z kolanami  
przyciśniętymi do piersi. Czułam się taka samotna, taka opuszczona przez wszyst-  
kich. Och, gdyby Herman tu był... Oddałabym wszystko, aby znaleźć się znowu  
wraz z nim nad wodospadem. Tak bardzo mi go brakowało.

Pochodnie dopaliły się i zgasły z sykiem, a ja nadal leżałam na łóżku, wpatru-  
jąc się pustym wzrokiem w ciemność. Chłód nocy wkradł się w mury, obejmując we  
władanie moje ciało. Drżałam z zimna, ale nie miałam ochoty sięgnąć po koc. Po pro-  
stu trwałam w bezruchu, powtarzając w myślach imię mego ukochanego. Poniekąd  
byłam nawet zła na Hermana, że nie dążył do spotkania ze mną. Gdybym ja znalazła  
się na jego miejscu, zrobiłabym wszystko, aby chociaż przez chwilę zobaczyć się  
z osobą bliską memu sercu. Nic nie mogłoby mnie przed tym powstrzymać. Jak Her-  
man mógł tak łatwo o mnie zapomnieć? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że  
czułam się osamotniona i zagubiona. Rozumiem, że miał swoje obowiązki, przede  
wszystkim chorą żonę, którą musiał się zajmować, ale przecież te pięć minut by go  
nie zbawiło. To, co mówiła Balduria, musiało być prawdą. Herman to przebiegła,  
podła istota, która unieszczęśliwia innych. Nigdy mnie nie kochał, a jedynie bawił się

mym uczuciem. Wykorzystał, jak przedmiot, po czym wyrzucił niczym zbędny śmieć. Może nawet po cichu śmiał się ze mnie?

Chciałam go znienawidzić, ale nie potrafiłam. Głupie serce zadawało kłam rozumowi, upierając się przy wersji prawdziwej miłości. Przecież nie mogłabym się aż tak pomylić! Herman spieszył mi na ratunek, ryzykując własne życie. Czy tak postępuje osoba, która jedynie pragnie zabawić się kosztem innej? Kochałam go miłością beznadziejną, bezwarunkową i nieuleczalną, która była w stanie przezwyciężyć strach i niepewność, zasiane przez Baldurię.

Kolejne godziny nocy upływały mi na smutnych rozmyślaniach. Zасыpiałam na krótką chwilę, by za moment budzić się, wstrząsana dreszczem. Śniłam o Hermanie i z jego imieniem na ustach wracałam do rzeczywistości. Mój ból samotności dośkwierał mi teraz bardzo mocno. Jakże marzyłam o tych silnych ramionach, obejmujących mnie w pół, o tych ciemnych oczach, pałających namiętnością. Hermanie, dlaczego cię tu nie ma?

Nagle w rogu komnaty zatliło się niewielki światło – coś jak iskra, która z każdą sekundą zaczęła się powiększać. Błękitny blask rozjaśnił mrok. Wydało mi się, że w tym świetle dostrzegłam zarys jakichś drzwi, które uchyliły się i... To sen, tylko sen. Musiałam znowu zasnąć. Zaraz się obudzę. Już za moment.

Jednak majak senny nie mijał. Był zbyt wyraźny, żeby mógł być tylko złudzeniem. Odważyłam się poruszyć i niepewnie uszczypnęłam się w prawe ramię. Zabolalo. Wyteżyłam wzrok, przyglądając się postaci, która pojawiła się w wyimaginowanych drzwiach. Usiadłam gwałtownie na łóżku, otwierając usta jak do krzyku, ale głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłam wydobyć z siebie żadnego, nawet najcichszego dźwięku.

– Nie lza nam świadków jakowych. – Wieszcza podeszła bliżej i zatrzymała się tuż przy posłaniu. Ja instynktownie cofnęłam się, plecami natrafiając na zagłówek i ścianę. Nie miałam gdzie uciekać. – Ty bać się mnie nie musisz. Nie jestem tu po to, aby krzywdę ci uczynić. Przyszłam, aby swą pomoc ofiarować.

Pomoc? Ładna mi pomoc! Przez to niewinne, przypadkowe spotkanie na dziedzińcu uznana zostałam za zdrajcę. A co by było, gdyby teraz ponownie razem nas nakryli?

– Dlatego nie trza krzyceć. – Wieszcza zdawała się czytać w moich myślach. – Ktoś postronny mógłby tu wejść, a wtedy... – Umilkła znacząco. – Ja wiem, że ty się mnie boisz. Mój wygląd może tak działać na ludzi. Dzięki niemu unikają nas, zostawiając w spokoju i dopóki nie wchodzimy im w drogę, krzywdy nijakiej nie czynią. Ale to tylko wygląd... Nie trza do niego wagi przykładać. Jeśli dla ciebie jestem zbyt obrzydła w tej postaci, to może w inszej łatwiej ci będzie mnie zaakceptować.

Widziałam wyraźnie twarz wieszczby z charakterystyczną kurzajką na czubku zakrzywionego nosa, gdy nagle obraz ten zamglił się, jak w rozstrojonym teleskopie. Zamrugałam gwałtownie, a gdy ponownie spojrzałam na staruchę, zamiast niej przy moim łóżku stała... babcia Tosia! Taka, jaką znałam. Identyczna. Tylko oczy... Stalowe, zimne, pozbawione uczucia. One nie należały do mojej babci.

Tego było już za wiele jak dla mojego rozumu. Zasłoniłam twarz dłońmi, modląc się w duchu, aby ten sen wreszcie się skończył. Bo to musiał być sen! Zwariowany, zupełnie idiotyczny sen, w którym czułam ból i widziałam niestworzone rzeczy.

– Nie bój się. – Głos wieszczby ludzaco przypominał głos babci. – Ja cię skrzywdzić nie zamierzam. Jestem tu dla ciebie. Tylko dla ciebie. Nie krzycz i pomocy nie wzywaj, bo jeno sobie kłopotów jakowych napytasz. Lepiej dla ciebie, jeśli nikt inszy mnie nie увидzi.

– To po co pani mnie prześladowa? – Odzyskałam zdolność mowy w momencie, gdy zgodziłam się w myślach z argumentami wieszczby. Powoli odsunęłam ręce od twarzy. – I po co udaje pani moją babcię? Jeśli chciałyby mi pani pomóc, to nie sprawiałaby, że inni uznają mnie za wroga. Trzeba mnie było na dziedzińcu zaczepiać?

– Trzeba było – przyznała. – Tak stać się musiało. Dla ciebie to niepojęte, ale tak być miało.

– Ciekawe. I niby ja mam w to uwierzyć?

– Nie uwierzysz, dopóki nie zrozumiesz, a zrozumiesz, gdy czas się wypełni. – Wieszczba pod postacią mojej babci usiadła na skraju łóżka. – Jeszcze za wczesna pora, aby ci wszystko powiedzieć.

– A kiedy będzie odpowiednia? Gdy do lochów mnie wtrąca? Albo na stos skaza? Już zamknięta jestem w komnacie, jak jaki przestępca.

– Boją się tego, czego nie pojmują. Ty sama się tego obawiasz. My, wieszczby, ludziom prawdę od wieków mówimy i spotyka nas za to cierpień wiele. Nasza magia potężna, lecz i ona nie uleczy tej krainy. Ty jedna to potrafisz. Masz moc niezwykłą, która nie każdemu jest dana...

– Moc? – Zaśmiałam się. – Ciekawe jaką? Moje magiczne przedmioty to tylko gadzety grosze kosztujące tam, skąd pochodzę. One nie czynią cudów. Niech pani nie wierzy we wszystko, co inni mówią.

– Twoja moc nie w przedmiotach zaklęta. Ty ją masz tu! – Wyciągnęła kościstą rękę i dotknęła mojej lewej piersi. Poczułam przejmujące zimno, przesywające mnie na wskroś. – Przybyłaś, aby naprawić to, co zostało zniszczone. Przez bramy czasu przeniknęłaś, aby dopełnić swoje przeznaczenie.

– Ten kamień... Pani wie, jak on działa? Czy on mógłby mnie odesłać z powrotem do domu? A może pani? – Ożywiłam się na tę myśl. Jeśli wieszczby znały się na magii i były tak potężne, to może potrafiłyby oddać mi moje życie.

– I opuściłabyś to miejsce? Porzuciła to wszystko, co tu znalazłaś? Swoją miłość? Swoje przeznaczenie? Okazałabyś się istotą tak słabą?

– Ja tu nie pasuję. Gdybym słuchała babci, nigdy by mnie tu nie było.

– Tak stać się miało. Twa babcia swoim uporem, aby wzbronić ci wyprawy do lasu, sprawiła, że to, co zawarte w przepowiedni, mogło się ziścić. Nic i nikt nie mógłby powstrzymać cię przed przybyciem tutaj. Choroba babci, twoje spotkanie z Mateuszem – to wszystko było zaplanowane przed wiekami. Koło toczy się dalej.

– Nie lubię, jak ktoś ingeruje w moje życie – zauważyłam. – Może to pani ostrożyczkę pod siodło Luny podłożyła? – Olśniło mnie nagle. Ja podejrzewałam Dewina, a nawet Hermana, a prawda mogła być zupełnie inna.

– Tak mnie oceniasz? Żem do zbrodni zdolna? Czy myślisz, żeś żywa by uszła z tej przygody, gdyby nie ma pomoc? Niewidzialna dla cię byłam, ale każdy z twych kroków widziałam. Spadłaś w przepaść i nijakiej krzywdy sobie nie uczyniłaś? Zaprawdę niezwykle to zjawisko. A jak je wytłumaczyć? Nie myślałaś nigdy nad tym?

– Ja...

Właściwie miała rację. Już wcześniej się nad tym zastanawiałam. Spadłam w przepaść i zatrzymałam się na półce skalnej, dlaczego więc oprócz zadrapań i otarć nie miałam żadnych złamań ani innych poważniejszych obrażeń? Herman także mógł się cieszyć niebywałym szczęściem. Czy jednak naprawdę było to tylko szczęście? Jakie było prawdopodobieństwo, że dwoje ludzi, spadających z dużej wysokości, wyładuje bezpiecznie na twardym podłożu, nie tracąc życia lub przynajmniej nie łamiąc sobie przy tym żadnej kości? Zerowe!

– Byłam tam – przyznała, ponownie udowadniając, że czyta w moich myślach. – Mnie zawdzięczasz życie. Ty i twój ukochany... Moja magia was ochroniła, bo życie wasze ze wszech miar najcenniejsze.

– I pani była z nami przez cały czas?

Troszkę się zawstydziałam. Owszem, w pewien sposób czułam wdzięczność do wieszczby za uratowanie życia, ale z drugiej strony świadomość, że ktoś bez przerwy mnie podglądał, nie była zbyt przyjemna.

– Przez calutki?

– Byłam. Twoje przeznaczenie wypełnia się wedle przepowiedni, a ja nad wszystkim pieczę sprawuję.

Miałam gdzieś przepowiednię, najbardziej zabolął mnie fakt, że wieszczba była świadkiem tego wszystkiego, co zaszło pomiędzy mną a Hermanem. Takie intymne chwile powinny być tylko naszym sekretem. Żadni postronni obserwatorzy nie mieli prawa ich widzieć. Poczulałam się, jakby ktoś zupełnie naga postawił mnie przed tłumem gapiów. Wstyd – to właśnie wtedy czułam.

– Wierzaj mi, drogie dziecko, żem nie patrzyła na wasze amory... Nie musisz się niepokoić. Czuwałam jeno nad tobą i nad tem, aby się przeznaczenie wypełniło w całości.

– Jakie przeznaczenie, czy może mi to pani wyjaśnić? – Z ochotą podchwyciłam nowy temat, aby jak najprędzej zatuszować moje zawstydzenie.

– Zrozumieć tego na razie nie potrafisz, ale wkrótce pojmiesz wszystko. Czeka cię droga. Długa, męcząca, bardzo niebezpieczna, ale u jej kresu poznasz wszystkie odpowiedzi. I wtedy zdecydujesz... – powtórzyła to, co mówiła podczas naszego porannego spotkania. – I może tym razem się nie pomylisz.

– Czy nie może pani wyrażać się jaśniej? Jeśli już i tak mam przechłapano, to chociaż chcę wiedzieć za co. O jakiej pomyłce pani mówi?

– Ciii... – Wieszczba przyłożyła palec do ust i rozejrzała się dookoła, wyraźnie nasłuchując. – Orszak z Kantonii przybył pod bramy. Już tu są. Tak miało być i tak się stało.

– Skąd pani to wie? – zaciekawiałam się, gdyż ja nic nie słyszałam.

– Zaczyna się to, co zdarzyć się miało. Szykuj się do drogi. Bądź gotowa. – Wieszczba wstała z łóżka, w tym samym momencie na powrót przybierając swój pierwotny wygląd. – Pradawni władcy świata, przemieńcie to, co cielesną przybrało powłokę. Uwolnijcie od marności i dajcie wolność mojej duszy – wyszeptała głosem przypominającym szelest liści na wietrze.

Znowu, tak jak rano, byłam świadkiem przedziwnego zdarzenia. Postać wieszczby zaczęła rozpląwać się w powietrzu, przybierając formę szarego dymu, który następnie, niczym żmija kreśląca zygzaki, przesunął się w stronę uchylonych, nieistniejących drzwi. Ledwie ostatnia smuga dymu zniknęła w szparze, jasne światło

zgasło i znowu otoczył mnie mrok. W tej samej chwili do mych uszu doleciał przytłumiony odgłos trąbki sygnałowej, w jaką wyposażeni byli wartownicy przy głównej bramie. Coś się działo, a ja miałam dziwną pewność, że słowa wieszczby zaczynały się właśnie sprawdzać. Co to znaczyło dla mnie?

### XXXIII. DROGA NA SĄD

Wiedziałam, że coś się dzieje, ale niestety byłam wyłączona z głównego nurtu życia. Zamknięta w komnacie sypialnej Laveny, opuszczona przez wszystkich, zostałam sam na sam z niezaspokojoną ciekawością, która zżerała mnie od środka. W końcu zmęczona i wyczerpana wrażeniami zasnęłam, a sen okazał się dla mnie prawdziwym dobrodziejstwem. Na szczęście nie miałam żadnych koszmarów z wieszczką w roli głównej. W ogóle nic mi się nie śniło. Wreszcie miałam swój upragniony spokój, który jednak nie mógł trwać wiecznie.

Przebudzenie było znowu nad wyraz bolesne, a to za przyczyną Comty, która w sposób mało delikatny potrząsała mnie za ramię. Ostatnio często zdarza mi się taki rodzaj pobudki.

– Panienska wreszcie się obudzi! – krzyczała przy tym donośnym głosem, tak iż uszy bolały. – Ile to można spać? Pora obiadu już za pasem.

– Obiadu? – Teraz uzmysłowiłam sobie, że wczoraj wieczorem nie tknęłam kolacji i najwidoczniej ominęłam też śniadanie. Głód dawał mi się we znaki, a kiszki grały rozpaczliwego marsza.

– Panienska wstaje i się obmyje. – Wskazała ręką na stojącą na ławie miskę. – Ja zaraz szaty uszykuję i odziać się paniencie pomogę. Dziś ważny dzień i losy panienski się waży dodatkowo.

I po co mi o tym przypominała? Głód minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a żołądek niebezpiecznie podszedł do gardła. Wstałam i zbliżyłam się do prowizorycznej toalety, która tu jawiła się chyba jako szczyt luksusu. Gdy po kilku minutach wreszcie doprowadziłam się do ładu, a służki wyniosły nieczystości, Comta zajęła się moim wyglądem. Dziś już nie była taka naburmuszona i zła, jak wczoraj. Widać jej nastrój uległ diametralnej zmianie.

– Ciesz się mnie, Comto, że już urazy do mnie nie chowasz – zaczęłam, ale mi przerwała.

– Paniensko, ja urazy nijakiej nie mam. Ja prosty człek, któremu kazano służyć, to i służy najlepiej jak potrafi. Jużem paniencie mówiła, że wierna jestem temu domowi i krzywdy księciu ani jego rodzinie uczynić nie dam. Panienska przybyła nie wiadomo skąd i serca dużo od nas dostała, a w zamian widzimy, jak panienska z wieszczką się ugaduje. Pewnikiem jakie czary szykuje...

– Gdybym chciała was zniszczyć, już dawno bym to zrobiła! – Mój wybuch chyba ją zaskoczył. – I żadnej pomocy od wieszczb i innych stworów bym nie potrzebowała. Boli mnie, że tak łatwo szafujecie wyrokami i niewinnych ludzi winą obarczacie. Zgoda, jestem inna niż wy. Wasz świat mnie zaskakuje, ale nigdy, powtarzam przenigdy, nawet przez myśl mi nie przeszło, aby zsyłać na was jakieś nieszczęścia. Przypomnij sobie, że to ja uratowałam Baldurię i jej dziecko. Czy zależałoby mi na waszym życiu, jeśli i tak chciałabym was zniszczyć? Pierwszy raz widziałam wczoraj tę staruchę, którą wy wieszczką nazywacie. Pojęcia zielonego nie miałam, co to za jedna. Dopiero ty, Comto, mnie oświeciłaś w tym względzie. Nadal jednak nie wiem, kim, a może czym są wieszczby i dlaczego tak bardzo się ich boicie?



Comta podała mi suknię, tę samą, którą miałam na sobie dnia poprzedniego, i pomogła ją założyć. Zaciśnęła sznurówki gorsetu, po czym wygładziła fałdy spódnicy. Dopiero gdy posadziła mnie na krześle przed sobą i ujęła w dłonie szczotkę do włosów, raczyła odpowiedzieć na moje pytania.

– Wieszczby to istoty, które kiedyś były ludźmi. W dniu ich narodzin gwiazdy układały się w szczególny sposób, dając znać, że dzieciątka, które właśnie przyszły na świat, obdarzone są specjalną, nadludzką mocą. Takowe ledwie narodzone maleństwa odbierano wtenczas matulom i oddawano pod opiekę specjalnych kapłanów, żyjących w skalnych korytarzach, głęboko pod ziemią. Dzieciaczki pozbawione rodzicielskiej troski rosły sobie jak te robaczki... Ludziska gadali, że od najmłodszych lat wystawione były na cierpienia okrutne, które pozbawić je miały wszelakich uczuć i uodpornić na ból. Żyjąc w zamknięciu, z dala od światła i innych ludzi, obcując na co dzień z istotami, dla których magia stanowiła chleb powszedni, zatracaly to, co przynależne rodzajowi ludzkiemu. Ich oczy stawały się wyblakłe, pozbawione koloru i zdolności widzenia. Zresztą oczy nie są im do niczego przydatne, bo widzą inszymi zmysłami, tak jakby z wnętrza siebie. Ich skóra od wieloletniego przebywania pod ziemią straciła swoją barwę, upodabniając ich do żywych trupów. Ale to nie wszystko... W „samotniach milczenia”, jak zwą miejsca święte dla wieszczb, uczono je magii. Magii wszelakiej. Zgłębiały tę wiedzę dzień po dniu przez lata. Od dziecięcia... W końcu same stają się magią. Ich moce są wielkie, bardzo wielkie. Nie ma siły, która powstrzyma mogłaby wieszczbę. Na szczęście nie żyją one między ludźmi, a nasze siedziby odwiedzają tylko wtedy, gdy co złego chcą nam uczynić. Złe słowa ze sobą przynoszą, cierpienie, łzy, śmierć. Niby te ich gadanie to przepowiadanie przyszłości, ale nijakiej dobrej nowiny nie głoszą, ino same nieszczęścia. To potemu nikt ich widzieć nie chce, a ich pojawienie się uważane jest za zwiastun kostuchy.

Przypomniałam sobie słowa wieszczby: „Boją się tego, czego nie pojmują. Ty sama się tego obawiasz. My, wieszczby, ludziom prawdę od wieków mówimy i spotyka nas za to cierpienie wiele”. To pokrywało się z tym, co mówiła Comta.

– A właśnie, odnośnie do pojawienia się... – Doszłam do wniosku, że to doskonały moment, aby podpytać o nocne hałasy. – Słyszałam wczoraj w nocy odgłos trąbki, czy jak wy to tam zwiecie. Czyżby ktoś przybył na zamek?

– Toż to wyczekiwany orszak z Kantonii wreszcie do nas zawitał. – W jej głosie nie było słycać radości.

– Orszak weselny?

– Tak, panienko.

Czyli wieszczba nie kłamała.

– To znaczy, że oblubieniec Laveny oraz przyszła żona Weylina już tu są... .

– Księżę nie przybył, wysłał ino swego pełnomocnika, coby ślub w jego imieniu zawarł, a księżniczka... – Umilkła, koncentrując się na energicznym rozczesywaniu moich włosów.

– Co z księżniczką? – To mnie zaintrygowało. – Tak piękna, jak wszyscy mówili?

– Nie mnie o tym rozprawiać – oznajmiła wreszcie. – W komnacie audiencyjnej ją panienska obaczy, to i sama będzie wiedzieć.

– Teraz to już mnie, Comto, bardzo zaciekawiaś.

– Niech panienska swą ciekawość powściągnie. – Zebrała włosy i spięła je

ozdobną szpilą, po czym zgrabnie umieściła w delikatnej plecionej siateczce. Zawiązała troczki z tyłu, tak aby węzeł nie był widoczny. – Gotowe, panienko. – Odsunęła się do tyłu, podziwiając dzieło swych rąk. – Wreszcie panienka może się wśród ludzi pokazać. Niechybnie zaraz po panienkę przyślą, aby przed oblicze księcia Ekharda poprowadzić.

Ponownie zrobiło mi się niedobrze, gdyż domyślałam się, że nie będzie to czysto towarzyskie spotkanie z władcą, ale rozmowa, od której zależały moje przyszłe losy. Jeśli księżę uzna, że spiskowałam z wieszczbą, nikt nie zdoła ocalić mnie przed jego gniewem. Jediną pociechą dla mnie był fakt, że może goście z Kantonii sprawili, że Ekhard będzie miał dobry humor i okaże mi dużo zrozumienia. Właściwie liczyłam na to.

– A gdzie Lavena? – Musiałam skoncentrować myśli na czymś innym.

– Panienka do brata wezwana została. – Comta podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. – Niech panienka obmyśli, co powiedzieć władcy, bo szansy drugiej mieć nie będzie. Ino niech nie kłamie, bo kłamstwem brzydzim się wszyscy.

– Chyba nie zostawisz mnie teraz samej?! – krzyknęłam, podbiegając do służki. – Błagam, Comto, nie zamykaj mnie tutaj.

Zawahała się na moment i popatrzyła na mnie jakimś takim cieplejszym wzrokiem.

– Posłaniec ino patrzeć jak się zjawi. Ja pracy mam jeszcze sporo, a panience samej wyjść nie wolno. Niech panienka podje trochę, to i sił nabierze, a i czas szybciej minie.

– Nie chcę być sama... O jedzeniu mi lepiej, Comto, nie mów, bo taka jestem zdenerwowana, że ani gryza bym nie przełknęła, tylko udławić bym się mogła. Przecież sama mówiłaś, że moje losy ważyć się będą.

Coś na kształt współczującego uśmiechu pojawiło się na pulchnej twarzy Comty.

– Ano będą... – potwierdziła ze smutkiem.

– Zostań ze mną – poprosiłam płaczliwym tonem, chociaż raczej nie liczyłam na cud. Jednak cud się zdarzył.

– Dobrze. – Comta zamknęła drzwi. – Zostanę.

– Dziękuję. – Kamień spadł mi z serca. Najbardziej bałam się teraz samotności i tego, że wieszczba mogłaby się pojawić kolejny raz. Jakoś nie chciałam jej teraz oglądać, gdyż kiedy się ukazywała, miałam wrażenie, że zaczynam wariować.

– Niech panienka prawdę szczerą mówi i niczego nie zatai. Księżę to człek prawy, który mądre wyroki wydaje.

– Łatwo ci mówić, a sama mi nie wierzyłaś, że wieszczbę przez przypadek spotkałam na dziedzińcu.

– Bo to i wieszczba przypadków nie lubi. Jeśli gdzieś się pojawia i z kimś rozmawia, to ma ku temu ważny powód.

– Ale ja jej nigdy przedtem na oczy nie widziałam! To był pierwszy raz!

– A czego to wieszczba od panienki by chciała? Co takowego prawiała? – zainteresowała się Comta.

– To już wam mówiłam. Coś o przeznaczeniu zapisanym przed wiekami... – Nie mogłam powiedzieć wszystkiego, bo ściągnęłabym na siebie jeszcze większe podejrzenia. – Zresztą zaraz się, Comto, zjawiłaś i ją wypłoszyłaś. Nie zdążyła po-

wiedzieć nic sensownego.

– Do wieszczb to niepodobne. Bo gdy do człeka zagadają, zawsze niosą mu nowinę jakową. Bez przyczyny nikogo nigdy nie nachodzą.

– Naprawdę chciałabym wiedzieć, o co chodziło tej staruszce, ale nic nie zdążyła mi przekazać. Czasu miała za mało.

– Jeśli tak po prawdzie było, to niechybnie jeszcze się panience ukaże.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym. Gdyby Comta знаła całą prawdę... Czy to jednak znaczy, że nie pozbędę się wieszczby, dopóki nie wypełni się przeznaczenie, o którym wspomniała?

W tym momencie usłyszałyśmy nieśmiałe pukanie do drzwi, które przerwało nam naszą rozmowę.

– A kto tam? – zawołała Comta, nie ruszając się z miejsca.

Drzwi uchyliły się i do komnaty zajrzała jak zwykle przerażona Marion.

– Panicz Weylin przybył po... – Zająknęła się, nadal nie wiedząc, jak ma mnie tytułować. Raczej nie zaskarbiłam sobie jej sympatii, chociaż nie zrobiłam niczego, czym mogłabym ją urazić. Najwidoczniej nasza pierwsza rozmowa skutecznie ją do mnie zraziła.

– Panicz Weylin? Jakoż to? – Comta zmarszczyła brwi i ociężałym krokiem podeszła do wejścia. Będąc posiadaczką dość znacznej nadwagi, poruszała się powoli i jak już wcześniej zdążyłam zauważyć, szybko się męczyła. Marion, korzystając ze sposobności, natychmiast czmychnęła za drzwi, pragnąc uniknąć zbyt długiego przebywania w jednym pomieszczeniu z osobą, której najwyraźniej bardzo się bała.

– Czy Julia gotowa? – W progu zamiast przerażonej służki stanął Weylin. Ubrany niezwykle wytwornie, w czarny strój ze złoceniami przy szerokim kołnierzu i mankietach, prezentował się nad wyraz elegancko.

– Gotowa, panie. – Comta skłoniła się przed przybyłym. – Nie spodziewałam się, że jaśnie pan sam się pofatyguje. Wszak wezwał pan do siebie panienkę Lavenę...

– Chciałem z tobą, Comto, zamienić kilka słów na osobności. – Nie patrzył na mnie, zupełnie ignorując moją obecność, koncentrując całą uwagę na dwórcę. – Mam coś ważnego do omówienia.

– Tak, panie. – Ponownie się pokłoniła, po czym razem z Weylinem opuścili komnatę, zostawiając mnie samą.

Najchętniej stałabym się teraz niewidzialna i wyszła za nimi, aby podsłuchać, o czym będą rozmawiać. Miałam dziwną pewność, że tematem debaty będę ja. Czyżby moje dalsze losy rysowały się aż tak tragicznie? Czy nie było już dla mnie żadnego ratunku?

Stałam tuż przy uchylonych drzwiach i wyteżyłam słuch, jednak z sąsiedniej komnaty nie dolatywał do mnie żaden dźwięk. Być może poszli dalej, aby zapewnić sobie zupełny spokój. Skupiłam się tak bardzo na wsłuchiwanie się w każdy szmer, że skoncentrowana na tej czynności nie zauważyłam, jak drzwi ponownie się otworzyły i na wprost mnie stanął Weylin. Uniosłam głowę i napotkałam jego pełne smutku spojrzenie. Czy mi się wydawało, czy Weylin był jeszcze bardziej zasmucony niż Comta? Czyli było aż tak źle?

– Jeśliś gotowa, to nie marnujmy czasu. – Odwrócił się do tyłu, pewien, że nie musi dłużej zachęcać mnie, abym mu towarzyszyła.

W pierwszej chwili miałam zamiar zlekceważyć to polecenie, ale doszłam do wniosku, że lepiej zrobię, będąc posłuszną. Być może teraz tylko pomoc Weylina mogła ocalić mi życie, w końcu, jak by nie patrzyć, był siostrzeńcem władcy, jego słowo musiało więc mieć jakieś znaczenie. Niechętnie podążyłam za szybko idącym mężczyzną. Mojej uwagi nie uszedł fakt, że mijając Comtę, dostrzegłam łzy na jej policzkach. Jeśli wierna służka płakała, to sytuacja musiała być nad wyraz poważna. Chętnie wypytałabym ją o szczegóły, ale niestety Weylin najwyraźniej się spieszył i nie zwracał uwagi na płaczącą kobietę. Starając się dotrzymać mu kroku, obdarzyłam tylko Comtę pocieszającym uśmiechem, mając nadzieję, że w ten sposób dodam jej odwagi, której ja sama bardzo teraz potrzebowałam. Niestety, mój uśmiech sprawił, że służka zaniósła się jeszcze głośniejszym szlochem i szybko uciekła do innej komnaty. Zatrzymałam się, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Mój niepokój urósł do kolosalnych rozmiarów. O matko kochana, gdzie szukać ratunku?

Chwila wahania, gdy na moment przystanęłam, sprawiła, że Weylin wyszedł już na korytarz, skąd, wyraźnie poirytowany moim opieszalstwem, ponaglił mnie do pośpiechu.

– Julio, gdzieżeś ty znowu zamarudziła? Chodźże szybko!

Stosując się do jego polecenia, wybiegłam przez drzwi i wpadłam prosto na... dwóch rosnących strażników. Właściwie zaryłam nosem w koszulę na przedramieniu jednego z wartowników. To całkowicie mnie zaskoczyło, gdyż do tej pory strażnicy nie chodzili bez przyczyny po zamku, a już na pewno nigdy nie pełnili warty przed komnatami Laveny.

– Uważaj. – Weylin skinął głową uzbrojonym w halabardy mężczyznom i pociągnął mnie za ramię. – Chociaż raz spróbuj zachowywać się jak dama.

„Może ostatni raz w życiu...” – odpowiedziałam sobie szybko w myślach, patrząc na strażników, którzy spoglądali na mnie srogim wzrokiem. Czego szukali przed drzwiami komnat Laveny? Czyżby moja rozmowa z wieszczką była aż tak poważnym przestępstwem? Po Burii można się było spodziewać wszystkiego.

Weylin, nie puszczając mego ramienia, poprowadził mnie korytarzem, zostawiając z tyłu, za naszymi plecami, groźnie wyglądających wartowników. Szłam obok niego, pełna najgorszych przeczuc, a mój strach wzrastał z każdą sekundą, zwłaszcza gdy podczas naszej wędrówki minęliśmy z sześć lub siedem uzbrojonych par halabardników, przemierzających zamkowe korytarze. Taka ochrona? Tak nagle? Przecież chyba nie z powodu odwiedzin Kantończyków?

– Co się stało? – zapytałam w końcu, wiedząc, że nie wytrzymam już ani chwili dłużej w tej nieznośnej niepewności. – Czy uznano mnie za nad wyraz groźnego przestępcę?

Weylin zerknął na mnie, obejrzał się dookoła i zwolnił kroku. Obok nas przemaszzerowała kolejna dwójka wartowników, których ciężkie kroki echem odbijały się od kamiennego sklepienia. Gdy wyminieli nas i zniknęli za zakrętem, siostrzeniec księcia pociągnął mnie gwałtownie w bok, prosto w boczną odnóżkę korytarza. Po chwili znaleźliśmy się przy schodach dla służby, na które jednak nie weszliśmy. Weylin otworzył małe drzwiczki, znajdujące się tuż pod schodami, i wepchnął mnie do środka, sam także wchodząc do małego, ciemnego pomieszczenia. Dokładnie zamknął drewniane drzwiczki.

– Ciii... – uciszył mnie, kładąc przy tym dłoń na mych ustach, tak jakby wie-

dział, że za chwile zacznę krzyczeć. – Zaraz wszystko ci powiem, tylko błagam, nie krzycz, bo nieszczęście jakowe na nas sprowadzisz.

Ponieważ usta miałam zasłonięte, mogłam tylko skinąć głową na potwierdzenie, że rozumiem jego słowa. W mroku panującym w ciasnej komóreczce nie mógł tego zobaczyć, ale wyczuł, gdyż nadal trzymał dłoń na mej twarzy. Teraz dopiero cofnął rękę.

– O co w tym chodzi? – wydukałam. – Jest aż tak źle?

– Dobrze nie jest – potwierdził. – Mam powody przypuszczać, że dzisiejszy sąd to ino farsa, a wyrok w głowie Dewina już dawno dla cię zapadł.

– Dewina? To nie twój wuj będzie mnie sądził?

Dopiero teraz zrobiło mi się słabo. Jeśli wredny medyk zostanie sędzią w mojej sprawie, to raczej mam przechłapanie. Od początku nie darzył mnie sympatią i na pewno nie odpuści okazji, by wziąć odwet za wszystkie upokorzenia, które spotkały go za moją przyczyną.

– Niestety nie, Julio. Wybacz, że ci nie dawał wiary. Tyś nie mogła z wieszczbą się ugadywać ani spisków żadnych knuć. Powinienem to wiedzieć od początku. Tyś tyle dobra nam przyniosła...

– Ciekawe, co wpłynęło na tę niewątpliwie wielką przemianę? – zadrwiłam, próbując w ten sposób zatuszować mój strach. – To wszyscy traktują mnie jak przestępcę, zamykają w komnacie, przed oblicze władcy chcą prowadzić, aby ten wydał wyrok, strażę po zamku rozstawiają, a ty tak spokojnie mówisz, że wierzysz w moją niewinność? Może zamiast mówić to mnie, powinieneś postarać się przekonać wuja i pozostałych?

– Chciałbym, ale nie mogę tego uczynić.

– Co? Mógłbyś powtórzyć, bo chyba źle usłyszałam?

– Tak, Julio, dobrześ słyszała. Nie lza mi tego uczynić. Na śmieszność ino bym się naraził i nijakiej pomocy nie mógł ci udzielić. A tylko ja jeden jestem teraz w stanie nam pomóc. Wszystkim nam – podkreślił, co jeszcze bardziej mnie zaskoczyło.

Jak to wszystkim nam? Czyżby nie tylko moje życie było w niebezpieczeństwie?

– Nie możesz mówić jaśniej? – Podniosłam głos, ale Weylin szybko mnie uciszył, ponownie zasłaniając usta dłonią.

– Ciii... – wysyczał.

Do moich uszu doleciał odgłos miarowych kroków wartowników, którzy najwyraźniej przeszli obok naszej kryjówki i weszli na schody. Słyszeliśmy stukot ich butów nad naszymi głowami. Dopiero gdy ten dźwięk umilkł, Weylin ponownie zdjął rękę z moich ust.

– Nie słyszeli nas. – W jego głosie dostrzegalna była ulga. – Niewiele brakowało. Musim bardzo uważać. Słuchaj więc, Julio, co chcę ci rzec...

– To już wiem, nie staniesz otwarcie w mojej obronie, gdyż...

– Gdyż tylko w ten sposób mogę uratować nas wszystkich – przerwał mi. – Tylko ja jestem władny tego dokonać. Mam plan, który powieść się może. Czyżbyś jeszcze nie zauważyła, co się dzieje? Straże po całym zamku chodzą i na wszystko mają baczenie.

– No właśnie, po co one?

– To wierni, zaufani Dewina.

– Dewina?

– Tak. Gdy na zamek przyjechał wczora wieczorem orszak z Kantonii, mój wuj, niemocą okrutną złożon, całą władzę w ręce Dewina przekazał, jego swym namiestnikiem wyznaczając.

– Co? Dewina? Nie ciebie?

– Ostatnimi czasy wuj nikogo przed swe oblicze nie dopuszczał, całkiem na mistrza się zdając. A Dewin sposobność wykorzystał i w łaski władcy się wkupiwszy, przekonał go, iż jest jedyną godną zaufania osobą.

– O cholera! – wyrwało mi się. – To by nawet pasowało. Ten wypadek na łowach, opieka Dewina i teraz to... Coś mi się wydaje, że nasz kochany mistrzunio całkiem nieźle to sobie zaplanował.

– Dowodów nijakich nie mamy, więc takowych oskarżeń nie wolno nam formułować. Wuj nie należy do osób, które pozwalają sobą manipulować. Naprawdę musiał zaufać Dewinowi.

– Albo otumaniony ziołami, zgodził się na wszystko, co mu mistrzunio powiedział – dodałam, wspominając scenę w komnacie Ekharda, gdy przyprowadzono uwolnionego Ewina. – Tylko dziwi mnie, Weylinie, że ty nic nie robisz. Miałam cię za człowieka czynu.

– Smutkiem napawa mnie myśl, że twoje wyobrażenie o mnie nie pokrywa się z rzeczywistością. Zapewniam cię jednak, że uczynię wszystko, co tylko w mej mocy, aby uchronić cię przed tem, co Dewin szykuje. Ty ino zaufaj mi i nie trać wiary, nawet jeśli sytuacja będzie wydawać się beznadziejna. Pierwej sam zginę, niżli jaką krzywdę dozwolę ci uczynić. Pomnij jednak, że nie tylko o tobie myśleć muszę. Dobro wielu bliskich mi osób jest zagrożone i dlatego mój plan wymaga pewnego poświęcenia.

– Poświęcenia? – To mi się nie spodobało, gdyż zabrzmiało tak, jakby chodziło o czyjeś życie.

– Jakem mówił, zaufaj mi. Uczynię wszystko, by wyrok odwlec. Gdybym mógł z wujem się zobaczyć... Nie dopuszczą mnie jednak przed jego oblicze, a Dewin ma po swej stronie starszyznę i podległych mu rycerzy. Ja ino na Dunhamie, Lannie i Hermanie polegać mogę, a to niewiele. Jeśli mój plan się powiedzie... Comta wie, co ma robić, a ty się jej we wszystkim słuchaj. Nie stwarzaj żadnych problemów, tylko się jej słuchaj – powtórzył. – To ważne.

– Bardzo mnie pocieszasz – zadrwiłam. – Zwłaszcza mówiąc: „jeśli mój plan się powiedzie”. A jeśli się nie powiedzie? Co wtedy?

Nie odpowiedział, tylko gwałtownym ruchem objął mnie jedną ręką w pasie i przyciągnął do siebie. Jego usta znalazły się zdecydowanie zbyt blisko moich i zanim zdążyłam coś powiedzieć, przywarły do nich w pełnym namiętności pocałunku. Próbowałam się wyszarpnąć, ale trzymał mnie mocno, uniemożliwiając jakikolwiek manewr. Jego pocałunki sprawiały, że mój opór słabł, a kolana stawały się coraz bardziej miękkie. Nie byłam przygotowana na coś takiego. Dodatkowo druga ręka Weylina powędrowała w stronę sznurowania na moim dekolcie i najbezczelniej w świecie zaczęła go rozsypywać. Zebrałam w sobie wszystkie siły i odepchnęłam jego rękę.

– Co ty wyprawiasz?

– Ciii... Zaufaj mi – wyszeptał wprost do mego ucha, delikatnie muskając je wargami.

– Hej, jest tu kto? – Ktoś z drugiej strony drzwi szarpnął za uchwyt, jednak na szczęście zasunięty rygiel uniemożliwił ich otworzenie. – Hej, kto tam siedzi? – Głos zabrzmiał bardziej srogo, a szarpnięcie przybrało na sile. – Wyłaź, jeśli życie ci miłe!

Weylin gorączkowo obsypywał moją twarz pocałunkami, ponownie zabierając się za rozsznurowywanie gorsetu, tak jakby za nic miał usłyszane przed chwilą polecenie.

– Zaufaj mi – powtórzył w tym samym momencie, gdy rygiel nie wytrzymał naporu ciał strażników i wyrwany z futryny, z głuchym łoskotem opadł na kamienną posadzkę.

Drzwiczki otworzyły się na oścież i wewnątrz komórki zostało oświetlone światłem pochodni, umieszczonej na wprost wejścia.

– Wyłazić, ale to już!

Ostrze jednej z dwóch halabard dotknęło mojego ramienia, ale Weylin zdecydowanym ruchem ręki je odtrącił. Puścił mnie i mrużąc oczy przed światłem, pierwszy wyszedł z naszej kryjówki. Podążyłam tuż za nim, starając się nieporadnie zasnurować gorset. Zrozumiałam, że wszystko to, co wydarzyło się przed chwilą, było jedynie grą. Weylin najwidoczniej usłyszał strażników i przygotował dla nich małe przedstawienie, w którym przypadła mi rola uwiedzionej dwórki.

Strażnicy cofnęli się o krok, gdy dostrzegli, kto siedział w komórcie. Miny im zrzedły i pospiesznie wyprostowali halabardy, ustawiając je ostrzami do góry i przyciskając do boku.

– Zważcie, do kogo mówicie! – Weylin popatrzył na rosnących mężczyzn, a w jego spojrzeniu widoczny był gniew. – Co to za ochrona, która po zamku się pęta i ludziom w chwilach zabawy przeszkadza? To już co robić nie macie? Podglądać się wam zachciało?

– Wybacz, panie! To rozkaz mistrza. My tylko polecenia wypełnialim.

– Polecenia, aby w igraszkach przeszkadzać? – zadrwił.

– Nie, panie.

– Ja inszej przyczyny nie widzę, gdyż w zamkowych kryjówkach jeno dworzanie spragnieni odrobiny zabawy zwykli się chować.

Wartownicy niepewnie zerkali to na Weylina, to na mnie. Wolałam nawet nie zastanawiać się nad tym, o czym pomyśleli, gdy nakryli nas razem. Jedno było pewne – Weylinowi nikt nie mógł zarzucić braku sprytu. Może ten jego plan, o którym wspominał, faktycznie miał szanse powodzenia. Tylko żebym wiedziała, na czym on polegał... Najgorsza była ta niepewność.

– Odmaszerować! – polecił. – I niech nikt z was nawet nie waży się pisnąć słowa o tym, co tu widział. Jeśli jakowe słuchy mnie dojdą, to ręczę, że w dybach spędzicie najbliższe tygodnie, a może i na długie lata traficie do zamkowych lochów.

Bez słowa wyprężyli się jak żołnierze podczas musztry ćwiczący komendę „baczność”, po czym dokonawszy zwrotu przez lewe ramię, odmaszerowali.

– Wybacz, zem twój honor naraził na ujmę. – Weylin obrócił się w moją stronę. – Inszej możliwości jednak nie było.

– Jasne – bąknęłam niepewnie, nadal mocując się z troczkami sukni. – Powinnam przywyknąć, że lubisz bawić się uczuciami innych.

– Tak myślisz? – Weylin postąpił dwa kroki do przodu i ostrożnie wyjął

z mych dłoni końcówki sznurka.

Nie spuszczać wzroku z mojej twarzy wprawnie zaczął sznurować wiązanie. Pochylił głowę tak nisko, że znowu jego usta znalazły się niebezpiecznie blisko moich. Jeszcze chwila i znowu się pocałujemy. Ach to nieznośne drżenie w głębi mego serca! Przecież nie powinnam tego czuć! Nie w stosunku do Weylina!

– Uważasz, że to tylko zabawa?

– A co innego? Widać, że kobieca garderoba nie ma przed tobą żadnych tajemnic.

Musiałam mu dogryźć. Tylko w ten sposób mogłam zapanować nad rozszalałymi emocjami. Do tej pory nigdy nic podobnego mi się nie zdarzyło. Nie jestem łatwą dziewczyną, która zmienia chłopaków jak rękawiczki.

– Nie marnujmy więcej czasu. – Zachowywał spokój, ale drgający mięsień na jego policzku zdradzał zdenerwowanie. – Pamiętaj, cóżem ci mówił. – Wyprostował się i opuścił ręce, a ja poczułam żal i smutek.

Za czym? Za jego dotykiem, za pocałunkami? Dlaczego tak się działo? Czyżby to, co czułam do Hermana... co wydawało mi się, że czułam, było jedynie złudzeniem? Czy to Weylin był tym jedynym, wymarzonym, wyczekiwany? Herman miał żonę, miał dziecko. Nasz związek nie był możliwy. Weylin był wprawdzie wolny, ale jego oblubienica właśnie przybyła na zamek. Na dodatek, aby było jeszcze weselej, i ja podjęłam pewne zobowiązania – zgodziłam się poślubić Ewena. Koszmar! Pomieszanie z poplątaniem! Może czas pomyśleć o powrocie do dwudziestego pierwszego wieku?



## XXXIV. ZAŚLUBINY

Przed komnatą audiencyjną, którą dane mi było poznać pierwszego dnia, gdy Weylin przyprowadził mnie na zamek, stało dziś czterech wartowników. W odróżnieniu od pozostałych strażników odziani byli w połyskujące srebrne zbroje, których jednym z elementów były również hełmy połączone z maskami zakrywającymi twarze od czoła aż do linii ust, z wąskimi szparami na oczy. Mężczyźni w dłoniach obleczonych w stalowe rękawice trzymali halabardy z małutkimi wstęgami w kolorze złotoczerwonym, symbolizującymi barwy Burii, przymocowanymi na ostrzach.

– To specjalny strój paradny, mający uświetnić przybycie naszych gości z Kantonii – wyjaśnił Weylin, domyślając się, że ten niecodzienny widok nieźle mnie zaskoczył. Przecież nawet udając się na łowy, rycerze nie przywdziewali zbroi.

Gdy zatrzymaliśmy się przed drzwiami, jeden ze strażników, stojący po lewej stronie, wykonał przepisowy obrót i z pełnym dostojeństwem otworzył drewniane podwoje. Weszliśmy do sali, słysząc, jak za naszymi plecami zamykają się ciężkie wrota. Dostrzegłam ten sam stół i rozpoznałam te same twarze dostojników zgromadzonych wokół niego, co wówczas, gdy przybyłam do Burii. Tylko centralne miejsce, gdzie zazwyczaj siedział książę Ekhard, obecnie zajęte było przez... Dewina. Czarny kolor jego szat ostro kontrastował z niezwykle bladą cerą i białymi, sięgającymi ramion włosami, które miękko wiły się wokół nadal jeszcze młodej i bardzo przystojnej twarzy. Stalowe oczy z jawną wrogością spoglądały w naszą stronę.

– A oto i dziewczka, która tyła problemów przysporzyła. – Dewin wskazując na mnie, zwrócił głowę w stronę siedzącej obok niego, niezwykle urodziwej czarnowłosej dziewczyny.

Nigdy wcześniej jej nie widziałam, ale szybko uzmysłowiłam sobie, że to właśnie musi być przyszła żona Weylina. Coś na kształt zazdrości zakiełkowało w moim sercu. Dziewczyna była olśniewająco piękna. Tak, „olśniewająco” to najwłaściwsze słowo. Niezwykle regularne, delikatne rysy twarzy w połączeniu z porcelanową barwą cery i zielonymi oczami, ocienionymi gęstą firanką rzęs, nadawały jej wyraz anielskiej niewinności. Czarne, gęste włosy kaskadami loków luźno opadały na ramiona i plecy, zaś idealnie wykrojone czerwone usteczka układały się w uśmiechu, ukazując równe, białe zęby. Jednak pierwsze, bardzo pozytywne wrażenie było złudne. Zauważyłam to dopiero po dłuższej chwili przyglądania się kantońskiej księżniczce. Moreena była piękna, ale to piękno pozbawione było uczucia. Jej wzrok mroził, zaś usta wykrzywiał pełen sarkazmu uśmiech.

– I mówisz, panie, że ta dziewczka z wieszczbą się zmawiała? – Nawet głos Moreeny przepełniony był nienawiścią.

Dlaczego poczuła do mnie taką antypatię, przecież nigdy wcześniej się nie widziałyśmy i nic złego jej nie wyrządziłam? Wytłumaczenie było tylko jedno – Moreena napawała się nieszczęściem innych, odnajdując w nim dla siebie prawdziwą rozkosz. Prawdopodobnie nie była zdolna do jakichkolwiek uczuć, łącznie z miłością, a jeśli kiedykolwiek kogoś kochała, to tylko siebie samą.

– A nie inaczej – przyznał Dewin, najwyraźniej uradowany, że wreszcie miał

u swego boku kogoś, kto hołdował takim samym wartościom jak on. – Magię uprawia, konszachty ze śmiercią utrzymuje, z Lasu Potępionych bez szwanku nijakiego się wydostała i nikt nie ma pojęcia, skąd przybyła.

– Zdziwiałą. – Nie spuszczać ze mnie wzroku, sięgnęła po srebrny puchar i upiła z niego łyk trunku.

– Wybacz, panie, ale krzywdzące jest to, co mówicie o Julii. – Weylin uznał, że warto stanąć w mojej obronie. Przynajmniej on jeden. Byłam mu za to bardzo wdzięczna.

– Kwestionujesz me słowa? – Uśmiech nie zniknął z twarzy Dewina, ale oczy słały błyskawice. – Chcesz powiedzieć, że kłamię?

– Nie, panie, nie mam takowego zamiaru. Zważ jednak, że Julia sama nie była w onym lesie, jeno jej Herman pomagał.

– To jeszcze gorzej o niej świadczy i hańbą ją okrywa, gdyż wiele dni sam na sam z mężczyzną w lesie pobýwała. Kto ich tam wie, co...

– Zamilcz, panie! – Weylinowi trudno było zapanować nad emocjami. – Mój wuj mianował cię swoim namiestnikiem i nie mnie podważać trafność jego decyzji. Racz jednak darować sobie niewybredne żarty, tylko zająć się tem, po co Julię tu wezwaliśmy. Mniemam, że nasz dostojny gość, księżniczka Moreena, nie nawykł do słuchania takowych plotek i ich jej oszczędzim.

Dewin zagryzł wargi, ale nie zdołał nic odpowiedzieć na te obraźliwe dla niego słowa, gdyż zebrani wielmożowie rację przyznali Weylinowi.

– Tak, nie pora tera, aby stare sprawy wyciągać. Zebraliśmy się, aby sąd nad tym dziewczęciem odbyć i wybadać, jakowe układy z wieszczbą zawierała.

– Niech i tak będzie. – Dewin głośno wypuścił powietrze z płuc. – Wina jej bezsprzeczna i każdy ją zna. Nie ma co czasu na puste dysputy marnować...

– Chwileczkę! – Uznałam, że powinnam zabrać głos. Jeśli to sąd, to przecież nie mogę pozwolić na to, aby o moim losie decydowali sami nienawistni prokuratorzy. A gdzie adwokat? Weylin w roli obrońcy wypadł jednak dość blado. – Czy żadna obrona mi nie przysługuje? Może mojej wersji wydarzeń zechcieliby panowie posłuchać?

– Harda z niej dziewczka. – Moreena zaśmiała się nieprzyjemnie. – Gdyby moją poddaną była, oćwiczyć bym ją kazała, aby zmiękała. Kto to widział, coby zwykła sługa w obecności swych państwa bez pozwolenstwa głos zabierała?

– Nie jestem sługą! Książę Ekhard swą opieką mnie otoczył, o czym mogą zaświadczyć obecni tu dostojni panowie, Weylin, a nawet sam Dewin. – W złości wskazałam ręką na poszczególne osoby.

– Nie jest sługą i prawa swe ma! – potwierdził Weylin, a wielmożowie kolejny raz przyznali mu rację.

Dewin poczerwieniał na twarzy. Chciał pokazać przed kantońską księżniczką swą władzę, a tymczasem wyszedł na zwykłego palanta. I dobrze mu tak!

– Jeszcze prawa ma, ale już niedługo – wycodził, wolno dobierając słowa. – Niech tu zebrani pod uwagę wezmą fakt, że ta dziewczka rękę swą ofiarowała znajdzie, którą łaskawie przygarnąłem przed laty, a która niewdzięcznością wielką mi się odpłaciła. W chwili zaślubin straci wszelkie przywileje, którymi tera się zasłania.

– Ale jeszcze je mam – przypomniałam.

Moreena przechyliła się w stronę Dewina i zakrywając usta ręką, tak aby nikt

nie widział ruchu jej warg, coś powiedziała do mistrza. W jej zielonych oczach krył się cały bezmiar mściwej satysfakcji. Zrozumiałam, co Comta miała na myśli, gdy w odpowiedzi na moje pytanie dotyczące księżniczki Moreeny powiedziała, że gdy ją zobaczę, sama będę wiedziała. Teraz już wiedziałam. Miałam pełną świadomość, że księżniczka, chociaż obdarzona niezmierną urodą, posiada serce zimne jak lód, które karmi się wszelkimi podłościami. I ktoś taki miał zostać żoną Weylina? Naprawdę mu teraz współczułam.

Pod wpływem tego, co mówiła Moreena, twarz Dewina rozpoznała się, za to ja czułam coraz większy niepokój. Jeśli mistrz się cieszył, nie wróżyło to dla mnie nic dobrego. Wreszcie księżniczka skończyła swoją troszkę przydługą przemowę, a Dewin wstał z książęcego fotela i przyglądał oboma dłońmi czarną szatę. Z lubością wsłuchiwał się w pełną oczekiwania ciszę, jaka zapanowała w komnacie.

– Księżniczka Moreena, jako dama wielce rozumna, sposób umyśliła, który wszystkich nas uraduje, a i samej oskarżonej zapewne szczęścia wiele przysporzy. Zanim przejdziem do osądzania, sprawmy, aby to dziewczę dostąpiło zaszczytu, o którym, jako osoba niskiego pochodzenia, w dodatku podejrzana o konszachty z siłami nieczystymi, nie mogłaby marzyć.

Spojrzałam na Weylina, chcąc zapytać go, czy wie, o czym mówi Dewin, ale spostrzegłam, że był tak samo zaskoczony jak ja i reszta wielmożów zgromadzonych w sali. Tylko Moreena, dumna ze swego pomysłu, promieniała niczym okaz szczęścia, niby od niechcenia bawiąc się ogromnym sygnetem z czerwonym kamieniem, który zdobił jej prawą dłoń. Powoli obracała klejnot dookoła, nie spuszczać przy tym ze mnie wzroku.

– Siądź koło mnie, Weylinie – odezwała się władcym tonem. – Tu, gdzie miejsce mego przyszłego małżonka. – Ruchem głowy wskazała na wolny fotel obok niej. – Nie każ mi czekać – dodała, widząc, że nie spieszy się mu z wypełnieniem jej polecenia.

– Tak, tak, Weylinie. Chodź do nas. Bądź wraz z nami świadkiem tej szczególnej chwili – dołączył się Dewin.

Weylin nie miał innego wyjścia. Musiał zostawić mnie samą pośrodku sali, wystawioną na łaskę lub niełaskę zgromadzonych, i zająć wskazane miejsce. Widziałam, że uczynił to z prawdziwą niechęcią. Gdy usiadł koło swojej przyszłej żony, Moreena przestała bawić się pierścieniem i bezceremonialnie położyła dłoń na jego rękę, podkreślając, że to ona w tym związku będzie wiodła prym. Zauważyłam, jak Weylin wyszarpnął swoją dłoń, na co niezrażona księżniczka zaśmiała się cicho i powtórzyła manewr. Jej szczupłe palce zacisnęły się na przegubie mężczyzny, niczym obręcze kajdan.

– Dla osoby, która nie wie skąd przybyła, zaszczyt to przeogromny, że sam namiestnik książęcy ślubu udzieli. Czasu nam szkoda na wezwanie oblubieńca, więc aby uroczystość przyspieszyć, a zgodnie z prawem postępując... – Dewin wolno wypowiadał każde słowo, tak aby było zrozumiałe i słyszalne dla wszystkich. – ...biorąc tu zgromadzonych na świadków, oświadczam, że wedle życzenia Julii i Ewena ich związek staje się faktem.

– Nie możesz! – Weylin gwałtownie podniósł się z fotela, ale Moreena natychmiast dała znak jednemu ze swoich służących, stojących dotychczas pod ścianą. Czarnoskóry, potężny mężczyzna podszedł do krzesła młodzieńca i położywszy obie

wielkie dłonie na ramionach mężczyzny, zmusił go, aby usiadł na powrót.

– Nie możesz udzielać mi ślubu bez Ewena! – krzyknęłam, chwytając się ostatniej deski ratunku. – Jak możesz udzielać nam ślubu, jeśli jego tu nie ma? To jakaś farsa!

– Zapewniam cię, że mogę. Samiście przede mną wyznali, że waszym pragnieniem jest połączyć się na wieki. Nasze prawo zezwala, aby w takowym przypadku udzielić ślubu nawet wtenczas, gdy jedno z oblubieńców jest daleko stąd.

– Ewen nic takiego nie mówił! – przypomniałam.

– Nie zaprzeczył jednak, co za zgodę jest brane. – Dewin triumfował. – Święte prawo Burii łączy was po wieczny czas, czyniąc od tej chwili mężem i żoną. Jesteście jednością, a to, co przynależne twemu mężowi, staje się i twym udziałem. Twój ród, jaki by nie był, nie jest już twoim rodem. Wszelkie prawa, wszelkie przywileje przynależne ci z urodzenia tracą swą moc. Od teraz tracisz również wszelkie przywileje i dobra, jakimi zostałaś obdarzona. Twoim jedynym prawem jest prawo żony i posłuszeństwa względem męża. Tam twoje miejsce, gdzie on.

– Co za wzruszająca uroczystość. – Moreena zaklaskała. – Niech wolno mi będzie jako pierwszej złożyć oblubienicy życzenia i obdarować ją prezentem, na jaki zasługuje.

Z prawdziwą gracją podniosła się od stołu. Jej szafirowa, tkana srebrną nitką suknia ładnie układała się przy każdym kroku. Jeszcze nie widziałam, aby ktoś chodził tak wyprostowany, a jednocześnie aby nie sprawiało mu to żadnej trudności. Gdyby Moreena żyła w moich czasach, zapewne zostałaby supermodelką.

Księżniczka zatrzymała się dwa kroki ode mnie.

– Klękaj, dziewczko, gdy stajesz przed obliczem swojej pani! – wysyczała.

Nie przestawała się uśmiechać, nawet kiedy poniżała innych. Ja jednak nie zamierzałam słuchać żadnych poleceń. Uniosłam dumnie głowę i spojrzałam prosto w jej zielone oczy. Wytrzymałam ich napór.

– Nie jesteś i nie będziesz moją panią – odpowiedziałam z powagą.

Nawet nie zauważyłam, kiedy drobna na pozór dłoń wymierzyła mi policzek. Zabolalo.

– Milcz! – Moreena nie wyglądała już na taką zadowoloną, chociaż nadal starała się uśmiechać. – Słyszałaś, co powiedział twój pan? Nie masz już żadnych praw, na które tak się powoływałaś. Ciekawe, jak teraz będziesz się bronić?

Sięgnęła do sakiewki, przytroczonej do srebrnego łańcuszka przy pasie, i wysupłała z niej drobną monetę. Ze śmiechem rzuciła mi ją pod nogi.

– Oto mój podarek dla ciebie! Tak samo lichy, jak i twój stan. – Odwróciła się i równie dostojnym krokiem powróciła na miejsce.

Nie miałam ochoty podnosić tego poniżającego prezentu. Końcem buta kopnęłam monetę, tak iż przeleciała przez komnatę i odbiła się od stołu. Z brzękiem upadła na kamienną posadzkę, tuż przed przechodzącą w pobliżu księżniczką. Moreena, chociaż musiała to widzieć, jednak nie zareagowała, za to wielmożowie zaczęli szeptać coś między sobą, pokazując na mnie głowami.

– Jeśli sprawy ślubu mamy już zakończone... – Dewin uciszył szum rozmów, unosząc obie ręce do góry. – ...to czas przejść do sądu. – Widzicie, panowie, że dziewczka manier żadnych nie posiada i nawet wdzięczności za tyła serca okazać nie potrafi. – Mistrz nie byłby sobą, gdyby nie wykorzystał każdej sposobności, aby

przedstawić mnie w jak najgorszym świetle. Nawet moje zachowanie sprzed kilku chwil nie umknęło jego czujnej uwagi. – Obcy jej honor i prawo. Wczora przyłapana została, jak z wieszczbą na dziedzińcu jakoweś sprawy omawiała. Niepodobna jest, aby wieszczba bez przyczyny sama na zamek weszła i z porządnym człkiem rozmowy prowadziła. Tylko ta, tu obecna, zwabić ją musiała, aby jakowoś się ułożyć. Niechybnie zgubę dla naszego księstwa szykowała...

– Wieszczba na zamek od lat nie zaglądała – przyznał jeden ze zgromadzonych mężczyzn, wyglądający zarazem na najstarszego w tej gromadzie. – Prawdą jest, że istoty te niczego dobrego ze sobą nie przynoszą i tam, gdzie się pojawiają, ino rozpacz i łzy pozostawiają.

– Kiedy ja pierwszy raz na oczy tę wieszczbę widziałam! Nie miałam pojęcia kto to taki!

Byłam tak wściekła, że w tej chwili najchętniej faktycznie podpisałabym jakiś pakt z samym diabłem, aby utrzcę nosa tym wszystkim wielmożom. Jak oni śmieli twierdzić, że specjalnie wieszczbę na zamek przywołałam, jeśli nie mieli na to żadnych dowodów? Równie dobrze starucha mogła zjawić się na wezwanie każdego z nich, a ze mną po prostu przez czysty przypadek zamienić kilka słów.

– Zamilcz! Nikt głosu ci nie udzielił! – Krzyk Dewina odbił się echem od sklepienia. – Jeśli jeszcze raz zabierzesz głos niepytana, na chłostę cię skażę.

Pamiętałam widok pleców Ewena po chłóście zaleconej przez Dewina, wolałam więc uniknąć podobnych „przyjemności”. Umilkłam, chociaż wiedziałam, że nikt inny nie stanie w mojej obronie. Nawet Weylin... W tym momencie przypomniałam sobie jego słowa: „Zaufaj mi”. Zaufać mu? Właściwie teraz nie miałam już nic do stracenia. Nic, oprócz życia.

– Zaprzeczyć nie możesz, żeś z wieszczbą rozprawiała, bo wielu cię widziało. – Najstarszy z możnych pogładził się po obfitej, siwej brodzie. – Człków bez liku mamy, co zaświadczyć mogą, iześ na dziedzińcu rozmowy tajemne prowadziła. Zaprzeczysz li temu?

– Tak, panie, zaprzeczę – potwierdziłam. – Świadkowie zaświadczyć jedynie mogą, że widzieli mnie obok wieszczby, jednak tajemnych rozmów z nią nie prowadziłam, więc słyszeć ich nie mogli. Gdybym jakieś tajne układy z nią miała, to zważ, panie, że nie rozmawiałabym na środku dziedzińca, w dodatku w dzień targowy.

– Dobrze mówi – odezwał się kolejny z wielmożów, ale zanim zdążył wziąć mnie w obronę, głos zabrał ponownie Dewin.

– To bestia przebiegła i specjalnie dzień targowy, gdy tyła luda na dwór zawiatało, wybrała. Myślała, że w tłumie łatwiej się ukryje.

– Widzę, panie, że wiesz lepiej ode mnie, co myślałam. – Nie potrafiłam powstrzymać się przed zgryźliwością.

– Harda i złem przesiąknięta do szpiku kości. – Moreena ostentacyjnie ziewnęła. – Ja nie widzę potrzeby dłużej sądu prowadzić. Wyrok może być tylko jeden.

– Ale jakoż tak, bez rozprawy? – Staruszek z siwą brodą najwyraźniej mi sprzyjał. – To się nie godzi. Każdy zasługuje na uczciwy osąd, chociażby był najgorszym zbójem.

– Zaprawdę w waszym księstwie przedziwne rzeczy się wyprawiają. Obcy, których ród nie jest znany, na zamek są przyjmowani i prawami obdarowywani. Mimo iż parają się magią, mogą liczyć na wszelkie przywileje...

– Pani... – Weylin podniósł się z fotela i zdecydowanym ruchem strząsnął z ramion dłonie czarnego sługi. – Nasze krainy różnią się od siebie, ale wzajemnie powinniśmy szanować prawa w nich obowiązujące. Julia nigdy w niczym naszym prawom nie uchybiła. Odkąd przybyła na dwór, starała się wszem nieść pomoc. Jej magiczne sztuczki krzywdy nijakiej nikomu nie czyniły, a wręcz zabawie ogólnej służyły.

– A jej układy ze śmiercią? To też nazwiesz ino sztuczką?

Dewin uderzył pięścią w stół, tak mocno, że aż zatrzęsała się zastawa.

– To nazwę medycyną. – Weylin spojrzał mistrzowi prosto w oczy. – Sam, panie, zajmujesz się leczeniem i nieraz z rąk śmierci chorych wyrывałeś.

– Baldurii nikt już nie mógł pomóc. Jej czas dobiegł końca. A ona... a ta...

– Może ty, panie, nie potrafiłeś jej pomóc, ale Julia widać większą wiedzę dysponuje niż ty. Może to tak bardzo cię boli?

– Wasze miłości, toż to nie przystoi, aby tak zacni mężowie spory o dziewczkę zwykłą toczyli. – Starzec również się podniósł i okrążywszy stół, stanął tuż przy Weylinie. – Powagę sądu na szwank narażacie.

– Och, Weylinie, widzę, że ta dziewczka chyba i na ciebie czar jakowy rzuciła. – Moreena teatralnym gestem odrzuciła na plecy jeden z czarnych loków, który przed chwilą nawijała na palec.

– Ona nie jest czarownicą! – Weylin zwrócił spojrzenie ku czarnowłosej. – Nigdy nic złego nie uczyniła. Nawet wczora, zanim nakryto ją z wieszczbą, dar specjalny dla księcia Ekharda umyśliła.

Szybkim krokiem przeszedł w kąt komnaty i po chwili zza ciężkiej kotary wy dobył niezwykle przedmiot. Popychając go przed sobą, wypchnął na środek sali.

– A co to takiego? – Wszyscy skupili wzrok na dziele rąk Gila.

– Prezent od Julii dla księcia Ekharda – wyjaśnił Weylin. – Sam go sprawdziłem i muszę powiedzieć, że wielkie wrażenie wywarł na mnie.

– Fotel z kołami?

Zarówno Dewin, jak i siwowłosy starzec podeszli do fotela, aby dokładniej go obejrzeć. Moreena również nie powstrzymała swojej ciekawości, a może po prostu chciała mieć baczenie na Weylina, co do którego naszyły ją obawy, iż uległ czarom rzuconym przeze mnie.

– To aby książę mógł po zamku się poruszać. Wystarczy obracać tym kołem. – Weylin usiadł na fotelu i zademonstrował, co należy zrobić.

Zbiorowy okrzyk zdziwienia świadczył o tym, jakie też wrażenie wywołał.

– Czarcia sztuczka! – Dewin zatrzęsł się ze złości. – Teraz jawny dowód mamy, że ta dziewczka na życie i zdrowie naszego księcia nastaje. Dziwna pewnośc mnie przepełnia, że żmija, która na drodze książęcego konia się zjawiała, zaklęciami tej czarownicy zwabiona została.

– Panie, ale co masz do krzesła? – Weylin wstał z fotela i spojrzał na mistrza. – Przecie to ino ku wygodzie i...

– Ku wygodzie? Zaprawdę ta czarownica mocami swemi cię opętała! Toż to widać gołem okiem, że dziewczka kolejną pułapkę umyśliła. Fotel z kołami? Ani chybi tylko po to, coby dokończyć to, co na leśnej drodze zaczęła. Czy to trudno, aby coś ze schodów się stoczyło? Jawny dowód panowie mamy! Ta dziewczka na życie księcia nastaje i mami nas swemi, niby dobrymi uczynkami. Nie dajmy się jej za nos wodzić!

Zło na zamku zagościło i sieje niesnaski między nami. Do zguby chce doprowadzić tę ziemię! Zniszczyć to, co Mateo się nie udało! Jam od samego początku was przestrzegał, aleście nie słuchali! Głusi byliście na mój głos. A teraz owoce tego zbieramy! Księżę nasz niemocą złożon, niesnaski wśród nas panują, wieszczba na zamek wchodzi. Pytam ja, jak długo jeszcze mamy na to dozwalać? Jak długo mamy patrzeć na upadek naszego księstwa? Musim to powstrzymać, kiedy jeszcze możemy!

– Dobrze gada! – rozległy się zewsząd głosy. – Odkąd ta dziewczka przybyła, samo zło się dzieje.

Jakże łatwo zapomnieli o miłych chwilach, gdy im sztuczki z aparatem i latarką pokazywałam. Zapomnieli o swoich zdjęciach, które tak bardzo ich radowały. Zapomnieli o tym, jak pomogłam Baldurii i uchroniłam przed śmiercią jej nienarodzone dzieciątko. Ludzka pamięć jest bardzo zawodna. Nie można na niej polegać. Cokolwiek bym nie zrobiła, świadczyło obecnie przeciwko mnie. Chyba jedyne, co mogłoby w tej chwili zmasać ze mnie wszelkie podejrzenia, to tylko moja śmierć.

– Spalić to! – Dewin wskazał ręką na fotel. – Niech naszych oczu swym widokiem nie zatruwa! A co do niej... – Tu odwrócił się w moją stronę. – ...winę jej udowodnilim i wyrok, tak jak księżniczka Moreena mówiła, może być tylko jeden.

Rozpaczliwie rozejrzałam się dookoła, szukając wsparcia u któregośkolwiek ze zgromadzonych. Niestety, mój wzrok napotkał prawie same wrogie, pełne nienawiści twarze. Spojrzałam na Weylina. Skinął mi ledwie dostrzegalnie głową, dając znak, abym mu zaufała. Ufałam, ale bałam się jak diabli.

– Zanim wyrok ogłosisz, panie, racz zauważyć, żeś zaledwie namiestnikiem mego wuja. Prawa się trzymasz, więc miej baczenie, że tylko namaszczony władca jest godzien wydać wyrok, w którym stawką ludzkie życie.

– Ma rację – przyznał starzec, co spowodowało, że Dewin ponownie poczerwieniał na twarzy. Nie spodziewał się takich trudności, tym bardziej że umniejszały one jego znaczenie. To musiała być dla niego prawdziwa męka.

– Księżę wyrok potwierdzi! – odburknął.

– Nie wątpię w to, ale zanim to się stanie, nie masz prawa wyroku ogłaszać!

– Zabrać ją do lochu! – Dewin ze złością zamachał obiema rękoma. Miałam wrażenie, że za moment wzbije się w powietrze, niczym złowróźbny kruk.

Poczułam, jak ziemia osuwa mi się spod nóg. Moje zaufanie do Weylina właśnie poszło do diabła. Chociaż wyrok nie został jeszcze ogłoszony, wiedziałam, jak będzie brzmieć. Co mi z tego, że odwlecze się w czasie? Księżę Ekhard, omotany przez Dewina, zgodzi się na wszystko, co powie mu mistrz. O ironio! Umrę jako mężatka! To dopiero heca!

Drzwi otworzyły się i do komnaty weszło dwóch strażników w srebrnych zbrojach. Miarowym krokiem podeszli do mnie i stanąwszy po obu bokach, złapali pod ramię. Pozwoliłam się prowadzić jak prosiak przeznaczony na rzeź. Nie płakałam, nie krzyczałam, nie wołałam pomocy. Obróciłam jedynie głowę, aby wychodząc, widzieć zgromadzonych w sali. Tak jak się spodziewałam, uśmiech nie schodził z ust Moreeny, Dewin był czerwony ze złości, zaś pozostali patrzyli na mnie z lękiem, ale i ulgą, że oto pozbywają się kłopotu. W końcu moje spojrzenie zatrzymało się na Weylinie. Czy to złudzenie, czy on naprawdę mrugnął? Dał mi kolejny znak? Ale jak chciałby mnie teraz uratować?

Przez moją głowę przemknęło tysiąc różnych myśli i pomysłów ucieczki,

a każdy z nich był głupszy od poprzedniego. Dlaczego tylko na filmach zdarza się tak, iż bohater, który już prawie nie ma żadnych szans, aby się uratować, nagle cudownym zbiegiem okoliczności wychodzi z opresji bez szwanku? Och, jakże chciałabym być teraz takim filmowym bohaterem. Dlaczego w życiu nic nie jest tak proste i łatwe?

Wyszliśmy z komnaty. Wsłuchiwałam się w odgłos miarowych kroków strażników, prowadzących mnie do lochów. Jak tam będzie? Pewnie okropnie! Zimno? Wilgotno? Ale co mnie to obchodziło? Długo tam nie zagrzeję miejsca. Najpóźniej jutro rano wyrok zostanie wydany.

Według wszelkich moich domysłów, opartych na oglądanych filmach historycznych, byłam prawie pewna, że lochy znajdują się w najniższej części zamku, pod poziomem ziemi. Dlaczego więc zamiast iść w dół, kluczyliśmy korytarzami i wchodziliśmy po schodach na piętro? Coś tu nie pasowało, i to bardzo. A gdy skręciliśmy w korytarz, którego ściany obwieszane były proporcami, zupełnie straciłam orientację. Czy to nie skrzydło rycerskie, gdzie komnaty miał Weylin oraz jego druhowie? Moje zdziwienie osiągnęło apogeum, gdy znaleźliśmy się przed znanymi mi już drzwiami i jeden z eskortujących mnie strażników, rozejrzawszy się najpierw dookoła, trzy razy zapukał we framugę. Cichutki zgrzyt rygła dał nam znać, że ktoś otwierał, i po chwili weszliśmy do przestronnego, prawie pustego pomieszczenia. Dostrzegłam Comtę oraz ubraną w męski strój Lavenę.

– W sam czas, bo jużem myślała, że wszystko na marne. Że jakowe komplikacje wyniknęły! – obwieściła Comta, podchodząc i chwytając mnie w swoje pulchne ramiona. Najwyraźniej ulżyło jej, gdy mnie zobaczyła.

– Co się dzieje?

Gdy Comta wreszcie wypuściła mnie z uścisku, zdezorientowana obejrzałam się na moją groźną asystę, nadal nie rozumiejąc, dlaczego zamiast do ciemnych, zimnych lochów, zostałam odprowadzona do komnat rycerskich. Czyżbym do jutra miała być pod nadzorem druhow Weylina? To ten jego plan? Tylko czemu Lavena miała na sobie męskie ciuchy?

Nie widziałam twarzy strażników, gdyż zasłaniały je błyszczące srebrne maski, ale byłam pewna, że przez wąskie szparki w nich uważnie mi się przyglądali. Milczeli, zaciskając usta w dziwnym grymasie. O co im chodziło? Przeniosłam spojrzenie na Comtę, u niej szukając wyjaśnienia tej dziwnej sytuacji. Jednak zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie, jeden ze strażników nie wytrzymał i parsknawszy niepojętym śmiechem, zdjął z głowy hełm wraz z częścią zasłaniającą twarz.

– To się nazywa poświęcenie. Aby cię ratować, jam zgodził się nawet na gołonie. A miałem taką piękną brodę – obwieścił Lann.



## XXXV. UCIECZKA

Byłam tak zaskoczona zaistniałą sytuacją, że bez żadnych sprzeciwów pozwoliłam się zaciągnąć Comcie do sąsiedniej komnaty sypialnej, w której kilka dni temu odwiedziłyśmy chorego Ewena, jednak ku mojemu zdziwieniu dziś go tu nie zastałyśmy, a na moje pytanie o niego służka odpowiedziała tylko, żebym się niczym nie przejmowała. Łatwo było powiedzieć, ale trudniej wykonać. Zdejmując wytworny strój i zakładając na siebie skromne męskie ubranie, zadawałam Comcie niezliczoną liczbę pytań, na które ta starała się odpowiedzieć. Wynioskowałam, że sama знаła zaledwie zarys tego, co przygotował Weylin. Bo że to sprawka siostrzeńca księcia, domyśliłam się już w momencie, gdy zobaczyłam jego druhow, przebranych za wartowników.

Według słów Comty Weylin, przypuszczając, że Dewin nie odpuści i zrobi wszystko, aby doprowadzić do mego skazania, uknuł pewną intrygę. Zwabiwszy dwóch strażników, wyznaczonych do pilnowania komnaty audiencyjnej, wraz ze swymi druhami ogłuszył ich, a związawszy i zakneblowawszy, przykazał Lannowi i Dunhamowi przywdzianie odświętnych zbroi. Tak przebrani, z zasłoniętymi twarzami, zajęli miejsce prawdziwych strażników. W chwili gdy Dewin rozkazał odprowadzić mnie do lochów, obaj przyjaciele Weylina stali się eskortą więźnia i dzięki temu zamiast do ponurej, zimnej celi trafiłam do ich pokoju, gdzie czekały już na mnie Comta wraz z Laveną. Obecność siostry Weylina, dodatkowo odzianej w męski strój, również została pokrótce wyjaśniona. Otóż Lavena, aby uniknąć zamążpójścia, wraz ze mną miała opuścić zamek. Do tej pory wydawało mi się, że dziewczyna jest pogodzona ze swym losem, więc taka zmiana przekonań bardzo mnie zaskoczyła. Na razie jednak nie wytłumaczono mi przyczyn podjęcia takiej decyzji.

Śliczna suknia Laveny spoczęła na zasłanym łóżku, a ja podeszłam do niewielkiego zwierciadła, aby zobaczyć się w nowej odsłonie. Prosty, szary męski strój nie dodawał mi powabu, a fryzura, którą Comta tak troskliwie wykonała, zupełnie do niego nie pasowała. Parsknęłam śmiechem, patrząc na swoje odbicie. Spróbowałam zdjąć siateczkę z włosów, ale nie wiedziałam, jak ją odplątać. Na szczęście Comta przyszła mi z pomocą. Sprawnie zdjęła plecioną ozdobę, a wyjąwszy szpilę podtrzymującą węzeł, sprawiła, że moje włosy, uwolnione ze splotu, miękko opadły na ramiona i plecy. Potrząsnęłam głową, aby nadać fryzurze jakiś kształt.

Lavena przez ten czas nie odzywała się ani słowem. Stała w kącie komnaty i od czasu do czasu cicho pociągała nosem. Przypuszczałam, że nie była zachwycona całym tym pomysłem Weylina, ale jako dobra siostra nie śmiała mu się sprzeciwić. Dziwiło mnie tylko, że Comta tak ochoczo przystała na to czyste szaleństwo. Czyżby Lavenie mogło coś grozić, gdyby tu pozostała? Może nadal nie znałam całej prawdy o Burii?

Gdy wróciłyśmy do komnaty, gdzie pozostawiłyśmy rycerzy, Dunham i Lann zdążyli już pozbyć się błyszczących zbroi, których części aktualnie wałały się porozrzucone bez ładu i składu po całym pomieszczeniu.

– Gotowe – obwieściła grobowym głosem Comta, po czym dodała z nutką

przestrogi: – Tylko miejcie na nie baczenie. Jeśli coś się im przydarzy albo jeśli jakieś brudne myśli was najdą... daję słowo, że odnajdę was na końcu świata i wydrę wasze serca.

– Droga Comto, już tyła czasu nas znasz i ciągle nie dowierzasz? – Dunham uśmiechnął się szelmowsko.

– Właśnie martwię się, bo was znam – westchnęła rozdzierająco. – Niejedna dwórka przez was zbałamucona została... Oj, gdybym była młodsza, to sama bym...

– Comto, Comto, nie podejrzewaliśmy cię o coś takiego? – Lann mrugnął do Dunhama. – Gorąca krew w Comcie płynie.

– Oj, dam ci, dam ci, ty nicponiu jeden! – Zamachnęła się na niego podniesioną z ziemi rękawicą i zdzieliła przez plecy. – Jeszcze wam się żartować chce? W takich okolicznościach? Gdybym młodsza była, sama bym z wami pojechała, aby mieć na wszystko oko.

– Weylin będzie na nas uważał. – Lann spoważniał. – My dajemy ci słowo, że jak siostry będziemy traktować obie dziewczoje.

Czyli Weylin jedzie z nami. To była dobra wiadomość. Tylko co z Hermanem? No i moim małżonkiem (jejku, jak to głupio brzmiało)?

– A gdzie jest Ewen? – Nie mogłam się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Dziś z samego rana, korzystając z uprzejmości wielmożnych panów z Białych Wzgórz, wraz z Hermanem, jego żoną i dzieciątkiem zamek opuścił. Weylin o wszystko zadbał – wyjaśnił Lann, nie zagłębiając się dalej w temat.

Rankiem wraz z Hermanem i jego żoną zamek opuścił? To już rano Weylin swój plan wprowadził w życie? Skąd wiedział o zamiarach Dewina? Coś mi tu nie pasowało, tylko nie wiedziałam co.

– No dosyć tego, ruszajmy! – Dunham stanął przy drzwiach wyjściowych.

– Zaraz, jeszcze drobny szczegół. – Lann dobył miecza. – Wybaczcie szanowne panienki, ale wszystko musi być tak, aby nijakiego podejrzenia nie było. Wasze włosy...

– Co z nimi? – Comta podparła się pod boki.

– Są za długie, mężczyźni takowych nie noszą. Nawet takie podrostki, jak giermkowie. Wybaczcie, ale inszego sposobu nie ma.

Zrozumiałam, o co mu chodzi. Dotknęłam moich, rozpuszczonych włosów. Lubiłam je, chociaż zdecydowanie wolałabym, aby miały inny kolor. Zapuszczałam je kilka lat. No cóż, mając na jednej szali moje życie, a na drugiej włosy, wybór był raczej prosty. Niestety, Lavena najwyraźniej skłaniała się ku drugiej opcji. Przypadła do Comty i wtuliwszy twarz w jej pulchne ramiona, zaczęła szlochać. Służka czule gładziła wstrząsane płaczem plecy dziewczyny.

– Już dobrze, skarbie, dobrze. To tylko włosy. One odrosną. Ani się obejrzysz, jak znowu będą takie piękne i długie.

– Czasu nie mamy! – Dunham wyglądał na zdenerwowanego. – Tu pośpiech jest wskazany nie łyzy.

– No to na co czekamy? – Podeszłam do Lanna. – Jak trzeba ciąć, to tnij.

Rycerz chwycił moje włosy w jedną rękę. Przyłożył ostrze miecza od spodu i uczynił jeden ruch. Nawet nic nie poczułam. Odwróciłam się w momencie, gdy otworzył dłoń i obcięte, długie pasma wolno opadły na ziemię, wprost do naszych

stóp. Instynktownie uniosłam rękę do góry i sprawdziłam aktualną długość. Nie było aż tak źle. Moje włosy kończyły się tuż przed ramionami.

Lavena poprzez łzy spojrzała na mnie, ale ten widok nie wpłynął na poprawę jej samopoczucia. Comta podprowadziła ją do Lanna i sama ujęła w dłoń włosy swojej podopiecznej. Lavena zacisnęła powieki i zagryzła wargi. Autentycznie było mi jej żal, ale wiedziałam, że nie ma innego wyjścia. Lann powtórzył tę samą czynność, co w moim przypadku. Widziałam, jak ostry miecz delikatnym ruchem odcina długie pukle jasnych włosów. Po chwili nie było śladów po pięknych lokach Lavenny, które niczym przedza zwisały z zaciśniętej dłoni Comty.

– No i tera wszystko jest tak, jak być powinno. – Lann na powrót przypiął miecz do pasa. – Żegnajcie, Comto, i oby dane nam było jeszcze się obaczyć w zdrowiu.

– Żegnajcie. – Comta, nie wypuszczając z dłoni obciętych włosów Laveny, ucałowała swoją podopieczną w czoło. – Niech bogowie Burii nad wami czuwają. A ty – tu zwróciła się do mnie – nie zawieź zaufania, którym cię obdarzam.

Dunham otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

– Idziem! – zarządził, wychodząc z komnaty.

Lann podążył za nim, dając nam znać, abyśmy ruszyły za nim. Lavena z wyraźnym trudem oderwała się od Comty i ocierając łzy, które dwiema strugami spływały po jej policzkach, ruszyła w stronę wyjścia. Ramię w ramię opuściłyśmy komnatę, żegnane słowami jakiejś nieznanej mi modlitwy wypowiedanej przez Comtę. A może nie była to modlitwa, tylko magiczne zaklęcie, mające otoczyć nas ochroną?

Szłyśmy kilka kroków za rycerzami, jak przystało na wiernych giermków. Lavena spuściła głowę, tak aby ewentualnie mijający nas ludzie nie rozpoznali w niej siostrzenicy władcy. Na szczęście nie napotkaliśmy żadnych dworzan, nie licząc częstych patroli, przemierzających zamkowe korytarze. Ich jednak nie musieliśmy się obawiać, gdyż obecność Lanna i Dunhama, zacnych i poważanych rycerzy, onieśmiewała strażników. Przechodząc obok, dumnie prężyli się przed druhami Weylina, oddając im należne honory. Na nas, jako na zwykłych, prostych giermków, nikt nie zwracał uwagi, co w obecnej sytuacji było nam bardzo na rękę.

Wyszliśmy na dziedziniec i zorientowałam się, że zmierzamy wprost do otwartych wrót stajni, przed którymi stały trzy osiodłane konie. Tylko trzy? Przy jednym z koni dostrzegłam Weylina, który nawet nie zmienił swego odświętnego czarnego stroju. Dwa kolejne konie trzymał za uzdę chłopak stajenny. Wyteżyłam wzrok, pełna najgorszych przeczuć. Jeśli to ten sam osobnik, z którym miałam przyjemność rozmawiać, to rozpozna mnie na sto procent. Odetchnęłam z ulgą, gdy okazało się, że i tym razem miałam szczęście – tego chłopaka widziałam po raz pierwszy w życiu.

– Co tak długo? – Weylin spojrzał na swoich druhów.

– Spieszylim się bardzo, ale musielim wszystko dobrze przygotować. Dlatego tyle to trwało.

– Na koń! – zakomenderował, nie wdając się z nimi w dalsze rozmowy.

Zgrabnie wskoczył na grzbiet czarnego ogiera. Lann i Dunham poszli w ślady swego dowódcy i też dosiedli koni. A co z nami? Zerknęłam na Lavenę. Dostrzegła moje pytające spojrzenie, gdyż lekko pochylając się w moją stronę wyszeptwała:

– Giermkowie na nogach podążają za swemi panami.

Na nogach? To chyba jakieś żarty? Nie zdążyłam jednak nic więcej powiedzieć

ani o nic zapytać, gdyż konie rycerzy ruszyły w stronę zamkniętej bramy wjazdowej.

– Nie mogę się guzdrać. – Lavena pierwsza pobiegła za nimi, a ja, chcąc nie chcąc, musiałam dotrzymać jej kroku.

Brama była zasłonięta grubą kratą, ale furtka z boku pozostawała otwarta. Wprawdzie stały przed nią podwojone posterunki wartowników, ale na widok Weylina i jego kompanów bez żadnych protestów sami usunęli się z drogi. Gdy ich mijalam, serce waliło mi jak młot kowalski, a kropelki potu pokryły ciało. Czułam, że koszula już zaczyna się lepić do ciała. Miałam wrażenie, że za moment któryś z nich rozpozna we mnie czarownicę, o której wszyscy teraz mówili, i wyda na okrutną śmierć. Trwożliwie, spod opadających na oczy włosów, zerknęłam na wartowników. Nie patrzyli na nas, zupełnie lekceważąc naszą obecność. Byliśmy dla nich nic znaczącymi sługami, którym nie warto poświęcać żadnej uwagi.

Odetchnęłam dopiero, gdy wydostaliśmy się za mury. Weylin nie przyspieszał konia, wiedząc, że trudno byłoby nam nadążyć. Przemierzaliśmy rozmokłą drogę przez wieś, tak samo będąc niewidocznymi dla jej mieszkańców. Cała uwaga skupiała się na dumnych rycerzach, nie na ich nędznych sługach.

Wieś została za nami, a zamek z każdym kolejnym krokiem stawał się mniejszy. Kilka razy odwróciłam się przez ramię, aby na niego spojrzeć. Bałam się, że zobaczę goniący nas pościg, ale na szczęście nic takiego się nie działo. Dewin musiał być tak zadufany w sobie, że nawet przez myśl mu nie przeszło, aby podejrzewać, że ktoś śmiałyby pomóc uciec więźniowi. Również wyjazd Weylina wraz ze świętą nie wzbudził jego podejrzeń, gdyż w zwyczaju siostrzeńca księcia były codzienne eskapady z zamku. Weylin pomyślał o wszystkim. Mój podziw dla niego wzrósł i pewnie byłby jeszcze większy, gdyby nie to, że musiałam iść pieszo, gdy tymczasem on wygodnie siedział sobie na końskim grzbiecie.

Wreszcie uznałam, że zamek został na tyle daleko, że mogę się już odezwać, zawołałam więc do swoich wybawców:

– Hej, pamiętacie jeszcze o nas? My tu sobie idziemy w przyjemnym blocku, a wy wieziecie zacne rycerskie dupska w siodłach.

Weylin zawrócił konia i podjechał do mnie.

– Nie dla własnej wygody, ale dla bezpieczeństwa – odpowiedział, po czym nachylił się i objąwszy mnie w pasie, podrzucił do góry, sadzając przed sobą.

Lann wykonał identyczny manewr w odniesieniu do Laveny, tyle tylko, że przemówił do niej pełnym skruchy głosem:

– Panienska wybaczy, zem tak nachalnie podniósł panienkę.

No proszę, ten ma jakieś maniery, a Weylin zachowuje się tak, jakby wszystko było mu wolno!

– Mówiłem, żebyś mi zaufała? – Szept Weylina owionął moje ucho, łaskocząc delikatnie. – Wybacz ino, zem ślubu powstrzymać nie zdołał.

– Eee... ślub – zająknęłam się. – On chyba nie ma zbyt wielkiej mocy? – Zadałam to pytanie pełna nadziei, że Weylin potwierdzi moje słowa. Niestety w tym przypadku nie miałam szczęścia.

– Świadkowie byli, wasza wola została ogłoszona i namiestnik władcy ją zaaprobował. Wedle naszego prawa staliście się mężem i żoną. Jedyna pociecha w tem, że jako iż ślub zawierany był bez obecności jednego z oblubieńców, macie trzydzieści dni i nocy na przypieczętowanie waszego związku.

– Przypieczętowanie? – Nie zrozumiałam.

– Gdy jedno z oblubieńców z jakichś względów nie może uczestniczyć w zaślubinach, lecz uprzednio wyraziło gotowość wstąpienia w związek małżeński, to wedle naszego prawa takie zaślubiny są ważne, ale biorąc pod uwagę chwilową rozłąkę zakochanych, daje się im czas, w którym muszą uświęcić obrządek, stając się jednym ciałem i duszą. Jeśli jednak wyznaczony okres minie, a oni nadal się nie połączą, to taki związek traci swą moc i uważa się, że nigdy nie miał miejsca.

– Ufff... – Odetchnęłam z ulgą i w tym samym momencie poczułam, że ręka Weylina mocniej zacisnęła się wokół mojej talii.

Pomyślałam, że przycisnął mnie do siebie niczym najdroższy skarb. Czyżby ta scena w komórcie pod schodami to nie było tylko przedstawienie dla wartowników? A pocałunek w korytarzu? To głupie, wiem, ale nagle nabrałam przekonania, że Weylin musiał coś do mnie czuć. Czy pomagałby mi tak bezinteresownie, gdybym była mu obojętna?

Pytanie tylko, co ja do niego czułam. Sama chciałabym znać na nie odpowiedź. Facet działał na mnie, ale być może był to tylko pociąg fizyczny. Weylin, musiałam to przyznać, był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, który na dodatek jawił mi się jako mój wybawca. Zawsze, gdy pojawiał się w pobliżu, czułam dziwną chemię, jaka między nami się wytwarzała. To było coś niewytłumaczalnego, czego nie potrafiłam określić. Jednak gdyby postawiono przede mną zarówno Weylina, jak i Hermana, i kazano dokonać wyboru, nie wahałabym się ani chwili. Co innego pociąg fizyczny, a co innego więź, która łączy serca i dusze. A może jednak okłamywałam samą siebie? Może tworzyłam wyobrażenia czegoś, co nie było realne? Co nie mogło być prawdą? W tamtym momencie byłam przekonana, że nie.

Weylin ściągnął wodze konia, powodując, że ten zwolnił kroku, po czym zatrzymał się. Jadący tuż za nami rycerze również przystanęli. Rozejrzałam się dookoła, rozpoznając mostek, przy którym uprzednio wraz z Hermanem spotkaliśmy wieśniaka. Szum rwącej wody przypomniiał mi chwile spędzone nad wodospadem. Znowu poczułam żal. Rozum zaczął mi płatać figle i wydało mi się, że oto spoza drzew wychodzi mój ukochany, że zbliża się do nas... Zaraz! To nie złudzenie! To naprawdę był Herman. Ja nie zwariowałam!

– Raduję się niezmiernie, widząc was. – Herman skierował te słowa do całej naszej gromady, ale wyraźnie patrzył na mnie. A może nie na mnie, tylko na trzymającego mnie przed sobą Weylina?

Brat Laveny zwolnił uścisk na mojej talii. Nawet nie zauważyłam, kiedy ręce Hermana wyciągnęły się ku mnie i za chwilę trzymał mnie w swoich ramionach. To trwało zaledwie moment, tyle ile moja podróż z grzbietu konia na ziemię, jednak miałam wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Wpatrywałam się w mego ukochanego jak przysłowiowe ciele w malowane wrota. Zdawało mi się, że wyczuwam przyspieszone bicie jego serca.

– Dziękuję – wyszeptalam, gdy wreszcie wypuścił mnie z objęć, stawiając na rozmokłej ziemi. Spojrzałam mu prosto w oczy i zobaczyłam ten sam blask, za którym tak bardzo tęskniłam.

Weylin zgrabnie zeskoczył z konia, a w ślad za nim poszli pozostali rycerze. Dunham pomógł zejść Lavenie, która, nie ma co ukrywać, również rozpromieniła się na widok Hermana, a na mnie spojrzała z nieukrywaną zazdrością.

– Mniemam, że kłopotów żadnych nie mieliście? – Weylin rozejrzał się dookoła. – Gdzie panowie z Białych Wzgórz?

– Wszystko w najlepszym porządku – zapewnił Herman. – Sensu nie było, aby czekać na was mieli. Zdecydowaliśmy, co Edmond i Feron zabiorą ze sobą dzieciątko i nie zwlekając ni chwili, wyruszą dalej.

– Oddałeś im dziecko pod opiekę? – zdziwił się Weylin, a ja zrozumiałam, że to chyba nie było częścią planu. – Wszak z nami jechać miało.

– Uznaliśmy, że dla dobra dziecka lepiej będzie dać je pod opiekę, niżli ciągnąć ze sobą przez las. Panowie z Białych Wzgórz to zacni rycerze, którzy swój honor już nieraz udowodnili. Na nich zawsze można polegać. Po naszej stronie stoją, ale nie lza im jawnie wystąpić przeciw władcy. Ufam im.

Czyżby to oznaczało, że Balduria i jej pociecha nie będą towarzyszyć nam w dalszej drodze? Oj, tak, to by było najlepsze wyjście z sytuacji.

– A Balduria? – zapytałam, mimo iż obawiałam się zabrać głos.

Herman spojrział na mnie ponownie.

– Tam, za drzewami. – Wskazał ręką na pobliskie chaszczce, tym samym rozwiewając moje nadzieje. – Ewen jej pilnuje. Nie mogłem dozwolić, aby co złego się jej stało. Jestem za nią odpowiedzialny. Dziecko łatwiej wśród ludzi ukryć. Dorosły zbyt w oczy się rzuca i wygląd trudno mu zmienić. Dlatego uznałem, że Balduria z nami bezpieczniejsza będzie. Ona nijakich problemów nie sprawi, a ja i Ewen oko mieć na nią będziemy.

– Prowadź! – polecił Weylin.

Natychmiast Herman odwrócił się w stronę lasu i szybkim krokiem ruszył prosto pomiędzy drzewa. Rycerze, trzymając za wodze konie, podążyli za nim. Oczywiście ja i Lavena nie pozostałyśmy w tyle. Już po chwili przekroczyliśmy linię drzew i otoczył nas mrok.

Gdy przedarliśmy się przez pierwsze, gęste zarośla, zobaczyliśmy siedzącą na powalonym pniu Baldurię. Dziewczyna na podobieństwo posągu zastygła w sztywnej pozycji z niemiłosiernie wyprostowanymi plecami i wzrokiem utkwionym gdzieś przed siebie, wydawała się zupełnie nie zwracać na nas uwagi. Tylko ja znałam jej sekret i zdawałam sobie sprawę, jak doskonale udawała. Dla osób niewtajemniczonych naprawdę wyglądała jak osoba niespełna rozumu, pogrążona w swoim własnym świecie.

Tuż koło niej stał Ewen, który widząc nas, lekko skłonił głowę przed Weylinem, na co ten uniósł dłoń, kierując ją wewnętrzną stroną w kierunku pomocnika medyka, dając mu tym samym znak, że kwestie powitania zostały wypełnione. Choć panowie nie przepadali za sobą, o czym mogłam się już przekonać, to jednak zasady obowiązujące pomiędzy osobami o odmiennej pozycji społecznej nadal miały dla nich wielkie znaczenie.

– Gotowiście? – zapytał Weylin, wolno przesuwając wzrokiem po naszych twarzach. – Jeszcze czas macie, aby się wycofać. Jeśli kto z was lęka się zagłębić w ostępy Lasu Potępionych, to ja nie będę go zmuszał do tej wędrówki. Każdy z was wolną wolą dysponuje i liczę, że słuszną decyzję podejmiecie. Kiedy wyruszymy, powrotu już nie będzie. Staniem się wyrzutkami, za którymi pogoń poślą. Będą nas tropić niczym zwierzynę łowną. Powtarzam, wolną wolę macie, a jam już nie jest waszym wodzem.

– Zawsze nim będziesz, panie. – Herman przyklęknął na kolano i przyłożył lewą dłoń do piersi. – Pójdę za tobą wszędzie i służyć ci będę do ostatniego tchnienia.

– Ja też, panie. – Lann również przyklęknął.

– Toć wiesz, że nigdy bym se nie odmówił udziału w takowym szaleństwie. – Dunham zaśmiał się donośnie, zanim tak samo, jak i jego towarzysze opadł na kolano. – Pójdziem za tobą choćby do samych piekieł.

Mnie i Laveny, jako kobiet, nikt nie zapytał o zdanie. Wprawdzie ja, będąc osobą, za przyczyną której wszystko niejako się stało, nie miałam innego wyjścia, ale przecież Lavena powinna móc sama zdecydować za siebie. Niestety, widać jej brat miał w tym względzie własne zdanie, zgoła odmienne od mojego.

Weylin kolejno podszedł do każdego ze swych rycerzy i kładąc mu obie dłonie na ramionach, podnosił z klęczek, uściskiem potwierdzając, jak bardzo jest im wdzięczny za wierność.

– W takim razie żal tracić czas po próżnicy. Przed nami daleka droga, a pogoń wkrótce wyruszy... – oznajmił, gdy wszyscy już stali. – Ruszamy! – Zawrócił do swojego wierzchowca, stojącego nieco z tyłu, i ująwszy jego wodze, skierował konia między rosnące gęsto drzewa. – I niech bogowie mają nas w swej pieczy.

Zauważyłam, jak Herman zbliża się do Baldurii, jak wraz z Ewenem pomaga jej wstać z pnia, jak prowadzi bezwolną dziewczynę, ostrożnie osłaniając ją przed wybujalnymi chaszczami. Jeśli Balduria tak bardzo się go bała, to musiał naprawdę nieźle się maskować, gdyż w tej chwili miałam przed sobą wzór czulego, troskliwego męża, nie potwora, przez którego żona symuluje szaleństwo.

Szliśmy pieszo, poruszając się bardzo wolno gęsiego. Po prawej stronie mieliśmy rwącą rzekę, tę samą, która prowadziła do wodospadu. Lawirowaliśmy między drzewami, z trudem torując sobie drogę wśród gęstych krzaków. Na przedzie orszaku szedł Weylin, prowadząc konia, kilka kroków za nim postępował Herman z Baldurią, następny był Ewen, trzymający za uzdę rumaka Lanna. Pomocnik medyka poprzedał idącą przede mną Lavenę. Tuż za swoimi plecami miałam posiadacza bokserskiego nosa, nieodstępującego boku swego wierzchowca. Pochód zamykał Lann, dzierżący w dłoni miecz. Jako straż tylna bacznie rozglądał się dookoła, próbując wypatrzeć ewentualne zagrożenie.

Przedzierając się tak przez leśne ostępy, pomyślałam o kamieniu, od którego wszystko się zaczęło. Musiał znajdować się gdzieś tutaj. Może nawet dzieliły mnie od niego metry. Czy gdybym go odnalazła, sprawiłby, że wrócę do siebie? Ale czy mogłabym tak po prostu zapomnieć o Hermanie? Po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, mogłabym tak zwyczajnie odwrócić się i odejść? A skrzydlaki? A obietnica złożona Sawie? A wieszczka?

W tej chwili wspomniałam i wieszczbę. Jej słowa ciągle brzmiały w mej głowie. Według tego, co mówiła, miałam wielką moc, która mogła przywrócić szczęście w Burii. Jeśli to była prawda... Tylko jak miałabym tego dokonać? Ja nie odnajdywałam w sobie żadnej magii. Byłam tylko zwykłą Julią, zagubioną w obcym, nieprzyjaznym świecie.

## XXXVI. WYBÓR

Mimo iż się obudziłam, miałam dziwne wrażenie, że czułam kołysanie. Wydawało mi się, że nadal siedzę na końskim grzbiecie, a ramię Weylina zaciska się wokół mojej talii. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiłam sobie, że leżę pod drzewem, na posłaniu z mchu, szczelnie owinięta ciepłą peleryną Weylina. Dookoła panowała nieprzenikniona ciemność – pamiętałam, że nie rozpalaliśmy ogniska, aby nie ściągnąć na siebie ewentualnej pogoni. Wprawdzie mało prawdopodobne wydawało się to, aby pościg zapędził się w ostępy Lasu Potępionych, ale mając za przeciwnika Dewina, wszystkiego można się było spodziewać.

W mroku z trudem dostrzegłam sylwetkę leżącą tuż koło mnie. Gdy przysunęłam się bliżej i wyteżyłam wszystkie zmysły, odkryłam, że to Weylin. Z mojej lewej strony spała zaś Lavena. Uważając na każdy swój ruch, aby nie obudzić śpiących, wstałam i wyciągając przed siebie ręce, próbując uniknąć niespodziewanego kontaktu z drzewami, postąpiłam kilka kroków.

– A panienska gdzie? – Drogę zastąpiła mi postawna postać, którą rozpoznałam po głosie. – To Las Potępionych, tu lepiej samemu nigdzie nie łązić.

– Hm... Ja za... za potrzebą – wydukałam, ciesząc się, że dzięki ciemnościom Dunham nie zobaczył, jak się czerwienię.

– Nie lza samemu się oddalać. To ani miejsce, ani pora na to.

– Ale ja muszę – zakwiliłam błagalnie.

– Aby co cię na mej warcie pochwyliło? Chcesz li hańbą mnie okryć, zem nie dopilnował? – Złowrogi ton pojawił się w głosie rycerza. – To niepodobna! Póki ma kolej na stróżowanie, nikt obozowiska nie opuści.

– Spokojnie, Dunhamie, ja z nią pójdę i będę miał baczenie, aby co złego jej nie spotkało. – Drgnęłam, słysząc słowa dobiegające tuż zza moich pleców.

Ogarnęła mnie fala gorąca, a serce przyspieszyło pracę, powodując, że przez moment zabrakło mi tchu. Jak w transie wsłuchiwałam się w rozmowę dwóch mężczyzn, nie przyswajając sobie jednak jej treści. Po prostu napawałam się samym dźwiękiem głosu Hermana. Wreszcie był tuż obok mnie, niemalże czułam jego ciepło. Wystarczyłoby odwrócić się, wyciągnąć rękę i wpaść mu w ramiona. Pragnęłam tego ponad wszystko na świecie, ale wiedziałam, że mi nie wolno. Byliśmy tak blisko siebie, ale zarazem tak daleko... Dla tych wszystkich ludzi mieliśmy nadal pozostać obcymi sobie osobami.

Rozmowa mężczyzn przyniosła widać rezultaty, gdyż Dunham usunął się z drogi, robiąc nam przejście. Herman ruszył pierwszy, a ja podążyłam za nim, ostrożnie stawiając stopy na zasłanym liśćmi, igliwem i porośłym mchem podłożu. Serce nadal waliło jak opętane, ale przynajmniej odzyskałam sprawność logicznego myślenia.

Szliśmy przez dłuższą chwilę, oddalając się coraz bardziej od obozowiska. Wreszcie Herman zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Moja ty... Tyłem się naczekał, aby sposobność znaleźć – wyszeptał, chwytając mnie w ramiona.



Przytuliłam się do niego, spragniona tej bliskości.

– Ostatnio skutecznie mnie unikałeś – wypomniałam mu. – Odniosłam nawet wrażenie, że straciłeś zainteresowanie moją osobą.

– Jakżebym mógł? Jesteś miłością mego życia. Jedyłą niewiastą, którą kochałem i będę kochał zawsze. Aż do śmierci.

To wyznanie zabrzmiało nad wyraz pięknie. Mogłabym go słuchać i słuchać w nieskończoność. Herman nie mógł być zbrodniarzem! Balduria musiała kłamać! Przecież serce wie najlepiej! Ono na pewno się nie myliło!

– Nie mogłem być przy tobie, choć tak bardzo tego pragnąłem. Dewin podejrzenia miał co do nas i śledzić mnie kazał. Widziałem jego sługi, jak krok w krok za mną podążają. Na hańbę nie mogłem cię narazić... Moja ty... Moja najdroższa.

Usta Hermana błędziły po mojej twarzy, szyi, z pasją wpijały się w spragnione wargi. Tak długo na to czekałam. Cała nagromadzona podczas rozłąki tęsknota wreszcie znalazła dla siebie ujście. Byłam taka szczęśliwa. Las Potępionych, Herman, ja, nasza miłość. Czego można pragnąć więcej? No właśnie, czego? Chyba tego, aby wieszczba nie zjawiała się w tak uroczym, magicznym momencie. Niestety...

Nawet w pierwszej chwili nie dostrzegłam niewielkiego ognika, który z każdą sekundą robił się większy i większy, rozjaśniając mrok lasu, aż w końcu urósł do rozmiarów dużych wrót. Już wiedziałam, co teraz się stanie. Herman odwrócił się w stronę blasku i zmrużył oczy. Był nie mniej zaskoczony niż ja.

– Ty...

Herman wypuścił mnie z ramion i zasłonił własnym ciałem, tak jakby chciał ochronić przed nieznanym niebezpieczeństwem. Postąpił krok w stronę przybyłej, kładąc dłoń na rękojęści przytroczonego do pasa miecza, ale zanim zdołał go dobyć, zamarł w bezruchu. Zastygł niczym posąg – zupełnie tak samo, jak ludzie na zamkowym dziedzińcu, gdy po raz pierwszy spotkałam wieszczbę.

– Cóż, Julio, znowu jesteś tu, gdzie twój początek. – Starucha przybrała postać mojej babci i wyminąwszy Hermana, podeszła do mnie bliżej. Wyraźnie widziałam jej puste, białe oczy.

– Pani to chyba lubi mnie prześladować – westchnęłam. – Cudowne wycucie czasu, nie ma co! Zawsze musi zjawiać się pani w takich momentach? Gdyby nie zaczepiała mnie pani na dziedzińcu...

– Ależ, drogie dziecko, przecie tak właśnie miało się stać – przerwała mi. – Ty musiałaś mnie spotkać, a wszyscy musieli to widzieć. Czy myślisz, że byłabym aż tak nierozumna?

– To może wreszcie wyjaśni mi pani, czego ode mnie chce? Już zostałam uznana za zdrajcę, wydano na mnie wyrok, musiałam uciekać z zamku i tylko dzięki pomocy Weylina i jego towarzyszy nadal cieszę się życiem. Chociaż co to za życie? Jako banita...

– Takie twoje przeznaczenie. Na zamku siedzieć nie było po co. Teraz dopiero zaczęło się to, co stać się miało.

– Nie rozumiem... Dlaczego wszystko odbywa się za moimi plecami, dlaczego sama nie mogę decydować o swoim życiu?

– Naprawdę chcesz sama zdecydować? – Wyciągnęła do mnie dłoń. – Podaj mi rękę!

Z ociąganiem zastosowałam się do jej polecenia. Wzdrygnęłam się, gdy poczu-

łam dotknięcie zimnych, kościstych palców. Tylko z wyglądu przypominała moją babcię, jednak nawet dotyk zdradzał, że to nie z nią miałam do czynienia. Pociągnęła mnie w stronę światła, z którego wyszła, i po chwili otoczyła nas przejmująca jasność. Przymknęłam powieki, gdyż była tak intensywna, że aż sprawiała ból nawykłym już do ciemności oczom. Gdy je ponownie otworzyłam, przez dłuższą chwilę nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Oto znajdowałyśmy się na zalanej słońcem polanie porosłej wysokimi paprociami, pośrodku której stał znany mi już obelisk. Las Stróża. Ziemia. Moje czasy.

– Poznajesz? – Wieszcza postąpiła wprost w paprocie, zmierzając do kamienia. Nadal trzymała mnie za rękę, więc musiałam iść za nią. Zatrzymałyśmy się tuż przy obelisku. – Widzisz te symbole? – Wolną dłonią wskazała na napisy wyryte w głazie. – To twoje przeznaczenie. Wszystko, co się wydarzy i co się wydarzyło. Naturalną rzeczą jest, że słońce zachodzi i wschodzi, tocząc swą wędrówkę po niebie. Po dniu nastaje noc, po nocy kolejny dzień. Magiczne koło, które nie ma początku ani końca, które trwa wiecznie. Słońce... – Dotknęła tego samego symbolu, który zainteresował i mnie, gdy zobaczyłam go pierwszy raz. – ...zaszło nad Burią, lecz już nie ukazało swego oblicza. Porządek rzeczy został zakłócony i nastął czas chaosu. Ciemności ogarnęły krainę. Ten, który przybył, był śladem zostawionym przez tych, którzy dopiero nadejdą. Przeszłość wynika z przyszłości, a teraźniejszość łączy je w jedno. Wśród gwiazd zapisane imię tej, która w swych dłoniach trzyma los Burii. Przeznaczenie, które musi się wypełnić. – Po kolei przesuwając palcami po dziwnych znakach, odczytując zaklęte w nich słowa. – To wszystko o tobie. – Zwróciła na mnie niewidzące oczy, a dłonią dalej gładziła omszały głaz.

– Po co mi to pani pokazuje? – Spróbowałam wyszarpnąć rękę. Jeśli wieszcza miała taką moc, aby przenieść mnie do moich czasów, to czemu tego nie wykorzystać i nie uciec? Mogłabym tu zostać. – Co chce pani osiągnąć?

– To zaraz się stanie. – Trzymała tak mocno, że jej zimne palce niczym okowy uniemożliwiły mi wyswobodzenie się. – Wiedz jedynie, że tylko ty jedna możesz ocalić Burię i wszystkich jej mieszkańców. Byłaś tam, widziałaś tych ludzi, niektórych z nich pokochałaś. Czy zostawiłabyś to wszystko, zrezygnowała z możliwości ich ratunku, aby wieść znowu swoje uporządkowane życie? Co w tym życiu było takiego, że jest ważniejsze niż los tylu ludzi?

– Bo to było moje życie! – krzyknęłam, przestając się szarpać. – Było moje i bardzo mi się podobało. Nie miała pani prawa tak bez pytania go zmieniać.

– Gdybyś nie przyszła na polanę... Gdybyś słuchała babci... Czy ty nie widzisz, że to przeznaczenie cię tu przywiodło? – Wieszcza zastygła w bezruchu, jakby nasłuchując uważnie, po czym pociągnęła mnie za drzewa. – Chcesz podjęcia decyzji? Chcesz sama zdecydować o swoim losie? Dobrze! Niech więc i tak będzie! Oto masz wybór! Jeśli los Burińczyków nic cię nie obchodzi, jeśli myślisz tylko o sobie, możesz tu zostać. Jeśli jednak to, co przeżyłaś, ludzie, których poznałaś, mają dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie...

Przeznaczenie? Raczej moja własna głupota i słowa Mateusza. Kurczę, czemu ja zawsze muszę pchać się w kłopoty? Nie mogłam sobie spokojnie siedzieć z babcią i przyjmować wizyty sąsiadek, ciekawych jak też wygląda miastowa wnuczka Antoniny? Muszę to koniecznie naprawić. Za nic w świecie nie pozwolę się stąd zabrać.

– Będę mogła zostać? Nie będę musiała wracać do tego... tego... przeklętego

miejsca? – Oczami wyobraźni widziałam już siebie zmierzającą do domu babci. Jakoś jej wytłumaczę moją nieobecność. Och tak! Wszystko znowu będzie jak dawniej.

– Ciii... – Przyłożyła palce do ust, nakazując mi milczenie. – Będiesz mogła zostać. Ba, nigdy nawet nie poznasz Burii. Będzie tak, jakby nigdy nic się nie stało. Zapomnisz o wszystkim. O Weylinie, o Lavenie. O czekającym w lesie Hermanie. Oni też zapomną o tobie... Będiesz wolna i... szczęśliwa.

I po co mi o tym powiedziała, na pewno nie zrobiła tego ot tak sobie? Wspomnienie Hermana spowodowało skurcz w moim sercu. Nie poznać go, nie przeżyć tego wszystkiego? Jego pocałunki, jego uściski? Jakże miałabym o tym zapomnieć? Został sam, przemieniony w posąg, a ja odwróciłam się od niego i tak po prostu odeszła? Byłabym po prostu zwykłą świnią! Kochałam go i to właśnie miłość utrudniała mi podjęcie decyzji. Dlaczego właśnie teraz? Miałam dziwne przeczucie, że faktycznie wieszczba zawsze wybierała odpowiednią porę na pojawienie się.

– Masz wybór – powtórzyła starucha. – Ino podejmuj go szybko, bo właśnie nadchodzisz.

– Co?

Zza krzaków zobaczyłam siebie samą wychodzącą na polanę. Ubrana byłam w letnią sukienkę, a przez ramię przewieszony miałam poprzecierany plecaczek. Zaraz! Przecież ja to znam! Tak! Dokładnie! To ta chwila, gdy pierwszy raz zobaczyłam kamień. Jak urzeczona patrzyłam na swoje własne poczynania. Miałam wrażenie, jakbym oglądała powtórkę filmu, tyle tylko, że mogłam zmienić jego zakończenie. Och, muszę ją przestrzec, wystraszyć, aby uciekła, aby nie dotykała głazu. Tylko czy mam w sobie na tyle siły?

Druga ja upuściła aparat fotograficzny i pochyliła się, aby go podnieść. Zafascynowana tą niecodzienną sytuacją, nie zważając na to, iż wieszczba nadal ścisnęła przegub mojej dłoni, mimowolnie postąpiłam krok do przodu, nieostrożnie poruszając rozłożystym krzakiem, za którym byłam schowana. Ten szelest przestraszył puszczyka siedzącego na pobliskiej gałęzi. Złowróźbne pohukiwanie przerwało ciszę panującą w lesie i wypłoszyło ptaki skryte w konarach drzew. Czarna, skrzecząca chmura wzbija się do góry, na moment przesłaniając słoneczny prześwit. Na polanę padł cień. Przypomniałam sobie ten moment. Wtedy było tak samo. Dokładnie tak samo. Czy to znaczy, że ja także byłam obserwowana przez samą siebie z przyszłości? Czy o tym mówiły słowa wyryte na kamieniu: „Przeszłość wynika z przyszłości, a terażniejszość łączy je w jedno”? Cofnęłam się i spojrzałam na wieszczbę.

– Byłam tu? – zapytałam szeptem. – Byłam tu wtedy?

Skinęła głową na potwierdzenie.

– Koło toczy się dalej. Zmienisz swą decyzję teraz?

Nie odpowiedziałam, tylko popatrzyłam na tę drugą Julię. Widziałam, jak wystraszona hałasem, pośpiesznie schowała aparat do plecaczka. Pamiętałam uczucia, jakie mi wtedy towarzyszyły. Ten strach udzielił mi się i teraz. Serce przyspieszyło, wiedząc, co zaraz nastąpi. Jeszcze mogłam ją powstrzymać, jeszcze mogłam ustrzec przed tym, co czekało ją w Burii. Dlaczego jednak nie uczyniłam tego poprzednim razem? Dlaczego nie ostrzegłam samej siebie, gdy to ja stałam przy kamieniu? Byłam tu, widziałam to, zdawałam sobie sprawę z konsekwencji, a jednak nie zareagowałam.

Poczułam, jak palce wieszczby rozprostowują się, zwalniając uścisk. Starucha

dała mi możliwość swobodnego dokonania wyboru. Mogłam sama podjąć decyzję. Ale jaką?

Od tej drugiej Julii dzieliło mnie zaledwie kilka metrów. Nawet nie musiałabym dobiegać do niej, wystarczyłoby, żebym wyszła zza drzew, żebym zawołała ją po imieniu, żebym przestrzegła przed dotykaniem kamienia. Mogłam to zrobić. Ba, ja pragnęłam to uczynić, a jednak nie ruszyłam się z miejsca. Dlaczego? Sama nie wiem. Pomyślałam o Hermanie, o jego pocałunkach, uściskach. Marzyłam o takim uczuciu i miałabym teraz się go wyrzec, wymazać ze swego życia, zapomnieć, nigdy nie poznać?

Patrzyłam uważnie, jak Julia zachwiała się i aby nie upaść, wyciągnęła dłoń, opierając ją o głaz. Niczym obraz puszczony w zwolnionym tempie, klatka po klatce, widziałam jej rękę zbliżającą się do zimnej powierzchni. Ta ręka była moją ręką. Stałam się jednością z Julią z przeszłości, a może przyszłości, w tej chwili tego nie pojmowałam. Po prostu byłam nią.

W momencie, gdy palce musnęły obelisk, poczułam chłód kamienia. Ponownie oślepiła mnie niesamowita jasność uniemożliwiająca widzenie, a potem równie gwałtownie znalazłam się w zupełnej ciemności. Chciałam krzyknąć, przywołać wieszczbę, ale z mej krtani nie wydobył się żaden dźwięk. Miałam wrażenie, jakby jakaś ogromna gula utkwiała mi w gardle i skutecznie uniemożliwiała wypowiedzenie najprostszych słów. Ta gula rosła z każdą chwilą, utrudniając oddychanie. Teraz już nie próbowałam mówić. Teraz walczyłam o każdy haust powietrza.

Przecież to nie może się tak skończyć! Przecież wieszczba mówiła, że... Właściwie co ona mówiła? Mimo rozpaczliwych prób przypomnienia sobie jej słów nie potrafiłam przywołać ich z zakamarków pamięci. Niesamowity chłód spowił moje ciało, działając obezwładniająco na zmysły. Byłam sama pośrodku nicości, zewsząd otoczona nieprzebytym mrokiem i zimnem. Nie miałam szans na ratunek. Nie tym razem. Już nie walczyłam. Poddałam się przeznaczeniu. Czas dobiegł końca. Mój czas...

\*\*\*

Głuche dudnienie, przypominające dźwięk dzwonu, wdarło się do mego umysłu, przerywając błogą ciszę. Było denerwujące, wręcz doprowadzające do szału. Chciałam, aby ucichło, aby wreszcie się skończyło. Niestety dźwięki zamiast wyciszyć się, wyraźnie przybierały na sile, stawały się bardziej wyraziste, swojskie. Skoncentrowałam się na nich, próbując przypomnieć sobie, skąd je znam. Dopiero po dłuższej chwili uzmysłowiłam sobie, że to odgłos mego serca.

Rytmiczny hałas rozsadzał czaszkę, ale jednocześnie był dla mnie przewodnikiem. Pod jego wpływem moje zmysły znowu zaczęły pracować. Pokonałam słabość ciała i z trudem otworzyłam oczy. Nadal panowała ciemność, ale różniła się od tamtej wszechogarniającej, bezdennej tym, że składała się z wielu odcieni czerni; od najciemniejszej, poprzez wszystkie jej natężenia, aż do szarości, w których można było dopatrzeć się zarysów kształtów. Przełknęłam ślinę, z ulgą spostrzegając, że żadna gula już nie tkwiła w moim gardle.

Leżałam otulona peleryną, przytulona do ramienia Weylina, obok spała Lavena, a nad naszymi głowami szumiały drzewa Lasu Potępionych. Więc to wszystko, co zdarzyło się wcześniej, to był sen? Zwykły koszmar? Zasnęłam i najzwyczajniej

w świecie śniłam?

Tak, na pewno. To tylko sen. Nie spotkałam Hermana, nie zostawiłam go samego w lesie, zastygłego niczym posąg. Wieszcza nie zabrała mnie do moich czasów i nie kazała dokonywać wyboru. Nie trafiłam w bezdenną otchłań nieistnienia i nie umarłam. Po prostu spałam i śnił mi się koszmar. Zwykła mara senna.

W oddali usłyszałam trzask gałązki pękającej pod naporem czyichś stóp, a po chwili do mych uszu doleciały słowa wypowiedane przez Dunhama.

– To jeszcze nie twa pora na wartę, Hermanie.

– Wiem, lecz spać nie mogę i...

Pamiętałam ten moment, choć uprzednio rozmowa dotyczyła czegoś innego. Cholerne *déjà vu* znowu dało o sobie znać. Ta chwila już była, już ją przeżyłam. Wiem, co zaraz się zdarzy. Zaraz... Wcale nie musi się zdarzyć. Przecież nie wstałam, nie spotkałam Hermana... Tak! Nie ruszę się stąd! Tym razem postąpię inaczej. Nawet jeśli to był tylko sen, nie pozwolę, aby się spełnił.

Z tym postanowieniem mocniej przytuliłam się do Weylina, wsłuchując się w jego równy oddech i na nim koncentrując całą swoją uwagę. Ostatnio zbyt często wariuję. Potrzebuję wytchnienia. Już dość tajemnic, magii i innych dziwactw. Nic się nie stało i nie stanie. To był tylko sen! Tylko sen! Przeróżający i okropny, ale już minął.

Odetchnęłam z ulgą. Towarzyszący mi lęk zmalął, zepchnięty przeze mnie na samo dno umysłu. Ponownie odzyskałam poczucie bezpieczeństwa. U boku Weylina nic nie mogło mi przecież grozić. Nawet Las Potępionych nie wydawał się już taki groźny. Noc wkrótce minie, a wraz z nią odejdą senne upiory. Nie mam się czego bać.

W chwili, gdy uwierzyłam, gdy wreszcie odzyskałam spokój, w mej głowie rozbrzmiał chrapliwy, znany mi aż zbyt dobrze głos:

– To nie sen, Julio. Dokonałaś wyboru zgodnie ze swym przeznaczeniem. Bogowie nigdy się nie mylą. To, co przepowiedzieli, musi się wypełnić.

Krzyknęłam rozpaczliwie. Usiadłam, zrywając z siebie pelerynę, którą byłam otulona. Mój prześladowca najwyraźniej nie chciał, abym zachowała zdrowy rozsądek.

– Co się stało? – Zbudzony Weylin także się podniósł. Podziwiałam go za to, że nawet tuż po przebudzeniu potrafił wykazać się jasnością umysłu, czego mnie, niestety, brakowało. – Dlaczego krzyczysz? – Sięgnął po odrzucone okrycie i troskliwie mnie nim opatulił.

– Ja... Boję się... – wydukałam z trudem, próbując przy tym powstrzymać drżenie ciała. Miałam wrażenie, że trzęsę się nie tylko ja, ale i cała ziemia.

– Jestem tu – wyszeptał wprost do mego ucha. Ton jego głosu był kojący, ale nie zdołał przywrócić mi spokoju. Przynajmniej nie w tej chwili. – W Lesie Potępionych ciemne moce działają i zakradając się do ludzkich umysłów, próbują doprowadzić je do szaleństwa. To tylko ułuda, której nie możesz się poddać. Sen ino jakowyś okrutny.

– Tylko zły sen – powtórzyłam. – Tylko sen.

Oddałabym wszystko, aby znowu móc w to uwierzyć. Z całego serca pragnęłam, żeby słowa Weylina okazały się prawdą. Nie opuszczało mnie jednak dziwne przecucie, że to, co on uważał za majak senny, było zaledwie początkiem. Przed-

smakiem nieuchronnego. Tego, na co sama zgodziłam się, dokonując wyboru.  
Koniec tomu pierwszego

## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym serdecznie podziękować ludziom, dzięki którym ta książka mogła powstać i się ukazać. Przede wszystkim dziękuję mojej kochanej córce Basi, która wspierała mnie podczas pisania i zawsze cierpliwie wysłuchiwała wymyślonych przeze mnie historii, a także radziła, jak pokierować losami ich bohaterów. Dziękuję również Karolinie – mojej młodszej córce – za to, iż była grzeczna i wyrozumiała, gdy mama poświęcała czas na pisanie.

Szczególne wyrazy wdzięczności kieruję do dwóch wyjątkowych osób, którymi są: Krystyna Mieszka, znana jako „Cyrysia”, i Kuba Fryziak. Krysia przez cały czas wierzyła w moją powieść i mobilizowała do poszukiwania wydawcy. Wspierała dobrym słowem w trudnych momentach, wtedy gdy ja traciłam już nadzieję i chęci. Dzięki niej zdecydowałam się zaważać jeszcze raz o moją powieść. I udało się! Krysio, to dzięki Tobie ta książka mogła się ukazać! Również Kuba wspierał mnie duchowo i angażował się w proces poszukiwania wydawcy. Dzięki Wam nie poddałam się, chociaż miałam chwile zwątpienia.

Dziękuję również wszystkim czytelnikom moich blogów, którzy zachęcali mnie do pisania. Wprawdzie z prowadzenia blogów zrezygnowałam, ale pisaniu pozostałam wierna.

Dziękuję wszystkim, którzy byli ze mną: kochanym Rodzicom, Przyjaciołom, Znajomym. Otrzymałam od Was wiele pozytywnej energii, którą mogłam spożytkować przy pisaniu.

Dziękuję Wydawnictwu Videograf za to, iż zaufali mojej powieści i dali jej szansę zaistnieć jako książka.

Dziękuję także tym, których nie spotkałam, a którzy sięgną po tę książkę. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić podczas jej lektury.

*Katarzyna Grabowska*